

ANNA NEJMAN

Migdałowy aromat

Rozdział I

Harris Antiques

Eliza nie była specjalnie zmartwiona ani też zawiedziona znacznym opóźnieniem, gdy jej samolot wylądował wreszcie w Filadelfii. Przywykła już do tego, że od jakiegoś czasu los upodobał sobie zakłócanie jej planów w ten czy inny sposób. Na weselu najbliższego przyjaciela wystąpiła w kupionej naprędce sukience, bo walizka, w której wiozła swoją kreację, nie pojawiła się na karuzeli w punkcie odbioru bagażu. Bliźniakom brata szukano w pośpiechu zastępczej matki chrzestnej, gdy okazało się, że Eliza nie zdążyła na przesiadkę. Najbardziej jednak miała za złe losowi, że z powodu opóźnionego lotu nie pozwolił jej zobaczyć się z chorym ojcem. Zmarł, gdy jechała do niego taksówką z lotniska.

W życiu intymnym Elizy sprawy nie miały się dużo lepiej i to wcale nie dlatego, że unikała okazji. Wręcz przeciwnie - uznawała słuszność zasady wyznawanej przez swoją przyjaciółkę, Allison, która twierdziła, że okazje nie zapraszają do tańca tych, co siedzą na krzeselkach. Chętnie wychodziła na parkiet, gdziekolwiek zagrały nadarzające się możliwości. Tylko dlaczego głupie niedomówienie przed zaryzykowaną ostatnio randką w ciemno zadało śmiertelny cios ciekawie zapowiadającej się znajomości? Albo chociażby Wiktor; gdyby pojawił się w jej życiu trochę wcześniej, pewnie zamiast dwojgiem zawiedzionych i obrażonych na siebie czterdziestoparolatków byłiby dzisiaj szczęśliwą rodziną z dwójką dzieci.

Dobrnawszy do wyjścia w wolno posuwającym się między rzędami siedzeń korowodzie zmęczonych pasażerów, otrząsnęła się z bolesnego ukłucia żalu niespełnionych nadziei i odwzajemniła pożegnalne uśmiechy obsługi. U wylotu rękawa ustawiła pionowo niewielką walizkę w dozwolonych

przepisami rozmiarach, swój podręczny i zarazem jedyny bagaż, nie licząc przewieszanej przez ramię torby z laptopem. Wyciągnąwszy z ukrytej kieszeni walizki składaną rączkę, ruszyła w głąb długiego, znaczonego podświetlanymi informacjami korytarza. Dźwięk kółek włączył się w powszechny turkot bagaży toczących się posłusznie za swoimi właścicielami w kierunku zbawiennego wyjścia.

Pomimo nadchodzącego zmierzchu zza szklanych drzwi terminalu uderzyła ciepła fala pachnącego rozgrzany asfaltem powietrza. Eliza nie miała wątpliwości, że zgodnie z obietnicą Greta w umówionej sekcji parkingu będzie czekała podniszczona biała honda civic w wersji kombi. W odróżnieniu od Elizy Greta Phillips potrafiła skutecznie bronić się przed swym losem i pozostawała poza polem rażenia jego przewrotności. Drzwi od strony pasażera nie były zamknięte, kluczyki od samochodu i bilet parkingowy spoczywały pod wycieraczką. Umieściwszy walizkę na tylnym siedzeniu, Eliza przymocowała swoją towarzyszkę podróży pasem bezpieczeństwa i poklepała po bocznej kieszeni, rzucając zwyczajem Greta krótkie, pozytywne „No”.

Kiedy wreszcie wydobyła się z labiryntu rozjazdów oplatających rozległy obszar lotniska i wjechała na drogę szybkiego ruchu, słońce kryło się za horyzontem, zostawiając po sobie ulotną purpurową poświatę, którą wkrótce pochłonął nieubłagany zmrok. Wielopasmowa droga, wciąż pełna aut, jarząc się aż po horyzont czerwienią tylnych świateł pojazdów jadących przed Elizą i bielą reflektorów pojazdów zmierzających z przeciwnego kierunku, wyglądała teraz niczym świetlista polska flaga. Eliza zmieniła pas ruchu i znalazła się na obwodnicy Wilmington pozwalającej na poruszanie się z większą prędkością. „Witamy w Delaware” - zakomunikowała niebieska tablica umieszczona na pasie

rozdzielającym zjazdy, a slogan tego niewielkiego, ale za to najstarszego stanu dopowiadał, że dobrze jest być pierwszym.

Muzyka nadawana w lokalnej stacji nie przypadła Elizie do gustu, lecz przynajmniej pomagała jej odpędzić uczucie senności. Gdy oczekiwany drogowskaz wreszcie się ukazał, sprowadziła hondę łagodnym skrętem kierownicy w kierunku rampy i przedostała się na szosę, wzdłuż której podświetlane szyldy przydrożnych lokali nęciły luksusem, jakim w tych warunkach był kubek gorącej kawy. Pomimo zmęczenia Eliza postanowiła nie poddawać się tej pokusie. Po jakimś czasie skręciła w podrzędną drogę i plejada świateł ustąpiła miejsca gęstwinie liściastych zagajników. Eliza opuściła szyby i wyłączyła radio. Ciepłe, wilgotne powietrze wdarło się do wnętrza samochodu wraz z odgłosami wieczornego koncertu ostatnich już pewnie cykad tego lata.

Wkrótce po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać oświetlone domostwa. Eliza jechała teraz wystarczająco wolno, aby nie przeoczyć odblaskowej tabliczki z numerem domu, do którego zmierzała. Zgodnie z oczekiwaniem ujrzała ją za kolejnym łukiem. Na drodze nie było innych pojazdów, mimo to odruchowo włączyła kierunkowskaz i wjechała ostrożnie pomiędzy zarośla dawno nieprzycinanych krzewów. Opuszczone szyby i wieczorna cisza potęgowały chrzęst żwirowej dróżki pod oponami hondy. Zaparkowała ją tyłem do sporego murowanego budynku. Snop reflektorów zatrzymał się na ścianie mocno przerośniętych cyprysów. Wyszła z samochodu, nie wyłączwszy świateł. Dzięki nim było widać, jak dolne gałązki poruszyły się i po chwili wychynał z nich niewielki piesek. Zawarczał niepewnie, wykonując kilka kroków w jej kierunku.

- Murzynio! - zawołała, ucieszona jego obecnością.

Może na dźwięk własnego imienia, a może w poczuciu gospodarskiego obowiązku piesek zdecydował przyjąć gościa przyjaźnie.

Podszedł bliżej i Eliza pozwoliła mu dokładnie obwąchać drewniaki i brzeg nogawek swoich drelichowych spodni. Schyliła się, aby go pogłaskać.

- Już ide z latarko; czekaj, no - rozległ się kobiecy głos.

Czy to w mowie, czy w piśmie Greta nigdy nie miała respektu dla ogonków przy samogłoskach, zwłaszcza tych na końcu wyrazu. Jej duża postać wynurzyła się zza zarośli z dwoma rącznikami w drobne, kolorowe paski, przewieszonymi przez ramię, którego rozmiaru nie powstydziliby się dobry atleta. Oświetlając drogę turystyczną czołówką i pobrząkując pękiem kluczy, zbliżyła się do Elizy i ciągle obwąchującego ją Murzynia.

- Psa wyszłam zawołać do domu i zobaczyłam, że samochód podjeżdża, no. Myślałam, że może do Grześka czy Adama najpierw pojedziesz, to i światła nie zapalałam, no bo po co prąd marnować. Pewnie samolot się spóźnił, co? Zmęczona musisz być; łóżko już zrobione w gościnnym. Wszystko, o co prosiłaś, kupiłam za te pieniądze, co jeszcze zostały od zeszłego roku.

Ani dom brata w Filadelfii, ani mieszkanie przyjaciela w Nowym Jorku nie były punktem docelowym podróży Elizy. Jej zamiary miały zrealizować się tutaj, w tym szczególnym zakątku, do którego teraz przybyła. Tylko tu mogła ocalić od zapomnienia osobliwą historię jego mieszkańców i miała nadzieję zrobić to jeszcze przed zimą. Pomimo narzuconego sobie limitu czasu byłby to i tak jej najdłuższy pobyt w USA, od kiedy podjęła decyzję o pozostaniu w Polsce. Poprzednie wizyty dyktowało zawsze jakieś zdarzenie losowe. Tym razem dana jej była wolność wyboru i nie bez powodu zdecydowała się na jesień. Jeśli tęskniła jeszcze za czymś ze swojej

amerykańskiej przeszłości, to bez cienia wątpliwości była to niemożliwa do odtworzenia gdziekolwiek indziej na świecie atmosfera listopadowego Święta Dziękczynienia.

Greta pochyliła głowę, kierując strużkę światła latarki na swoje nienaturalnie wielkie palce, którymi jednak bez najmniejszego trudu wyczepiła z metalowego kółeczka dwa klucze i podała Elizie. Kobiety uściśniły się w milczeniu, a Eliza przełknęła łzy, których się nie spodziewała. Otarła oczy podwiniętym rękawem batystowej bluzki i uśmiechnęła się na znak, że już jej przeszło. Greta klepnęła ją po ramieniu na tyle delikatnie, na ile może to uczynić wielka dłoń.

- Zatelefonuj, gdybyś mnie potrzebowała. Znasz mój numer, no.

Słowa Greta przypomniały Elizie, aby wyjąć z samochodu walizkę. Przejęła ręczniki i podeszła do auta. Piesek podążył z nią.

- A co z Murzyniem?! - zawołała za odchodzącą już w kierunku ukrytego za cyprysami domku kobietą.

- Jak chcesz, to weź go do domu ze sobą. Dziewczynki mówio na niego Murphy, no. Musze wracać, bo pewnie tam szalejo w łózkach, zamiast spać.

Do głównego wejścia wiodła łagodna rampa z masywną metalową poręczą. Gdy Eliza mocowała się z niezbyt sprawnie funkcjonującym zamkiem, Murzynio - Murphy ustawił się tuż przy jej nogach. Drzwi zaskrzypiały swojsko przy otwieraniu. Piesek jednak nie wszedł do środka, obwąchał tylko próg i cofnąwszy się, odbiegł w stronę zarośli. Eliza przeciągnęła palcami po ścianie, szukając w ciemności włącznika światła. Zapaliły się latarenki na zewnątrz. Nacisnęła sąsiedni włącznik, oświetlając tym razem okazały przedsionek, zwany tu trochę staroświecko westybulem. Jego umeblowanie składało się z klasycznego wieszaka na płaszcze, kryształowego lustra w drewnianej ramie i

niewielkiego stolika, przy którym stało podniszczone krzesło z półokrągłym oparciem. Na podłodze z kamiennych płytek spoczywał niewielki dywanik w mocno spłowiałe już tureckie wzory.

Pierwsze drzwi po prawej stronie były lekko uchylone. Prowadziły do pokoju, który Greta nazwała gościnnym - dość dużego pomieszczenia z oknami wychodzącymi na cyprysowy gaj. Oświetlenie stanowiła popularna kombinacja lampy i wiatraka.

Jego skrzydła zakręciły się najpierw leniwie, lecz w chwilę później nabrały prędkości i zahuczały odgłosem wirującego trzmiela. Eliza położyła walizkę na pluszowej kanapie w kolorze wyblakłego różu. Czuła się zbyt zmęczona, aby zająć się rozpakowaniem, a przygotowany do nocnego wypoczynku dolny poziom piętrowego łóżka zapraszał do regenerującego snu.

Uchyliwszy jedno z okien, udała się do sąsiadującej z pokojem łazienki. Seledynowe mydło, niedawno chyba rozpakowane, napełniało to niewielkie pomieszczenie trochę zbyt intensywnym, lecz przyjemnym zapachem. Rozwiesiła przyniesione przez Gretę pasiaste ręczniki. Od suszenia na wietrze były szorstkie i nasycone świeżością. Na przytwierdzonym do drzwi haczyku wisiał szlafrok, który zostawiła tu w zeszłym roku. Tak jak ręczniki został niedawno wyprany i wysuszony niezawodnymi metodami Greta.

Pomimo szumu wiatraka i uszu ukrytych pod założonym na mokre włosy turbanem z ręcznika Eliza postąpiła do drzwi wejściowych. Podeszła do nich i wpuściła do środka czekającego za nimi Murzynia. Ten wskoczył na kanapę i ułożył się obok walizki z mordką na przednich łapkach, jak gdyby był do tego miejsca przyzwyczajony. Uczucie głodu dało o sobie znać nie mniej niż potrzeba spoczynku. Zасыpanie o pustym żołądku nigdy nie

przychodziło Elizie łatwo. Kromka chleba i szklanka mleka wydały się niekłopotliwym rozwiązaniem.

Wykończone lukiem przejście po przeciwnej stronie przedsionka prowadziło do jadalni, która dalej łączyła się z kuchnią. Za Elizą przydreptał Murzynio, najwyraźniej zwabiony odgłosem otwieranej lodówki. Zjadł ostrożnie, jakby przez grzeczność, położony mu na podłodze kawałek sera. Wrócili razem do gościnnego. Eliza wyłączyła lampę i z mokrymi jeszcze włosami wsunęła się pod świeżą pościel. Piesek bez zaproszenia wskoczył na łóżko i ułożył się w nogach. Dopiero w ciemności dotarło do Elizy, że poza stojącą pod jedną ze ścian serwantką w jadalni brakowało mebli. Przecież stał tam zawsze duży stół otoczony tuzinem jednakowych krzesel. Usnęła, odkładając na następny dzień dociekania, kto mógł je stamtąd zabrać.

Pokój gościnny mieścił się w północnej części budynku i poranne słońce nie zdołało przeszkodzić Elizie w nadrabianiu deficytu snu. Pewnie spałaby do południa, gdyby nie skomlenie psa. Gdy wypuściła go na zewnątrz, pobiegł natychmiast w kierunku cyprysów. Eliza pomaszerowała do kuchni i rozejrzała się po niej dokładnie - tym razem w dziennym świetle. Przykryty kolorową ceratą okrągły stół i cztery krzesła stały pośrodku lśniącej, winylowej podłogi. Okna nie były zasłonięte. Po nieznacznym śladach gąbki w narożnikach widać było, że niedawno zostały umyte. Na tarczy dziwaczego zegara w kształcie patelni widelec wskazywał dziewiątą, a nóż wydawał głośnie tykanie przy każdej upływającej minucie. Eliza podniosła słuchawkę zawieszoną na ścianie intensywnie pomarańczowego telefonu. Ciągły sygnał dawał znać, że aparat działał.

Przyrzuciła kawę rozpuszczalną, wybierając do tego celu ogromnych rozmiarów kubek z podobizną Kaczora Donalda. Przemierzyła raz jeszcze jadalnię, usiłując przywołać w

pamięci detale brakującego wyposażenia. Bez wątpienia był tu kiedyś stół na dwanaście osób, z krzesłami do kompletu. Przykryta białym ażurowym bieżnikiem podłużna serwantka z dwoma mosiężnymi świecznikami wyglądała teraz jak samotny ołtarz w opustoszałej kaplicy. Wystające ponad nią ze ściany dwa masywne gwoździe i jaśniejszy prostokątny ślad sugerowały, że w przeszłości wisiał tam okazałych rozmiarów obraz. Opuściwszy jadalnię, Eliza przerzuciła stertę listów, które gromadzono dla niej w wiklinowym koszyku umieszczonym na stoliku przy drzwiach prowadzących do salonu. W większości były to rachunki, które płaciła regularnie przez internet, więc wiedziała, że z niczym nie zalega.

Po śniadaniu zadzwoniła do Grety. Umówiły się, że wpadnie do niej za chwilę na drugą kawę. Murzynio czekał przed domem. Pewnie dobijał się do drzwi, gdy była w kuchni. Pogłaskała go i poszli razem w kierunku cyprysów. Za gajkiem droga odbiegała nieco w lewo, prowadząc do białego, niepozornie wyglądającego domku, przy którym na rozciągniętych między młodymi drzewkami sznurach suszyły się dziesiątki skarpetek i dwa wielkie biustonosze. Było to praktycznie miejsce bez adresu, na prawach letniej kuchni, z elektrycznością doprowadzoną z głównego budynku. Na zewnątrz sprawiał wrażenie prowizorki, jednak wewnątrz domku prezentowało się bardzo solidnie.

Eliza chętnie skorzystała z propozycji odwiedzenia każdego ze świeżo odnowionych pomieszczeń, trochę w nadziei, że ujrzy tam coś z brakującego wyposażenia jadalni. Dom umeblowany był jednak wyłącznie nowoczesnymi przedmiotami z Ikei, a na ścianach, poza kilkoma portretami córek Grety, nie było żadnych obrazów. Kobiety przeszły przez równie nowoczesnie urządzoną kuchnię na przylegającą do niej werandę. Osłonięta moskitierami przed natarczywością

owadów i ukryta pod parasolem starej mimozy, tworzyła atrakcyjne i praktyczne przedłużenie niewielkiego domku. Na obszernym stole ze szklanym blatem czekały już dwa kubki parującej zachęcająco kawy.

- Cieszę się, że mogę po polsku pogadać - zaczęła Greta. - Teraz już tu nikogo takiego nie ma, no. Dzieciaki uczyłam, ale one między sobą to tylko po angielsku gadają. Rozumieją, a jakże, ale mówić nie chcą. Czasem tylko jak o coś poproszą, to im nie dam, aż po polsku nie powiedzą. No wiesz, one cały dzień w szkole, a latem to na dworze latają albo idą do teściów. Chyba trzeba będzie ich na wakacje do Polski zacząć wysyłać, gdy podrosną, no.

- Chciałam podziękować za zakupy i samochód, i w ogóle, że przygotowaliście z Robertem dom na mój przyjazd. - Mówiąc to, Eliza włożyła w dużą dłoń swojej rozmówczyni dwa studolarowe banknoty.

- Oj, nie trzeba; my przecież za darmo tu siedzimy, a samochód to i tak po drodze mężowi było na lotnisko odstawić, bo w tamtą stronę akurat z teściem jechali - odpowiedziała Greta, lecz nie protestowała więcej, gdy Eliza zasugerowała, aby za te pieniądze kupiła coś dziewczynkom.

- Czy rozmawiałaś ze swoją rodziną na temat Świąt Dziękczynienia? - zmieniła temat po tym, jak studolarówki znalazły wreszcie miejsce tymczasowego spoczynku w kieszeni kolorowej podomki Grety.

- Zaraz jak tylko maila od ciebie dostałam. No pewnie, że przyjdziemy. Ja tobie pomogę wszystko przygotować. Fajnie będzie, no. Szkoda może tylko, że twój brat sprzedał stół i krzesła. Przydałyby się na świąteczny obiad. Czy już zaprosiłaś Grześka i Adama? A te ciotki z Polski przyjadą?

- Grzegorz sprzedał meble wuja Henryka?! - wykrzyknęła Eliza, ignorując całkowicie dociekania Grety.

Dowiedziała się, że na zlecenie jej brata w zeszłym miesiącu stół i krzesła zostały zabrane przez niejakiego Larry'ego Harrisa, który ma „na krzyżówce” sklep z antykami oraz różnymi starociami, co do rangi antyku jeszcze nie dojrzały.

To, co Greta nazywała „krzyżówką”, było odległą o jakieś dwie mile małą osadą u zbiegu dróg. Oprócz biznesu Harrisa znajdowała się tam stacja benzynowa z podręcznym sklepikiem, niewielka pizzeria oraz dwa kościółki - każdy należący do wiernych innego wyznania i każdy w sąsiedztwie własnego niewielkiego cmentarza. W sezonie dochodził do tego jeszcze przydrożny stragan, gdzie stary farmer sprzedawał to, co urosło na jego ziemi.

Eliza udała się na krzyżówkę zaraz po rozmowie z Gretą. Po obu stronach magazynu Harris Antiques porozstawiane były zdekompletowane zestawy drewnianych mebli ogrodowych i wielkie, nieprzyzwoicie jaskrawe figury krasnali. Zaparkowała wśród nich samochód i weszła do sklepu. Zajęło jej chwilę, zanim przyzwyczała wzrok do panującego tam mroku. W smugach wpadającego przez małe okienka światła tańczyły połyskujące drobinki kurzu. Paru przejezdnych, powracających zapewne z urlopu nad zatoką lub oceanem, kręciło się między bezładnie poustawianymi meblami, lampami oraz opartymi tu i ówdzie o ściany obrazami i lustrami. Asystujący im wysoki mężczyzna w dzinsach i kraciastej koszuli z podwiniętymi rękawami stał zwrócony plecami i Eliza nie widziała jego twarzy. Przyglądała się za to jego nieco już posiwiałym włosom. Misternie spleciony warkoczyk, w który ujęty został kosmyk, zapewne specjalnie w tym celu pozostawiony na karku, wprowadzał niespodziewany element ekstrawagancji do klasycznej skądinąd powierzchowności.

- Pan Harris? - zapytała, podchodząc bliżej.

Odwrócił się zaskoczony. Pochłonięty rozmową z klientami musiał nie zauważyć, kiedy weszła.

- Interesuje mnie pewna transakcja sprzed miesiąca. Dotyczyła zakupu stołu i dwunastu krzeseł - oznajmiła.

- Czy jest pani z urzędu skarbowego i coś było nie w porządku? - zapytał.

- Przepraszam za zbytnią formalność - roześmiała się.

Odszedł na chwilę, bo turyści czekali już przy kasie, gotowi sfinalizować zakup czterech pomalowanych na biało wiklinowych stołków. Gdy wrócił do niej po chwili, wyciągnęła rękę na przywitanie.

- Eliza Mazurek - przedstawiła się.

- Wiem - odrzekł Larry Harris i przytrzymując jej dłoń, spytał, czy może zwracać się do niej po imieniu. - Żartowałem z tym urzędem skarbowym - kontynuował po uzyskaniu zgody. - Pomijając wszystko inne, kontrolerzy nie są na ogół tak ładni. Gregory mówił mi, że się tu wybierasz. Co u niego?

Eliza milczała przez moment zaskoczona nie tyle śmiałością komplementu, ile faktem, że właścicielowi Harris Antiques wiadomo było o jej przyjeździe. Wysunęła delikatnie dłoń z uścisku, zatrzymując wzrok na twarzy swojego rozmówcy. Wyłapała w jego spojrzeniu zielononiebieską iskierkę zaciekawienia.

- Nie wiem, mam zamiar odwiedzić brata dopiero za tydzień - odpowiedziała, szybko opanowując zmieszanie. - Podobno jesteś w posiadaniu mebli z mojej jadalni, a może nawet i paru obrazów - dodała zaraz, aby nie oddalić się od sedna sprawy, która ją tu przywiodła.

- Twoich mebli? - zdziwił się. - Myślałem, że były własnością Grega.

Nie wiedział jednak nic o obrazach.

- To nieistotne. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy ciągle jeszcze je masz - odpowiedziała z wyczuwalnym

zniecierpliwieniem, którego nie udało się ukryć pod płaszczykiem kurtuazji.

Larry Harris ponownie ujął jej rękę i nie pytając o zgodę, bez słowa poprowadził w kierunku przejścia zasłoniętego winylową kotarą. Weszli do sąsiedniego pomieszczenia - obszernej przybudówki, która w odróżnieniu od sklepu tonącego w mroku była polna dziennego światła wpadającego przez cztery duże okna. Każde z nich zostało uchylone, a mimo to w powietrzu unosił się intensywny zapach farby i politory. Na szerokiej ławie leżały szlifierki, maski przeciwpyłowe, okulary ochronne, gąbki, szmaty i sterty papieru ściernego. Larry zdjął z wieszaka duży fartuch ochronny z wyszytą na górnej kieszonce nazwą firmy i podał go Elizie. Założyła posłusznie, nie chcąc pobrudzić ubrania farbą świeżo malowanych szafek, między którymi mieli się przeciskać w drugi koniec pomieszczenia. Z daleka wypatrzyła znajomy kształt. Stół wydawał się znacznie ciemniejszy i bardziej lśniący od połysku nowej politory. Podeszła ostrożnie, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, Larry poinformował z odczuwalnym zakłopotaniem, że meble zostały już sprzedane i czekają na odbiór przez nowego właściciela. Eliza spojrzała z niedowierzaniem. Zaprowadził ją do przyległego kantorka i podszedł do stojącego na wielkim dębowym biurku komputera. Wykonawszy kilka operacji, wyświetlił pokwitowanie transakcji na tysiąc osiemset dolarów.

- Wzięłaś zaliczkę? - zapytała.

- Nie, nie mam takiego zwyczaju - odpowiedział, mierząc ją swoim zielononiebieskim spojrzeniem. - Do twarzy ci w moim fartuchu - dorzucił z uśmiechem, który trwał jakiś czas w kącikach jego ust.

Eliza tym razem nie poddała się jego komplementowi. Ogarnęło ją znajome, niezbyt przyjemne uczucie, że znów coś

niespodziewanie umknęło jej w życiu. Jeśli niekiedy doznawała potrzeby udowodnienia losowi, że jego zrządzenia podlegały odwróceniu, to był to właśnie ten moment. Stół i krzesła nabrały nagle nieopisanej wagi jakichś symbolicznych drzwi, co jeszcze mogły stanąć przed nią otworem. Poczła niepohamowaną potrzebę postawienia stopy pomiędzy próg a te drzwi, nawet gdyby miały ją one boleśnie przytrzasnąć.

- Gdzie są krzesła? - spytała prawie z przerażeniem. Larry uspokoił ją, zapewniając, że ciągle ma je w magazynku, też już odnowione. - Dostaniesz ode mnie dwa - dodała po chwili.

- Jakie dwa?

- Tysiące. Zapłacę dwa tysiące dolarów.

- Zobaczą, co się da zrobić, ale to nie jest takie proste, Eliza. Mam umowę z klientami na odnowienie i sprzedaż tych mebli. Teoretycznie mogą wystąpić do sądu o nakaz wykonania transakcji.

- Tak? A co będzie, jak ja podam do sądu i ciebie, i Grega za te machlojki za moimi plecami? Muszę napisać maila do tego nieodpowiedzialnego osła, a nie mam jeszcze internetu. Czy mogę skorzystać z twojego?

- Jak najbardziej - powiedział i oddalił się w kierunku sklepu zaskoczony, a może nawet urażony jej agresywną reakcją.

Eliza zajęła miejsce w obszernym fotelu. Pokwitowanie sprzedaży mebli wciąż widniało na ekranie. Spisała nazwisko oraz numer telefonu klienta i zamknęła okienko. Weszła na skrzynkę pocztową, wpisała swój login i hasło. Czekając na nią kilka nowych wiadomości. List od brata wysłany został w dniu jej wylotu z Polski. Grzegorz chciał wiedzieć, czy kupiła już bilet. Informował też, że jak to wcześniej uzgodnili - upłynął stary radioadapter z salonu, co mu nawet dość sprawnie poszło, jako że jego znajomy, Larry Harris, prowadzi magazyn antyków. Na końcu wspomniał, że Larry miał kupca

na stół z krzesłami i przyzwoicie za nie zapłacił, a pieniądze przydały się na wymianę zepsutej klimatyzacji. Odpisała krótko, że już jest na miejscu, i poprosiła, aby zadzwonił do niej wieczorem.

Skończywszy, Eliza podniosła słuchawkę, i upewniając się, że Larry nadal jest w sklepie, wykręciła numer klienta.

- Dzwonię z magazynu Harris Antiques - zakomunikowała, gdy telefon odebrała kobieta o przyjemnej dla ucha tonacji głosu. - Niezmiernie mi przykro, ale z przyczyn od nas niezależnych nie będziemy mogli zrealizować pani zamówienia.

- Tak, już wiem - przerwała kobieta - pan Harris właśnie przed chwilą dzwonił do mnie w tej sprawie. Jak mówiłam, weźmiemy w takim razie ten mahoniowy stół, który nie był na naszą kieszeń. To bardzo ładnie z waszej strony, że oferujecie go nam w tej sytuacji z tak dużą zniżką. Czy moglibyśmy przyjechać po niego jutro?

- Będziemy państwa oczekiwać - odpowiedziała z profesjonalną uprzejmością i odłożyła słuchawkę.

Larry wrócił po chwili na zaplecze i zastał Elizę z twarzą ukrytą w dłoniach. Trwała w tej pozycji zaskoczona i zaniepokojona łatwością, z jaką przyszło jej zrealizować szalony pomysł.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Pokiwała głową i podniosła się z fotela, wsuwając dłoń do kieszeni fartucha. Wyciągnęła z niej otwartą paczkę marlboro lights i niewielką zapalniczkę. - Palę czasami, ale nie w budynku - uprzedził odpowiedzią niezadane jeszcze pytanie, przejąwszy z jej rąk fartuch i zawartość kieszeni.

Przechodząc przez warsztat, a następnie przez magazyn, wyszli na zewnątrz. Wiatr od zatoki niósł w głąb lądu zapach morskiego powietrza. Larry przypalił papierosa, osłaniając płomień od wilgotnego podmuchu łódeczką z dłoni. Eliza

spojrzała na jego palce i zdała sobie sprawę, że zrobiła to, by sprawdzić, czy Larry ma obrączkę. Nie miał. Była zła na siebie za ten naiwny odruch.

- Udało mi się nakłonić klientkę do zmiany zamówienia - oświadczył sucho. - Przywiozę stół i krzesła jutro po zamknięciu sklepu, około piątej po południu. Będiesz w domu?

Skinęła głową i rzuciwszy nieśmiało podziękowanie, zapewniła, że przygotuje pieniądze.

Pomimo sukcesu w odzyskaniu mebli odjechała z poczuciem pogwałcenia swoich zasad etycznych. Potrzebowała spędzić resztę dnia na jakimś uczciwym odreagowaniu. Wypad na zakupy zdecydowanie mieścił się w tej kategorii. Udała się w kierunku, z którego przybyła wczoraj wieczorem, nie pojechała jednak główną drogą, lecz została na starej szosie, absorbując wszystkimi zmysłami sielskość pejzaży - wykoszone łąki, łąny dorodnej kukurydzy i stare zagajniki. Potrzebowała tego do osadzenia nieprzyjemnego fermentu, który wciąż jeszcze trawił jej sumienie.

Na przedmieściach Dover, stołecznego miasta stanu Delaware, ukazały się szare prostopadłościowe budynki galerii. Ich kuszące chłodem wnętrza dostarczyły przyjemnego komfortu i stanowiły odskocznnię od stresujących wydarzeń ostatnich godzin. W małej kawiarence Eliza zamówiła kanapkę z sałatką z tuńczyka. Choć wydała się jej niedostatecznie przyprawiona, wmówiła sobie całkowite usatysfakcjonowanie posiłkiem i zajęła się listą zakupów oraz rzeczy do załatwienia: telefon komórkowy z abonamentem na trzy miesiące, zapas bielizny, adidas, dwie pary dżinsów, kilka bluzek, satynowa serweta w największym dostępnym rozmiarze, wielkie zakupy spożywcze, dwie duże butelki australijskiego czerwonego wina, mata do ćwiczeń, paczka

psich smakołyków dla Murzynia, obiad na wynos z hinduskiej jadłodajni i pobranie gotówki z banku.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy obciążona sprawunkami honda zajechała na podwórze. Rozpakowując zakupy, Eliza nasłuchiwała dzwonka pomarańczowego aparatu. Nie mniej niż telefonu od brata oczekiwała wiadomości od Larry'ego. Wydało się jej nieprawdopodobne, aby nie dowiedział się o jej wyczynie. Otworzywszy najpierw kuchenne okno, usadowiła się na brzegu rampy przed domem z miseczką podgrzanej w mikrofalówce aromatycznej hinduskiej potrawy i szklaneczką merlota. Delektując się egzotyką wschodnich przypraw, kontemplowała różne warianty odpowiedzi na spodziewane zarzuty.

Ukończywszy posiłek, wróciła do kuchni i gdy myła wciąż pachnącą szafranem miseczkę, za jej plecami rozległ się przeraźliwie głośny dzwonek zawieszzonego na ścianie telefonu. Wytarła pobieżnie ręce ścierką i wilgotną jeszcze dłonią podniosła z widełek jaskrawą słuchawkę.

- Jesteś nareszcie, siostrze! Witaj w kraju gorszego Boga! Tyle godzin w objęciach fotela lotniczego! Jak to zniosłaś?

Głos Grzegorza brzmiał, jak zawsze, młodzieńczo i optymistycznie, ale dało się usłyszeć typową dla niego nutkę sarkazmu. Nim Eliza zakończyła relację z podróży i sytuacji w „kraju lepszego Boga”, z którego przybyła, zupełnie straciła ochotę udowodnienia bratu, że zachował się jak skończony osioł. Skoro meble miały jutro wrócić na miejsce, uznała za niepotrzebne wałkowanie tego, co się zdarzyło. Poza tym ogarnęło ją pragnienie wyniesienia z tej chwili rozmowy czegoś ciepłego i rodzinnego. Oprócz Grzegorza i jego dzieci oraz ciotki Fredy nie miała przecież już żadnych innych krewnych.

- Czy zostawiłeś dla mnie notatnik ojca? - zapytała.

- Tak, jest w szufladzie jego biurka.

- Dziękuję, Grzesiu. Cieszę się, że wkrótce się zobaczymy. Uściskaj Barbarę i dzieciaki.

Spojrzała na zegarek - dochodziła dziesiąta. Pewna, że Larry już o tej porze nie zadzwoni, zawołała do domu Murzynia i wkrótce oboje ułożyli się do snu.

Sobotniemu porankowi asystowały sine, wolno przepływające chmury. Niskie ciśnienie sprzyjało uczuciu senności, bo Eliza obudziła się dopiero około dziewiątej, i to słysząc skomlącego pod drzwiami psa. Wstała szybko i wypuściła go na podwórze. Musiał jedynie załatwić swoje potrzeby, bo za kilka minut dobijał się już do wejścia. Podreptał za nią do kuchni, słusznie przewidując, że będzie tam serwowane śniadanie.

Zakończywszy rozmowę telefoniczną z firmą od serwisu internetowego, Eliza wsunęła bose stopy w stojące pod oknem drewniaki, gotowa wyjść na zewnątrz, aby poszukać nożyc ogrodniczych i zająć się przystrzyżeniem wybujałych gałązek wzdłuż alejki dojazdowej. Kilka dużych kropel stoczyło się po szybie i rozlało w strużki wody. Za nimi podążyły następne - liczniejsze i jeszcze drobniejsze. Strzyżenie krzaków trzeba było odłożyć na później. Murzynio musiał przeczuć nadchodzący deszcz i nie bez racji tak szybko wrócił do domu. Podreptał za Elizą do przestronnego salonu ze spadzistym sufitem, do którego światło dzienne wpadało jedynie poprzez dużą, umieszczoną w suficie szybę. W odróżnieniu od jadalni salon był kompletnie umeblowany. Gruby dywan w kolorze czerwonego wina na mocno wylakierowanej dębowej podłodze, okazała biblioteczka i pachnący osmalonym drewnem kominek przydawały temu miejscu charakteru zamożnego domostwa z ubiegłej epoki.

Eliza rozejrzała się wokoło z pozycji centralnie usytuowanej skórzanej kanapy okrytej szydełkową narzutą z różnokolorowych kwadracików połączonych ze sobą

przypadkowo, bez żadnego szczególnego wzoru. Pokój nie miał górnego oświetlenia, a jedynie ozdobne, ściennie kinkiety i stojącą przy kanapie masywną lampę abażurem. Resztę wyposażenia stanowiły ustawione tu i ówdzie niewielkie stoliki i dwie palmy daktylowe na niskich podstawkach. Salon był zdecydowanie centralnym punktem, z którego można było wejść wprost do kuchni oraz czterech osobnych pomieszczeń, tradycyjnie nazywanych tu aneksami. Eliza położyła dłoń na chromowanej klamce jednego z nich. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem zawiasów. Uderzył sosnowy zapach płynu do czyszczenia parkietów. Zastłonięte okna i pochmurna pogoda sprawiały, że wszystko tonęło w półmroku, lecz wkrótce spomiędzy żaluzji poczęły przenikać mdłe promyki walczącego z warstwą chmur słońca. Otwarte drzwi wiodły do łazienki. Była sterylnie czysta. Gdyby nie przebrzmiały już styl urządzeń sanitarnych, można by pomyśleć, że dopiero co zostały zainstalowane. Słońce oświetlało pokój coraz jaśniej. Eliza podniosła żaluzje. Na parapecie leżał drewniany nożyk do rozcinania kopert z wyrzeźbionym wizerunkiem orlej głowy.

Zdawało się, że deszczowe chmury odpływają na dobre i że nic nie stało na przeszkodzie, aby zająć się krzakami zaraz po lunchu. Eliza zrobiła sobie dwie kanapki z szynką. Pasowałyby do nich świeże pomidory. Miała kupić je w drodze do domu, lecz wyjeżdżała z Harris Antiques z myślami zbyt rozproszonymi, by móc zauważyć, czy stragan z warzywami jeszcze istniał. Uśmiechnęła się na wspomnienie starego farmera, co kładł papierową torbę z pomidorami na szalce swojej szerokiej dłoni i unosił ją wolniutko to w górę, to w dół, po czym ogłaszał cenę. Nazwała go wtedy w myśli „człowiekiem wagą”.

Z sekatorem i niewielką taczka Eliza udała się na koniec alejki, gdzie stała dość sfatygowana skrzynka na listy

oznaczona odblaskowym numerem domu. Chyba zbyt mocno pociągnęła zardzewiałe drzwiczki, bo spadły z zawiasów, a skrzynka pochyliła się ku przodowi, uwalniając ze swego wnętrza kolorowe broszury i gazetki, które natychmiast porwał podmuch przejeżdżającego obok samochodu. Elizie udało się złapać zaledwie kilka. Rzuciwszy jakieś typowe przekleństwo, wcisnęła złapane ulotki do kieszeni. Naprostowała nieco słupek, zostawiając na ziemi popsute drzwiczki. Będzie musiała wynająć kogoś, żeby wymienił całą konstrukcję. Postanowiła porozmawiać o tym z Gretą.

Ręczne obcinanie gałązek było zajęciem dużo trudniejszym, niż myślała. Wróciła do domu i zanim zajęła się gotowaniem, zadzwoniła do agenta sprzedaży nieruchomości, którego wizytówkę zostawił Grzegorz. Umówili się, że przyjdzie obejrzeć dom po południu.

Sporządzenie gulaszu było zawsze istotnym elementem przygotowań Elizy do intensywnej pracy. Jako potrawa treściwa i łatwa do odgrzania miała stanowić główny posiłek na parę kolejnych dni. Wyciąg nad kuchenką wydawał dźwięk godny startującego odrzutowca i pewnie dlatego, mimo otwartego okna, Eliza nie usłyszała odgłosu pojazdu parkującego przed domem. Dopiero gdy Murzynio zjeżył się i zawarczał, odwróciła głowę i ujrzała niewielką ciężarówkę z napisem „Harris Antiques”. Zdjęła fartuch i odruchowo przeciągnawszy ręką po rozwichrzonych włosach, choć próba poprawienia fryzury była z góry skazana na niepowodzenie, wyszła na zewnątrz. Larry ustawiał samochód tyłem do wejścia. Ciemnoskóry chłopak zeskoczył z siedzenia pasażera natychmiast po zakończeniu manewru. Przedstawivszy się imieniem Marcus, otworzył tylne drzwi. Larry wyszedł z kabiny, rzucił krótkie pozdrowienie i zabrał się do wyładunku w asyście swojego pomocnika. Ustawili stół w jadalni i na prośbę Elizy rozsunęli go do maksymalnej długości. Gdy

mężczyźni pojechali po resztę mebli, Eliza rozesała nowo nabytą serwetę. Pasowała idealnie.

Krzesła zostały dostarczone dopiero po godzinie. Tym razem Larry przyjechał sam.

- Za to, że tak niezręcznie z tym wszystkim wyszło - oświadczył, ustawiając na stole wazon z kolorowego szkła wypełniony bukietem herbacianych róż. - Dasz się zaprosić na kolację dziś wieczorem? Wbrew pozorom w okolicy jest kilka naprawdę ciekawych miejsc - zaśmiał się.

- Dziękuję, to naprawdę bardzo miło - wybąkała. - Doprawdy, nie musisz tego robić - odpowiedziała z większą już swobodą.

Chyba wreszcie skwitowaliśmy to całe nieporozumienie. Poza tym zaplanowałam coś na dziś wieczór i muszę być w domu.

- Jesteś umówiona? - zapytał.

- Można to tak nazwać - uśmiechnęła się trochę tajemniczo.

- Rozumiem. No cóż, może kiedyś, przy innej okazji...

Podala mu przygotowane dwa tysiące. Odliczył tylko tyle, ile zapłacił Grześkowi, a resztę banknotów położył na stole. Nie zaprotestowała. Odszedł prędko, życząc jej miłego wieczoru.

Wróciła do kuchni, żeby zamieszać gulasz. Zaczynał już lekko przywierać do dna saganka. Zdecydowała o odwołaniu agenta od nieruchomości. Sprzedaż domu była pomysłem Grzegorza. Pomimo aprobaty ciotki Fredy Eliza nie miała stuprocentowego przekonania do tego planu.

Bezchmurne niebo wrześnieowego poranka wydawało się dobrym zwiastunem pogodnej niedzieli. Eliza wypuściła na dwór psa i wciąż jeszcze w piżamie usiadła z kubkiem kawy na brzegu rampy przed domem. Tu i ówdzie kwitły nagietki powleczone siatką pajęczyny pobłyskującej w słońcu

kropelkami osadzonej na niej rosy. W atmosferę porannej błogości poczęło nieprzyjemnie wdzierać się odczucie podobne do wyrzutów sumienia. Raz po raz powracała myśl, że może niezbyt grzecznie, zbyt pochopnie, a nade wszystko zupełnie niepotrzebnie odprawiła Larry'ego Harrisa. Mogła przynajmniej zaproponować mu coś do picia. Ciekawa była, do której restauracji chciał ją zabrać. Siateczka wilgotnej pajęczyny zadrgała lekko pod ciężarem nieuważnego owada zwabionego zdradliwym zapachem późnoletnich kwiatów.

Z pustym kubkiem oraz postanowieniem nabycia stolika, przy którym mogłaby pracować na zewnątrz, Eliza niechętnie opuściła swoje poranne sanktuarium i wróciła do kuchni. Pomyślała o zdekompletowanych zestawach mebli ogrodowych poustawianych wokół sklepu Larry'ego. Z magnetycznego biletu wizytowego przyczepionego do drzwi lodówki wynikało, że magazyn Harris Antiques powinien być otwarty w niedzielę od dwunastej do szesnastej. I tak miała w planie wybrać się nad ocean. Nic więc nie stało na przeszkodzie, aby obejrzała te meble w drodze powrotnej. Opędziła się od myśli, że podświadomie szuka pretekstu do złożenia wizyty Larry'emu.

Włączyła stojące na lodówce niewielkie radio i wysłuchawszy półgodzinnej mszy, wstała od stołu z poczuciem spełnienia obowiązku duchowego. Jednak dopiero później, w wolnym od słów nabożeństwie z bezmiarem wody huczącej potężnymi falami i ogromem zawieszzonego nad głową nieba raz po raz przecinanego lotem pokrzykującego ptactwa, poczuła się w pełni zaspokojona. Nie przeszkadzały jej w tym grupki wrześniejących plażowiczów i wędkarzy. Idąc bospo brzegiem oceanu, była w stanie całkowicie pominąć ich obecność, wymazać ją niemal z pola widzenia. Pozwalała słonej wodzie moczyć brzegi podwiniętych nogawek, a pachnącym wodorostami rozpylonym kropelkom sponad

grzbietów fal dosięgać jej nozdrzy. Ogarnęło ją uczucie pokory przed ogromem wody, na której drugim brzegu był już inny kontynent. Była to szczególna chwila - chwila, w której czuła, że przynależała jednocześnie i tu, i tam.

Gdy zatrzymała się przy Harris Antiques, mankiety jej spodni były wciąż mokre i zgniecione. Stojąc przy samochodzie, starała się oczyścić je z wilgotnych ziarenek morskiego piasku. Nie zauważyła, kiedy pojawiła się przy niej młoda Murzynka z mnóstwem cienkich, ale za to ciasno splecionych i okrywających całą głowę warkoczyków. Z przypiętej do granatowego fartucha wizytówki wynikało, że miała na imię Nicole. Pomogła Elizie w wyborze i zapakowaniu do hondy pomalowanego na biało drewnianego stolika i dwóch wyłożonych kolorowymi poduszkami fotelików. Gdy Eliza podążyła za Nicole do sklepu, aby opłacić nabytek, doznała dotkliwego zawodu, że za ladą nie zastała Larry'ego i usprawiedliwiła przed sobą to odczucie utratą dobrej okazji do przeproszenia go za niegościnne zachowanie.

Z przysklepowego warsztatu dochodziły odgłosy szlifierki. Zbliżyła się do przejścia prowadzącego na zaplecze pod pretekstem oglądania stojących na podłodze i opartych o ścianę obrazów. Szlifierka wciąż pracowała z krótkimi przerwami. Eliza pomyślała, że do jadalni naprawdę potrzebny byłby obraz, i zaczęła dokładniej przypatrywać się prezentowanej kolekcji. Spodobał się jej jesienny pejzaż z bażantami w locie, oprawiony w klasyczną drewnianą ramę. Chętniej widziałaby go jednak w bardziej ozdobnej oprawie, więc zagadnęła o to Nicole. Ta zaraz podniosła słuchawkę telefonu. Odgłos szlifierki na zapleczu ustał, gdy wystukała numer.

- Klientka chciałaby dokonać wymiany ramy. Czy mógłbyś jej w tym pomóc? - zapytała swego rozmówcę.

Wisząca w przejściu winylowa kotara poruszyła się, lecz ku zaskoczeniu Elizy, zamiast Larry'ego, pojawił się pokryty pyłem Marcus. Ucieszył się, że przyjechała po nowe zakupy, i obiecał wymienić ramę zgodnie z życzeniem. Zapewnił, że dadzą Elizie znać, gdy obraz będzie gotowy do odbioru, więc podziękowała i skierowała się ku wyjściu.

- Nicole - zagadnęła sprzedawczynię, przechodząc obok kasy - przepraszam za śmiałość, ale jestem ogromnie ciekawa, czy takie warkoczyki rozplata się i zaplata ponownie przy każdym myciu włosów?

- Na szczęście nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała, odruchowo gładząc swoją misterną fryzurę. - Podobają się? Mogę pani pozapłatać.

- Pomyślę o tym - odpowiedziała Eliza z uśmiechem.

Po powrocie do domu otrzymała telefon od Adama. Dowiedział się od Greta o jej przyjeździe. Podziękowawszy za urodzinową kartkę, którą Eliza wysłała mu przed wyjazdem, spytał, czy miała czas doszlifować jego historię.

- Wyobraź sobie, że na lotnisku przyszedł mi do głowy pewien pomysł i w czasie lotu zmieniłam całkowicie formę opowiadania - odpowiedziała.

- Prześlij mi je, jak tylko podłączysz internet - poprosił. Uświadomiła sobie, że dokładnie za miesiąc minie siedemnaście lat od wyjazdu jej przyjaciela do USA. Była wtedy trzydziestolatką. W tym wieku nie określa się jeszcze niezamężnych kobiet jako samotne. Dzisiaj zdecydowanie należała już do tej kategorii.

Niedzielne popołudnie było ciepłe i bezwietrzne. Eliza rozłożyła się z laptopem na ustawionym przed domem nowo nabytym stoliku. Murzynio obwąchał nogi stołu i przez moment wyglądało na to, że miał ochotę przypieczętować własność psim zwyczajem. Odwiodła go od tego zamiaru, prowokując krótki spacer wokół domu, uniósł więc tylną łapę

nad kępką nagietków. Tuż przed wyjściem z pralni, w pobliżu pogrążonych już prawie w dżungli chwastów sznurów do suszenia bielizny, Eliza spostrzegła niewielki zagonek. Spomiędzy wybijającej lebiody wyglądały liście pietruszki, bazylii i mięty, a górą przebijały się rozłożyste kwiaty kopru. Ucieszyła się z tego odkrycia. Zniosła do kuchni ziołowy bukiet i ustawiła na parapecie okna w słoiczku z wodą.

Wróciwszy do swojego nowego miejsca pracy, poddała się przyjaznym objęciom fotelika z kolorową poduchą. Gdy kończyła pisanie, na dworze zaczęło się robić szaro. Zamknęła laptopa. Gdzieś od szosy doszedł ją odgłos piły elektrycznej. Zawołała Murzynia i poszli razem zwirową alejką w tamtym kierunku. Przy wjeździe stała znana jej niewielka ciężarówka Larry'ego, a on sam wsiadał właśnie do szoferki.

- Czy coś się stało? - zapytała.

Najwyraźniej zaskoczyła go, a może nawet i przestraszyła, wychodząc niespodziewanie z ciemności alejki.

- Nie, nie - zaczął. - Przepraszam, powinienem był uprzedzić, ale myślałem, że masz gościa, i nie chciałem przeszkadzać.

- Nic nie szkodzi, ale co tu w ogóle robisz?

Dopiero teraz zauważyła brak jakichkolwiek śladów po jej przydrożnej skrzynce na listy.

- Greta zatrudniła mnie do wymiany skrzynki. Mam nadzieję, że tym razem stało się to za twoją zgodą - dodał po chwili z zaczajonym w kącikach ust uśmiechkiem.

Eliza pomyślała, że mógł darować sobie sarkazm. Odwzajemniła jednak uśmiech i skinęła głową w potwierdzeniu.

- Nie wiedziałam, że się tym zajmujesz - zdziwiła się. - Proszę, zostaw mi rachunek. Zapłacę, gdy przyjadę w przyszłym tygodniu po odbiór obrazu. Marcus powiedział, że da mi znać, gdy będzie gotowy.

- Jutro z rana przywiozę nową skrzynkę i zamontuję ją, zanim zaczną rozwozić pocztę - poinformował Larry, zapinając pasy bezpieczeństwa.

Pomimo półmroku Eliza wiedziała, że z wysokości fotela ciężarówki mierzył wzrokiem jej sylwetkę i - sama tym faktem zaskoczona - nie miała nic przeciw temu.

Rozdział II

Umieralnia

Murzynio poczłapał za Elizą do salonu i choć bacznie ją obserwował, nie podążył za nią, kiedy weszła do pokoju Waldemara. Lampa na suficie nie miała klosza i cztery nieosłonięte żarówki świeciły jaskrawo we wszystkich kierunkach, eksponując pełne umeblowanie pokoju, w którym nic nie przybyło ani nie ubyło od czasu ostatniej wizyty Elizy. Dwa jednoosobowe łóżka zasłane były równiutko brązowymi narzutami, których kolor pasował do satynowych zasłon. Nie było nawet czuć typowego dla niezamieszkanego pomieszczenia zaduchu, a jedynie znajomy zapach płynu do mycia podłóg. Greta musiała niedawno odświeżyć parkiety z użyciem swojego ulubionego środka, który zresztą stosowała niemal do wszystkiego.

Eliza zasiadła przy niewielkim biurku. Wiedziała, że znajdzie tam notatnik swojego ojca. Wyjęła zeszyt z szuflady. Nie doznała tym razem tylu emocji, jak wtedy, gdy otwierała pamiętnik Adama. Powodowały ją jedynie ciekawość i nadzieja znalezienia potrzebnych jej informacji. Może wypracowała już w sobie rodzaj zawodowej odporności, a może wciąż utrzymywała jeszcze ten sam profilaktyczny dystans, który za życia Waldemara umożliwiał im chłodne, lecz cywilizowane poprawne rodzinne układy. Przerzuciła kilka zapisanych ołówkiem kartek, zanim znalazła to, czego szukała:

Helen Wilczek: lat 76, wdowa, gospodyni domowa, bardzo dobra w tej roli, świetnie gotuje, odcytana, inteligentna i towarzyska. Religijna, ale bez przesady. Fizycznie i umysłowo bardzo sprawna jak na swój wiek (sześć lat starsza ode mnie, ale mam odczucie, że przeżyje mnie z nawiązką). Nie prowadzi samochodu. Posiada mieszkanie w Nowym

Jorku, emeryturę po mężu i oszczędności. Bardzo dobra kandydatka.

Pozytywna ocena kandydatury bynajmniej nie zdziwiła Elizy. Poznała Helenkę przed laty na weselu Adama i Marleny. Osobowość i inteligencja Helen, chociaż chowane ostrożnie w zanadrzu naturalnej skromności, dawały o sobie znać już przy pierwszej rozmowie.

Gdyby nawet Waldemar nie wymienił imienia i nazwiska kolejnego kandydata i natury jego powinowactwa, Eliza nie miałaby wątpliwości, że następna notatka odnosiła się do wuja Henryka.

Henry Grodzki: zupełnie nieszkodliwy, bo tolerancyjny w stosunku do postronnych, ekstremalny pedant i niezrozumiałe pobożny agnostyk. Lubi gotować, sprzątać, uprawiać ogródek, zwiedzać ciekawe miejsca. Posiada dom i samochód. Generalnie zgodny, przyjazny, dobrze sytuowany. Teoretycznie żonaty, ale praktycznie pozostający od dawna w transoceanicznej separacji z swoją siostrą Fredą. Bezdzienny, emerytowany architekt, lat 70 (mój rówieśnik). Ogólnie dobry kandydat.

Przeskoczyła kilka stron, zauważywszy, że opisywały nieznane jej zupełnie osoby i zatrzymała się przy opisie ostatniej kandydatury.

Regina Rawicz: wdowa, była właścicielka kwaciarni, 74 lata. Jest dość słabego zdrowia, lecz nie wymaga opieki. Zdolności kulinarne niesprawdzone. Schludna, dość ekscentryczna w ubiorze i zachowaniu, ale w rozsądnych granicach. Chodzi do kościoła. Ma dwoje dzieci i jednego wnuka. Dysponuje oszczędnościami i otrzymuje emeryturę. Dobra kandydatka.

Wreszcie ja sam: emerytowany księgowy, rozwiedziony wdowiec, jeśli istnieje taka kategoria. Dwoje dzieci, dwójka

wnucząt, wypłukany cokolwiek z oszczędności, ale za to z dobrą emeryturą. Wierzący? Teraz już chyba tak.

Zaraz po kolacji Eliza przeniosła się z notatnikiem i laptopem do jadalni. Wiedziała, że nie był to wybór przypadkowy. Z jakiegoś powodu czuła potrzebę przebywania w bliskim sąsiedztwie bukietu herbacianych róż. Kolejne kartki zawierały szczegółowe sprawozdanie z przebiegu spotkania Waldemara z wybraną trójką kandydatów. Niczym podczas seansu spirytystycznego usiłowała wywołać z przeszłości scenerię spotkania udziałowców trochę zwariowanego i nieobliczalnego przedsięwzięcia. Jej palce spoczywały na klawiaturze, gotowe rejestrować zdarzenia i dialogi wybudzone z utajenia wyobraźnią i zaciekawieniem, jakim już darzyła swoich bohaterów. Była teraz ich łącznikiem ze światem, w którym mieli znów zaistnieć, nawet jeśli tylko na stronicach jej przyszłej książki.

Waldemar Mazurek, wysoki i przygarbiony, z gęstą czupryną siwych włosów, nerwowo postukiwał tępym końcem żółtego ołówka w blat stołu Henryka, w jego domu na przedmieściach Filadelfii. Henryk spoglądał co chwilę na swój nowy rolex, mimo że duży ścienny zegar na wprost wskazywał dokładnie ten sam czas. Helenka i Regina spóźniały się już dobre dwadzieścia minut. Obaj zerwali się do okna na dźwięk dziwnego klekotu pomieszanego z rykiem silnika. Na podwórze zajeżdżał właśnie rozłożysty bordowy chevrolet Reginy, wlokąc po asfalcie znaczną część swojego wydechu.

- Przepraszam. Mój pociąg trochę się spóźnił i Gina musiała na mnie czekać - skłamała Helenka, bo naprawdę było akurat odwrotnie.

Wiedziała, że Reginie zależało, aby Henryk i Waldemar nie dowiedzieli się, że pobłądziła w drodze na dworzec.

- Henry Grodzki, ale piękne panie mogą nazywać mnie Heniem - ogłosił Henryk, gdy Waldemar przedstawiał go Reginie.

- Gina Rawicz - odpowiedziała, wyciągając ku niemu dłoń ozdobioną dużym pierścieniem z szafirowym oczkiem i zupełnie niepasującą do niego tanią, plastikową bransoletką.

- Zanim przejdziemy do rzeczy - odezwał się Waldemar - Gina musi obiecać przy świadkach, że zajmie się naprawą rury wydechowej.

Regina zarumieniła się pod makijażem. Przynęła, że w drodze powrotnej zajedzie do pierwszego napotkanego warsztatu.

Usiedli przy stole - niezbyt szerokim, ale za to bardzo długim i eleganckim meblu ustawionym symetrycznie z wianuszkami dwunastu wygodnych i równie eleganckich krzeseł. Henryk przemówił typowym dla niego łagodnym tonem:

- Moi drodzy, otwieram nasze pierwsze oficjalne zebranie i od razu stawiam pytanie: Dlaczego jesteśmy tutaj w takim, a nie innym gronie? Otóż dlatego, że każdy z nas tu obecnych znalazł się w podobnej sytuacji. Stańliśmy wszyscy w tym samym punkcie drogi i musimy zdecydować, jak ma wyglądać nasza przyszłość.

Rozejrzał się po twarzach swoich słuchaczy, jakby w poszukiwaniu oznak aprobaty czy zachęty do dalszych wywodów. Widocznie znalazł je w nieznacznym skinieniu siwej głowy Waldemara, bo już śmieiej kontynuował:

- Generalnie, wybór jest niewielki. Nie oszukujmy się; pozostaje chowanie w swoich własnych czterech ścianach albo zinstytucjonalizowana, Krupowa egzystencja pod niekoniecznie przychylnym okiem przypadkowej osoby. Jest jednak jeszcze jedno rozwiązanie. Oddaję głos jego pomysłodawcy, Waldemarowi Mazurkowi.

- Wybór jest istotnie niewielki - podjął Waldemar - ale tylko dla osób bez wyobraźni i ludzi, którzy boją się ryzyka, a zakładam, że my tu zebrani do nich nie należymy.

Zauważył objaw lekkiego przerażenia w bladoniebieskich oczach Reginy. Była najmniej wtajemniczoną osobą w tym towarzystwie. W zeszłym roku zaryzykowała zmiany, z których nie była zadowolona, i jakiegokolwiek przedsięwzięcie opatrzone epitetem ryzykownego z pewnością nie było po jej myśli.

- Pomysł, moi drodzy - kontynuował Waldemar - zakłada stworzenie od podstaw wspólnego domu przyjaciół, może trochę przypadkowych, jakimi bywają na przykład studenci w akademiku. Każdy z nas, można by powiedzieć, jest z innego wydziału, ale w sumie mamy taki sam cel.

- I tym celem jest w miarę szybko umrzeć! - przerwała mu Regina. - To nie będzie nic innego jak jeszcze jeden rodzaj umieralni - dodała z nieukrywaną rezygnacją.

Waldemar dobrze wiedział, do czego odnosiła się jej gorzka uwaga. Jeszcze kilka lat temu nigdy by nie przypuszczał, że poszukiwanie niedrogiego przytułku na resztę życia znajdzie się na liście ewentualności, które bierze pod uwagę. Gdy odwiedzał „Srebrne lata”, Regina od razu zwróciła jego uwagę. Już na pierwszy rzut oka nie pasowała do otoczenia, a jej pokój pełen był książek, które - jak się wydawało - nie reprezentują gatunków, jakich można by się spodziewać w obrębie ośrodka dotowanego przez lokalne władze i organizacje dobroczynne. Za zrządzenie losu poczytał sobie fakt, że nosiła imię jego byłej żony. Zupełnie bezwiednie i niezamierzenie Gina stała się jego ostrzegawczą flagą i był jej za to wdzięczny. Choć była to wdzięczność mało zasłużona, nabrała szczególnej wagi w jego decyzji. Prócz wdzięczności do Giny trochę też jej współczuł. W

przeszłości te dwa uczucia były mu raczej obce. Teraz delectował się nimi ostrożnie i z niejaką przyjemnością.

Regina wstała od stołu. Przez moment wyglądało na to, że złapie swój płaszcz i skieruje się do wyjścia. Waldemar odetchnął z ulgą, gdy po chwili zasiadła z powrotem na swoim miejscu, bo - jak się okazało - udała się tylko do toalety.

- Jeśli mogę coś dodać... - odezwała się Helenka. - Chcę was uczulić na fakt, że pozostaje aspekt sprawności fizycznej, której to studentom z akademika możemy jedynie pozazdrościć. Nie mówię tego bynajmniej, aby odstręczyć kogokolwiek z was od tego zamiaru. Wręcz przeciwnie, uważam, że będziemy jak brzozowe witki w miotle. Każdą z osobna łatwo złamać, ale razem jesteśmy użyteczni i nie do zdarcia.

- Przekonałaś mnie tym poetyckim porównaniem, Helen - odezwała się Regina, już w lepszym nastroju. - Z dwojga złego wolę być brana za rekwizyt czarownicy niż za nią samą - dodała żartobliwie i wszyscy wzięli jej słowa za dobrą monetę, bez dociekania, co właściwie miała na myśli.

- I właśnie o to chodzi - podjął Waldemar. - Będziemy wspierać się wzajemnie zgodnie z zasadą: „Od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb”.

- Może lepiej by było, gdybyśmy przyjęli motto, które kojarzy się z trochę inną epoką? - wtrąciła Regina. - Na przykład: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

- Ja tam przyklaskuję obu, chociaż nie jestem specjalnie ani za komuną, ani za monarchią - podsumował Henryk.

Nowa skrzynka na listy pełna była niechcianych gazetek i folderów. Eliza zachowała kilka ulotek różnych restauracji, a resztę wrzuciła do ustawionego przy drodze kubła, który musiał zaciągnąć tam mąż Grety. Zupełnie wyleciało jej z pamięci, że w poniedziałki zabierano śmieci. Gdy wracała, Robert rozwijał wzdłuż alejki długi przewód elektryczny.

Widocznie Greta kazała mu też przystrzyc krzaki. Eliza zamieniła z nim parę słów.

- Larry dał mi to dziś rano i prosił, żeby ci przekazać - powiedział na koniec.

Odebrała od niego mocno pomiętą kopertę, którą zapewne nosił w kieszeni już od jakiegoś czasu. Rachunek za skrzynkę na listy był znacznie niższy, niż się spodziewała.

Z laptopem pod pachą i Murzyniem u nogi poszła odwiedzić pozostałe „aneksy”. Zaczęła od pokoju Reginy. Wiedziała już, że został po jej śmierci całkowicie opróżniony z mebli i wszelkich przedmiotów. Córka i zięć zapakowali rzeczy na przyczepkę, zakryli plandeką i odjechali bez słowa. Mieli żal do innych za namówienie ich matki do tego „idiotycznego pomysłu”, nie mniej zresztą niż do niej samej, że na to przystała. Przechowywana na półkach w salonie kolekcja książek musiała ujść ich uwadze, a może po prostu nie była przedmiotem ich zainteresowania.

Gdy Eliza nieśmiało ujęła klamkę, Murzynio momentalnie ustawił się do wejścia. Zadarł głowę i spojrzał na Elizę jakby z niedowierzaniem i nadzieją jednocześnie. Jego ogonek poruszał się w prawo i w lewo tak wolno, że trudno byłoby to nazwać merdaniem. Eliza, oparta o framugę otwartych drzwi, patrzyła, jak piesek obwąchiwał dokładnie puste kąty, po czym stanął przed zamkniętymi drzwiami łazienki. Wpuściła go do środka. Ułożył się na starym dywaniku przy umywalce - jedynej rzeczy, jaka pozostała po jego pani - i cichutko westchnął. Eliza siadła na podłodze pośrodku pokoju i rozłożyła laptopa na kolanach. Stukot szybko dotykanych klawiszy wydawał się nienaturalnie głośny w pustym pomieszczeniu.

- Gina miała rację, nazywając nasz projekt jeszcze jednym typem umieralni. To prawda, że człowiek w końcu jakoś i gdzieś umrze. - Waldemar zaakcentował słowa „jakoś”

i „gdzieś”. - Czy jednak musimy być tak tuzinkowi? Zróbmy to z klasą!

Rozejrzał się po twarzach towarzyszy. Henryk wiedział, do czego Waldemar zmierzał. Dyskutowali o tym wiele razy i już zdążył udzielić Waldemarowi swojego poparcia. Helena i Regina, jak się wydawało, słuchały z zainteresowaniem.

- Powinniśmy chyba najpierw omówić wybór miejsca i wkład finansowy - wtrącił gospodarz domu.

- Dlaczego by nie osiedlić się na Florydzie? - zaproponowała Regina, demonstrując swym głosem crescendo rosnącego podniecenia.

- Dlaczego nie w Delaware? - odrzekł Waldemar bez chwili namysłu. - Emerytów ciągnie na południe, ale czyż nie lepiej mieć normalne cztery pory roku? To byłaby też dobra lokalizacja z uwagi na niewielką odległość od innych ważnych dla nas miejsc i w miarę przyzwoite ceny nieruchomości - kontynuował pragmatycznie. - Helen mieszkałaby w rozsądnej odległości od Nowego Jorku, a reszta z nas byłaby stosunkowo blisko naszej rodzimej Filadelfii. Jak wam zapewne wiadomo, stan Delaware jest również bardzo korzystny z uwagi na niskie opodatkowanie. Wstępna analiza rynku wykazała, że na zakup kawałka ziemi w rolniczym obszarze powiatu Sussex i zbudowanie domu potrzebowalibyśmy około stu sześćdziesięciu tysięcy.

- Czy to znaczy, że składalibyśmy się tylko po czterdzieści? - zapytała Helenka.

Waldemar parsknął śmiechem na dźwięk słowa „tylko”. Było to prawie wszystko, co mu pozostało z oszczędności. Swoją dom już praktycznie oddał synowi, a sam pomieszkiwał kątem u Henryka. Co prawda, miał jeszcze papiery wartościowe, ale było za wcześnie, aby je upłynniać.

- Zostańmy zatem przy Delaware - podsumował Henryk. - Jesień jest tu zwykle ciepła i przyjemna.

- Mam nadzieję, że masz na myśli jesień życia - westchnęła Regina niż bez entuzjazmu. - Rozumiem, że bieżące wydatki pokrywalibyśmy z naszych emerytur - dodała, nie kwestionując, ku zadowoleniu Waldemara, wysokości wkładu.

Jak się spodziewał, Helenka i Regina interesowały się jedynie liczbami pod kreską. Obaj z Henrykiem mieli je dokładnie rozpracowane i z czystym sumieniem mogli zapewnić obie panie, że sumy były realne.

- Pozostaje jeszcze ustalenie rodzaju własności - podjął Waldemar. - Typowym rozwiązaniem byłyby udziały częściowe z prawem dziedziczenia przez indywidualnych spadkobierców. Tyle że wtedy może się zrobić niezły bałagan. Mamy z Henrym śmiałą, niezwykłą i chyba ciekawą propozycję. Chcemy rzucić wyzwanie do zagrania w ruletkę życia!

- Co będzie stawką? - zapytała Regina, zaciekawiona wreszcie postępowaniem obrad.

- Interesujące pytanie - odezwał się Henryk. - Odpowiedź jest jeszcze ciekawsza. Otóż ktokolwiek z nas odejdzie na tamten świat, jego część przeniesie się na pozostałych. Osoba, która przeżyje wszystkich, stanie się jedynym właścicielem i zadecyduje, komu zechce zapisać posiadłość. W przypadku niedokonania zapisu posiadłość odziedziczą spadkobiercy zwycięzcy.

- Czy nie sądzicie, że w ten sposób każdy z nas będzie niezdrowo nastawiony na... nazwijmy to „wykoszenie konkurencji”? - dociekała dalej Regina.

- Tylko z pozoru - sprostował Waldemar. - Naprawdę w interesie każdego będzie dbać zarówno o siebie, jak i o pozostałych mieszkańców. Im dłużej będziemy razem, tym będzie nam łatwiej. Co myślicie, dziewczyny? - zwrócił się do Helenki i Reginy.

- Genialne! - wykrzyknęła Helena. - Gram z wami w tę ruletkę! Jest tylko jeden problem. Panowie w naszym gronie są o parę lat młodszy od pań, czyli że mamy nierówny start. Z drugiej strony - zreflektowała się - statystyczna długość życia kobiet jest o parę lat wyższa... Walter, coś mi się wydaje, że ty to już wcześniej przekalkulowałeś.

- Co do mnie - odezwała się Regina - to muszę przyznać, że nigdy w życiu nie miałam podobnie ekscytującej oferty. Podoba mi się, że mogę zyskać wszystko i zrobić z tym, co chcę, albo wszystko stracić i mieć to w głębokim poważaniu; w bardzo głębokim, na sześć stóp pod ziemią - zachichotała.

Henryk przeprosił na chwilę towarzystwo i wyszedł do kuchni. Wrócił ze srebrną tacką, na której spoczywały cztery niewielkie kryształowe kieliszki, napełnione jego osławioną nalewką z jeżyn.

- Wznieśmy toast za jednomyślność decyzji i pomyślność przedsięwzięcia - zaproponował, gdy wszyscy jednocześnie sięgnęli po kuszący poczęstunek.

- Projekt Umieralnia uważa się za rozpoczęty! - ogłosił Waldemar, wznosząc kieliszek i posyłając przyjazne mrugnięcie w kierunku Reginy.

Eliza zamknęła laptopa i zaniósła go do jadalni. Rozłożyła się przy stole z notatnikiem Waldemara. Resztę zapisków stanowił skrzętnie prowadzony rejestr codziennych wydatków czwórki przyjaciół. Eliza nie znalazła jednak żadnej informacji o nabyciu działki i budowie domu. Te dwa wydarzenia były brakującymi ogniwami. Zajęta swoją pisarską działalnością w Polsce, zupełnie nie interesowała się poczynaniami ojca w tamtym czasie. Miała nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej od Grzegorza, a jeśli nie od niego, to od sąsiadów. W końcu to od nich został zakupiony ten kawałek ziemi. Postanowiła zrobić przerwę na wieczorny posiłek. Murzynio podreptał za nią ze zwieszonym ogonkiem.

Wyniosła zupę i chleb przed dom i postawiła je na białym stoliku. Przeciągnęła ręką po odnowionym blacie ciekawa, czy Larry malował go własnoręcznie.

Nadciągający zmrok nie pozwolił pracować dłużej na dworze. Eliza postanowiła odwiedzić „aneks” Heleny Wilczek. Pamiętała dobrze to pomieszczenie, którego niemal każdy centymetr wypełniony był fotografiami Marleny. Fakt, że Marlena nie była rodzonym dzieckiem Norberta, jedyne syna Helenki, nie miał najmniejszego wpływu na uczuciowy związek babci i wnuczki, a może nawet nadawał mu jakiejś specjalnej wartości. Dzisiaj pokój był już pozbawiony pamiątek, ozdób i innych rzeczy osobistych, lecz nadal pozostawał w pełni umeblowany: dwa łóżka z nocnymi szafkami, toaletka, rozkładany fotel i niewielkie biurko, przy którym Helenka najprawdopodobniej pisała swoje listy. Na dnie jednej z szuflad spoczywała sterta kopii ręcznie zapisanych kartek, ułożonych wcześniej przez Marlenę w porządku chronologicznym i ponumerowanych od jeden do sto trzydzieści dziewięć. Sekcje pozaznaczane na marginesach jako prywatne miały być wykluczone z użytku.

Usadowiwszy się wygodnie w rozłożonym fotelu Heleny, Eliza pociągnęła ozdobny sznur zwisającej nad nim lampy. Łagodne światło spłynęło spod ażurowego klosza na zapisaną kartkę papieru.

Droga Marlenko,

mogę powiedzieć, że wreszcie rozlokowałam się w nowym miejscu. Bardzo, bardzo jestem wam wdzięczna za pomoc w przewiezieniu moich rzeczy. Już pierwszego dnia odbyliśmy naradę nad ustaleniem reguł porządkowych. Jak zapewne pamiętasz, pomiędzy każdą parą pokoi jest wspólna łazienka z wejściem z obu stron. Jedną Walter dzieli z Henrym, a drugą ja mam wspólnie z Giną. Umówiliśmy się, że najpierw pukamy, aby upewnić się, czy łazienka jest wolna.

Poza tym nie zamykamy się, na wypadek gdyby coś się stało i była potrzebna pomoc. W naszym wieku od pomysłu do realizacji czasem jednak daleko. Już w godzinę po naradzie Henry w samych tylko laczkach i z rącznikiem przewieszonym przez ramię naszedł Waltera rozwiązującego krzyżówkę w czasie bardzo produktywnej czynności fizjologicznej. Oczywiście podniosły się głosy, żeby zmienić regułę, ale przekonałam ich, że to raczej my musimy teraz zmienić nasze zwyczaje.

W odróżnieniu od wykaligrafowanych niemal zapisków Waldemara listy Helenki przypominały notatki studenta z wykładu bardzo szybko mówiącego profesora. Eliza wiedziała, że rozpracowanie tej korespondencji zajmie sporo czasu. Dopiero w ostatnim roku życia Helen Wilczek dała się przekonać do poczty elektronicznej. Korespondencję z tego okresu Marlena miała wkrótce dosłać Elizie w jednym pliku. Eliza wzięła do ręki kolejny list.

Musieliśmy rozwiązać kwestie dyżurów w kuchni oraz utrzymania porządku. Na razie stanęło na tym, że ja i Gina robimy na zmiany cotygodniowe sprzątanie, a panowie będą dbali o obejście i czynili drobne naprawy. Co do tych ostatnich, to mam obawy, że ich możliwości nie wykraczają poza wymianę żarówki, ale zobaczymy. Raz w miesiącu każdy z nas kładzie do wspólnej kasy ustaloną kwotę na żywność, środki czystości i wspólne rachunki. Jak się okaże za mało, to dokładamy po równej działce. Dobry plan, prawda?

Przeczytawszy jeszcze dwa listy, Eliza postanowiła ogłosić fajrant. Zmieniła wodę w wazonie z kolorowego szkła. Włożyła do środka kilka kostek lodu i przycięła lodygi róż, rozgniatając ich twarde końce. Czytała gdzieś, że to pomaga zachować świeżość kwiatów. Była zła na siebie, że nie zrobiła tego wcześniej. Zgarnęła z serwety kilka opadłych płatków i przybliżyła do twarzy, wyłapując subtelności delikatnego

zapachu. Zawahała się przed wrzuceniem ich do kosza. W drodze do sypialni otworzyła drzwi wejściowe i sypnęła płatki na kwietnik. Czekający pod drzwiami Murzynio wślizgnął się za nią do domu.

Krótki dźwięk telefonu zasygnalizował nadesłaną wiadomość. Wynurzywszy się z pościeli, Eliza sięgnęła ręką po stojące obok łóżka drewniaki, pamiętając, że przed snem włożyła komórkę do jednego z nich. Z informacji wynikało, że oprawiony w nowe ramy obraz był gotowy do odbioru. Leżał na ladzie przy kasie, kiedy po późnym śniadaniu Eliza zajęła do magazynu Harris Antiques. Opłaciła usługę oraz rachunek za zamontowanie skrzynki. Larry wziął od niej pieniądze, po czym wydał pokwitowanie i podziękował za dokonanie zakupu. Było jasne, że potraktował ją bardziej formalnie niż niejedną przygodną klientkę. Nie miała ochoty opuścić jego sklepu w takiej roli, choć wiedziała, że sobie na nią zasłużyła. Zagadnęła o stragan z warzywami i starego farmera, którego pamiętała jako człowieka wagę.

- Stragan nie istnieje już od roku, a człowiek waga, jak go nazwałaś, to mój ojciec. - Lakoniczne wyjaśnienie Larry'ego nie zabrzmiało przyjaźnie. - Nie przejmuj się - dodał po chwili, spostrzegłszy być może na twarzy Elizy wyraz zakłopotania. - Ja też podśmiewałem się z niego, że udaje wagę.

- Czy wiesz, gdzie mogę kupić świeże pomidory? - zapytała trochę z prawdziwej potrzeby zdobycia tej informacji, a trochę, aby nie odjechać z uczuciem totalnego zawodu.

Larry nie odpowiedział. Wziąwszy z lady obraz i plastikową reklamówkę do pakowania towarów, skierował się ku wyjściu, dając znać wolną dłonią, by Eliza poszła za nim. Pomógł jej ułożyć zakup w bagażniku. Nie protestowała, kiedy zaraz po tym chwycił jej rękę jak wtedy, gdy szli na

zaplecze sklepu, i nie pytała, dokąd ją prowadził. Nie miała pewności, czy nie było to tylko złudzenie, gdy czuła, jak delikatnie, prawie niezauważalnie Larry gładził opuszkami wierzch jej dłoni.

Przeszli wśród poustawianych rzędami kolorowych krasnali i mebli ogrodowych na drugą stronę budynku i znaleźli się pośród kilku nieogrodzonych zagonów. Na jednym z nich, wśród pełzających po ziemi wąsatych, liściastych łodyg dojrzewały dynie. Drugi czerwienił się jeszcze tu i ówdzie owocami krzaczków pomidorowych, które spoczywały na ziemi tak jak ich pękate sąsiadki.

- Nie wiedziałam, że pomidory mogą rosnąć bez podpórek - zdziwiła się Eliza.

- To tajemnica Harrisów. - Larry uśmiechnął się, podając jej plastikową torbę.

- Nikomu jej nie zdradzę - szepnęła, położywszy palec na ustach.

- Już się kończą, ale może jeszcze wybierzesz parę dobrych. Nie spiesz się i zbierz, ile tylko chcesz. Nie musisz mi za nie płacić - dodał, odchodząc już w kierunku sklepu.

Pochyliła nad zagonem, odczepiała pomidory od suchawych szypulek z odczuciem rytualnego namaszczenia. Przybliżyła je do twarzy. Pachniały ziemią i słońcem późnego lata. Wróciła do samochodu z pełną reklamówką.

- Dziękuję, Larry! - krzyknęła z daleka, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy wymówiła jego imię.

Widziała, że był zajęty rozmową z klientami, którzy najwyraźniej interesowali się figurkami krasnali. Uniósł dłoń na znak, że usłyszał.

Wypakowała obraz z bagażnika i wniosła do jadalni. Nowa rama uczyniła go znacznie cięższym, ale nie na tyle, żeby Eliza nie mogła go unieść i przymierzyć, jak będzie wyglądał na ścianie. Rozstaw pozostałych po poprzednim

obrazie gwoździ nie pasował. Będzie musiała poprosić o pomoc Roberta.

Otworzyła worek z pomidorami i kuchnia od razu wypełniła się ich zapachem. Elizie przypomniał się dzień, kiedy zawitała na pojezierze. Adam poczęstował ją wtedy przyrządzoną naprędce sałatką, która potem już na stałe weszła do jej domowego jadłospisu. Na myśl o tym poczuła głód i zabrała się do krojenia pomidorów.

Kuszące ciepło letniego popołudnia zwabiło Elizę na zewnątrz. Usadowiła się z laptopem przy białym stoliku, gotowa notować na bieżąco wybrane fragmenty listów Helenki.

Wiosna w pełni, Marlenko. Kwitną bzy przy domu; białe i fioletowe. Postawiłam duży bukiet na stole w jadalni. A propos jadalni, mamy już stół. To ten sam stół, przy którym zawiązaliśmy nasz pakt, bo Henry przywiózł wreszcie resztę swoich mebli i dwa piękne dywany. Wielki, bordowy rozłożyliśmy w salonie. Mniejszy, okrągły w tureckie wzory miałyśmy z Giną dać do gościnnego pokoju, jednak Henry nie chciał odstąpić od swojego zamiaru umieszczenia go w przedsionku, któremu już w planach przebudowy nadał rolę reprezentacyjnego westybulu. Moją serwatkę postawiliśmy pod ścianą. Bardzo dobrze się tam prezentuje. Gina obiecała wydziergać szydełkiem koronkowy bieżnik. Dzierga chyba nałogowo, bo w jej pokoju wszystko jest poprzykrywane szydełkowymi rękodzielami.

Mój stół i krzeselka wylądowały w kuchni, a kryształowe lustro oczywiście w westybulu. Jeśli chodzi o Waltera, to z większości jego mebli już od dawna korzysta Greg, więc nie zabrał ze swojego domu niczego prócz własnej sypialni i monstrualnych rozmiarów radia z adapterem. To ostatnie posłużyło nam za podstawkę pod telewizor. Henry ofiarował kanapę jako wkład na konto Waltera. Gina pozbyła się swoich

mebli jeszcze przed przeprowadzką do domu opieki. Miała jedynie duży obraz, który powiesiliśmy w jadalni. Nie dosyć, że musiała zakupić umeblowanie do swojego aneksu, to jeszcze, nie chcąc być na łasce innych, nabyła nowiutką rozkładaną kanapę do gościnnego pokoju. Ma sporo oszczędności, więc na razie nie przejmuje się wydatkami. Brakuje nam tylko regałów na książki, to jest głównie książki Giny. Nie ma mowy, aby wszystkie zmieściły się w jej pokoju, a poza tym chyba powinny być ogólnie dostępne. Najlepiej byłoby zawiesić półki. Jest na to dużo miejsca w salonie.

Wiesz, kto nas dziś odwiedził? Annie i Ed Phillips - nasi sąsiedzi, od których nabyliśmy działkę. Bardzo mili ludzie. Musimy ich kiedyś zaprosić na obiad. Przynieśli nam dwie palemki daktylowe. Postawiłam je po obu stronach telewizora. Ich syn, Bobby, właśnie wrócił z wojska i będzie pracował z nimi na roli. Bardzo się z tego cieszą, bo jego starsza siostra mieszka z mężem i dziećmi w Baltimore i odwiedza ich tylko latem. Mówili, żeby dać mu znać, gdyby trzeba było w czymś pomóc.

Kolejny list był bardzo długi. Znaczna część tekstu oznaczona była jednak jako prywatna. Do użytku pozostał Elizie jedynie niewielki fragment na odwrocie:

Henry zrobił świetny klomb z ziołami - za domem, bo tam jest więcej słońca. Mamy już swój koper, pietruszkę, szalwię i bazylię. Mięta tylko jakoś słabo rośnie, ale Henry mówi, że najpierw musi się dobrze zakorzenić. Może z czasem ogródek się rozrośnie i będziemy uprawiać własne warzywa. Tymczasem kupujemy je w sklepie, a niektóre na straganie u farmera, niedaleko stąd.

Coś mi się wydaje, że Walter zaczyna poważnie smalić cholewki do Giny. Gdy tylko wspomniała, że chciałyby mieć pod domem nagietki, natychmiast pojechał po nasiona. Już

wschodzą, choć było trochę późno na wysiew. Zobaczymy, czy zdążą zakwitnąć.

W następnym liście też niewiele było do przeczytania.

Och, te pudła z książkami! Wczoraj mało się o jedno z nich nie potknęłam, nie wspominając już, że szpecą nasz salon. Henry zaproponował, aby książki ofiarować lokalnej bibliotece. Gina zrobiła w tym momencie takie oczy, że Walter natychmiast zobowiązał się wziąć na siebie realizację zbudowania porządných półek. Myślał, że może Bobby to zrobi, ale okazało się, że nie jest aż tak dobry w stolarce. Nie miałby nawet odpowiednich narzędzi. Annie skontaktowała nas z synem farmera, u którego kupujemy warzywa. Obiecał, że się tym zajmie, i Walter umówił się z nim na sobotę.

Dalej już następowała część prywatna. Elizę ogarnęła przez chwilę pokusa sprawdzenia, czy nie było tam niczego więcej na temat syna farmera, ale zbesztła siebie na głos za ten przejaw niezdrowej ciekawości. Może zresztą wcale nie chodziło o Larry'ego. Może stary farmer ma jeszcze innych synów.

Przeniosła się do salonu z kubkiem poobiedniej kawy, po to tylko, aby przyjrzeć się z bliska półkom. Wpasowane we wnękę ściany oddzielającej salon od jadalni i najpewniej przymocowane do niej na stałe tworzyły wrażenie wolno stojącej biblioteczki, której brzegi zdobiła ciemnowiśniowa drewniana obudowa z delikatnymi zdobieniami.

Eliza była ciekawa sobotniego listu. Okazało się jednak, że następny list Helenki został napisany dzień później. Widać niedzielne pisanie stało się u niej zwyczajem. Eliza wyobraziła sobie Helenkę z kopertą w ręku, drepczącą żwirową alejką w poniedziałkowe poranki. Ileż razy musiała otwierać drzwiczki nieistniejącej już skrzynki i podnosić do góry czerwoną blaszaną chorągiewkę, aby wiejski listonosz nie omieszkał zabrać jej listu.

Doszliśmy do wniosku, że trzeba ochrzcić jakoś nasz dom. Gina upierała się przy „Umieralni”, ale większość przegłosowała „Ustronie”, bo też jest to nasze prawdziwie ustronne schronisko. Walter kupił szampana; strzeliliśmy korkiem w ścianę i wznieśliśmy toast za to miejsce, które wspólnie stworzyliśmy. Henry sporządził coś w rodzaju starego certyfikatu z mapką, na której naniósł nasze domostwo, opatrzone nazwą „Ustronie, powiat Sussex”. Mamy zamiar oprawić go i powiesić na honorowym miejscu.

W korespondencji nie było niczego na temat sobotniej wizyty syna człowieka wagi. Elizę ogarnęło nie po raz pierwszy przykre uczucie samotności. Rozumiała, że obcowanie z pustką Ustronia było ceną, którą musiała zapłacić za zrealizowanie swojej misji i powrót do domu jeszcze przed zimą. Za kratkami podświadomości trzymała na razie obawę, że będzie to powrót do innej pustki i innej tylko samotności. Z nadejściem północy postanowiła zakończyć pracę. Jutro czekały ją ogromne zakupy. W szafkach i lodówce brakowało już praktycznie wszystkiego poza winem i pomidorami.

Rozdział III

Migdałowo

Sącząc powoli poranną kawę, Eliza zadzwoniła do Greta.

- Jadę do sklepu. Potrzebujesz czegoś? - zapytała.

- Gdybyś mogła pare cytryn kupić, tobym wdzięczna była, bo Melissa zaziębiona, a sok z cytryny z miodem zawsze pomaga.

- Może trzeba ją zawieźć do lekarza?

- Chyba nie, gorączki nie ma. Do szkoły nawet ja posłałam.

Z braku pieczywa i czegokolwiek do niego Eliza postanowiła zjeść śniadanie w którejś z samoobsługowych kafejek galerii. Młody kasjer zapytał, czy ma uwzględnić zniżkę dla seniora. Miała nadzieję, że zrobił to trochę z rozpędu, jako że stała w kolejce między starszymi osobami. Potwierdziła, aby nie postawić go w niezręcznej sytuacji.

W sklepie z zabawkami demonstrowano nowe produkty. Eliza nabyła żółtego Transformera, którego kilkoma ruchami można było przekształcić z robota w sportowy samochód i odwrotnie. Zrobiła to z myślą o synku Adama i Marleny, Benie, którego była matką chrzestną. Pewnie wybierze się wkrótce ich odwiedzić. Pozostałe zakupy zajęły jej resztę przedpołudnia. Podmalowała lekko usta przed lustrem w toalecie i zmieniła bluzkę na zakupioną właśnie trykotową koszulkę, której logo sugerowało, że nie należała do najtańszych. Nietypowo duży dekolt dość mocno eksponował jej szyję. Danusia ze sklepiku na parterze kamienicy, w której mieszkała w Polsce, mówiła, że gdy odciągnięta lekko skóra szyi nie wraca od razu na miejsce, to znaczy, że nadchodzi starość. Najpewniej miał to być tylko żart, o ile Danusia w ogóle miała poczucie humoru. Eliza przeprowadziła jednak test i uznała z ulgą, że był negatywny. Wróciła na lunch do

kafejki, gdzie rano jadła śniadanie. Kasę obsługiwał ten sam chłopak. Tym razem nie zapytał, czy chce zniżkę.

Chociaż Melissa i Amanda były jeszcze w szkole, Eliza postanowiła zajechać najpierw do Greta. Napój cytrynowy powinien czekać na dziewczynki, gdy przyjdą do domu. Zaparkowała samochód pomiędzy subaru Roberta a nieznanym jej dużym motocyklem. Greta przywitała ją w drzwiach i zaprosiła do środka.

- Siadaj, kawę mam zaparzoną, no - powiedziała i od razu napełniła filiżankę, stawiając ją przed swoim gościem. - Oni tam na werandzie o biznesie rozmawiaj o - dodała, gdy spostrzegła, że Eliza spogląda w stronę dochodzących głosów.

- Oni? - zapytała.

- Robert z Larrym.

- Z Larrym Harrisem? - zdziwiła się Eliza.

- No a z jakim, no? Myślałam, że widziałas jego motocykl.

- Nie wiedziałam, że ma motocykl. Meble przywiózł mi ciężarówką - zaśmiała się.

- Przepraszam, może nie powinnam tak się wtrącać, ale byłam pewna, że jeździłaś z nim tym motorem do Szalonego Konia.

- Szalonego Konia? - zdziwiła się znów Eliza.

- To taka knajpa nad wodą, no. Pytał pare dni temu Roberta, czy wypadałoby zabrać tam ciebie motorem, a Robert wtedy zapytał mnie. Odpowiedziałam, że czemu nie, tylko żeby portki kazał ci włożyć, no.

- Chciał zaprosić mnie gdzieś na kolację, ale odmówiłam - odrzekła Eliza.

Greta pokręciła głową w geście, który mógł oznaczać równie dobrze niedowierzanie, jak i politowanie. Ku zadowoleniu Elizy, która nie miała ochoty powtórnie

przetrawiać konsekwencji swojej nieprzemyślanej reakcji, Greta wróciła do tematu biznesu:

- Załatwiał o teraz, żeby Robert od Larry'ego pole w dzierżawę wziął na wiosnę. Część może już nawet teraz weźmie, no. Nikt już tam nic nie uprawia, to po co ma odłogiem leżeć? Robert niby u rodziców ma dużo ziemi, ale teść nie daje jemu po swojemu rządzić.

Greta zauważyła widocznie, że wzrok Elizy skierowany był w inną stronę, i przestała opowiadać. Obejrzała się przez lewe ramię. W przejściu do kuchni stali Robert i Larry.

- Wreszcie mam okazję z czystym sumieniem powiedzieć, że wysłuchałem swojej żony i nic z tego nie zrozumiałem - zaśmiał się Robert, kładąc rękę na jej masywnym ramieniu.

Z dogodnej pozycji niespodziewanego gościa Eliza rzuciła wszystkim zdawkowe pożegnanie i skierowała się ku wyjściu.

- Ja też już się chyba z wami pożegnaj. Nie chcę wpaść z moją maszyną pomiędzy szkolne autobusy - oznajmił Larry i Eliza wyłapała w twarzy Greta przeblask ukontentowania zaistniałą sytuacją.

Wyszli razem, podchodząc do swoich pojazdów w nienaturalnym milczeniu, jakie zalicza się zwykle do kategorii kłopotliwych. Eliza wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku swojego domu. Zaparkowała tuż przy rampie. Gdy mocowała się z kluczem do drzwi, posłyszała warkot motocykla. Odwróciła się na odgłos wyłączanego silnika.

- Potrzebujesz pomocy? - Rzucił Larry w jej kierunku.

- Dziękuję, dam sobie radę - odrzekła i jakby na potwierdzenie tych słów uparte drzwi wreszcie puściły.

Zerknęła w kierunku motocykla. Larry przykucnął i szukał czegoś w schowku za siodełkiem pasażera. Podszedł do drzwi domu z tubką sproszkowanego grafitu i poprosił o kawałek ręcznika papierowego. Eliza wyciągnęła z bagażnika samochodu jedną z zakupionych rolek.

- To powinno pomóc, ale uważaj, bo może brudzić przez jakiś czas - ostrzegł, wycierając zamek z nadmiaru smaru.

- Bardzo dziękuję i przepraszam, ale naprawdę muszę jak najszybciej wnieść zakupy do domu, bo przy tej temperaturze mrożonki się roz płyną, mleko skisnie, a z jajek wylęgna się kurczaki.

- Pomogę ci - zadeklarował Larry i nie pytając o zgodę, przystąpił do rzeczy tak, jak gdyby rozpakowywanie bagażnika Elizy było jego stałym zajęciem. Wnosił produkty do kuchni, a Eliza wstawiała je do lodówki i szafek.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczyć - powiedziała, gdy skończyli.

- Gdybym nie musiał wracać motorem, mogłabyś zacząć od zimnego piwa - zaśmiał się.

Odpowiedziała mu uśmiechem, nie zdradzając, że nie ma w domu ani jednej puszki czy butelki tego napoju.

- Może poczęstujesz mnie szklanką wody? - spytał, spoglądając na zegarek. - I tak już nie zdążę przed szkolnymi autobusami.

- To przeze mnie? - powiedziała lekko pytającym tonem.

- Dzięki tobie... - odrzekł bez chwili wahania. Bezpośredniość tych słów zaniepokoiła Elizę nie mniej niż wzrok Larry'ego utkwiony bez większego zażenowania w jej obcisłą koszulkę. Nie sądziła, aby punktem zainteresowania było logo. Nalewając wodę do szklanki, a do kieliszka australijskiego wina z zaczętej uprzednio butelki, pomyślała, że lepiej będzie, jeśli zaproponuje, aby wyszli na zewnątrz. Larry chętnie na to przystał, mimo że dzień był nietypowo gorący i z pewnością przyjemniej byłoby pozostać w chłodnym pomieszczeniu. Usiedli przy białym stoliku. Na szczęście znajdował się już w miejscu całkowicie ocienionym przez budynek.

- Dobrze tu wygląda - stwierdził Larry. - Jestem wdzięczny, że kupiłaś u mnie tyle rzeczy.

- Na większości z nich nie dałam ci zarobić - zaśmiała się.

- Nie było tak źle. Jak prezentuje się obraz z bażantem?

- Jeszcze go nie powiesiłam. Czy wiesz, kto go namalował?

- Dlaczego pytasz?

- Chciałabym kupić lub zamówić drugi, o podobnej tematyce.

- Rozejrzę się i dam ci znać.

Z cyprysów wynurzył się Murzynio.

- Myślałem, że ma na imię Murphy - zdziwił się Larry, gdy Eliza przywołała psa jego polskim imieniem. - Czy to, jak go nazywasz, jest polskim odpowiednikiem imienia Murphy?

- Generalnie nie, ale właściwie to zależy - roześmiała się.

- Od czego?

- Zależy od tego, jakiej rasy jest Murphy.

- Nie rozumiem.

- Jak ci to wytłumaczyć? Imię Murzynio odnosi się do czarnoskórych. .. Ogólnie, jeśli jest to czarny Murphy, to może być odpowiednikiem, a jeśli jest innego koloru skóry, to nie - podsumowała wyraźnie już rozbawiona.

Pomyślała, że chyba jednak coś pokręciła i mimo najlepszych intencji próba żartobliwego wywodu wypadła nieudolnie, bo Larry nie podzielał jej dobrego humoru. Złożyła to na karb zbyt łąpczywie popijanego wina.

- Pojadę już; dzięki za wodę - powiedział, wstając od stolika, chociaż jego szklanka nie była nawet jeszcze w połowie opróżniona. - Będzie okay? - zapytał i Eliza skinęła głową.

- Larry! - zawołała za nim po chwili, nie bardzo pewna, dlaczego to zrobiła, lecz jej głos nie był w stanie wygrać z warkotem uruchomionego silnika wielkiej maszyny.

Przysunęła drugie krzesło i oparła na nim stopy. Musiała usnąć niemal momentalnie. Śniło się jej, że szła boso przez puste, zaśnieżone pole. Obudził ją lekki chłód nadchodzącego wieczoru. Murzynio węszył w mokrej od rosy trawie. Zabrała go ze sobą do domu.

- Zdaje się, że do spółki trochę dzisiaj narozrabialiśmy - powiedziała, drapiąc go za uchem. - No cóż, wygląda na to, że jesteśmy zdani na własne towarzystwo.

Potrzeba uczciwego odreagowania po wczorajszym zdarzeniu sprowokowała Elizę do zajęcia się gotowaniem, praniem i sprzątaniami. Jej sumienie domagało się przyznania do jakiegoś niesprecyzowanego grzechu. Domowe prace uznała za rodzaj pokuty, a ich wizualne i namacalne efekty bezsprzecznie dawały poczucie zadośćuczynienia winom. Wciąż jednak nie czuła się całkiem rozgrzeszona.

Włączyła radio. Przełączała stacje, lecz żadna nie nadawała muzyki, która pomogłaby Elizie odsunąć niechciane myśli. Wyrzucane z pamięci kadry wizyty Larry'ego rejestrowały się na nowo nieproszone, a słowa ich nieudanej konwersacji raz po raz powracały jak refren zbyt często nadawanej piosenki, od którego nie sposób się opędzić. Dopiero pod wieczór osiągnęła spokój ducha i oddała się pracy nad listami Helenki.

Kochana Marlenko,

poszłam na pierwszy ogień z dyżurami w kuchni, a po mnie pałeczkę przejął Henry i wszystko było super. Ale gdy kolej przyszła na Ginę, rzeczy mocno się skomplikowały. Czwartkowe spaghetti smakowało jak z wojskowego kotła. Sałata, co prawda, nie była zła, tyle że po obiedzie Gina zapytała mnie, czy liście trzeba było wpierw umyć. Najgorzej było z rybą w piątek. Trzymała ją w piekarniku za długo, aż włączył się alarm przeciwpożarowy. Wszyscy zbiegliśmy się do kuchni, a gdy Henry podniósł pokrywę od kosza na śmieci,

aby wyrzucić zwęglone kawałki, okazało się, że było tam kilka opakowań po mrożonkach. Gina płakała i przepraszała. Przy okazji wyszło na jaw, że Walter miał w zanadrzu podobną taktykę na swój kulinarny debiut w przyszłym tygodniu. Konsumując zamówioną naprędce pizzę, uradziliśmy, że dyżury w kuchni Ustronia będą odtąd pełnione dwójkami: Henry z Walterem, a ja z Giną. Oczywiście Gina i Walter zaczną od statusu pomocników kucharzy.

Kontemplacja sposobu wyeksponowania elementów humoru i horroru w opisie dyżurów kuchennych w Ustroniu stała się dla Elizy chwilową odskocznią od terażniejszości. Nadzieja znalezienia czegoś o Larrym w dalszych zapiskach Helenki czała się jednak gdzieś na krańcu świadomości i spełniła już w kolejnym liście.

Będziemy mieli drugi dom. Może niezupełnie dom, ale raczej mały domek gościnny. Pamiętasz tę letnią kuchnię za cyprysami? Podobno dawno temu była to powozownia. Gdy Larry, to jest syn tego farmera, o którym ci pisałam, robił nam półki na książki, szukał tam kawałków starego dobrego drewna do elementów ozdobnych. W każdym razie to on zasugerował, żeby zaadaptować powozownię na domek gościnny. Są tam przecież podciągnięte od nas woda, kanalizacja i prąd. Można łatwo zrobić trzy pokoiki i łazienkę. A że zostało nam jeszcze trochę pieniędzy z budowy, to postanowiliśmy przeznaczyć je właśnie na renowację domku.

Elizie przemknęła myśl, żeby zadzwonić do Larry'ego z prośbą o więcej informacji na temat powozowni. Zaniechała jednak tego zamiaru i zabrała się do kolejnych listów, z których wynikało, że pierwsza jesień w Ustroniu obdarzała wszystkich jego mieszkańców dobrym zdrowiem i humorem.

Wyjazdy do kina, kasyna i na spacery brzegiem zatoki stały się rutyną, a godziny spędzone przy kominku - oczekiwany uwieńczeniem każdego dnia. Henryk

zainicjował wieczorki gry w karty, Helenka sesje gier planszowych, a Waldemar - maratony rozwiązywania krzyżówek. Regina na ogół nie miała ochoty na udział w żadnej z tych form gimnastyki umysłu ani też nie potrafiła zaproponować czegoś od siebie. Przysuwała tylko fotel blisko kominka i bez opamiętania dziergała serwetki i wielokolorowe narzuty.

- Już wiem! - wykrzyknęła nagle któregoś razu znad swoich robótek.

Wszyscy troje, z taliami kart w rękę, spojrzeli jednocześnie w jej kierunku.

- Urządźmy wieczory książkowe. Będę wam czytała moje ulubione opowiadania.

- Na głos? - zapytał Henry.

Helenka i Walter wybuchnęli śmiechem, ale Gina wzięła jego pytanie zupełnie poważnie.

- Tak, na głos. W Migdałowie tatuś zawsze czytał nam na głos, kiedy już wszyscy leżeliśmy w łóżkach...

- Chciałaś powiedzieć „w Michałowie” - skorygował Waldemar, wiedząc, że pochodziła z tej miejscowości.

- No przecież powiedziałam, że w Michałowie - obruszyła się. - Byłam najmłodsza i spałam w jednym łóżku z Janeczką - kontynuowała po chwilowej konsternacji całego towarzystwa.

- Trzymała mnie za rękę, kiedy bałam się, że kapitan Hak wykradnie mnie w nocy - zaśmiała się. - Spaliśmy wszyscy w jednym pokoju: mama, tatuś, ja, Julek, Janeczka i Basia. Oni już wszyscy nie żyją, tylko ja zostałam... Czy naprawdę nazwałam Michałowo Migdałowem? - zapytała cicho. - Tak mówiłam, gdy byłam mała i wszyscy się ze mnie śmiali - wyjaśniła po zgodnym skinięciu głów reszty towarzystwa.

Choć próbowała powiedzieć to żartem, głos jej zadrżał i kilka łez stoczyło się po pociętym bruzdami zmarszczek policzku. Położywszy swoją talię kart na stoliku, Helenka

usiadła na brzegu fotela i pogłaskała Ginę po włosach. Ta popatrzyła na nią smutnie, nie przestając szydełkować.

- Jesteś jak Janeczka - powiedziała.

Krótkie zamyślenie Elizy przerwał dźwięk telefonu. Adam chciał wiedzieć, czy mogłaby przyjechać w nadchodzący weekend. Teściowie przygotowywali na sobotę śniadanie niespodziankę z okazji czterdziestych urodzin Marleny. Wieczorem zajęliby się wnukiem, a Adam z Marleną mogliby wybrać się wtedy razem do restauracji. Zgodziła się od razu. I tak miała odwiedzić w niedzielę Grzegorza. Umówili się, że przyjedzie jutro wieczorem i zanoceje u Wilczków.

W ciemności sypialni zastanawiała się nad tytułem historii Adama. Migdałowy aromat, do którego do niedawna się przychyliła, postawiła teraz pod znakiem zapytania. Zbieżność z Migdałowem Giny, choć zupełnie przypadkowa i z pozoru zabawna, przejęła ją dreszczykiem, jakiego doznaje się w obliczu nadprzyrodzonych albo przynajmniej niewytłumaczalnych doświadczeń. Przyszło jej na myśl, żeby zasadzić w Ustroniu drzewa migdałowe. Usnęła, uspokojona możliwością praktycznej i zupełnie ziemskiej ingerencji w zaistniały zbieg okoliczności.

Greta poradziła Elizie, aby - zamiast w Dover - zrobiła przedwyjazdowe zakupy w Salisbury. Chociaż miasto to należało do stanu Maryland, który w odróżnieniu od Delaware doliczał do ceny odzieży całkiem pokaźny podatek, znajdowało się w podobnej odległości. Greta zaklinała się przy tym, że są tam bezsprzecznie ciekawsze sklepy.

Wybieranie sukienki i dodatków zajęło dość dużo czasu. Eliza zdecydowała się na klasyczną małą czarną, oferowaną w komplecie z dopasowanym w talii, mocno przedłużonym żakietem. W drodze powrotnej zatrzymała się przy monopolowym i kupiła sześciopak heinekena. Gdy podjeżdżała pod dom, zza cyprysów wynurzyła się Greta.

- Całe rano dzwonię do ciebie. Już martwiłam się, że coś się stało, no - oznajmiła podnieconym głosem, rozkładając swoje wielkie ręce.

- Przepraszam, zapomniałam zabrać ze sobą telefon - odpowiedziała Eliza, zastanawiając się jednocześnie, gdzie go mogła położyć.

Zaprosiła Gretę do środka. Wstawiła piwo do lodówki, włączyła ekspres do kawy i wrzuciła kilka kawałków pizzy do piekarnika, ustawiając go na rekomendowany czas i temperaturę. Usiadły przy kuchennym stole.

- Dlaczego mnie szukałaś? Czy może potrzebujesz samochodu?

- Nie dlatego; Larry telefonował do mnie i prosił, żebym sprawdziła, czy wszystko u ciebie w porządku, no. Dzwonił wczoraj wieczorem na twoją komórkę. Zostawił wiadomość, ale nie odpowiedział.

Eliza zastanawiała się, jak to było możliwe, skoro odebrała telefon od Adama. Uświadomiła sobie jednak, że Adam dzwonił na domowy. Postawiła na stole kubki z kawą i wykręciła numer swojej komórki z pomarańczowego aparatu. Odłożyła słuchawkę na bok i przemierzyła wszystkie pokoje domu, nasłuchując znajomej melodyjki. Cisza.

- Cholera, chyba zgubiłam telefon - zmartwiła się. Bezskutecznie starała się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go używała. - Nie wiesz, po co dzwonił do mnie Larry? - zapytała.

- Wydaje mi się, że chciał ponowić zaproszenie na kolację, ale widać szczęścia nie ma u ciebie, no. - Popiła nieco kawy i postukując swoim masywnym palcem wskazującym w blat stołu, przemówiła tonem jeśli nie starszej siostry, to przynajmniej zaufanej przyjaciółki: - Eliza, słuchaj, Larry to dobry i wrażliwy człowiek. Tylko jakoś jemu się nie szczęści i mnie jego czasem żal. Ja widzę, że mu do serca przypadłaś,

ale w tym wieku, w naszym wieku - poprawiła się, choć była o dwanaście lat młodsza - nie ma już za dużo czasu na długie czekanie. To może powiedz jemu wprost, jak nie jesteś zainteresowana, no.

Zabrzęczał dzwonek piekarnika i Eliza wstała od stołu, żeby wyjąć pizzę. Poczowała wilgoć pod powiekami, więc szybko otarła oczy ścierką zawieszoną na drzwiczkach piekarnika. Podała pizzę na papierowych talerzykach.

- Do serca mu przypadłam? Jak można przypaść komuś do serca, nadużywając jego uczynności, odmawiając zaproszenia bez oferowania niczego w zamian i unikając kontaktu? Z tym długim czekaniem to masz rację, i z brakiem szczęścia też. Tylko widzisz, to ja nie mam szczęścia i lepiej, jak będę się trzymać od Larry'ego z daleka, bo mogę przynieść mu jeszcze większego pecha.

W jej oczach znów pojawiły się łzy. Tym razem nie starała się ich ukryć. Greta pochyliła się i poklepała lekko wierzch jej dłoni.

- No dobrze już, dobrze, no.

Po wyjściu Greta Eliza wzięła prysznic i spakowała się do wyjazdu. Odświeżona i podekscytowana perspektywą podróży, poczuła się lepiej. Wyszła na zewnątrz ze stojącym już u drzwi Murzyniem. Było dość ciepło, ale pochmurnie. Na jutro zapowiadano przelotne opady, postanowiła więc zabrać do domu poduchy z drewnianych krzesełek. Pod jedną z nich spoczywał jej telefon. Odetchnawszy z ulgą, odsłuchiwała nagraną wiadomość: „Cześć, Eliza, tu Larry. Chcę spytać, jak się czujesz. Zadzwoń do mnie, proszę, kiedy odsłuchasz tę wiadomość. Pa". W jego głosie nie było śladu urazu, jakiego się spodziewała po ich ostatnim spotkaniu. Pomysł trzymania się od niego z daleka stracił nagle rację bytu. Eliza wybrała numer jego komórki, ale po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka, nagrała wiadomość: „Przepraszam,

że nie oddzwoniłam wcześniej. Nie powiem dlaczego, bo nie chcę, abyś myślał, że się głupio tłumaczę. Zaraz wyjeżdżam i będę za kierownicą przez następnych kilka godzin. Zadzwoń w niedzielę wieczorem po powrocie".

Maria i Norbert Wilczkowie przyjęli Elizę serdecznie, niczym członka rodziny. Fakt, że zbierała materiały do książki, która dotyczyła wydarzeń z życia matki Norberta, wytworzył między nimi pewną bliskość i Eliza nie krępowała się pytać o szczegóły transakcji zakupu Ustronia. Zdobyła w ten sposób sporo istotnych informacji. Norbert nie miał problemu z rozumieniem polskiego, jednak każda próba prowadzenia rozmowy w tym języku była jawnym świadectwem zaniedbania, jakiego Helen Wilczek musiała się dopuścić w przekazaniu synowi swojej rodzimej spuścizny. Pojawienie się wnuczki stworzyło szansę odkupienia winy i uczyniła to z nawiązką - nie tylko czytała Marlenie polskie książki, ale i skrupulatnie odwoziła wnuczkę na zajęcia polonijnej szkoły językowej.

Norbert, chociaż nie był osobiście zaangażowany w formalności, znał dobrze historię nabycia Ustronia. Wiedział, że Annie i Ed wybudowali wtedy nowy dom, a stary, odziedziczony po rodzicach Eda, oddzielili wraz z niewielkim kawałkiem ziemi od reszty gospodarstwa i wystawili na sprzedaż. Prócz domu mieszkalnego na posesji znajdował się budynek zwany wówczas powozownią, przerobiony na coś w rodzaju letniej kuchni, a w ostatnim czasie służący za stajnię dla konia należącego do kogoś z sąsiedztwa. Norbert przytoczył też historię, którą opowiedział mu wuj Henryk. Ponoć gdy oglądali we czwórkę tę działkę i ujrzeli mały domek za gaikiem cyprysowym i wokół pełno śladów po koniu, Walter chciał zabłysnąć dowcipem i stwierdził: „O, widzę, że Mister Ed tu mieszkał”, nawiązując do imienia konia z serialu telewizyjnego, na co właściciel odburknął:

„Zapewniam, że nigdy tu nie mieszkałem”. Nikt z czwórki przyjaciół nie wiedział jeszcze, że Phillips też miał na imię Ed.

Dach głównego domu był częściowo zapadnięty i pokoje na poddaszu nie nadawały się do użytku. Posesję nabyto praktycznie za wartość ziemi, która w tej okolicy nie była wówczas najwyższa. Dzięki temu sporo pieniędzy można było przeznaczyć na budowę.

Początkowy zamysł polegał na zburzeniu istniejącego domu i zbudowaniu zupełnie nowego. Jednak zdaniem Henryka zachowanie części istniejącego budynku umożliwiło osiągnięcie większej powierzchni mieszkalnej przy ogólnie mniejszym koszcie. Jego plan polegał na usunięciu poddasza, dostawieniu przybudówki z kilkoma osobnymi pomieszczeniami, do których od początku przylgnęła nazwa „aneksy”, i objęciu wszystkiego zupełnie nowym sklepieniem. W ten sposób zachowano też stare dębowe podłogi i solidnie wykończone ściany z parterowej części budynku.

Telefon komórkowy w kieszeni Elizy zadzwieczał skoczną melodyjką. Powinna była go wyciszyć. Przeprosiła swojego rozmówcę i wyszła przed dom. Na ekraniku widniał numer komórki Larry’ego.

- Nie za późno? - spytał, gdy odebrała. - Dostałem wiadomość, że zadzwonisz po powrocie, ale chciałem się upewnić, że szczęśliwie dojechałaś.

- Naprawdę tylko to? - odparła trochę prowokująco. Czekala, jak zareaguje. Zareagował zmianą tematu. Wydawał się bardziej ostrożny w słowach.

- Pozdrów ode mnie Grega.

- Zrobię to, jak go jutro zobaczę.

- Przepraszam, myślałem, że jesteś u niego...

W tym momencie w drzwiach pojawił się Norbert.

- Wszystko w porządku, Eliza?! - zawołał.

- Tak, już idę - rzuciła w jego stronę, odrywając się na chwilę od telefonu.

Chciała pożegnać się z Larrym, lecz nie było go już na linii. Wyłączyła komórkę, rzucając po cichu niecenzuralne przekleństwo.

Nakryto stół do uroczystego śniadania. Zaczęli schodzić się zaproszeni goście. Ktoś przywiózł srebrzysty balon z wielką czterdziestką i uczeplił go na poręczy krzesła przeznaczonego dla solenizantki.

Dzwonek u drzwi wyciszył wszystkie domowe odgłosy. Gdy tylko Norbert wprowadził córkę, zięcia i wnuka do jadalni, dom napełnił się okrzykami radości i śpiewem zgromadzonych biesiadników, z których większość, podobnie jak i sama solenizantka, należała od lat do chóru kościelnego.

Pomimo gościnności i życzliwości Norberta oraz jego żony Eliza cieszyła się, że resztę dnia spędzi już tylko z Adamem, Marleną i Benem. Po południu wybrali się na Manhattan. Zjedli późny lunch w malej kafejce w pobliżu Battery Park i wieczorem nikt nie miał już ochoty na planowaną wcześniej kolację w restauracji. Ku uciesze Bena zamówili najzwyklejszą, ale za to ogromną pizzę z jego ulubioną pepperoni. Dopiero gdy Marlena poszła przygotować Bena do snu, Eliza mogła porozmawiać z Adamem o nowej wersji opowiadania, którą przesłała mu wczoraj mailem.

- Co myślisz o tej formie? - zapytała, okalając dłońmi wypukłość podanego jej kieliszka z koniakiem.

- Sposób, w jaki to zredagowałaś, jest wyjątkowo ciekawy i pewnie bardziej interesujący niż cała moja historia - zaśmiał się.

- Twoja historia jest wystarczająco niezwykła - zapewniła go Eliza. - Tym bardziej zasługuje na ciekawy tytuł. Masz jakieś sugestie?

- Tylko taką, że pierwszy pomysł jest często najlepszy. Migdałowy aromat nie na próżno wkradł się w moje życie - zaśmiał się.

- Wygląda na to, że zaczyna wkradać się i w moje - odpowiedziała Eliza, nie tłumacząc, co dokładnie miała na myśli.

Jej słowa musiały jednak uderzyć w czułą strunę Adama, bo przesiadł się bliżej i dotknął ręki Elizy.

- Cudownie opisałaś nasze pierwsze spotkanie - powiedział. - I moje spotkanie z Marleną też. Gdy czytałem, naprawdę doszedł mnie migdałowy powiew.

Eliza uśmiechnęła się i ścisnęła lekko dłoń Adama. Teraz dopiero w pełni zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo był jej bliski.

Mimo całkowitego zrozumienia i poparcia dla jego decyzji o wyjeździe dzień po dniu przeżywała niedosyt spowodowany nieobecnością Adama. Cieszyła się dzisiejszym wieczorem, tak jak cieszyła się każdą telefoniczną rozmową i każdym listem. Żaden z tych sporadycznych kontaktów ani też wszystkie razem wzięte nie mogły być jednak w żaden sposób ekwiwalentem ich długich nocnych zwierzeń czy zaspokojeniem harmonii ich bratnich dusz i wspólnoty ich umysłów.

- Planuję dopracować jeszcze parę detali w twojej historii, ale teraz chciałabym skoncentrować się na losach mieszkańców Ustronia. W końcu w tym celu tu przyjechałam.

- A jak z twoim drugim celem? Czy wciąż masz zamiar go zrealizować? Mam na myśli Święto Dziękczynienia - wyjaśnił, napotkawszy pytające spojrzenie Elizy.

- Oczywiście. Chcę nadrobić moje ćwierćwiekowe zaległości w pieczeniu indyka i w ogóle w obchodzeniu tego dnia. Jako dziecko zawsze bardzo lubiłam Święto Dziękczynienia, chyba nawet bardziej niż Boże Narodzenie.

- Pomimo braku prezentów? - zażartował Adam.

- Może właśnie dlatego - odpowiedziała.

- Teściowie wybierają się w tym czasie na Florydę, do swoich przyjaciół, ale ja z Marleną i Benem na pewno przyjedziemy i chętnie dołożymy się do kosztów.

- Muszę przyznać, że namówiłam już Fredę, żeby obie z panią Terenią przyleciały w tym czasie do USA. Ma teraz za zadanie przekonać twoją mamę. Zrobiłam to po części dla własnej korzyści, a konkretnie, aby mieć towarzystwo w drodze powrotnej do Polski - wyznała Eliza, nie ukrywając zadowolenia z dobrze ukartowanego planu działania.

- Jesteś genialna! Ben na pewno się ucieszy, chociaż pewnie bardziej z ciotki niż ze swojej babci. Jak udało ci się przekonać Fredę? Kiedy ja próbowałam ją namówić, upierała się, że jeśli jeszcze przyjedzie do Ameryki, to tylko wtedy, gdy znajdziesz tu sobie męża i zaprosisz ją na wesele.

- Cóż to, wszyscy nagle postanowili wydać mnie za mąż? Czy to jakaś powszechna akcja? Z tego, co mówi i jak się zachowuje Greta, wnioskuję, że chce mnie zeswatać z kimś sąsiedztwa.

- Czy chodzi o Harrisa? - wtrącił Adam.

- To i ty jesteś zamieszany w tę znowę? - zapytała Eliza przejęta nieoczekiwaną falą wewnętrznego ciepła, którą poczytała za skutek działania dobrego alkoholu.

Gdy dołączyła do nich Marlena, wzniesli toast za jej czterdziestkę. Usiadła na kanapie, tuż przy pochylonej nad kieliszkiem Elizie i pogłaskała ją lekko po plecach.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś. Pewnie mówiłam ci to już dzisiaj wiele razy, ale naprawdę jesteś moją najwspanialszą urodzinową niespodzianką - zapewniła, a po chwili spytała: - Jak idzie pisanie opowiadania o Ustroniu?

- Jestem dopiero na etapie zbierania materiałów. Staram się robić dobre, gotowe do użycia notatki. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojej pomocy.

- Tyle razy chciałam spalić te listy w kominku, ale widać babcina ręka powstrzymywała mnie gdzieś z zaświatów - zaśmiała się Marlena.

- Wspomniałem właśnie Larry'ego Harrisa - wtrącił Adam. - Chyba jesteśmy winni Elizie wyjaśnienie - dodał, wprowadzając żonę w tok rozpoczętej przed jej przyjściem rozmowy.

Eliza poczuła nagle wypieki na policzkach i wiedziała, że za moment się zarumieni. Adam zaoferował dolewkę koniaku. Przyjęła propozycję bez wahania, sugerując podwójną porcję. Podeszła z kieliszkiem do okna i rozchyliła zasłony, eksponując znaczoną setkami świateł nocną panoramę zawieszonych nad East River mostów.

- To jest twój wieczór, Marlena - powiedziała, nie odwracając głowy. - Naprawdę nie musimy teraz mówić o Harrisie.

- Pewnie już z wcześniejszych listów babci Helenki zorientowałaś się, że Larry był angażowany do pewnych prac w Ustroniu - zaczęła mimo wszystko Marlena. - Chyba z czasem stał się dla jego mieszkańców więcej niż przygodnym pracownikiem. Moja babcia zakumplowała się przy tym z jego ojcem. Może dlatego darzyła Larry'ego szczególną sympatią i nie mogła odżalować, że nie miała w zanadrzu nikogo, z kim mogłaby go ożenić. Wymyśliła, że zeswata go z Elizką, kiedy ta przyjedzie następnym razem. Tak wyszło, że twój następny raz był już po jej śmierci. W ostatnim roku jej życia, gdy przeszłyśmy na korespondencję elektroniczną, traktowała swój plan, powiedziałabym, dość obsesyjnie. Chciałam pousuwać te fragmenty przed wysłaniem do ciebie, ale skoro już się wydało, to zostawię, jeśli chcesz.

- Tak, tak, oczywiście, że zostaw. Nie mam o to żalu. Na pewno babcia miała jak najlepsze intencje. No cóż, wygląda na to, że będę musiała włączyć Harrisów do historii Ustronia.

- Zanim przyjechałaś - podjął Adam - Grzegorz z Barbarą spędzali w Ustroniu swój urlop. Zaprosili nas tam na parę dni. Kiedyś wpadła Greta i doszło do rozmowy na temat niespełnionego planu Helenki.

- Wygląda na to, że Greta pozostała jego wierną misjonarką - odrzekła Eliza z humorem, dopijając pozostałą w kieliszku resztkę koniaku. - Dzięki za wyjaśnienie. Bardzo dużo mi to pomogło, bo już naprawdę nie wiedziałam, co się dzieje.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała Marlena, otwierając szufladkę w stojącym przy kanapie stoliku. Babcia zostawiła mi kilka sznurków pereł. Chcę się z tobą nimi podzielić. Są bardzo stare. Można to poznać po zapięciu. Teraz już takich nie produkują.

Około południa Eliza dotarła na obrzeża Filadelfii i zaparkowała pod budynkiem, który powinna uważać za swój dom rodzinny.

Było to w końcu miejsce, gdzie upłynęła znaczna część jej dzieciństwa w niedotkniętej jeszcze całkowitym rozpadem rodzinie. Barbie, jak zawsze nieskazitelnie zadbana, kończyła właśnie przygotowywanie niedzielnego obiadu złożonego z kilku różnych potraw o niekoniecznie znajomo brzmiących nazwach, ale za to bardzo obiecujących zapachach. Eliza miała pełne zaufanie do jej kulinarnej pomysłowości i cieszyła się, że ceniący dobre jadlo Grzesiek miał szczęście wkraść się w jej łaski. Zdaniem Elizy Barbie miała jeszcze parę innych zalet niezbędnych do utrzymania w ryzach rodziny, której głową był ktoś taki jak jej brat.

Dowiedziała się, że bliźniaki zostały właśnie wysłane po odbiór świeżych pączków zamówionych w polskiej piekarni. Było jej przyjemnie, że pamiętano, jak bardzo je lubiła.

- Od kiedy Kevin i Kayla dostali prawa jazdy i mogą już sami prowadzić samochód, zrobili się nagle niezwykle uczynni i ciągle pytają, czy nie trzeba czegoś załatwić, a najlepiej, gdyby było to w Kalifornii albo na Alasce - oświadczył Grzegorz z wyczuwalną odrobiną właściwej sobie uszczypliwości.

Zaproponował polskie piwo. Eliza zdecydowała się tylko na pół szklanki. Miała przecież dziś jeszcze wracać do domu. Chętnie natomiast zapakowała do torby kilka butelek i wiedziała, że uczyniła to z myślą o Larrym. Usiedli w saloniku.

- Eliza, ten stół i krzesła z jadalni sprzedałem bez twojej wiedzy - oznajmił nagle Grzegorz, zupełnie niepasującym do niego pokutnym tonem. - Mój znajomy, Larry Harris, miał akurat klientów właśnie na taki duży, stary stół z tuzinem krzesel. Jeździł po różnych aukcjach, lecz podobno rzadko się zdarza, aby do kompletu było aż dwanaście krzesel. Żal mi się go zrobiło, no i pomyślałem, że nam nie będą potrzebne, a jeśli już, to można zawsze kupić coś innego.

Eliza miała ochotę zapytać, dlaczego wszystkim zawsze musi być żal Larry'ego, lecz zdecydowała, że bezpieczniej będzie nie dopuścić do rozwijania tego tematu.

- Miałam przyjemność go poznać - powiedziała tylko. - Prosił, aby przekazać ci pozdrowienia. Nawiasem mówiąc, odzyskałam stół i krzesła.

- Odebrałaś mu te meble?

Pytanie Grzegorza pozostało bez odpowiedzi, bo właśnie wróciły bliźniaki z pączkami i domowy klimat w jednej sekundzie zmienił się z umiarkowanego na podzwrotnikowy. Eliza zastanawiała się, gdzie mogły zarazić się taką

żywiolową serdecznością. Ani Grzesiek, ani Barbara nie byli bynajmniej wylewni w uczuciach.

W drodze powrotnej Eliza odwiedziła jeszcze groby na cmentarzu polonijnym i było już ciemno, gdy wróciła do Ustronia. Murzynio kręcił się przy wejściu i z radością wślizgnął się do środka. Rozpakowała torbę i przebrała w piżamę bardziej dla wygody niż z potrzeby udania się na spoczynek. Nie czuła się senna. Postanowiła, że jeszcze popracuje. Pamiętała, aby zadzwonić do Larry'ego, lecz nie uważała tego za priorytet. W końcu przerwał rozmowę bez słowa pożegnania. Zrobiwszy sobie herbaty, pomyślała, że najlepiej będzie smakowała z przywiezionymi z Filadelfii pączkami. Przerażliwy dźwięk kuchennego telefonu brutalnie wdarł się w jej cichy ceremoniał delektowania się nadgryzionym już specjałem. Przełknęła pospiesznie smakowity kęs i podniosła słuchawkę.

- Ciesze się, że szczęśliwie dojechałaś, no. Jak podróż?

Ton głosu Greta był grzeczny, ale niespecjalnie radosny. Eliza nie była pewna, czy ma zacząć opowiadać o podróży, czy też najpierw zapytać, o co naprawdę chodzi. Wybrała to drugie.

- Pan Harris, to znaczy ojciec Larry'ego, zmarł dzisiaj - odpowiedziała Greta. - Pomyślałam, że może chciałabyś to wiedzieć. Wystawienie trumny jutro w domu pogrzebowym. Larry zdecydował, że ojciec będzie w zamkniętej, bo bardzo źle wyglądał. Wybieramy się tam z Robertem. Pogrzeb we wtorek, ale prywatny, tylko dla najbliższych.

- Zabierzecie mnie ze sobą? Jak pan Harris miał na imię?

- No pewnie, no. Bądź gotowa o szóstej trzydzieści wieczorem. A pan Harris też nazywał się Larry. Ten twój Larry... Przepraszam, Eliza, nie wiem, dlaczego tak mi się powiedziało...

Po rozmowie z Adamem Eliza dobrze wiedziała dlaczego i roześmiałyby się najpewniej, gdyby nie powaga sytuacji.

- Och, nie ma sprawy - odrzekła uprzejmie.

- No, ten nasz Larry - poprawiła się Greta - to jest naprawdę Larry Junior. Tak ma zapisane w papierach. A jego ojciec był obłożnie chory od kilku miesięcy i w ostatnich tygodniach to już w hospicjum musiał leżeć. Larry tam często do niego jeździł.

Eliza zanotowała nazwę i adres domu pogrzebowego. Zaraz po rozmowie z Gretą włączyła komputer i zamówiła dość drogą wiązaną z dostawą. Poczuli się winni, że wcześniej nie spytała Larry'ego o więcej szczegółów, gdy dowiedziała się, że stary farmer był jego ojcem. Zanim zabrała się do listów Helenki, pomodliła się za duszę człowieka wagi.

Rozdział IV

Jasny punkt

Po dwudniowej przerwie trzeba było wyraźnie zwiększyć tempo pracy. Do południa udało się Elizie przeanalizować i opracować dwa listy. W jednym z nich znalazła oczekiwaną wzmiankę o książkowych wieczorkach Giny. Była już wcześniej ciekawa, czy doszły do skutku.

Kochana Wnuczko,

człowiek, aby był szczęśliwy, musi na coś czekać, mieć przed sobą jakiś jasny punkt. Młodym pewnie nie przeszkadza, jeśli ten punkt jest daleko na horyzoncie. W naszym przypadku musi być tuż - tuż. Coraz rzadziej wybieramy się gdziekolwiek indziej niż do sklepu, lekarza czy kościoła. Wiesz, na co najbardziej teraz czekamy? Na te nasze jesienne wieczory w Ustroniu, które teraz wyglądają tak: poniedziałki - brydż, wtorki - scrabble, środy - telewizja, czwartki - krzyżówki, a w piątki - czytanie. Gina czyta nam Trylogię Sienkiewicza. Na początku byliśmy sceptyczni. Henry stwierdził, że po tym, co Gina wcześniej powiedziała, czuje się trochę tak, jakby mama czytała mu na dobranoc, ale może w tym właśnie tkwi cały urok.

Pracując intensywnie przez całe popołudnie, Eliza nie zostawiła sobie zbyt wiele czasu na przygotowanie do wizyty w domu pogrzebowym. Dopracowywała jeszcze upinanie włosów, gdy Greta zatelefonowała, że wyjeżdżają.

Dom pogrzebowy był sporym murowanym budynkiem z obszernym parkingiem. Weszli do środka. Widok tabliczki z napisem „Larry Harris” przy otwartych drzwiach sali przejął Elizę nieprzyjemnym dreszczem. Larry Junior, zajęty rozmową z mężczyzną w koloratce, stał odwrócony tyłem do wejścia. Jego misternie spleciony warkoczek spoczywał na marynarce z ładnie wyprawionej czarnej skóry.

Eliza podążyła za Gretą i Robertem w kierunku sporej grupki osób, w której rozpoznała jedynie Nicole i Marcusa. Zauważywszy, że się znają, Robert przedstawił jej jedynie pozostałe osoby. Kilka z nich nosiło nazwisko Harris i z pewnością byli ze sobą spokrewnieni. Złożywszy ogólne kondolencje, odeszła, aby przyjrzeć się poustawianym wokół trumny wiązankom, dyskretnie wypatrując tej, którą wczoraj zamówiła. Była warta ceny i zdecydowanie górowała nad większością pozostałych. Eliza poczuła się z tego powodu trochę niezręcznie.

Gdy wpisywała kondolencje, pochylona nad księgą gości, usłyszała znajomy głos:

- Jak miło, że przyszliście. Jestem naprawdę wdzięczny. Słowa skierowane były do Greta i Roberta. Larry nie od razu zauważył Elizę. Gdy podeszła, jak przy ich pierwszym spotkaniu przytrzymał jej rękę w dłoniach dłużej, niż to zwykło się robić. Podziękował w imieniu rodziny za piękną wiązanekę. Eliza nie miała pojęcia, kto należał do jego rodziny. Zdała sobie sprawę, jak naprawdę niewiele wiedziała o Larrym.

- Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca. Kupowałam, to znaczy wszyscy kupowaliśmy u niego świeżutkie warzywa praktycznie za grosze. Może nikt mu nigdy nie mówił, jak bardzo jego stragan był doceniany. Wiązanka jest nie tylko ode mnie, ale i od wszystkich byłych mieszkańców domu - powiedziała usatysfakcjonowana dorobionym naprędce usprawiedliwieniem.

- Mieszkańców Ustronia - poprawił ją.

Skinęła głową i uśmiechnęła się nieznacznie, zaskoczona, że znał tę nazwę. Chociaż starała się patrzeć poza obręb twarzy swojego rozmówcy, podświadomie czuła, że czekał na jej spojrzenie, i nie była pewna, jak ma zareagować. Czyjś głos przerwał ich rozmowę, prosząc zebranych, aby zajęli

miejsca na krzesłach ustawionych w kilka rzędów. Phillipsowie i Eliza wyszli zaraz po zakończonej modlitwie.

Po powrocie do Ustronia Eliza przebrała się w dres, przyniosła z zewnątrz kilka kawałków drewna i rozpałała w kominku. Na dworze było już ciemno i czuło się lekki chłód wrześnieowego wieczoru. Jadła kolację na małym stoliku w salonie, spoglądając w tańczące płomyki ognia. Włączyła telewizor. Po serii reklam rozpoczął się jakiś film, lecz nie zapamiętała nawet jego tytułu. Przyjemnie odczuwała swój rozluźniony kontakt z otoczeniem i tylko z poczucia obowiązku starała się rozbudzić w sobie wypróbowany wielokrotnie, z dobrym skutkiem, system samokontroli. Tym razem system ten nie dawał się jednak uruchomić, a powodem tego był Larry Harris Junior. Raz po raz powracały kadry z dzisiejszego wieczoru. W każdym z nich obecny był Larry: jego plecy w czarnej marynarce, zbliżenie na drobno spleciony warkoczyk. Larry z duchownym gdzieś na peryferii zasięgu jej wzroku, jej ręka w łódeczce jego dłoni, zbliżenie na dłoń, Larry tak blisko, że mogłaby go objąć w geście kondolencji, ale tego nie zrobiła, zbliżenie na rozpięte pod szyją guziki jego koszuli...

Kim miał być dla niej ten człowiek: podrzuconą przez los nieszkodliwą jesienną przygodą, obsesją kilku zapaleńców, spóźnionym pretendencie do jej ręki czy może narzędziem jakiejś kolejnej złośliwości jej losu? Jednego była pewna: Larry Harris był intrygująco przystojny i chociażby z tego tylko powodu wart chwili platonicznego odurzenia. Przemknęła jej myśl, żeby zaprosić go na Święto Dziękczynienia.

Eliza obudziła się przy głosach prezenterów porannego programu w telewizji. Przez ażurowe ornamenty naciągniętej na twarz szydełkowej narzuty prześwitywały wpadające przez wielką szybę w suficie nikle promienie porannego słońca.

Spała bez poduszki i bolała ją szyja. Zerwała się, aby sprawdzić kominek. Wielkie polana spaliły się, zostawiając po sobie kupkę popiołu. Wyłączyła telewizor. Postanowiła zacząć dzień od poprzedzonego krótką sesją ćwiczeń długiego, gorącego prysznic. Kombinacja jogi i terapii wodnej zdała egzamin. Eliza poczuła się znacznie lepiej. Rozłożyła się z pracą na stole w jadalni. Murzynio usadowił się u jej stóp.

Podjęliśmy decyzję, że zostajemy na święta w Ustroniu i spędzimy je we czwórkę. To przecież jest nasz wspólny dom. Lepiej nie planować podróży, gdy w prognozie ślizgawice, a może nawet i śnieżyce. Byliśmy na zakupach w Filadelfii, bo w tutejszych sklepach nie można dostać składników do tradycyjnych polskich potraw. Zajechaliśmy też do polonijnej parafii po opłatki. Myśleliśmy, że wszystko już mamy, a tu rano w Wigilię okazuje się, że nie kupiliśmy buraków na barszcz. W naszym supermarkecie mieli je tylko w puszkach. Zaraz zadzwoniłam do Annie. Powiedziała, że nigdy nie gotuje niczego z buraków. Bardzo natomiast interesowała ją nasza tradycja kolacji wigilijnej. Zdziwiła się, że jest bezmięsna, ale okazało się, że może oni też dzisiaj będą jedli rybę, bo Bobby pojechał z kolegami powędkować. Oddzwoniła wkrótce z wiadomością, że pan Harris ma jeszcze u siebie trochę czerwonych buraków i jego syn zaraz je nam przywiezie.

Nawet w tej najbardziej prozaicznej oprawie wzmianka o Harrisach wzbudziła w Elizie falę podekscytowania. Poczuli się tym poważnie zaniepokojona.

- Musisz przestać zachowywać się jak zakochana smarkuła! - wykrzyknęła, w pełni świadoma, że przemawia wyłącznie do siebie.

Wziąwszy głęboki oddech, czytała dalej:

Przy okazji dowiedzieliśmy się, że nieżyjąca już żona pana Harrisa seniora była polskiego pochodzenia. Kiedy jeszcze

mieszkała z nimi jej matka, to w wieczór wigilijny robiła kluski z makiem i zupę z suszonych śliwek. Tak oto trafili się nam niespodziewani goście, bo zaprosiliśmy Harrisów na Wigilię. Gdy Bobby wrócił z niezłym połowem, Annie kazała mu oddać nam wszystkie ryby. Na szczęście były już oczyszczone. Walter zaraz złapał za telefon i zaprosił Phillipsów. Rozłożyliśmy stół, co wyszło na dobre, bo na koniec okazało się, że drugi syn pana Harrisa, Daniel, który mieszka w Waszyngtonie z żoną i córką, zamiast nazajutrz rano, zjawił się z żoną i córką w wigilijny wieczór. Gdy Harrisowie oznajmili, że z tego powodu nie przyjdą, Henry zaprosił wszystkich pięcioro. Na szczęście przygotowaliśmy wieczerzę w ilości wystarczającej do nakarmienia amerykańskiej armii. Muszę powiedzieć, że dzielenie się opłatkiem zrobiło na naszych gościach ogromne wrażenie. Jak widzisz, nasza Wigilia była pełna niespodzianek i bynajmniej nie mam tu na myśli gwiazdkowych upominków. Zdecydowaliśmy się nie robić prezentów. Gina rzuciła hasło, aby pieniądze, które mielibyśmy na nie przeznaczyć, zawieźć w darze schronisku dla zwierząt. Wszyscy się zgodzili. Znowu niespodzianka: gdy tam zajechaliśmy, ktoś akurat przyjechał z parką papużek, których właściciel zmarł, ale okazało się, że schronisko nie przyjmuje ptaków. Gina zapalała chęcią ich posiadania i obiecała trzymać je u siebie w pokoju. Jednak już po pierwszej nocy trzeba było postawić klatkę w salonie, bo ptaszki nad ranem okrutnie krzyczały. Tak więc święta spędzaliśmy dodatkowo w towarzystwie niebieskiego Napoleona i zielonej Marysieńki.

Eliza odłożyła list i zanim sięgnęła po następny, przez długą chwilę trwała w zamyśleniu, wczuwając się w atmosferę tamtego niezwykłego wieczoru i przeżyć jego bohaterów.

Szanse na wykonanie tygodniowego planu - jak się wydawało - malały z każdym dniem. Gdy zasiadła do

komputera, na dworze rozpadał się deszcz. Wstała, aby wpuścić Murzynia. Nie lubił takiej pogody. Słusznie przewidziała, że będzie czekał pod drzwiami. Ukończywszy notatki, odczytała kolejny list.

Ed mówił, że na wiosnę będą poszerzać drogę i mają przeznaczyć na to trzy stopy od strony północnej. Wszyscy, to znaczy my, Phillipsowie i Harrisowie, jesteśmy po tej właśnie stronie, więc nasze posesje zmniejszą się o ten kawałek. Największy problem mają Harrisowie, bo jeden z ich budynków gospodarczych i tak już stoi bardzo blisko szosy.

Teraz, Marlenko, trzymaj się mocno krzesła, żebyś nie spadła. Larry Harris zaprosił mnie na tańce z okazji walentynek do swojego klubu weteranów wojennych. To nie było tak zupełnie ni z tego, ni z owego. Dużo rozmawialiśmy o polskich tradycjach, a potem, jak się dowiedziałam, że walczył w Korei, wyciągałam z niego parę opowieści. Wiesz przecież, jak mnie ten temat interesuje. Któregoś razu przywiózł mi kilka filmów wojennych. Jeden obejrzelśmy nawet razem. Już widzę, jak się uśmiechasz, gdy to czytasz. Nie, nie trzymał mnie za kolano ani nic z tych rzeczy. Poza tym jestem od niego siedem lat starsza.

Eliza pomyślała, że ten epizod najlepiej prezentowałby się w formie dialogu, i próbowała wyobrazić sobie konwersację Helenki z farmerem i weteranem wojennym Harrisem. Zapisała w notatkach kilka wersji. Ogarnęło ją poczucie senności i wiedziała, że musi zwalczyć je kubkiem mocnej kawy. W drodze do kuchni chwyciła stojący na stole w jadalni pusty już wazon po różach. Fala ciepła, która przeszła przez jej dłonie i spłynęła na resztę ciała, nie była bynajmniej efektem przekwitania. „Zwariowane, zupełnie zwariowane uczucie” - pomyślała, odwracając naczynie nad zlewem, aby opróżnić je z resztek wody.

Twoja babcia, Marlenko, okazała się królową parkietu. No, niezupełnie to moja zasługa, bo Larry wspaniale ją prowadził. Pytałam, gdzie się tego nauczył, ale on upierał się, że po prostu ma wrodzony talent. Ach, jeszcze nie wiesz, że pojechaliśmy dużą grupą, bo udało nam się namówić resztę mieszkańców Ustronia i Phillipsów. Walter wygrał na loterii ogromne, czerwone, pluszowe serce. Nie muszę ci chyba pisać, komu je ofiarował. Henry nie był tam jedynym singlem, więc szybko znalazł kompanów przy barze. Jeśli zdrowie pozwoli, to co roku będziemy tam jeździć na walentynki. Pytałam Larry'ego, jak spędzali ten wieczór jego synowie...

Napływająca znów ciepła fala podniecenia postawiła Elizę w stan pogotowia wymagający natychmiastowej akcji. Odłożyła list i nie założywszy nawet obuwia, wyszła na zewnątrz. Pobieгла boso wzdłuż żwirowej alejki, ignorując deszcz i zimne, mokre kamyki, które raz po raz dawały jej stopom znać, że nie były do tego celu najlepszym podłożem. Zrobiła dwie pełne rundy i gdy przysła do domu, była zupełnie przemoczona. Przebrała się w suche ubranie i wytarła włosy ręcznikiem. Deszczowa płukanka nadała im puszystości i mocniej uwidoczniła delikatne, naturalne pofalowanie. Eliza, uspokojona, powróciła do czytania listów.

Przy tej okazji dowiedziałam się, że Larry Junior wreszcie ma kogoś przez dłużej niż miesiąc. Wszystkie w jego wieku już powydawały się za mąż, a te młode jakoś się nie trzymają. Z Michelle poznali się na jakiejś aukcji. Mają przynajmniej wspólne zainteresowania, bo ona prowadzi spory sklep z obrazami i antykami w Dover. Jest sporo od niego młodsza, ale na razie jakoś się dogadują. Mieli iść na wieczorek taneczny do tej nowej restauracji...

Eliza odebrała informację Helenki ze względnym spokojem i zaniechała kontemplowania wizji Larry'ego

obłapującego w tańcu jakąś Michelle. Przyjęła to za pomyślny rezultat deszczowej kuracji.

Larry (starszy) przychodzi do nas już regularnie w poniedziałki na czwartego do brydża. W niedzielę wybieram się z nim na ryby. Próbuję chyba dowieść, że ludzie w moim wieku to nie jest jakiś gorszy, upośledzony gatunek. To po prostu kolejna faza rozwoju. Szkoda tylko, że ostatnia.

Znowu kwitną bzy, Marlenko...

Czytanie następnego listu przerwała dochodząca z kuchni melodyjka komórki. Eliza spojrzała na zegar ścienny ze wskazówkami w kształcie sztuców. Widelec wskazywał piątkę, a czubek noża zbliżał się do dwunastki. Znalazła telefon przy zlewie. Dzwonił Larry.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Świetnie, dziękuję, a ty? - odpowiedziała usatysfakcjonowana poziomem „normalności” tonu swojego głosu.

- Ja również. Słuchaj, Eliza, wybieramy się z Danielem, to jest moim bratem, do meksykańskiej restauracji. Chcielibyśmy cię zabrać, gdybyś miała ochotę nam towarzyszyć. Możesz być gotowa za godzinę?

Po całodziennym wygłodzeniu i znużeniu pracą perspektywa dobrej kolacji była kusząca, a element zaciekawienia propozycją ekscytował wystarczająco, by Eliza uznała ją za nie do odrzucenia. Nie miała zbyt wiele czasu na przygotowanie. Wyciągnęła z szafy nowiutkie dżinsy. Włożyła swój ulubiony sweterek - niebieski z rozłożystym golfem - duże, turkusowe kolczyki i granatowe drewniaki. Stała przed lustrem. Wciąż puszyste po deszczowej kąpieli włosy wyglądały ciekawie i postanowiła ich nie związywać.

Dokładnie o osiemnastej zajechał pod dom duży, szary lexus. Eliza narzuciła wiatrówkę z kapturem i złapała torebkę. Larry otworzył przednie drzwi, by usiadła na siedzeniu

pasażera, obok prowadzącego samochód Daniela. Nie przedstawił ich sobie, zakładając pewnie, że poznali się już wcześniej w domu pogrzebowym.

Eliza rzeczywiście go kojarzyła, stał z kilkoma osobami przy trumnie. Nie pomyślała wtedy, że był synem zmarłego. Wcale nie przypominał brata. Był tęższy i prawie całkiem już wyłysiały.

- Dziękuję za zaproszenie. Sprawilo mi prawdziwą niespodziankę - skierowała słowa do obydwu.

W restauracji usadzono ich w rogu sali, którą oświetlały jedynie poustawiane na stołach lampioniki i sporadyczne, przyćmione światła na suficie.

- Napijesz się wina? - zapytał siedzący po lewej stronie Larry.

- Tylko jeśli będziecie mi w tym towarzyszyć - odpowiedziała dyplomatycznie.

Siedzący naprzeciw niej Daniel dał znak ręką, że odmawia.

- Dziękuję, muszę nas wszystkich bezpiecznie odwieźć do domu - dodał. - Zadowolę się szklanką wody.

Eliza odwróciła głowę w kierunku Larry'ego w oczekiwaniu odpowiedzi.

- Zamówię małą butelkę merlota - powiedział z nieznacznym uśmiechem, nie spuszczać z niej swojego zielononiebieskiego spojrzenia, którym pewnie ogarniał ją już od jakiegoś czasu.

Rozmawiali o dzisiejszym pogrzebie oraz wizycie Daniela i jego rodziny. Żona z córką musiały wrócić do Waszyngtonu, a brat Larry'ego zostaje jeszcze do końca tygodnia, aby pomóc mu uporządkować pewne sprawy.

- Jak często odwiedzasz swoje rodzinne strony, Danielu? - zapytała Eliza. - Chyba mogę ci mówić po imieniu?

- Oczywiście, nie wyobrażam sobie inaczej. Ostatnio, gdy ojciec był już obłożnie chory, przyjeżdżałem niemal każdej niedzieli. Rodzina rzadko mogła mi towarzyszyć, bo żona udziela się w kościele, a Samantha, nasza córka, choć wciąż mieszka z nami, ma swoje własne życie i przy tym często koncertuje w weekendy. Gra na wiolonczeli w orkiestrze symfonicznej - wyjaśnił z nieukrywaną dumą. - Mimo to nie zrobiłem dla ojca nawet cząstki tego, co Larry.

Oczy zaszkliły mu się i otarł je serwetką. Gdy skończyli posiłek, zamówił kawę. Larry i Eliza dopijali resztę wina.

- Musimy ci coś zakomunikować - zaczął Daniel, spoglądając na postawioną właśnie przed nim filiżankę. - Pojutrze idziemy z bratem do kancelarii prawnej na odczytanie testamentu naszego ojca. Prawnik poinformował nas, że w zapisie jest jeszcze jedna osoba i prosił, aby również się stawiła. Tą osobą jesteś ty.

Eliza poczuła, jak impuls paniki ustawia jej zmysły w stan pogotowia.

- To nieprawdopodobne - wyszeptała. Uniosła do ust kieliszek z resztką wina.

- Czy macie jakieś domysły? Przecież nie miał najmniejszego powodu czegokolwiek mi zapisywać! Parę razy kupowałam u niego pomidory, to wszystko.

- Eliza, jeśli wolno mi zrobić takie spostrzeżenie, to też nie miałaś powodu kupować mu na pogrzeb tak wielkiej wiązanki, a jednak to zrobiłaś. Czy miałaś jakieś przeczucie?

- Jesteś z FBI? - zażartowała, trochę już zrelaksowana winem.

- Tak się składa, że akurat tam właśnie pracuję, ale to nie ma nic do rzeczy. Sprawa jest rodzinna i całkowicie prywatna. Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Po prostu myślę, że powinniśmy być w tej sytuacji ze sobą szczerzy.

- Absolutnie - odpowiedziała. - To ja przepraszam, że tak pochopnie wyskoczyłam z tym FBI. Ponieważ sprawa dotyczy również i mojej osoby, też chciałabym wiedzieć, czemu to zawdzięczam.

Eliza cieszyła się, że rozmowa toczyła się wyłącznie między nią a Danielem. Czuła się przez to swobodniej i mogła bardziej kontrolować konwersację. Larry przeprosił ich, informując, że wychodzi na papierosa.

- Mój brat wspomniał, że zbierając materiały do książki, korzystasz z listów Helen Wilczek - kontynuował Daniel i Eliza pomyślała, że Larry musiał dowiedzieć się tego od Grety. - Skądinąd wiadomo nam również, że Helen w ostatnich latach życia przyjaźniła się z naszym ojcem. Osobiście widzę ją jako jedyne ogniwo między nim a tobą. Czy Helen kiedykolwiek pisała o jego woli przekazania ci czegokolwiek po śmierci? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

- Przede wszystkim nie pisała tych listów do mnie. Nie mogę nawet powiedzieć, że dobrze znałam Helen. Poza tym nie przeszłam jeszcze pewnie przez połowę jej listów do wnuczki.

Jeśli Eliza rzeczywiście miała być szczerą z Harrisami, teoretycznie powinna wspomnieć o planach Helenki wobec niej i Larry'ego. Niewykluczone, że Helena dyskutowała o nich ze swoim przyjacielem. Mogłoby to jednak postawić ją i Larry'ego w ogromnie niezręcznej sytuacji i dlatego nie wchodziło w grę na tym etapie. Postanowiła odbić piłeczkę:

- Jestem trochę zaskoczona, że tyle wiadomo wam na temat mojej pracy. W końcu ledwo się znamy - powiedziała, odważnie przejmując kontrolę.

- Przepraszam, jeśli nadużyłem informacji. Sądziłem, że znacie się z Lanym dość dobrze - odparł Daniel z pewnym zakłopotaniem.

Eliza uśmiechnęła się nieznacznie. Zaczynała bawić ją ta dziwna gra.

- Skąd takie przypuszczenie? - zapytała.

- Myślałem, że spotykacie się od jakiegoś czasu. Takie odniosłem wrażenie. Chcę powiedzieć, że to byłoby naturalne. Jeśli Larry podzielił się ze mną czymkolwiek na temat twojego pisania, to stało się to też naturalnie, nie brzmiało jak żadna sensacja. Eliza, ja widzę, że mój brat jest tobą zauroczony, ma to wypisane na czole wielkimi literami. Teraz, kiedy cię poznałem, wcale mu się nie dziwię. Jesteś bardzo atrakcyjna i równie inteligentna, a do tego jeszcze biegle władasz dwoma językami.

- Czyli idealny materiał na agenta specjalnego. Nie znalazłbyś czegoś dla mnie w swojej „firmie”? - Eliza uśmiechnęła się szeroko, z nadzieją zamaskowania wyrazu zaskoczenia niespodziewanym oświadczeniem Daniela.

- Nie dodałem jeszcze, że masz ciekawe poczucie humoru. Tym stwierdzeniem ostatecznie rozbroił ją z tarczy, za którą do tej pory usiłowała ukryć swoją ostrożność. Zdecydowała się powiedzieć mu o zamiarach Helenki.

- Dobrze, Danielu, to tylko między tobą a mną... Pod koniec życia Helen postawiła sobie za cel ożenić twojego brata ze mną. Dowiedziałam się o tym niedawno od osób, które usiłowała wciągnąć do swojej misji. Z pewnością jednym z nich był wasz ojciec. Jest dla mnie zagadką, dlaczego i w jaki sposób zamierzała do tego doprowadzić. Nie chciałabym, aby Larry się o tym dowiedział. I tak już czuję się wystarczająco skrępowana całą sytuacją.

- Możesz być pewna, że to zostanie między nami. Dziękuję, że mi zaufałaś.

Daniel wydawał się uspokojony tą informacją. Wymienili numery telefonów. Larry wrócił i zapłacił leżący już na stole rachunek. Eliza chciała zwrócić swoją część, ale stanowczo

zaprotestował. Daniel poszedł jeszcze do toalety. Eliza i Larry czekali na niego w przedsionku restauracji.

- Dziękuję za obiad i interesujący wieczór - powiedziała.

Larry ujął jej dłoń i nieoczekiwanie uniósł na wysokość swoich ust, po czym delikatnie, niemal z namaszczeniem, przycisnął do warg jej palce. Znajoma fala ciepła, którą Eliza tak skutecznie zwalczała w ostatnich dniach, opłynęła ją od stóp do głów. Była pewna, że się rumieni, i czuła wdzięczność dla właścicieli lokalu za mocno przyćmione światło.

Wracali w deszczu. Larry odprowadził Elizę do drzwi Ustronia pod wielkim parasolem Daniela. Zaczekał, aż otworzyła zamek.

- Dobrej nocy - powiedział, dotykając lekko jej ramienia.

- Zdzwoniemy się jeszcze w sprawie piątku.

Eliza rzuciła kurtkę oraz drewniaki na podłogę i padła na różową kanapę Reginy. Próbowwała pozbierać myśli i poszufladkować doświadczenia dzisiejszego wieczoru. Brakowało jej informacji. Miała nadzieję znaleźć je w listach Helenki. Wiedziała, że jak najszybciej musi się z nimi uporać. Z tą myślą usnęła na kanapie.

Eliza wstała dość późno i do przerwane poprzedniego dnia czytania wróciła dopiero wczesnym popołudniem.

Znowu kwitną bzy, Marlenko. Teraz nawet już ładniej i pełniej, bo krzaczki zadbane, okopane i nawiezione. W nas, niestety, mieszka już bardzo późna jesień. Musimy być coraz bardziej pomysłowi, żeby jakoś funkcjonować. Okulary od dawna mamy pozawieszane na tasiemkach i chodzimy w tych „naszyjnikach” cały dzień, bo jak raz się zdejmie i gdzieś położy, to potem istny cyrk z szukaniem. Gina doczepiła do swoich kluczyków samochodowych urządzenie, co reaguje na gwizdek, bo ostatnio nie było tygodnia, żeby się gdzieś nie zawieruszyły. Porozwieszaliśmy wyjątkowo przeraźliwe gwizdki we wszystkich pomieszczeniach, nawet w pralni, nie

tylko do szukania kluczyków, ale i na wypadek gdyby ktoś potrzebował pomocy.

Farbujemy sobie nawzajem z Giną odrosty kolorem ciemniejszym o ton lub dwa, aby głowa nie wyglądała tak, jakby włosy unosiły się nad nią na półtora cala. Trudno oceniać własny wygląd, ale jeśli ludziom w naszym wieku wydaje się, że wyglądają o dziesięć lat młodziej, to tylko świadczy o tym, jak bardzo popsuł im się wzrok. Skoro jestem przy temacie oczu, to muszę wspomnieć, że Larry zawiózł mnie ostatnio do okulisty, bo od jakiegoś czasu martwiła mnie powiększona prawa powieka. Doktor roześmiał się i powiedział, że prawa jest akurat normalna, a tylko lewa mi się mocniej zapadła. Chciałam się dowiedzieć, czy potrzebna będzie operacja, a on znowu się śmieje i pyta, czy plastyczna. Nie dotarło do mnie od razu, że to normalny objaw starzenia.

Eliza założyła sweter i w towarzystwie Murzynia wyszła na krótką przechadzkę po obejściu. Idąc z powrotem w kierunku domu, ujrzała oparte o ścianę przy wejściu duże, płaskie pudełko. Musiała go nie zauważyć, gdy wychodziła. Wniosła pakunek do środka i ułożyła na stole w jadalni. Nie był zaadresowany ani podpisany. Ostrożnie poprzecinała taśmę, po czym rozchyliła tekturę. Dwa bażanty, które na poprzednim obrazie zostały uwiecznione w locie, usiadły teraz na opustoszałym, późnojesiennym polu. Masywna drewniana rama była zbliżona stylem do poprzedniej i równie okazała. Wszystkie oczekiwania Elizy zostały dokładnie spełnione. Wybrała numer komórki Larry'ego.

- Chyba nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego obrazu. Mam teraz wspaniały komplet. Ile jestem ci winna?

- Nic nie jesteś mi winna, chyba że zechcesz poczęstować mnie domowym obiadem - zaśmiał się i po chwili usprawiedliwił, że żartował. - Po prostu przyjmij go ode mnie w podziękowaniu - skwitował.

- Za co? - zapytała zdziwiona. Odpowiedział dopiero po krótkiej ciszy.

- Powiedzmy, że za przyjemność spędzenia wieczoru w twoim towarzystwie.

Eliza wiedziała, że Larry czekał teraz na jej reakcję. Nie chciała znów nieopatrznie spalić budującego się między nimi mostu, ale też nie była jeszcze gotowa, aby oficjalnie uczynić go dwukierunkowym. Skutecznym wyjściem z sytuacji mogła być jedynie zmiana tematu.

- Dostałam list od prawnika. Mam wszystkie informacje. Będę tam jutro o dziesiątej - powiedziała.

Ta krótka rozmowa wprowadziła ją w stan melancholii, z której tym razem nie miała najmniejszej ochoty się wydostać. Zabrała się do pracy dopiero po lunchu.

Kochana Marlenko,

zaczęły się poważne roboty z poszerzaniem drogi. Cała okolica pachnie już od kilku dni świeżym asfaltem. Nas to specjalnie nie dotknęło. Musieliśmy jedynie przesunąć skrzynkę na listy, natomiast chlew Harrisów znalazł się bardzo blisko drogi. A że młodszy Larry nosił się z zamiarem otworzenia sklepu z antykami i różnymi osobliwymi starociami, to podrzuciłam mu myśl, żeby zaadaptował budynek na ten cel. Mógłby również sprzedawać tam swoje obrazy, bo naprawdę całkiem nieźle maluje. Annie mówiła mi, że studiował nawet w MICA, no, wiesz, tej akademii sztuk pięknych w Baltimore.

Eliza odłożyła list i wstała od stołu. Przyjrzała się dokładnie obrazom. Niewielki znak, który został umieszczony w prawym dolnym rogu i który początkowo wzięła za celtycki ornament, był w istocie monogramem, ciasnym splotem trzech liter: LHJ. Prawdopodobieństwo, że stał za nimi Larry Harris Junior uznała w świetle nowych informacji za niemal stuprocentowe. Może powinna zadzwonić do niego i

powiedzieć... Co powiedzieć? Że zabawiła się w detektywa i wykryła jego artystyczną edukację? Wróciła do listów Helenki.

Martwię się o Larry'ego. Wiem, że czymś się dręczy, ale nie chce mnie tym obarczać. Mówi, że to nie ma nic wspólnego z nami. Martwię się też o Ginę. Zostawia rzeczy w dziwnych miejscach i nie pamięta, że je tam położyła. Któregoś razu rozpakowywała zakupy i zamiast do zamrażalnika, włożyła mrożone brokuły do szafki. Zauważyliśmy to dopiero, gdy z szuflady zaczęła kapać woda. W zamrażalniku natomiast znalazła się zaginiona od paru dni proteza jej dolnej szczęki. Coraz częściej też nazywa Ustronie Migdałowem. Gina zdaje sobie sprawę, że mogą to być objawy choroby Alzheimera, a pozostałym to słowo nie chce jeszcze przejść przez gardło.

Eliza zjawiała się w kancelarii prawnej krótko po dziesiątej rano. Mężczyzna w średnim wieku i dobrze skrojonym garniturze wskazał jej miejsce przy stoliku w poczekalni, informując, że Larry i Daniel są już w gabinecie mecenasa. zaproponował kawę, na którą chętnie przystała. Nie przedstawił się. Może był współnikiem mecenasa, a może sekretarzem w firmie. Wiedział, że przyjechała z Europy, żeby zbierać materiały do książki.

- Ja też w przeszłości zajmowałem się pisaniem, jednak nie udało mi się niczego wydać - poinformował zdawkowo, ukazując w aktorskim uśmiechu rząd bardzo równych zębów.

Eliza nie podtrzymywała tego tematu, więc przerzucił się na kawę.

- Jak smakuje? To moja specjalna mieszanka.

- Bardzo dobra, dziękuję.

- Pani tu nowa, więc jeśli lubi pani dobrą kawę, to chętnie polecę najlepsze miejsca w okolicy. Proszę tylko zadzwonić do naszego biura i poprosić o Lestera.

„Czy to jakieś babskie bezrybie, czy to ja prezentuję się rzeczywiście tak atrakcyjnie, jak mi wmawiał Daniel?” - zastanawiała się Eliza, popijając specjalność Lestera.

Miała nadzieję, że jej batystowa bluzka nie była zbyt przezroczysta. Na wszelki wypadek zapięła guziki żakietu, gdy Lester poszedł odebrać telefon.

Wreszcie poproszono ją do gabinetu. Larry i Daniel wstali z krzeseł. Mecenas wyszedł zza biurka i przedstawił się jako George Parker, przypieczętowując znajomość profesjonalnym uściskiem dłoni. Wyglądał jak dużo starsza wersja Lestera. Domyśliła się, że był jego ojcem. Daniel zapytał Elizę, czy chciałaby, aby wyszli do poczekalni.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedziała i wszyscy usiedli na miejsca.

Czuła na sobie wzrok Larry'ego. Cieszyła się, że zapięła żakiet.

Mecenas odczytał formułkę, z której wynikało, że Larry Harris przedłożył ten oto testament na jego ręce, będąc w pełni świadomości i sprawności umysłowej. Wolą zmarłego było przeznaczenie czterech tysięcy dolarów pani Elizie Mazurek jako należności za przetłumaczenie na język angielski i opracowanie pisanych w języku polskim pamiętników jego teściowej. Do przekazania zeszytów, udzielania niezbędnej pomocy w opracowaniu oraz wypłaty zaliczki i reszty wynagrodzenia po zakończeniu pracy Larry Harris wyznaczał swojego syna, Larry'ego Harrisa Juniora. Formularz umowy był już przygotowany. Eliza poprosiła o kopię i tydzień do namysłu. Ogarnęło ją wzruszenie niecodziennym życzeniem starego farmera, lecz poza przypadkowym momentem kolizji jej wzroku ze spojrzeniem Larry'ego czuła się całkowicie opanowana.

Dała się namówić Harrisom na kawę. Daniela czekało kilka godzin za kierownicą i potrzebował prawdziwie mocnej wersji tego napoju.

- Co myślisz o całej sytuacji - zapytał, gdy usiedli przy stoliku. Oparłszy łokcie o blat, Eliza ukryła twarz w dłoniach i pokręciła lekko głową w geście niedowierzania. Poczwała, jak ktoś pogładził ją po powierzchni dłoni. Tym razem nie był to Larry.

- Przykro mi, jeśli sytuacja, w której się znalazłaś, jest dla ciebie kłopotliwa. Ani ja, ani Larry nie wiedzieliśmy o tej propozycji ojca - powiedział Daniel, cofając rękę.

- Jeżeli potrzebujesz więcej czasu na przemyślenie... - zaczął Larry.

- To nie o to chodzi - przerwała mu Eliza, odkrywając twarz.

- Właściwie, to nie potrzebuję nawet tygodnia. Mogę już teraz dać odpowiedź. Zadanie jest niezwykle interesujące i mało komu w życiu trafia się taka sposobność. Problem polega na tym, że tu chodzi o coś więcej niż tylko tłumaczenie. Larry, Danielu, przepraszam, jeśli was urażę, ale prócz niewątpliwego sentymentu wyczuwam tu element intrygi i z tego powodu oferta jest dla mnie nie do przyjęcia. Poza tym za dwa miesiące wracam do Polski, więc pomijając wszystko inne, nie będę miała na to czasu. Dzięki za kawę. Szczęśliwej drogi powrotnej.

Chciała odejść, lecz Daniel lekko przytrzymał jej rękę.

- Jesteś zadziwiająca, Eliza. Z takim charakterem rzeczywiście mogłabyś pracować w służbach specjalnych - uśmiechnął się do niej po przyjacielsku, ignorując pytający wzrok Larry'ego. - Mam do ciebie dwie prośby - kontynuował bardzo łagodnym tonem. - Pierwsza, to żebyś jednak zaczekała z ostateczną odpowiedzią, a druga, abyś była tak łaskawa i podrzuciła do domu mojego brata. Byłoby mi łatwiej wracać do Waszyngtonu od razu stąd. Larry, mam nadzieję, że się na mnie za to nie pogniewasz.

Elizie wydawało się, że Daniel, wypowiadając ostatnie zdanie, usiłował pohamować szelmowski uśmieszek - to jedyna znamienna cecha, którą przypominał swego brata.

- Oczywiście, że Larry się nie pogniewa, a ja z przyjemnością go podwiozę - odpowiedziała za nich oboje z wymuszoną uprzejmością.

- Intrygant - syknęła w ucho Daniela, gdy zegnali się przy jego samochodzie.

- Jabłka nie padają daleko od jabłoni - odrzekł, tym razem bez maskowania genetycznego uśmieszku.

Larry przytrzymał Elizie drzwi do czasu, aż usadowiła się za kierownicą hondy, po czym usiadł obok, na przednim fotelu. Spodziewała się, że będzie chciał kontynuować

rozmowę na temat pamiętników i być może dochodzić, co miała na myśli, nazywając to wszystko intrygą. Zaczęła się nawet zastanawiać nad sposobem grzecznego przerwania tego wątku.

- Jesteś głodna? - zapytał ku jej zaskoczeniu, gdy przekreśliła kluczyk od stacyjki.

- Mogłabym zjeść konia z kopytami - odpowiedziała uszczęśliwiona obrotem sprawy.

- W takim razie zapraszam cię na lunch do Konia, w dodatku Szalonego.

- Świetnie! Nigdy tam nie byłam. Mów mi, jak mam jechać.

Restauracja była usytuowana w pobliżu przystani. Wejście znaczyła wielka figura wodza indiańskiego na czarnym koniu z rozwichrzoną grzywą. Z panoramicznych okien roztaczał się rozległy widok na zatokę. Bliskość wody zawsze miała na Elizę kojący wpływ.

- Jeśli masz ochotę napić się czegoś mocniejszego, mogę poprowadzić samochód - zaproponował Larry.

- Dziękuję, wystarczy woda gazowana, o ile ją mają. Wiem, że nie jest tu tak popularna, jak w Europie. Na wino jeszcze trochę za wcześnie. Ma swój urok dopiero wieczorem. Łamanie tej zasady nigdy nie wychodziło mi na dobre - dodała z dwuznacznym uśmiechem.

- Zatem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamówię sobie piwo - powiedział, puszczając mimo uszu aluzję do ich niefortunnej konwersacji.

W pomieszczeniu było dość ciepło. Eliza zdjęła żakiet i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Siedziała naprzeciw Larry'ego w lekko przezroczystej batystowej bluzce, popijając wodę mineralną marki Perrier. Patrzyła, jak sączył piwo z wysokiej szklanki. Wyglądał na zmęczonego i niedospanego.

- Śmierć ojca musiała być dla was dużym przeżyciem - przerwała standardową formułką chwilową ciszę. - Zwłaszcza dla ciebie. Miałeś z nim bliski kontakt.

- Odejście bliskiego człowieka zawsze jest zaskoczeniem, bez względu na okoliczności. Moja mama zmarła nagle na atak serca, a w przypadku ojca cały czas wyobrażałem sobie, że po prostu któregoś dnia dostanę wiadomość o jego śmierci, lecz to wcale nie było tak. Umarł, gdy siedzieliśmy z Danielem przy jego łóżku...

- Larry, przykro mi, że musiałam dziś tak zareagować. To może wyglądało jak podważanie autorytetu twego ojca, ale uwierz mi, nie mogłam postąpić inaczej. To coś w rodzaju sprawy honoru. Nie potrafię ci tego teraz wytłumaczyć.

Przysunąwszy bliżej swoje krzesło, Larry dotknął dłoni Elizy. Zielononiebieska iskierka odżyła niezapowiedziana w jego zmęczonych oczach.

- Nie musisz mi niczego tłumaczyć ani teraz, ani później. Mam do ciebie pełne zaufanie. Jesteś wspaniała, mądra i do tego jeszcze bardzo ładna. Czuję się wyróżniony, że przyjąłeś moje zaproszenie na lunch - odrzekł.

- Artyści mają czasem niezrozumiałe obiekty zainteresowania. To ja czuję się wyróżniona, będąc w posiadaniu dwóch twoich obrazów - odparła cicho, przejęta jego niespodziewanym gestem.

- Daniel nie na darmo żartował, że nadajesz się do pracy w FBI. Jak odkryłaś, że są moje?

Eliza uśmiechnęła się tajemniczo i nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Czy miałbyś jeszcze czas i chęć na krótki spacer po plaży? - zapytała w zamian. - Kocham zatokę i ocean - dodała.

- Wolałbym, żebyś powiedziała to o mnie - odrzekł bez najmniejszego zastanowienia, tym razem zawieszając spojrzenie na jej półprzezroczystej bluzce.

Eliza doświadczyła już wcześniej wyrafinowanej magii jego flirtu. Choć sprawiał jej tym przyjemność, rozsądek zalecał trzymać bezpieczny dystans od zastawianych sieci.

- Czy myślisz, że można kochać kogoś, kogo się ledwo zna? Ludzie często myślą to uczucie z przelotną fascynacją czy zauroczeniem i potem przeżywają rozczarowanie - wyrzuciła z siebie jednym tchem i zorientowała się, trochę za późno, że niepotrzebnie zabrzmiało to jak uchylenie rąbka jakichś osobistych doświadczeń.

- Jeśli idzie o mnie, to naprawdę nie mam żadnej potrzeby analizowania uczuć. Kiedy coś czuję, to wiem dokładnie, co to jest, i zapewniam cię, że nie jestem podatny na czyjekolwiek wpływy ani, jak to nazwałaś, intrygi - powiedział Larry, kładąc zapłatę na stole. Pomógł Elizie założyć zakiet. - Idziemy nad zatokę - oznajmił, biorąc ją po swojemu za rękę.

Eliza z ulgą przyjęła to za przejaw intencji jeśli nie całkowitego, to przynajmniej tymczasowego zamknięcia tematu uczuć.

Wyszli na pustą plażę. Fale podchodziły do brzegu i pluskały spokojnie, niewiele silniej niż na jeziorze. Elizie wydawało się, że nawet ptactwo pokrzykiwało podobnie. Nie było jedynie szuwarów i zapachu tataraku. Za to na piasku spoczywały kępy wodorostów i przewrócone niczym żołnierskie hełmy na polu walki skorupy wielkich krabów, co przegrały starcie z falami. Niezwykły widok brodzących w płytkiej mieliźnie dwóch niebieskawo upierzonych czapli zatrzymał ich na brzegu. Eliza nie okazała zaskoczenia ani gdy Larry objął ją i przygarnął lekko do siebie, ani gdy na moment ukrył twarz w jej zwichrzonych wiatrem włosach. Wsunęła dłoń pod jego rozpiętą skórzaną marynarkę i choć poczytała to sobie za gest czysto przyjacielski, nieoczekiwana fala podniecenia przemknęła przez wszystkie komórki jej ciała ciepłem tropikalnego sztormu.

- Nie jest ci zimno? - zapytał Larry głosem wyciszonym niemal do szeptu i Eliza czuła, że była to dla niego chwila intymnego wzruszenia, na którą ona nie chciała i nie mogła sobie teraz pozwolić.

- Skądże - zaśmiała się. - Jest mi gorąco, nawet za gorąco.

Uwolniła się z jego ramion, pochyliła ku ziemi i zdjawszy obuwie, podwinęła nogawki spodni aż do kolan. Gdy wracali w kierunku parkingu, szła brzegiem wody, niosąc pantofle w rękach i pozwalając falom oblewać bose stopy. Usiedli na drewnianych schodkach przy restauracji, aby Eliza mogła osuszyć osypane ziarnkami piasku nogi. Larry przypalił papierosa i w milczeniu spoglądał w głąb zatoki.

- Coś ciekawego na horyzoncie? - zagadnęła go. - Jasny punkt - odrzekł i Eliza nie pytała o nic więcej.

Gdy w drodze powrotnej minęli Harris Antiques, Larry poinstruował, aby skręciła w ukryty między drzewami pasaż. Jego istnienie mogła zdradzać przejeżdżającym tędy jedynie obecność przydrożnej skrzynki na listy. Pasaż kończył się przed sporym domem i w swojej końcowej fazie tworzył okrąg oplatający ogromny klomb, pełen kwitnących jeszcze tu i ówdzie krzaków herbacianych i purpurowoczerwonych róż. Eliza zatrzymała samochód przy schodkach prowadzących do drzwi wejściowych.

- Może miałabyś ochotę wpaść do mnie na jeszcze jedną kawę? - zaproponował Larry. - Co prawda do spółki z Danielem stworzyliśmy iście kawalerski bałagan, a Nicole będzie robiła sprzątanie dopiero w sobotę, ale...

- Dziękuję, czeka mnie dziś jeszcze dużo pracy - wymówiła się. Oboje wiedzieli, że nie było to jedynym powodem.

- Może w takim razie jutro wieczorem? - Larry nie dawał za wygraną.

- Dobrze - zgodziła się - ale koniecznie u mnie. To znaczy w Ustroniu - dodała. - Już dwa razy płaciłeś za mnie w restauracjach, nie mówiąc o kawie. Do tego jestem ci winna domowy obiad za ten drugi obraz. O szóstej?

- Cudownie. Co mogę przynieść?

- Dobre wino - zaśmiała się.

Larry pochylił się i pocałował ją w policzek. Ucieszyła się w duchu, że ich rozstaniu nie towarzyszyło nic więcej ponad ten nieszkodliwie przyjacielski gest.

- Dzięki za podwiezienie - powiedział.

Mimo dnia bogatego w wydarzenia i fizycznego zmęczenia po rozpakowaniu ogromnej ilości poczynionych po odwiezieniu Larry'ego zakupów Eliza czuła się pełna zapału do pracy nad listami Helenki. Przygotowała sobie kilka z nich i ułożyła się z nimi na różowej kanapie.

Larry przeżywa rodzinne kłopoty. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że ma jeszcze córkę. Nazywa się Brenda i mieszka w Filadelfii. Już dawno zerwała więzy z rodziną i obraca się w środowisku narkomanów. Gdy jeszcze żyła jej matka, był z nią trochę lepszy kontakt i czasem nawet przyjeżdżała albo dawała się namówić na odwyk, ale to wszystko było na krótką metę. Najgorsze, że ma dwoje dzieci, których ojciec więcej czasu spędza w więzieniu niż na wolności. Larry z żoną już wcześniej chcieli te dzieci jej odebrać i wychować, ale powiedziała, że jak coś zrobią w tym kierunku, to ona się zabije. Takie to błędne i tragiczne koło. Larry Junior stara się przejąć rolę swojej matki, lecz nie jest mu łatwo. Kiedy był młodszy, też brał narkotyki, więc Brenda używa tego przeciwko niemu. Jeździ tam dwa razy w miesiącu, żeby zawieźć im coś z ogrodu, a przy okazji sprawdza sytuację. Na razie dzieci dobrze się uczą i są opiekuńcze w stosunku do matki.

Eliza zamyśliła się chwilę nad ostatnim fragmentem listu. Odkrycie skłonności Larry'ego do niezwykłych poświęceń zaskoczyło ją bardziej niż wiadomość o jego narkotykowej przeszłości.

Kolejny list Heleny opisywał dzień otwarcia magazynu Harris Antiques.

Larry Junior kupił na początek sporo staroci na różnych aukcjach i pięknie poodnawiał większość podniszczonych rzeczy. Wystawił też parę swoich obrazów. Bardzo dobrze się sprzedawały. Myślę, że mógłby na nich zarobić dużo więcej. Jego ojciec też chciał czymś zabłysnąć i przytargał skądś mnóstwo wielkich glinianych krasnali. Może nie byłyby takie złe, gdyby darował sobie pomalowanie ich na kolory, od których można dostać zapalenia spojówek. Niemniej sprzedaliśmy tylko jeden. Piszę „sprzedaliśmy”, bo stałam w tym dniu na kasie i bardzo dobrze mi szło. Gina uparła się, aby zakupić trochę używanych mebli do pokoju gościnnego. Maluje je teraz na intensywnie zielony kolor, który w mojej wyobraźni już kłóci się z różem stojącej tam rozkładanej kanapy. Nie będę jednak oponować, skoro sprawia jej to taką przyjemność.

Okolo siódmej wieczorem Eliza zrobiła przerwę na kolację. Potrzebowała oderwać się na jakiś czas od wszystkiego, co było związane z Harrisami. Uleganie emocjom nie sprzyjało zachowaniu potrzebnemu przy pisaniu dystansu. Nie mogła oprzeć się paradoksalnemu wrażeniu, że wątek opowiadania, które tworzyła, coraz częściej wplatał się w osnowę jej własnego życia i to też wcale nie pomagało w pracy.

Z kanapką w ręce sprawdziła pocztę. Bratanica Danusi, Kasia, której Eliza odnajmowała pokój w swoim mieszkaniu, informowała, że przyszedł list z USA od firmy Parker & Parker. Eliza poleciła, aby go zniszczyć i wyrzucić do kosza.

Była też wiadomość od Allison Shepard, jedynej koleżanki z lat szkolnych, z którą Eliza utrzymywała nieprzerwany kontakt. Allison mieszkała w Cincinnati, w stanie Ohio, lecz szykował się jej służbowy wyjazd na Wschodnie Wybrzeże, któremu towarzyszyła nadzieja, że wkrótce się zobaczą. Nie było jeszcze bardzo późno. Eliza zabrała się do kolejnego listu.

Droga Marlenko,

cieszę, że mogliście z Adamem spędzić u nas swój krótki urlop. Następnym razem będzie was już więcej. Ogromnie jestem szczęśliwa z tej waszej nowiny i faktu, że doczekam się prawnuka. Biorę na siebie chrzciny. Przyjedziecie tu wszyscy i zrobimy je w Ustroniu. Terenia z Fredzią na pewno przylecą na taką okazję, a może nawet i Elizka. W małym domku możemy przenocować teraz więcej gości.

Za dwa tygodnie przyjeżdża na kilka dni Gregory z rodziną. Wyobraź sobie, że zapowiedział się też syn Giny. Co prawda tylko na weekend, ale zawsze to odwiedziny. Gina już się boi, że pamięć zacznie ją zawodzić. Codziennie najada się imbiru i innych hinduskich specjałów, które Annie wynajduje jej w katalogach. Podobno wśród Hindusów jest znacznie mniejsza zachorowalność na alzheimera. Annie mówiła, że Jane przyjedzie z rodziną w tym czasie, gdy będzie tu Greg. Ich najmłodsze dzieci są w tym samym wieku co bliźniaki, więc będą miały towarzystwo. Dowiedziałam się, że Jane i Larry Junior byli nierozłączną parą jeszcze od czasów szkoły średniej i potem wyjechali nawet razem na studia do Baltimore. Mieli się pobrać, ale nigdy do tego nie doszło, bo Jane pojechała na wymianę studentów do Hiszpanii i poznała tam Martina, swojego obecnego męża. Dla Larry'ego to było przeżycie, po którym przez wiele lat nie mógł się pozbierać i szukał pocieszenia w nałogach.

Eliza próbowała przekonać siebie, że potrafi myśleć o tym, co czyta, wyłącznie w aspekcie zawodowym. Odczucie winy, spowodowane wtargnięciem w zakamarki prywatnego życia Larry'ego, ciążyło jednak tym bardziej, że towarzyszyło mu zupełnie niezawodowe podniecenie, które raz po raz wymykało się Elizie spod kontroli. Gdyby była tu Allison, pewnie próbowałyby jej wmówić, że jest zakochana. Oczywiście uznałaby to za niemożliwe. Zawołała Murzynia do domu. Przybiegł posłusznie, wynurzywszy się z gęstwiny cyprysów.

Rozdział V

Niestosownie

Sobotni poranek w kuchni stworzył okazję do odświeżenia zaległych kontaktów z Filadelfią, Nowym Jorkiem i Cincinnati. Z telefonem przy uchu Eliza wkładała polędwiczki do marynaty, czyściła szparagi, kroїła pieczarki i przebierała sałatę, zgodnie ze swoim planem stworzenia bazy do łatwej i szybkiej w przygotowaniu kolacji. Wstawiła do piekarnika dwie szarlotki zrobione dokładnie według przepisu zatytułowanego "Jabłecznik Janiny Walickiej". Wyjąwszy ciasta z piekarnika, ustawiła je przy otwartym oknie do przestygnięcia. Zadzwoiła do Greta.

- Masz chwilę? Mogę wpaść?

- No pewnie. Dziewczynki poszły z Robertem do teściów. Ja sama tu siedzę. Już kawę nastawiam, no.

Z blaszką szarlotki Eliza udała się w kierunku powozowni, kontemplując po drodze wybór garderoby na dzisiejszy wieczór. Murzynio wynurzył się z kwitnących po raz drugi tego roku nagietków i podążył za panią.

Dzień był piękny i wyjątkowo ciepły. Greta najwyraźniej wykorzystała to, aby zrobić wielkie pranie, bo wszystkie sznury były obwieszane bielizną pościelową.

- Pycha! - Greta pochwaliła szarlotkę, przetykając swój pierwszy słusznych rozmiarów kęs, gdy usiadły z Elizą na werandzie. - Mam nadzieję, że upiekłaś drugo dla Larry'ego.

- Oczywiście, że mam drugą. A tak w ogóle to chciałam spytać, czy jesteście wolni z Robertem i czy mielibyście ochotę przyjść do mnie wieczorem na kolację.

Greta wzięła głęboki oddech, popiła kawę z kubka i pokręciła głową, co równie dobrze mogło oznaczać dezaprobatę, jak i niedowierzanie.

- Eliza, ja niczego w bawełne nie owijam. Nie o to idzie, że chcesz zaprosić i nas, bo to bardzo ładnie z twojej strony.

Tu idzie o to, że ty boisz się być sama z Larrym, no. Naprawdę nie musisz martwić się o jego zachowanie, bo to jest dżentelmen, jakich już na świecie mało. Ty się powinnaś martwić o siebie i przestać zachowywać się, jakbyś nie znała życia albo jakby tobie z niego nic poza karierą się nie należało. Obudź się i powąchaj, jak pachnie dobra kawa.

- Nie wiedziałam, że z ciebie taki psycholog - zaśmiała się Eliza.

- No dobrze już, przepraszam, jeśli za mocno co powiedziałam.

- Wszystko, co powiedziałaś, jest od serca i wiem, że miałaś rację. To co, przyjdziecie?

Greta znów pokręciła głową.

- Dziękuję, ale jedziemy dziś wszyscy do wujostwa Roberta na ich złote gody i zostajemy tam na niedziele.

- Szkoda.

- Eliza, coś jeszcze ci powiem. Larry pytał Roberta, czy mógłby u nas przenocować, żeby nie wracać motocyklem do domu, jak napije się u ciebie alkoholu. Zostawiamy jemu klucz, ale wierze, że nie pozwolisz, aby z niego skorzystał. Wiesz, co mam na myśli, no?

- Dzięki za kawę, Greta. Mam nadzieję, że nie dosypałaś do niej lubczyku.

- Czego?

- Nieważne. Bawcie się dobrze i bądź o mnie spokojna.

- To rozumiem, no - Greta uśmiechnęła się i uścisnęła Elizę na pożegnanie.

Była dopiero druga po południu; wciąż sporo czasu, aby jeszcze móc popracować. Eliza rozłożyła się z laptopem w salonie. Początek i koniec następnego listu zaznaczone były jako prywatne. Zrobiła krótką notatkę na bazie środkowego fragmentu, który w całości dotyczył wizyty syna Reginy i jego najbliższych.

Goście Giny okazali się miłymi, dobrze ułożonymi i skromnymi ludźmi. Był to dla niej najlepszy weekend od długiego czasu. Pożegnawszy się ze wszystkimi, jej syn David odwołał Waldemara na bok:

- Proszę, niech pan uważa na mamę i nie dopuszcza do niej mojej siostry, jeśli tu kiedykolwiek przyjedzie.

- To na lekarstwa i inne potrzeby - dodała jego żona Jennifer, wkładając Waldemarowi do ręki plik banknotów.

W parę dni później nadeszły zdjęcia, które David zrobił w czasie wizyty. Waldemar oprawił kilka z nich w ramki i ustawił na kominku.

Potrzeba zmiany pozycji na horyzontalną kazała Elizie ułożyć się do dalszego czytania na skórzanej kanapie. Przy którymś kolejnym liście litery poczęły rozmazywać się jej przed oczami i postanowiła zamienić lekturę korespondencji Helenki na krótką, regenerującą drzemkę - podładowanie baterii, jak określilby to Grzegorz.

Obudziła się przykryta szydełkową narzutą. Coś uwierało ją w plecy. Wyciągnęła spod niej swój telefon. Pokazywał szóstą trzydzieści osiem po południu. Zerwała się z kanapy niemal w panice i owinięta narzutą ostrożnie wynurzyła się z salonu. Nad kuchenką paliło się światło, a spod uchylonej pokrywki garnuszka coś jeszcze parowało, mimo że palnik był już wyłączony. Podniosła pokrywkę: brązowy ryż. Przez otwarte okno wpadał zapach pieczonego na grillu mięsa. Wazon na stole w jadalni znów był pełen herbacianych róż, a na wieszaku w przedsiionku wisiały dwa kaski motocyklowe i czarna skórzana kamizelka. Myśl, że Larry nie przyjechał sam, przemknęła przez głowę Elizy bardziej jako zaciekawienie niż obawa. Wsunęła stopy w stojące obok wieszaka drewniaki i uchyliła drzwi.

Mimo że słońce już zachodziło, na dworze było jeszcze dość ciepło. Larry stał przy grillu i za pomocą długiego

widelca przewracał kawałki mięsa. W pobliżu nie było nikogo więcej.

- Larry, ogromnie mi przykro, że zasnęłam. Proszę, daj mi jeszcze kilka minut na przebranie się! - zawołała.

- Zaczekaj, zrobisz to później - odrzekł, odkładając pospiesznie widelec.

Podbiegł w jej kierunku. Zatrzymała się w otwartych drzwiach. Nim zdążyła zaprotestować, wylądowała wraz z narzutą na fotelu, przy stoliku zastawionym otwartą butelką merlota i dwoma kieliszkami. Larry napełnił je i odszedł na chwilę, aby przełożyć upieczone mięso i zawinięte w folię warzywa na podgrzewaną półeczkę grilla. Gdy wrócił, z kieliszka Elizy ubyło już nieco wina.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi się przebrać? - zapytała gorzko. - Przynajmniej mogłabym wyglądać tak, jak chciałam, jeśli już wszystko inne totalnie zrujnowałam.

- Wyglądasz uroczo, kolacja jest prawie gotowa i zapewniam cię, że nic nie jest zrujnowane. Jeżeli coś kiedyś się nie udało, to chyba tylko nasze pierwsze spotkanie przy tym stoliku, ale to stało się z mojej winy. Dlatego chciałbym zacząć od nowa z tego właśnie punktu wyjścia.

Przysunął krzesło, siadł naprzeciw Elizy i ujął jej dłoń. W opuszkach palców wyczuła sygnał nadchodzącej fali ciepła. Odstawiła kieliszek z resztką wina na brzeg stołu.

- Wtedy za dużo wypiałam i niestosownie się zachowałam - odpowiedziała. - To ja powinnam przeprosić. Za dzisiejsze zaniechanie też. Cieszę się, że udało ci się tu wejść i znaleźć wszystko do przygotowania posiłku.

- Znam trochę ten dom - odrzekł, zanim jeszcze Eliza zdążyła zapytać, jak to zrobił. - Nawiasem mówiąc, nie powinnaś zostawiać otwartych drzwi.

Zapomniała, że pewnie spędził w Ustroniu więcej czasu niż ona.

- Musiałaś być bardzo zmęczona - powiedział po chwili.

- Pewnie tak. Wszystko, co się wokół mnie ostatnio dzieje, jest zaskakujące i trudne do uwierzenia. Niekiedy wątpię, czy nadążam przetwarzać informacje, i boję się, że zaczynam żyć w tworcach własnej wyobraźni. Musisz mi zatem wyjaśnić, na czym polega twój punkt wyjścia.

- Polega na tym, że dzisiaj nie odejdę, chyba że mnie wygonisz - uśmiechnął się.

- Nie piłeś jeszcze wina?

Larry pokręcił głową w odpowiedzi.

- Świetnie, zaczekaj tu chwilę.

Zniknęła za drzwiami i po chwili wróciła, niosąc jego skórzaną kamizelkę i dwa kaski.

- Chcesz, żebym już jechał? - zapytał niepewnie.

- Och, nie. Przepraszam, jeśli tak to wyglądało. Chcę tylko, abyś zabrał mnie na krótką przejażdżkę - powiedziała i zaśmiała się z przypadkowej dwuznaczności swojego pomysłu. - Wszystko jedno, w którą stronę. Potrzebuję uporządkować myśli.

Nie próbowała wyjaśnić ani sobie, ani Larry'emu, dlaczego porządkowanie myśli miało nastąpić na siodełku jego motocykla. Założyła jeden z kasków i nie pytając o zgodę, narzuciła na siebie skórzaną kamizelkę.

Larry zajął miejsce za kierownicą i skinieniem dłoni zaprosił Elizę na siodełko pasażera. Było usytuowane wyżej niż siedzenie kierowcy i gdy ustawiła stopy na podpórkach, jej kolana dotykały bioder Larry'ego. Poczula się tym skrępowana.

- Czego mam się trzymać, żebym nie spadła? - zapytała. Odchyliwszy się do tyłu, Larry pochwycił bez słowa jej rękę i owinął ciasno wokół swojego pasa. Gdy Eliza uczyniła to samo z drugą, cała jej klatka piersiowa przylegała do pleców kierowcy. Gdyby nie dzieliła ich dość sztywna bariera

stawiana przez skórzaną kamizelkę, Eliza pewnie zrezygnowałaby w tym momencie z pomysłu przejażdżki. Chłodnawy pęd powietrza wkrótce rozwiął obawy. Podwyższone siedzenie pozwalało widzieć, co dzieje się na drodze. Eliza poczuła się uspokojona i jeszcze mocniej objęła Larry'ego.

- Czy znowu zachowałam się niestosownie? - zapytała, gdy wrócili.

- Jak najbardziej, pamiętaj jednak, że dzisiaj zostaję bez względu na wszystko. Udało ci się uporządkować myśli? - spytał, pomagając jej pozbyć się kasku.

- Chyba tak. Były bardzo realistyczne. - Uśmiechnęła się.

Nie przyznała się, że jedyna myśl, do której była zdolna, sprowadzała się do zwalczania pokusy, by wsunąć dłoń pod jego koszulkę.

Zanieśli potrawy z grilla do jadalni. Brązowy ryż wciąż jeszcze był ciepły. Eliza szybko przyrządziła sałatkę. Zaproponowała też piwo.

- Dziękuję, zostanę przy winie. Chcę sprawdzić, czy też zachowam się po nim niestosownie - odrzekł prowokująco. - Tak czy inaczej, nie będę mógł wrócić do domu. Przenocujesz mnie w pokoju gościnnym?

- Pokój gościnny zaadaptowałam na swoją sypialnię - odparła i trochę za późno zdała sobie sprawę z rażącej naiwności swojej odpowiedzi.

- Wiem o tym i dlatego pytam - odrzekł, demonstrując swój zaczepny uśmiešek.

- Już zachowujesz się niestosownie. - Eliza skarciła go żartobliwie i zaraz zmieniła temat, chwając zdolności kulinarne swojego gościa. Przyniosła z kuchni kawę i szarlotkę, zadowolona, że przynajmniej deser był w całości jej dziełem.

- Powinam się wreszcie przebrać - powiedziała, spoglądając na siebie.

- Naprawdę nie musisz. Chyba że chcesz zrobić to na moich oczach...

Fala uderzeniowa erotyzmu jego słów skutecznie zaatakowała zmysły Elizy. Poszukiwanie w myślach właściwej odpowiedzi skończyło się fiaskiem.

- Czy cię uraziłem, kochanie? - zapytał Larry, zaniepokojony jej milczeniem.

- Powiedziałeś „kochanie” - odezwała się, ignorując sedno jego pytania.

- Powiedziałem to, co czuję, Eliza - odrzekł z niespodziewaną powagą.

Wiedziała, że czekał na jej reakcję.

- Nie jestem gotowa na wyznania, Larry - zaczęła ze wzrokiem utkwionym w łyżeczkę, którą bezwiednie zgarniała okruchy szarlotki ku środkowi porcelanowego talerzyka. - Nie zrozum mnie źle. Wcale nie mam ochoty przekonywać siebie, że jesteś mi obojętny. Po prostu nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie. Takich rzeczy się nie planuje...

Zebrawszy naczynia ze stołu, odniosła je do kuchni i poczęła opłukiwać nad zlewem, bardziej by zakończyć ten wątek niż z praktycznej potrzeby. Mimo szumu wody usłyszała, że Larry wstał od stołu i nie zdziwiła się, gdy poczuła na ramionach męskie dłonie. Odwróciła się ku Larry'emu z zamiarem zwerbalizowania jakiejś myśli, która wydała się jej właściwa do zamknięcia tematu uczuć, lecz gdy Larry przygarnął ją do siebie, bez słowa oplótł mokre jeszcze ręce wokół jego pasa. Nie broniła swoim dłoniom wślizgnąć się pod brzeg trykotowej koszulki i nie uczyniła nic, aby je powstrzymać, gdy wtargnęły zachłannie na terytorium obiektu jej niedawnej fantazji. Przymknąwszy powieki, delectowała się efektem bioprądu pożądania indukowanego raz po raz, gdy

Larry testował jej wargi w powolnym preludium do wydarzeń, których biegu żadne z nich nie byłoby już w stanie odwrócić. Była mu wdzięczna, że o nic nie pytał, i zdumiona, że tak przeciwstawne uczucia, jak uspokojenie i podniecenie, cudownie współgrały ze sobą w jego objęciach. Podłoga kuchni zafalowała i poczęła się topić pod stopami Elizy niczym rozgrzany wosk.

- Rozłóżmy kanapę w pokoju gościnnym - szepnęła, gdy Larry chwycił ją w porę na ręce. - Jest dwuosobowa - dodała, bawiąc się splecionym kosmykiem jego włosów.

Przez uchylone drzwi sączył się zapach świeżo parzonej kawy. Zadziałał na Elizę niczym dźwięk budzika. Zerwała się z niedbale zasłanej kanapy i prześlizgnęła cicho do łazienki. Wykąpała się szybko pod prysznicem, założyła dzinsy, barwną bluzkę z dekoltem karo i długie kolczyki z bursztynem, które miała nosić wczorajszego wieczoru. Gdy przyszła do kuchni, Larry smażył coś na patelni. Obserwowała go przez chwilę, stojąc w drzwiach. Miał na sobie inną niż poprzedniego dnia, bardziej przylegającą do ciała koszulkę. Musiał przywieźć ją ze sobą - może trzymał ją w bagażniku motocykla. Wyłączył palnik. Eliza podeszła bliżej, niepewna jak ma go przywitać.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział.

- Powinam była tak wyglądać wczoraj.

- Dobrze, że tak się nie stało, bo wtedy nie dałbym ci chyba zjeść kolacji.

- Zdaje się, że masz ochotę nie dać mi zjeść śniadania - uśmiechnęła się, gdy wodził opuszkami palców wzdłuż brzegu jej kolorowej bluzki.

- Gdyby nie miała mi za chwilę stuknąć pięćdziesiątka, to pewnie nie wypuściłbym cię z pościeli przez cały dzień - odrzekł, obejmując ciasno jej talię.

- To dobrze się składa, bo mnie dolega dokładnie to samo "gdyby".

Zaśmiał się i uwolnił ją z objęć. Wspięła się na palce i pocałowała delikatnie jego usta.

- Larry, dlaczego przywiozłeś dwa kaski? - zapytała.

- Nicole prosiła mnie wczoraj, abym po pracy podrzucił ją do koleżanki. Stamtąd od razu przyjechałem do ciebie. Poza tym miałem nadzieję, że będziesz chciała wybrać się ze mną na przejażdżkę, no i, jak widać, trafiłem w dziesiątkę. Dokąd chciałabyś pojechać dzisiaj? Wydaje się, że będzie piękna pogoda.

- Zdecydowanie nad ocean, ale może zajechalibyśmy najpierw na grób twoich rodziców? - poprosiła. - Chcę zapalić im znicz. Kupiłam cały tuzin w polonijnym sklepiku w Filadelfii. To taki polski zwyczaj - wyjaśniła, gdy spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jesteś kochana - odpowiedział, dotykając jej policzka.

Pomimo nastania kalendarzowej jesieni plaża była dość zatłoczona i wiele osób zażywało kąpieli albo uprawiało surfing. Ciepło piasku dawało o sobie znać nawet przez grubą tkaninę nowych, niewytartych jeszcze dżinsów Elizy, gdy siedzieli z Larrym w milczeniu, zwróceniu ku wodzie. Była ciekawa, czy studiował teraz fizjonomię jej pleców, czy - jak i ona - obserwował grupę młodzieży usiłującą zepchnąć na fale niewielki katamaran. Wyobraziła sobie, że jest tu sama. Paradoksalnie było to bardziej prawdopodobne niż wszystko inne, co wkrađło się ostatnio do jej życia. Odwróciła głowę. Siedzący obok mężczyzna o intrygująco zielononiebieskich oczach nie był produktem jej wyobraźni. Był namacalnym elementem rzeczywistości, któremu Eliza miała teraz znaleźć miejsce. Świadomość, że Larry wpisał ją już w swoje życie, potęgowała tylko uczucie niepokoju.

- Idę popływać - oznajmiła, zrzucając z siebie spodnie i bawełniany kardigan, pod które założyła uprzednio sportowy kostium kąpielowy w granatowym kolorze.

Nie zaprosiła Larry'ego, by jej towarzyszył. Widziała, że wciąż siedział na piasku i patrzył w jej kierunku, gdy wydostawała się poza obszar spienionych grzbietów fal na spokojniejszą wodę i gdy płynęła równoległe do brzegu, nawracając kilkakrotnie, aby nie stracił jej z oczu. Kiedy w końcu zaczęła podążać ku plaży, czekał na nią na brzegu z ręcznikiem. Z jakiegoś powodu wzruszył ją tym prostym gestem do łez, które zmieszały się z kropelkami słonej wody na jej policzkach.

Larry zrobił jej miejsce na suchym ręczniku. Ułożyła się na plecach. Przez szparki przymkniętych powiek przyglądała się, jak zdejmował koszulkę. Utrwalona końcem lata opalenizna twarzy i ramion kontrastowała z niezauważoną w ciemności pokoju gościnnego bladością ukrywanej pod ubraniem reszty ciała. Skoro opiekował się ojcem, to pewnie nie miał w tym roku czasu na plażowanie. Drobnym wytatuowanym na lewej łopacie napis: „Jane Says 1987” swoim ciemnoniebieskim kolorem odbijał się wyraźnie od jasnego tła nieopalonej skóry.

Morski wiatr szybko suszył kostium kąpielowy i włosy Elizy, które nierozczesane na mokro nabierały swojego naturalnego, lekkiego pofalowania. Wiedziała, że Larry skanował teraz każdy fragment jej ciała i sprawiało jej to przyjemność.

- Wolałbym, żebyś miała na sobie bikini - odezwał się. - Byłoby mi wtedy łatwiej pocałować twój pępek.

Zaśmiała się z jego niecodziennej zachcianki i ułożyła na brzuchu, nie tyle, aby odwieść go od tego zamiaru, ile by umożliwić wyschnięcie drugiej strony kostiumu. Słuchała głosu oceanu i pokrzykiwania mew. Czuła, jak Larry sypał

strużki ciepłego piasku na jej nogi od kostek w kierunku kolan i wyżej, aż do miejsca, gdzie zaczynał się kostium. Była wdzięczna i jemu, i naturze za tę błogą chwilę.

- Czy chcesz, żebym powiesił teraz obrazy w jadalni? - zapytał Larry, gdy siedząc przy białym stoliku, przed domem, jedli kupione w drodze powrotnej gorące kanapki.

- Muszę pomyśleć; jeśli zrobisz to dzisiaj, stracisz pretekst do przyjscia tu jutro - kalkulowała Eliza, zdziwiona, jak łatwo przyszło jej dorzucić nutkę flirtu. Ten aspekt nigdy nie był jej mocną stroną.

- Zatem przyjdę jutro pod pretekstem powieszenia obrazów.

- Zrobię kolację. Muszę mieć okazję do rehabilitacji.

- Nie przejmuj się. Wiem, że masz dużo pracy. Pojadę już, Eliza. Okay?

Skinęła głową i pocałowała go na pożegnanie, trochę zawiedziona, że nie został dłużej. Była ciekawa, czy miał jakieś zobowiązania. Usadowiła się w pokoju Helenki i zajęła lekturą listów.

Późnym wieczorem Eliza, zaniepokojona dwudniową nieobecnością Murzynia, wyszła na zewnątrz, aby się za nim rozejrzeć. Pod domem Greta i Roberta stał już ich samochód. Gdy zbliżyła się do budynku, odetchnęła z ulgą na dźwięk psiego ujadania. Otworzyły się drzwi i piesek wybiegł ku niej, skomlać i merdając ogonem niepomny nawoływać dziewczynkę.

- Murphy, Murphy! - krzyczała Melissa.

- Murphy! - powtarzała za nią Amanda.

Greta ukazała się w drzwiach i pogoniła córki z powrotem do domu, wymachując na nie ścierką. Uciekły z chichotem.

- Może zajdziesz?

- Nie, dziękuję. Pogadamy przy innej okazji. Musisz odpocząć po podróży i dzieci przygotować na jutro do szkoły.

Murzynio piszczął z radości i w kuchni przypiął się zachłannie do miseczki ze swoją ulubioną konserwą, po czym, już całkiem ukontentowany, podreptał do przedsionka, by zająć pozycję na wytartym tureckim dywaniku. Eliza odebrała to jako hasło powrotu do ich codziennej rutyny. Dla niej rutyna oznaczała kontynuację odczytywania i opracowywania korespondencji Helenki. Wzmiankę o Larrym znalazła dopiero w czwartym z kolei liście.

Droga Marlenko,
nie będę dużo się rozpisywać, bo niedługo przyjadę zobaczyć mojego kochanego prawnusia. Nie wyobrażasz sobie, ile rzeczy mu nakupiłam! Larry Junior podrzuci mnie do Filadelfii, bo będzie w tym czasie jechał do siostry. Dalej pojedę pociągiem.

Na walentynki idę tylko z Larrym i Henrym, bo Gina nie za dobrze się czuje. Nie będzie już tak wesoło, jak poprzednio. Aha, jeszcze jedno. Młodszy Larry ma tego dnia oświadczyć się Michelle. Myślę pobrać się jeszcze w tym roku.

Elizie wydawało się, że opłynęła ją chmura magicznej mgły i wszystko zaczęło powracać do jakiegoś punktu w przeszłości, od którego rzeczy mogłyby potoczyć się zupełnie inną koleją. Zasypiała na rozłożonej wciąż jeszcze kanapie wtulona w poduszkę Larry'ego.

Wyprawiwszy dziewczynki do szkoły, Greta wprosiła się do Elizy na poranną kawę.

- Przepraszam, że zabraliśmy Murzynia tak bez powiadomienia. Pomyślałam, że lepiej, jak wam nie będzie przeszkadzał. No i pojechał z nami do wujka. Dzięki niemu Melissa i Amanda miały zajęcie. Cało droge czesały go i kokardki mu zawiązywały. No ale mów, jak tam było z Larrym, no.

- Dziękuję, że przygotowałaś mnie do sytuacji, której sama pewnie nie wypatrzyłabym na horyzoncie wczorajszego

wieczoru. Wciąż trudno mi pojąć, jak to się stało - Eliza uśmiechnęła się dwuznacznie. - Od mojego przyjazdu minęły zaledwie dwa tygodnie...

- No to i ja się ciesze. A jak to się stało, to tego jeszcze nikt nigdy się nie dowiedział. Ot, Pan Bóg daje tak i już, no. To nawet nie susz sobie tym głowy. Za świadka mnie poproś na waszym ślubie - zaśmiała się na koniec.

Po odejściu Greta Eliza pochyliła się ku leżącemu na kuchennej podłodze Murzyniowi i podrapała go czule za uchem.

- Ach ty, biedaku, ileś się musiał dla mnie wycierpieć! Ułożył się u jej stóp, gdy zabrała się do pracy nad listami.

Mieliśmy ostatnio w Ustroniu małą burzę, która - jak to z burzami bywa - już powoli ucicha. Otóż wyobraź sobie...

Eliza przeczytała list do końca i próbowała odtworzyć w wyobraźni przebieg całego zdarzenia. Czyniła notatki, zapisując je swoim zwyczajem w formie dialogu.

- Jak się udały walentynki? - zapytał Waldemar tonem, w którym nie sposób było nie wyczuć obojętności czy wręcz rezygnacji.

- Nie było już tak samo bez ciebie, Walter - stwierdziła Helena. - Bez was - poprawiła się za chwilę.

- Teraz to już naprawdę powiało tu umieralnią - odpowiedział gorzko.

Niepomny ponurego nastroju chwili Henryk dołączył do nich, pogwizdując jakąś wesołą melodię.

- Wychodzę z szafy - oświadczył bez żadnego wstępu czy przygotowania, wznosząc w górę kieliszek i nadpijając z niego odrobinę nalewki.

- Co?! - zawołali jednocześnie Waldemar i Helena.

- To, że jestem gejem. Ge - jem - powtórzył, aby ostatecznie rozwiać oznaki wątpliwości malującej się na twarzach jego rozmówców.

Na jakiś czas zapadła cisza, która wszystkim wydała się bardziej naturalna niż kłopotliwa. Ani Helena, ani Waldemar, ani nawet Henryk nie chcieli powiedzieć w tym momencie czegoś, co mogłoby później rzutować na ich wspólną przyszłość jakimś nieprzyjemnym i nieodwracalnym cieniem. Za bardzo cenili sobie walory instytucji Ustronia.

- Mów dalej, Henry - powiedziała po chwili Helenka, bardzo już łagodnie.

- Poznałem dzisiaj przy barze dwóch facetów w moim wieku. Długo rozmawialiśmy. Wszystko, co mi o sobie opowiadali, pasuje idealnie do mojej sytuacji. Nie żebym nagle to w sobie odkrył, nie. Zawsze wiedziałem, że coś we mnie inaczej funkcjonuje. Tylko przekonali mnie, że nigdy nie jest za późno, aby przestać oszukiwać siebie i innych wokoło, że tak nie jest.

- No i co teraz? - zapytał Waldemar.

- Teraz już wiecie, i to wszystko.

- Niezupełnie - Waldemar syknął nieprzyjaźnie jadowitym tonem.

Helenka przeraziła się, że Waldemar nieopatrznie sprowadzi rozmowę na jakieś bardzo ryzykowne tory, i była bliska interwencji, lecz zanim zdołała zebrać myśli, kontynuował:

- Niezupełnie - powtórzył już łagodniej, lecz z wyczuwalnym sarkazmem. - O ile dobrze pamiętam, byłeś, a nawet ciągle jesteś żonaty z moją siostrą. Jak to się ma do twojego wyjścia z szafy?

- Wygląda na to, że to rodzinna rozmowa. Może powinnam wyjść? - zaoferowała Helena.

- Chyba, że wolisz. Dla nas jesteś jak rodzina - odpowiedział Henryk za nich obu.

Została i choć nabrała ochoty na kieliszek nalewki, postanowiła trzymać się podjętego wcześniej zobowiązania do całkowitej abstynencji.

- Myślałem o tym wiele razy - kontynuował Henryk. - Freda naprawdę mnie fascynowała. Nie dlatego, że była sporo młodsza - zaśmiał się - ale dlatego, że nie była za bardzo... kobieca. Jej sposób bycia, ubierania się, jej zainteresowania i nietypowa osobowość, to wszystko naprawdę było dla mnie pociągające. Moja odwrotność tego wszystkiego najprawdopodobniej fascynowała ją. Potem chyba znudziliśmy się sobie i to akurat nie miało nic wspólnego z moimi czy jej preferencjami. Ludzie rozchodzą się i tyle. Sam wiesz...

- Nie chcę, abys myślał, że robię ci wyrzuty - przerwał Waldemar, uświadamiając sobie, że jeśli chodzi o dotrzymanie małżeńskiej przysięgi, sam nie był bez winy. - Nie wątpię, że miałeś dobre intencje. Jestem po prostu ciekaw, jak do tego doszło, biorąc pod uwagę twoje, nazwijmy to, uwarunkowania.

- Te uwarunkowania nie były tylko moje, Walter. Były nasze wspólne. Najważniejsze, że nie mieliśmy do siebie żalu, gdy się w końcu rozstaliśmy.

Waldemar musiał wyczuć w słowach Henryka osobisty przytyk, bo zaprzestał nagle jego dalszej interrogacji.

- Dobrze, że jesteś otwarty, Henry. - Helena skorzystała z chwili ciszy, aby włączyć się do rozmowy. - Tak będzie ci łatwiej. Dla nas to bez znaczenia. Jesteś nadal takim samym przyjacielem, jak byłeś dotąd.

- Pójdę już spać - oświadczył Henryk, wstając z kanapy.

Helenka wstała również, żeby go uścisnąć. Podziękował jej za wsparcie i rzucił krótkie „dobranoc” w stronę siedzącego ze zwieszoną głową Waldemara.

- Trzymał to za pazuchą przez siedemdziesiąt parę lat i powinien był to tam zostawić - wyrzucił z siebie Waldemar, gdy tylko za Henrykiem zamknęły się drzwi jego pokoju. - I co ja mam teraz z tym zrobić? Zadzwoić z radosną wiadomością do Grega i Elizy? Zamykać się w łazience? Czerwienić się przed ludźmi, że mieszkałem z nim w jednym domu przez tyle lat?

Helena słuchała, wydając głębokie westchnienia niemal po każdym zdaniu, trochę zaskoczona taką otwartością skrytego z natury Waldemara.

- Najważniejsze, że chcesz o tym rozmawiać, Walter - powiedziała. Wiedział, że miała rację. Jego niechęć do rozmowy na mniej nawet kłopotliwe tematy i owijanie się trudnym do odplątania kokonem cichych dni zniszczyły przed laty jego małżeństwo. Pojął to jednak dopiero niedawno i skłonny był nawet winić siebie za późniejszą chorobę i przedwczesną śmierć swojej żony. Gdy Helenka poszła zrobić herbaty, udał się za nią. Postawiła na kuchennym stole dwa kubki i rozmawiali tak do trzeciej rano.

- Nie dziw się, że Henry zdecydował się na coming out - powiedziała na koniec. - Tobie też dobrze zrobiło opuszczenie swojej szafy, chociaż chowałeś w niej zupełnie innego kościotrupa.

- Dziękuję, Helen - odpowiedział. - Widać nie tylko Gina potrzebuje swojej Janeczki.

Eliza wiedziała, że Larry miał dużo pracy w sklepie i warsztacie, toteż nie spodziewała się go wcześniej. Obiad miała już przygotowany do szybkiego podgrzania. Mogła jeszcze popracować nad listami.

Droga Marlenko,

nasze papużki zrobiły się wiosną znacznie cichsze, chociaż akurat powinno być odwrotnie. Gina zamartwiała się, że są chore, i umówiła wizytę u weterynarza. Uparła się, że

pojedzie tam sama. Nie oponowaliśmy, bo to bardzo blisko nas i prosta droga. Przy tej okazji zdarzyły się dwie rzeczy. Najpierw okazało się, że oboje - Marysieńka i Napoleon - są tej samej płci, a ściślej mówiąc - płci żeńskiej. Mogło to być powodem, dla którego tak osowiały na wiosnę. Widzisz, jak dobrze, że spotykam się z Larrym? To oczywiście żart. No cóż, przemianowaliśmy Bonapartego i teraz nazywa się Napoleonka. Druga rzecz nie była całkiem do śmiechu. W drodze powrotnej Gina zgubiła się i błądziła po okolicy z papużkami w klatce na tylnym siedzeniu. Spaliła chyba kilka galonów benzyny i dopiero gdy przekroczyła granicę między stanami, zadzwoniła z płaczem, że jest w Maryland i nie wie, jak wrócić. Jedną dobrą rzeczą, że w tej nieprzewidzianej podróży papużki odzyskały głos i szczebiotały całą drogę powrotną. Walter z Henrym pojechali po Ginę i przyprowadzili jej samochód. Po tym wszystkim rozchorowała się i nie wychodziła z pokoju przez trzy dni. Na szczęście w piątek, gdy był czas na czytanie, wróciła do zdrowia, a my uznaliśmy całe to zdarzenie za niebyłe.

O wpół do szóstej przyjechał Larry. Postawił na podłodze skrzynkę z narzędziami, zdjął swoją skórzaną kamizelkę i powiesił ją na wieszaku. Przywitał Elizę ostrożnym pocałunkiem w policzek.

- Nic się nie zmieniło od wczoraj, prawda? - zapytała.
- Oczywiście, że się zmieniło. Jesteś o jeden dzień piękniejsza - uśmiechnął się. - Dlaczego o to pytasz?
- Wydaje mi się, że robię się zazdrosna.
- O kogo? Zapewniam cię, że nie masz godnej siebie konkurencji w promieniu kilku tysięcy mil.
- O duchy przeszłości może...
- Myślę, że znam dobry sposób na ich odstraszenie - powiedział, rozsuwając powoli długi zamek z tyłu jej nowej, kwiecistej sukienki.

W kryształowym lustrze Helenki Eliza widziała, jak Larry Harris całował jej szyję i obnażone ramiona. W zapadającym z wolna zmroku delikatnymi dotknięciami rejestrowała detale jego ciała, którego atrakcyjność wzbudzała w niej uczucie podobne do obawy. Czy była to obawa przed wejściem w posiadanie czegoś, co byłoby jej zbyt trudno utracić? Czymkolwiek miało okazać się owo uczucie, wiedziała, że za późno na odwrót.

Gdy odpoczywała na kanapie z twarzą przy jego piersi, było już całkiem ciemno. Myślała, że usnął, lecz za chwilę zapytał o obrazy.

- Powinienem je wreszcie powiesić. Przecież po to tu podobno przyjechałem - powiedział z typowym dla siebie poczuciem humoru.

- Świetnie, będę mieć czas na podgrzanie kolacji - odrzekła teatralnie wymuszonym tonem normalności, aby nie zdradzić stanu błógiego rozmarzenia, z którego tak naprawdę nie miała ochoty się wydestawać.

Poranek zastał Elizę w dobrym nastroju. Po ćwiczeniach i ciepłym prysznicu potraktowała się dobrym śniadaniem i z kubkiem kawy powędrowała do pokoju Heleny Wilczek.

Droga Marlenko,

szykujemy się pełną parą do chrzcin. Miałaś dobry pomysł, żeby Bena ochrzcił wasz ksiądz. Rozmawiałam już z proboszczem w naszym kościele i nie będzie problemu. Tak się cieszę, że wybraliście Elizkę na matkę chrzestną. To było ważne dla Adama. Wiele jej zawdzięcza. Chyba się nie pogniewasz, że zaprosiliśmy Phillipsów i Harrisów? Staliśmy się dla siebie niemal rodziną. Oczywiście nie mogliśmy pominąć Michelle.

Eliza nie przypominała sobie z chrzcin ani Larry'ego, ani Michelle. W Ustroniu było tego dnia sporo ludzi. Nie mogłaby jednak ich nie zauważyć. Została wtedy w USA jedynie na

tydzień, zatrzymując się u Gryców w Nowym Jorku. Przyjechała z nimi do Ustronia w dniu chrztu i spędziła tam tylko jedną noc. Z ojcem widziała się jeszcze raz u Grześka. Wziął go do siebie po uroczystościach na kilka dni.

Melodyjka telefonu komórkowego wyrwała ją z zamyślenia.

- Dzień dobry, kochanie. Wszystko w porządku?

- Na razie tak, ale już zaczynam za tobą tęsknić. Jak idzie robota?

- Przyjedź przed zamknięciem. Zobaczysz duże zmiany. Potem zapraszam cię do siebie na spaghetti. Upewnij się, że Murphy nie jest głodny. Najlepiej zaprowadź go do Grety, bo mam przeczucie, że nie wrócisz na noc do domu.

- Wiedziałam, że będziesz miał nieczne zamiary - zaśmiała się. Udało jej się odpędzić pokusę oderwania się od pracy na rzecz oddania się rozmyśleniom o czekającym ją wieczorze. Wzięła do ręki następny list.

Jestem wam winna wyjaśnienie, dlaczego Harrisowie nie mogli być na chrzcinach. Powód jest, niestety, bardzo przykry. Otóż dzieci Brendy zadzwoniły w sobotę rano, że ich matka wyszła gdzieś wieczorem i nie wróciła na noc. Larry z synem zaraz wsiedli do samochodu i pojechali do Filadelfii. Była już w domu, gdy przybyli na miejsce, ale w oplakany stan. Młodszy Larry odwiózł ojca w poniedziałek i wrócił z powrotem. Ma tam zostać na cały tydzień, aby dopilnować dzieci, a siostrę zapisać na odwyk.

Eliza wciąż miała wątpliwości, czy powinna dowiadywać się o rodzinnych sprawach Harrisów z listów Helenki. Niemniej te sprawy były nie bez wpływu na bieg wydarzeń w Ustroniu. Gdyby nie bliskość z Larrym, pewnie nie poczytywałyby tego za przeszkodę. Ostatecznie postanowiła zawiesić przeglądanie dalszej korespondencji do czasu, aż z nim o tym porozmawia, i zajęła się czynnościami domowymi.

Przyniosło jej to potrzebne odprężenie. Więcej czasu niż zwykle poświęciła na toaletę i dobór garderoby. Założyła wrzosową sukienkę z dżerseju z rękawami trzy czwarte i wycięciem na plecach. Dobrała odpowiednią szminkę i cienie do powiek. Obejrzała się dokładnie w lustrze. Zmrużyła oczy - to pomaga zamglić detale twarzy i nie widzieć zmarszczek. Usatysfakcjonowana zapakowała do torby kosmetyki i ubranie na zmianę. Wzięła z lodówki przywieziony z Filadelfii sześciopak heinekena. Jej wyrażona przez telefon prośba do Grety, aby zabrała na noc Murzynia, została przyjęta z entuzjazmem i przypieczętowana kilkoma pozytywnymi „no”.

Stała w drzwiach magazynu Larry'ego, szczerze zaskoczona. Towary niechodliwe zniknęły, a pozostałe uporządkowano. Obrazy, które uprzednio stały na podłodze, znalazły się na poustawianych wzdłuż ścian stojakach sporządzonych na wzór sztalug. Poprawiono oświetlenie. Sklep wyglądał teraz na schludny i dobrze zorganizowany.

- Bardzo pozytywna zmiana - pochwaliła. - Musiałeś się nieźle napracować. Trzeba było zawołać mnie do pomocy.

- Wystarczy, że jesteś moją inspiracją. Mam teraz dużo więcej motywacji, żeby coś tu robić - powiedział. - Bardzo ładnie ci w tej sukience - dodał. - Mimo to mam ochotę cię jej pozbawić.

- Przecież nie zrobiłbyś tego w miejscu publicznym - odpowiedziała, czując, że się rumieni.

- Dlaczego nie? To mój sklep - zażartował.

Odszedł na chwilę, zamknął drzwi od wewnątrz, obrócił tabliczkę na stronę informującą, że sklep jest nieczynny, i zgarnął stertę leżących przy kasie papierów.

- Wyjdziemy przez zaplecze - oznajmił, wygaszając główne światła.

Przeszli do kantorka. Eliza oparła dłonie o blat wielkiego biurka.

- Muszę się przyznać do grzechu, który tutaj popełniłam - odezwała się, gdy Larry wkładał do segregatora przyniesione ze sklepu kwity.

- Nie musisz. Wiedziałem o wszystkim od początku - odrzekł, nie przerywając swojego zajęcia.

Choć Eliza nie była tym zaskoczona, świeży jeszcze rumieniec na jej policzkach posłużył teraz za wypieki zażenowania.

- Ciekawa jestem, co sobie wtedy o mnie pomyślałeś - rzuciła z nadzieją, że mimo braku oficjalnych przeprosin Larry wyłapie w jej słowach poczucie winy.

Nie odpowiedział, lecz skończywszy porządkowanie papierów, zbliżył się do biurka.

- Masz ochotę zgrzeszyć tu jeszcze raz? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, uniósł Elizę z podłogi, a następnie posadził z łatwością na wielkim dębowym blacie.

Przytrzymała jego ręce, gdy spoczęły na jej mocno odsłoniętych w tej pozycji udach.

- Przystanę, jeśli nie jesteś jeszcze gotowa - wyszeptał. - Może nie odejdę od zmysłów, zanim dotrzemy do domu - powiedział pospiesznie, przygryzając delikatnie brzeg jej ucha.

Gorąca fala wymknęła się już jednak spod jego dłoni i wezbrała pod brzegiem wrzosowej sukienki Elizy. Za nic w świecie nie chciała, aby przestał, i gdy w odpowiedzi rozpięła metalową klamrę paska jego dżinsów, drewniany blat biurka tracił w nadprzyrodzony sposób fizyczne własności twardego materiału.

Z korytarzyka przy kuchni Harrisów dość strome, ale za to szerokie schody wiodły na poddasze domu. Po obu stronach obszernego pomieszczenia z ciekawie załamaną linią sufitu znajdowały się sztalugi, płótna i półki z rozlicznymi przyborami. Wzdłuż jednej ze ścian w szczycie domu

umieszczono biurko z komputerem, szafki z książkami i bujany fotel. Od części sypialnej oddzielały pracownię dwa malowane w japońskie motywy parawany, za którymi na podłodze spoczywał ogromny materac zasłany ciemnozieloną kołdrą i baterią poduszek w kilku różnych kolorach. Był zdecydowanie większy i na pewno dużo wygodniejszy niż kanapa Giny.

Eliza postawiła torbę przy pościeli i zniknęła za drzwiami łazienki, które wskazał Larry, gdy go o to poprosiła. Wróciła odświeżona, pozbywszy się z twarzy resztek makijażu. Dopiero teraz zauważyła wiszący na ścianie, oprawiony w ramkę, sporej wielkości szkic. Przedstawiał ją - z opadającym na czoło kosmykiem włosów i kieliszkiem wina w dłoni.

- Tak wyglądałaś wtedy, gdy po raz pierwszy usiedliśmy razem przed domem w Ustroniu - wyjaśnił Larry, zauważywszy, że Eliza przygląda się rysunkowi.

- Chciałabym zobaczyć twoje obrazy - powiedziała trochę po to, by zażegnać wspomnienia z ich nie bardzo udanego spotkania.

- Maluję głównie na sprzedaż, wykorzystując miejscowe zapotrzebowanie na nadmorskie pejzaże. Ludzie lubią dekorować nimi swoje letnie rezydencje. Sprzedałem też kilka do restauracji, a i wczasowicze często kupują je na pamiątkę z urlopu.

Pokazał jej jeden, jeszcze niedokończony.

- Widzę, że jesteś realistą. Nie lubisz eksperymentować?

- Nie. Wolę rzeczy takimi, jakie są, i staram się uwieczniać je w najbardziej realistyczny sposób. To trochę jak fotografowanie za pomocą pędzla - zaśmiał się.

Włączył muzykę i przez dobry system nagłośnienia popłynął któryś z nokturnów Chopina.

- Napijesz się szampana?

- Chętnie - odpowiedziała. - Czy to jakaś specjalna okazja?

- To, że jesteś tu ze mną, jest wystarczająco niezwykle. Pomyślała, że miał absolutną rację. Wszystko, co działo się ostatnio, było niezwykle w swojej zgodności z planami Helenki i zupełnie nieujęte w planach Elizy. Larry wyjął z małej, podręcznej lodówki schłodzoną butelkę i sprawnie wystrzeliwszy korek, napełnił stojące na biurku kieliszki. Eliza wzięła jeden z nich i spoczęła w bujanym fotelu.

- Podoba mi się to twoje królestwo na poddaszu - powiedziała.

- Ma w sobie bardzo wiele uroku i ciepła.

- To było kiedyś wspólne królestwo moje i Daniela. Nie wyobrażasz sobie, ile stoczyliśmy tu pojedynków. Obydwaj trenowaliśmy zapasy.

Eliza była ciekawa, czy Larry wspomni o Brendzie, ale tego nie zrobił. Wstała z fotela i usiadła mu na kolanach. Larry odstawił kieliszek i objął Elizę ciasno, jakby w obawie, że mogłaby zbyt szybko wrócić na swoje uprzednie miejsce.

- Muszę ci coś ważnego powiedzieć - zaczęła niepewnie.

- To ma związek ze zbieraniem materiałów do mojej książki. Jak wiesz, korzystam z listów, które Helen pisała z Ustronia do wnuczki. Niektóre fragmenty w ten czy inny sposób dotyczą ciebie. Na początku przechodziłam nad nimi do porządku dziennego, ale teraz dowiadywanie się czegokolwiek o tobie poza twoimi plecami stało się dla mnie nie do przyjęcia. Dam ci kopie pozostałych listów. Jeśli znajdziesz coś, czego nie powinnam wiedzieć, po prostu to wykreśl.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa - powiedział. - Nie musisz dawać mi tych listów. Mam pełne zaufanie do twojej dyskrecji i taktu.

Wypiwszy szampana, przenieśli się do części sypialnej i kiedy Larry udał się do łazienki, Eliza siadła na brzegu materaca, sprawdzając zawartość swojej torby.

- Zapomniałam zabrać piżamę - oznajmiła, gdy pojawił się przy pościeli.

- Mnie to ani trochę nie przeszkadza, ale weź to, na wypadek gdyby było ci zimno - odrzekł, podając jej jedną ze swoich koszulek.

- Nie wiedziałam, że można odtworzyć kogoś tak bez pozowania

- powiedziała, wskazując na swój portret.

- Absolutnie nie można. Mówiłem ci już, że jesteś wyjątkowa - odrzekł Larry, przewiesiwszy zdjęte ubranie przez jedną z sekcji parawanu.

- Czy jest coś, co chciałbyś wiedzieć o mojej przeszłości? Czy miałam kogoś na poważnie, na przykład? - zapytała, przytulając się do niego pod kołdrą.

- Nie jesteś mi winna takich wyjaśnień. Generalnie i samolubnie wdzięczny jestem losowi, że porozpędzał wszystkich twoich byłych adoratorów, i to mi wystarczy - powiedział, ziewając.

Wpadające przez niezastłonięte okna światło dnia obudziło ich wczesnym rankiem. Gdy Larry zobaczył, że Eliza już nie śpi, wyzwolił ją pospiesznie z bawełnianych pęt koszulki.

- Wreszcie mogę pocałować twój pępek - zaśmiał się.

Na podbrzuszu poczuła wilgotność warg Larry'ego. Zatopiła palce w jego włosach wiedziona nieoczekiwanym odruchem zmierzającym do wyhamowania ekspansji jego ust.

- Przepraszam, Larry. Nie przywykłam do takich pocałunków - wytłumaczyła się szeptem, gdy uniósł głowę trochę zaskoczony.

- Będę zatem przemierzał dzisiaj dziewicze tereny - zaśmiał się znowu i Eliza musiała przyznać, że tak naprawdę

byłaby ogromnie nieszczęśliwa, gdyby nagle zaniechał swojego zamiaru.

Kończąc śniadanie, Larry oznajmił, że musi zaraz jechać na aukcję. zaproponował, aby pojechali razem. Mieliby okazję porozmawiać po drodze. Eliza wolała jednak wrócić do domu. Nie chciała dopuścić do opóźnień w swojej pracy.

- Chcesz się spotkać w tygodniu czy zaczekamy do weekendu? - zapytała.

- Naprawdę sądzisz, że przeżyłbym bez ciebie do weekendu? - odpowiedział i umówili się na kolejny dzień w Ustroniu.

Eliza zdała sobie sprawę, że to, co działo się między nią i Larrym, z dnia na dzień traciło początkowy charakter romantycznej jesiennej przygody. Nie ufała własnemu losowi i obawiała się, że zwykła codzienność zacznie zbyt szybko i zbyt brutalnie domagać się swojego miejsca w tym niezdefiniowanym jeszcze do końca układzie. Wróciwszy do domu, włączyła komputer, żeby sprawdzić pocztę. Wiadomość od Allison czekała na Elizę już od poprzedniego dnia. Przyjaciółka miała być dzisiaj służbowo w Dover i koniecznie chciała się spotkać. Umówiły się na obiad w przyhotelowej restauracji, mimo że po ostatnich pochwałach w lokalnej prasie trudno było tam o stół nawet w dzień powszedni, bo Allison udało się zrobić rezerwację na siedemnastą. Eliza miała jeszcze sporo czasu, aby móc popracować.

Droga Marlenko,

zaczyna się lato, a tu wokoło takie zmartwienia. Gina jest przekonana, że jednak dosięgła ją ta straszna choroba. Często śmieje się, że pan Alzheimer coś znowu przed nią schował i teraz wspólnie męczą się, aby to odnaleźć. Innym razem żartuje, cytując Ronalda Reagana, że przynajmniej będzie poznawać codziennie nowych ludzi. Podziwiam jej pozytywne

nastawienie. Pytałam, czy rozmawiała z dziećmi, ale ona boi się, że ją stąd zabiorą jakimś tam prawem i osadzą w jakiejś instytucji zamkniętej przy pierwszej okazji, a nam wytoczą proces o zwrot jej wkładu. Larry obiecał zawieźć Ginę do swojego znajomego prawnika, który prowadzi kancelarię niedaleko stąd. Gina powinna spisać swoją wolę teraz, kiedy jeszcze zachowuje pełną świadomość, i wyznaczyć osoby do jej wypełnienia. Dzisiaj zdecydowała, że nie będzie już prowadzić samochodu, i oddała kluczyki do swojego chevroleta Walterowi. Walter jest w kiepskim stanie emocjonalnym, a ja i Henry patrzymy na to trzeźwo i praktycznie, ale nie bez pewnego przerażenia. Gdy jej stan zacznie się pogarszać, będzie wymagała dodatkowej opieki. Jeszcze nie przedyskutowaliśmy tego z nią i Walterem, ale myślimy z Henrym, że trzeba będzie podjąć decyzję o zatrudnieniu dochodzącej pomocy i oczywiście przeznaczyć na to pewne fundusze.

PS Dopisuję to już następnego dnia. Walter zgodził się z nami i daliśmy właśnie ogłoszenie do lokalnej gazety, że od września będziemy potrzebować kobietę do pomocy. Na razie tylko raz czy dwa w tygodniu, ale jeśli się sprawdzi, możemy zwiększyć częstotliwość.

Dotarłszy do Dover ze sporym zapasem czasu, Eliza zaparkowała przy hotelu i czekała w samochodzie, słuchając muzyki w swojej ulubionej stacji. Kiedy miała już wysiąść, zawahała się chwilę, bo za kierownicę stojącego po przeciwnej stronie parkingu srebrnego SUV - a wsiadła atrakcyjna kobieta z długimi, czarnymi włosami. Towarzyszący jej mężczyzna usiadł obok i odjechali w kierunku, z którego przybyła Eliza. Nie miała żadnej wątpliwości, że tym mężczyzną był Larry. Odruchowo złapała za telefon, lecz po przekalkulowaniu zamiaru wyciszyła tylko komórkę i schowała ją do torebki.

Allison przywitała Elizę w lobby i od razu udały się do restauracji. Eliza obawiała się, że nie będzie miała ochoty na posiłek, jednak gdy pojawił się kelner, zamówiła pełen obiad z podwójnym musem czekoladowym na deser.

Jeśli ktokolwiek mógłby nie zauważyć, że Eliza skutecznie hamowała łyzy, to na pewno nie była to Allison Shepard.

- Okay, moja droga, opowiadaj, co się stało - nakazała, na wszelki wypadek podając przyjaciółce chusteczkę.

- Dlatego sądzisz, że w ogóle coś się stało? - zapytała Eliza, wydmuchując nos.

- Domyśliłam się tego, gdy siedemnasty raz dźgnęłaś widelcem w sałatkę, nie podnosząc do ust ani jednego listka. Czy coś się zmieniło w sprawach sercowych?

- Wygląda na to, że nie jestem jedyną, z którą Larry się spotyka. - Odłożywszy widelec, Eliza pozbyła się krótkotrwałego uśmiechu, zaindukowanego odpowiedzią Allison. - Cały czas martwiłam się, że w sumie tak mało o nim wiem, i okazało się, że moja intuicja mnie nie zawiodła. Tylko że zamiast niej posłuchałam swojego najbardziej prymitywnego instynktu.

- Nie ma nic złego w podążaniu za instynktami. Często prowadzą na drogę wielkich uczuć. - Allison wyciągnęła z zanadru swoją nieodłączną apteczkę optymistycznych aforyzmów.

- Pewnie masz rację, ale tak się jakoś składa, że u mnie są to zawsze uczucia zawodu.

- To pewnie niesamowity przypadek albo zbieg okoliczności. Myślę, że wszystko się wyjaśni - pocieszała Allison, dowiedziawszy się o szczegółach zdarzenia na parkingu.

- Muszę chyba mieć w sobie magnes do przyciągania przypadków i zbiegów okoliczności - odpowiedziała Eliza, trochę już uspokojona.

- Czasem znajdujemy się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. - Allison podsumowała incydent jeszcze jedną złotą myślą.

- Wiesz, co w tym wszystkim najbardziej mnie dotknęło?
- Eliza dalej analizowała zaistniałą sytuację nad miską niedokończonych sałatek. - Że to było jak scena z najpodlejszego filmu i może ta cała afera z Larrym należy do tej samej kategorii - dodała, smarując grubo masłem drugą już bułeczkę.

- Sądzę, że zbyt pochopnie wyciągasz wnioski, Eliza. Z pewnością wszystko okaże się zupełnie niewinne. Daj mu szansę to wytłumaczyć. Kiedy się z nim zobaczysz?

- Ma odwiedzić mnie jutro wieczorem, ale obawiam się, że tym razem zastanie drzwi zamknięte na klucz.

Allison westchnęła i pokręciła głową tak samo, jak zwykła to czynić Greta.

- Nie wiem, czy zrobisz tym sobie przysługę. Może zadzwoń lub po prostu wpadnij do niego w drodze powrotnej.

- Pomyślę o tym - powiedziała Eliza.

Uznawszy limit czasu, jaki gotowa była przeznaczyć na analizowanie nieszczęsnego zdarzenia, za wyczerpany z nawiązką, zabrała się do przyniesionego właśnie steku z pieczonymi ziemniakami.

Eliza wracała do Ustronia, kontemplując uwagi Allison. Może rzeczywiście niepotrzebnie uprzedza fakty. Było już ciemno, gdy minęła budynek Harris Antiques i odnalazła ukryty między drzewami wjazd na posesję Harrisów. Podjechała wolniutko przed dom. Przy różanym klombie stały dwa samochody: ciężarówka Larry'ego i srebrna honda CRV. Wróciła na szosę. Przyjechała do Ustronia z nowymi łzami w

oczach. Rzuciła torbę na stół, wyciągnęła z lodówki otwartą butelkę wina i szcudrze napełniła spory kieliszek. Wino zawsze wprawiało Elizę w lepszy nastrój i tym razem nie było inaczej. Uświadomiła sobie, że wciąż ma wyciszony telefon. Wyjęła go z torby. Na poczcie głosowej czekała wiadomość od Greta. Był też nieodebrany na czas SMS od Allison, że jest już w lobby, i drugi, od Larry'ego, wysłany przed pięcioma minutami: „Dobrej nocy, Kochanie. Do zobaczenia jutro. O której mogę przyjść?”. Tekst, o dziwo, nie wzbudził w Elizie przyływu emocji. Może to zasługa wina, a może zadziałał mechanizm samoobrony, który już w sobie uruchomiła. Nie było jeszcze późno, więc oddzwoniła do Greta.

- Eliza, dobrze, że się odezwałaś. Chciałam zapytać, czy honde mogłabym jutro pożyczyć od ciebie na pół dnia. Mam różne rzeczy do załatwienia, a Robert jedzie do pracy. On dwa razy w tygodniu teraz pracuje jako mechanik u faceta, od którego wypożyczają z teściem maszyny rolnicze.

- Nie musisz się tłumaczyć. Oczywiście, że możesz. Przecież sama wiele razy ci to proponowałam. Chciałabym przy okazji spytać o coś, co jest mi potrzebne do notatek - zagadnęła Eliza dyplomatycznie. - Helenka wspomina parę razy Michelle. Czy mogłabyś powiedzieć, jak wyglądała? Jakoś niezręcznie mi o to pytać Larry'ego. Rozumiem, że to jego była sympatia.

Greta nie odpowiedziała od razu i Eliza pomyślała, że sąsiadka też na swój sposób zamierzała wybadać grunt.

- A jak tam z Larrym, wszystko w porządku? - zapytała najpierw.

- Tak, tak. Wczoraj byłam u niego, a on ma przyjechać tu jutro wieczorem.

- No, to ja się ciesze, no! A ta Michelle to ładna jest, nie powiem; elegancka, szczupła, włosy ma długie i zawsze

rozpuszczone nosi. Tylko że jakaś taka... nieprzystępna w rozmowie, no.

Eliza nie wysłała odpowiedzi na SMS Larry'ego i podłączyła komórkę do ładowarki. Wpuściła do domu czekającego pod drzwiami Murzynia. W nadziei wyrwania się z ponurej atmosfery nachodzących ją raz po raz domysłów poczęła przeglądać kolejne listy Helenki. Na nieszczęście okazały się pozbawione typowego dla niej humoru i zdominowane sytuacją Reginy oraz przygnębieniem pozostałych mieszkańców Ustronia spowodowanym niepowodzeniem w znalezieniu dochodzącej pomocy. Dopiero ostatni, który przeczytała, zamigotał radośniejszym światelkiem na końcu ciemnego i długiego tunelu dzisiejszego dnia.

Dostaliśmy wreszcie jakiś sensowny telefon w sprawie pomocy domowej. Bardzo przyjemna kobieta zadzwoniła w imieniu dziewczyny, co pracowała u niej w kuchni w jednym z tych małych barów przy plaży. Mówiła, że żal jej zwalniać Margaret, bo jest pracowita i uczciwa, ale po sezonie zamykają biznes aż do maja. Znalazła jej pracę na weekendy, niemniej to za mało, żeby dziewczyna mogła się z tego utrzymać. Nie ma samochodu, lecz sąsiadka mogłaby ją podrzucać przed ósmą rano i zabierać około piątej, bo przejeżdża koło nas w drodze do pracy. Zgodziliśmy się natychmiast. Wszyscy z wyjątkiem Giny powstawaliśmy tego dnia wcześniej i już od wpół do ósmej kręciliśmy się w pobliżu wejścia. Za kwadrans ósma zadzwonił dzwonek u drzwi. Walter pospieszył je otworzyć. Do westybulu wkroczyła młoda osoba z kapiącym parasolem w ręce i spojrzała na nas wszystkich z góry. Nie dlatego, że była zarozumiała. Była po prostu... duża.

Po zapoznaniu się z resztą listu Eliza próbowała zrekonstruować ich pierwszą rozmowę.

- Witamy i tak się cieszymy - Helen podeszła do kobiety z otwartymi ramionami. - Widzę, że się rozpadało, a my nawet nie zauważyliśmy, tak jesteśmy podekscytowani.

- Wezmę od pani parasolkę - zaoferował Henryk, zapewne w obawie o podłogę, a ściślej mówiąc, o rozłożony na niej turecki dywanik.

W tym momencie z saloniku wynurzyła się Gina.

- Janeczka! - zawołała po polsku. - Jak dobrze, że przyjechałaś wreszcie do Migdałowa! Tak długo cię nie widzieliśmy. Tatuś bardzo się martwił. No to się dopiero ucieszy!

Wszyscy zamarli w przerażeniu. Był to pierwszy aż tak drastyczny przejaw choroby. A właściwie drugi, jeśli za pierwszy uznać fakt, że Gina ubrana była jedynie w górną część piżamy i grube, na szczęście nieprzezrocyste, rajstopy. Margaret wydawała się jedyną osobą zachowującą w tym momencie całkowity spokój. Objęła Ginę i powiedziała, że też się cieszy ze spotkania. Uczyniła to tak naturalnie, że dopiero po dobrej chwili reszta towarzystwa zorientowała się, że dziewczyna mówiła po polsku.

- Małgośka jestem - wyciągnęła przed siebie okazałych rozmiarów dłoń.

Waldemar był pierwszym, który ją uściskał.

- Wprawdzie myśleliśmy o dwóch dniach w tygodniu, ale czy będzie pani mogła przyjeżdżać trzy razy? - zapytał.

Eliza postanowiła zakończyć na dzisiaj pracę nad listami. Nocna cisza Ustronia poczęła przygnębiać ją pustką samotności. Myśl o tym, że Larry mógł być teraz z Michelle, potęgowała to uczucie. Zdecydowała się odpowiedzieć na jego SMS. „Możesz przyjechać o siódmej wieczorem” - napisała i nacisnęła „Wyślij”. Było już dobrze po północy.

Rozdział VI

MURZYNIO

Gdy Greta zapukała z rana do drzwi, Eliza podała jej kluczyki, mówiąc, aby nie spieszyła się z ich zwrotem. Potrzebowała, co prawda, kupić coś na kolację, lecz wczorajsze doświadczenie pozbawiło ją motywacji do jakichkolwiek przedsięwzięć, które wymagałyby opuszczenia azylu Ustronia. Brak samochodu uznała za dogodne usprawiedliwienie do zamiany domowego obiadu na pizzę z dostawą do domu. Poranek był dość chłodny. Zastanawiała się, czy nie powinna już włączyć ogrzewania. Owinęła się tymczasem szydełkową narzutą i usadowiła na kanapie w salonie, obłożona listami, w których Helenka nie szczędziła opisów pogarszającego się stanu Reginy i troski o jej przyszłość. Po pewnym czasie wątek choroby Reginy zaczął ustępować miejsca nowej, niezwyklej przyjaźni.

Od kilku dni odwiedza nas niewielki piesek. Jest bardzo płochliwy i nie daje się nawet pogłaskać. Wygląda na to, że nie ma domu, bo nasze nagietki są często z rana mocno pogniecione. Chyba tam sypia. Na dworze coraz chłodniej i biedak musi się gdzieś zaczepić na zimę. Henry kupił psią karmę. Wystawiamy mu miseczkę z jedzeniem i wodę.

Dzisiejszy dzień był nietypowo ciepły jak na drugą połowę listopada. Postanowiliśmy wywieźć Ginę na podwórko. Zawsze chętnie zasiada w wózku inwalidzkim, który Larry Junior kupił dla niej na aukcji. Problemy ma natomiast z wkładaniem kurtki. Bardzo się przed tym broni i krzyczy, że zadzwoni po policję. Dzisiaj mogliśmy wziąć ją na dwór w samym tylko sweterku. Ustawiliśmy wózek tak, żeby mogła patrzeć na nagietki, które jeszcze ciągle mają trochę kwiatów. To ją zawsze uspokaja. No i wtedy wyszedł z nich ten piesek. Podszedł do wózka i merdając ogonkiem, postawił przednie łapki na kolanach Giny, a ona od razu się ożywiła.

- Murzynio, gdzieś ty się włóczył, co?! - zawołała. Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni i trochę rozbawieni, bo pomijając wszystko inne, sierść psa była ruda jak u leśnego lisa.

Przeczekawszy chwilowy nawrót wczorajszej goryczy, wywołany wzmianką o Larrym, Eliza przystąpiła do czytania kolejnego listu.

Kochana Marlenko,

nie uwierzysz, co się stało. Zaczęło się od tego, że Murzynio zniknął i nie wrócił na noc. Gina zrobiła się nie do wytrzymania i gdyby nie Małgosia, pewnie wszyscy poodchodzilibyśmy od zmysłów. Ona jedna potrafi ją ułagodzić i nic nie robi sobie z tego, że Gina nadal nazywa ją Janeczką. Po dwóch dniach pies pojawił się z wygolonym zadem i brakowało mu klejnotów. Ktoś najwyraźniej zawiózł go do wykastrowania. Henry zażartował, że teraz on i Walter muszą rozglądać się na prawo i lewo, zanim wyjdą z domu. Uśmiełam się do łez. Zadzwoiłam zaraz do Annie w nadziei, że może zna właściciela, a ona na to, że ten pies przybłąkał się do nich i zdecydowali się zrobić mu zabieg, żeby nie skrzywdził ich ukochanej Fluffy. Widać piesek doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi mieć dwa domy. Phillipsowie zgodzili się, abyśmy go zatrzymali, skoro ma taki pozytywny wpływ na Ginę. Zwrócimy im pieniądze za weterynarza. Wiek psa oszacowano na nie więcej niż dwa lata. W papierach figuruje jako Murphy, ale u nas już został Murzyniem.

Mam jeszcze jedną nowinkę. Otóż zauważyliśmy, że w te dni, kiedy jest u nas Małgosia, Bobby zachodzi pod byle pretekstem. Nazwoził drewna już chyba na trzy następne zimy. Teraz regularnie odwozi ją do domu i pomaga w przygotowaniach do egzaminu na obywatelstwo. Wczoraj Małgosia powiedziała, że ma do nas sprawę. Zrobiła herbatę po obiedzie i usiedliśmy przy kuchennym stole. A ona

najpierw o tym, jak to jej się tu dobrze pracuje, że mogłaby zamiast w restauracji, to u nas jeszcze i w weekendy bywać, a może nawet i wieczorami przy Ginie pomagać. Potem, żebyśmy się nie martwili o koszty, bo ona już to wszystko przemyślała. Skoro domek gościnny do lata i tak nie będzie używany, to przecież mogłaby tam zamieszkać i za to pracować ekstra. Bobby zrobiłby wszystko, co trzeba, aby przygotować jej nowe lokum do użytku. Widać, że razem już to sobie umyślili. Musieliśmy przyznać, że pomysł był sensowny i chyba wszystkim przypadł do gustu.

Eliza przystąpiła do dalszego czytania ze szczerym zamiarem omijania fragmentów, w których pojawiałoby się coś o Larrym. Jej uwagę przykuł jeden z kolejnych listów, z datą Nowego Roku. Był nieco chaotyczny na początku i z pewnością pisany po rozmowach telefonicznych. Niemniej Eliza była w stanie poskładać komentarze Helenki w pewną, tragiczną niestety, całość. Sprawa dotyczyła Brendy Harris, która jak nigdy przedtem zjawiła się z dziećmi w swoim rodzinnym domu na święta Bożego Narodzenia, po czym, zostawiwszy dzieci na resztę ferii, wróciła do Filadelfii sama. Na dwa dni przed Nowym Rokiem przed dom Harrisów zajechał radiowóz. Larry Junior wyszedł na zewnątrz, by porozmawiać z policjantką. Gdy wrócił, polecił ojcu natychmiast skontaktować się z mecenasem Parkerem. Zadzwoił też do brata. Jego żona, Sherri, była psychologiem i zajmowała się poradnictwem dziecięcym. Daniel obiecał, że przyjadą jeszcze przed wieczorem. Larry wszedł do furgonetki ojca i pojechał pod wskazany przez policjantkę adres w Filadelfii, gdzie zidentyfikował zwłoki siostry. Poinformowano go, że w kilka godzin po wyjściu z więzienia były mąż Brendy Travis Malone udał się do jej mieszkania i oddał dwa strzały z bliskiej odległości, po czym popełnił samobójstwo. Motywu nie ustalono. Mieszkanie było wciąż

zabezpieczone przez policję. Larry'emu polecono przyjechać po rzeczy w przyszłym tygodniu. Podpisał również oświadczenie, że Marcus Larry Malone, lat czternaście, i Nicole Joanna Malone, lat trzynaście, znajdują się obecnie pod jego opieką.

Uniósłszy z podłogi leżącego u jej stóp Murzynia, Eliza położyła go na kolanach i wtuliła twarz w miękką sierść na jego karku. Słyszała dochodzący z kuchni dźwięk telefonu, ale dopiero gdy po kilku minutach odezwał się powtórnie, uwolniła psa i podniosła się z kanapy.

- Eliza, tu Lester Parker. Czy masz teraz chwilę? Wolałaby, żeby w sprawach formalnych zwracano się do niej per pani Mazurek, ale przez wzgląd na bliską znajomość Parkerów z Harrisami wstrzymała się od komentarza.

- Tak, proszę mówić - powiedziała, ocierając wilgotne od łez oczy złapanym w drodze do telefonu ręcznikiem papierowym.

- Chciałem przypomnieć, że jutro mija tydzień od naszego spotkania. Miałaś w tym czasie podjąć decyzję, czy przyjmiesz ofertę Harrisa.

„To nie było nasze spotkanie, a twój klient to nie Harris, tylko pan Harris” - pomyślała, żałując, że odebrała telefon.

- Panie Parker, zmieniłam właśnie zdanie i zgadzam się - powiedziała - ale pod warunkiem że moje wynagrodzenie zostanie w całości przekazane na fundusz walki z przemocą w rodzinie, z zaznaczeniem, że to w intencji pamięci Brendy Harris.

Słyszała, jak Lester sapał z niezadowoleniem.

- Eliza, Eliza, chwileczkę. Naprawdę powinnaś to przemyśleć. Może spotkalibyśmy się i wytłumaczyłbym ci pewne rzeczy? Pamiętasz, umawialiśmy się, że zabiorę cię na dobrą kawę? Jeśli tak bardzo chcesz przekazać tę donację, to w porządku, ale nie powinnaś przejmować się Larrym i jego

rodziną. Wierz mi, Harrisów stać na to, aby zapłacić ci dużo więcej. Jeśli chcesz, mogę cię reprezentować w negocjacjach.

- Wiesz co, Lester? - przerwała mu. - Źle mnie rozszyfrowałeś, więc zrób to, co ci poleciłam, i odpieprz się - rzuciła do pomarańczowej słuchawki i trzasnęła nią o widełki.

Wczorajsze pojawienie się Michelle, emocje wywołane listem Helenki i niesmak pozostały po rozmowie z Lesterem wprawiły Elizę w obcy dla niej stan poirytowania. Miała poczucie, że kończyła się faza idylli i następował jakiś nieunikniony zwrot, którego nie miała ochoty przeżywać. Czowała nieprzyjemny chłód, który przenikał ją zarówno fizycznie, jak i duchowo, a perspektywa spotkania z Larrym czyniła to uczucie jeszcze bardziej przykrym. Wczorajsza pobudka w jego objęciach wydawała się odległą historią.

Zamówioną pizzę przywieziono tuż przed siódmą wieczorem. Kilka minut później w Ustroniu pojawił się Larry.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał, spoglądając na Elizę z pewną troską. Postawił na stole w jadalni dwie butelki wody gazowanej marki Perrier.

Eliza skinęła głową, ale zdała sobie sprawę, że musiała zasłużyć wyglądem na takie pytanie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko pizzy - powiedziała, odchodząc z butelkami w kierunku kuchni. - Greta pożyczyła dziś ode mnie samochód i byłam przez to trochę unieruchomiona.

Larry zostawił kurtkę na wieszaku i stanął za Elizą, gdy otwierała wielkie, pachnące papryką i kielbaską pepperoni pudełko. Kuszące zapachy uświadomiły Elizie, że nie jadła niczego od śniadania.

- Czy coś się stało? - zapytał, obejmując jej talię.

- Zjedzmy najpierw, proszę - powiedziała, przekładając trójkątne porcje na duży talerz z wizerunkiem nadmiernie kolorowego koguta. - Nie lubię zimnej pizzy.

Usiedli przy stole w kuchni. Po skonsumowanym w milczeniu posiłku Eliza podała kawę z ekspresu.

- Może masz ochotę na coś mocniejszego? - zaoferowała.

- Nie, dziękuję. Twoja kawa jest wystarczająco mocna - uśmiechnął się.

Eliza nie zareagowała na jego żart, którym pewnie usiłował poprawić jej nastrój.

- Jak się udał wczorajszy wyjazd? - spytała sucho.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Wyniosłem z niego więcej, niż się spodziewałem.

- Ach, tak? To świetnie! - ożywiła się.

Larry musiał wyczuć kombinację sarkazmu i goryczy w tonie jej głosu, bo zapytał znowu, czy na pewno wszystko w porządku. Starła się zamaskować swój stan ducha, lecz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Larry też był nieco spięty i to bynajmniej nie pomagało.

- Muszę ci powiedzieć coś ważnego - zaczął, obracając w ręce kubek z resztką kawy. - Może powinienem był to zrobić dużo wcześniej. Eliza, ja mam dwoje dzieci...

- Z Michelle? - przerwała mu.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem i niedowierzaniem. Odszedł od stołu i zdjął kurtkę z wieszaka.

- Przepraszam, muszę zapalić - powiedział, otwierając drzwi na zewnątrz.

Murzynio wykorzystał moment i wślizgnął się do środka. Eliza napełniła jego miseczkę. Narzuciwszy gruby sweter z kapturem, wyszła za Larrym na zewnątrz. Odnalazła w ciemności żar jego papierosa.

- Poczęstujesz mnie? - spytała, podchodząc w tym kierunku. Wyjął paczkę z kieszeni i bez słowa podał Elizie. Przypalił, gdy była gotowa. Usiedli przy stoliku.

- Nie jest ci zimno? - zapytał. Potrząsnęła głową w odpowiedzi.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Wiem, że nadużyłam twojego zaufania. Ostatnie dwa dni nie były dla mnie najłaskawsze, ale to nie jest usprawiedliwieniem łamania zasad.

Papieros nie spełniał jej oczekiwań - nie smakował ani nie przyniósł spodziewanego uspokojenia. Przygasiła wypalony tylko w połowie niedopałek.

- Nie sądziłem, że wiedziałaś cokolwiek o Michelle - odezwał się Larry po chwili milczenia i Eliza uznała to za akceptację przeprosin. - Nie zdaję sobie sprawy, co jeszcze o mnie wiesz. Może więcej niż ja sam - dodał gorzko.

- Wiem, że byliście zaręczeni. Wyczytałam to już jakiś czas temu między wierszami listów Helen. Przeszłość jednak nie ma tu nic do rzeczy, Larry.

- Nie wiem, co masz na myśli - powiedział.

Eliza zdała mu dość szczegółową relację z wydarzeń wczorajszego dnia.

- To wręcz nieprawdopodobne! - wykrzyknął, gdy skończyła opowiadać. - Eliza, przecież proponowałem, żebyś ze mną pojechała! Jak mogłaś przypuszczać, że wykorzystalbym twoją odmowę, aby spotkać się z inną kobietą?

- To nie było tylko przypuszczenie - odparła chłodno.

Larry wstał z krzesła i biorąc Elizę za rękę, prowadził w kierunku zwirowej dróżki. Tuż za rogiem domu stała zaparkowana srebrna honda CRV. Eliza spojrzała pytająco.

- Jak ci się podoba? Kupiłem ją wczoraj w Dover. Nie mogę przecież zawsze wozić cię motorem czy ciężarówką.

Eliza podeszła bliżej i położyła dłonie na ciepłej wciąż masce samochodu, jakby chcąc się upewnić, że jest prawdziwy.

- Odebrałem samochód zaraz po aukcji i potem spotkałem się z Michelle i jej mężem Steve'em na późnym lunchu -

kontynuował Larry. - Michelle podrzuciła mnie do miejsca, gdzie zaparkowałem ciężarówkę. Przyprowadziła mi do domu hondę, a Steve jechał za nami ich samochodem. Wzięli przy okazji kilka moich pejzaży do sprzedania. Co do twojego pytania, to Michelle i Steve mają tylko jedno dziecko i zapewniam cię, że nie mam w tym swojego udziału.

- Zachowałam się jak... zakochana smarkula - powiedziała cicho.

- Akceptuję twoje usprawiedliwienie - odrzekł, całując jej szyję.

Odwróciła się ku niemu i odwzajemniła pocałunek.

- Gratuluję zakupu - szepnęła.

Larry zniknął za domem i wrócił z kilkoma kawałkami drewna.

- Rozpalę w kominku - powiedział. - Musimy dokończyć rozmowę.

Gdy usiedli na kanapie, przygarnął Elizę do siebie. Patrzyła na żarzące się coraz mocniej kawałki drewna. Płomyki ognia, które przed chwilą tliły się w powolnym, bladoniebieskim płasie, rozszalały się teraz gorącym, złocistoczerwonym tańcem. Uległa wrażeniu, że dokładnie to samo działo się w jej sercu. Objęła ciasno Larry'ego, opierając twarz na jego piersi. Przytulił ją mocniej i powrócił zaraz do rozmowy z zamiarem doprowadzenia jej tym razem do końca.

- Eliza, powiedz mi, proszę, co ci wiadomo o mojej siostrze.

- Wiem, że nazywała się Brenda i miała problem z narkotykami. I że próbowałaś jej pomóc.

- Czy wiesz o tym, że została zamordowana? - zapytał.

- Dopiero dziś rano dowiedziałam się, jak tragicznie zakończyła życie. Nikt mi nigdy przedtem nie powiedział, że Marcus i Nicole to jej dzieci. Myślałam, że to twoi weekendowi pracownicy. Płakałam, gdy czytałam o tym w

liście Helen, ale nie tylko z żalu nad ich losem. Płakałam ze wzruszenia i admiracji dla twojej dobroci i poświęcenia, Larry.

- Teraz ja poczułem się wzruszony - odrzekł cicho, ocierając policzek wierzchem dłoni. - Jak się pewnie domyślasz, to jeszcze nie koniec historii - kontynuował. - Na przekór opinii ojca i radom George'a Parkera zdecydowałem się po tym wszystkim na adopcję dzieci Brendy. To było jedyne, co jeszcze mogłem zrobić dla swojej siostry. Marcus i Nicole dalej nazywają mnie wujkiem, ale prawnie są moimi adoptowanymi dziećmi. Byłem w tym czasie zaręczony z Michelle, która jednak wkrótce odeszła. Przy takich okazjach używa się rozmaitych frazesów o różnicach i niezgodnościach tego czy tamtego. Nie mam wątpliwości, że prawdziwym powodem była adopcja dzieci.

- Czuję się zatem zobowiązana wobec Michelle za zerwanie waszych zaręczyn - odrzekła Eliza, uśmiechając się przez nowe łyzy. - Zbyt łatwo się rozklejam - usprawiedliwiła się z lekkim zażenowaniem.

- To tylko świadczy o twojej wrażliwości - odrzekł i rozsunąwszy zamek jej swetra, szybko poradził sobie ze sportowym, zapinanym z przodu biustonoszem. - Teraz mam ochotę cię zacałować - powiedział.

- Chciałabym, żebyś zrobił to tak jak wczoraj rano - poprosiła szeptem.

- Ja też muszę dokonać poważnego zakupu - oświadczyła nazajutrz Eliza. - Nie będzie to co prawda samochód, ale duże, wygodne łóżko. Nie mam sumienia torturować cię dłużej mankamentami rozkładanej kanapy.

Larry zaśmiał się i obiecał pomóc jej w tym jutro.

- Nicole i Marcus przyjeżdżają zazwyczaj na sobotę i niedzielę, aby zarobić parę groszy, pracując w sklepie. Dzięki temu trafiają mi się wolne weekendy - wyjaśnił.

- Powiedz mi coś więcej o swoich dzieciach - poprosiła Eliza, przejmując od niego kubek świeżo zaparzonej kawy. - Niewiele o nich wiem.

- Oboje studiują w Wilmington i mieszkają w akademiku. Marcus kończy wkrótce informatykę. Nicole jest na trzecim roku psychologii, ale ma jakieś wielkie plany co do dodatkowych fakultetów.

Ponadto od jakiegoś czasu uczy się na własną rękę polskiego. No, może niezupełnie na własną. Jej współlokatorka Aneta ma w tym poważny udział.

- Interesująca osoba z tej twojej Nicole; koniecznie muszę ją bliżej poznać. Nawiasem mówiąc, oferowała pozapłatać mi warkoczyki.

- Mnie się nie udało z tego wykręcić - zaśmiał się Larry.

- Ależ ja uwielbiam twój warkoczek! Chyba ma moc afrodyzjaku - dodała szeptem, odstawiając kawę i zarzucając mu ręce na szyję w poszukiwaniu splecionego kosmyka.

- Pewnie będziesz musiała ściąć mi go we śnie, żebym wreszcie dał ci spokój - odrzekł.

Eliza zamierzała powiedzieć, że wcale nie chce, aby dał jej spokój, lecz nie było takiej potrzeby. Larry spełniał już jej niewypowiedziane życzenie.

Porządkowanie i korekta dotychczasowych notatek nie zostawiły Elizie zbyt wiele czasu na nowe listy. Zabrała się do nich dopiero wieczorem.

Cieszę się, że przyjdziecie na ślub Małgosi. Ona nie ma tu żadnej rodziny, a jej siostry, które zaprosiła z Polski, nie dostały wiz, chociaż Małgosia już wcześniej otrzymała obywatelstwo. Właściwie to powinniśmy mówić o niej Greta - zmieniła sobie imię, żeby było łatwiej. Zresztą Bobby i tak nazywa ją Gretchen. Uzgodniliśmy, że zapłacimy za kwiaty i zafundujemy Małgosi suknię ślubną. Orszaków i druhen ona nie chce, bo mówi, że tak jak w Polsce ma być; tylko jedna

para świadków. No i jeszcze wnuczka Phillipsów będzie z kwiatkami. Ach, prawie zapomniałam o najważniejszym. Henry wystąpi w roli ojca i poprowadzi ją do ołtarza. Sama go o to poprosiła, a on aż popłakał się ze wzruszenia.

Nie zabrnęła daleko, gdy zadzwonił Larry.

- Był u mnie dzisiaj Lester Parker - oznajmił. - Zostawił ci do podpisania umowę na tłumaczenie pamiętników.

- Tak szybko? - zdziwiła się.

- Eliza, cieszę się, że zmieniłaś zdanie. Mogłaś mnie jednak o tym uprzedzić. Czułem się bardzo niezręcznie, nie wiedząc o waszym spotkaniu - odrzekł Larry z wyraźnym wyrzutem.

- Naszym spotkaniu? Jakim spotkaniu? Rozmawiał ze mną jedynie przez telefon.

- Odniosłem wrażenie, że byliście umówieni na kawę.

Eliza nie wiedziała, co bardziej ją dotknęło; czy to, że popadła w pajęczą sieć intryg Lestera, czy nieukrywana oznaka braku zaufania ze strony Larry'ego.

- Nie byłam nigdzie z Lesterem, Larry, ale też nie sądzę, abyśmy musieli się o wszystkim powiadamiać. Nie jesteśmy małżeństwem.

- I w tym właśnie cały problem - odpowiedział bez najkrótszego nawet zastanowienia.

Po obu stronach zaległa cisza i Eliza omal nie odłożyła telefonu, sądząc, że coś przerwało połączenie w momencie, kiedy ton ich rozmowy wydawał się dokonywać interesującego zwrotu z irytującego na intrygujący.

- I w tym właśnie cały problem, że nie jesteśmy małżeństwem - powtórzył Larry po cierpliwie przeczekanej chwili ich wspólnego milczenia, z przekonaniem, które nie pozostawiało wątpliwości, że nie żartuje.

- Jeśli miały to być oświadczyzny, to można by zapisać je w Księdze rekordów Guinnessa jako najmniej romantyczne na

świecie - odpowiedziała Eliza i zaraz pożałowała swojego pochopnego komentarza.

Nie dlatego, że mógłby ujemnie zaważyć na znaczeniu czy choćby tylko nastroju tej chwili, lecz dlatego, że chwila ta nie miała jeszcze racji bytu. Przynajmniej nie teraz, nie w takim układzie. Jak w ogóle mogła dopuścić podobną możliwość? Nawet jeśli tylko w żartach...

- Przyjedź do mnie - poprosił Larry, nieświadomy jej konsternacji.

- Nie mogę. Jestem już w piżamie - wymówiła się.

- To świetnie - przynajmniej jej tym razem nie zapomnisz.

- Mam ochotę rzucić w ciebie poduszką.

- Zrobisz to na miejscu.

Czekał na nią na schodkach przed domem. Gdy weszła do środka w nasuniętych na boscie stopy drewniakach i narzuconej na piżamę wiatrówce, została poprowadzona wprost na górę. Na podłodze, przy posłaniu stał wazon z bukietem ostatnich już pewnie czerwonych róż z klombu przed domem Harrisów. Eliza przysunęła kwiaty i wtuliła twarz w wilgotne płatki. Larry ujął jej dłoń i gładził delikatnie swoim zwyczajem.

- Kazałem wygrawerować wewnątrz nasze inicjały - powiedział, gdy Eliza spostrzegła na serdecznym palcu lewej ręki pierścionek z niewielkim rubinem otoczonym wianuszkami drobnych diamentów.

Nie zapytał, czy była gotowa na jego propozycję małżeństwa, jeśli w ogóle można było mówić tu o propozycji. Postawił ją przed faktem dokonany i nie wyglądało na to, że spodziewa się odpowiedzi. W porównaniu z tym, co Elizie miał do zaoferowania Wiktor, była to skrajność posunięta w całkowicie odwrotnym kierunku. Jeśli nawet krył się za tym kolejny figiel jej nieobliczalnego losu, może nadszedł czas, aby poddać mu się bez oporu, otworzyć szeroko okno z widokiem na przyszłość i wywiesić w nim białą flagę.

- Larry, czy naprawdę chcesz ożenić się z kobietą, o której wiesz niewiele więcej ponad to, że poszła z tobą do łóżka na pierwszej randce? - zapytała cicho.

- To było najlepsze ze wszystkiego - odrzekł, zagarniając ją z brzegu materaca pod zieloną kołdrę. - Teraz możesz rzucić we mnie poduszką - dodał.

Nazajutrz rano Greta zjawiała się w Ustroniu w towarzystwie córek. Zaopatrzone w zestaw „Małego fryzjera” przystąpiły do wyczesywania rudego futerka odpoczywającego na kanapie Murzynia, który cierpliwie poddał się ich zabiegom.

- Chyba zbyt poważnie wzięłam twoje rady - powiedziała Eliza, gdy usiadły przy kuchennym stole. - Nie jestem tu jeszcze nawet miesiąc i zobacz, co się stało. - Wysunęła przed siebie rękę z pierścionkiem.

- Gratuluje ci, Eliza, i wiem, że na Larrym się nie zawiedziesz. A pierścionek to sama pomagałam jemu wybierać u jubilera. Tylko na grawerowanie trzeba było trochę zaczekać, no.

- Dziękuję - odrzekła krótko nieco zawiedziona, że zakup pierścionka nie był wyłączną inicjatywą Larry'ego. - Jeszcze nie ustaliliśmy daty ślubu, ale jesteśmy zgodni co do tego, że będzie bardzo skromny, a ty i Robert będziecie naszymi świadkami - obwieściła po chwili, siląc się na bardziej przyjazny ton. - Proszę cię tylko, nie rozgłaszaj na razie tej wiadomości.

- Nie jesteś pewna?

- Tu nie chodzi o wątpliwości - zaczęła, choć wiedziała, że nie były bez znaczenia. - Patrząc obiektywnie, to wszystko zakrawa na jakieś pochopne szaleństwo. Dlatego właśnie nie chcę się z nikim w tej sprawie konsultować ani słuchać niczyich rad. Jestem gotowa iść za głosem swojego instynktu.

Gdyby Eliza rozmawiała z Allison, na pewno zostałaby zapytana, dlaczego „instynktu”, a nie „uczucia”. Cieszyła się, że Greta nie wyłapała różnicy.

- Dobrze, że tak myślisz, Eliza - odrzekła Greta. - Może to nie będzie grzecznie z mojej strony, no, ale wy już i nie macie czasu na długie narzeczeństwa.

- Jeśli już jesteśmy przy ślubie; właśnie czytałam o twoim w listach Helenki. Może byłoby lepiej, gdybyś sama mi o tym opowiedziała? Czy będziesz mogła spotkać się ze mną na rozmowę w przyszłym tygodniu?

- No pewnie, no. Może nawet w poniedziałek; jak dziewczynki do szkoły pójdą, a Robert sprawy pojedzie załatwiać.

- Dlaczego zawsze mówisz Robert, a nie Bobby? - zapytała Eliza. - Helen nazywa go w swoich listach Bobby - dodała, gdy Greta spojrzała na nią zdziwiona, nie wiedząc pewnie, do czego Eliza zmierza.

- Teściowie też na niego tak wołają, i Larry, ale dla mnie Robert lepiej brzmi; bardziej po polsku, no - odpowiedziała. - Co prawda, teść częściej nazywa go Bob, a jego kuzyn to nawet mówi „Rob”. W Polsce chyba czegoś takiego nie ma, żeby ludziom imiona tak przekręcać, no - zaśmiała się.

Larry zadzwonił około południa i zaraz potem przyjechał ciężarówką. Marcus i Nicole właśnie przejęli sklep.

- Jedźmy już po to łóżko. - Eliza przerwała zabiegi zmierzające do okładania pocałunkami jej szyi. - Wygląda na to, że będziemy go potrzebować.

- Potem zapraszam cię na lunch - wymamrotał z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Musisz być przygotowany na to, że będę bardzo wybredna - ostrzegła go.

- Jeśli chodzi o łóżko czy lunch? Roześmiała się i pocałowała go w policzek.

Ogromne łoże i odpowiedniego rozmiaru materac ledwo zmieściły się w niewielkiej ciężarówce Larry'ego.

- Eliza, nie chciałbym cię urazić, ale czy nie sądzisz, że powinienem dołożyć się do kosztu tego nabytku? - zapytał, gdy po zakończonych zakupach zasiedli przy stoliku w chińskiej restauracji, czekając na zamówione dania.

- Martwisz się, że wybrałam najdroższy materac? To nie z żadnej rozrzutności, Larry, ale raczej z potrzeby zainwestowania w to, co jest dobre, co mi się podoba i do czego jestem przekonana.

- Mam nadzieję, że mówisz o mnie - powiedział, posyłając w jej kierunku kombinację swoich zalotnych atutów: zielononiebieskiego spojrzenia i zaczepnego uśmiechu.

- Stajesz się niemożliwie egocentryczny.

- Tylko kiedy idzie o twoje względy.

- Larry, a tak poważnie... Sądzę, że chociaż nie jest to zbyt romantyczne, w naszej sytuacji powinniśmy spisać umowę przedmałżeńską. Nie chcę, aby ktokolwiek myślał, że mam w planie posiąść dobra twojej rodziny. I vice versa - dodała, aby nie zdradzić swojej wiedzy o rzekomym majątku Harrisów.

- Jeśli chcesz, to umówię nas z Parkerem.

- Mam nadzieję, że nie będzie tam wtedy Lestera.

- Czy jest coś, co powinienem o nim wiedzieć?

- Tylko to, że ma się trzymać z daleka, ale sama już mu to powiedziałam, może trochę zbyt dosadnie, żeby od razu do niego trafiło.

Larry spojrział pytająco, lecz gdy się zorientował, że Eliza nie zdradzała chęci rozwijania tematu, nie dociekał szczegółów. Przyniesiono zamówione potrawy i oboje zajęli się jedzeniem.

- Nie odpowiedziałaś mi jeszcze, czy chcesz, żebym dołożył się do kosztu nowego mebla - przypomniał Larry, gdy kończyli obiad.

- Dziękuję, lecz naprawdę nie ma takiej potrzeby - odrzekła. Domyślała się, że próbował w ten sposób dyskretnie wy badać, z czego Eliza się utrzymuje, i wiedziała, że w najbliższym czasie winna mu będzie takie wyjaśnienie.

Gdy wrócili, była już prawie czwarta po południu. Larry oznajmił, że zaraz po piątej przyjedzie Marcus i wtedy razem zajmą się przemeblowaniem.

- Mogłabym pomóc ci w przenoszeniu mebli. Nie jestem przecież ani ułomna, ani ciężarna - zaśmiała się Eliza, układając pościel z piętrowego łóżka na kanapie.

- Jesteś pewna co do tego ostatniego?

- Żałuję, że nie spotkaliśmy się, kiedy jeszcze mogłam być - odrzekła poważnie. - Życie nie powinno powstawać z samego tylko uprawiania seksu...

- Popęlniłbym profanację, nazywając uprawianiem seksu jakąkolwiek chwilę, w której cię dotykam - wtrącił Larry, gdy Eliza zawahała się nad konkluzją swojej odpowiedzi.

Nie potrafiła jeszcze nazwać swego uczucia miłością. Larry musiał wychwycić jej powściągliwość. Cieszyła się, że to uszanował i nie sprowokował ją do dokończenia myśli.

Marcus przyjechał zgodnie z obietnicą i pomógł przenieść piętrowe łóżko do pustego pokoju Henryka.

- Uważaj tylko na lustro w westybulu. Jest kryształowe - ostrzegał go Larry, gdy dokonywali skomplikowanego zakrętu z trudnym do manewrowania meblem.

- Czy kanapę mamy wynieść do aneksu Giny? - zapytał Larry i nie uszło uwagi Elizy, że znana mu była nie tylko sama nazwa Ustronia, ale też i narzucona przez wuja Henryka specyficzna nomenklatura poszczególnych pomieszczeń.

Nowe, wielkie łóżce stało w opróżnionym pokoju gościnnym, który po zakończeniu tych wszystkich manewrów stał się oficjalną sypialnią Elizy.

- Pani Elizo, Nicole robi dziś fettuccine z krewetkami. Chcielibyśmy zaprosić panią na kolację - powiedział Marcus na koniec. - Czy byłoby okay gdzieś za godzinę?

- Pojadę teraz pomóc im trochę w domu i wrócę po ciebie - zdecydował Larry, zanim Eliza zdążyła odpowiedzieć, jak gdyby obawiając się, że mogłaby odmówić. - Będzie wreszcie okazja, abyś wsiadła do naszego nowego samochodu.

Nie była pewna, czy słowo „naszego” miało dotyczyć jej, czy też Marcusa i Nicole. Nie zapytała jednak o to, gdy Larry przyjechał po nią, zgodnie z obietnicą.

Usiedli najpierw w saloniku Harrisów. Atmosfera początkowo wydawała się zbyt formalna, a Larry nie czynił nic, by ją rozluźnić. Uznała te odczucia za normalny dylemat partnerów mających dzieci z poprzednich związków. W przypadku Nicole i Marcusa odpadał jednak typowy w takich sytuacjach dylemat byłej partnerki. Dochodził natomiast element odmiennego koloru skóry. Przypomniała jej się niefortunna rozmowa z Larrym na temat imienia Murzynia. Teraz rozumiała, dlaczego poczuł się wówczas urażony. Była ciekawa, jak sprawy potoczyłyby się tamtego wieczoru, gdyby nie ta cała lingwistyczna kaszanka.

Zasiedli do stołu. Wyklejone wzorzystą tapetą ściany jadalni sprawiały, że wydawała się mało przestronna. Mieściła jednak, prócz stołu, okazałych rozmiarów kredens i utrzymany w podobnym stylu bufet. Larry otworzył butelkę białego wina.

- Nicole skończyła w tym roku dwadzieścia jeden lat, więc mogę ją poczęstować, chociaż muszę przyznać, że ręka mi się trzęsie, gdy to robię - zakomunikował. - Mam nadzieję, że żadne z was nie planuje dziś nigdzie wyjeżdżać.

- Chyba nie spodziewasz się, że spędzę sobotni wieczór w towarzystwie tego komputerowego samotnika? - odrzekła Nicole, wskazując na brata.

Zapewniła jednak, że przyjedzie po nią jej koleżanka Lisa.

- Przynajmniej jestem przydatny i produktywny - usprawiedliwił się Marcus.

- Marcus opracowuje witrynę internetową dla naszego biznesu - wyjaśnił Larry. - Ma też jeszcze jakieś inne cybernetyczne pomysły.

- Nie martw się, Marcus; ja też jestem tu samotnikiem z laptopem. To znaczy byłabym, gdyby nie Larry - powiedziała Eliza, najwyraźniej sprawiając tym przyjemność im obojgu.

- Pani Elizo, wujku - Marcus uniósł swój kieliszek - chcemy z Nicole wnieść toast za was, za waszą decyzję i za waszą przyszłość. Gratulujemy!

Elizę ogarnęła ciekawość, czy zaręczyny z Michelle też były celebrowane przy tym stole.

- Jestem ogromnie szczęśliwy. Eliza to wspaniała osoba - oznajmił Larry z zauważalnym wzruszeniem.

- Na zdrowie! - powiedziała Nicole po polsku, podnosząc kieliszek.

- Wiedziałem, że pierwsze, czego nauczy cię Aneta, będzie miało związek z alkoholem - odrzekł Larry.

Wyczuwając w jego głosie nieudawaną troskę, Eliza zaniechała zwerbalizowania uwagi, że gdyby Nicole mieszkała w Polsce, już od trzech lat mogłaby się raczyć trunkami.

- Znam jeszcze „polskie piwo jest najlepsze” i „pijemy do dna” - szepnęła Nicole w kierunku Elizy.

- Co ona powiedziała? - zapytał Larry.

- Powiedziała: „Mój wujek jest dziś niezwykle przewidujący” - odrzekła Eliza, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Nicole.

Kiedy pili kawę, przyjechała Lisa i Eliza pożegnała się z Nicole, dziękując jej za kolację. Wkrótce sama była gotowa do wyjścia. Pomyślała, że jakiegokolwiek nawiązanie do wspólnego spędzenia nocy z Larrym zabrzmiałoby niezręcznie w obecności Marcusa, ale Larry wyręczył ją z kłopotu, najzwyczajniej informując swojego adoptowanego syna, że wróci dopiero jutro.

Murzynio oczekiwał ich przed drzwiami Ustronia.

- Jak nazywałaś tego psa? - zapytał Larry.

- Murphy. Nazywa się Murphy. Ma tak zapisane w papierach - odpowiedziała tak stanowczo, że nie zadawał jej dalszych pytań.

Wielkie łóżko i pościel emanowały zapachem fabrycznej nowości, który przepełniał cały pokój, lecz Larry - jak się wydawało - nie miał nic przeciw temu. Eliza dostrzegła w jego spojrzeniu, że gotowy był wypróbować z nią nowy mebel, i to bynajmniej nie tylko do spania.

- Czuję się trochę, jakbyśmy robili to w sklepie meblowym - powiedziała, wciąż jeszcze w jego objęciach. - Czy myślisz, że łóżko jest dobrym miejscem na poważne rozmowy? - zmieniła po chwili temat.

- Chyba tak, szczególnie kiedy jest duże i nowe - odpowiedział.

- Gdy tu przyjechałam, nie przypuszczałam, że będę go potrzebować. Nie chodzi mi o wydatek - dodała, aby nie pomyślał, że chce zmienić zdanie co do jego oferty podzielenia kosztów. - Chodzi mi o to, że samo łóżko nie tworzy domu, Larry. Zdałam sobie dzisiaj sprawę, że twój dom jest niecałe dwie mile stąd, ale mój jest daleko, daleko za oceanem. Tam są ciągle moje rzeczy i meble, i... ostatnie dwadzieścia lat mojego życia.

- Co ty na to, żeby rozpaćić w kominku? - zapytał. - Łóżko chyba jednak nie jest najlepszym miejscem do poważnych rozmów.

- Świetnie, zrobię gorącą herbatę z rumem.

- Nigdy nie piłem i chętnie spróbuję.

Narzuciwszy szlafrok na nagie ciało, Eliza udała się do kuchni. Gdy wróciła, w kominku tliły się już kawałki drewna.

- Rozumiem twoje położenie - powiedział Larry, siadając na kanapie. - Mój dom jest otwarty dla ciebie, ale jeśli uważasz, że powinniśmy zamieszkać w Ustroniu albo wyjechać gdziekolwiek indziej, zrobię, jak zechcesz, bo nie wyobrażam już sobie mojego domu bez twojej w nim obecności. Mam tylko nadzieję, że nie będzie to za oceanem - dodał.

Eliza wiedziała, że miał na myśli Polskę.

- Zostańmy w Delaware. Jesień jest tu zwykle ciepła i przyjemna - zacytowała słowa wuja Henryka z sobie tylko znanych notatek, dziwiąc się, jak dobrze pasowały do ich sytuacji. - Możemy zamieszkać w Ustroniu - dodała. - Będę jednak musiała pojechać do Polski, aby zrobić coś z rzeczami oraz mieszkaniem i uporządkować sprawy finansowe.

- Oczywiście, ale obiecuj mi, że uczynisz to dopiero jako pani Harris.

- Obiecuję - odrzekła, pociągając lekko jego warkoczek.

- Nie musisz się ani martwić o finanse, ani też obawiać o to, że edukacja moich dzieci jest dla mnie obciążeniem. Będę chciał wkrótce pomówić z tobą na ten temat.

- Ze mną? - zdziwiła się, ziewając.

- Tak, moja kochana, przyszła żono. Myślę, że musimy jak najszybciej doprowadzić do opuszczenia słowa „przyszła”, bo inaczej pewne aspekty naszej znajomości rzeczywiście będą zostawać w tyle. A teraz idziemy do łóżka. Spać - dodał dla jasności, unosząc Elizę z kanapy.

- Będę spała w szlafroku - wymamrotała sennie.

Światło dnia wybudziło Elizę z mocnego i niczym niezakłóconego snu. Zrzuciwszy szlafrok na podłogę, przytuliła się pod kołdrą do pleców Larry'ego. Czuła, jak wziął jej rękę i przycisnął do ust, a potem do piersi, stopniowo i delikatnie przesuując ją wzdłuż swego ciała. Pragnęła uszczęśliwić go w jakiś specjalny sposób, lecz paralizująca, gorąca fala nie zostawiła jej innej opcji, jak tylko poddać się całkowicie jego pożądaniu. Dopiero gdy je zaspokoił, zdołała wyszeptać, że było jej z nim cudownie. Miała ochotę pozostać w pościeli i delectować się ich porannym zbliżeniem, lecz rozpoczynający się nowy dzień domagał się swoich racji.

- Mam nadzieję, że dasz mi się zabrać gdzieś na kolację - powiedział Larry, całując Elizę na pożegnanie po ich wspólnym śniadaniu. - Pojedziemy motorem. Przyjedź, proszę, do mnie około piątej. Marcus i Nicole będą już w drodze powrotnej. Mam nadzieję, że zostaniesz na noc.

- Przecież kochaliśmy się już dzisiaj.

- Po pierwsze, to było na twoim łóżku, a po drugie... nie musisz się obawiać, że zabraknie mi amunicji, jeśli o to chodzi.

Zaczynała się obawiać, czy nie było to ze strony Larry'ego obsesyjne, lecz musiała uczciwie przyznać, że w takim razie była to obsesja obopólna.

Po wyjściu Larry'ego Eliza zabrała się do rozszyfrowywania i opracowywania kolejnych listów Helenki.

Wiosna znów niesie powiew nowego życia, i to bardzo dosłownie. Małgosia, to znaczy Greta, jest już w czwartym miesiącu ciąży. Zakazaliśmy jej podnoszenia Giny i ciężkich rzeczy, ale Greta śmieje się z tego i mówi, że to nic nie szkodzi, tak długo, jak się ręk nie podnosi. Z Giną, niestety, nie jest dobrze. Widać, że się nudzi, ale nie jest w stanie niczym się zająć. Przestała nawet szydełkować. Musi ją to

bardzo drażnić, bo często wyładowuje frustrację, ciskając różnymi przedmiotami. Z uwagi na jej i nasze bezpieczeństwo, nie rozpalamy już nawet w kominku. Zajmuję się nią, jak mogę najlepiej, gdy nie ma Grety, bo przy niej Gina nikogo z nas do siebie nie dopuszcza. Często mówi do mnie: „Pani jest taka dobra, ale proszę mi powiedzieć, kim pani właściwie jest”.

Wczesnop październikowe słońce nie skąpiło swojego ciepła. Około południa Eliza przeniosła się z pracą na zewnątrz. Do piętnastej udało jej się przeczytać i opracować jeszcze cztery listy, z których pierwszy pisany był we wrześniu, wkrótce po przyjściu na świat Melissy Phillips, a ostatni ogłaszał już kolejną wizytę bociana. Dwie godziny później, w džinsach, adidasach, niebieskim sweterku i założonej na wierzch wiatrówce, Eliza sadowiła się na tylne siodełko motocykla Larry’ego.

- Zajedziemy na chwilę do kościoła - oświadczył, odwracając się do Elizy, z rękami już na kierownicy. - Rozmawiałem wcześniej z księdzem Goodmanem. Chciałby cię poznać. Jeśli spodoba ci się nasz kościół, będziemy mogli wziąć tam ślub.

- Larry, ależ ja nie jestem ubrana na niedzielną wizytę u księdza!

- Wyglądasz ślicznie - rzucił w jej kierunku i przekręcił kluczyk, pozbawiając ją możliwości dalszego protestu.

Ksiądz Goodman spotkał ich w kancelarii kościoła metodystów, do którego od pokoleń należała rodzina Harrisów. Eliza przypominała go sobie z domu pogrzebowego. Przeprowadził ich bocznym przejściem do zamkniętego już o tej porze budynku, aby pokazać go Elizie. Popatrzyła chwilę, wyrażając jakiś bardzo standardowy komplement na temat kolorowych witraży. Opuściła to miejsce w stanie graniczącym z otepieniem. Czuła się, jakby nagle została uwięziona pomiędzy snem a nagłym z niego przebudzeniem, nie będąc jeszcze do końca pewna różnicy. Nie przywykła do tego, aby rzeczy działały się w jej życiu tak szybko. Musiała to wszystko przemyśleć.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Larry, zapinając jej kask.

Skinęła głową, nie potrafiąc sformułować sensownej odpowiedzi. Nie powiedziała mu, że czuła się jak żółw, który przywdział zbyt ciężką dla niego skorupę. Obecność kasku na głowie materializowała poniekąd to odczucie. Larry podał nazwę miejsca, do którego mieli właśnie jechać na kolację, lecz Elizie wydawało się, że ten głos dochodzi jakby z zaświatów, i nie była w stanie rejestrować słów, które usłyszała.

Zaparkowali pod budynkiem tawerny, wśród wielu innych motocykli i kilku zaledwie samochodów. Lokal przywitał ich podświetlanym szyldem, a zaraz potem skrzypnięciem

drewnianych, stylizowanych na stare wrota drzwi, za którymi panował mrok przyćmionych świateł. Gwar rozmów przy barze konkurował z odgłosem melodii dochodzącej z grającej szafy.

- Zamówię ci coś mocniejszego. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała kieliszka brandy - powiedział Larry, spoglądając na Elizę z troską.

- Tak, tak, proszę. Muszę tylko najpierw pójść do toalety.

- Będę czekał na ciebie przy barze.

Za drzwiami toalety zapanowała cisza. Eliza przyjęła to z ulgą. Spojrzała w lustro i zaniepokoiła się bladością swojej twarzy. Umyła ją zimną wodą i nałożyła na usta szminkę. Pomogło. Wyszła na salę i podążając w kierunku baru, rozglądała się za Larrym. Widziała, jak zbliżyła się do niego dość korpulentna kobieta. Wyglądało na to, że się znają. Przywitała się z nim dosyć wylewnie, trzymając dłoń na tylnej kieszonce jego dżinsów. Gdy odeszła, Eliza siadła na wysokim krześle, na którego oparciu Larry powiesił jej kurtkę. Czekał na nią z napełnionym kieliszkiem.

- Przychodzi tu wielu moich dobrych znajomych - powiedział.

- Właśnie zauważyłam - odparła nieco sarkastycznie.

- Już lepiej? - zapytał, a raczej chyba stwierdził, bo z intensywności, z jaką rozglądał się po sali, nie wyglądało, że czekał na odpowiedź.

Sączony powoli alkohol przyjemnie rozgrzewał żołądek Elizy i rzeczywiście poczuła się znacznie lepiej.

- Zamówię ci jeszcze jedną brandy - oświadczył Larry po chwili i przywołał barmana po imieniu. - Wybrałem już coś na kolację - dodał. - Podadzą nam do stolika. Jeśli chcesz, możemy się tam teraz przesiąść.

Eliza nie była zachwycona przebiegiem dzisiejszego popołudnia, które zdecydowanie przeradzało się w wieczór

podejmowania decyzji bez jej udziału. Dokąd na kolację, czym na kolację, wizyta u księdza, co na kolację, druga brandy... Nie była jednak w nastroju do werbalizowania swojego krytycyzmu. Larry wziął jej kieliszek i zostawiając pieniądze na barowej ladzie, przeniósł go na jeden z kilku ustawionych przy ścianie niewielkich stolików. Eliza podążyła za Larrym. Korpulentna kobieta, która się z nim witała, tym razem przewiązana kelnerskim fartuszkim z dużą kieszenią, rozłożyła przed nimi jednorazowe podkładki pod talerze i ustawiła na nich miseczki z zupą.

- Wiedziałeś, że będę chciała cebulową? - zdziwiła się Eliza.

- Domyśliłem się.

- To znaczy, że zadecydowałeś za mnie. Bardzo dobry wybór - dodała zaraz dla zneutralizowania nieopatrzego sarkazmu swojej uwagi.

Larry wyłapał już jednak z jej słów i tonu głosu oznaki niezadowolenia.

- Przepraszam - powiedział. - Normalnie zapytałbym, ale chciałem ci sprawić niespodziankę tym, co moim zdaniem jest tu najlepsze.

Może rozbroił ją tym stwierdzeniem, może jej nastrój poprawił się po alkoholu, a może po prostu nie było powodu, aby Larry Harris nie podjął za nią paru decyzji.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś - powiedziała, przysuwając się bliżej, by móc dotknąć jego dłoni.

Widziała, że był jej wdzięczny za te słowa, i poczuła napływ jakiegoś przyjemnego uczucia, dla którego nie potrafiła znaleźć właściwej nazwy.

Główne danie stanowiła świeżo usmażona i zapewne świeżo złowiona flądra, podana z frytkami, przecierem jabłkowym i surówką z białej kapusty. Ten typowy, hurtowo pewnie przygotowywany w innych miejscach zestaw

przyrządzany był w tym niepozornym zakątku domowym sposobem, który od razu dawał się rozpoznać i docenić.

Tawerna zaczęła się zapełniać gośćmi. Gdy kończyli obiad, nie było już wolnego miejsca ani przy barze, ani przy stolikach. Twarz jednego z gości wydała się Elizie znajoma; zaczesane na bok czarne, farbowane chyba włosy, nienaturalnie równe zęby i wlepione w nią spojrzenie osadzonych blisko siebie oczu.

- Larry, co tu robi Lester Parker? - zapytała.

- Lester przyjeżdża tu często w weekendy. Jak i ja jest członkiem klubu motocyklowego.

- Myślałam, że takie zrzeszenia mają na pieńku z prawem.

- Są i takie, ale w większości to na co dzień zwykli ludzie pracy różnych zawodów.

- Nawet prawnicy?

- Lester nie jest prawnikiem. Sortuje papiery i parzy kawę w kancelarii ojca.

- Ale przecież firma nazywa się Parker & Parker.

- To pozostałość po nieżyjącym już bracie George'a, który był współnikiem. George oczywiście spodziewał się, że Lester pójdzie w jego ślady. Chyba dobrze, że tak się nie stało, bo Atticus Finch na pewno nie byłby dla niego wzorem do naśladowania, chociaż wiem, że jest dla jego ojca.

To, że Larry odwołał się do jej ulubionego bohatera literackiego, przyjemnie zaskoczyło Elizę. Odebrała to nawet jako swego rodzaju pozytywny wskaźnik wzrostu jego akcji, jeśli akceptację oświadczyń można było uznać za inwestycję.

- Hej, Larry! - krzyknął w ich kierunku jeden z siedzących w pobliżu wytatuowanych brodaczy. - Teraz widzę, dlaczego dawno cię tu nie było. Warta całowania ta twoja nowa lady.

- Pilnuj lepiej swojej, Willie - odpowiedział Larry, wywołując, z nieznanego Elizie powodu, gromki śmiech i

okrzyki aprobaty pośród zgromadzonych przy barze kompanów.

- Może przynajmniej przedstawiłbyś nam swoją dziewczynę?! - zawołała rudowłosa towarzyszka jednego z nich.

- Eliza jest moją narzeczoną - wyjaśnił Larry krótko, nie podnosząc wzroku znad stolika. - Przepraszam za ten folklor - zwrócił się po chwili do Elizy - ale pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli zobaczysz, w jakim środowisku czasem się obracam.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Coraz bardziej mi się tu podoba - odpowiedziała i uniosła rękę, demonstrując pierścionek zaręczynowy.

- Miło cię poznać, Eliza! - rzuciła w jej kierunku rudowłosa. - Mam na imię Goldie - dodała, wykonując dłonią powitalny gest.

Szklanki i kieliszki poszły w górę, rozległy się brawa, gratulacje i pogwizdywania. Ktoś wrzucił monety do szafy grającej i salę momentalnie wypełniła melodia powolnego bluesa. Larry wstał i wzięwszy Elizę za rękę, zaprowadził na niewielki parkiet, który pewnie nawet nie był przeznaczony do tańca. Kilka par wyszło razem z nimi.

- Jestem w adidasach - szepnęła Eliza z zakłopotaniem i grymasem lekkiego przerażenia.

- To nie będzie przeszkadzało - zapewnił.

Miał rację. Od pierwszych kroków wiedziała, że był w tej roli doskonały, i potrafiłaby z nim tańczyć nawet w gumowcach. Musiał odziedziczyć to po ojcu. Poczowała ciepło palców Larry'ego, błędzących pod ściągaczem jej niebieskiego swetra i dotknięcia ust wokół swoich warg. Zanim jeszcze przestała grać muzyka, gorąca lawa w wulkanie ich wzajemnego pożądania zbliżyła się niebezpiecznie do ujścia krateru.

- Jedźmy już do domu - zdecydował Larry.

Nie musiała pytać dlaczego. Podał jej kurtkę, gdy wrócili do stolika. Wyszli szybko, rzucając rutynowe pożegnanie w kierunku grupki znajomych.

Larry musiał znacznie przekraczać dozwoloną prędkość, bo znaleźli się przed domem Harrisów niezwykle szybko. Pochwyciwszy rękę Elizy, poprowadził ją za sobą na górę. Usiadła lekko zdyszana na posłaniu. Popatrzył na nią z zachwytem.

- Przepraszam za pośpiech, ale w tawernie nie mogłem dokończyć pocałunku, bo sposób, który miałem na myśli, podlega karze w miejscach publicznych - uśmiechnął się, rozpinając zamek jej dzinsów.

Wiedziała, że jak i ona pragnął teraz więcej niż tylko dotyku warg. Zostawił ją na chwilę na posłaniu. Rejestrowała każdy szczegół budowy jego ciała, kiedy zdejmował ubranie, kiedy zbliżał się do niej w swojej nieukrywanej, męskiej gotowości i kiedy wyłuskiwał ją z zielonego kokonu koldry, w którym zdążyła już ukryć swoją nagość.

Rozdział VII

Na łasce eskulapa

Eliza wróciła do domu tuż przed dziesiątą rano. Nastawiła ekspres do kawy i wyjęła z szafki dwa duże kubki. Greta zjawiała się punktualnie i Eliza wykorzystwała ich wspólny czas na wypytanie o brakujące szczegóły codziennej rutyny Ustronia. Niezwykła spostrzegawczość Greta, a nade wszystko jej zaangażowanie sprawiały, że była świetnym informatorem, niemniej bardzo wyważonym w opiniach.

- Co się stało z kloszem od lampy w pokoju Waldemara?
- zapytała Eliza na koniec.

- Został rozbity - odrzekła Greta lakonicznie.

- Ostatnio?

- Nie, to się stało, kiedy wszyscy jeszcze mieszkali w Ustroniu. No, ja nie wiem, czy to tak na pewno było, ale podobno twój ojciec zapraszał do siebie czasem Gine i wszystko było w porządku, dopóki była zdrowa. Ale jak już tego alzheimera dostała, to któregoś razu rzuciła pantoflem w lampę i klosz rozbił się na kawałki, no. Może frustrowało ją światło i nie potrafiła tego pokazać w inny sposób. Twój ojciec nie chciał potem nowego zakładać. Wzrok mu się psuł bardzo szybko, to widocznie bez klosza było mu widniej. - Dało się wyczuć, że Greta najchętniej umieściłaby ten epizod na czarnej liście tematów. - Pójdę już, no - powiedziała, nie bardzo chyba pewna granicy swojej lojalności i pokładanego w niej kiedyś zaufania.

Eliza odprowadziła Gretę i Murzynio dotrzymał jej w tym towarzystwa. Nie wrócili od razu do domu, lecz powędrowali dróżką wiodącą przez pole Phillipsów. Po obu jej stronach szeleściły poruszane jesiennym wiatrem, pozbawione już całkiem chlorofilu białawe liście kukurydzy pastewnej. Greta mówiła, że gotowa była do suchego zbioru i czekali tylko na zamówiony kombajn.

- Murphy, zostaw je w spokoju - skarciła Murzynia Eliza, gdy zerwał się za wypłoszoną gromadką dzikich królików.

Przybiegł zziębnięty dopiero po kilku minutach, z językiem zwisającym z boku otwartej mordki. Merdał z zadowoleniem ogonem, jak gdyby chciał ją, a może i siebie samego zapewnić o swojej przydatności i sprawności. Eliza zatrzymała się na moment, aby dać mu odpocząć. Powinna była wziąć ze sobą wodę. Przydałaby się i jej, i psu. Rozejrzała się wokół. Otaczał ją ogrom błękitnego nieba. Nie wiedziała, jak to było możliwe, ale niebo w Polsce nigdy nie wydawało jej się aż tak niebieskie i aż tak rozległe.

Gotowa była zawrócić przy końcu drogi, lecz zatrzymało ją ujadanie, które po chwili zmaterializowało się w postaci drobnej i mocno kędzierzawej figurki Fluffy. Zaraz też pojawiła się jej właścicielka, z pewnością zaalarmowana szczekaniem.

- Eliza! - ucieszyła się Annie Phillips. - Dlaczego wcześniej do nas nie zawitałaś? Napij się kawy? Mam do niej coś słodkiego i smacznego.

Zanim Eliza zdołała wy tłumaczyć, że wyszła jedynie na spacer, znalazła się wraz z Annie w jej obszernej kuchni. Oba psy weszły za kobietami. Murzynio łapczywie dopadł do miseczki z wodą swojej czworonożnej przyjaciółki.

- Siadaj, rozgość się - zaprosiła pani domu, przekładając ze stołu na krzesło sterty czasopism oraz nawycinanych z nich przepisów kulinarnych i kuponów promocyjnych.

Coś słodkiego do kawy okazało się bardzo dobrą jeżynową nalewką na spirytusie.

- Henry zdradził mi kiedyś swój sekret - oznajmiła Annie z dumą szczególnego wyróżnienia.

Rozmowa potoczyła się wokół przeszłości Ustronia. Eliza przyjęła z ulgą, że Annie nie rozpytywała o jego przyszłość, choć z pewnością była tego ciekawa. Podświadoma obawa

przed takim pytaniem była pewnie powodem, dla którego Eliza zwlekała z odwiedzeniem Phillipsów.

- Jak się mają wnuki? - spytała tak z grzeczności, jak i dla zmiany tematu.

- Te dwie panny tutaj to widziałaś, a te z Baltimore to już całkiem wydorosły. Starsze na studiach, a młodsze jeszcze w liceum. W sumie to dobre dzieciaki. Lubię, gdy tu czasem przyjeżdżają.

- A Jane? - zapytała Eliza, nie bardzo wiedząc, czy dobrze robi.

- Jane jest dobrą matką i żoną, ale nigdy nie byliśmy sobie bardzo bliskie. Pewnie to nie ma nic wspólnego z tym, że nie jest moją rodzoną córką.

- Nie miałam pojęcia, że nie jest - wtrąciła Eliza.

- Ed był wdowcem z jedenastoletnią dziewczynką, kiedy się pobraliśmy. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata, a on było o dziesięć lat starszy.

- Czy trudno było ci przejąć rolę matki, Annie? - zapytała.

- Byłam dla Jane raczej jak starsza siostra niż matka i chyba jej to wtedy imponowało. Konflikty wybuchły parę lat później, ale kiedy zaczęła spotykać się z chłopakiem Harrisów, znowu mogłam być o nią spokojna. Na jakiś czas przynajmniej, bo potem wszystko przewróciło się do góry nogami. Tak widać było pisane - westchnęła.

Eliza uśmiechnęła się dwuznacznie i Annie zorientowała się, że powiedziała coś niestosownego.

- Cieszę się, że teraz ty się przyjaźnisz z Larrym. Mam nadzieję, że go doceniasz i nie zrobisz takiego głupstwa jak Jane - powiedziała trochę matczynym tonem.

Może zrobiła to dla złagodzenia gafy. Eliza miała nadzieję wyłowić z tej rozmowy coś interesującego. Z mizernym skutkiem usiłowała przekonać siebie, że czyniła to jedynie z myślą o swojej pracy.

- Wiem, że Larry bardzo przeżył rozstanie z Jane - zagaiła.

- Bobby też to wszystko mocno przeżył. Miał ich oboje za starsze rodzeństwo - Annie ostrożnie ominęła wątek niechlubnej przeszłości Larry'ego.

Gdy Eliza i Murzynio wracali do domu, złapał ich nagły i chłodny deszcz. Przybiegli przemarznięci i całkiem przemoczeni. Chociaż Eliza osuszyła futerko psa starym ręcznikiem, to jeszcze długo wycierał się o swój ulubiony turecki dywanik. Zajął jej trochę czasu, zanim sama mogła się przebrać w suchy bawełniany dres.

Ugotowanie rosółu na kurzych skrzydełkach z dużą ilością marchwi, selera i kapusty wydało się Elizie absolutną koniecznością. Gdy chodziło o przeziębienia, wiele razy doświadczyła profilaktycznych i leczniczych walorów tej potrawy. Zaparzyła również herbatę i wypła ją zapobiegawczo z dolewką rumu.

Po południu Elizę rozboleła głowa i chwycił atak kaszlu. Uczucie nienaturalnego zmęczenia dyktowało potrzebę jak najszybszego znalezienia się w pozycji horyzontalnej. Zagarnęła z biurka laptopa i listy Helenki i usadowiła się z nimi w swoim nowym łóżku. Musiała nadrobić zaległości ostatnich mało produktywnych dni.

Droga Marlenko,

nasz piesek to prawdziwy cudotwórca. Od kiedy z nami zamieszkał, Gina znowu zaczęła przychodzić wieczorami do salonu. Oczywiście już nam nie czyta, ale siada przy nas, gdy gramy w karty czy rozwiązujemy krzyżówki i razem z Murzyniem obserwuje papużki, a nawet czasem szydełkuje. Posłuchałam twojej rady i namówiłam pozostałych, aby wznowić wieczorki czytelnicze. Na pierwszy ogień poszło dokończenie „Potopu”. Posadziliśmy Ginę na kanapie z kłębkami włóczki i szydełkiem. Była bardzo spokojna i

wydawała się słuchać, gdy czytałam. Po jakimś czasie zabrała się do szydełkowania. Gdy skończyłam, podniosła coś w rodzaju wąskiej obróżki. „Zrobiłam mu szaliczek” - oznajmiła, mając chyba na myśli Murzynia.

Na końcu książki znalazłam wyrwaną z notatnika kartkę z odręcznie napisanym wierszem. Był to wiersz o starości i śmierci - prosty, ale bardzo wzruszający. Rozpoznaliśmy pismo Giny, lecz chyba nigdy się nie dowiemy, czy na pewno była jego autorką. Postanowiliśmy zostawić kartkę w tym samym miejscu.

Eliza, podekscytowana odkryciem, wstała z łóżka i udała się do salonu. Spodziewała się znaleźć Potop na którejś z niższych półek. Nie wiedzieć dlaczego, książka umieszczona była wysoko, poza zasięgiem ręki. Przyniosła więc z pralni rozkładaną drabinkę i ustawiła przed regałem. Spociła się, mimo że drabinka była lekka, aluminiowa. Z trudem wyciągnęła upatrzony tom Trylogii spomiędzy ciasno poustawianych książek. Była już gotowa zeskoczyć z nim ze szczebla drabiny, gdy nagle zrobiło jej się słabo i ciemno przed oczami. Może już samo to wystarczyło, by straciła równowagę, a może w dodatku nadepnęła na nieco przydługą nogawkę dresu. Niezależnie od przyczyny efekt był taki, że wylądowała na podłodze z egzemplarzem Sienkiewiczowskiej powieści oraz świadomością skręcenia lewej stopy i obicia prawej kości policzkowej. Zaklęła dość nieprzyzwoicie po polsku i zaraz potem, całkiem już niecenzuralnie, po angielsku. Dowłókłszy się do kuchni po kostki lodu, przyłożyła je zaraz do twarzy z nadzieją zapobieżenia opuchliznie.

Tuż przed piątą zadzwonił Larry. Eliza miała dość czasu, aby ochłonąć i pozbierać się po upadku. Wiedziała jednak, że ani stłuczone miejsca, ani jej ogólny stan zdrowia nie wyglądały najlepiej. Zakomunikowała to Larry’emu dopiero

po chwili rozmowy tonem przeznaczonym do informowania postronnych, że nic się nie stało. Był u niej po kilku minutach.

- Jedziemy do przychodni - powiedział. - Gdzie masz kurtkę?

- Nie ma takiej potrzeby. Poza tym jest już po godzinach przyjęć - opierała się.

- Eliza, masz poważny obrzęk kostki, siniaka na twarzy i wysoką temperaturę. Wydaje mi się, że masz też sinawe usta. To może być zapalenie płuc. Dwadzieścia minut stąd jest całodobowa przychodnia.

Wiedziała, że Larry miał rację. Czowała się coraz gorzej, a doznane obrażenia dokładały się do tego nieustającym bólem.

Wrócili od lekarza z zaleceniem tygodniowego wypoczynku i nieobciążania lewej stopy oraz dziesięciodniowym zapasem antybiotyku.

- Przykro mi, że tak się stało - powiedziała Eliza, połknąwszy już w łóżku żółto - czerwoną kapsułkę amoksyliny.

- Powinnaś teraz odpocząć - odrzekł Larry, odbierając od Elizy szklankę z resztką wody gazowanej. - I zakazuję ci wszelkich kontaktów z drabinami - dodał już przy wyjściu z pokoju.

Zaraz po tym musiała usnąć. Śniła jej się mama. Stała w drzwiach z założonymi rękami i bardzo smutnym spojrzeniem. Eliza na próżno czekała, że mama przemówi albo przynajmniej się uśmiechnie.

Obudziła się z kaszlem i silnymi dreszczami. Zajął jej trochę czasu, aby wrócić do rzeczywistości i uświadomić sobie swoje położenie. W pokoju było ciemno, lecz przez otwarte drzwi wpadało nagle światło dochodzące z któregoś z dalszych pomieszczeń. I patrzyła na framugę, gdzie przed chwilą, gdy śniła, stała mama. Za moment pojawiła się tam sylwetka Larry'ego.

- Dobry wieczór, pani Mazurek - powiedział, zmierzając w jej kierunku. - Będę dzisiaj pani osobistym pielęgniarzem.

Usiadł na brzegu łóżka i przyłożył jej do czoła elektroniczny termometr.

- Która godzina? - zapytała.

- Jedenasta dwadzieścia. Zapomniałem dodać, że jestem dziś na nocnej zmianie. Sto cztery - odczytał po chwili. Wiedziała, że to równało się czterdziestu stopniom Celsjusza. Larry podał jej lek przeciwgorączkowy.

- Dziękuję, że tu jesteś - powiedziała, kładąc głowę z powrotem na poduszkę.

Pocałował ją w posiniaczony policzek i okrył kołdrą.

Nad ranem Elizę obudziła kolejna fala kaszlu. Czuła, że nie miała już gorączki, mimo to koszula nocna była zupełnie mokra. Chciała wstać, żeby znaleźć coś na zmianę, lecz obolała lewa kostka wysłała sygnał, że to może nie być takie proste.

- Jak się czujesz, kochanie? - Larry podniósł się z drugiego brzegu wielkiego łóżka.

- Jakbym wyszła z wanny - odpowiedziała.

Wyciągnął spod swojej poduszki jej piżamę.

- Trzymałem ją tam, żeby nie była zbyt zimna. Nie masz już tak wysokiej temperatury - dodał, dotykając policzkiem czoła Elizy. - Niemniej czas na antybiotyki. Przyniosę ci coś do popicia.

Eliza przebrała się, gdy wyszedł. Zanim położyła się znowu, Larry wrócił z kuchni i przewrócił wilgotną poduszkę na drugą stronę.

- Zostawiłam na kuchence garnek z rosółem. Czy mógłbyś wstawić go do lodówki? - poprosiła.

- Zrobiłem to już wczoraj. O nic się nie martw się. Staraj się zasnąć. - Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Larry -

odpowiedziała. Odnalazł pod kołdrą jej rękę i delikatnie pogładził wierzch dłoni.

Eliza znalazła na poduszce Larry'ego kartkę, że niedługo wróci i że wziął zapasowy klucz do domu. Zegarek pokazywał dziesiątą piętnaście. Wstała z łóżka i odchyliła kołdrę, aby trochę przewietrzyć pościel. Pokuściła do łazienki. Umyła się przy zlewie, rozczesała włosy i związała je na karku frotką. Gdy wyszła, Larry krzątał się w kuchni, przygotowując lekkie śniadanie złożone z owsianki i kubka kawy z mlekiem. Nie przypomniała sobie, aby miała w kuchni płatki owsiane. Musiał zrobić zakupy.

Usiadła przy kuchennym stole, oglądając wciąż lekko opuchniętą kostkę. Larry wyszedł na chwilę do samochodu. Wrócił z chodzikiem rehabilitacyjnym i stołkiem do prysznicza. Domyśliła się, że należały do jego ojca.

- Wolałbym nosić cię na rękach - uśmiechnął się - ale będę musiał pojechać do sklepu na parę godzin. Greta może być tam tylko do drugiej trzydzieści.

Eliza podniosła wzrok znad miseczki owsianki, od razu napotykając jego spojrzenie.

- Mój prywatny pielęgniarz jest bardzo przystojny i ma niesamowity kolor oczu - stwierdziła. - Co będzie, jak nabiorę na niego ochoty?

- Będzie to znaczyło, że pacjentka wróciła do zdrowia, ale teraz jest jeszcze od tego daleka - powiedział, najwyraźniej hamując w sobie wszelkie odruchy, które w normalnych warunkach nie pozwoliłyby mu pozostać w tym momencie obojętnym.

Sprawdził jej temperaturę i zdecydował, że Eliza nie potrzebuje już leku przeciwgorączkowego.

Poprosiła go, aby kluczyki do jej samochodu przekazał tymczasowo Grecie, a po jego wyjściu zapadła w sen i

obudziła się, dopiero gdy przyszedł ponownie zaraz po siedemnastej. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Powinieneś przespać się chociaż z godzinę - powiedziała z troską. - Połóż się na kanapie w salonie.

- Przyszedłem tu, żeby dbać o ciebie, a nie odwrotnie - uśmiechnął się.

- Przy drzwiach do pralni wisi gwizdek ratunkowy. Przynieś mi go, proszę. Gdyby działo się coś złego, na pewno zostaniesz zerwany z kanapy na równe nogi.

Wiedziała, że tylko w ten sposób będzie mógł spokojnie zasnąć. Poprosiła go też, aby przyniósł jej z salonu książkę, którą zostawiła wczoraj na podłodze przy drabinie.

Wziąwszy do ręki opisywany przez Helenkę egzemplarz, Eliza doznała uczucia, jak gdyby pozwolono jej dotknąć jakiegoś cennego eksponatu wyjątego specjalnie dla niej z zamykanej na klucz gabloty muzeum. Znalazła na końcu wyrwaną z notesu kartkę z czerwoną linią marginesu. Wiersz napisany był odręcznie długopisem.

Dom spokojnej starości

Syn po ramieniu klepie:

- Będziesz miał więcej radości i będzie ci, ojcze, lepiej w Domu spokojnej starości.

- Naprawię prawnukom bambosze, pozmywam, gdy przyjdą goście, tylko nie wieźcie mnie, proszę, do Domu spokojnej starości...

Jest, jak mówili, dość czysto. Często przychodzi tu sprzątać. Gość z długopisem i listą i czai się dziwnie po kątach.

Ktoś znowu się nie zgłosił na dusz apel poranny. Ten gość już go pewnie wykosił z przedśmiertnej kwarantanny.

Mm do Hadesu odpłynął, łzę otarł i pozazdrościł spokoju swym wnukom i synom pan z Domu spokojnej starości.

Włączyła laptopa, aby przepisać wiersz do swoich notatek. Kilka łez spadło z jej policzków na klawiaturę.

Larry wstał po godzinie. Po odgłosach przestawianych garnków i otwieranych drzwi lodówki Eliza domyśliła się, że odgrzewał rosół i ugotowany przez nią wcześniej ryż. Poczowała głód. Założyła szlafrok i pluszowe stopki. Za pomocą chodzika podążyła w kierunku dochodzących już z kuchni zapachów.

- Powinnaś wrócić do łóżka - powiedział Larry, gdy skończyli posiłek.

- Jeszcze nie. Chcę pobyć trochę w innym miejscu. Poza tym chętnie napiłabym się zielonej herbaty - dodała nie tyle z pragnienia, ile dla wzmocnienia argumentu o pozostaniu dłużej przy stole.

- Przynieść ci poduszkę? - zapytał Larry.

- Wszystko, co dla mnie robisz, sprawia, że czuję się, jakbym już była obłożona dziesiątkami miękkich poduszek - odrzekła.

Wstał, aby przygotować herbatę, choć czajnik jeszcze nie zagwizdał. Pewnie zrobił to, żeby nie pokazać wzruszenia.

Upewniwszy się, że Eliza wróciła do łóżka, Larry pojechał do pracowni dokończyć zamówiony obraz. Eliza nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pewne rzeczy między nimi zaczynały dziać się tak, jak gdyby byli ze sobą już od dawna, jakby dwa tygodnie ich bliskości obdarzone były mocą czasu podniesionego do jakiejś bardzo wysokiej potęgi. Zamknęła oczy i zanim ogarnął ją sen, pomyślała, że poprzez chorobę i upadek z drabiny udzieliła jej się cząstka nadzwyczajnej opiekuńczości i poświęcenia, do jakich zdolny był Larry. Doznała uczucia szczególnego uprzywilejowania i sprawiło jej to przyjemność. Obudziła się dobrze po ósmej. Zadzwoiła do Grety.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak, tylko nie telefonowałam do ciebie, bo Larry mówił, że dużo śpisz, więc nie chciałam budzić, no. Dziękuję za samochód, Eliza. Jak tylko będzie ci znów potrzebny, to zaraz odstawię go tobie przed dom.

- Na razie ciągle jestem unieruchomiona i nigdzie się nie wybieram.

- A może co kupić tobie potrzeba?

- Dziękuję. Larry już o wszystko zadbał. Poza tym lepiej, żebyś nie zachodziła do mnie z uwagi na dzieci. Nie wiem, czy to nie jest zaraźliwe.

- Mało nie zapomniałam. Teściowa moja prosiła, żeby ci powiedzieć, że Murzynio u nich cały dzień wczoraj był i Fluffy wydawała się z tego bardzo zadowolona. To żebyś się nie martwiła, że zginaj, jak znowu pójdzie, no.

Larry przyjechał dopiero przed jedenastą wieczorem. Znowu widać było po nim zmęczenie, a może tylko brak snu.

- Muszę być jutro na aukcji, ale postaram się wrócić jak najszybciej - powiedział, układając się w łóżku obok Elizy.

- Pamiętaj, żebyś zawsze miała przy sobie telefon - polecił Larry, wychodząc z rana z domu. - Zamknę za sobą drzwi na oba zamki - dodał.

Eliza nie rozumiała, dlaczego tak się o to martwił. Nawet dawni mieszkańcy Ustronia mieli je za najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Murzynio kręcił się przy niej, obwąchując nóżki chodzika. Postawiła mu na podłodze miseczkę z jedzeniem i nalała świeżej wody. Pokuśtykała do swojej sypialni i odsunęła do góry dolną szybę okna. Słoneczny dzień stwarzał dobrą okazję do przewietrzenia pokoju. Piesek zjadł szybko i ustawił się zaraz przed drzwiami do wyjścia. Gdy Eliza wypuszczała go na zewnątrz, zadzwonił telefon w kuchni. Dowlokła się do niego tuż przed ostatnim dzwonkiem. Spojrzała na zegar.

Widelec wskazywał dziewiątkę, a nóż był już prawie na szóstce.

- Dzień dobry, Eliza - posłyszała w słuchawce głos Lestera. - Zapowiada się ładny dzień, nieprawdaż?!

- Czego chcesz? - przerwała jego grzecznościowe wstawki.

- Posiadam pewne informacje, które mogłyby cię zainteresować. Będiesz dziś rano w domu czy jedziesz z Larrym na aukcję?

Miała ochotę powiedzieć, że to nie jego pieprzony interes, i poinformować go, gdzie ma sobie wsadzić swoje informacje, ale się powstrzymała.

- Wybieram się na cały dzień do Filadelfii. Zaraz wyjeżdżam - zmyśliła na poczekaniu, aby dał jej spokój.

Odłożyła słuchawkę. Zajęło jej chwilę, zanim ochłonęła. „Skąd ten drań wiedział, że Larry wybierał się na aukcję?” - pomyślała.

Usadowiła się w fotelu Helenki, który oczekiwał jej przybycia, wysłany poduszkami. Przykryła się przyniesioną przez Larry'ego kołderką. Pozostałe po rozmowie z Lesterem nieprzyjemne uczucie ustąpiło miejsca błogiej senności. Znowu śniła o mamie. Tym razem stała przy ścianie między oknami pokoju wychodzącymi na szpalery krzaków, którymi obsadzona była żwirowa alejka. Trzaśnięcie zamykanych drzwi wyrwało Elizę ze snu. Zerwała się, zupełnie zapominając o skręconej kostce. Na szczęście stanęła na prawej nodze. Za pomocą chodzika dobrnęła do okna. Pomiędzy pozbawionymi już częściowo liści gałązkami krzewów widziała wyraźnie toczący się alejką w kierunku szosy czarny samochód o sportowej sylwetce. Zadzwoiła do Grety. Nie było jej w domu.

Nasłuchiwała przez chwilę. Gdy uznała, że nic się nie działo, pokuśtykała do przedsionka. Drzwi do jej sypialni były

zamknięte, chociaż mogłaby przysiąc, że zostawiła je szeroko otwarte. Sprawdziła drzwi wejściowe. Były zabezpieczone jedynie dolnym zatrzaskiem. Przekręciła pospiesznie górny zamek. Nie była pewna, czy zamknęła go po wypuszczeniu psa. Larry miał rację - powinna wypracować sobie zwyczaj zamykania obu zamków. Okno w sypialni było nadal otwarte. Pomyślała, że drzwi do pokoju mógł zatrzasnąć przeciąg. Zaniepokoiła ją jednak niedomknięta moskitiera. Zamknęła okno. Pokój był już znacznie wychłodzony. Na biurku przy oknie stała torebka. Eliza powinna była zabrać ją ze sobą albo przynajmniej lepiej ukryć. Sprawdziła zawartość wewnętrznej kieszonki, w której trzymała prawo jazdy, karty kredytowe i drobne pieniądze. Wydawało się, że niczego nie brakuje. Wyjrzała na zewnątrz, czy czasem nie zostawiono czegoś pod drzwiami. Chociaż nie miała żadnych na to dowodów, ogarnęło ją przeczucie, że w jej domu był Lester. Zatelefonowała do banku. Na wszelki wypadek poprosiła o zablokowanie karty kredytowej. Karta z nowym numerem miała nadejść za parę dni.

Eliza spodziewała się jeśli nie wizyty, to przynajmniej telefonu od Lestera. Czowała się teraz lepiej przygotowana na którąkolwiek z tych ewentualności. Może jednak powinna była wysłuchać, co miał jej do powiedzenia, zanim odłożyła słuchawkę. Ułożyła się z powrotem w fotelu Helenki. Spała znów jakiś czas w pozycji półsiedzącej i ponownie obudził ją odgłos zamykanych drzwi. Tym razem był to Larry. Przywiózł gorący obiad z hinduskiej restauracji. Zapach przyprawy curry przyjemnie drażnił nozdrza i Eliza poczuła, że apetyt wracał jej na dobre. Gdy jedli posiłek przy kuchennym stole, opowiedziała o telefonie Lestera i o tym, że odłożyła słuchawkę, nie mając ochoty z nim rozmawiać. Nie wspomniała jednak o jego domniemanej wizycie.

- Zadzwoń jutro do Parkerów i zapytam, czego chciał - odpowiedział Larry.

- Lester wiedział, że pojechałeś na aukcję. Mówiłeś mu o tym? - zapytała.

- W środy często jeżdżę na aukcje. Wiele z nich jest rezultatem spadków. Parker prowadzi różne sprawy z nimi związane. Czy Lester powiedział coś niestosownego?

- Nie tym razem, ale nie ufam mu ani trochę. Mam wrażenie, że nienawidzi ciebie i szuka sposobności, aby zrobić nam jakąś nieprzyjemność.

- Wiem. Chętnie znów obiłbym mu za to głowę. Nie jest to dla mnie powodem to dumy, ale chyba w tej sytuacji powinnaś wiedzieć, że jego przednie zęby są w większości sztuczne po tym, jak mu przylałem. Teraz rozumiesz, dlaczego nie pała do mnie sympatią. Jesteś zaskoczona? - zapytał.

Eliza westchnęła głęboko, co spowodowało krótki atak suchego kaszlu. Larry chciał podać jej syrop, lecz odmówiła.

- Tak, jestem zaskoczona. Miałam cię za totalnego pacyfistę - uśmiechnęła się nieznacznie. W jego spojrzeniu wyłapała przebłysk niepewności. - To miłe zaskoczenie - uspokoiła go. - Ja też potrafię czasem zmienić się z łagodnego baranka w groźnego lwa.

- Odczułem to na własnej skórze - powiedział ze swoim zazwyczajnym w kącikach ust uśmiechem, sprawdzając temperaturę jej czoła.

- Larry - zaczęła Eliza, tym razem całkiem poważnie - czy nie uważasz, że powinnam wiedzieć, dlaczego do tego doszło? Nie wydaje mi się, abyś zrobił to z błahego powodu.

- Podać ci coś do picia? - zapytał.

- Nie, dziękuję. Mam dziś już na koncie kilka kubków herbaty.

- Wezmę sobie z lodówki piwo, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Otworzył puszkę heinekena trochę zbyt gwałtownie. Blaszka uchwyty oderwała się i upadła z cichym brzękiem na podłogę. Schylił się, aby ją podnieść. Usiadł naprzeciw Elizy. Widziała jego zakłopotanie i spodziewała się, że za moment zmieni temat albo powie, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. Pociągnął długi łyk i wbrew przewidywaniom Elizy zaczął mówić.

- Lester jest rasistą i wcale tego nie ukrywa. W jego przypadku nie chodzi o prywatne opinie czy kwestie własnego wyboru. Ja też nie jestem za związkami międzyrasowymi, ale tylko ze względów praktycznych. W naszym świecie potomstwo z takiego związku z góry skazane jest na kłopoty. Niektórzy chcą udowodniać za wszelką cenę, że tak nie musi być, nie zdając sobie sprawy, że eksperymentują na własnych dzieciach.

Było jasne, że miał na myśli swoją siostrę.

- Lester jest przeciwko mieszaniu ras, bo uważa, że biała rasa posiada intelektualną, etyczną i duchową supremację nad innymi - kontynuował. - To nie jest tylko jakaś osobista bigoteria. To jest podłe, Eliza, i ta podłość prędzej czy później w takich ludziach się objawia. Tak się złożyło, że objawiła się w mojej obecności. Siedziałem wtedy w barze i rozmawiałem z dziewczyną, kobietą raczej - poprawił się - Haitanką z pochodzenia. Lester podszedł do nas i powiedział mi to do mnie, ni do niej coś bardzo obelżywego w kontekście koloru jej skóry, co również miało się odnosić do mojej Nicole. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym powstrzymać się od dalszych detali.

Dopił resztę piwa i siedział przez chwilę w milczeniu, spoglądając na pustą puszkę. Eliza wykorzystała to, by obetrzeć kręcące się w kącikach jej oczu łzy.

- Masz żal do Brendy? - zapytała, starając się nie załamać głosu wzruszeniem.

- Do niej? Nie. Mam żal do rodziców. Brenda była bardzo spontaniczna. Ceniła sobie kontakty z ludźmi, którzy wydawali jej się ciekawi. Nigdy nie przywiązywała uwagi do powierzchowności. Nie chciałbym nazwać swoich rodziców rasistami. W odróżnieniu od Lestera chociażby nie byli w tej materii zacięci czy oficjalni. Niemniej ojciec ostrzegał moją siostrę, że wygoni ją z domu, jeśli umówi się z czarnym. Chciałbym wierzyć, że był to tylko jego nieudolny sposób uchronienia jej przed utrudnianiem sobie życia. Gdyby powiedział to inaczej, Brenda nie miałaby potrzeby niczego mu udowadniać.

- Helen pisała, że kiedy w grę zaczęły wchodzić narkotyki, twoi rodzice chcieli przejąć dzieci, ale Brenda nie wyraziła zgody - wtrąciła Eliza.

- Doprawdy? To dla mnie nowość. Ojciec chciał pewnie dobrze wyglądać w jej oczach. Rozumiem, że wstyd byłoby mu przyznać się do swojej bigoterii. Gdy urodził się Marcus, mieszkałem w Baltimore i miałem wtedy swoje własne kłopoty, lecz dobrze wiem, że żadne z rodziców nie pojechało go nawet zobaczyć. Brenda miała wstęp do ich domu, ale bez Trávisa, to jest bez ojca jej dzieci. Musiało to u niej potęgować frustrację. Pod koniec życia ojciec chyba trochę zmiękł, ale nigdy nie okazał swoim wnukom serdeczności.

- Rodzina to bardzo wrażliwy układ. Łatwo w nim naruszyć równowagę.

Eliza użyła ogólnego stwierdzenia, aby nie pozostawić zwierzeń Larry'ego całkowicie bez odpowiedzi. Wyrażanie jakiegokolwiek opinii o jego rodzicach wydało się jej nie na miejscu.

- Eliza, jeśli Lester nadal będzie do ciebie wydzwaniał, musisz mi koniecznie dać znać - powiedział Larry, wracając do tematu Parkera.

- Chyba nie masz zamiaru go znowu pobić?

- Nie, ale to nie znaczy, że na to nie zasługuje.

Eliza nie mogła już dłużej odkładać kąpieli. Poprosiła o pomoc w wejściu pod prysznic. Niepotrzebnie obawiała się, że jej nagość będzie dla nich obojga kłopotliwa. Larry podniósł Elizę i delikatnie usadził na ustawionym w wannie stołku. Zaciągnął plastikową kotarę, wkładając jej dolny brzeg do wanny, żeby woda z prysznica nie spływała na podłogę.

- Dziękuję - powiedziała. - Dalej już sobie poradzę.

- Przyjdę za parę minut pomóc ci się stąd wydostać - obiecał.

Gdy wrócił, Eliza zakręcała właśnie wodę. Odsunął zasłonę i podał jej ręcznik. Zaczekał, aż wytarła nim włosy i osuszyła ciało, a następnie zaniósł do łóżka, okrytą szlafrokiem.

- Jesteś piękna - powiedział, pomagając jej wkładać piżamę.

- Zostaniesz na noc? - zapytała.

- Zostanę, ale tylko w roli pielęgniarza - odpowiedział. - Twoje ciało potrzebuje jeszcze pełnego wypoczynku.

- To mi wystarczy, tylko proszę, śpij obok mnie.

Gdyby odmówił, pewnie zwierzyłyby mu się ze swoich podejrzeń co do Lestera. Z nadejściem nocy obawa, że mógłby tu powrócić, stała się bardziej realna.

Larry wyjechał zaraz po śniadaniu. Drogi oddechowe Elizy były już w znacznie lepszym stanie i poprawiło jej się ogólne samopoczucie. Jediną przeszkodą w normalnym funkcjonowaniu wciąż była obolała kostka. Eliza wiedziała, że upłynie jeszcze kilka dni, zanim będzie mogła w pełni obciążać swoją lewą stopę. Na szczęście dzięki chodzиковi człowieka wagi mogła poruszać się po domu.

Koncentrowała się na pisaniu i prawie kończyła już opracowywanie kolejnego listu, gdy odezwał się telefon w kuchni. Była zła na siebie, że nie założyła identyfikatora

rozmówcy. Zanim podniosła słuchawkę, złapała podręczny dyktafon, którego używała czasem do rejestrowania swoich przemyśleń. Wiedziała, że nagrywanie rozmów telefonicznych bez zgody rozmówcy było w niektórych stanach nielegalne. Nie miała pewności, czy należał do nich stan Delaware.

- Eliza Mazurek - powiedziała do słuchawki.

- Dzień dobry. Cieszę się, że cię zastałem. Proszę, nie rozłączaj się i wysłuchaj mnie dla swojego własnego dobra - zarejestrował się głos Lestera.

Nie odłożyła słuchawki, ale też i nie odpowiedziała na jego pozdrowienie. Mówił dalej, zakładając zapewne, że go słucha:

- Eliza, przejdę od razu do rzeczy. Pomyślałem, że dobrze byłoby, gdybyś wiedziała o tym, że Larry był karany za pobicie. To nieobliczalny typ, wilk w owczej skórze. Powinnaś się mieć na baczności.

- Myślę, że to przede wszystkim ty powinieneś się mieć przed nim na baczności, Lester. Dobrze wiesz, o czym mówię - odparła, nie przyznając się, że chociaż wiedziała o samym zdarzeniu, to wiadomość o jego prawnych konsekwencjach była dla niej nowością.

Lester nie wydawał się zbity z tropu niepowodzeniem swojego pierwszego wybiegu i od razu wyciągnął z zanadru następny.

- Podejrzewam, że nie wiesz wszystkiego. Larry zadawał się z haitańską dziwką. Był z nią w barze, kiedy doszło do rękoczynów. Carla się nazywała - wtrącił zapewne dla podbudowania wiarygodności informacji. - Larry lubi ciemnoskóre i nie przeszkadza mu, że te z Haiti są szczególnie brzydkie i pozarazane HIV.

Eliza nie miała wątpliwości co do tego, że informacje Lestera były prawdziwe tylko w jakimś stopniu, a on sam należał do gatunku, który funkcjonował w urojonym świecie

stwarzanych na własny użytek kłamstw i oszczerstw. Wiedziała z doświadczenia, że jedynym skutecznym działaniem przeciw podobnym typom był atak z użyciem ich własnej broni. Odczuła napływ adrenaliny jako sygnał do przejęcia kontroli.

- To wspaniałomyślnie z twojej strony, że czuwasz nad moim zdrowiem - odparła, delektując się momentem przejęcia steru rozmowy, którego Lester nie był jeszcze świadomy. - Tylko widzisz, to nie ma dla mnie większego znaczenia, bo ja też jestem chora - odrzekła z powagą, aby zabrzmiało to tak, jak gdyby chodziło o AIDS. - Jeśli twoja oferta zaproszenia mnie na kawę jest wciąż aktualna, to możemy się spotkać i porozmawiać - zaśmiała się, prawdziwie już teraz rozbawiona sytuacją.

Lester milczał jakiś czas, zapewne rewidując swoją taktykę. Rzeczy najwyraźniej nie układały się po jego myśli. Eliza nie odłożyła słuchawki i czekała cierpliwie na odzew. Nie zamierzała pozbawić siebie tej chwili satysfakcji.

- Teraz będę chyba trochę zajęty. Dam ci znać, jak coś się zmieni - powiedział wreszcie po długiej pauzie.

- Rozumiem - odparła.

Odłożyła słuchawkę i wyłączyła nagrywanie. Połknął haczyk. „Będzie teraz drań trzymał się ode mnie na odległość” - pomyślała, zadowolona z przemyślności swojego fortelu. Chwilowa radość ustąpiła miejsca uczuciu niepewności. Jak powinna potraktować drugą informację Lestera? Nie miała wątpliwości, że nie działał jako przyjaciel. Może jednak miał rację co do wirusa? Poczła nieprzyjemny dreszcz. Larry od początku chciał kochać się naturalnie, jak to nazwał, „bez opakowania”, i przystała na tę propozycję, cokolwiek rozbawiona samym określeniem. Do tego wszystkiego dołożyło się niemiłe odczucie, że Larry zadawał się z przygodnymi kobietami z barów. Z drugiej strony naiwnie

byłoby sądzić, że żył w celibacie i czekał na pojawienie się w Ustroniu Elizy. Rozboliła ją głowa. Musiała położyć się do łóżka. Zasnęła mocno i śniło jej się, że Lester układał się przy niej. Obudziła się z przerażeniem i odrazą - szczęśliwa, że to tylko sen. Grała melodyjka jej komórki. Ekranik wyświetlał trzecią po południu.

- Wszystko w porządku, Eliza? - odezwał się Larry.

- Kiedy przyjedziesz? - spytała zamiast odpowiedzieć.

- Pomyślałem, że skoro już czujesz się lepiej, to może przyjechałbym dopiero jutro. Nie jestem chyba w najlepszym nastroju i pewnie nie byłbym dziś z tego powodu dobrym kompanem. Może dzień przerwy dobrze nam zrobi? Mam sporo pracy u siebie w domu.

W głosie Larry'ego wyczuwalny był chłodny dystans i brak typowej dla niego serdeczności. Eliza odniosła wrażenie, że miał do niej o coś żal, ale nie chciał tego powiedzieć. Postanowiła wziąć się w garść i nawet zdołała przekonać siebie, że istotnie tak będzie lepiej. Ona też potrzebowała trochę czasu i własnej, niezakłóconej niczyją obecnością przestrzeni, aby przetrwać świeżo nabyte informacje. Kryminalna kartoteka, a tym bardziej potencjalne zagrożenie HIV nie były bynajmniej drobnymi sprawami.

- Czy rozmawiałeś z Lesterem? - zapytała.

- Był dziś rano w sklepie - odrzekł Larry krótko.

- A czy pytałeś go, czego ode mnie chciał?

- Nie miałem takiej sposobności.

Podejrzewała, że zwrot w zachowaniu Larry'ego był wynikiem jakichś nowych, nieznanych jej jeszcze intryg Lestera. Zadzwoiła po godzinie. Larry nie odebrał telefonu. Wysłała mu SMS - a z zapytaniem, jakim samochodem jeździ Lester. Dodała, że to dla niej ważne. Nie odpowiedział. Zaczęła się obawiać, że może Larry zaraził się od niej

zapaleniem płuc. Pewnie zamknął wcześniej sklep i poszedł się położyć.

Zajęła się pracą. Cisza wielkiego domu, zamiast pomagać, drażniła ją i przerażała. Telefon milczał aż do dziewiątej wieczorem, kiedy to zadzwoniła Greta, oznajmiając, że za chwilę przyjdzie.

- Otworze swoim kluczem, żebyś nie musiała wstawać - powiedziała.

Mimo to Eliza, wsparta na chodziku, czekała już przy drzwiach.

- Dziewczynki już śpią? - zapytała.

- Jeszcze nie. Poprosiłam teściowo, żeby przyszła i z nimi posiedziała. Robert jest w szpitalu - oznajmiła.

- Co mu się stało?

- Jemu nic, jest tam z Larrym. On chyba miał taki mały stroke, Eliza.

- Jaki znowu stroke? - przestraszyła się.

- No taki, wiesz, no... Co to krew do mózgu uderza. Chodź do kuchni i usiądź przy stole. Nastawie kawę i porozmawiamy, no.

Eliza siadła posłusznie na krześle. Była zszokowana wiadomością, lecz jednocześnie dziwnie spokojna. Wiedziała, że musi dać Grecie trochę czasu. Patrzyła, jak jej duża postać krząta się po kuchni. Była prawie tak wysoka, jak Larry.

- Robert dzwonił do niego po coś jeszcze przed zamknięciem sklepu i wydało się jemu, że Larry dziwnie rozmawiał - powiedziała wreszcie Greta, stawiając na stole napełnione filiżanki.

- Jak to „dziwnie”?

- No, jakby upił się czy co. Robert nic nie powiedział, tylko wsiadł do samochodu i tam pojechał. Jak go zobaczył, to od razu zadzwonił po karetkę. Pozamykał sklep i warsztat i zaraz do szpitala pognął. Dali tam Larry'emu jakieś lekarstwo

i niektóre badania porobili, ale na więcej testów i na obserwacje mieli go do Dover jeszcze dzisiaj przewieźć. Robert powiedział, że tam pojedzie i dopilnuje wszystkiego, nawet gdyby miał do nocy siedzieć. Larry kazał, żeby ani do ciebie, ani do dzieciaków tak od razu nie dzwonić, ale ja wiem, że ty pewnie martwiłaś się, bo nie odpowiadał na telefon, no.

W tym momencie Eliza zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Gotowa była ubierać się i jechać do szpitala, lecz Greta wyperswadowała jej to swoim sposobem i radziła czekać na kolejny telefon od Roberta. Zadzwoił po kilku minutach. Greta przestawiła swoją komórkę na głośnik, uprzedzając najpierw o tym męża.

- Mam prośbę do Elizy - powiedział.

- Słucham cię, Robert - odezwała się, przełknąwszy uwięzione w gardle łzy.

- Obiecałem Larry'emu, że zadzwonię do ciebie dopiero jutro...

- Rozumiem. Możesz być pewien, że nic mu nie powiem - odrzekła, grzejąc dłonie na ciepłej wciąż jeszcze filizance.

Robert nie miał żadnych nowych wiadomości. Na szczęście nie było pogorszenia.

- Może potrzebujesz, żebym na noc u ciebie została, co? - zapytała Greta Elizę.

- Och nie, dziękuję. Nie jestem już obłożnie chora.

- Pojade jutro popracować w sklepie, żeby zamknięty nie stał - ogłosiła Greta.

- Weź mnie ze sobą, proszę. Będę twoją pomocnicą. Pokażesz mi, jak obchodzić się z kasą i innymi rzeczami.

- No przecież ty chodzić nie możesz, no!

- Będę siedzieć. Mogę też wziąć ze sobą chodzik.

Zaraz po wyjściu Grety Eliza położyła się do łóżka. Chciała jak najszybciej usnąć i doczekać jutra. Postanowiła, że

jeśli Larry nie zadzwoni do dziewiątej rano, sama skontaktuje się ze szpitalem. Zanim zawładnął nią sen, rozległ się dźwięk melodyjki telefonu. Odnalazła w ciemności włącznik nocnej lampki. Na ekraniku wyświetlał się nieznany numer. Miała nadzieję, że to Larry. Wiedziała, że szpitale nie pozwalały na używanie telefonów komórkowych przez pacjentów w obawie o rzekome zakłócanie pracy sprzętu medycznego.

- Cześć, Eliza. Nie obudziłem?

- Och, Larry, martwiłam się o ciebie. Jak się czujesz? Przysunęła do twarzy jego poduszkę, aby nie słyszał, że płacze.

- Dzwonię ze szpitala, ale wszystko jest już w porządku. Powiedział jej nie więcej niż to, co wiedziała z relacji Roberta.

- Czy Nicole i Marcus już wiedzą? - zapytała.

- Nie, jeszcze nie. Czy mogłabyś poprosić Gretę, aby zostawiła im na drzwiach domu kartkę z tym numerem telefonu, z którego teraz dzwonię? Wiem, że planowali przyjechać jutro po zajęciach. Mam ich numery na komórce, ale musiałem ją wyłączyć i zostawić w depozycie, bo ciągle jeszcze w szpitalach panuje ten idiotyczny zakaz. Mam nadzieję, że wkrótce zostanie zniesiony.

- Może dobrze byłoby im podać również i mój numer, na wypadek gdyby nie mogli się do ciebie dodzwonić?

- Tak, oczywiście. Dziękuję, że o tym pomyślałaś.

- Bardzo za tobą tęsknię - powiedziała Eliza, lecz ciągły sygnał w słuchawce bezlitośnie ogłosił fiasko próby przedłużenia rozmowy.

Zbudziwszy się, Eliza siedziała jakiś czas na łóżku z poduszką na kolanach. Odsunięte na drugi plan wiadomością o chorobie Larry'ego myśli o wizycie intruza wróciły teraz, dokładając się do niepokoju. Powinna była sprawdzić, czy nie skradziono paszportu. Otworzyła szufladkę nocnej szafki. Amerykański paszport leżał na swoim miejscu. Coś

zaszeleściło pod stopą. Schyliła się i podniosła z podłogi kolorową broszurę. Chociaż spomiędzy pasków żaluzji przebijało poranne światło, w pokoju panował mrok. Eliza musiała zapalić lampkę, aby przyjrzeć się znalezisku. Była to ulotka motelu z miejscowości Georgetown, z przypiętym zszywką pokwitowaniem dokonania opłaty za pokój. Rachunek opatrzony był środową datą. Eliza starała się nie dopuszczać do siebie emocji. W pierwszym odruchu wzięła to za jeszcze jeden ślad wizyty Lestera. Za chwilę jednak skojarzyła sobie, że w środę Larry jeździł na aukcję. Sądziła, że do Dover, ale nie miała pewności. Do tego był to trzeci dzień abstynencji spowodowany jej chorobą. Czyżby Larry miał aż tak niepohamowany apetyt na te rzeczy? Ta myśl przeraziła ją i rozbawiła zarazem.

Musiała poradzić sobie sama zarówno z myślami, jak i z prysznicem oraz innymi drobnymi czynnościami, w których do tej pory była wyręczana. Zabierało jej to dużo czasu. Dopijała jeszcze kawę, gdy pojawiła się Greta.

- Nie musisz ciągnąć ze sobą tego chodzika - powiedziała.
- Mam w samochodzie taką podpórke, co Robert używał, jak kiedyś kolano uszkodził.

Zajechały najpierw przed dom Harrisów, aby zostawić na drzwiach informację dla Marcusa i Nicole. Tuż przed dziesiątą znalazły się przy sklepie. Na parkingu czekali już pierwsi klienci, którzy na szczęście spędzili blisko godzinę, obchodząc dokładnie cały magazyn. Eliza miała wystarczająco dużo czasu, aby przyjrzeć się procedurze otwarcia, sprawnie i z nieukrywaną dumą wykonywanej przez Gretę. Wkrótce miały też utarg ze sprzedaży trzech stolików i dość drogo wycenionego obrazu, który nie był dziełem Larry'ego.

Po wyjściu klientów zajęły się rzeczami zakupionymi na ostatniej aukcji. Niektóre wymagały jeszcze przygotowania, a inne, już wycenione, gotowe były do odsprzedaży.

- Zanim ja to wyniose na sklep, to trzeba będzie najpierw wprowadzić do ewidencji - powiedziała Greta, uruchamiając komputer.

Eliza siadła przy wielkim biurku Larry'ego.

- Mogę wprowadzać do ewidencji, jeśli mi pokażesz, jak to się robi - zadeklarowała, używając terminologii Greta.

- To proste, no - mówiła dalej Greta, otwierając któryś z rozlicznych plików. - Tu wstawisz datę i liczbę, a tu opis przedmiotu i gdzie kupione. Informacje weźmiesz z tych kartek - wskazała na przyklejone do towarów kwity. - Cene do sprzedania Larry napisał na dole każdego kwitu, a za ile kupił, się wpisuje tu, w tej rubryce - powiedziała, wskazując właściwe miejsce swoim wielkim palcem. Ten program od razu wydaje numer inwentarzowy - dodała pouczającym tonem dumnego ze swojej roli zwierzchnika.

Miejscowość Georgetown pojawiała się na każdym z kwitów jako miejsce zakupu. Eliza poczuła się nieswojo.

Po zademonstrowaniu obsługi kasy Greta zajęła się wynoszeniem z zaplecza nowych towarów i ustawianiem ich w sklepie. Nie mając nic lepszego do roboty, Eliza postanowiła uporządkować leżące pod ladą arkusze i torby do pakowania towarów. Gdy zażegnała już panujący tam nieład, w prawym rogu półki ukazał się dobrze jej znany obiekt.

- Chciałabym zapłacić - usłyszała w tej samej chwili. Wystukała transakcję i przyjęła pieniądze za ciężką, sporządzoną z brązu menorę.

Owinęła ją w szary papier, umieściła w podwójnej torbie i podała czekającej przy ladzie klientce z podziękowaniem i uśmiechem, który natychmiast zniknął z jej twarzy, gdy kobieta odeszła od kasy.

Wyciągnąwszy spod lady niewielki woreczek, wyjęła umieszczoną w nim szminkę. Nie miała żadnej wątpliwości, że była jej własnością. Otworzyła nasadkę. Jak się

spodziewała, różowy trzonek zużyty był więcej niż w połowie. Niepewna, co ma zrobić z tym odkryciem, odłożyła woreczek w to samo miejsce.

Zbliżała się pora lunchu i Eliza poczuła dotkliwy głód. Zamówiła pizzę. Jadły z Gretą, rozmawiając o Larrym i Robercie. Eliza nie wspomniała ani o szmince, ani o kwicie z hotelu, ani o rozmowach z Lesterem. W pewnej chwili zagrała melodyjka komórki. Marcus znalazł kartkę na drzwiach domu, lecz podany tam numer Larry'ego nie odpowiadał. Eliza kazała więc Marcusowi przyjechać do sklepu. Był już po minucie, zauważalnie przerażony.

- Jadłeś lunch? - zapytała i gdy odpowiedział przecząco, podała mu na papierowym talerzu dwa pozostałe kawałki pizzy.

Greta zrobiła wszystkim kawę i opowiedziała pokrótce o przyczynie i przebiegu pobytu Larry'ego w szpitalu. Gdy Marcus skończył jeść, Eliza spytała o jego siostrę.

- Nicole wybrała się na weekend do Bostonu. Z Anetą, do jej rodziny - dodał dla wyjaśnienia. - Próbowała powiadomić o tym wujka, ale nie odpowiadał. Myśleliśmy, że zepsuł mu się telefon.

- Jak będziesz do niej dzwonił, powiedz, żeby zapisała sobie mój numer. Mam nadzieję, że ty już to zrobiłeś - dodała rodzicielskim tonem, który pewnie ośmielił Marcusa, by poprosić o poradę.

- Pani Elizo, czy powinienem powiedzieć jej, że wujek jest w szpitalu? Jeśli to zrobię, będzie chciała przyjechać, a teraz akurat są weekendowe korki. Podróż zajęłaby jej prawie cały dzień.

- Myślę, że powinieneś jej powiedzieć, Marcus, ale zaznacz, że nie ma potrzeby, aby przyjeżdżała, bo już wszystko jest w porządku i jutro wujek wraca do domu.

Nie miała najmniejszej pewności, czy rzeczywiście wszystko było w porządku, a fakt, że Larry nie odebrał telefonu, nie był wcale dobrym znakiem. Zostawiwszy Marcusa w kantorku, wróciła za ladę. Wybrała wprowadzony już wcześniej do komórki numer szpitala. Słyszała, jak pracownica w informacji wystukiwała podane przez nią dane pacjenta.

- Nie mam go w systemie, może jest na badaniach albo w tranzycie - poinformowała.

Eliza czuła, że robi jej się słabo i ciemnieje przed oczami jak wtedy, gdy stała na drabince, tyle że tym razem z zupełnie innego powodu.

- Tranzycie dokąd? - zapytała, nie kryjąc zdenerwowania. Słabość ustąpiła miejsca efektem fali adrenaliny.

- Proszę podać numer telefonu. Postaram się, aby lekarz prowadzący wkrótce do pani zadzwonił.

Eliza miała wrażenie, że czas rozciągnął się nagle i podążał opieszale wzdłuż jakiejś nierealnie wielkiej skali. Greta musiała powtórzyć jej dwa razy, że skoro jest już tu Marcus, to będzie chciała zaraz wracać do domu.

- Pojedziesz ze mną czy zostaniesz? - zapytała po raz któryś, nieco już zniecierpliwiona.

- Pojadę z tobą - odpowiedziała Eliza.

Gdy Greta informowała o tym Marcusa, jej głos dochodził do Elizy jakby z zaświatów. Melodyjka komórki wyrwała Elizę z tego stanu i przywróciła do rzeczywistości.

- Pani Mazurek? Tu doktor Desai - odezwał się głos z silnym hinduskim akcentem. - Czy jest pani kimś z rodziny Larry'ego Harrisa?

- Jestem jego narzeczoną - powiedziała, szykując się na jakąś nie za dobrą wiadomość.

- Pacjent miał dzisiaj kilka badań, łącznie z dodatkowymi testami krwi, ale o ich wynikach mogę rozmawiać tylko z osobami upoważnionymi.

Eliza odetchnęła z ulgą, mimo że „dodatkowe badania krwi” skojarzyły jej się momentalnie z nieszczęsnym wirusem HIV.

- Czy można go dziś odwiedzić? - spytała.

- Tak, oczywiście. Najlepiej gdzieś około siódmej wieczorem. Został właśnie przeniesiony na inny oddział. Jak wjedzie pani na trzecie piętro, proszę podejść do biurka. Tam podadzą pani numer sali.

- Marcus! - krzyknęła Eliza, zamykając klapkę swojego telefonu komórkowego.

Chłopak wybiegł z zaplecza, przestraszony.

- Przyjedź po mnie około piątej trzydzieści. Pojedziemy odwiedzić Larry'ego. Właśnie rozmawiałam z jego lekarzem. Wszystko jest na dobrej drodze - oświadczyła tym razem z przekonaniem.

- Świetnie! Zostanę w takim razie w sklepie aż do zamknięcia - zadeklarował.

Greta pobrzękiwała trzymanymi w dłońmi kluczami, gotowa do wyjścia.

- Będę dzisiaj potrzebowała samochodu - powiedziała Eliza, gdy wjeżdżały na zwirową alejkę.

- No to zostawie go teraz u ciebie przed domem. Tylko jak ty z to twojo nogo dasz rade jeździć? No i benzyny nie zdążyłam jeszcze nabrać.

- W automacie lewa noga akurat niepotrzebna, a wszystko inne już u mnie funkcjonuje. Nie martw się o paliwo. Zatankuję przy pierwszej okazji.

- Pozdrów od nas Larry'ego. Może jutro już go wypuszczą, no. A to podpórke to trzymaj, bo jak będziesz się

poruszać w tym szpitalu i w ogóle? Larry na rękach na razie nosić ciebie nie będzie - zażartowała.

Eliza wyjęła z lodówki butelkę perriera i popiła kapsułkę amoksycyliny. Do wyjazdu było jeszcze sporo czasu. Postanowiła zrobić podstawowe zakupy w supermarkecie. Zwykle płaciła kartą, lecz nowa miała nadejść dopiero za kilka dni. Eliza musiała więc pobrać gotówkę. Niesprawna lewa stopa przeszkadzała przy wsiadaniu i wysiadaniu, ale bynajmniej nie w prowadzeniu samochodu. Zdziwiła się, gdy w drodze do domu posłyszała za sobą syrenę policyjną. Zjechała na pobocze. Początkowo sądziła, że radiowóz chciał ją tylko wyprzedzić, bo funkcjonariusze spieszyli się do innego zdarzenia. Zamiast tego też zboczył z szosy i ustawił się tuż za Elizą. Widziała w lusterku wstecznym jego migające światła. Uchyliła okno i czekała w samochodzie na policjanta, szukając w kieszonkach torebki prawa jazdy i karty rejestracyjnej. Podała mu je, gdy podszedł i się przedstawił.

- Czy przekroczyłam przepisy? - zapytała.

- Nie zatrzymała się pani przed znakiem „Stop” - powiedział.

Nie protestowała. Wiedziała, że czasami jej się to zdarzało. Policjant poszedł z jej dokumentami do radiowozu. Gdy znów się pojawił, poprosił, aby podała swoje nazwisko, adres i datę urodzenia. Wyrecytowała je bezbłędnie. Kilkakrotnie patrzył na jej twarz, porównując ze zdjęciem. Nie wiedziała, o co mogło chodzić. Jej dawne prawo jazdy z Pensylwanii zostało legalnie przepisane na Delaware rok temu i figurował na nim adres Ustronia. Policjant zapytał, czy Eliza ma przy sobie inny dowód tożsamości. Pokazała mu paszport, który przełożyła dziś rano do torebki. Po ostatnich przeżyciach nie chciała zostawiać go w domu podczas swojej nieobecności. Policjant znów porównywał jej twarz ze

zdjęciem w paszporcie. Było bardzo wierne. Pomyślała, że naprawdę nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

- Dwa dni temu zgłosiła pani kradzież lub zaginięcie tego prawa jazdy. Skoro zostało odnalezione, proszę skontaktować się z oficerem policji, który przyjął od pani raport, aby wycofał zgłoszenie. Znajdzie pani jego nazwisko i telefon na swojej kopii.

Gdy zaklinała się, że niczego takiego nie zgłosiła i nie ma żadnej kopii raportu, poradził, aby wymieniła prawo jazdy w najbliższym punkcie Wydziału Motoryzacji.

- A gdzie jest najbliższy punkt? - spytała.

- W Georgetown - odrzekł, wręczając pisemne ostrzeżenie za niezatrzymanie się przed „Stopem”.

Eliza pojechała w kierunku Georgetown. Na stacji Shell, gdzie musiała napełnić prawie pusty już zbiornik paliwa, zapytała o drogę. Po kilku minutach parkowała przed budynkiem urzędu. Pobrała numerek i gdy go wywołano, przedstawiła swoją sytuację młodej urzędniczce w okienku, podając jej prawo jazdy.

- Skoro się znalazło, to nie widzę problemu - odpowiedziała dziewczyna, obracając je w palcach ozdobionych nienaturalnie długimi paznokciami. Eliza odniosła wrażenie, że punktem zainteresowania były wymalowane na nich misternie wzorki, a bynajmniej nie jej dokument.

- Nie znalazło się, bo nigdy nie zginęło ani nie zostało skradzione - próbowała tłumaczyć od początku. Gdy urzędniczka znów poczęła studiować dzieło swojej manikiurzystki, Eliza oświadczyła, że chce rozmawiać z jej zwierzchnikiem. Młoda kobieta wystukała na swoim telefonie jakiś numer.

- Interesantka chce rozmawiać ze zwierzchnikiem - powiedziała do słuchawki. - Pokój sto dwadzieścia dwa - rzuciła w kierunku Elizy.

- Eliza! - ucieszyła się na jej widok osoba za biurkiem z tabliczką „Meredith McGregor”. - Co cię tu sprowadza? Meredith to moje oficjalne imię, ale dla najbliższych jestem zawsze Goldie - dodała, zauważywszy, że Eliza przygląda się napisowi.

Ognisty kolor włosów był jedyną cechą łączącą urzędniczkę z kobietą, którą Eliza poznała w tawernie. Cała reszta musiała z pewnością ulegać całkowitej transformacji pomiędzy weekendem a tygodniem pracy. Goldie za biurkiem i Goldie w Tawernie miały się do siebie tak jak Hillary Clinton i Cyndi Lauper. Eliza szczerze ucieszyła się z tego spotkania. Z nadzieją zrelacjonowała swoją przeprawę z prawem jazdy.

- Najlepiej będzie, jak wyrobisz nowy dokument - poradziła Goldie. - Możesz to zrobić u nas od ręki. Normalnie powinno się zniszczyć stary, ale w tej sytuacji może lepiej go zatrzymaj, jeśli chcesz dochodzić, jak to się stało.

Przytłaczające obawy i wydarzenia ostatnich dni szukały ujścia w potrzebie zwierzchnika się wreszcie komuś godnemu zaufania.

- To nie jest pomyłka policji, a już tym bardziej nie moja. Ktoś zrobił to celowo - wyrzuciła z siebie Eliza.

- Czy masz jakieś podejrzenia?

- Myślę, że może być w to zamieszany Lester Parker. Wiem, że nienawidzi Larry'ego za to, że mój narzeczony kiedyś wybił mu parę zębów. Może gdy dowiedział się, że mamy zamiar się pobrać, chciał utrudnić związane z tym formalności. Jestem prawie pewna, że kilka dni temu ktoś wszedł przez okno do mojej sypialni. Nic nie zginęło, ale

musiano sfotografować moje dokumenty albo przynajmniej odpisać z nich dane.

- Skoro o nim mówimy, to czy oddał ci szminkę? - spytała Goldie. - Zostawiłaś ją w toalecie, w tawernie - dodała.

- Od razu wiedziałam, że to twoja. Byłaś jedyną uszminowaną i kolor też pasował. Gdy spytałam, kto będzie widział się z Larrym, Lester zgłosił się natychmiast, mówiąc, że spodziewa się go u nich w biurze w przyszłym tygodniu.

- Dziękuję, Goldie. Pewnie już ją oddał, a Larry nie miał jeszcze okazji o tym wspomnieć - odpowiedziała, nie chcąc wdawać się w niewyjaśnione jeszcze szczegóły.

- Lester jest wściekły, że Larry nie poszedł do więzienia - zakomunikowała Meredith McGregor, zakładając zapewne, że kryminalny aspekt sprawy był Elizie znany. - Wie, że wkrótce upływa termin zawieszenia wyroku, i za wszelką cenę chce sprowokować Larry'ego do jakiegoś wykroczenia.

- Larry jest w szpitalu - oświadczyła Eliza cicho i zanim opowiedziała, co się stało, upuściła spod powiek kilka zgromadzonych już tam łez.

- Pozdrów go ode mnie - poprosiła Meredith, stawiając przed Elizą pudełko chusteczek.

Rozdział VIII

In statu nascendi

Eliza wróciła do domu z nowym prawem jazdy, którego sprawne wydanie osobiście pilotowała Goldie. Rozpakowała zakupy. Założyła czyste dżinsy i niebieski sweterek, który miała na sobie ostatnio w tawernie. Gdy Marcus zadzwonił do drzwi, narzuciła grubą bluzę dresową z kapturem i przewiesiła przez ramię torebkę. Zamknąwszy uprzednio drzwi na oba zamki, zeszła w dół rampy z pomocą podpórki Roberta.

Spodziewała się, że pojedą małym volkswagenem Marcusa. Przyjechał jednak nową hondą Larry'ego. Siedzenie pasażera było maksymalnie odsunięte, zapewne po to, aby mogła swobodnie ułożyć chorą stopę. Podziękowała, szczerze tym wzruszona.

- Pani Elizo - odezwał się Marcus, gdy wyjechali na szosę - wujek Larry dzwonił. Czuje się już znacznie lepiej. Jest na sali trzysta dwanaście.

Eliza doznała sprzecznych emocji. Choć ucieszyła się z wiadomości, to jednocześnie poczuła się dotknięta, że Larry nie zadzwonił też i do niej. Sprawdziła na swojej komórce listę nieodebranych połączeń. Ostatnie od Larry'ego było sprzed kilku dni.

- Gdy wujek dowiedział się, że będzie pani jechała ze mną, kazał mi wziąć hondę i odsunąć fotel, żeby było wygodniej - tłumaczył się Marcus, chociaż wcale o to nie pytała.

Fala przyjemnego ciepła złagodziła nieco przykre poczucie dystansu, który raz po raz powiększały między nią a Larrym wydarzenia ostatnich dni. Uświadomiła sobie, jak kruchy i niezahartowany był jeszcze ich związek.

- Marcus, chyba musimy wymyślić tobie i Nicole jakiś inny sposób zwracania się do mnie, może po imieniu, a może

łatwiej byłoby wam nazywać mnie ciocią. Porozmawiaj z nią o tym - poprosiła.

- Dobrze, ciociu Elizo - odpowiedział bez zastanowienia i mimo powagi sytuacji oboje roześmiali się serdecznie.

Po godzinie byli już przed szpitalem. Gdy wchodzili do sali oznaczonej numerem trzysta dwanaście, Eliza zdała sobie sprawę, że nie zrobiła makijażu, a włosy wciąż miała związane zwyczajną białą frotką. Usadziwszy swoją nową ciocię na krześle, Marcus podszedł do Larry'ego. Eliza nie miała żadnych obiekcji, aby ustąpić mu pierwszeństwa. Widziała, jak pochylał się nad Larrym, lecz nie słyszała ich rozmowy. Słowa nie docierały do niej, jak gdyby dystans między szpitalnym łóżkiem a jej krzesłem przestał być na miarę kilku kroków i stał się fizycznie nieosiągalny. Uczuła ciemność przed oczami.

Ocknęła się w izbie przyjęć i ujęła wyciągniętą w jej kierunku drobną dłoń o bardzo jasnej i gładkiej skórze.

- Doktor Jessica Wu - przedstawiła się młoda skośnooka lekarka.

- Co się stało? - zapytała Eliza.

- To było omdlenie, ale już wszystko w porządku, pani Mazurek. Czekamy tylko na wyniki kilku badań. Na ich podstawie zdecydujemy, co robimy dalej. Tymczasem Jamal - wskazała na otyłego mężczyznę prezentującego w uśmiechu braki uzębienia - przewiezie panią do innego pomieszczenia.

Na korytarzu dołączył do nich Marcus z podpórką w rękę. Chwycił dłoń Elizy i nie wypuścił, aż Jamal ogłosił, że są na miejscu.

- Czy Larry bardzo się przeraził? - spytała Eliza.

- Chyba tak - odpowiedział Marcus, siadając przy niej na obrotowym stołku.

- To dopiero sprawiłam mu niespodziankę! Czuję się okropnie z tego powodu. Widocznie jeszcze do końca nie wydobrzałam. Powinnam była zostać w domu.

- Zadzwoń do wujka. Na pewno czeka na telefon. Muszę wyjść na zewnątrz, bo tu niechętnie patrzą na używanie komórek w budynku.

Zegar na ścianie wskazywał ósmą wieczorem, kiedy podeszła pielęgniarka. Jej kompletnie siwe włosy i przygarbiona postać sugerowały, że dawno powinna już być na emeryturze. Może pracowała jeszcze na pół etatu. Zwróciła się do swojej pacjentki po imieniu, wymawiając je jako „Elajza”. Eliza nie skorygowała pomyłki.

- Podaj mi nazwisko twojego lekarza rodzinnego - poinstruowała pielęgniarka. - Prześlemy tam wyniki badań.

- Jestem tu dopiero kilka tygodni i nie mam swoich lekarzy. Zresztą wolałabym dostać kopie wyników do ręki - odpowiedziała Eliza, zdając sobie sprawę, że taka procedura, choć rutynowa w Polsce, nie należała tutaj do ogólnie przyjętych. - Czy jest coś, co powinnam wiedzieć już teraz? - spytała trochę zaniepokojona.

- To raczej ja powinnam zadać ci to pytanie. Czy ty czasem nie jesteś w ciąży, moja droga? - Eliza uniosła się na łokciach i spojrzała z rozbawieniem na swoją rozmówczynię.

- Moje cykle skończyły się ponad pół roku temu - zaśmiała się w odpowiedzi, godząc się dla świętego spokoju na wykonanie szybkiego testu.

- Pierwsze tygodnie - oświadczyła pielęgniarka, odczytując wynik. - Powinnaś jak najszybciej znaleźć lekarza. Będziesz go potrzebować niezależnie od tego, czy chcesz urodzić to dziecko, czy nie. Brak okresu przez kilka miesięcy, a nawet i przez pół roku jest niekiedy jedynie zapowiedzią przekwitania. Owulacja może wznowić się bez zapowiedzi. Czy to dobra wiadomość?

- Nie wiem - odpowiedziała Eliza z głębokim westchnieniem. - Na razie jestem totalnie zaskoczona. Gdybym nie zemdląła przed godziną, pewnie zrobiłabym to teraz.

Marcus zapukał do drzwi sali, gdy pielęgniarka śmiała się jeszcze z odpowiedzi Elizy. Przyjął jej śmiech za dobrą monetę.

- Powiedz wujkowi, że ciocia może wracać do domu - oznajmiła starsza pani, dotykając lekko jego ramienia.

Po dopełnieniu formalności przy okienku Eliza przywołała skinieniem czekającego na ławce Marcusa i udali się do samochodu.

- Może powinniśmy wrócić jeszcze do Larry'ego - zaproponowała.

- Lepiej go najpierw zapytać - odrzekł Marcus, podając jej swoją komórkę z wybranym już numerem. - Wyskoczę jeszcze po puszkę coli. Widziałem w poczekalni automat.

Eliza wiedziała, że nie chciał im przeszkadzać w rozmowie. - Jak się czujesz? - zapytał Larry.

Nie wymienił jej imienia i nie wyczuła w jego głosie ciepła, które miała nadzieję znaleźć, przejmując telefon od Marcusa.

- To raczej ja powinnam zadać ci to pytanie - powtórzyła bezwiednie słowa pielęgniarki. - Wszystko już dobrze. Przykro mi, że tak się stało. Nie miałam sposobności z tobą porozmawiać. Czy chcesz, żebym teraz przyszła? Do której można tu odwiedzać pacjentów?

- Nie, Eliza. Chcę, żeby Marcus zawiózł cię do mojego domu. Już z nim o tym rozmawiałem. Nie możesz być sama. Co będzie, jak to się powtórzy? Widocznie jeszcze nie wyzdrowiałaś. W moim łóżku jest świeżo zmieniona pościel, więc możesz tam spać. Obiecay mi, proszę, że tak zrobisz.

- Obiecuję. A co z tobą? - zapytała, nie wspominając nic o wynikach swoich testów.

- Doktor Desai ma mnie jutro wypisać. Steve odwiezie mnie do domu.

- O mało nie zapomniałam. Masz pozdrowienia od Phillipsów. I od Goldie - dodała.

- Dziękuję. Jak się z tobą skontaktowała? - ożywił się.

- Wczoraj pojechałam zrobić zakupy i spotkałam ją przypadkowo. Marcus już wrócił - poinformowała, widząc go idącego w kierunku samochodu.

Poczuła ulgę, że udało się jej łatwo zamknąć temat spotkania z Goldie.

- Śpij dobrze. Zobaczymy się jutro - powiedział Larry.

Eliza nie odpowiedziała. Była bliska płaczu i nie chciała, aby wyczuł to w jej głosie. Słyszała, jak odkładał słuchawkę. Wydmuchiwała nos w wyjętą z torebki chusteczkę. Skinęła głową, gdy Marcus zapytał, czy wszystko w porządku.

Zatrzymali się w McDonalddie na późną kolację. Do domu dotarli dopiero około jedenastej wieczorem. Marcus pomógł Elizie wejść po schodach, informując, że nastawia sobie budzik na ósmą. Przebrana w wyciągniętą z szafy koszulkę Larry'ego wślizgnęła się pod zieloną kołdrę. „Niezależnie od tego, czy chcesz urodzić to dziecko, czy nie”... - Słowa pielęgniarki powracały bezlitośnie i precyzyjnie jak dobrze rzucony bumerang. Eliza zasnęła z dłońmi złożonymi na brzuchu.

Z dziennym światłem poranka świadomość ciąży oraz obawa o stan zdrowia i ostatnie zachowanie Larry'ego odżyły na nowo uczuciem niepewności i niepokoju. Skręcona kostka na szczęście wracała już do normy, lecz zaścielanie wielkiego materaca nie szło Elizie zbyt sprawnie. Musiała go obchodzić, po kawałku poprawiając prześcieradło i kołdrę. Odsunęła na bok leżącą na podłodze tekturową teczkę i nie poświęciłaby jej

ani chwili więcej, gdyby uwagi nie zwrócił drobny napis „Eliza”, umieszczony w prawym dolnym rogu. Potraktowała go jako upoważnienie do sprawdzenia zawartości. Usiadła na brzegu łóżka i pociągnęła za koniec tasiemki wiążącej brzegi okładki. Szkic w ołówku, który ukazał się jej oczom, przedstawiał ją z włosami rozrzuconymi na poduszce i rękoma założonymi z tyłu głowy. Na innym była w półprzezroczystej bluzce, pod którą nie było biustonosza. Ostatni szkic, sądząc po dużo krótszych włosach, musiał pochodzić z okresu jej poprzedniego pobytu. Wychodziła na nim z fal oceanu, w bardzo skąpym bikini. Nie było wątpliwości, że Larry uczynił jej biust centralnym punktem każdego ze szkiców. Nieobecność narzeczonego stała się w tym momencie niemal fizycznie bolesna. Miała ochotę zadzwonić, powiedzieć, jak bardzo za nim tęskni, i sprowokować go do zapewnienia, że nic się między nimi nie zmieniło. Marcus zawołał ją z dołu na śniadanie. Związała z powrotem tasiemki teczek i odłożyła ją na miejsce.

Murzynio czekał zwinięty w kłębek na kwietniku. Wszedł do domu, popiskując. Po chwilowej radości z jego przywitania Elizę znów ogarnął niepokój. Zdała sobie sprawę, że pierwsze tygodnie jej ciąży znaczone były sporą ilością alkoholu, upadkiem z drabiny, chorobą, serią leków i stresem. Umieściła więc wizytę u lekarza na pierwszym miejscu listy najpilniejszych spraw do załatwienia.

Gdy znalazła się w recepcji całodobowej przychodni, w której była z Larrym w zeszły poniedziałek, usłyszała:

- Miała pani zgłosić się na kontrolę dopiero w przyszłym tygodniu, po skończeniu antybiotyku. Czy są jakieś problemy?

- Tak, podobno jestem w ciąży - powiedziała. Powtórzono test. Wynik znów był pozytywny. Amoksycylina nie powinna być, zdaniem lekarza, niebezpieczna dla płodu. Eliza postanowiła kontynuować kurację. Nie mogła pozwolić sobie

teraz na powrót choroby. Myślała, żeby poprosić o zrobienie testu na HIV, ale sprawdziła już wcześniej w internecie, że dla prawidłowości wyniku zaleca się odczekać trzy miesiące. Specjalista od ginekologii przyjmował w tym samym budynku. Zapisała się na najbliższy dostępny termin.

Wracała z niejaką ulgą. Gdy parkowała samochód przy Harris Antiques, było już dobrze po południu i słusznie spodziewała się zastać tam Larry'ego. Rozmawiał przy kasie z nieznanym jej mężczyzną w ciemnoszarym garniturze. Konwersacja dotyczyła polisy ubezpieczeniowej i domyśliła się, że to Steve. Odwrócony tyłem Larry nie zauważył, gdy weszła, a jego rozmówca wziął ją pewnie za klientkę. Wyglądało na to, że ich rozmowa jeszcze trochę potrwa. Eliza stała chwilę przy drzwiach, niepewna, czy powinna im przeszkodzić.

- Cieszę się, że już jesteś - powiedziała, podchodząc wreszcie do lady.

Larry odwrócił się zaskoczony jej obecnością. Przedstawił jej Steve'a. Nastąpiła bardzo poprawna wymiana grzeczności i powiało chłodem formalnej atmosfery. Nie tak wyobrażała sobie to przywitanie. Poczula się niepotrzebna i pożałowała, że nie pojechała prosto do Ustronia.

- Gdzie jest Marcus? - zapytała.

- Na zapleczu - odpowiedział krótko Larry, wracając od razu do rozmowy ze Steve'em.

Weszła za kotarę. Marcus robił coś przy komputerze. - Jak dawno temu przyjechali? - spytała. - Już chyba z godzinę.

- Gdyby Larry o mnie pytał, powiedz mu, proszę, że wróciłam do domu.

- Dobrze się czujesz, ciociu?

- Dziękuję, nie najgorzej - odpowiedziała, wychodząc tylnymi drzwiami.

Wróciwszy do Ustronia, zabrała się do przeglądania porcji elektronicznej korespondencji Helenki. Marlena przesłała ją uporządkowaną w jednym pliku.

Przeczytaliśmy z Henrym i Walterem kilka wypożyczonych z biblioteki książek i wczoraj zebraliśmy się razem, aby wymienić spostrzeżenia. Zabrzmiałoby to pewnie jak pierwsze spotkanie dyskusyjnego klubu książkowego, gdyby nie fakt, że nasze książki traktowały o tym, jak radzić sobie z domownikiem dotkniętym chorobą Alzheimera. W większości publikacji informowano, jak karmić, żeby się nie krztusił, i jak pilnować, żeby sam nie wyszedł z domu. W jednej z książek natrafiliśmy jednak na coś bardziej duchowego. Autor sugerował próbę postawienia się w sytuacji takiej osoby. To znaczy w sytuacji, kiedy przestajesz rozumieć swoje otoczenie i nie jesteś w stanie realnie się z nim komunikować. To oczywiście stresuje, bo emocje wciąż normalnie funkcjonują. Agresywne zachowanie staje się jedynym sposobem, w jaki chory potrafi demonstrować stres. Podobnie jest chyba z noworodkami, tyle że w ich przypadku wszystko zmierza w dobrym kierunku. Gdy dziecko płacze i krzyczy, starasz się domyślić dlaczego. W przypadku chorego starszego człowieka trzeba tak samo uważnie podpatrywać i eliminować źródła stresu. To bardzo do nas trafiło. W pewnym sensie było może tylko potwierdzeniem tego, co sami zaczęliśmy już praktykować zupełnie podświadomie, trochę ze współczucia, trochę z pobudek praktycznych, lecz najbardziej chyba ze świadomości dużego prawdopodobieństwa, że w każdej chwili możemy przerodzić się z opiekunów w potrzebujących opieki.

Z chwilą przestawienia się na maile Helenka miała zdecydowanie częstszy kontakt z wnuczką, lecz w miarę upływu czasu jej listy stawały się przez to krótsze i bardziej informacyjne niż opisowe. Rejestrowały jednak w miarę

chronologicznie wydarzenia w Ustroniu. Jednym z nich był dzień, kiedy Reginę zabrano do szpitala, z którego nigdy już nie wróciła. Dwa lata później pożegnano na zawsze Waldemara Mazurka i wtedy dopiero Helenka zdobyła się na napisanie trochę dłuższego listu.

Droga Marlenko,

zostałam na polu walki z jednym już tylko przeciwnikiem. Smutna rzeczywistość zajrzała nam w oczy i chyba popadliśmy z Henrym w rodzaj depresji. Gdy dreptanie do skrzynki na listy stało się atrakcją dnia, wzięliśmy się w garść i postanowiliśmy, że nie będziemy niczego zmieniać w naszym poprzednim rozkładzie. Kontynuujemy nawet nasze wieczorki. Larry coraz częściej się na nie wprasza. To pomaga nam trochę zapełnić pustkę. Larry Junior też czasem przychodzi na czwartego do brydża. Teraz, kiedy Marcus i Nicole są już poza domem, ma więcej czasu dla siebie. Jego ojciec zapytał go wczoraj przy kartach, czy ma zamiar ożenić się z Carlą. Jej córka, Lisa, przyjaźni się z Nicole. Larry Junior spytał wtedy ojca, niby żartem, czy szuka pretekstu, żeby wypędzić go z domu. Carla jest Murzynką, więc było jasne, że czynił aluzje do sytuacji z jego siostrą, której czarny przyjaciel nie był podobno akceptowany nawet potem, gdy stał się ojcem jej dzieci. Na szczęście udało mi się zdusić to starcie w zarodku i zażegnać nieprzyjemną atmosferę, gdy zaczęłam ubolewać nad upadkiem zwyczaju kojarzenia małżeństw. Gdybyśmy mieli Larry'ego z kimś ożenić, to ja na pewno wybrałabym mu Elizkę. Ona też ciągle samotna. Jakoś tak się składało, że nie mieli okazji się poznać, kiedy tu przyjeżdżała.

Przeczytawszy list kilkakrotnie, Eliza zadzwoniła do Grety.

- Nic złego się nie dzieje - zapewniła od razu. - Masz sekundkę?

- No pewnie, no.

- Helenka wspomina czasem w listach o jakiejś Carli. Czy możesz mi powiedzieć, kim była, i co się z nią stało?

- No a co się miało stać? Nic się nie stało. To matka Lisy, koleżanki Nicole. Pracuje w supermarkecie, jak pracowała. Na kasie tam siedzi, no. Pewnie ciężko jej, bo Lisa też teraz na studiach. Do tego jeszcze matkę sprowadziła z Haiti.

- Dziękuję, Greta. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Eliza nie miała teraz wątpliwości, że Lester chciał sprowokować Larry'ego i wyznaczył jej w tym rolę zdalnie sterowanej pośredniczki. Szył swoje intrygi zbyt grubymi nićmi.

Zaraz po piątej zaczęła przygotowania do kolacji. Wyszorowała szczoteczką trzy duże ziemniaki i nakłuła widelcem ich skórki. Wtedy posłyszała warkot motocykla. Otworzyła drzwi, lecz na podwórzu nie było nikogo prócz Murzynia. Przybiegł do niej i poszli razem dróżką za cyprysy. Motocykl Larry'ego stał zaparkowany przed domem Roberta i Greta. Wróciła do kuchni i skończyła przygotowania do posiłku. Ziemniaki były już w mikrofalówce, a filety rybne w piekarniku, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyła je z postanowieniem, że nie da Larry'emu znać, jak bardzo czuła się dotknięta tym, że raz po raz odsuwał ich spotkanie w czasie. Do ogłoszenia nowiny o swojej ciąży potrzebowała spokojnej atmosfery intymności. Nie był to chyba jednak najlepszy czas na maskowanie uczuć i Larry musiał zauważyć to w wyrazie jej twarzy.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał, zdejmując swoją skórzaną kurtkę.

Eliza miała przeczucie, że był czymś podminowany. W takim nastroju wszystko, co zostanie powiedziane, może być „nie tak” z najbardziej błahego powodu. Przytuliła się do Larry'ego bez słowa, wierząc, że ciepło dotyku rozładuje

napięcie. Larry poklepał ją lekko po plecach i delikatnie odsunął od siebie.

- Pewnie mam na sobie szpitalne zarazki - powiedział. - Nie miałem jeszcze okazji się wykapać.

- Możesz to zrobić, zanim przygotuję kolację - zaproponowała.

- Nie jestem głodny, a poza tym będę musiał zaraz wracać - powiedział. - Mam dużo pracy.

Przyniósł sobie z kuchni szklanekę wody i Eliza usiadła naprzeciw niego przy stole. Nie patrzył w jej stronę. Wiedziała, że coś złego działo się w jego psychice, i martwiła się, czy sam sobie z tym poradzi. Może dobrze zrobiłaby mu rozmowa z Danielem albo jego żoną. Jest przecież psychologiem.

- Czy Daniel wie o twoim pobycie w szpitalu? - zapytała dyplomatycznie.

Nie odpowiedział od razu.

- Eliza, posłuchaj - zaczął po chwili. - Nic się nie stało. Nie ma najmniejszego powodu powiadamiać o moim pobycie w szpitalu połowy Ameryki i robić z tego sprawy federalnej. Wystarczy, że dostałem już życzenia powrotu do zdrowia od klubu motocyklowego. To bardzo ładnie z ich strony. Tylko że ja nie jestem chory i naprawdę nic mi nie dolega.

Eliza wiedziała, że trafiła w newralgiczny punkt. Larry, który wychował dzieci siostry, który opiekował się obłożnie chorym ojcem, który wymierzył sprawiedliwość Lesterowi i który ją nosił na rękach, nie był gotowy, aby odwrócić rolę. Miała nadzieję, że za jego chłodem nie kryło się nic więcej. Patrzyła w milczeniu, jak obracał w dłoniach pustą szklanekę i bezskutecznie czekał na jej komentarz. Podążyła za nim do przedśionka, gdy poszedł po kurtkę. Wyjął z kieszeni jej szminkę w plastikowym woreczku. Ucieszyła się w duchu, że pamiętał.

- Czy to twoja? - zapytał.

- Tak. Wiem, że Lester miał ją oddać - odpowiedziała, przejmując od niego znajomy woreczek ze szminką.

- Miałem nadzieję, że zaprzeczysz - powiedział gorzko, zamykając za sobą drzwi.

Eliza trwała przez moment w stanie totalnego osłupienia. Zdała sobie sprawę, że Larry zareagował podobnie jak ona sama, gdy zobaczyła go z Michelle przed hotelem. Nie mogła jednak pojąć łatwości, z jaką zawierzył zmyślonej historyjce Lestera. Warkot odjeżdżającego motocykla przywołał ją do rzeczywistości. Przełknąwszy łyżę rozgoryczenia, wyjęła z piekarnika mocno już przypieczone filety. Zjadła je z ziemniakami i dużą miską surówki z kiszonej kapusty.

- Musimy się dobrze odżywiać - przemówiła, spoglądając na swój brzuch. - Mam zamiar cię urodzić, tylko że jak tak dalej pójdzie, to chyba przyjdiesz na świat w Polsce.

Poczuła się uspokojona i postanowiła popracować. Rozłożyła się z komputerem na stole, w jadalni. Spodziewała się telefonu od Larry'ego - jeśli nie z przeprosinami, to przynajmniej z wyjaśnieniem. Przeczytała kilka listów Helenki. Co najmniej połowa zawierała jakieś odniesienia do potrzeby zeswatań jej z Harrisem. Helenka najwyraźniej usiłowała zwerbować do swojej misji rodzinę i znajomych.

Napisz, Marlenko, do Elizki, żeby przyjechała na święta Bożego Narodzenia. Moglibyśmy zrobić u nas Wigilię i jak kiedyś zaprosić Phillipsów i Harrisów. Odpoczęłyby tu trochę od opieki nad tą Walicką. Adaś mówił, że lubi narty, a przecież niedaleko stąd jest tyle różnych ośrodków. Na pewno znalazłaby towarzystwo, aby pojechać w góry Poconos czy Catskills.

Eliza nie wątpiła, że Helen miała na myśli towarzystwo Larry'ego. Marlena rzeczywiście ją zapraszała, ale tamtej zimy Eliza zaczęła się spotykać z Wiktorem i pojechała z nim na

narty do Karpacza, zostawiając Walicką pod opieką Danusi. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzydzieści. Upewniła się, że ma włączoną komórkę. Marcus na pewno by ją powiadomił, gdyby coś się stało. O ile dzień obdarzył ją opanowaniem i spokojem, o tyle zbliżająca się noc dawała jej znać, że nie miała zamiaru być aż tak łaskawa. Wróciło uczucie przytłoczenia. Fala tęsknoty za Lanym poraziła Elizę dotkliwym bólem niezaspokojonej potrzeby podzielenia się wiadomością o ich wspólnym dziecku. Przejął ją chłód i poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy. Przestraszyła się, że znów zemdleje. Poszła do łazienki, pochyliła się nad zlewem i poczęła nerwowo ochłapywać policzki i czoło zimną wodą. Pomogło. Zrzuciwszy zmoczone ubranie, założyła ciepły, suchy szlafrok i welurowe stopki. Poczua się lepiej.

Wychodząc z łazienki, usłyszała dobiegający z kuchni dzwonek pomarańczowego telefonu. Przeraziła się, że to Lester. Złapała ze stołu komórkę i podeszła cicho do drzwi, upewnić się, czy są zamknięte na oba zamki. Wydawało się jej, że słyszała czyjeś kroki na rampie. Cofnęła się do sypialni z nową ciemnością przed oczami i świadomością, że za moment osunie się na podłogę.

Leżała na dywanie i ktoś dotykał jej nóg. Ocknęła się w przerażeniu, lecz widok spoczywającego na czarnym podłożu skórzanej marynarki ciasno splecionego kosmyka włosów zneutralizował dreszcz strachu uczuciem napływającego uspokojenia. Larry klęczał u jej boku, usiłując zwiększyć cyrkulację krwi przez podnoszenie kończyn. Kiedy wymówiła jego imię, złapał ją na ręce i ułożył na łóżku.

- Przyniosę ci wody - powiedział.

W jego głosie nie było już śladu niedawnego chłodu. Eliza zarzuciła mu ręce na szyję. Nie chciała, żeby odszedł nawet na chwilę. Gładził delikatnie jej włosy i całował nabierające

koloru policzki. Minęło kilku minut, zanim rozluźniła uścisk swoich ramion.

- Pójdę po wodę - oznajmił, wykorzystując moment. - A może wolisz kieliszek koniaku? To podobno dobre na omdlenia.

- Woda mi wystarczy. Koniak należy się tobie - dodała. Larry wrócił z kuchni już bez marynarki. Miał na sobie zwykłą, szarą podkoszulkę z krótkim rękawem, w której z jakiegoś powodu było mu bardzo do twarzy.

- Nie chcę myśleć, jak mogłoby się to zakończyć, gdybym nie miał ze sobą klucza - powiedział, siadając na brzegu łóżka.

- Dlaczego dzwoniłeś na domowy? Zawsze dzwonisz na komórkę.

Eliza podciągnęła się na łóżku do pozycji siedzącej, poprawiając poduszkę pod plecami. Wypiła tylko kilka łyków wody i odstawiła szklanekę.

- Nie dzwoniłem na domowy. Dzwoniłem na twoją komórkę z drogi, a potem spod domu. Nie odpowiedziałaś. Prosiłem cię, żebyś się z nią nie rozstawała - dodał.

- Byłam w łazience - powiedziała, nie przyznając się z jakiegoś powodu.

- Lepiej się czujesz? - zapytał z właściwą sobie troską.

Eliza skinęła głową w odpowiedzi. Ogarnęło ją uczucie ulgi i nadzieja, że złe dni były już za nimi. Myśl o wyjeździe do Polski czy jakimkolwiek innym rozstaniu z Larrym wydała jej się niedorzeczna.

- Rozpalę w kominku i przeniosę cię na kanapę - powiedział.

- Przejdę tam sama. Już nic mi nie jest - zapewniła go.

Gdy Larry wrócił z naręczem drewna, siedziała już w salonie, dopijając resztę wody. Miała nadzieję, że polana nie były wilgotne i ogień da się szybko rozniecić. Nie mogła się doczekać bliskości Larry'ego. Kiedy wreszcie usiadł obok na

kanapie, przyłgnęła do niego, wtulając policzek w tkaninę szarej podkoszulki. Eliza czuła, jak wytracone z równowagi emocje wracały z gracją na dawne miejsca, gdy Larry zamykał ją w objęciach swoich ramion.

- Byłeś ostatnio bardzo...

Daleka od tego, aby czymkolwiek zakłócić intymność nastroju, zawahała się przed użyciem określenia „podminowany”. - ...nieosiągalny - powiedziała. - Bardzo się martwiłam.

- Potraktowałem cię niesprawiedliwie. Nie wiem, skąd wzięła się we mnie taka podejrzliwość. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Musiałem chyba doznać jakiejś przejściowej utraty rozumu. Przepraszam - szepnął na koniec, przyciskając jej dłoń do ust.

Eliza miała wrażenie, że całe ciepło kominka przeniosło się nagle pod jej serce. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, zapatrzeni w migoczące płomyki.

- Czy zdarza się czasami, że ktoś wjeżdża z szosy na twoje podwórze, żeby zawrócić? - przerwał ciszę Larry.

- Dlaczego pytasz?

- Gdy poszedłem po drewno, widziałem, jak wykręcał tu jakiś samochód.

- Nigdy nie zauważyłam, ale to chyba możliwe - odpowiedziała ze spokojem, choć poczuła na plecach gęsią skórę. - Jaki to był samochód? - zapytała.

- Wyglądał na sportowy i chyba był w ciemnym kolorze. Jeśli mowa o samochodach - kontynuował Larry - dopiero dzisiaj odczytałem zaległe SMS - y. Nie wiem, jaki samochód ma Lester Parker. Zawsze kojarzę go z motocyklem. Zdziwiło mnie jednak, że o to zapytałaś. To chyba ty powinnaś wiedzieć, skoro jeździłaś z nim do kawiarni.

Eliza odsunęła się nieco od Larry'ego, rozluźniając uścisk jego ramion. Ogarnęła ją chęć powiedzenia wszystkiego, co

do tej pory przed nim ukrywała, lecz potrzeba zachowania ostrożności tak w ujawnianiu informacji, jak i w demonstrowaniu emocji, wzięła górę. Poczula się jednak na tyle dotknięta, że chciała, aby o tym wiedział.

- Nigdzie z nim nie jeździłam i nigdzie z nim nie byłam, Larry. Już ci to wcześniej mówiłam. Doprawdy nie wiem, jakie możesz mieć powody, żeby mi nie wierzyć - powiedziała gorzko, usiłując wymanewrować rozmowę z tematu Lestera na ogólną kwestię zaufania. - Wygląda na to, że nie zdajesz sobie sprawy z mojej... lojalności - dodała po chwili poszukiwania w myślach odpowiedniego słowa.

Objął ją znowu i przeproszał, całując jej włosy.

- Uwierzyłem ci wtedy, ale gdy Lester przyniósł przedwczoraj twoją szminkę, mówiąc, że musiała ci wypaść z torebki w jego samochodzie, znów zacząłem wątpić - tłumaczył się.

Wbrew swoim planom i całej ostrożności Eliza nie mogła w tej sytuacji zakończyć wątku Lestera.

- Tę szminkę Goldie znalazła w toalecie, w tawernie, po naszym wyjściu i domyślając się, że to moja, dała ją Lesterowi, aby ci ją przekazał, bo podobno miałeś być nazajutrz w biurze jego ojca - oznajmiła, używając tonu, który nie pozostawiał wątpliwości, że jej wyjaśnienie nie miało nic wspólnego z potulnym tłumaczeniem się.

Słuchał jej ze spuszczoną głową. Eliza nie wiedziała, czy było mu tylko głupio, czy też w myślach wybijał już pozostałe uzębienie Lestera.

- Przykro mi, że znalazłaś się w środku tej całej brudnej sprawy - zapewnił.

Uniósł głowę i Eliza momentalnie napotkała jego spojrzenie pełne miłości, zachwytu i pożądania. Nie wiedziała, kiedy znalazła się na kolanach Larry'ego. Odsunął na bok jej włosy i okrywał szyję oraz kark dziesiątkami pocałunków.

Głos rozsądku podszeptował Elizie, że powinna powiedzieć o ciąży, ale trudno było zebrać myśli.

- Mam coś do zakomunikowania. - W końcu nadszedł właściwy moment. - Jestem w ciąży.

Larry przytulił twarz do jej pleców i trwał w tej pozycji przez jakiś czas. Czowała na sobie ogrom jego wzruszenia, którego z pewnością nie spodziewała się dzisiaj doświadczyć. Uniósł ją z kanapy i umieścił w świetle migoczących płomieni kominka tak delikatnie, jak gdyby miał do czynienia z jakimś kruchym, szklanym przedmiotem. Ułożywszy się obok na dywanie w kolorze czerwonego wina, odwijął ją wolno z miękkiej tkaniny szlafroka, niczym długo oczekiwany prezent.

Eliza obudziła się wyspana, odprężona i bardzo głodna. Oparta o poduszkę delektowała się widokiem śpiącego przy niej Larry'ego Harrisa, który miał się stać nie tylko jej mężem, ale też ojcem jej pierwszego i z pewnością jedyne dziecko.

- Jak się czujesz? - zapytał sennie, domyślając się chyba, że go obserwuje.

- Hmm, pozwól mi pomyśleć. Jak czuje się ciężarna czterdziestosiemioletnia kobieta, gdy obudzi się z rana i znajdzie w swoim łóżku megaprzystojnego i do tego zupełnie nagiego faceta?

Patrzyła, jak Larry uśmiechał się, nie otwierając oczu. Wyciągnął po nią ręce i wiedziała, że na śniadanie trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Ułożyła się na plecach z dłońmi założonymi za głowę, jak na jego szkicu.

Intymna atmosfera nocy posłusznie ustąpiła miejsca realiom dnia. Eliza nie mogła oprzeć się refleksji, że każda z tych pór rządziła się innymi prawami i przemawiała innym zupełnie językiem. Przedyskutowanie z Lanym zaistniałej sytuacji stało się teraz priorytetem. Na dobrą sprawę nie było jeszcze pewności, czy chciał tego dziecka. Jego spontaniczna

reakcja sugerowała aprobatę, ale też i zaskoczenie. Czy był to tylko intymny język nocy?

Gdy Eliza przyszła do kuchni, Larry z telefonem przy uchu dosmażał jajecznicę i kiełbaski.

- Umówiłam się na wizytę u ginekologa - zarzuciła przynętę do rozmowy, gdy odłożył słuchawkę.

- Pojadę z tobą - odpowiedział.

- Czy to znaczy, że chcesz, abym urodziła? - zapytała wprost.

- Oczywiście. Czy miałaś jakieś wątpliwości?

- Nie chcę, żebyś posądzał mnie o negatywne nastawienie - kontynuowała Eliza - ale pierwsza ciąża w późnym wieku obarczona jest dużym ryzykiem. Poronienia w mojej grupie wiekowej dotyczą aż pięćdziesięciu procent przypadków. Mówię to, bo jeśli coś takiego się zdarzy, nie powinno nas zaskoczyć. Tak czy owak będziemy musieli nastawić się na duże zmiany, Larry.

- Jestem przekonany, że dla mnie wszystkie te zmiany będą pozytywne, Eliza. Nie sądziłem, że w życiu trafi mi się jeszcze cudowna żona, która w dodatku ma zamiar urodzić nam dziecko.

- Pragnę zauważyć, że i jedno, i drugie jest jeszcze in statu na - scendi - odpowiedziała.

- W stanie tworzenia? - odrzekł pytającym tonem i Eliza skinęła głową trochę dla potwierdzenia, a trochę w uznaniu, że wiedział, co znaczył ten łaciński termin.

Ten zwrot przypadł jej do gustu już dawno temu, gdy poprawiała stylistycznie prace naukowe Adama. Włączyła te słowa do własnego języka być może dlatego, że najlepiej określały rodzaj kategorii, w której od lat tkwiły pozaczynane wątki jej własnego życia.

- Wiem, że powinniśmy wziąć ślub jak najszybciej. Jednak na razie jest mała przeszkoda. To może być trochę szokujące - oświadczył Larry.

Zarzuciwszy mu ręce na szyję, Eliza czekała spokojnie na dalsze słowa w nadziei, że wbrew temu, co powiedział, dostępne zasoby szokujących nowin na przestrzeni kilku ostatnich dni zostały już wyczerpane.

- Nie mówiłem ci jeszcze, że za pobicie Lestera dostałem wyrok w zawieszeniu - kontynuował Larry. - Na zmianę stanu cywilnego musiałbym dostać zezwolenie kuratora. Na pewno nie byłoby z tym problemu, ale nie chcę poślubić ciebie jako kryminalista pod nadzorem. Na szczęście ta restrykcja minie wkrótce wraz z upływem zawieszenia. Czy bardzo cię zawiodłem?

Eliza uznała kilka pocałunków za najlepszy sposób zapewnienia, że świadomość o kryminalnej kartotece Larry'ego absolutnie niczego nie zmieniła. Nie wspomniała, że słyszała już o tym od Lestera i od Goldie.

- Czy wydając taką decyzję, sąd brał pod uwagę prowokacyjne obelgi? - zapytała.

- Zdecydowałem nie przedkładać ich jako okoliczności łagodzących. Nie mogłem pozwolić, aby Nicole znalazła się w środku tego wszystkiego. Znajoma, z którą wtedy byłem, też nie chciała, aby doszło to do jej córki. Oboje czuliśmy się w obowiązku chronić nasze dzieci przed takimi brudami. Nicole i Marcus nie wiedzą nawet o całej tej sprawie. Lester wyłgał się, że pomyliłem go z kimś, kto nie zapłacił mi za narkotyki, a ściślej za PCP, które rzekomo rozprawdzam w klubie motocyklowym. Oczywiście niczego mi nie udowodniono, ale musiałem przez jakiś czas zgłaszać się na przymusowe testy. Wszyscy członkowie klubu znaleźli się pod lupą, a Lester, który i tak nie był tam zbyt lubiany, stracił zupełnie ich zaufanie.

- Co to jest to PCP? - zapytała.
- Fencyklidyna, nazywana też anielskim pyłem, ulubiony halucynogen band motocyklowych - wyjaśnił.
- Nigdy nie nazywaj się kryminalistą. Jestem dumna, że będę nosiła twoje nazwisko.
- To zabrzmiało bardzo wzniosłe.
- Bo może to jest wzniosłe, Larry. Twoja szlachetność jest z najwyższej półki i będę zawiedziona, jeśli nie przekazałeś jej w genach naszemu dziecku.
- A właściwie kiedy do tego doszło? - zapytał.
- Co masz na myśli?
- Przekazywanie genów - uśmiechnął się.
- Wszystko wskazuje na to, że jakieś dwa tygodnie temu. Nie jest wykluczone, że udało się nam przy pierwszym podejściu.

Zdecydowali, że nie będą na razie nikogo powiadamiać o stanie Elizy i że zaczekają z tym przynajmniej do drugiego miesiąca, kiedy zwiększą się szanse na powodzenie.

- Weźmy ślub w końcu października, zaraz po upływie zawieszenia - zaproponował.

- To byłoby tylko sześć tygodni po tym, jak się poznaliśmy...

- Masz co do tego jakieś zastrzeżenia? - zapytał, opóźniając skutecznie jej odpowiedź długim pocałunkiem.

- Już nie - odpowiedziała, nabierając tchu, gdy uwolnił jej usta.

- Poza tym poznaliśmy się ponad rok temu - sprostował.

Wertując w pamięci wspomnienia ze swojej poprzedniej wizyty w USA, Eliza nie potrafiła odnaleźć w nich Larry'ego i nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Eliza wstała z kolan Larry'ego i wyjrzała przez okno. Pod domem stał samochód z bardzo kolorowym napisem polecającym szybkie dostawy z

lokalnej kwiaciarni. Podpisała odbiór tuzina czerwonych róż i rozplakała się nad niewyszukanym tekstem załączonej karteczki: „Kocham Cię, Eliza - Larry”.

- Czy pojechałabyś dziś ze mną do mojego kościoła? - Usłyszała pytanie, gdy ocierając łzy wzruszenia, układała kwiaty w wazonie. - O jedenastej trzydzieści jest tradycyjne niedzielne nabożeństwo. Marcus woli współczesną wersję, więc pójdzie na dziewiątą, a potem zajmie się sklepem i to nam pasuje. Będziemy mogli później uzgodnić z księdzem termin ślubu.

- Chętnie dowiem się czegoś więcej o Kościele metodystów - odpowiedziała oględnie.

- Nie wiem, czy czułabyś się na siłach - kontynuował Larry - ale Goldie zapraszała na piwo i kiełbaski z grilla. W drugą niedzielę października odbywa się u nich tradycyjny Oktoberfest naszego klubu.

- Świetnie, postaram się dziś nie zemdleć - zaśmiała się Eliza. Na nabożeństwo przyszło zaskakująco dużo ludzi, biorąc pod uwagę niewielkie zaludnienie okolicy. Eliza była zdziwiona i mile zaskoczona, że ksiądz Goodman potrafił zaskarbić sobie tylu wiernych. Dzień ślubu ustalili na ostatnią sobotę października.

- No, to mamy już typową męską datę do zapominania - powiedziała, gdy wyszli z kościoła.

- To którego jest ten nasz ślub? - zapytał Larry, obejmując jej talię.

- Jesteś niepoprawny - skarciła go.

- Chciałem ci tylko udowodnić, że jestem prawdziwym mężczyzną.

- Chyba mam już więcej niż jeden powód, aby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości - odpowiedziała, wsiadając do samochodu.

Dom Goldie i Shawna położony był nad niewielką odnogą zatoki. Porośnięty wysokimi trzcinami brzeg i drewniany pomost przypominały Elizie domostwo jej dziadków na pojezierzu. Na rozstawionych nad wodą stołach stały poprzynoszone przez gości zimne przystawki i gorąca kapusta, a na dwóch dużych rusztach piekły się pachnące kiełbaski. Larry postawił na jednym ze stołów karton piwa w kolorowym opakowaniu promującym starą niemiecką tradycję. Shawn podał Elizie otwartą już butelkę. Podziękowała, tłumacząc się, że dzisiaj występuje w roli kierowcy.

- Ach, to dlatego nie przyjechaliście motorem - powiedział. - Jak masz zostać żoną członka klubu, koniecznie musisz nauczyć się prowadzić jego maszynę.

- Chyba zaczekam z tym do wiosny - odpowiedziała dyplomatycznie, zastanawiając się, jak wielki będzie wtedy jej brzuch.

- Musisz też sprawić sobie porządną skórzaną kurtkę, Eliza - dodał przechodzący obok brodac z imieniem Willie, którego pamiętała z tawerny.

- Nie boicie się, że napadną was obrońcy praw zwierząt? - zapytała, spoglądając na ubrania zgromadzonych gości.

- Im bezpieczniej jest atakować damy w futrach pod kościołem niż facetów w skórach na harleyach - zaśmiał się Shawn.

- Eliza! Cieszę się, że przyjechaliście - Meredith McGregor wynurzyła się z wnętrza domu z koszykiem bułeczek.

- A ja dziękuję za zaproszenie, Goldie. Larry powiedział mi o tym dopiero dzisiaj i przyszliśmy jedynie z piwem. Też mogłam zrobić jakąś sałatkę.

- Och, ci nasi mężowie! Przepraszam - zreflektowała się. - A skoro już przy tym jesteśmy, to na kiedy zaplanowaliście ślub?

Eliza nie była przygotowana na to pytanie i nie wiedziała, czy Larry chciał zdradzać szczegóły swoim znajomym.

- Pracujemy nad tym - odpowiedziała wymijająco, nakładając na jednorazowy talerz sałatkę ziemniaczaną i dużo, dużo kapusty.

Goldie chciała zapoznać Elizę z resztą towarzystwa i podeszły do grupki stojącej przy pomoście. Eliza przyjęła z ulgą, że nie było wśród nich Lestera. Niemniej goście wciąż się zbierali. Każdy odgłos nadjeżdżającego motocykla zwiększał ryzyko pojawienia się Lestera i konfrontacji, która mogłaby się skończyć nieciekawie. Larry rozmawiał przy stole z brodaczem. Wyglądało na to, że mieli za sobą już po kilka piw.

- Słyszałeś, co się przytrafiło Lesterowi? - zapytał brodacz i począł relacjonować, nie czekając na odpowiedź. - Wpadł wczoraj późnym wieczorem do tawerny wściekły, że mu ktoś części z motocykla powykręcał. Próbował nam wmówić, że to była twoja robota. Przyjechał ze swoją nową lady jej samochodem. Wypił jakieś trzy drinki, a spił się na umór. Za mocne dla niego chyba były - zaśmiał się. - A ta jego lady to niby tylko colę piła, ale może już naprana przyjechała albo sobie po cichu dolewała, bo gadatliwa się zrobiła; niech Goldie powie. Potem zaklinała się, że jest trzeźwa, i chciała siadać za kierownicę. Joe musiał na policję dzwonić, bo to przecież obowiązek barmana. Byli już na drodze, jak dorwał ich radiowóz. Jeden z gliniarzy wrócił potem do nas, bo Lester podobno złożył skargę, że go ktoś nakopał, ale ja od razu wyjaśniłem, że gdy się uchlał, to spadł z barowego stołka i obił sobie dupę.

- Dziękuję, Willie - powiedział Larry. - To znaczy dziękuję, że nam o tym opowiedziałeś - poprawił się, obejmując siedzącą obok niego Elizę.

- Drobiazg - odrzekł brodac. - Idę po więcej budweisera.
Przynieść ci?

- Nie, będziemy się już chyba zbierać.

- Poczęstujesz mnie jeszcze papierosem? - zapytał Willie.

- Może tylko odejdziemy gdzieś na bok, bo moja lady krzywo na to patrzy.

- Pójdę pożegnać się z Goldie - oświadczyła Eliza, szukając kobiety w tłumie gości.

- Muszę ci coś dać, zanim odjedziecie - szepnęła Meredith McGregor.

Poprowadziła Elizę za sobą do domu i gdy weszły do niewielkiego pokoju z biurkiem i komputerem, wyjęła z szuflady kopertę.

- Słyszałam, że już się dowiedzieliście o przygodzie Lestera. Jego przyjaciółka nazywa się Rebecca Marshall. To ona z jakiegoś powodu zgłosiła zaginięcie twojego prawa jazdy. Tu jest kopia raportu. Znalazłam go w kieszeni jej kurtki, gdy poszła do toalety - powiedziała Goldie, podając Elizie kopertę.

- Nie wiem doprawdy, jak ci się odwdzięczę. Tylko proszę, na razie nie mów o tym Larry'emu. Nie chcę, aby dał się sprowokować Lesterowi. Boję się też o jego zdrowie - wyjaśniła Eliza.

Schowała kopertę do torebki i poszła go poszukać. Popołudniowe słońce nie grzało już mocno o tej porze roku i szybko robiło się chłodno. Larry podał Elizie kluczyki. Pierwszy raz prowadziła ich nowy samochód.

- No i jak? - zapytał, gdy parkowała przy budynku Harris Antiques.

- Cudownie! Myślę, że teraz ty będziesz jeździł starą hondą wuja Henry'ego.

Marcus był jeszcze w sklepie, ale zbierał się już do wyjazdu. Przekazał utarg Larry'emu i otrzymał wypłatę za

przepracowane godziny, a później wszyscy zajechali do domu Harrisów. Marcus musiał zabrać ze sobą parę rzeczy. Eliza zdjęła kurtkę i nastawiła czajnik.

- Mam ochotę na herbatę - powiedziała.

- Jest w lodówce. Zrobiłem wczoraj cały dzbanek - poinformował Marcus.

- Zapomniałeś, że twoja ciotka spędziła pół życia w Europie i słowo „herbata” istnieje dla niej jedynie w bardzo gorącym znaczeniu - zażartował Larry, podając Elizie torebkę earl grey.

- A ty, Larry, zapomniałeś, że pozostałe pół życia spędziłam w Ameryce i zimną herbatę też bardzo lubię.

- Dziękuję, ciociu. Uratowałaś mnie przed kompletną kompromitacją - powiedział Marcus, ściskając ją na pożegnanie.

Zamówione sushi i japońską zupę miso jedli w saloniku, oglądając w telewizji lokalne wiadomości. Spiker wspomniał o wczorajszym aresztowaniu za jazdę pod wpływem alkoholu kierowcy czarnego forda pinto. Nazwiska kierowcy nie podano.

- Jestem prawie pewien, że ten samochód, co wykręcał przy twoim domu, był czarnym pinto. Nie podoba mi się ten zbieg okoliczności - powiedział Larry zaniepokojony.

- Proszę, nie myślmy dziś o nieprzyjemnych rzeczach - odpowiedziała.

- Daleki jestem od tego, aby cię czymkolwiek denerwować. Na razie cieszę się, że ustały twoje omdlenia.

- Chyba po prostu muszę więcej jeść. Żebym tylko nie za bardzo przytyła.

- Nie masz się o co martwić. Wkrótce i tak zmienisz figurę - powiedział, dotykając jej brzucha. - Czy potrzebujesz czegoś z domu? Mogę tam pojechać i coś przywieźć.

- Jeśli masz zapasową szczoteczkę do zębów, to nie potrzebuję niczego więcej. Lubię spać w twoich koszulkach - powiedziała, wkładając talerze do zmywarki.

Gdy Larry poszedł do łazienki, Eliza zadzwoniła do Greta i poprosiła, aby zabrała Murzynia na noc do siebie.

- On i tak teraz często u moich teściów śpi, ale gdyby przyszedł, to pewnie, że zawołam, no. A jak tam twoje sprawy z Larrym?

- Planujemy ślub za dwa tygodnie, w ostatnią sobotę października. Będzie wam pasowało?

- No pewnie, że będzie, no. Tylko co tak szybko? Bocian ma przylecieć?

- Och, Greta, sama mnie przecież ponaglałaś.

- No dobrze już, dobrze, no! Pewnie, że ponaglałam, i ciesze się, że mnie posłuchałaś.

Larry wszedł do pokoju i Eliza pożegnała się z Gretą.

- Dziękuję za pyszną kolację - powiedziała, chowając telefon do kieszeni.

- Proszę bardzo, ale deser zapewniasz ty - odparł, biorąc ją na ręce. Na schodach doszły ją dźwięki Sonaty księżycowej Beethovena.

Wiedziała, że będzie cudownie. Zresztą z Larrym nie mogło być inaczej. Eliza zdawała sobie sprawę, że było to w większości jego zasługą, a ona sama stanowiła jedynie nastrojony na megadobry odbiór obiekt jego uczucia. Ta świadomość przejmowała Elizę realną obawą o trwałość ich związku.

- Lubisz muzykę poważną? - zapytała, gdy odpoczywali kołysani falą wciąż jeszcze szybkiego oddechu Larry'ego.

- Lubię każdą muzykę, jeśli jest dobra - odpowiedział.

- Czy nie przeszkadza ci, że tak mało wiemy jeszcze o swoich upodobaniach i przeżyciach z przeszłości?

- Nie odczuwam potrzeby żadnej psychoanalizy, Eliza. Nie twierdzę, że przeszłość jest bez wpływu na teraźniejszość, tylko jakież to ma znaczenie, skoro i tak nie możemy jej zmienić? Poza tym ty chyba wiesz o mnie wszystko - zażartował trochę gorzko.

- A jednak nie - odpowiedziała. - Masz na plecach coś sprzed ponad dwudziestu lat, sądząc po dacie, i nie mam pojęcia, co to jest.

- To się nazywa tatuaż - zaśmiał się i otrzymał w odpowiedzi lekkiego klapsa.

Muzyka ustała i Larry poszedł zmienić płytę. Eliza wykorzystała chwilę, aby założyć jego koszulkę.

- Czy wiesz, że jesteś jedyną dziewczyną, która nie zapytała mnie o to już przy pierwszej... - zawahał się.

- Rozbieranej randce? - podpowiedziała.

Sprawiło jej przyjemność, że nazwał ją swoją dziewczyną, chociaż w tym kontekście była tylko jedną z wielu.

- Ten tatuaż ma pewną historię - kontynuował, wsuwając się obok niej pod kołdrę. - Imię Jane mam wytatuowane już od czasów szkoły średniej. Nie jest wykluczone, że moja sympatia z tamtych lat nosi ciągle moje imię na swojej łopacie. Będiesz o to zazdrosna?

- Będę, i to cholernie.

- To świetnie, chcę, żebyś była.

- Larry, ja wiem, że chodzi o siostrę Roberta. Helen wymieniła was w którymś liście i Annie też się to wymknęło w rozmowie - uprzedziła go.

- Mówiłem, że wiesz o mnie wszystko - powiedział nieco zawiedzionym tonem.

- A reszta twojego tatuażu? - zapytała Eliza, powracając do tematu.

- Resztę dopisałem później, tak żeby wyszedł z tego tytuł piosenki i rok, kiedy pierwszy raz usłyszałem grupę Jane's Addiction.

- Nie znam ich. Czy to rock alternatywny?

- Na początku był alternatywny, ale z czasem przeszli chyba do głównego nurtu.

- Mieszkałam wtedy w Polsce - usprawiedliwiła się, lecz musiało to zabrzmieć nostalgicznie, bo Larry zapytał, czy nie żałuje.

- To zależy od tego, czy byłeś wtedy wolny i czy byłabym w twoim typie - zaśmiała się.

- Jeśli nawet byłem do wzięcia, to i tak pewnie byś mnie wtedy nie chciała. Od paru lat brałem już heroinę. Wiedziałaś o tym?

- O czym jest ta piosenka? - rzuciła pytanie zamiast odpowiedzi.

- Każda zwrotka to obrazek z codzienności narkomanki, dziewczyny imieniem Jane - odrzekł bardzo wolno, najwyraźniej wążąc w myślach ciężar grudki przeszłości, którą miał teraz podzielić się ze swoją przyszłą żoną. - Jest tam taki fragment, gdzie Jane mówi, że jutro zerwie z nałogiem - zaczął znowu po chwili ciszy. - Tylko że ten fragment to jest refren; frazes, który niewiele zna czy ponad to, że się powtarza. Zdałem sobie sprawę, że w moim życiu działo się dokładnie to samo. Ta piosenka spowodowała, że zmieniłem w nim dużo więcej niż tylko tatuaż.

- Chciałabym jej posłuchać.

- W takim razie odszukam tę płytę - powiedział i gdy wrócił, usiadł na brzegu materaca z kieliszkiem wina. - Nie zaoferowałem ci, bo wiem, że odstawiłaś alkohol - usprawiedliwił się.

Eliza przysiadła tuż za nim i z policzkiem przytulonym do jego wytatuowanej łopatki, wsłuchiwała się w tekst piosenki.

- Miałam dużo szczęścia, że zdążyłam jeszcze stanąć na twojej drodze - wyszeptała, gdy ustała muzyka.

Sięgnął za plecy po jej dłoń. Eliza przesunęła się do przodu, usiadła obok niego i pociągnęła malutki łyk wina z jego kieliszka.

- Nie chciałbym, abyś myślała, że jedna piosenka nagle wyleczyła mnie z uzależnienia. Heroina to straszna sprawa, Eliza. Zupełnie inny kaliber niż popalanie trawki.

- Tekst jest wystarczająco mocny, by mógł stać się przełomowym momentem - odpowiedziała, wciąż jeszcze przejęta.

- Może nie aż do tego stopnia, ale na pewno zatrzymał w którymś miejscu błędne koło mojego nałogu. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie powiedział, że resztę w dużej mierze zawdzięczam mojemu bratu.

- Ja też wiele zawdzięczam Danielowi - wtrąciła. - Gdyby nie wrobił mnie w odwiezienie ciebie do domu, pewnie byłabym wciąż na etapie przekonywania siebie, że nie jestem tobą zainteresowana.

- A jesteś? - zapytał.

- Nie mam wyboru. Larry Harris jest zbyt pociągający, abym mogła mu się oprzeć - odrzekła, bawiąc się jego splecionymi włosami.

- Cieszę się, że nie spotkałaś mnie wtedy - wrócił do przeszłości. - Na pewno miałabyś zupełnie inne zdanie. Co prawda nie od razu zacząłem brać heroinę, ale narkotyzowałem się czymkolwiek, co tylko było pod ręką. Chwytałem się różnych robót. Gdy cała moja radość z wypłaty zaczęła sprowadzać się do tego, że będę mógł kupić narkotyki, wiedziałem, że byłem stracony. Najgorsze, że wcale mi to nie przeszkadzało.

- Miałeś w tym czasie kogoś?

- Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić. To nie było piękne. Matt, mój kolega, który zaopatrywał mnie w heroinę, sam brał i Wendy, to jest jego żona, też. Zażywaliśmy herę grupowo u nich w mieszkaniu. Nie wchodząc w szczegóły, to nie była jedyna rzecz robiona tam grupowo.

- Jestem wystarczająco długo na tym świecie i chyba nic mnie już nie zaskoczy. Trudno mi tylko wyobrazić sobie ciebie w takiej scenerii - odpowiedziała uczciwie i omal nie wyznała, że wolałaby, aby na tym zakończył swoje zwierzenia.

Zawahała się jednak i zostawiła mu wolną rękę. Może tego potrzebował. Wypił resztę wina i zanim wznowił opowieść, przez jakiś czas obracał w dłoniach pusty kieliszek.

- Któregoś dnia Matt zadzwonił i powiedział, że ich wyeksmitowali, bo już od paru miesięcy nie płacili komornego. Podał mi nowy adres. Poszedłem tam wieczorem. Padał wtedy deszcz. Pod podanym numerem stał dom przeznaczony do rozbiórki, kompletnie zabity deskami. Wszedłem od podwórza przez drzwi wyrwane z zawiasów. Matt i Wendy siedzieli na jakiejś starej kanapie z błędnym, a może nawet obłądnym wzrokiem. Tu i tam paliły się świece. Przez dziurę w dachu leciały na podłogę strugi wody. Dali mi strzykawkę. Mieliśmy z Mattem zwyczaj wbijać pod język. Wtedy nie widać, że się ma pokłute ciało. Wendy zwykle biła w krocze. Tam też są dobre żyły...

- Jezus Maria - wyszeptała Eliza po polsku. - Przepraszam, mów dalej - dodała, gdy Larry spojrzał na nią pytająco.

- Pod przeciwległą ścianą stało duże tekturowe pudełko. Po jakimś czasie z tego pudełka zaczął wydobywać się płacz dziecka. Wendy i Matt byli zbyt ośpiali, aby zareagować. Mnie już też brało, ale widziałem, jak z kąta przy drzwiach podniósł się Justin, ich ośmioletni synek. Nie zauważyłem

przedtem, że tam był. Wyjął swoją siostrzyczkę z pudełka i nosił na rękach po suchej części pokoju, a gdy nie przestawała płakać, dał jej stojącą na stole butelkę z jakąś starą resztką mleka. Zasnęła, a on wrócił do swojego kąta. Dopiero wtedy zobaczyłem, że odrabiał tam lekcje. Nie wiem, dlaczego to właśnie wydało mi się z tego wszystkiego najstraszniejsze.

Larry przerwał opowiadanie. Eliza wiedziała, że potrzebował chwili, aby wziąć pod kontrolę swoje wzruszenie.

- Poza odgłosem kapiącej z dachu wody w pomieszczeniu panowała cisza - kontynuował - ale ja wyraźnie słyszałem w mojej głowie, jak Perry Farrell śpiewał, że Jane mówi: „jutro to rzucam” i... wyciąga z kieszeni swój „obiad”... Na drugi dzień zadzwoniłem do Daniela. Zostałem u nich na czas odwyku. Sherri obiecała dopilnować, żeby dzieci Matta i Wendy trafiły do tej samej rodziny zastępczej. Dalszy ciąg już znasz.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Larry nadal obracał w palcach pusty kieliszek.

- Mam wyrzuty sumienia, że ci o tym wszystkim opowiedziałem, i to w dodatku teraz, kiedy powinnaś unikać takich wrażeń - odezwał się po jakimś czasie.

- Nie ma powodu, aby trzymać mnie pod kloszem. Dziękuję, że mi zaufałaś. Jestem daleka od tego, aby uzalać się nad przeszłością, bez względu na to, czy jest twoja, czy moja.

- Jeśli jesteśmy przy nałogach, to czy zauważyłaś, że po kolacji nie zapaliłem papierosa? - zapytał, wyłączając światło.

- Cieszę się, że nad tym pracujesz. A propos kolacji: chyba jestem trochę głodna.

- Przewidziałem to i przygotowałem ci owoce - odrzekł dumnie, zapewne spodziewając się pochwały za swoją zapobiegliwość.

Zapalił lampkę i przyniósł Elizie z podręcznej lodówki miseczkę z mieszanką winogron, kawałków ananasa i pokrojonych truskawek.

- Jest tam jeszcze druga, gdybyś potrzebowała więcej. -
Dziękuję, Larry - powiedziała, nie zdradzając, że właściwie to miała na myśli hot doga.

Rozdział IX

Plany Lestera

Uczucie głodu znów dało o sobie znać nad ranem. Było jeszcze ciemno. Przy schodach i w łazience paliły się małe nocne światełka. Z myślą o drugiej porcji owoców Eliza podreptała cichutko, aby nie obudzić Larry'ego, w kierunku stojącej w przeciwnym krańcu poddasza lodówki. Przez umieszczone w szczycie domu niewielkie okienko zobaczyła przebijającą zza ciemnej strefy zagajnika czerwoną łunę. Spojrzała na zegarek. Zbliżała się czwarta trzydzieści - zdecydowanie za wcześnie na świt. Ogarnęło ją uczucie niepokoju. Telefon komórkowy Larry'ego leżał na jego biurku, podłączony do ładowarki. Wystukała numer alarmowy.

- Widzę pożar z okna. To musi być bardzo blisko miejsca, gdzie jest sklep mojego... gdzie jest nasz sklep - poprawiła się.

Poproszono ją, aby podała nazwę i adres sklepu oraz nazwisko i telefon właściciela. Spytano też o jej dane.

- Straż pożarna jest już na miejscu - usłyszała. - Mieliśmy zgłoszenie od kierowcy przejeżdżającej ciężarówki. Czy w budynku byli ludzie albo zwierzęta?

- Nie, chyba że ktoś wszedł bez naszej wiedzy. Zaraz tam przyjedziemy - dodała.

Gdy przybyli na miejsce, nie było już płomieni. Unosiły się za to resztki dymu pomieszanego z parą wodną. Spalony do połowy dach, zwęglone deski frontowej elewacji, osmalone cegły ścian i zapobiegawczo wybite przez służby ratunkowe okna szokowały widokiem i zapachem pogorzeliśka. Strażacy zwijali powoli swój ekwipunek, podczas gdy ekipa policyjna robiła zdjęcia i pobierała próbki. Jeden z jej członków podszedł do Larry'ego i zadawał mu pytania, czyniąc notatki. Eliza słyszała, jak na koniec poradził mu, żeby niezwłocznie zawiadomił swoją firmę ubezpieczeniową.

- Pojadę na stację benzynową i kupię ci kubek kawy - powiedziała.

- Weź mi też paczkę marlboro lights - poprosił.

Kiedy wróciła, nie było już ani strażaków, ani nikogo z policji, a na wpół spalony budynek otaczała żółta taśma ostrzegająca przed wstępem na teren posesji. Larry siedział na ocalałej ławce ogrodowej z twarzą ukrytą w dłoniach. Eliza postawiła kawę na ziemi i podała mu papierosy. Zamiast zdjąć złocisty paseczek, rozerwał cały celofan, jak gdyby nigdy przedtem nie otwierał paczki. Gdy wreszcie wyjął papierosa, przybliżyła płomyk ognia z nabytej na stacji zapalniczki. Widziała, że drżały mu ręce. Zaciągnął się i dopiero po długiej chwili wypuścił chmurę dymu. Eliza odeszła na bok, żeby go nie wdychać.

- Napij się kawy - powiedziała. - Jest bardzo dobra, spróbowałam.

Posłuchał. Gdy skończył palić, usiadła mu na kolanach i opłotła rękami jego szyję. Nie od razu ją objął.

- Nie to chciałem zapewnić mojej żonie i dziecku - powiedział, spoglądając na pogorzeliśko.

Eliza ujęła jego twarz i dotykiem ust osuszyła słonawą wilgoć siateczki zmarszczek w kącikach oczu. Czowała, że powinna przejąć kontrolę.

- Trzeba zabezpieczyć komputer i dokumentację, jeśli to jeszcze możliwe - powiedziała, wstając z jego kolan. - Podjadę na tył budynku. Przyjdź tam zaraz, proszę. Zrób po drodze parę zdjęć. Twój telefon ma lepszy aparat. Jest już wystarczająco widno. Zadzwońisz potem do firmy ubezpieczeniowej, a ja zatelefonuję do Roberta i Greta.

Wydawało się, że zaplecze Harris Antiques nie ucierpiało aż tak mocno, jak przednia część budynku. Przeszło jednak zapachem spalenizny, a oddzielająca je kotara z grubego plastiku była zupełnie stopiona. Eliza wyraziła obawę o

łatwopalne środki, których Larry używał do odnawiania mebli. Na szczęście wszystkie były schowane w ognioodpornej szafce. Odłączyła komputer i drukarkę. Pakowała w ocalałe pudełka papiery z szuflad biurka. Otworzyła bagażnik hondy i poinstruowała Larry'ego, aby wszystko tam pozanosił. Wykonywał jej polecenia bez słowa.

- "Jasni gewint"! - wykrzyknął Robert, naśladowując polszczyznę swojej żony, gdy wyszli z Gretą z samochodu.

Miał w ręku profesjonalnie wyglądający aparat fotograficzny z dużym obiektywem. Greta oparła się o subaru, kompletnie oniemiała. Larry poprosił, aby zostali na miejscu, zanim on odwiezie do domu komputer i Elizę i wróci ciężarówką, żeby zabrać resztę ocalałych rzeczy.

- Wrócimy razem - oznajmiła Eliza stanowczo.

- Absolutnie nie - zaproponował. - Zjesz dobre śniadanie i położysz się z powrotem do łóżka. Spałaś niecałe pięć godzin.

Z determinacji w jego głosie wywnioskowała, że z nim nie wygra.

- Będę z powrotem za godzinę - poinformowała po polsku Gretę.

- No to się porobiło, no - odpowiedziała, wciąż oparta o samochód.

Eliza siadła za kierownicę hondy. Larry zajął miejsce obok. - Jesteś bardzo operatywna, już ci to kiedyś mówiłem.

- To dlaczego odsyłasz mnie do domu?

- Właśnie straciłem jeden ze swoich sukcesów. Nie chcę stracić drugiego - odpowiedział.

- Czy chcesz, żebym powiadomiła dzieciaki? - zapytała, gdy przyjechali przed dom Harrisów.

- Nie teraz. Mają w tym tygodniu ważne zajęcia. Zadzwoimy do nich za parę dni.

Zjedli śniadanie i gdy Larry odjechał, Eliza położyła się na kanapie w saloniku z zamiarem krótkiej drzemki. Obudziła się

po prawie godzinie. Nie była przykryta i trochę zmarzła. Śniło się jej, że ktoś powyrzucał róże z jej wazonu. Była gotowa jechać na miejsce pożaru, lecz postanowiła wpaść najpierw do Ustronia. Zaparkowała przy wejściu i zawołała Murzynia. Nie było go w pobliżu. Otworzyła kluczem oba zamki i już miała nacisnąć klamkę, gdy poczuła czyjeś dłonie na ramionach. Ogarnęło ją przerażenie. Bała się odwrócić.

- Pachniesz dymem i spalenizną. Czy coś się stało? - Lester wymawiał każde słowo z nienaturalnym naciskiem.

Nie widziała go, ale czuła jego twarz w swoich włosach. Wyjęła z kieszeni telefon, lecz został on szybko wytrącony z jej ręki. Szukała w pamięci wszystkiego, co kiedykolwiek czytała na temat samoobrony, żałując, że nigdy nie zapisała się na kurs. Lester zacieśnił uchwyt na jej ramionach.

- Czekałem na ciebie - mówił dalej. - Kumple Larry'ego skrzywdzili moją dziewczynę. Wiesz o tym?

Nie wspomniał nic o własnej krzywdzie. Eliza nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy miał broń. Gdyby tak było, nie trzymałby pewnie na jej ramionach obu dłoni.

- Wy z Larrym lubicie, żeby wszystko było fair - kontynuował - to pewnie zgodzisz się ze mną, że teraz ja powinienem skrzywdzić ciebie. Żeby było fair - dodał ze złośliwym chichotem.

- Larry zaraz tu będzie. Jedzie swoją ciężarówką - powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej argument był na miarę pobożnego życzenia. Nie miała jednak w zanadrzu niczego lepszego.

- Blefujesz, tak jak z tym HIV - wycedził Lester przez swoje sztuczne zęby.

Jak gdyby na potwierdzenie słów Elizy z drugiego końca zwirowej alejki doszedł charakterystyczny odgłos diesla. Domyśliła się, że to firma zbierająca śmieci. Zawsze przyjeżdżali w poniedziałki. W tym samym czasie z kępki

pozostałych po nagietkach badyli rozległ się dźwięk telefonu. Eliza poczuła lekkie rozluźnienie dłoni Lestera. Wykorzystując moment, kopnęła piętą najwyżej, jak mogła. Uderzenie w męskie krocze było jedynym znanym jej, i co ważne, wypróbowanym w przeszłości elementem samoobrony. Być może wieloletnie ćwiczenia jogi i świadomość własnego ciała sprawiły, że chociaż uczyniła to tym razem zupełnie w ciemno, osiągnęła zamierzony efekt. Lester zaklął, straciwszy równowagę na pochyłości rampy. Eliza szybko znalazła się po drugiej stronie drzwi i zamknęła je pospiesznie od środka. Obiegła dom, sprawdzając, czy wszystkie okna były dobrze zamknięte. Róże od Larry'ego stały na stole w jadalni. Wtuliła twarz w płatki, starając się ochłonać i uspokoić ich delikatną wonią. Posłyszała szczekanie Murzynia. Ujadał z głową zwróconą w kierunku nieproszonego gościa. Lester zniknął za ścianą cyprysów. Musiał zostawić tam swój motocykl. Po odgłosie silnika wydedukowała, że odjechał dróżką przez pole Phillipsów.

Eliza, już uspokojona, wzięła bardzo szybki prysznic, wysuszyła włosy suszarką i przebrała się w czyste dżinsy i bluzkę. Założyła na wierzch ciepły sweter z kapturem, po czym zapakowała do torby laptopa oraz ubrania i bieliznę na zmianę. Wyjąwszy z lodówki słoik z kiszoną kapustą, odcisnęła z niej dobre pół szklanki soku. Wypiła z zadowoleniem. Poczuła się znacznie lepiej.

Nie była pewna, czy Lester nie czaił się gdzieś w zaroślach, lecz chęć pomocy Larry'emu była silniejsza od strachu. Nade wszystko chciała być teraz z ukochanym. Poza tym obiecała Grecie, że przyjedzie. Stojąc przy kuchennym oknie, otworzyła samochód pilotem. Widziała, jak błysnęły światelka. Zaczekała jeszcze chwilę. Nie słysząc szczekania psa, wywnioskowała, że nic się nie działo, i ostrożnie otworzyła drzwi. Murzynio leżał w nagietkach. Wystawiła mu

miseczkę z jedzeniem i podniosła z ziemi swój telefon. Dopiero gdy znalazła się w samochodzie i zamknęła od środka, sprawdziła nagraną wiadomość. Była od Adama. Postanowiła na razie nie oddzwaniać.

Zbliżając się do pogorzelniska, zauważyła zaparkowanego tam dostawczego mercedesa. Sądząc po napisie, należał do firmy sprzedającej antyki w Dover. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że podczas gdy ona została wysłana do domu, Larry'emu pomagała Michelle. Miała ochotę odjechać, lecz Larry zauważył hondę i widziała, że szedł w jej kierunku. Postanowiła trzymać wizytę Lestera w tajemnicy.

- Nie spałaś za długo - powiedział, spoglądając na zegarek. - Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję. Zajechałam jeszcze do siebie, ale tylko na chwilę, żeby się przebrać i nakarmić psa. Czy był już ktoś z firmy ubezpieczeniowej ?

- Właśnie jest Steve. Jak wiesz, prowadzi agencję, która sprzedaje polisy. Niedawno zaproponował mi lepszą, z większym pokryciem na wypadek pożaru i kradzieży. Wykupiłem ją zaledwie parę dni temu. Obaj znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji, bo mogą się pojawić podejrzenia, że sam spowodowałem pożar, aby dostać pieniądze. Tak się niekiedy zdarza w podobnych sytuacjach. Czekamy teraz na przedstawiciela firmy.

Udali się na ocalałe z pożaru zaplecze. Chociaż Larry nie wspomniał, że Steve przyjechał w towarzystwie swojej żony, Eliza nie była zaskoczona obecnością Michelle. Musiała przyznać, że kobieta była niezwykle atrakcyjna i zadbana, od paznokci po makijaż, włosy i garderobę, nie mówiąc już o oryginalnej, trochę wschodniej urodzie. Ciekawiło Elizę, jakimi komplementami Larry obdarzał Michelle w przeszłości. Zdała sobie sprawę, że nie był to czas na podobne refleksje. Niemniej poczucie niższości zdążyło ją już dopaść i gdy

przedstawiano sobie obie kobiety, ego Elizy spadło do poziomu zahukanej uczennicy z ostatniej ławki. Żałowała, że nie udało się jej w porę odjechać. Wyszła na zewnątrz pod pretekstem asystowania Grecie w oczyszczaniu ocalałych towarów wynoszonych z zaplecza przez Roberta.

- Eliza - odwołał ją Larry - wolałbym, żebyś została tu, w kantorku. Tam łatwo się przewrócić, a w środkach czyszczących mogą być jakieś niezdrowe substancje - tłumaczył po cichu.

W porównaniu z tym, co przeżyła przed godziną, to niebezpieczeństwo wydawało jej się trywialne. Delektowała się zielononiebieskim spojrzeniem Larry'ego, gdy do niej mówił, trochę zakłopotana jego zupełnie według niej niepotrzebną troską. Przejęła ją znajoma fala ciepła.

- Może zamówiłabyś pizzę? - zapytał Larry po chwili. - Michelle lubi z szynką i ananasek.

Eliza poczuła się, jakby nagle spadła z miękkiego obłoku na wyjątkowo twardą ziemię. Odniosła wrażenie, że Larry nosił w sobie niezaleczone poczucie obowiązku zadawania swojej byłej przyjaciółki i był zdolny posunąć się w tym niebezpiecznie daleko. Czy było to jedynie skutkiem jego wrodzonej dobroci, czy też żaru szczególnych względów, co nie wygasi jeszcze do końca i tlił się w jego sercu jakimś ciepłym wspomnieniem?

- Słyszałem o waszym nieszczęściu - powiedział właściciel małej pizzerii, gdy składała zamówienie. - Nie jesteście mi dzisiaj nic winni. Przyjmijcie to w dowód sympatii i wsparcia od Tony'ego Lombardi.

Przysłał dodatkowo skrzynkę coli i sześć kawałków sernika.

- Larry, jeśli chcesz, mogę zabrać niektóre z uratowanych rzeczy i sprzedać je dla ciebie w moim salonie - powiedziała Michelle przy posiłku.

- Nie chciałbym narażać cię na trudności w rozliczeniach
- odparł. - Z drugiej strony rozwiązałoby mi to problem ich przechowywania.

- Nie będzie żadnych trudności, jeśli wezmę je w komis z jakąś bardzo symboliczną prowizją, powiedzmy pół procenta.

Oferta była bardzo pomocna i pomimo podszeptów intuicji, aby trzymać zaufanie na wodzy, Eliza poczuła dla Michelle taką samą wdzięczność jak dla Tony'ego Lombardi.

Przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej nie zabawił długo. Porobił zdjęcia i poinformował, że prywatna agencja na ich usługach w porozumieniu z policją przeprowadzi własne śledztwo w sprawie przyczyn pożaru, co wraz z przygotowaniem raportu może zająć parę dni. W tym czasie budynek będzie musiał być zabezpieczony.

Przed drugą po południu prawie wszyscy odjechali. Larry z Robertem mieli jeszcze zająć się ogrodzeniem.

- Tak mi przykro, Larry - powiedziała Eliza, gdy Robert pojechał po przenośne ogrodzenie z plastikowej siatki i tabliczki ostrzegawcze.

- Widocznie tak miało być - odpowiedział z przygnębieniem, które szybko wróciło po rozjechaniu się pozostałych osób.

Sięgnął po papierosa. Wypalił dotąd pół paczki. Eliza powstrzymała się od komentarza.

- Wrócisz do domu na obiad? - zapytała. - Kupię coś i ugotuję sama. Dosyć mieliśmy ostatnio żywienia się w restauracjach.

- Rozstawienie ogrodzenia nie powinno nam zająć więcej niż dwie godziny. Będę się musiał jeszcze wykąpać. Mogę być w Ustroniu około szóstej.

- Miałam na myśli twój dom - powiedziała.

Przygotowując obiad w kuchni Harrisów, Eliza biła się z myślami, czy wbrew podjętemu wcześniej postanowieniu nie

powiadomić Larry'ego o dzisiejszych i poprzednich wyczynach Lestera. Jego akcje przestały być zaczepne i nabrały charakteru otwartej agresji. Może powinna była powiadomić też policję. Potrzebowała czyjejś porady. Jediną wtajemniczoną osobą była Goldie, lecz jej Eliza nie chciała obarczać już niczym więcej. Zadzwoiła do Daniela. Nie odebrał telefonu. Włączyła się poczta głosowa. Eliza zostawiła wiadomość, aby oddzwonił.

Ugotowała marchewkę z groszkiem. Gdy dochodziły ziemniaki i smażyły się na patelni panierowane drobiowe kotlety, zatelefonował Adam.

- Martwiliśmy się o ciebie. Nie dajesz ostatnio znaku życia.

- Pracuję intensywnie. Opowiadanie o Ustroniu jest co prawda wciąż in statu nascendi, ale mam już przeczytaną znaczną część korespondencji Helen. Poza tym w wolnych chwilach spotykam się z Lanym Harrisem i muszę przyznać, że pani Helenka miała całkiem dobry gust - powiedziała, nie wspomniawszy o pożarze.

- Och, Eliza, tak się cieszę. Marlena będzie pewnie w siódmym niebie, gdy jej o tym powiem.

- To jednak dalej spiskowaliście przeciwko mnie - odrzekła, maskując żartami swój nie najlepszy nastrój. - Jak tam moja sympatia numer dwa, to znaczy Ben? - zagadnęła z nadzieją przestawienia tematu rozmowy na inne tory.

- Pyta często, kiedy znowu przyjedzie ciocia Eliza. Może odwiedzilibyście nas z Lanym? - zaproponował.

- Nie wiem, czy Ben byłby szczęśliwy z tego powodu - zaśmiała się.

Eliza martwiła się o Larry'ego i spoglądała co chwila na zegarek. Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie podjechała jego ciężarówka.

- Kuszące zapachy - zauważył, wchodząc do kuchni. - Będiesz miała dosyć dla jeszcze dwóch osób?

- Tak, zrobiłam wszystkiego na dwa dni - odpowiedziała przerażona, że może zaprosił Michelle i Steve'a.

- Za godzinę będą tu Daniel i Marcus - uprzedził jej pytanie. - Zaczekamy na nich z kolacją?

- Oczywiście - odrzekła ucieszona. - Będę trzymać wszystko w piekarniku.

Larry powiedział jej, że dowiedziawszy się o pożarze z lokalnej stacji radiowej, Lisa wysłała SMS - a do Nicole i nie dało się już utrzymać tego w tajemnicy.

- Nicole ma dziś zajęcia do późna. Będzie mogła przyjechać dopiero w piątek, ale Marcus jest już w drodze - wyjaśnił.

- A kto zawiadomił Daniela? - zapytała.

- Sam go powiadomiłem. To w końcu mój jedyny brat. Był dzisiaj służbowo w Annapolis i zdecydował, że od razu przyjedzie tutaj. To już prawie pół drogi z Waszyngtonu.

Gdy Larry kąpał się w łazience na górze, Eliza postąpiła pukanie i otworzyła drzwi.

Daniel przywitał ją pocałunkiem w zarumieniony od krzątania się przy kuchence policzek.

- Przepraszam, że nie odebrałem telefonu. Larry musiał dzwonić do mnie w tym samym czasie, a gdy skończyliśmy rozmowę, byłem już w Delaware.

- Dzwoniłam, aby poprosić cię o radę. Mam pewne informacje o Lesterze. Zakładam, że wiesz o tej całej sprawie pobicia - powiedziała przyciszonym głosem i spojrzała zapobiegawczo w kierunku schodów, upewniając się, że drzwi poddasza były zamknięte.

- Tak, wiem.

- Myślę, że on próbuje sprowokować twojego brata. Już wcześniej usiłował użyć mnie jako przynęty, sądząc pewnie,

że zaraz pobiegnę z tym do Larry'ego. Ja jednak postanowiłam poczekać do czasu upływu zawieszenia.

- Lester nie wie, na kogo trafił. Wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą.

- Niezupełnie. Wydaje mi się, że Lester staje się coraz bardziej agresywny. Wydzwania do mnie z różnymi oszczerstwami. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on podpalił sklep. Nie mam pewności, czy powinnam powiedzieć o wszystkim Larry'emu już teraz.

- Nie ufasz mojemu bratu?

- Jest bardzo opiekuńczy w stosunku do mnie. Boję się, że mógłby zbyt jawnie stanąć w mojej obronie, a od tego tylko krok do prowokacji.

- Cieszę się, że z nim jesteś, Eliza. Jeśli czujesz się zagrożona, to oczywiście koniecznie powiadom policję.

Chwilę później do domu wszedł Marcus.

- Co za nieszczęście - powiedział z przygnębieniem, witając się z Danielem i Elizą. - Coś tu bardzo dobrze pachnie, ciociu - dodał po chwili już bardziej pozytywnym tonem.

Daniel spojrzał na „ciocię” trochę chyba zdziwiony, ale o nic nie zapytał. Eliza zdała sobie sprawę, że z pewnością nie miał pojęcia, jak wiele wydarzyło się między nią a jego bratem od czasu ich ostatniego spotkania.

Po kolacji Marcus podjął się posprzątania ze stołu i zaparzenia kawy. Larry wstał ze swego miejsca i usiadł obok Elizy.

- Steve dzwonił do mnie dzisiaj - powiedział. - Otrzymał anonimowy telefon od faceta, który podawał się za mojego klienta i rzekomo słyszał, jak mówiłem, że najchętniej spaliłbym swoją budę, skasował odszkodowanie i postawił coś lepszego. Policja podobno ustaliła, że frontowa ściana została przed podpaleniem oblana benzyną. Kiedy myślę o swoich

wrogach, Lester wychodzi na pierwsze miejsce. Kto inny, oprócz Parkerów, wiedziałby, gdzie jestem ubezpieczony?

Eliza zdawała sobie sprawę, że Parkerowi nie chodziło o nią. Ten cały szturm intryg miał na celu wyłącznie sprowokowanie i zniszczenie Larry'ego, a ona była jedynie narzędziem, które mogło to ułatwić. Żałowała, że nie było okazji do przedyskutowania tego dokładniej z Danielem.

- Kiedy odbudujesz swój sklep, będziesz musiał zainwestować w porządną system zabezpieczeń - powiedział Daniel, siadając naprzeciw Larry'ego i Elizy.

- Miałem założony alarm w drzwiach i oknach, ale na nic się nie przydał. Z każdej strony budynku były też czujniki ruchu włączające światła.

- Twojemu bratu chodzi chyba o kamery - wtrąciła Eliza.
- Dobrze by było, gdybyśmy pozakładali je również w swoich domach.

- Czytasz w moich myślach, Eliza, i całkowicie się z tobą zgadzam - powiedział Daniel.

- Zrobiłem coś bez twojej wiedzy i pozwolenia - wyjawiał Marcus Larry'emu.

- Wiem, przywlokłeś z powrotem te dwa dziadkowe krasnale, które wyniosłem swego czasu do stodoły. Dostałem twojego SMS - a, żeby na razie ich nie ruszać.

- W niedzielę, zamiast zająć się papierami, które mi zostawiłeś do sortowania - kontynuował Marcus - postanowiłem poeksperymentować z czymś, co od dawna już mnie nurtowało. Przywiozłem ze sobą dwie bezprzewodowe kamery noktowizyjne. Kupiłem je niedrogo na aukcji internetowej. Miały być ukryte, więc zatrudniłem do tego te krasnale. Stawiały nieco oporu, jak je ciągnąłem, bo są cholernie ciężkie, ale z wydłubywaniem im oczu nie miałem już problemu.

- Na litość boską, Marcus, nagrałeś coś tymi kamerami, czy nie? - zniecierpliwiał się Larry.

- Trafiłeś w dziesiątkę z tą boską litością, bo akurat w niedzielę z rana w kościele przyszedł mi wreszcie do głowy pomysł, jak rozwiązać pewien problem z oprogramowaniem, które niestety nie było najlepsze. Jeśli się nagrało, to będzie na moim starym komputerze w warsztacie - wyjaśnił wreszcie Marcus. - Mam nadzieję, wujku, że go nie wyłączyłeś.

- Niczego nie wyłączałem, ale też nie widziałem w warsztacie żadnego komputera - zmartwił się nagle Larry.

- Mogłeś nie zauważyć, bo zamknąłem go w jednej z ognioodpornych szafek na rozpuszczalniki, a te przełożyłem do szafki z politurami. Małego otworka na przewód elektryczny pewnie też nie dojrzałeś?

- Gdzie ten komputer? - nie wytrzymał Larry.

- Mam go w bagażniku.

- No to na co my jeszcze czekamy?

- Pójdę z tobą, Marcus. Przytrzymam ci drzwi - powiedział Daniel.

- Czy jestem zbyt nerwowy? - zapytał Elizę Larry.

- Dzisiaj masz do tego prawo - powiedziała, wspinając się na palce, by zaaplikować mu uspokajający gest przeciągnięcia dłonią po włosach.

- Nie jesteś zbyt zmęczona? Nawet nie zapytałem, jak się czujesz - odezwał się z nową nutką winy w głosie.

Pokręciła przecząco głową.

- Larry, rozumiem, że Daniel i Marcus zostają do jutra rana. Czy chcesz, żebym wróciła na noc do Ustronia?

- Marcus ma tu swój pokój, a Daniel będzie spał w sypialni ojca.

- Nie o to mi chodziło. Nie wiem, czy to przystoi, żebyśmy kładli się w ich obecności do tego samego łóżka.

- Eliza, ile ty masz lat?

- Więcej, niżbym chciała - odpowiedziała.

Marcus wniósł komputer, ustawił go na stole w kuchni i podłączył monitor.

- O której wybuchł pożar? - zapytał Larry'ego.

- Około czwartej rano.

- Zaczniemy zatem od trzeciej trzydzieści. Każda kamera nagrywała osobno. Miejcie na uwadze, że nagranie jest czarno - białe i puszczam je w przyspieszonym tempie. Najpierw odczytamy ścieżkę Daniela, a potem Larry'ego.

- Co masz na myśli? - spytał Daniel.

- Musiałem jakoś pooznaczać te krasnale. Ty jesteś ten z prawej, a wujek Larry z lewej.

Marcus powiedział to z tak komiczną powagą, że pozostali, choć okoliczności temu nie sprzyjały, wybuchnęli zgodnie gromkim śmiechem.

Przez jakiś czas na ekranie majaczyły jedynie migające kontury części budynku i przeciwległego krasnala. Gdy obraz rozjaśnił się pod wpływem światła reagującego na czujnik ruchu, atmosfera w kuchni zrobiła się bardziej poważna. Na monitorze pojawiła się uzbrojona w pręt lub kij postać biegnąca szybko, niczym w starym kinie, między kolejnymi lampami. Sylwetka, choć niełatwo to było stwierdzić, przypominała posturę Lestera Parkera. Obraz na ekranie ściemniał się za każdym uderzeniem długiego narzędzia w lampy oświetlające posesję. Marcus ubolewał nad marną jakością nagrania. Kolejne sceny potwierdziły oblanie budynku łatwopalnym płynem i podłożenie ognia. Kamera z drugiego krasnala złapała parkujący samochód. Był to bez wątpienia ciemny ford pinto.

- Będiesz mógł porobić z tego kopie? - zapytał Larry.

- Oczywiście, ale też nie będą najlepszej jakości. Miałem jeszcze nad tym wszystkim popracować - odrzekł. - Gdyby tak

podpalacz zaczekał do następnego weekendu, miałby dużo ładniejszą pamiątkę - dodał, inicjując kolejną falę śmiechu.

- Dzieciaki nie powinny dowiedzieć się o tej sprawie pomiędzy mną a Lesterem - powiedział Larry przyciszonym głosem, gdy Marcus odszedł po dyski do nagrywania.

- W tej chwili najważniejsze jest ustalić tożsamość sprawcy. Dzięki Marcusowi jest szansa, że tak się stanie - stwierdził Daniel. - Dobre laboratorium kryminalne mogłoby dopracować jakość nagrania. Powinieneś porozmawiać z policją, żeby wysłali to do Quantico. FBI robi usługi dla stanowych służb bezpieczeństwa; chyba nawet za darmo. Są tam co prawda pewne restrykcje, jeśli chodzi o rodzaj sprawy, ale może ta akurat by się kwalifikowała.

- Jeśli to rzeczywiście zrobił ten Lester - odezwał się Marcus, wracając z paczką dysków - to jakie miałyby ku temu powody?

- Ma wielu wrogów. Ktoś musiał mu zaszkodzić i pewnie jest przekonany, że maczałem w tym palce - powiedział Larry.

- Dlaczego miałyby posądzać akurat ciebie?

- Mieliśmy parę różnych zatargów w przeszłości.

- O kobiety? Och, przepraszam, ciociu - zreflektował się Marcus.

- Można to tak nazwać - odpowiedział Larry, obejmując stojącą obok niego Elizę.

Rzuciła mu spojrzenie, które miało sugerować, że nic o tym nie wiedziała.

Daniel i Marcus pożegnali się z Larrym i Elizą i udali na spoczynek, nastawiając budziki na jakąś nieprzyzwoicie wczesną godzinę. Eliza nie mogła usnąć. Zdarzenie w Ustroniu wracało raz po raz tak realistycznie, że niemal czuła na ramionach dotyk palców Lestera. Myślała o tym, czy będzie jeszcze mogła czuć się tam bezpieczna. Sen zlitował

się nad nią, kiedy odtwarzała w pamięci bukiet róż w wazonie z kolorowego szkła na stole przykrytym zieloną serwetą.

Słyszając, że Larry krztał się już na dole w kuchni, Eliza wynurzyła się spod nasuniętej na twarz kołdry. Wróciły niedobre myśli i jakieś niejasne jeszcze poczucie winy. Może gdyby nie pojawiła się w życiu Larry'ego Harrisa, jego kłopoty z Lesterem nie zaszłyby aż tak daleko. Przypomniały jej się własne słowa z którejś z rozmów z Gretą: „Tylko widzisz, to ja nie mam szczęścia i lepiej, jak będę się trzymać od Larry'ego z daleka, bo mogę przynieść mu jeszcze większego pecha”. Usiadła i podciągnawszy nogi pod brodę, zakryła je koszulką Larry'ego, wtulając twarz w objęte rękami kolana.

- Przyniosłem ci kawę, kochanie.

Słyszała, jak Larry stawiał kubek na podłodze przy posłaniu. Usiadł obok niej i zamknął ją całą w objęciach swoich ramion.

Nie zapytał, co się stało; dał jej się tylko wypłakać. Była mu za to wdzięczna.

- Przepraszam - odezwała się, uwalniając się z jego objęć i sięgając po kubek. - Trochę za dużo się dzieje. Może powinnam popływać gdzieś dla relaksu - dodała, dokładając dla poprawienia nastroju nieco wymuszony uśmiech. - Woda i ruch zawsze były moją odpowiedzią na chandry.

- Z pływaniem raczej krucho, ale jeśli chodzi o wodę i ruch, to jedno i drugie mogę ci zapewnić na miejscu, pod prysznicem - oznajmił z prowokującym uśmiechem.

Wystawiła twarz w stronę natrysku i pozwoliła ciepłym strugom koić poirytowane łzami powieki. Czowała, jak Larry dotykał ustami każdego skrawka jej karku. Jego dłonie krążyły po jej ciele w delikatnym, wilgotnym masażu. Odwróciła się i zarzuciła Larry'emu ręce na szyję, znacząc ustami kontury

jego warg. Gdy jej stopy oderwały się od mokrych kafelków, wszystkie dylematy utraciły nagle znaczenie.

Przez umieszczone we frontowej fasadzie kuchenne okno Eliza spoglądała na rosnące wokół domu drzewa. Czerwieniły się koronami klonów i złociły od żółtych liści wiązów, które rozpieszczane ciepłem promieni październikowego słońca nie miały wcale ochoty spadać na ziemię. Przygotowując śniadanie, pomyślała, że w tak pięknie rozpoczynającym się dniu nie miało prawa wydarzyć się już nic złego. Postanowiła wrócić do Ustronia, tym bardziej że Larry musiał pojechać z nagraniami na policję, a potem zaraz do Dover na spotkanie ze Stevem i kimś z firmy ubezpieczeniowej.

- Uważaj na siebie i dobrze zamknij dom - nakazał Larry, całując ją pod drzwiami Ustronia.

- Kiedy wrócisz? - zapytała.

- Dam ci znać - odpowiedział krótko, wsiadając już z powrotem do samochodu.

Mimo że nie było ku temu widocznej potrzeby, Eliza zabrała się do sprzątnięcia. Wróciła świadomość niebezpieczeństwa. Starła się ją odpędzić, koncentrując się na ścieraniu kurzu, jak gdyby było to zajęcie najważniejsze i niecierpiące zwłoki. Gdy otworzyła drzwi, aby wytrzepać ścierkę, Murzynio czekał tuż za nimi. Zaprosiła go do środka, ucieszona jego obecnością. Chciała włączyć radio, lecz doszła do wniosku, że cisza będzie lepszym sprzymierzeńcem, na wypadek gdyby coś się działo. Wyjęła z zamrażarki dużą paczkę pokrojonego w kostkę mięsa i zadzwoniła do Grety, żeby przyszła na kawę.

- Otwórz drzwi swoim kluczem - powiedziała - bo mogę być w pralni. - Naprawdę jednak bała się niepewności, kogo mogłaby zastać po drugiej stronie.

Teraz nie chodziło tylko o nią samą. Przyszłość nie była już jej wyłączną własnością. Nowe życie, które w sobie nosiła,

miało w niej równorzędny współudział. Czuła odpowiedzialność za bezpieczeństwo formującej się w niej maleńkiej istoty.

- Czy już wiadomo, jak to się stało? - odezwała się Greta, wchodząc do kuchni z kilkoma kawałkami ciasta czekoladowego na przykrytym przezroczystą folią papierowym talerzu.

- Co masz na myśli? - zapytała Eliza wyrwana niespodziewanie z rozważań o swoim brzemiennym stanie.

- No ten pożar, no.

- Są pewne poszlaki. Larry musi to jeszcze przedyskutować z policją. Pojechał właśnie w tej sprawie do Georgetown - powiedziała, stawiając przed Murzyniem porcję jego jedzenia.

Murzynio opróżnił miseczkę, pobiegł do przedsionka i zaszczekał dość niecierpliwie. Eliza wstała, aby go wypuścić. W otwartych drzwiach stał uśmiechnięty Lester. Przez moment wydało się jej, że w wyciągniętej ręce podawał jej jakiś przedmiot. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że była to wymierzona w jej kierunku lufa niewielkiego pistoletu. Cofnęła się odruchowo w kierunku sypialni. Lester podążył za nią.

- Na łóżko! - rozkazał, zamykając za sobą drzwi.

Choć Eliza nie poczuła zapachu alkoholu, po mowie, chwiejnym kroku i przekrwionych oczach Lestera można było sądzić, że był pijany. Usadowił się na krześle przy zielonym biurku, z bronią wciąż wymierzoną w kierunku Elizy. Chociaż daleka była od okazywania strachu czy zbytnej uległości, wiedziała, że stawianie oporu nie wchodziło na tym etapie w grę. Usiadła na łóżku wyprostowana, nie spuszczając wzroku z napastnika.

- Bardzo zgrabny ten twój pistolecik - powiedział, przekładając go kilkakrotnie z jednej ręki do drugiej.

Nosił zbyt obszerne lateksowe rękawiczki, które jednak przystawały tu i ówdzie do jego spoconych dłoni.

- Nie mam i nigdy nie miałam broni - odparła.

- O, to nieprawda, Eliza. Przecież kupowaliśmy go razem w Filadelfii, pamiętasz? Jest zarejestrowany na twoje nazwisko. Wiesz, kto dziś będzie z niego strzelał? Twój Larry. A wiesz do kogo? Do ciebie. Pewnie nie możesz się doczekać, żeby usłyszeć dlaczego. Nie będę cię dłużej dręczył. Otóż powodem będzie to, że znajdzie nas razem w twoim łóżku. A wiesz, co się stanie potem? Potem popełni z rozpaczy samobójstwo, a ja, przerażony, zadzwonię na policję i wszystko opowiem. Jak ci się podoba mój plan?

- Brzmi jak tani melodramat, Lester. Nikt w to nie uwierzy.

- Przestraszyłaś się, co? - zapytał, ignorując jej komentarz. - Na pocieszenie powiem ci, że to jest plan „B”. Jak będziesz posłuszna i zrobisz wszystko, co każę, może nie będziemy musieli się do niego uciekać.

Wymawiał słowa powoli, ukazując w jakimś niezdecydowanym grymasie swoje sztuczne zęby. Świadomość, że zawdzięczał je Larry’emu, podtrzymywała Elizę na duchu.

- Na czym polega twój plan „A”? - zapytała tak profesjonalnym tonem, jak gdyby przeprowadzała z nim wywiad do gazety.

W odróżnieniu od Lestera Eliza nie miała żadnego planu działania. Zauważyła jednak, że konwersacja dodawała jej nadziei na lepsze rozeznanie w sytuacji. Postanowiła więc się tego trzymać, tym bardziej że Lester nie protestował, a wręcz wydawał się prowokować ją do rozmowy. Miała nadzieję odciągnąć tym jego uwagę od reszty domu. Zamartwiała się o Gretę, domyślając się, że będzie próbowała wydostać się na zewnątrz.

- Plan „A” jest taki, że pojedziemy teraz do domu Harrisów twoim samochodem i poszukasz mi kluczyków do motocykla Larry'ego - zaczaj Lester. - Potem zadzwonisz do Harolda Alamo. Jest kuratorem nadzorującym zawieszenie wyroku - dodał. - Powiesz mu, że bardzo cię martwi to, że twój narzeczony Larry Harris handluje narkotykami i przywłaszczył sobie twój pistolet. Poinformujesz, że przechowuje PCP w bagażniku motocykla - mówiąc to, poklepał się po kieszeni kurtki. - Poprosisz o dyskrecję, bo jest bardzo agresywny i nieraz już groził ci pobiciem. Widzisz, jakie to będzie łatwe? Przeciwiczymy wszystko, jeszcze zanim wykonasz ten telefon. Pamiętaj, że jeśli zaczniesz potem zwać winę na mnie, ja się wszystkiego wyprę, a tobie nikt nie uwierzy. Nie muszę chyba dodawać, że twoje życie stanie się wtedy jednym pasmem nieszczęść. Ja mam wielu dobrych przyjaciół, Eliza.

- Skąd wiesz, że Larry'ego nie ma teraz w domu?

- Ty mnie o tym zapewnisz, moja droga, a jeśli skłamiesz, to natychmiast wracamy do twojego domu i zaczynamy plan „B”.

- Larry pojechał dziś rano do Dover i ma wrócić dopiero wieczorem - odpowiedziała.

- To potwierdza moje informacje - Lester wyszczerzył uzębienie w zadowoleniu.

Najwyraźniej czuł się panem sytuacji i czerpał z tego satysfakcję na miarę tryumfu.

- Co to jest PCP? - zapytała Eliza dla kupienia sobie czasu. Jej zainteresowanie wydawało się cieszyć Lestera. Pewnie nieczęsto dane mu było przemawiać z autorytatywnej pozycji.

- Słyszałaś o anielskim pyłku? To lepsze niż alkohol - kontynuował, nie spodziewając się odpowiedzi. - Mówią, że wyzwala agresję i okrucieństwo, ale sama widzisz, że ja nie

jestem ani agresywny, ani okrutny. Jakbyś chciała spróbować, to najlepiej zacząć od dodawania go do trawki.

Za oknem poszarzało od nadciągających jesiennych chmur. Elizie wydawało się, że słyszała za drzwiami sypialni odgłosy czyjś ostrożnego stapania. Nie było to dziełem jej wyobraźni, bo Lester spojrzął najpierw w tym kierunku, a potem wstał z krzesła i z pistoletem wciąż wymierzonym w jej stronę podszedł cicho do drzwi. Wyobraziła sobie, że ktoś za chwilę wystrzeli do niego i jego ciało zwali się na podłogę. Wrócił jednak, upewniwszy się, że za drzwiami nikogo nie było. Rozsiadł się z powrotem przy biurku. Kazał jej wziąć telefon komórkowy i klucze do samochodu. Powiedziała mu, że leżą na stoliku w przedsiionku. Zaczęła rozważać warianty ucieczki, przygotowując się na najgorsze. Wstając z łóżka, doznała zawrotu głowy. Lester rozkazał jej iść wolno do miejsca, gdzie rzekomo leżały klucze. Zauważyła, że był mocno spocony. Kiedy weszli w mrok westybulu, widziała jeszcze, jak mierzył z pistoletu. Usłyszała strzał. Uczuła ciemność przed oczami i wiedziała, że osuwa się na podłogę.

Kilka czekających w pobliżu radiowozów ruszyło w pościg za Lesterem. Uciekał samochodem Elizy, przestraszony jej upadkiem i odgłosem donośnym jak wydawany przez oddział wojsk pancernych, gdy niepomny niebezpieczeństwa kierowca kombajnu wjechał na sąsiadujące z Ustroniem kukurydziane łąny Eda Phillipsa, rozsyłając wokół, prócz nieprawdopodobnie głośnego turkotu, dymną zasłonę piasku i polnego pyłu. Paru policjantów weszło do domu z wymierzoną przed siebie bronią. Larry wbiegł za nimi, ignorując wszelkie ostrzeżenia. W przedsiionku panował mrok.

- Gdzie jest ambulans?! - wykrzyknął na widok Elizy.

Leżała na podłodze z pobladłą twarzą i kałużą krwi przy rozrzuconych na dywaniku włosach. Dopiero po jakimś czasie zobaczył, że spoczywały na pokrwawionej psiej sierści. Ujął

jej dłoń i odetchnął, uspokojony jej ciepłem i lekkim poruszeniem.

- Chyba znowu zemdlałam - powiedziała cicho, nie otwierając oczu.

Słyszała, jak jeden z policjantów dawał instrukcje czekającym przy szosie medykom, aby wjechali w żwirową alejkę. Larry chciał przynieść wody, lecz zacisnęła palce na jego dłoni i nie pozwoliła mu odejść. Sprawdzono jej puls i dokonano podstawowych oględzin. Nie zaobserwowano zewnętrznych obrażeń. Odmówiła zabrania do szpitala na dalsze badania.

Larry wciąż trzymał jej rękę, gdy przy stole w jadalni detektyw Cunningham przeprowadzał z nią rozmowę. Relacjonując przebieg zdarzenia, Eliza nie wspomniała o planie „B” swojego napastnika. Zeznała tylko, że widziała, jak mierzył z pistoletu do Murzynia. Ktoś z podwładnych zameldował, że zabezpieczyli już kulę. Za oknem poszarzało jeszcze bardziej i szyby wkrótce pokryły się kropelkami niezapowiedzianego jesiennego deszczu. Detektyw Cunningham opuścił Ustronie, zostawiwszy wizytówkę na wypadek nowych informacji. Nie minęło pół godziny, jak zadzwonił z wiadomością, że w czasie pościgu Lester wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i stracił życie w zderzeniu z przydrożnym słupem. Niespodziewany odruch współczucia dla George'a Parkera przejął na moment myśli Elizy.

- Boże, co ten kompletny idiota uszykował swojemu ojcu - powiedział Larry z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Czytasz w moich myślach? - zapytała.

- Chciałbym - odrzekł i uniósłszy głowę, uwolnił spod powiek iskierkę swojego zielononiebieskiego spojrzenia.

O drugiej po południu jedynym siadem zajścia były leżąca na stole kopia policyjnego raportu, wizytówka detektywa i spoczywające wciąż na podłodze nieruchome ciało Murzynia.

Eliza usiadła przy nim, gdy Larry poszedł rozejrzeć się za łopatą.

- Dobrze, że przestało padać - powiedziała. - Murphy nie lubił deszczu. Żegnaj, Murzyniu - dodała po polsku, gładząc rude futerko.

Pochowali go w nagietkach owiniętego poplamionym krwią tureckim dywanikiem, na którym miał zwyczaj się układać.

Ich mocno spóźniony lunch składał się z przyrządzonych naprędce hot dogów i fasolki z puszki. Larry musiał jechać jeszcze do Dover na przełożone na późniejszą godzinę spotkanie. Greta zapowiedziała się na popołudnie, gdy tylko Robert będzie mógł zostać z dziewczynkami.

- Wrócę za kilka godzin - zapewnił Larry, przytulając Elizę na długą chwilę. - Wtedy znajdziemy dla siebie więcej czasu - wyszeptał, całując brzeg jej ucha.

Miała ochotę zostać w jego objęciach i opowiedzieć, jak bardzo bała się o Gretę, o swoją ciążę i o niego, i o tym, że nie powiedziała policji o planie „B”. Trzeba było jednak odłożyć to wszystko na później.

Gdy Larry wyszedł, odezwał się jej domowy telefon.

- Mówi detektyw Cunningham - posłyszala w słuchawce. - Sprawdziliśmy pistolet, który Lester Parker miał przy sobie w czasie ucieczki. Jest zarejestrowany na pani nazwisko.

- Nie mam pojęcia, jak Lester zapisał go na mnie, ale na pewno uczynił to nielegalnie. Nigdy w życiu nie kupowałam broni - odpowiedziała.

Leżąca wciąż w zlewie wieprzowina była prawie całkowicie rozmrożona. Rozmyślając, jak zadziwiająco szybko wykolejone czynem Lestera rzeczy wróciły na swoje tory, Eliza zabrała się do przygotowywania gulaszu. Bulgotał już w dużym garnku, kiedy zadzwoniła Greta, oznajmiając, że

będzie za chwilę. Wpadła ze szmatą i butelką płynu sosnowego.

- Pokaż, gdzie siedział ten Lester, no - powiedziała.

Eliza wskazała krzesło w sypialni i Greta zabrała się do czyszczenia.

- A teraz pokaż, których klamek dotykał.

- Był w rękawiczkach, gdy to robił - wyjaśniła Eliza.

Greta zamyśliła się na moment, lecz mimo wszystko przystąpiła do odkazania klamek. Na koniec przetarła jeszcze podłogę w przedsiionku.

- Dywan nowy do westybulu trzeba kupić - powiedziała, spoglądając na wilgotne kamienne płytki.

- Wiesz już o Murzyniu? - zapytała Eliza.

- Wiem. Larry informował nas o wszystkim na bieżąco. Melissa i Amanda jeszcze nie wiedzo. Powiemy im, że umarł, bo bardzo był już stary - odpowiedziała, otwierając okno w sypialni. - Trzeba wywietrzyć po intruzie - dodała.

Wróciła do swojego rytuału. Wyjęła z kieszeni dwie spore świece i zapaliwszy je, podała jedną Elizie.

- Teraz będziemy się modlić, no - powiedziała.

Gdy zdmuchnęły już płomyki świec, Elizę ogarnęło przyjemne uczucie lekkości ducha i jakby mniejszego zmęczenia fizycznego. Zrobiła kawę i usiadły z Gretą przy stole w kuchni. Na moment tylko przejął ją dreszcz dziwnego wrażenia powrotu do sceny sprzed pięciu godzin.

- Eliza, ja mam wyrzuty sumienia, że tak ciebie z tym Lesterem samo zostawiłam.

- Larry mówił mi, że wyszłaś przez pralnię i zadzwoniłaś do niego. Był wtedy na policji i od razu podjęto akcję. Gdybyś nie wydostała się z domu, nikt nie wiedziałby o niczym przez następnych kilka godzin i obie mogłybyśmy stracić życie z rąk tego naćpanego szaleńca. Martwiłam się o ciebie cały czas.

Rozplakała się i Greta położyła dłoń na jej ramieniu, rzucając parę uspakajających „no”.

- Jak zadzwoniłam do Larry'ego, powiedział mi, że jesteś w ciąży. To było bardzo wzruszające, kiedy taki mężczyzna płakał w słuchawce. Ja to tobie mówię w sekrecie, żebyś nigdy nie zapomniała, jak on bardzo ciebie kocha.

Po odejściu Greta Eliza wyłączyła gotowy już gulasz i położyła się na kanapie w salonie. Przykryła się szydełkową narzutą i zamknęła oczy, lecz nie próbowała usnąć. Słowa Greta przyłgnęły do niej jak wielosmakowy cukierek, który powoli rozpuszczając się w ustach, pobudza coraz to inne receptory.

Wstała po dobrej godzinie z uczuciem doskwierającego głodu. Niezbędne do ugotowania makaronu piętnaście minut wydawało się nieskończonością. Zjadła posiłek, nie czekając na Larry'ego. Zaczynała się już o niego martwić. Dochodziła dziewiąta wieczorem, gdy posłyszała przekręcany w zamku klucz. Nie chciała zadawać pytań ani też komentować, że wrócił tak późno. Nie potrzebowała dziś do szczęścia niczego ponad to, że przekroczył próg i powiesił na wieszaku swoją skórzaną marynarkę.

Usiedli przy stole w kuchni.

- Jak ci poszło? - zapytała.

- Wiem już, na czym stoimy, Eliza - powiedział, a jej uwagi nie uszło, że znów użył liczby mnogiej.

Rozłożył na stole papiery z wyliczeniami, z których wynikało, że ubezpieczenie całkowicie pokryłoby koszty odbudowy częściowo spalonego budynku. Druga opcja polegała na wypłaceniu równowartości oszacowanych szkód i z jakiegoś niezrozumiałego dla Elizy powodu opiewała na mniejszą sumę. Nie miała ochoty dociekać zawiłości polisy.

- Musimy podjąć decyzję - powiedział - czy chcemy odbudowywać biznes, czy wziąć pieniądze, oczyścić teren i sprzedać ten kawałek ziemi.

Po raz któryś Eliza nie była pewna, czy „musimy” odnosiło się do niej, czy też do rodziny Larry'ego. Nie była przecież jeszcze jedną z nich.

- Może powinieneś porozmawiać z Marcusem - odpowiedziała dyplomatycznie.

- Myślałem wcześniej, że gdy Marcus skończy studia, to przekażę mu swój biznes. Coraz częściej wydaje mi się, że on ma jednak jakieś inne plany i chyba nie jest tym zainteresowany. Sklep wymaga dużo czasu i sporego nakładu pracy, a ja chciałbym być obecny na co dzień w życiu naszego dziecka - powiedział, kładąc rękę na jej podbrzuszu. - Mógłbym zapewnić nam byt, zarabiając malowaniem - kontynuował swoje kalkulacje. - Mam oprócz tego dochody z dzierżawienia pola i wynajmu nieruchomości.

- Czy Michelle nadal sprzedawałaby twoje obrazy?

- Jesteś o nią zazdrosna? - spytał, chwytając kubek z przestygniętą już nieco herbatą.

- Przecież chciałeś, żebym była - odpowiedziała. Wbrew jej intencji tym razem nie zabrzmiało to chyba żartobliwie.

- Wiesz, dlaczego wróciłem tak późno? - zapytał, jak gdyby obawiając się, że podejrzewała go o spędzenie wieczoru w towarzystwie byłej przyjaciółki. - Zdecydowałem się odwiedzić George'a Parkera. Uświadomiłem sobie, że w moim ojcu stracił swojego ostatniego przyjaciela i pewnie nie miał nawet komu się wyzalić. Może w tej sytuacji nie byłem najszcześliwszym kandydatem na pocieszyciela, ale prawdopodobnie jedynym. George nie jest w najlepszych stosunkach z resztą swojej rodziny.

- Był jeszcze w biurze? - zapytała Eliza, ocierając kciukiem łzę wzruszenia.

- Był w swoim mieszkaniu, ale to praktycznie to samo. Po tym, jak zmarła jego żona, sprzedał dom i przeniósł się do małej kawalerki, którą urządził sobie na poddaszu biurowca.

- Jak się trzyma?

- Był wdzięczny, że przyszedłem. Rozmawialiśmy chyba przez dwie godziny. Wstępne oględziny zwłok Lestera wykazały, że był naszpikowany fencyklidyną. Biedny George chwycił się tego, wmawiając sobie, że jego syn padł ofiarą złego towarzystwa i gdyby nie narkotyk, nie byłby zdolny do tego, co chciał zrobić. Nie próbowałem wyprowadzać go z błędu. Czy wolałabyś spędzić noc w moim domu? - zapytał, zauważywszy pewnie w twarzy Elizy wyraz zmęczenia.

- Zostańmy w Ustroniu - zaproponowała. - Nic strasznego nie ma prawa już się tu dzisiaj wydarzyć - dodała, nie przyznając się, że powiedziała to z wiarą w skuteczność oczyszczających rytuałów Grety.

Rozdział X

Wątpliwości

Eliza nastawiła ekspres i udała się do łazienki. Gdy wyszła z niej po porannym natrysku, Larry napełniał już w kuchni ich kubki gorącą kawą. Objęła go z tyłu i przytuliła twarz do jego pleców.

- Jesteś bardzo dobry - powiedziała.

- Dziś jeszcze nic dobrego nie zrobiłem - odrzekł. - Kawa jest twoim dziełem, a to drugie, co mam nadzieję też robić dobrze, musimy odłożyć z uwagi na twoje badanie - dodał z właściwym sobie humorem, który Eliza przyjęła za dobry znak, że pomału ustawały efekty turbulencji ostatnich dni.

Larry zapytał o szczegóły czekającej ich wizyty u ginekologa i Eliza wskazała na przytwierdzoną magnesem do drzwi lodówki notatkę z napisem „Dr. Terry Mercer - godzina jedenasta”.

- Rozmawiałem wczoraj z George'em, aby zajął się formalnym oddzieleniem posesji, na której stoi magazyn, od reszty gruntów - powiedział Larry przy śniadaniu. - Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy mogli tę część łatwo sprzedać. To bardzo dobra lokalizacja.

Eliza doceniała to, że Larry informował ją o swoich planach, ale jeszcze bardziej, że nie musiała niczego już w tej sprawie rozstrzygać.

- A propos George'a Parkera - kontynuował Larry. - Pytał mnie, jak mógłby wynagrodzić ci krzywdy wyrządzone przez jego syna. Obiecałem, że porozmawiam o tym z tobą.

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć teraz o planie „B” i innych czynach Lestera, które do tej pory trzymała w tajemnicy. Nie było już zagrożenia, a mimo to nadal ani nie potrafiła znaleźć odpowiedniej ku temu chwili, ani nie była wystarczająco przekonana, że w ogóle powinna to zrobić.

- Wyślę mu kartkę z kondolencjami i podziękowaniem, że o mnie pomyślał. To samo w sobie jest dla mnie największym zadośćuczynieniem i niczego innego nie oczekuję. Może zaprosimy go na Święto Dziękczynienia? - zapytała. - Planuję zrobić z tej okazji rodzinny obiad w Ustroniu - dodała, gdy Larry spojrział na nią trochę zdziwiony.

- To wspaniały pomysł. Zadzwońię do Daniela. Myślę, że chętnie by przyjechali. Możemy wtedy ogłosić nasz ślub i to, że spodziewamy się dziecka.

- Uwielbiam sprawiać niespodzianki - odpowiedziała Eliza, maskując uśmiechem przerażenie wywołane nagłym wydłużeniem listy gości.

Nie wspomniała, że zaprosiła już wszystkich Phillipsów, Grzegorza i Adama z rodzinami oraz dwie osoby z Polski.

- Po wizycie u ginekologa zapraszam cię na lunch, dokąd tylko zechcesz - powiedział Larry, zakładając skórzaną marynarkę, która jeszcze bardziej podkreśliła atrybuty jego męskiej urody. - Czy chcesz, żebym był obecny przy badaniu? - zapytał w drodze do przychodni.

- To może być trudne, bo chyba będę wpierw musiała zdjąć z siebie wszystko i owinąć się jakimś bibułkowym prześcieradłem. Poproszę, aby zawołano cię na końcową rozmowę. Może powinnam podać dwa nazwiska, żeby nie robić później zamieszania w kartotece. Mam nadzieję, że niczego tym nie zapeszę.

- Nie jestem przesądny. Poza tym, w moim pojęciu, i tak już jesteś panią Harris - powiedział, odrywając na chwilę rękę od kierownicy, by dotknąć lekko kolana Elizy.

- Pani Harris! - zawołała nieprzyzwoicie otyła kobieta w seledynowym uniformie rozmiaru XXXL. - Proszę za mną.

Jej potężne uda wypełniały szczelnie nogawki szerokich spodni i ocierały się o siebie, gdy stawiała swoje drobniutkie kroczyki, prowadząc Elizę długim korytarzem. Gdy

wprowadziła ją do gabinetu, przystojny mężczyzna w średnim wieku podniósł się zza biurka.

- Doktor Mercer - przedstawił się, wyciągając rękę.

Larry pojawił się w gabinecie po zakończonym badaniu i pocałował siedzącą naprzeciw kompletnie już ubraną Elizę. Jej ciąża została raz jeszcze potwierdzona. Na tym etapie, poza przedstawieniem realnego ryzyka poronienia, komplikacji i możliwości defektu płodu, doktor nie mógł powiedzieć nic więcej. Larry zapytał o częste omdlenia Elizy. Zdaniem Terry'ego Mercera były normalnym objawem wysiłku jej organizmu. Zalecał dobre odżywianie, regularne kontrole lekarskie i przyjmowanie tabletek kwasu foliowego, na które wypisał receptę.

- Spodziewałem się, że twój ginekolog będzie kobietą, chociaż faktycznie imię Terry może być równie dobrze męskim, jak i kobiecym imieniem. To dlatego nie chciałaś, żebym był przy badaniu? - zapytał, gdy wyszli i nic nie wskazywało na to, że żartował.

- Larry - upomniała go Eliza - ja przecież nie byłam z nim umówiona na randkę!

- Ale byłaś z nim sam na sam i to w jakimś seksownym bibułkowym prześcieradle.

Tym razem już się uśmiechał, sygnalizując, że nie mówił tego zupełnie serio.

- Dokąd chcesz iść na lunch? - zapytał.

- Pojedźmy do Szalonego Konia - zaproponowała. - Chyba nawet jesteśmy ubrani dokładnie tak samo jak wtedy, gdy byliśmy tam po spotkaniu w biurze Parkera.

- W takim razie w ramach deja vu złożmy to samo zamówienie - zaproponował. - Opuść dziś tylko piwo - dodał.

- Chodźmy na spacer po plaży - zaproponowała Eliza, gdy wyszli z restauracji po zakończonym posiłku.

Jak wtedy, gdy byli tu poprzednio, Larry trzymał ją za rękę. Podmuchy ciepłego, nagrzanego słońcem wiatru niosły jej ulubiony morski zapach.

- Larry... - przerwała ciszę, zatrzymując się na brzegu zatoki.

- Tak, kochanie - odezwał się, gładząc delikatnie jej palec z pierścionkiem zaręczynowym.

- Kiedy dziś rano powiedziałam, że dla mnie liczy się tylko to, że ze mną jesteś, to nie były żadne puste słowa. Jesteś najlepszym i do tego najprzystojniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Zdążyła złapać iskrę jego wzroku, nim dotknął jej twarzy obiema dłońmi i nagrodził komplement długim pocałunkiem.

W drodze powrotnej zajechali na pogorzelisko. Z wypalonego sklepu wszystko było już usunięte. Strzegły go tylko dwa wielkie krasnale, wysyłając potajemne sygnały do ukrytego na ocalałym zapleczu komputera Marcusa. Larry wziął Elizę za rękę i poszli w kierunku, gdzie kiedyś pozwolił jej zbierać ostatnie pomidory. Cztery sąsiadujące z nimi wówczas dynie rozrosły się teraz do nieprawdopodobnych rozmiarów i na pustym polu wyglądały jak pozostawione na plaży wielkie, pomarańczowe piłki. Musieli podjechać samochodem do samej grzędy, aby Larry mógł zapakować je do bagażnika.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Eliza, gdy minęli najpierw dom Harrisów, a potem Ustronie.

- Jedziemy do jubilera, zamówić obrączki - odpowiedział.
- Po drodze zrealizujemy też twoją receptę.

Wrócili do Ustronia późnym popołudniem. Eliza postawiła na kuchence garnek z gulaszem, prosząc Larry'ego, aby za chwilę przemieszał zawartość.

- Muszę dobrze zmyć ten żel, którego używają przy badaniu. Ciągłe go czuję - powiedziała.

Larry zamieszał gulasz kilkakrotnie, a gdy potrawa zaczęła się gotować, wyłączył palnik pod garnkiem. Zaniepokojony, że Eliza nie wyszła jeszcze z łazienki, zapukał, pytając, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedziała. Przekręcił okrągłą klamkę i drzwi puściły. Ujrzał Elizę siedzącą na podłodze, w szlafroku, z głową ukrytą w kolanach.

- Co się stało? - zapytał, klękając przy niej na posadzce.

- To nie był tylko żel. Poroniłam - odpowiedziała, szlochając.

Larry usiadł na brzegu wanny i gładził włosy Elizy, aż się trochę uspokoiła.

- Jesteś tego pewna? - odezwał się po chwili.

- Widziałam plamki krwi, Larry. Co innego to może znaczyć?

- Może to od niewłaściwie wykonanego badania? Miałem jakieś niedobre przeczucie co do tego konowała.

- To nie wina doktora ani nikogo innego, Larry. To ja przynoszę nieszczęście; jedno za drugim. Zobacz, co się stało od czasu, jak tu przyjechałam: umarł twój ojciec, doznałeś wylewu, zniszczono ci biznes, Parker stracił syna, Murphy nie żyje, teraz ja straciłam twoje dziecko. - Rozszlochała się znowu.

- Mówisz od rzeczy, Eliza. Opanuj się, proszę. Wiedzieliśmy od początku, że twoja ciąża jest obarczona ryzykiem.

- Tak, bo już dla mnie za późno na dziecko. I na wszystko już za późno. W ogóle nie wiem, co we mnie widzisz. Najwyraźniej nie jestem tą kobietą, którą sobie wymyśliłeś. Proszę, zostaw mnie teraz samą.

Wyszedł z łazienki i po chwili usłyszała, jak zamknęły się za nim frontowe drzwi. Wstała z podłogi i spojrzała w lustro. Była przekonana, że Larry zasługiwał na kogoś lepszego, niż

to, co reprezentowało jej odbicie. Umyła twarz i ociekając wodą, usiadła przy stole w jadalni.

Czuła się przytłoczona i potrzebowała jakiejś natychmiastowej akcji, żeby nie popaść w depresję. Ożył trzymany gdzieś w podświadomości pomysł powrotu do Polski.

Zacząła już snuć plany, gdy wszedł Larry i jak gdyby nic się nie stało, powiesił marynarkę w przedsiönku.

- Jak się czujesz? Miałaś bóle? - zapytał.

Eliza pokręciła głową, nie wydobywając z siebie ani jednego słowa.

- Rozmawiałem z doktorem Mercerem - powiedział.

- Z tym konowałem? - odezwała się.

- Eliza, proszę, staraj się nie być sarkastyczna. On twierdzi, że jeżeli krwawienie było niewielkie i bezbolesne, to raczej nie ma obawy poronienia. Zalecał odpoczynek, a gdyby nastąpiła gorączka, bóle albo jakieś inne niepokojące objawy, mamy go powiadomić. Poleciał, abyś zgłosiła się na ponowny test.

- Jak ty to robisz, Larry, że jesteś taki nieludzko optymistyczny? Przepraszam cię, ale nie potrafię za tobą nadążyć.

Larry zbierał myśli przez długą chwilę i Eliza spodziewała się, że znowu wyjdzie z domu. Został jednak i chwycił ją za rękę.

- Posłuchaj mnie - zaczął. - Powiedziałaś dzisiaj, że dla ciebie liczy się tylko to, że z tobą jestem. Rozumiem to, bo ja też chcę tylko tego, żebyś ze mną była, i zupełnie nie wiem, dlaczego czujesz się zobowiązana mierzyć do jakichś wzorców.

Eliza spuściła głowę i opóźniane łzy spłynęły w końcu po jej policzkach. Larry otarł je leżącą na stole serwetką.

- Poleżysz dzisiaj w łóżku - zarządził Larry, podając Elizie po śniadaniu tabletkę kwasu foliowego. - Na obiad przywiozę coś z restauracji.

Nie protestowała i nie miała obiekcji, że podejmował decyzję za nią. Pomijając wszystko inne, po intensywności ostatnich wydarzeń potrzebowała dobrego wypoczynku. Larry musiał przeznaczyć najbliższe dni na uporanie się z biznesem. Pomimo starań zmierzających do zaangażowania w to swojej przyszłej żony Eliza wolała pozostać na uboczu. W domowej rekonwalescencji widziała sprzyjającą ku temu okoliczność.

Położyła przed sobą kolejny z przekazanych jej przez Marlenę maili. Wydrukowała je wcześniej, będąc u Larry'ego.

Czuję się dziś bardzo osłabiona. Może to dlatego, że ostatnio źle sypiam. Henry poprosił Małgosię, aby zawiozła mnie do lekarza. Odmówiłam, gdy się pojawiła. Znasz mnie i wiesz, że potrzebuję być samodzielna. Inaczej życie nie ma dla mnie sensu. Poza tym nie wszystko da się zaleczyć pigułką. Jestem duchowo przygotowana do odprawy z ziemskiej egzystencji i wcale się tego nie boję. Kto się urodził, musi umrzeć i tyle. Bardzo proste. Nie rozpaczajcie tylko, gdy odejdę, i nie obchodźcie, proszę, żadnych rocznic mojej śmierci. Śmierć nie jest ani winą, ani zasługą. Liczy się tylko to, kim było się za życia. Nie martw się, że o tym piszę, Marlenko. Nie mam jeszcze zamiaru umierać.

Larry wrócił w porze obiadowej z pudełkiem pizzy od Tony'ego. Wyjął z kieszeni swojej skórzanej marynarki parę spiętych kartek papieru i położył na posłaniu. Podpisane przez Harolda Alamo zawiadomienie o anulowaniu kary dowodziło, że ten rozdział swojej przeszłości Larry Harris Junior miał już za sobą.

Test ciążowy, na który Larry zawiózł Elizę następnego dnia, wypadł pomyślnie i oboje opuścili przychodnię w dobrym nastroju.

- Chciałbym kupić sobie parę nowych koszulek - powiedział Larry.

- Świetnie, będę miała w czym spać.

- Zauważ, że ja nie sypiam w twojej bieliźnie.

Eliza roześmiała się i gdy weszli do sklepu, zaproponowała, aby spotkali się przy wejściu do sklepu za pół godziny, bo też miała coś do załatwienia.

- Co sobie sprawiłaś? - zapytał Larry, gdy oboje wrócili z zakupami w plastikowych reklamówkach.

- Zgadnij.

- Przezroczystą piżamę?

- Zobaczysz w domu - zaśmiała się.

- W takim razie wracajmy do domu - odpowiedział.

- Myślałam, że jedziemy do mojego domu, to znaczy do Ustronia

- powiedziała, gdy bez konsultowania się z nią Larry skreślił na posesję Harrisów.

Poczuła się trochę urażona, ale tylko przez moment. Doszła do wniosku, że zmiana otoczenia dobrze jej robi. Nastawiła czajnik i gdy woda się zagotowała, Eliza zaalała torebkę liptona w największym kubku, jaki mogła znaleźć.

- Doleję ci mleka - zaoferował Larry.

Nigdy nie piła bawarki i popatrzyła na niego, jakby proponował jej założenie kozucha w upalny dzień. Była niemal pewna, że zrobił to za radą Grety. Przystąpiła na ofertę tylko dlatego, żeby sprawić mu przyjemność.

- Nicole i Marcus powinni być obecni na naszym ślubie - stwierdziła Eliza.

- Też tak myślę - odrzekł Larry. - Wiedzą przecież, że jesteśmy zaręczeni. Porozmawiam o tym z Nicky. Marcus nie przyjedzie w ten weekend. Ma dużo pracy na uczelni.

- Teraz, kiedy wiem, że z moją ciążą wszystko jest w porządku, zaczynam poważnie martwić się o przyszłość, to znaczy... tę daleką - zmieniła temat Eliza.

- Wiem, co masz na myśli. Ludzie pewnie będą brali nas za dziadków naszego własnego dziecka i może nie będziemy mieli dużego udziału w jego dorosłym życiu. Z drugiej strony wiem, a może właśnie dlatego wiem, że wynagrodzę mu to każdą spędzoną wspólnie minutą. Nie zostanie samo, gdy odejdziemy. Będą przecież Marcus, Nicole, Samantha i bliźniaki Grega.

- Kevin i Kayla - dopowiedziała Eliza, przetykając niespodziewane łyzy. - Jakie masz plany na jutro? - zapytała po chwili zamyślenia.

- Nicole zrobi jutro sprzątanie domu. To teraz jedyna praca, jaką mogę jej zaoferować. Potem ma zająć się moimi włosami.

- Mam nadzieję, że nie zetnie ci warkoczyka.

- Nie - zaśmiał się - chociaż pewnie nie byłby to całkiem zły pomysł. Może trochę go skrócimy, ale generalnie Nicky po prostu przeplecie mi go na nowo. Miałaś coś szczególnego na myśli?

- Nic szczególnego. Też będę musiała zająć się sprzątaniami.

- Zatrudnijmy do tego Nicole albo Gretę - zaproponował.

- Nie ma jeszcze takiej potrzeby - powiedziała najłagodniej, jak tylko mogła, mimo że diablik w jej duszy kusił, by wytknąć wreszcie Larry'emu jego nadgorliwość. - Miałam na myśli pobieżne porządki. Dziękuję, że się o mnie troszczysz - dodała i jakimś sposobem poirytowanie ustąpiło miejsca zupełnie przeciwnemu uczuciu.

Przypomniała jej się opowieść z dzieciństwa o dwóch smokach, dobrym i złym, które mieszkają w każdym człowieku i codziennie ze sobą walczą. „A który zwycięży?” -

zapytała wtedy mamę. „Ten, którego będziesz karmić” - odpowiedziała.

Larry wyrwał ją z zamyślenia. Miał do skończenia jakiś obraz i chciał, aby Eliza posiedziała w tym czasie przy nim w pracowni.

- Cudownie! Już dawno chciałam cię poprosić, abys pozwolił mi czasem popatrzeć, jak tworzysz swoje dzieła.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? - spytał, gdy wchodzili po schodach.

Pomyślała, że tyle jest innych rzeczy, o których nigdy mu jeszcze nie powiedziała, bo ile można sobie powiedzieć w czasie znajomości znaczonej tak niewielką liczbą spędzonych wspólnie dni?

- Czekałam, aż mi to zaproponujesz - odrzekła.

Gdy weszli do pracowni i odwrócił sztalugę, Eliza ujrzała siebie przed domem w Ustroniu, siedzącą na białym krześle, na które wspinał się łapkami niedomalowany jeszcze do końca Murzynio. Patrzyła, jak Larry odtwarzał jego futerko i nagietki na rabatce, zafascynowana precyzją i sprawnością, z jaką to czynił. Nie mogła oprzeć się wrażeniu obecności w jego dłoniach jakichś nadprzyrodzonych wręcz walorów, które objawiały się i wtedy, gdy trzymał w nich pędzel, i wtedy, gdy dotykał jej ciała.

Rozdział XI

Jesienne mimozy

Zaproszona do Ustronia na niedzielne śniadanie Nicole pojawiła się punktualnie.

- To dla ciebie, ciociu - powiedziała, wręczając Elizie zroszony porannym deszczem bukiet z różnokolorowych astrów. - Oczywiście przyjedziemy z Marcusem na wasz ślub i na razie nic nie powiemy wujkowi Danielowi. Będzie superniespodzianka. Cieszę się, że wreszcie się pobieracie - dodała.

- Wreszcie? - zdziwiła się Eliza, wstawiając bukiet do wazonu.

- No proszę, a ja się obawiałam, że to za szybko!

- Chyba przez to, że tak do siebie pasujecie, wydaje mi się, że znacie się od dawna i wszystko o sobie wiecie.

- Mnie też się tak wydawało - odezwał się Larry znad patelni

- ale czasami moja przyszła żona zupełnie mnie zaskakuje. Karcące spojrzenie Elizy powstrzymało go przed rozwijaniem zaczętego tematu.

Po nabożeństwie Larry odwiózł Elizę z powrotem do Ustronia. Potrzebował spędzić trochę czasu z Nicole. Mieli do załatwienia parę rodzinnych spraw.

- Wypocznij dobrze - powiedział. - Czeka nas dziś jeszcze wypad do tawerny.

Zapasy w lodówce stopniały do kilku jajek, łądygi selera naciowego i okrągłego pudełka z paroma trójkącikami topionych serków. Eliza posmarowała nimi przyrumienione w opiekaczu połówki obwarzanka. Musiała zrobić zakupy. Powinna była poprosić, aby Larry zostawił jej hondę. Mógł jechać z Nicole jej samochodem.

Rozmyślania Elizy przerwał dźwięk telefonu. Greta zapraszała na kawę i domowej roboty placek. Eliza miała

nadzieję pożyczyć na godzinę ich subaru. Zauważyła jednak, że na parkingu przed dawną powozownią nie było samochodu.

- Gdzie są Robert i dziewczynki? - zapytała, strzepując przez otwarte drzwi domku krople wody z parasola.

- Powiózł je do kina na jakiś film rysunkowy. Nie chciałam z nimi jechać, jak się dowiedziałam, że to o szczurze. No ja tam ogólnie wrażliwa nie jestem, ale na szczury to nie mogę patrzeć, no.

- Pamiętasz, że w przyszłą sobotę świadkujecie z Robertem na naszym ślubie?

- No pewnie. Larry prosił, żeby teściom nie mówić na razie, bo niespodziankę chcecie później wszystkim zrobić, to dziewczynkę ze sobą nie weźmiemy. Zaraz by wygadały. Z dziadkami zostano. A jak tam twoja ciąża?

- Byłam u lekarza i na razie wszystko jest w porządku. Mam nadzieję, że uda się ją donosić - powiedziała, chwając zaraz po tym placek z kruszonką.

- Ty masz w to wierzyć, a nie mieć nadzieje. To jest różnica, no! Eliza uścisnęła Gretę w podziękowaniu za placek i za te słowa, choć z uwagi na różnicę masy i objętości nie było to łatwe do wykonania.

- Masz może kiszoną kapustę? - spytała. - Zjadłam już wszystko, co miałam w domu.

- Kiszona kapusta? To będzie chłopak, no - oznajmiła Greta, wyjmując z szafki puszkę z napisem „Libby's Sauerkraut”.

Eliza zdecydowanie postanowiła sprawić sobie jakiś choćby używany samochód i podzieliła się tym z Larrym, gdy jechali wieczorem do tawerny.

- Przepraszam, że o tym nie pomyślałem - powiedział. - Będę ci zostawiał hondę, a sam jeździł ciężarówką. Muszę ją tylko rozładować. Mam w niej ciągle trochę uratowanych z

pożaru mebli. Większe zakupy będziemy robili razem. Nie chcę, żebyś dźwigała ciężkie torby.

Zamówili obiad zaraz po przybyciu na miejsce. Było jeszcze dość wcześnie i zdążyli zjeść, zanim zeszło się całe towarzystwo. Wzniesiono nawet toast za zamknięcie kartoteki Larry'ego. Widocznie ten epizod jego życia nie był tu tajemnicą.

- Nie wiem, jak wy myślicie - zagaił Willie po jakimś czasie - ale mnie się wydaje, że może następną kolejkę powinniśmy zrobić za duszę Lestera. W końcu był członkiem klubu.

Na jakiś czas zapadła krępująca cisza. Larry był pierwszym, który uniósł szklanekę.

- Niech odpoczywa w pokoju - powiedział.

- Amen - odrzekł Willie i słowo to wędrowało jakiś czas po sali to cichszym, to znów głośniejszym echem odzewu wyciszonych na moment z barowego zgiełku motocyklistów.

- Larry, Eliza, kiedy wasz ślub?! - zawołała Goldie, odstawiając szklanekę.

- Co powiecie na najbliższą sobotę? - odrzekł Larry. Przyjęto to jako żart i sygnał, aby nie pytać o więcej.

Wrócili wieczorem do Ustronia i udali się na spoczynek dużo wcześniej, niż to zwykli czynić. Eliza nie mogła usnąć. Ostatnio dużo myślała o wuju Henryku. Zdała sobie sprawę, że zawdzięcza mu znacznie więcej, niż początkowo myślała.

Po śmierci Helenki Henryk Grodzki pozostał jedynym mieszkańcem i zarazem jedynym właścicielem Ustronia. Zmarł po krótkiej chorobie, w pierwszym tygodniu września ubiegłego roku.

Eliza przyleciała wtedy z Polski razem z ciotką Fredą. Ciało Henryka przewiezione już było do Filadelfii. Grzegorz i Barbie poczynili wszelkie przygotowania do pochówku na cmentarzu polonijnej parafii. Spodziewano się, że Ustronie

otrzyma w całości Freda jako prawowita żona Henryka. Jednak według testamentu odczytanego w dzień po pogrzebie w firmie prawniczej Jablon & Rozek nieruchomości i wszystkie znajdujące się na niej przedmioty dziedziczyli łącznie Alfreda Grodzka, Gregory Mazurek i Eliza Mazurek. Wuj Henryk zostawił ponadto pulę pieniędzy na opłacanie elektryczności, ubezpieczenia domu i podatków od nieruchomości. Elizie przekazano zaadresowany do niej list w zaklejonej kopercie. Nie otworzyła od razu. Jeszcze tego samego dnia pojechali z Grześkiem i Fredą do Ustronia. W domu panował porządek, a podłogi pachniały sosnowym płynem do mycia drewna - znak, że była tam niedawno Greta. Ciotka Freda nie rościła do niczego pretensji i obie z Elizą zgodziły się, aby Grzegorz zabrał niektóre meble. Znajomy Grzegorza obiecał zawieźć je do Filadelfii przy najbliższej sposobności. Przyszedł wtedy zobaczyć, czy zmieszczą się do jego ciężarówki. Musiał to być Larry. Chyba nie miał jeszcze wtedy warkoczyka. Inaczej pewnie by go zapamiętała.

Grzegorz odwiózł Fredę do Nowego Jorku, a sam wrócił do Filadelfii. Nikt z nich nie miał wówczas pojęcia, co uczynić z okazałym przybytkiem. Tymczasem trzeba było zorganizować opiekę nad budynkiem i dopełnić całe mnóstwo różnych innych formalności w lokalnych urzędach. Grzegorz i Freda ochoczo zrzekli się tych obowiązków na rzecz Elizy. Nie miała nic przeciwko temu. Mając do dyspozycji starą hondę wuja Henryka, wiedziała, że reszta dnia po godzinach urzędowych należeć będzie już tylko do niej i jej ukochanego oceanu. Pogoda dopisywała i mimo kończącego się lata plaże jeszcze się nie przerzedziły.

Sobotnim popołudniem zastała nad oceanem regularny weekendowy tłok. Wróciła do samochodu i postanowiła wydostać się poza rejon najchętniej odwiedzany przez miejscowych i turystów. Gdy rozrzedziła się przydrożna

zabudowa, Eliza wjechała w boczną uliczkę, wiodącą ku oceanowi. Zaparkowała samochód wzdłuż krawężnika i z torbą na ramieniu poszła w kierunku plaży, która była tu wciąż dość szeroka, lecz prawie pusta. Zrzuciwszy spodnie i bluzkę, położyła się na ręczniku w swoim czarnym bikini. Słońce było teraz po stronie zatoki. Znaczną część plaży nad oceanem oblał już popołudniowy cień, który do spółki z podmuchem znad wielkiej wody pozwalał zapomnieć o panującym jeszcze przed godziną skwarze. Eliza wyjęła z torby list Henryka. Wydawało się jej, że między krzykiem mew i uderzeniami fal słyszała jego charakterystyczne pochrząkiwanie. Rozcięła kopertę wygrzebanym z piasku odłamkiem jakiejś dużej muszli.

Kochana Elizo,

nie byłem dla Ciebie i Grzesia najlepszym wujkiem. Kiedy Renia, to jest twoja mama, umarła, my z Fredą powinniśmy byli pozostać razem i stworzyć wam jakąś namiastkę rodzinnego ogniska. Byliście już praktycznie dorośli, ale dorośli też potrzebują mocnego kręgu rodzinnego. Tak się jednak nie stało i jest mi ogromnie przykro. Jeśli to przyczyniło się do tego, że zraziłaś się do zakładania rodziny, to czuję się z tym naprawdę podle.

Wygrałem szalony wyścig pomysłu Twojego ojca, ale chcę, abyś wiedziała, że zwycięzcą czułem się już od samego początku. Ustronie jest pomnikiem zwycięstwa, Eliza - zwycięstwa nad samotnością. Jeśli go sprzedacie, może przyniesie szczęście komuś innemu, a jeśli zechcecie zatrzymać, może kiedyś powtórzycie naszą szczęśliwą historię. Tymczasem korzystajcie z tego domu; niech Grzesio przyjeżdża tu z rodziną na wakacje, a Ty i Fredzia będziecie miały swoje miejsce, jak zechcecie pobyc trochę w Ameryce.

Wiem, że kiedy przyjedziesz na mój pogrzeb, nie będziesz mogła zostać na dłużej, bo opiekujesz się Walicką, lecz ona

też już do nas lada dzień dołączy. Wtedy przyjedź tu i uwiecznij na papierze historię Ustronia i jego mieszkańców. Żałuję, że nie zmobilizowałem się do pisania pamiętników czy choćby prowadzenia kroniki. Teraz już jestem jedną nogą na tamtym świecie i nie miałbym sił na spisywanie wspomnień, ale Małgosia, Grzesio, Adam, Marlena i sąsiedzi na pewno dostarczą Ci dużo informacji.

I jeszcze jedno: schowałem swojego rolexa pod szafką w łazience. Znajdziesz go tam w blaszanym pudełku po herbacie z napisem „English Breakfast”. Jest wart co najmniej sześć tysięcy, więc nie chcę, żeby poszedł ze mną do ziemi albo żeby zabrali go grabarze. Schowałem tam też coś dla Fredy, ale napiszę jej o tym osobno.

Henryk opisywał dalej z detalami, jak zdjąć listwę przy podłodze, aby dostać się do schowka, nie uszkadzając szafki, i jak ją później założyć z powrotem. Wizerunek jego wyszczuplonej chorobą i wiekiem drobnej postaci z twarzą przy podłodze i śrubokrętem w ręce przemknął wtedy pod powiekami Elizy i otarła łzę, którą przelotny uśmiech zatrzymał w kąciku jej ust. Wuj Henryk nie podpisał listu. Może po prostu zapomniał, a może miał zamiar dopisać coś jeszcze w przyszłości, której już nie doczekał.

Brzeg, o który rozbijały się fale, był już mocno zacieniony, lecz promienie słońca ciągle dosięgały tafli poza strefą fal. Eliza schowała list do torby i podążyła za wezwaniem wielkiej wody. Gdy wychodziła z powrotem na brzeg, zmęczona i cała w słonych kroplach, wiedziała już na pewno, że będzie chciała wrócić do Ustronia, aby spisać jego historię. Okryła się ręcznikiem. Kilka zawieszonych nad wodą ptaków pokrzykiwało, poruszając w miejscu skrzydłami. Ogarnęło ją wówczas dziwne uczucie, że nie była tam sama.

Eliza otrząsnęła się ze wspomnień, uświadamiając sobie, że zupełnie zapomniała o zegarku Henryka. Postanowiła, że

ofiaruje go Larry'emu. Usnęła uspokojona tą myślą i miarowym oddechem mężczyzny, z którym miała zostać już na zawsze.

- Jak ci minęła noc? - zapytał Larry, widząc, że Eliza już nie śpi.

- Stosunkowo spokojnie - odpowiedziała po polsku.

- Albo rzuciłaś mi właśnie jakieś przekleństwo, albo jeszcze się nie obudziłaś i śnisz, że jesteś za oceanem.

- Dlaczego zaraz przekleństwo? - zapytała.

- Moja mama czasami rzucała polskie przekleństwa ojcu, gdy się na niego gniewała - odrzekł Larry. - Nie wiem, gdzie się ich nauczyła. Na pewno nie od swojej matki. Nasza babcia była bardzo przeciwna wulgaryzmom.

- Co mówiła?

- „Pocałuj moje dupa”.

- Czy wiesz, co to znaczy?

- Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale to chyba coś niecenzuralnego, bo nie pozwalała nam tego powtarzać. A co znaczy to, co ty powiedziałaś?

- Tego się nie da przetłumaczyć, bo to gra słów. Wierz mi, to nic takiego, co byłoby wstyd powtórzyć. Po prostu, że noc była... względnie spokojna, ale użyte tu słowo jest dwuznaczne i można je też rozumieć w ten sposób, że noc była spokojna, bo nie odbyliśmy stosunku. No widzisz, jakie to jest skomplikowane?!

- Zaczyna mi się coraz bardziej podobać ten polski język - powiedział, przeciągając ją na swoją stronę łóżka.

Eliza nie była tego ranka nastrojona na jakąkolwiek inicjatywę i podporządkowała się całkowicie woli Larry'ego w najbardziej konwencjonalnym akcie. Po prawdzie to uwielbiała, kiedy kochał się z nią właśnie tak.

Po śniadaniu, na które poszły ostatnie jajka i obwarzanki, pojechali do urzędu, gdzie po sprawdzeniu dokumentów

wydano certyfikat zezwalający na zawarcie małżeństwa. W drodze powrotnej zostało uzupełnione zaopatrzenie.

- Larry, czy twoim zdaniem mieszkamy razem, czy osobno? - zapytała Eliza, ustawiając w szafce zakupy.

- To bardzo trudne pytanie i chyba nie ma na nie jeszcze jednoznacznej odpowiedzi.

- Nie sądzisz, że powinna znaleźć się w ciągu najbliższych pięciu dni?

- To już tylko tyle zostało mi na wolności? - Jesteś okrutny.

- Co ty na to, żebyśmy mieszkali na razie w Ustroniu? - zapytał. - Przeniosę tu swoje rzeczy, za wyjątkiem pracowni. Malować wolałbym jednak tam. To teraz moja jedyna praca zawodowa.

- Wiem, potrzebujesz swojej męskiej kryjówki - odpowiedziała Eliza z zasymulowanym wyrzutem.

- Miałem nadzieję, że będziesz wolała to niż knajpę - zażartował.

- Powinnam dać ci klapsa.

- Obawiam się, że sprawiłby mi zbyt wielką przyjemność, by móc spełnić jakąkolwiek rolę wychowawczą - odrzekł, obejmując ciasno talię swej narzeczonej.

Oznajmił, że pojedzie teraz do swojej „kryjówki” i wróci dopiero w porze kolacji. Eliza wyciągnęła z szuflady biurka niewielki już stosik wydrukowanej elektronicznej korespondencji Heleny Wilczek.

Droga Mitenko,

był dziś u nas Larry Senior. Muszę przyznać, że mamy w nim z Henrym dobrego przyjaciela. Tak jak i my bardzo przeżył odejście Giny i Waltera. Zwierzamy się sobie ze wszystkich kłopotów i obaw i to bardzo pomaga. Larry martwi się o swojego syna. Teraz, kiedy Marcus i Nicole są już na studiach, mógłby pomyśleć o ułożeniu sobie własnego życia.

Należy, co prawda, do klubu motocyklowego, lecz w odróżnieniu od swoich kolegów nie wozi nikogo na tylnym siodełku, gdy gdzieś wspólnie wyjeżdżają. Larry myśli, że ciągle jest zakochany w Michelle, bo często jeździ po coś do jej salonu, ale ona, jak tylko od niego odeszła, zaraz za męża wyszła za swojego agenta ubezpieczeniowego. Oj, żeby Elizka tu była...

Eliza przerwała czytanie. Może nie była daleka od prawdy, podejrzewając, że Larry pielęgnował jeszcze w sobie niewygaszony do końca żar dawnego uczucia. Poczowała do niego jakiś utajony i nieuzasadniony żal. Wprawiło ją to w nie najlepszy nastrój i straciła ochotę na kontynuowanie swojej pracy tego dnia. Dla oderwania myśli zajęła się gotowaniem obiadu.

Gdy Larry pojawił się wieczorem w Ustroniu, miał ze sobą wykończony już i oprawiony obraz z Murzyniem. Zanim Eliza podała do stołu, powiesił obraz nad biurkiem w sypialni. Ubodło ją, że nie zapytał, czy tam właśnie go sobie życzyła.

Zabrzączał ekspres do kawy i Eliza postawiła na stole filiżanki. Ledwie zdążyła je napełnić, rozdzwonił się pomarańczowy telefon.

- Chcę tylko dać ci znać, że wysłałem właśnie sugestie kilku zmian do Migdałowego aromatu, o które mnie prosiłaś - odezwał się Adam.

- Dziękuję, Adaś. Larry jest teraz u mnie. Czy miałbyś coś przeciw temu, żebym przetłumaczyła i przeczytała mu fragment o tym, jak się poznaliśmy?

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że nie jesteś tam sama. Pozdrów Larry'ego.

- Larry, masz pozdrowienia... - zaczęła, nim zauważyła, że nie było go w domu.

- Gdzie byłeś? Szukałam cię - powiedziała bardziej z troską niż z wyrzutem, gdy pojawił się po dobrej półgodzinie.

- Doprawdy? Myślałem, że zapomniałaś o moim istnieniu.

- Musiałam porozmawiać z Adamem.

- O mnie? Słyszałem, że padło moje imię. Mogłaś przynajmniej użyć znanego mi języka.

- Larry, wiesz przecież, że jestem dwujęzyczna. Powinieneś być się spodziewać, że z niektórymi przyjaciółmi będę się porozumiewała po polsku.

- Może nie powinnaś tego robić, kiedy tymi „niektórymi przyjaciółmi” są twoi byli adoratorzy.

- Skąd to wzięłaś? Przyjaźniliśmy się z Adamem, ale nie tak, jak myślisz.

- Bardzo dyplomatycznie powiedziane.

Położyli się do łóżka w milczeniu. Larry wyłączył nocną lampkę po swojej stronie. Eliza uruchomiła laptopa, by sprawdzić pocztę.

- Długo masz zamiar jeszcze palić światło? - zapytał. - Już kończę. Sprawdzalam tylko maile.

- Od Adama?

Wyłączyła komputer, wydając nienaturalnie głębokie westchnienie. Poczula rękę Larry'ego na swojej dłoni i przysunęła się bliżej. Zagarnął ją chciwie, jak gdyby w potrzebie upewnienia się, że należała tylko do niego. Świadomość, że był o nią zazdrosny, złagodziła obawy o jego niewygasłe uczucia dla Michelle.

Eliza nie otworzyła jeszcze oczu, lecz miała już pod powiekami światło dnia. Nie spuściła wczoraj żaluzji. Na dworze musiało być bardzo słonecznie, bo mimo północnego usytuowania w sypialni było widno. Spojrzała w kierunku biurka. Wiszący nad nim obraz z Murzynem i stojący obok fotelik uświadomiły jej nie po raz pierwszy, że mieszkając z Larrym, musi zaakceptować pewną dozę jego samowoli w podejmowaniu decyzji. Przyjęła to już jako rodzaj ceny za

miejsce u jego boku i gotowa była raz po raz składać drobne ofiary na ołtarzu urażonego honoru.

- Nie mogłeś wybrać lepszego miejsca na nowy obraz. Bardzo dobrze wygląda nad zielonym biurkiem - powiedziała przy śniadaniu.

Zarejestrowała uśmiech zadowolenia na twarzy Larry'ego. Pomyślała o mamie i jej opowieści o dwóch smokach. Wiedziała, że właśnie nakarmiła tego dobrego.

- Dostałem pilne zamówienie, aby namalować żółte mimozy, które kwitną jeszcze nad zatoką. Mam to zrobić dzisiaj we wskazanym przez klienta miejscu - oznajmił Larry.

- Na prywatnej posesji?

- Nie, to miejsce objęte jest rezerwatem przyrody. Może chciałabyś ze mną pojechać? Ma być ładna pogoda i mogłabyś pospacerować nad wodą. Wiem, jak to lubisz. Musielibyśmy być tam zaraz po południu. Około pierwszej będzie optymalne oświetlenie. Słońce wydobywa wtedy z tych kwiatów przepiękne, złociste kolory.

- Super. Zrobię kawę do termosu i parę kanapek. Gzy długo tam zabawimy?

- Chyba nie. Ma to być tylko niewielka akwarela. Może nie jest najłatwiejsza do namalowania i niewiele za nią zarobię, ale przynajmniej pojawiła się okazja do wyjazdu w plener.

- Michelle zdobywa dla ciebie te zamówienia? - spytała Eliza w samochodzie.

- Przeważnie - odrzekł Larry sucho i prócz oczywistego ostrzeżenia, że nie zamierza rozwijać tego tematu, w jego lakonicznej odpowiedzi można było wyczuć odrobinę zażenowania.

Zajechali po drodze do domu Harrisów po rekwizyty do malowania i składane krzeselka.

- Weź to ze sobą, proszę - powiedział Larry, podając jej profesjonalnie wyglądającą lornetkę. - Jest bardzo dobra do oglądania ptactwa. Ojciec używał jej do polowań na kaczki.

- Ty też polowałeś?

- Nie, ani ja, ani Daniel nie mieliśmy nigdy skłonności do zabijania zwierząt. Ojciec jeździł zwykle z Parkerami, to jest z George'em i... Lesterem.

Dopowiedział to drugie imię z pewnym wahaniem. Eliza wiedziała, że jak i ona pomyślał teraz o Murzyniu.

Okolo południa przybyli na niewielką plażę ukrytą wśród trzciny i gęsto rosnących wysokich łądyg dzikiej mimozy, na których kołysały się w lekkim wietrze złociste kiście miękkiego, puszystego kwiatu. Błękitne niebo i cichy plusk wody leniwie podążającej długimi falami ku piaszczystemu brzegowi wydawały się nie robić sobie nic z kalendarza. Eliza przyglądała się, jak Larry urządzał w tym niezwykłym otoczeniu swoje miejsce pracy i długo kontemplował kierunek ustawienia i nachylenie sztalugi. Na rozkładanym stoliku napoczęte tubki farby, pędzle i inne przybory oczekiwały magicznego dotknięcia jego palców.

- Cieszę się, że mnie tu przywiozłeś, Larry. To naprawdę niezwykle miejsce. Czy bywałeś tu przedtem? - zapytała.

- Znam wszystkie urocze zakątki tego rejonu - odrzekł wymijająco.

Podeszli do brzegu. Przytulił ją do siebie i trzymał tak przez długą chwilę.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Że za cztery dni będziesz moją żoną, na zawsze.

Gdy wreszcie wypuścił ją z objęć, usiadł przy sztaludze i zdjął koszulkę.

- Może uda mi się jeszcze trochę opalić - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie każesz mi się rozebrać -
zażartowała, nie odmawiając sobie w tym czasie przyjemności
dotykania jego obnażonych ramion.

- Nawet w ubraniu zawsze cudownie wyglądasz nad wodą
- odpowiedział, przechwytyjąc jedną z jej dłoni.

- Och, Larry... pójdę lepiej podglądać ptaszki - oznajmiła,
pociągając w geście pożegnania jego warkoczyk.

Przewiesiła przez ramię lornetkę i poszła wolno brzegiem
w przeciwnym kierunku, aby nie wejść w tło obrazu. Okrzyki
dzikiego ptactwa przypomniały jej jezioro. W odległym
zakolu zatoki spostrzegła gniazdo rybołówów. Odlatywały co
prawda we wrześniu, ale kto wie, może ciepła jesień
zatrzymała je tu na dłużej. Czytała gdzieś, że od lat trwała
akcja budowania w zatokach niewielkich platform na palach,
żeby mogły zakładać tam gniazda i bezpiecznie opiekować się
pisklętami. Postanowiła pójść jeszcze kawałek wzdłuż brzegu.
Chciała znaleźć się jak najbliżej platformy. Od Larry'ego
dzielił ją już znaczny dystans, lecz wciąż był w zasięgu jej
wzroku i widziała, że pracował nad pejzażem.

Poszła dalej, gdzie zaczynało się zakole, a szpaler trzciny i
mimoz ustępował miejsca wyższemu zaroślowi. Platforma stała
w odległości nie większej niż dwieście metrów od brzegu.
Eliza skierowała lornetkę na gniazdo. Było puste. Wielkie i
solidnie zbudowane czekało na powrót pary osobników, które
zawiązały w nim pakt wierności na życie.

Spojrzała na zegarek. Pokazywał pierwszą - czas
optymalnego oświetlenia. Zaczęła iść z powrotem. Miała teraz
słońce z tyłu i gdy wyszła na prostą, widziała wyraźnie, że
ktoś zmierzał od strony parkingu w kierunku, gdzie siedział
Larry. Zatrzymała się przy zaroślach, usiadła na piasku i
przyłożyła do oczu lornetkę. Chwilę trwało, zanim ustawiła
ostrość na nową odległość. Rozpoznała Michelle jedynie po
włosach. Obcisłe biodrówki i krótka koszulka uwidoczniające

odśloniętą linię talii nie miały nic wspólnego z eleganckim kostiumem, w którym ją widziała przedtem. Eliza poczuła przyspieszone bicie serca. Lornetka nagle zaciężyła jej w rękach. Dla lepszej stabilności oparła łokcie na kolanach. Michelle stanęła z tyłu za Lanym i jak pół godziny wcześniej Eliza położyła dłonie na jego ramionach. Eliza widziała, jak Larry podniósł się z krzesła i odwrócił w kierunku swego gościa, jak trzymając się za ręce, poszli razem w stronę parkingu. Gdyby nie była w ciąży, rozebrałaby się do bielizny i nie bacząc na temperaturę wody, popłynęła do opuszczonego gniazda rybołówów.

Kiedy po kilku minutach spojrzała znowu w tamtym kierunku, nie widziała już Michelle, a Larry siedział przy sztaludze. Mogła z całą pewnością stwierdzić, że był zajęty malowaniem. Zaczęła poważnie martwić się o stan swoich emocji. „Fatamorgana, jakaś idiotyczna fatamorgana. Czy jestem aż do tego stopnia zazdrosna, żeby mój mózg wyprawiał podobne rzeczy z wyobraźnią?” - pomyślała.

- Długo cię nie było - powiedział Larry, gdy wróciła. - Zaczynałem się już martwić.

Pejzaż był generalnie gotowy. Larry domalowywał jeszcze coś na drugim planie.

- Namalowałeś mnie - szepnęła ze zdziwieniem, patrząc na postać idącą brzegiem z przewieszoną lornetką. - Jak to teraz przekażesz klientowi?

- Dostałem wiadomość, że klient odwołał zamówienie.

- Martwi cię to? - zapytała.

- Ani trochę - odpowiedział, zabierając się do składania krzesełek i stolika.

Zdjął z palety suchy już obraz i podał go Elizie.

- Będziesz miała pamiątkę - powiedział.

W miarę jak zbliżali się do parkingu, morski piasek stawał się mniej sypki. Eliza spostrzegła świeże ślady damskiego

obuwia, które na pewno nie były śladami zostawianymi przez podeszwy jej adidasów.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Larry w drodze powrotnej.
- Jesteś taka cicha.

- Wyciszyłam się nad oceanem - uśmiechnęła się, nie zdradzając prawdziwego powodu.

Resztę dnia i kolejną noc spędzili w domu Harrisów.

Eliza miała nadzieję, że Larry czekał na sposobność, aby wspomnieć o pojawieniu się Michelle na plaży i podać jakieś sensowne wytłumaczenie. Nie zrobił tego ani poprzedniego dnia, gdy siedziała przy nim w pracowni, ani przy kolacji, ani dzisiaj, gdy kochali się z rana pod jego zieloną kołdrą. Poprosiła, aby po śniadaniu odwiózł ją do Ustronia.

- Może chcesz pojechać sama i wziąć hondę? - zapytał.

- Nie wybieram się nigdzie. Mam dużo pracy w domu - odpowiedziała.

- W takim razie odwiozę cię teraz, a wieczorem przyjadę i zabiorę gdzieś na przedmałżeńską randkę. Co ty na to?

- Świetnie. Jak mam się ubrać?

- Ładnie. To dosyć eleganckie miejsce. Zamówię stolik. Około trzeciej po południu zadzwoniła Greta.

- Robert wcześniej dziś wrócił, więc mam do dyspozycji samochód i jade do sklepu za jakie pół godziny. Nie potrzebujesz niczego?

- Dziękuję, Greta, niczego mi na razie nie brakuje - odpowiedziała.

Jeżeli czegoś Elizie brakowało, to tylko obecności Larry'ego. Żałowała, że nie podzieliła się z nim swoimi obawami, i czuła, że powinna to uczynić jak najszybciej. Wysłała mu SMS - a, aby zadzwonił, gdy znajdzie chwilę. Nie było odpowiedzi. Zadzwoniła po półgodzinie, ale włączyła się poczta głosowa. Wybrała numer Grety.

- Wyjechałaś już? - zapytała.

- No już do samochodu ide, no.
- To podjedź, proszę, przed mój dom.

Złapała kurtkę i torebkę. Poprosiła Gretę, aby zatrzymała się przy wjeździe na posesję Harrisów.

- Chcę zrobić Larry'emu niespodziankę - powiedziała, nie wspominając nic o tym, że nie odpowiadał na telefon.

Szła alejką w kierunku domu, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i ukazała się w nich szczupła postać Michelle. Spieszyła się widocznie, bo zaczęła zbiegać po schodach. Musiała zaczepić o coś wysokim obcasem swoich czarnych szpilek, bo nagle straciła równowagę i upadła, uderzając kolanami o twardą nawierzchnię. Żeby podeprzeć się rękami, wypuściła z nich otwartą aktówkę. Eliza ruszyła w jej kierunku, zbierając po drodze rozsypane papiery. Jeden z nich był niewielkim szkicem w ołówku przedstawiającym zupełnie nagie popiersie Michelle. Nawet gdyby nie był podpisany przez Larry'ego, Eliza rozpoznałaby w nim jego rękę. Ku własnemu zdziwieniu zamiast wzburzenia była opanowana i zachowała wewnętrzny spokój. Zaskoczył ją nawet mały rozmiar biustu Michelle. Kiedy widziała ją w kantorku Larry'ego, Michelle musiała chyba mieć wypychany stanik.

- Pomóc ci? - zapytała, lecz Michelle była już na nogach i dłonią znaczoną rozległym otarciem przejęła od Elizy aktówkę, rzucając krótkie, formalne podziękowanie.

- Masz pokaleczone kolana - stwierdziła Eliza, spoglądając na zakrwawione i mocno podarte rajstopy. - Powiem Larry'emu, żeby przyniósł ci wodę utlenioną i opatrunek - zaoferowała, kierując się w stronę domu i rozważając po drodze, czy lepiej spojrzeć mu w oczy, czy też patrzeć na czubki swoich adidasów.

- Nie, proszę, nie - zawróciła ją Michelle. - Nie mogę pokazać mu się w takim stanie. Nikomu nie mogę pokazać się w takim stanie - dodała płaczliwie.

- Chcesz pojechać do mnie? - zaproponowała Eliza. - Mieszkam niedaleko stąd. Bezsprzecznie potrzebujesz skorzystać z łazienki i z apteczki.

- Jestem chyba zbyt zdenerwowana, aby móc usiąść teraz za kierownicę.

- Mogę poprowadzić. Daj mi kluczyki. - Jechałaś kiedyś mercedesem?

- W Europie co druga taksówka to mercedes.

Michelle spojrzała z wyrazem zawodu i niedowierzania. Kiedy wyjechały na szosę, zadzwoniła komórka.

- To Larry - oznajmiła Elizie. - Nie będę na razie odbierać. Później do niego oddzwonię.

- Nastawię kawę - odezwała się Eliza, gdy znalazły się w Ustroniu. - Będzie gotowa, zanim wyjdiesz z łazienki. Czyste ręczniki leżą na półce, a środki opatrunkowe znajdziesz w szafce, pod umywalką.

Michelle zdjęła żakiet i powiesiła go na wieszaku w przedsiionku.

- Och, przepraszam - powiedziała, łapiąc poły jedwabnej bluzki w szkarłatnym kolorze. - Nie zdążyłam się pozapinać.

Eliza od razu zauważyła, że Michelle nie miała pod spodem biustonosza. Czowała, jak włączał się jej instynkt samozachowawczy. Choć trudno byłoby porównywać te wydarzenia, był to ten sam instynkt, który kazał jej za wszelką cenę odzyskać stół wuja Henryka i nie ugiąć się przed Lesterem. Miała absolutną pewność co do tego, że znalazła się w trójkącie, o którym wiedziała niewiele ponad to, że w żaden sposób się do niego nie przyczyniła. Przez moment miała ochotę zadzwonić po wsparcie i przebiegł jej przez umysł wspólny wizerunek Grety, Allison i Daniela. Bez względu na to, na kogo z nich padłby w tej chwili wybór, musiałyby opowiedzieć w szczegółach zdarzenia ostatnich dni. Zrzuciła więc ten pomysł i postanowiła zdać się na siebie. Jej komórka

zasygnalizowała nadejście SMS - a od Larry'ego: „Wszystko w porządku, kochanie?” - pisał. „Jesteś pewien, że nie pomyliłeś numerów, Larry?” - odpisała natychmiast i sama się zdziwiła, że tak łatwo jej to przyszło.

Gdyby była sama, pewno zaczęłaby głośno szlochać, ale uroniła tylko kilka łez i umyła twarz zimną wodą nad zlewem w kuchni. Rozległa się melodyjka telefonu, ale Eliza szybko przestawiła go na wibracje. Zaraz potem zadzwonił pomarańczowy telefon domowy. Nie wiedziała, jak go wyciszyć, więc szybko podniosła słuchawkę i odłożyła ją na bok, nacisnąwszy ręką widełki. Zabrzęczał ekspres. Przełała kawę do dzbanka od gościnnego serwisu i postawiła na stole w jadalni. Podała porcelanowe filiżanki, cukier i mleczko. Przyszedł kolejny SMS od Larry'ego: „Mamy rezerwację na siedemnastą trzydzieści”. „Podaj nazwę restauracji” - napisała mu. „Złota Latarnia” - przyszło w odpowiedzi. „Wiem, gdzie to jest. Nie zajeżdżaj po mnie. Nie będzie mnie w domu. Spotkamy się na miejscu. Wyjaśnię później” - odpisała.

Michelle wyszła z łazienki w zapiętej już bluzce i z plastrami na kolanach. Eliza wręczyła jej opakowanie nowych rajstop w uniwersalnym rozmiarze i Michelle wróciła do łazienki, żeby je założyć.

- Dlaczego nie chciałaś, aby Larry zobaczył cię po upadku? - zapytała Eliza przy kawie.

- Wygląd jest sprawą kluczową, kiedy chce się odświeżyć stosunki.

- Myślałam, że masz męża i dziecko.

Michelle wypła resztę kawy i odstawiając filiżankę, bardzo głęboko westchnęła.

- Nie jestem szczęśliwa ze Steve'em - powiedziała tonem osoby domagającej się współczucia. - Może przeżywam kryzys i potrzebuję wsparcia. Wiesz, że byliśmy z Larrym zaręczeni? - spytała bardziej dla podkreślenia swego statusu,

niż by uzyskać odpowiedź. - Mamy ze sobą wiele wspólnego - dodała.

- Zadzwoiłam do Larry'ego, gdy byłeś w łazience - poinformowała Eliza. - Powiedziałam mu, że wpadłeś do mnie. Ucieszył się, bo nie mógł się do ciebie dodzwonić. Zaprasza nas obie na kolację do Złotej...

- ...Latarni - dopowiedziała Michelle. - Tam właśnie mi się oświadczył - rozpromieniła się. - Myślisz, że mogę tam iść z tymi plastrami na kolanach?

- Wyglądasz świetnie.

Eliza załapała smak intrygującej gry i władzy nad sytuacją. Oddziaływał na nią z siłą nałogowego hazardu. Wiedziała co prawda, że później dosięgnie ją moment, kiedy będzie musiała rozliczyć się z własnym sumieniem, lecz tymczasem postanowiła grać w to dalej.

- Jesteś pewna, że ciebie też zaprosił? Wydaje mi się to trochę dziwne - powiedziała Michelle, wstając od stołu.

- Larry jest czasem dziwny. Nie sądzisz? - odparła Eliza z naciskiem na słowo „jest”.

- Pewnie masz rację. Kiedy byliśmy u niego po pożarze, widziałam, że ci nadskakiwał. Czy coś jest między wami?

Eliza zastanawiała się, czy Michelle rzeczywiście nie była świadoma, co łączy Larry'ego z kobietą, z którą właśnie piła kawę, czy też prowadziła swoją wyrafinowaną grę.

- Przyjaźnimy się - odpowiedziała Eliza. - Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Michelle nie zareagowała na wybieg użycia jej własnych słów i Eliza odniosła wrażenie, że jej rywalka należała do ludzi, którzy słyszą i widzą tylko to, co pasuje do ich sytuacji.

- Tak myślałam - odparła. - Chciał pokazać, że go nie obchodzę, ale wiem, że wciąż siebie potrzebujemy. Larry przyznał, że jeśli ma jakieś opory, to tylko z uwagi na mojego męża, z którym utrzymuje kontakty zawodowe.

Zanim Michelle zdjęła z wieszaka swój żakiet, przez otwarte drzwi sypialni zerknęła na wizerunek Elizy z Murzyniem. Zapytała, czy może zobaczyć go z bliska, i po uzyskaniu zgody podeszła do biurka. Przeciągnęła dłonią po powierzchni obrazu.

- Akryl - oświadczyła. - Osobiście wolę akwarele. Mają dużo więcej uroku. Larry to doceniał i zawsze je dla mnie malował.

- Mam jedną akwarełę, ale jeszcze nieoprawioną - oświadczyła Eliza. - Mogę ci pokazać, jeśli chcesz. Pozowałam do niej Larry'emu. W mimozach, nad zatoką - dodała z naciskiem, ciekawa reakcji swojej rozmówczyni.

Michelle przygryzła wargi, jak gdyby chciała oszukać milczeniem i siebie, i Elizę, że do zdarzenia na plaży nie doszło. Zanim opuściła sypialnię, rozejrzała się dyskretnie, pewnie w poszukiwaniu śladów bytności Larry'ego. Spojrzała na zegarek.

- Pojadę już - oznajmiła - nie lubię się spóźniać. Dziękuję za wszystko. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę - dodała.

- Chwileczkę, zabieram się z tobą, Michelle.

- Nie masz swojego samochodu?

- Nie mam. Chciałaś mi się odwdzięczyć, to masz okazję - zaśmiała się.

- Oczywiście, ale gdybyś miała wcześniej wyjść, o co nawet chcę cię prosić, to możesz wziąć mojego mercedesa, a Larry później mnie tu podrzuci.

- Nie ma sprawy. Teraz daj mi pięć minut - powiedziała Eliza, znikając za drzwiami sypialni.

Włożyła wrzosową sukienkę, zrobiła lekki makijaż, zakręciła włosy w trochę niedbały koczek, wsunęła stopy w czarne półszpilki i zarzuciła na ramiona czarny żakiet. Wybrała numer informacji i została połączona z restauracją

„Złota Latarnia”. Poprosiła o dodanie trzeciej osoby do rezerwacji na nazwisko Larry Harris.

Były na miejscu przed czasem.

- Czy zaprowadzić już panie do stolika? - spytała młoda hostessa.

- Poczekamy tutaj na jeszcze jedną osobę - odpowiedziała Eliza bez konsultowania się z Michelle. Wiedziała, że gra teraz pierwsze skrzypce i chciała to robić według własnego repertuaru. Michelle usiadła posłusznie w fotelu poczekalni. Stojąc naprzeciw drzwi, Eliza widziała podjeżdżającą hondę. Larry zaparkował tuż obok białego mercedesa i z pewnością zorientował się, czyje to było auto. Wyszła na zewnątrz.

- Zaprosiłam Michelle - uprzedziła. - Chyba nie masz nic przeciw temu?

- Nie wiedziałem, że jesteś z nią w kontakcie - odpowiedział sucho.

Przywitał ją formalnym cmoknięciem. Widać było po nim zaskoczenie i zażenowanie. Z pewnością musiał szybko przekalkulować zaistniałą sytuację.

Gdy weszli do środka, Michelle wstała z fotela i wyciągnęła w kierunku Larry'ego obie ręce. Ujął je od razu i choć Eliza podejrzewała, że zrobił to odruchowo albo przez grzeczność, niechciane emocje ścisnęły jej gardło i zamgłyły oczy.

- Proszę za mną - powiedziała hostessa.

Larry chwycił tym razem rękę Elizy. Poczowała dość mocny uścisk. Myślała, by wyrwać dłoń, lecz będąc daleką od chęci robienia scen w miejscu publicznym, zaniechała pomysłu. Posadzono ich przy niewielkim, okrągłym stoliku w ustronnej części restauracji.

Eliza postanowiła zarzucić wszelką ingerencję i czekać na rozwój sytuacji, która zaczynała wydawać się jej coraz bardziej interesująca i cokolwiek zabawna. Gdy wszyscy troje

studiowali w milczeniu jadłospis, czuła wyraźnie, jak poprawiało się jej samopoczucie. Gdy kelner przyjął zamówienia, Eliza była prawie pewna, że Michelle wybrała najdroższe danie, lecz nie mogła tego sprawdzić, gdyż karty już zabrano.

Zaległo nienaturalne i krępujące milczenie. W tej dziwnej ciszy, popijając drogie wino, Michelle posyłała sygnały wzrokowe w kierunku Larry'ego, który pilnie śledził ruchy bąbelków w szklance wody gazowanej. Eliza obserwowała ich oboje z postępującym zaciekawieniem, zdając sobie sprawę, że każde z nich było na swój sposób tego świadome. Nie podnosząc oczu znad szklanki, Larry przemówił po chwili spokojnym tonem:

- Rozumiem, że nie bez powodu znaleźliśmy się tu w tym składzie, Eliza. Czy chciałaś stworzyć okazję do wyłożenia kart?

Jeśli nawet Eliza nie miała powodu, aby nie ufać Larry'emu, na pewno nie ufała swojemu losowi i w duchu przygotowywała się na to, że w otwartych kartach pokaże się mimo wszystko dama pik. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Larry mówił dalej:

- Widzę, że niepotrzebnie trzymałem swoje karty zbyt blisko siebie. Przykro mi, Michelle, jeśli przez to odniosłaś wrażenie, że zerwane zaręczyny sprzed lat nabrały teraz jakiegoś nowego znaczenia. Przykro mi, że nie układa ci się ze Steve'em, ale najbardziej mi przykro, że to ja wybrałem złą taktykę, zasłaniając się niewłaściwym argumentem. To prawda, że szanuję Steve'a i byłbym daleki od wchodzenia mu w drogę. Tylko że to akurat jest drugorzędne. Najważniejszym powodem, dla którego nie jestem zainteresowany odświeżaniem znajomości, jest moja narzeczona, Eliza. Sądziłem jednak, że wystarczy ci ten pierwszy argument. Widać się pomyliłem. - Zrobił krótką pauzę, po czym zwrócił

się do Elizy, kładąc rękę na jej dłoni: - Przepraszam cię za to, kochanie.

- Rozumiem i przyjmuję przeprosiny - odrzekła formalnie, unikając jego spojrzenia po to tylko, żeby nie utracić kontroli nad chwilą, w której mogła wreszcie zatryumfować.

Skierowała wzrok na Michelle, która szukała teraz czegoś w torebce, odgarniając raz po raz, spadające na twarz długie kosmyki swoich czarnych włosów. Może ukrywała łzy. Elizie zrobiło się jej żal i szybujący już orzeł tryumfu przysiadł chwilowo na ziemi niczym szary wróbel zwykłego ludzkiego współczucia.

- Nie wiedziałam, że już się oświadczyłeś - Michelle zwróciła się do Larry'ego z zażenowaniem. - Życzę pomyślnego narzeczeństwa. Mam nadzieję, że będzie bardziej owocne niż nasze.

- Nasze narzeczeństwo już się kończy - wtrąciła Eliza, wyręczając Larry'ego w odpowiedzi.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Tak? - zapytała Michelle z iskierką przelotnej nadziei.

- Tak, bo w najbliższą sobotę bierzemy ślub.

Michelle zaniemówiła, Larry zapewne odetchnął, a tryumfalny orzeł Elizy uniósł się z ziemi, by znów poszybować wysoko.

- Gdzie będzie ten ślub? - zainteresowała się Michelle. - Chętnie przyjdę.

- Przykro mi, lecz to ceremonia zamknięta - odpowiedziała Eliza. Larry najwyraźniej zostawił jej swobodę decyzji, chociaż przez moment wydawało się, że chciał zaprotestować.

Kiedy przyniesiono obiad, Michelle poinformowała kelnera, że dostała właśnie pilną wiadomość, i poprosiła, aby

zapakowano jej danie. Wkrótce po tym, jak wyszła, komórka Larry'ego dała znać o nadejściu SMS - a.

- Michelle pisze, że byłem okrutny, zapraszając ją na kolację akurat do tej restauracji po to tylko, aby skompromitować ją w twojej obecności. Nieściskość polega na tym, że to nie ją zaprosiłem. Podejrzewam, że zrobiłaś to w moim imieniu.

- Zdaję sobie sprawę, że ten wybieg nie był do końca fair, Larry, ale sprowokowanie tego spotkania stało się dla mnie koniecznością. Źle znoszę niedomówienia, zwłaszcza kiedy jestem w ciąży - uśmiechnęła się. - A swoją drogą też uważam, że byłeś nieco okrutny, zapraszając mnie akurat do tej restauracji - dodała.

Larry przysunął bliżej swoje krzesło i ująwszy jej twarz w obie ręce, bez najmniejszego szacunku dla makijażu i otoczenia całował jej powieki i usta.

- Jesteś bardzo podniecająca w swojej nieobliczalności - powiedział.

- A do tego okropnie głodna - odrzekła, spoglądając na połówkę pieczonej kaczki w pomarańczowej polewie.

Chociaż się porządnie wyspała, Eliza nie była w najlepszym nastroju. Nad ranem śniło się jej, że siedziały z Allison w gnieździe rybołówów i obie patrzyły, jak Larry obejmował Michelle na brzegu zatoki.

Dla poprawienia humoru zrobiła sobie kawę. Larry zostawił kartkę, że miał do załatwienia sporo spraw, i prosił, żeby Eliza zadzwoniła do niego, gdy wstanie. Słuchawka pomarańczowego telefonu wciąż była odłożona na bok. Eliza położyła ją na widełki. Przez jakiś czas nie było sygnału. Gdy się pojawił, wykręciła numer komórki Larry'ego. Włączyła się poczta głosowa, ale Eliza nie chciała zostawiać wiadomości.

Jej związek z Larrym, mimo tak krótkiej historii, po raz wtóry stał się celem wrogiego ataku. Było jednak jasne, że

podczas gdy Lester chciał głowy Larry'ego, Michelle pragnęła wziąć go w jasyr. Eliza miała przeczucie, że wbrew pozorom ten atak nie został jeszcze do końca odparty. Bolało ją, że Larry nie zdradzał intencji podzielenia się szczegółami dwóch ostatnich wizyt swojej byłej przyjaciółki. Dwóch? O tylu tylko wiedziała. Włączyła laptopa i siadła z nim przy kuchennym stole z zamiarem poczynienia notatek. Zatykuowała je „Na zimno”. Chciała bowiem oddzielić fakty od dyktowanych emocjami przypuszczeń i spekulacji. Nie ulegało wątpliwości, że Michelle była od niej ładniejsza, bardziej elegancka, o dziesięć lat młodsza i bezsprzecznie gotowa użyć tych atutów, aby ponownie oczarować Larry'ego. Czy wciąż miał on dla niej specjalne miejsce gdzieś na dnie serca? Gdyby tak nie było, nie oburzyłby się wtedy, gdy Eliza zapytała, czy miał z nią dzieci, nie ogłosiłby radośnie, że Michelle lubi pizzę z ananasem, nie wziąłby ją za rękę nad zatoką i nie czyniłby sekretu z jej ostatnich wizyt. Jednak nade wszystko - co było dla Elizy najbardziej dotkliwie - gdyby tak nie było, Michelle nie wyszłaby z jego domu w rozpiętej bluzce...

Uczuła, jak zaufanie do Larry'ego i wiara w szczerłość jego uczuć ulatywały stopniowo przez skazę, którą wytworzyły w jej duszy ostatnie wydarzenia. Może to ciąża jest jedynym powodem, dla którego Larry nie odszedł jeszcze do Michelle? Dlaczego spędza tyle czasu w swojej pracowni i zabiera hondę, zostawiając swoją narzeczoną bez samochodu? Przecież deklarował się, że będzie jeździł ciężarówką.

Zadzwoił domowy telefon.

- Dobrze, że w domu jesteś, to ja zaraz z babko ziemniaczano do ciebie przyjde, no.

Gorąca zapiekanka od razu wypełniła dom zapachem majeranku.

- Ja jo robie tylko czasami. Ani Robert, ani dzieciaki tego nie jedzo, no. A to dla ciebie specjalnie. - Postawiła przed Elizą miseczkę z surówką z kiszzonej kapusty.

- Och, Greta, jesteś kochana. Surówką też się podzielimy.

- Dziękuję, ale nie lubie kapusty kiszzonej od czasu, jak byłam dzieckiem. Cało zime nic tylko ta kapusta z beczki do obiadu. Jabłka chodziłam z niej wybierać, jak mama nie widziała. Te to dobre były, no - zaśmiała się.

- Pewnie dlatego urodziłaś dwie dziewczynki - zaśmiała się Eliza. - A co tam u nich nowego?

- Na Halloween obydwie za tych szczurów z filmu uparły się przebrać. Robert musiał jechać z nimi kostiumy kupować, bo ja patrzeć na szczury nie mogę, nawet jak so nieprawdziwe, no. A jak tam twoje przygotowanie do ślubu?

Eliza uświadomiła sobie, że zupełnie straciła rachubę czasu. Rzeczywiście zbliżał się koniec października. Larry już jakiś czas temu ustawił dekorację z wielkiej dyni u siebie przed domem.

- Pyszna babka - pochwaliła ze wzrokiem utkwionym w kawałku zapieczonej w ziemniaczanej masie kiełbaski, ignorując pytanie o ślubie.

- Coś nie tak jest, no. To widać po tobie - - zaniepokoiła się Greta.

Eliza wyczuła, że nadszedł czas szczerości, i jeśli los zesłał jej Gretę, to może stało się to nie bez powodu. Otworzyła laptopa i pozwoliła jej przeczytać swoje notatki.

- No, to świat sie przewraca do góry nogami! Żeby na dwa dni przed ślubem, zamiast ubranie szykować i o nocy poślubnej myśleć, takie rzeczy sie wypisywało, to ja już nie rozumiem tego, Eliza, no!

- To znaczy, że według ciebie ja jestem winna temu, co się dzieje za moimi plecami?

- Nikt tu nie jest winny oprócz Michelle. No, może i ona nawet nie wiedziała, że Larry już zajęty, albo może jo tak majtki parzo, że głowe straciła. Larry za to nie jest odpowiedzialny i na pewno nic jego nie skusi. On w tobie tak zakochany, że wszyscy to widzo, tylko ty jakoś tego nie możesz zobaczyć. Pokasuj zaraz te głupoty, bo jakiej biedy jeszcze nimi napytasz, no.

- To dlaczego Larry trzyma w tajemnicy, że ona go nachodzi? Pewnie też ma nieczyste sumienie.

- A po co miałby ciebie denerwować w ciąży? Sam to chciał załatwić. Ale jak już ty wiesz i ciebie to gryzie, to czemu z nim nie porozmawiasz? Po to Pan Bóg języki ludziom dał, żeby sie ze sobo dogadali. I głupot nie wypisywali w komputerach, no - dodała po chwili.

- Greta, czy ty to wszystko wiesz, czy tylko się domyślasz? - nie dawała za wygraną Eliza.

- Skąd ja wiem i jak ja wiem, to nikomu spowiadać sie nie będę. A ty rady mojej słuchać też nie musisz, chociaż świadkiem twoim mam być, to może by wypadało. Zamiast siedzieć i niepotrzebnie się gryźć, to szarlotke mogłabyś czasem upiec do kawy. Jabłek od teściów tobie przyniose, no.

Po wyjściu Greta Eliza poczuła się podbudowana, lecz niekoniecznie usatysfakcjonowana. Poparcia, na które liczyła, widocznie nie dane jej było otrzymać z tej strony. Napisała długi list do Allison i wysłała go mailem. Po godzinie przyszła odpowiedź. Eliza przeczytała ją bardzo dokładnie, lecz nawet pomiędzy wierszami nie znalazła śladu aprobaty dla swoich podejrzeń. „Dlaczego, zamiast doprowadzać się do stanu bliskiego paranoi, nie porozmawiasz z Larrym otwarcie?” - zasugerowała na koniec przyjaciółka. „Zmówiłyście się z Gretą?” - odpisała. „Kto to jest Greta?” - zapytała Allison i Eliza zdała sobie sprawę, że rzeczywiście się nie znały.

Larry przyjechał po nią późnym popołudniem. Starła się nie emanować negatywnymi odczuciami. Obiecała sobie, że porozmawia z nim jeszcze dzisiaj.

- Zupełnie zapomniałem o sałacie - stwierdził w zakłopotaniu, mieszając w garnku sos do spaghetti.

- Podjadę do Tony ego i kupię gotowe sałatki na wynos - zaproponowała.

- Trzeba było zadzwonić, tobym miał już przygotowane - powiedział właściciel pizzerii, rozpoznając Elizę. - To dla Larry'ego, prawda? To samo co ostatnio, pizza z ananasem na dwie osoby i dwie włoskie sałatki?

- Tym razem będą tylko dwie sałatki - odpowiedziała Eliza chłodno.

Zanim wysiadła z samochodu, otarła łzy i popatrzyła w lusterko. Larry nie powinien zauważyć, że po drodze płakała. Powiesiła kluczyki i przełożyła sałatki z plastikowych pojemników do szklanych misek.

- Myślałem, że kupisz sałatkę po cesarsku. Wiem, że taką lubisz najbardziej.

- Zmieniłam na włoską, bo to chyba twoja ulubiona - powiedziała ze sztucznym uśmiechem i naciskiem na słowo „twoja”.

Larry nalał sobie kieliszek bordo i po fakcie spytał, czy nie miała nic przeciwko temu. Butelka była już do połowy opróżniona. Eliza czuła, że nie potrafi myśleć o niczym innym niż o spotkaniach Larry'ego i Michelle: wspólny lunch z jej ulubioną pizzą popijany jej ulubionym winem. Poczowała jakiś nowy dla niej dystans i nie była pewna, czy to wyłącznie skutek, jak to nazwała Allison, „paranoi”. Gdyby nie była w ciąży, nalałaby sobie słusznych rozmiarów kieliszek wina, a może nawet i dwa. Teraz jednak czuła głód i wiedziała, że musi go zaspokoić. Jedząc spaghetti, pomyślała ciepło o

małym człowieku, który formował się gdzieś wewnątrz jej ciała.

- Pójdę na górę. Muszę skorzystać z łazienki - oświadczyła, gdy Larry zaparzał kawę.

Jego łóżko było zasłane, lecz pomarszczona powierzchnia zielonej kołdry zdradzała, że ktoś na niej niedawno leżał. Drzwi do łazienki były otwarte na oścież. Eliza zamknęła je za sobą. Myjąc ręce, widziała w lustrze nad umywalką odbicie przymocowanych do wewnętrznej strony drzwi wieszaków. Z jednego z nich zwisał czarny biustonosz, który na pewno nie należał do niej. Zdjęła go z wieszaka i obejrzała metkę: Victoria's Secret, obwód 32, miseczki A. Zeszła spokojnie po schodach. Odwrócony tyłem Larry nalewał kawę do kubków. Eliza położyła biustonosz na kuchennym stole, złapała kurtkę, torebkę i kluczyki do samochodu.

- Pocałuj moja dupa, Larry Harris Junior! - krzyknęła, zatrzaskując za sobą drzwi.

Odjechała szybko, nie patrząc nawet, czy za nią wybiegł.

Zanim przyjechała do Ustronia, zdążyła się już zupełnie uspokoić. Czekala na łzy, które ku jej zdziwieniu nie chciały nadejść. Wieczór był chłodny i samoczynnie załączyło się ogrzewanie. Położyła się na kanapie, włączywszy uprzednio telewizor. Po reklamach jakiegoś nowego leku na reumatyzm, obroży dla psów przeciw insektom i jednorazowych pieluch obejrzała wiadomości lokalne i prognozę pogody na weekend. Dzień, w którym miała oddać rękę Larry'emu, zapowiadał się bezchmurnie, bezwietrznie i jak na koniec października miał być nadspodziewanie ciepły. Teraz jednak przejął ją chłód. Przykryła się szydełkową narzutą Giny. Pomyślała o pełnej życia Helence, o pedantycznym wuju Henryku i swoim ojcu, którego nigdy nie potrafiła zaszufładować. Wyobraziła sobie, że wyszli teraz ze swoich „aneksów”, siedli wokół niej na podłodze i naradzali się, jak powinna postąpić.

- Taki skromny ślub ma swoje zalety - powiedziała Gina.
- Można przynajmniej bez większego kłopotu go odwołać. Zimno mi - dodała, pocierając dłonią prawej ręki o lewe ramię i odwrotnie. Miała na sobie tylko letnią podomkę.

- Zaraz rozpalę w kominku - zaoferował Waldemar. - A tak w ogóle to zgadzam się z Giną - oznajmił, nikogo nie zaskakując.

- Po co zaraz wszystko odwoływać? - zakwestionował Henryk, rozkładając ręce. - Odłożyć na jakiś czas i niech się rzeczy najpierw unormują...

- Czyście wszyscy poszaleli?! - Helenka wstała z podłogi i usiadła na brzegu kanapy. - Niby dlaczego miałiby jeszcze czekać?! Przecież Elizka jest w ciąży - powiedziała, gładząc swoją chłodną dłonią jej czoło.

- W takim razie musimy rzucić monetą - ogłosiła Gina, wyciągając z kieszeni podomki dziesięciocentówkę. - Jak reszka, to biorą ślub pojutrze, tak jak planowali.

Eliza otworzyła oczy i usiadła od razu, nie wiedząc jeszcze, jak długo spała. Telewizor był wyłączony, a jedyne światło pochodziło z palących się w kominku dREW.

- Larry! - zawołała z odczuciem niepokoju, które nie było wcale dalekie od przerażenia.

Wstała z kanapy. W domu panowała cisza i nie licząc nocnego światełka w kuchni ogólna ciemność. Paliło się natomiast światło na zewnątrz. Wyjrzała przez kuchenne okno. Obok hondy stał zaparkowany motocykl, a przy białym drewnianym stoliku Larry drażył dynię. Nie była pewna, czy powinna do niego wyjść, czy też zaczekać, aż przyjdzie do domu. Włożyła jednak kurtkę i drewniaki. Podeszła do stolika i siadła na drugim krześle. Było wilgotne od chłodu albo wieczornej rosy. Podciągnęła kurtkę pod siedzenie. Wybrane ze środka dyni pestki i włókna spoczywały na kawałku starej

gazety. W wydrążonej skorupie Larry kończył wycinać oczy, nos i wykrzywione w grymasie usta.

- Przyda ci się do udekorowania domu - powiedział. - Amanda i Melissa na pewno przyjdą tu po cukierki. Zaraz skończę - dodał.

Eliza wróciła do domu, dołożyła drewna do kominka i zaparzyła herbatę. Słyszała, jak Larry zamykał drzwi od środka i jak później mył ręce. Czekala, kiedy przyjdzie i usiądzie obok niej na kanapie.

Zrobił to ostrożnie, w pewnej odległości i zanim zaczął pić podaną herbatę, grzał jakiś czas ręce na fajansowym kubku.

- Kiedy wybiegłaś, kładąc swój biustonosz na stole, zupełnie nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć - odezwał się. - Przyniosłem ci go - powiedział, wyciągając z kieszeni czarny satynowy stanik. Położył go pomiędzy nimi na kanapie.

Elizie wydało się to tak zabawne, że parsknęła mimowolnym i zupełnie szczerym śmiechem.

- Mój biustonosz? Chyba nietrudno zauważyć, że to nie ten rozmiar, szczególnie komuś, kto od samego początku nie spuszcza wzroku z mojego biustu! - wykrzyknęła.

Wstała z kanapy i podeszła do kominka. Otworzyła szklane drzwiczki i cisnęła stanik w palenisko. Z ukontentowaniem naukowca nadzorującego pomyślnie przebiegający eksperyment przyglądała się, aż obiekt jej doświadczenia zniknął nieodwracalnie w zaborczej agresji czerwonych płomyków, pozostawiając po sobie jedynie niekształtną grudkę stopionego tworzywa. Larry pokręcił głową i uśmiechnął się nieznacznie.

- Czy to, co powiedziałaś, wychodząc, miało znaczyć, że masz zamiar gniewać się na mnie z powodu jakiegoś niewyjaśnionego i łatwopalnego kawałka szmaty? - zapytał Elizę, zupełnie dla niej niespodziewanie.

- To, co powiedziałam, miało znaczyć, że nie chcę w moim życiu niedomówień i podejrzeń, a nade wszystko nie chcę z nikim współzawodniczyć. Co z tego, że mam u ciebie pierwsze miejsce na podium, kiedy jest jeszcze drugie, a może nawet i trzecie. Możesz poczytywać to za zazdrość - mówiła dalej - ale ja widzę w tym nadużycie mojego zaufania. To przekreśla całą naszą intymność i wszystko... Rozumiesz? - Rozpłakała się.

- Czy ktoś ci czegoś naopowiadał? - zapytał, przysuwając się bliżej i ujmując jej dłoń.

Otarła łzy drugą ręką i nie protestowała, gdy Larry przytulił ją do siebie.

- Nikt mi nic nie musiał mówić. Widziałam wczoraj, jak Michelle wyszła z twojego domu w rozpiętej bluzce i ze sporządzonym przez ciebie rysunkiem tego, co pod nią miała. Widziałam też, że była z tobą, gdy malowałeś mimozy, i przyglądałam się, jak wzięłeś ją za rękę, tak jak bierzesz mnie, i jak poszliście razem do samochodu. Wiem nawet, że zamawiałeś na lunch jej ulubioną pizzę z ananasek. A dzisiaj jeszcze jej biustonosz w twojej łazience i pomięte łóżko. Najdziwniejsze, że ja tego nie szukałam. To wszystko znalazło mnie. Już mam takie szczęście, a może jego brak, że różne rzeczy jakoś same wychodzą mi na drogę.

- Teraz czuję się wszystkiemu winny, chociaż tak naprawdę nie zrobiłem nic złego. Najgorsze, że nie mam sposobu, aby ci to udowodnić.

- Dlaczego po prostu nie powiesz mi, co naprawdę zaszło między wami?

- Jak się pewnie domyślasz - zaczął Larry po chwili - Michelle sprowokowała mnie do przyjazdu nad zatokę. Złożyła mi niespodziewaną wizytę, mówiąc, że ten obraz jest naprawdę na jej osobiste zamówienie, i chciała, abym namalował ją w mimozach.

- Oczywiście nago! - wyrzuciła z siebie Eliza.

- Powiedzmy, że przynajmniej bez bluzki.

Zabrzęczała komórka Larry'ego, sugerując nadejście SMS

- a. Zignorował to, mówiąc, że sprawdzi później.

- Odmówiłem i odprowadziłem ją zaraz do samochodu - kontynuował. - Powiedziałem, że nie zrobię tego z uwagi na jej męża. Poinformowałem też, że spodziewam się kogoś za chwilę. To wszystko razem trwało bardzo krótko i nie sądziłem, że to dostrzegłaś. Mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Może bym to zrobiła, gdybym na drugi dzień za tobą nie zatęskniła i nie wpadła na pomysł złożenia ci wizyty. Najwyraźniej nie byłam jedyną kobietą, której to przyszło do głowy.

- Michelle przyjechała wczoraj do mnie rozliczyć się ze sprzedanych obrazów. Poprosiła znowu, abym ją narysował bez bluzki, tak jak zrobiłem to kiedyś, gdy byliśmy zaręczeni. Przyniosła nawet ze sobą tamten szkic. Gdy siadła przy sztaludze i zaczęła rozpinać guziki, podałem jej zakiet i kazałem wracać do domu. Nie wiem, jak to się stało, że wyszło z tego takie zamieszanie.

Eliza opowiedziała mu w szczegółach o swoim wczorajszym spotkaniu z Michelle.

- To wszystko jest doprawdy zbyt męczące, Larry - powiedziała na koniec. - Czy możemy po prostu położyć się do łóżka?

- Nareszcie padła jakaś rozsądna propozycja - skomentował.

Patrząc, jak zdejmował ubranie, Eliza poddała się bez oporu napływowi gorącej fali. Zrzuciła sweter i kiedy zbliżyła się do Larry'ego, sięgnął chciwie po jej piersi.

- Zapamiętaj: 34 C - oznajmiła. - Taki mam rozmiar biustonosza - dodała po chwili, gdy popatrzył na nią zdziwiony.

- Zapamiętam to na całe życie, jak datę ślubu - powiedział, zagarniając ją pod kołdrę.

Gdy usiadła później na brzegu łóżka, aby założyć piżamę, Larry przysunął się blisko i niespodziewanie przyłożył usta do jednego z jej pośladków, zostawiając na nim czerwony znaczek.

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęła, zażenowana.

- Spełniam twoją prośbę - powiedział. - Wiem już, co znaczy „pocałuj moje dupa”. Nicole dowiedziała się tego dla mnie od Anety. Teraz mi dokucza, bo to ja zawsze oskarżałem ją, że uczy się tylko zwrotów spoza słownika. Przyjechała wcześniej z rana, bo mieliśmy dziś coś do załatwienia. Musiała jednak wracać zaraz po południu. Nawiasem mówiąc, to z uwagi na nią zamówiłem pizzę z ananasem.

Sygnal z telefonu komórkowego Larry'ego przypomniał o czekającym SMS - ie.

- To od Nicole - powiedział, spoglądając na ekran. - Zdaje się, że spaliłaś jej nowy biustonosz - dodał po chwili. - Píše, że przymierzała go w mojej łazience i chyba zostawiła na wieszaku.

Rozdział XII

Dla Elizy

Eliza wstała cicho, aby nie zbudzić Larry'ego. Nie spała już co najmniej od godziny. W ciepłych strugach porannego prysznicu próbowała objąć myślami ostatnie tygodnie. Obawa o wytrzymałość tworzonej naprędce konstrukcji uczuć i wydarzeń raz po raz wykiwała się na pierwsze miejsce. Przysięga i założenie obrączek nie wydawały się wystarczające do jej szybkiego scementowania. Dla pewności, że to nie jakiś kolejny domek z kart, Eliza potrzebowała czasu, a ten nie był jej dany. Mogłaby jeszcze wszystko zmienić, lecz musiałaby chyba być niespełna rozumu, aby pozbawić siebie możliwości spędzenia reszty życia z nieprawdopodobnie przystojnym i zakochanym w niej człowiekiem, który był w dodatku ojcem jej nienarodzonego jeszcze dziecka.

Zaczynał się ostatni dzień jej panieństwa. „Staropanieństwa raczej” - pomyślała, odbierając swoje spostrzeżenie bardziej jako zabawne niż przerażające, choć nie było wolne od żadnego z tych elementów. Założyła szlafrok i frotowe stopki. Zrobiła herbatę i z kubkiem w ręce usiadła na kanapie w salonie, wciąż myśląc o Larrym. Czy była to miłość na całe życie? Czy to w ogóle była miłość? Przywołała w pamięci ich rozmowę sprzed kilku tygodni: „Czy myślisz, że można kochać kogoś, kogo się ledwo zna?” - zapytała wtedy. „Kiedy coś czuję, to wiem dokładnie, co to jest...” - dopiero teraz zdała sobie sprawę z mocy jego odpowiedzi i chciała wierzyć, że wystarczy jej dla nich obojga.

- Gdzie spędzimy noc poślubną? U ciebie czy u mnie? - spytała, gdy Larry wszedł do salonu i usiadł przy niej na kanapie.

- Co byś powiedziała na miejsce neutralne?
- Masz na myśli jakiś dobry hotel?
- Coś w tym rodzaju.

Po śniadaniu Eliza wybrała się na małe zakupy. Nabyła czarny satynowy biustonosz marki Victoria's Secret w rozmiarze 32 A. Ucieszyła się, że znalazła dokładnie taki sam jak ten, który nieopatrznie spaliła. Larry odebrał z pralni jej wrzosową sukienkę i swoje czarne spodnie. O jedenastej trzydzieści zajechali do kościoła. Byli umówieni z księdzem Goodmanem oraz Gretą i Robertem, żeby dopełnić formalności i ustalić szczegóły ceremonii. Zdecydowali, że skoro ślub ma być skromny, nie będzie przemarszu przez kościół i wejdemy przed ołtarz od zakrystii.

Padło pytanie, czy Eliza przyjmie nazwisko męża, czy też zachowa własne. Popatrzyła pytająco na Larry'ego. Zostawił jej decyzję, na którą nie była jeszcze przygotowana.

- Eliza Mazurek - Harris - odpowiedziała nieśmiało tonem zapytania, które skierowała zarówno do swego przyszłego męża, jak i do Grety.

- Bardzo dobrze brzmi, no - szepnęła Greta po polsku.

- Cudownie! - wykrzyknął Larry i nie bacząc na miejsce i obecność pozostałych, ujął twarz Elizy i pocałował jej usta.

Gdy podjechali przed dom Harrisów, było już dobrze po południu. Pokonując trzy kamienne stopnie wiodące do drzwi wejściowych, Eliza pomyślała, że już na zawsze będą kojarzyły się jej z wizerunkiem pokaleczonych kolan Michelle. Może powinna poprosić Gretę, aby pod nieobecność Larry'ego odprawiła tu swój obrządek ze świecami i sosnowym płynem. Weszła do domu, zostawiwszy za drzwiami wspomnienie przykrego zdarzenia i niespodziewany przyływ wiary w skuteczność podobnych rytuałów.

Ustalili, że zobaczą się dopiero następnego dnia, gdy Greta i Robert przywiozą Elizę do kościoła. Oboje potrzebowali zająć się swoimi sprawami.

W domu Eliza wyjęła wrzosową sukienkę z przydużego worka foliowego, w którym Larry odebrał ją z pralni, i

powiesiła do szafy. Spakowała do torby ubrania i bieliznę na zmianę, wygodne obuwie oraz przybory kosmetyczne, wyczyściła czarne półszpilki i zrewidowała zawartość torebki. Tak niewiele potrzebowała na ten dzień, który innym spędza sen z powiek przez dobrych kilka miesięcy. Lubiła względną prostotę swojego życia i była szczęśliwa, że skromność ich ceremonii nie wymagała żadnych akrobacji logistycznych.

Położyła się do łóżka z jakąś przypadkową książką z kolekcji Giny. Otworzyła ją w miejscu, w którym znajdowała się zapisana odręcznie kartka. Czerwony margines i drobne pismo nie pozostawiały wątpliwości, że znowu natrafiła na ślad tego samego poety. Były na niej dwa wiersze. Przeczytała je kilkakrotnie i chociaż nie doszukała się żadnego ich związku z Ustroniem, nabrała przekonania, że ich autorką była Regina. Jak i poprzedni były proste, lecz wzruszające i z pewnością inspirowane jej pobylem w domu opieki.

W bujanym fotelu

Ich portret ślubny w pokoju na ścianie i żony posażne lustro. Drzemie Antoni w fotelu bujanym; Bez Heli tak tutaj pusto.

Wzdycha Antoni w bujanym fotelu: Chciałbym już iść do ciebie. Nigdy nie myślał, że będę, Helu, marzył o własnym pogrzebie.

Dzieci i wnuki za oceanem. Nie widział jeszcze prawnuczka. Wstał, by pozbierać zdjęcia rozsypane i kota nakarmić - Mruczka.

Sekret

W zielonych zboża kłosach wspomnienie pozostało, jak gładził ją po włosach i mówił: Moja mała. Lecz zaraz po niedzieli ktoś jej powiedział o tym, że Franka Niemcy wzięli do miejsca bez powrotu. Żeby nie oszalała, nie zeszła na manowce, jeszcze przed Bożym Ciałem wydali ją za wdowca.

Żyła, jak jej kazano - pobożnie i przykładowie; smutku swojego wiano, skrywając w duszy na dnie.

Przyszli na pożegnanie rodzina i sąsiedzi. Wnuk mówi: Babcia Mania w gorączce chyba bredzi. A Franek cały w kłosach tak jak go pamiętała, gładzi po siwych włosach i szepce: „Moja mała”.

W powolnym dryfowaniu do stanu błogiej senności towarzyszyło Elizie wzruszenie głęboką wrażliwością Reginy Rawicz, ukrywaną przez nią z jakiegoś powodu pod skorupką pozornego lekkoduchostwa.

Eliza obudziła się wyspana, jednak gdy wstała z łóżka, dopadły ją mdłości i nie miała nawet ochoty na kawę.

Włączyła komputer i wpisała w okienko wyszukiwarki hasło „sposoby na mdłości w ciąży”. Z gąszczy przeróżnych porad przekonująco wyłoniło się „skonsumowanie kilku migdałów”. Greta wspominała kiedyś, że wuj Henryk spożywał je codziennie dla złagodzenia efektów chemioterapii. Penetrowała pospiesznie kuchenne schowki. Niestety, widocznie z dawnych zapasów nic nie zostało.

- Ładne mi Migdałowo! - wyładowała na głos swoją frustrację, trzaskając ostatnią z przeszukiwanych szuflad.

Wybrała numer komórki Larry'ego. Nie odpowiadał. Nie chciała nagrywać wiadomości. Poszła do łazienki i wzięła długi, ciepły prysznic. Wodna terapia przyniosła kojący efekt i Eliza poczuła się nieco lepiej. Włożyła koronkową bieliznę w liliowym odcieniu, którą wypatrzyła wczoraj, szukając biustonosza dla Nicole. Miękka tkanina narzuconego szlafroka zatrzymała tkwiące jeszcze w jej ciele od czasu kąpieli resztki ciepła. Wysuszywszy włosy, upięła je w koczek, spryskując nieco lakierem. Ożywiła bladość twarzy delikatnym makijażem z użyciem jasnioletowych cieni do powiek. Była głodna, lecz obawiała się zjedzenia czegokolwiek poza krakersami. Gdy schrupała ostatniego z paczki, oddzwonił Larry.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Tak, mam nudności i wymioty. - Jesteś chora? - przeraził się.

- Jestem w ciąży, panie Harris - zaśmiała się z jego reakcji. - Nawiasem mówiąc, wyczytałam właśnie, że kobiety

mające nudności w pierwszych miesiącach ciąży mają większą szansę jej donoszenia.

- To świetnie! - ucieszył się.

- Tak, tylko dlaczego musiało mnie to dopaść akurat w dniu ślubu?

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechał? - zapytał.

- Dałam instrukcje Nicole, aby cię zatrzymała, jeśli będziesz się do mnie wybierał. Już mi lepiej, Larry - dodała. - Byłoby jednak dobrze, gdybym miała ze sobą paczkę migdałów. Podobno najszybciej pomagają.

- Skoro nie chcesz mnie, to wyślę Nicky po te migdały.

Eliza poczuła się teraz naprawdę głodna. Zrobiła sałatkę z pomidora, cebuli i jajka na twardo. Zamiast śmietany dodała tym razem jogurtu. Gdy skończyła, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Dobrze wygląda ta sałatka - powiedziała Nicole, kładąc na stole paczuszkę migdałów.

- Siadaj i poczęstuj się - zaprosiła ją Eliza, podając dwa nakrycia i grzanki, które wyskoczyły właśnie z opiekacza.

- A do czego właściwie ci te migdały, ciociu?

- Pomagają mi na problemy żołądkowe, które czasem miewam - odpowiedziała.

- To pewnie emocje. Ja też jestem trochę podenerwowana. Musieliśmy walczyć z wujkiem Larrym, żeby jednak założył krawat. Marcus kupił mu ciemnoszary, bo spodnie ma w tym kolorze. Upierał się, że nie zniesie niczego zawiązanego pod szyją. W końcu doszliśmy do porozumienia. Dwa górne guziki koszuli pozostaną rozpięte, a krawat rozluźniamy i opuszczamy trochę niżej. Wiesz, jak to świetnie wygląda? Zakochasz się w nim na nowo. Dzięki za sałatkę. Muszę lecieć, pa!

Eliza uściskała Nicole na pożegnanie szczęśliwa, że nie wyszły na jaw ani jej ciąża, ani krępująca sprawa biustonosza.

Zjadła kilka migdałów, chowając resztę do torebki. Umyła dobrze zęby i pomalowała usta szminką, której kolor opisany był na zakrętce jako „przygaszony róż”. Założyła jasne rajstopy i wrzosową sukienkę ucieszona, że jej kreacja nie zbiegła się w pralni. Spryskawszy nadgarstki perfumami o nazwie „Tahitańska orchidea”, przełożyła pierścionek na prawą rękę, przygotowując tym lewy palec serdeczny do założenia obrączki. Uświadomiła sobie, że w Polsce byłoby akurat odwrotnie. Tylko że w Polsce nikt nigdy nie miał dla niej obrączki ani nawet pierścionka zaręczynowego.

Poszła do salonu i ze stojącej na kominku szkatułki wyjęła ofiarowane jej przez Marlenę perły Helenki. Światło dzienne wpadało już przez szybę w suficie z całą szczodrością pogodnego poranka, wydobywając pełnię koloru z dywanu wuja Henryka, na którym połyskiwało coś w słońcu. Podeszła bliżej.

- Reszka! - szepnęła, podnosząc z podłogi malutką dziesięciocentówkę.

Długo trzymała ją w dłoni, zanim wrzuciła do szkatułki i przeszła do przedsiionka, żeby założyć perły przed kryształowym lustrem. Zamieniła kapcie na czarne czółenka i ujrawszy podjeżdżający samochód, wyszła z domu, zamykając drzwi na oba zamki. Greta podbiegła i odebrała z jej rąk torbę z rzeczami przygotowanymi do noclegu w hotelu.

- Czemu taka ciężka, co? - zapytała. - Pewnie tego laptopa ze sobo wleciesz. No i po co ci on na twojo noc poślubno?

Robert objechał kościół i zaparkował z tyłu, zaraz przy zakrystii. Ksiądz Goodman i Larry już tam czekali, rozmawiając przy niewielkim stoliku. Na widok wchodzącej trójki momentalnie podnieśli się z krzesel.

- Wyglądasz oszołamiająco - powiedział Larry, ujmując obie dłonie Elizy.

Starala się nie patrzeć mu w oczy, w obawie przed dezorientującym skutkiem zielononiebieskiego spojrzenia. Efekt rozpiętej koszuli i luźno założonego krawata był sam w sobie wystarczająco elektryzujący.

- Czy są już Nicole i Marcus? - zapytała.

- Siedzą w ławkach. W pierwszym rzędzie oczywiście - dodał. - I żebyś nie była zaskoczona, chciałbym uprzedzić, że są w towarzystwie kilku innych osób.

- Kogo? - spytała przerażona, że mogła być wśród nich Michelle.

- Paru przyjaciół z klubu motocyklowego. - Ilu?

- Około dwudziestu.

- No i masz tu cichą ceremonię - powiedziała w głębi duszy zadowolona, że jej obawa była bezpodstawna.

- Proszę zostawić torby i okrycia w zakrystii, idziemy - polecił ksiądz Goodman.

Wyszedł pierwszy i pozdrowił zebranych uniesieniem dłoni.

- Stanęliśmy przed Bogiem, drodzy przyjaciele - zaczął - aby zaświadczyć i pobłogosławić chrześcijański związek małżeński Larry'ego i Elizy...

Gdy skończył, Marcus w popielatym garniturze i białej koszuli z krawatem, Nicole w wielobarwnej tunice oraz kilka rzędów ludzi w czarnych skórzanych kurtkach odpowiedziało słowami wydrukowanymi na wręczonych im wcześniej karteczkach:

- Radujemy się ich związkiem i prosimy Boga o błogosławieństwo.

Zaspiewano jakiś psalm, a potem ksiądz odmawiał modlitwę, z której Eliza zdołała wyłapać tylko ich imiona. Larry już trzymał jej dłonie w swoich, tak jak zwykł to robić, i powtarzał za księdzem słowa przysięgi. Nadeszła kolej Elizy.

- W imię Boga, ja, Eliza, biorę ciebie, Larry, za męża na wszystkie dni, które są przed nami, na dobre i na złe, na dostatek i na biedę, na czas zdrowia i czas choroby, aby obdarzać cię miłością i radością, aż rozdzieli nas śmierć. Składam tymi słowami moją uroczystą przysięgę.

- Daję ci tę obrączkę na znak mojej przysięgi. - Larry założył obrączkę na palec Elizy.

Gdy i ona wsunęła obrączkę na jego palec, zdobyła się wreszcie na odwagę napotkania jego spojrzenia. Czowała, że na to czekał. W odpowiedzi pochwycił jej dłoń i przyłożył do ust na długą chwilę. Oblała ją gorąca fala uczucia, która równie dobrze mogłaby być dzisiaj bożą łaską.

- Larry, Eliza - ksiądz Goodman przywołał ją na ziemię z obłoku zamyślenia. - Ogłaszam was mężem i żoną, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

- Amen - odpowiedzieli cicho.

- Amen, amen - rozległ się z którejś ławki donośny głos Williego.

- Amen - powtórzyli pozostali.

Nie czekając na instrukcje księdza, Larry ujął twarz Elizy w obie dłonie i dotykał delikatnie jej ust, pozwalając jej raz po raz odwzajemnić pocałunek. W kościele rozległy się brawa i pomruki zadowolenia.

Wsiedli do samochodu. Eliza chciała spytać o motocyklowe towarzystwo, ale nie było już takiej potrzeby, gdy Marcus wyprowadził hondę na główny parking i ustawił się za czekającą tam formacją harleyów. Na jej czele z szeroko rozstawionymi nogami i opartymi o asfalt stopami w masywnych skórzanych kamaszach czekał Willie. Tuż za nim Goldie i Shawn - każde na własnej maszynie. Zatknięte do ich motocykli chorągiewki oznajmiały, że eskortują nowożeńców. Reszta, szczerze dodając gazu, ustawiła się za samochodem Roberta i Grety. Gdzieś z tyłu rozległ się dźwięk klaksonu i

buty Williego oderwały się od nawierzchni, wprawiając w ruch ten niezwykle korowód.

- Niesamowite! - Zupełnie oszołomiona Eliza nie potrafiła zdobyć się na bardziej rozbudowany komentarz.

Niemniej było oczywiste, że prócz zadziwienia w tym jednym słowie zawierały się radość, uznanie i wdzięczność za stworzenie tej niecodziennej oprawy ich dzisiejszej ceremonii.

- Muszę się przyznać, ciociu Elizo, że maczałam w tym palce - powiedziała Nicole. - Wujek Larry też nie wiedział, aż do dzisiejszego ranka. Mam nadzieję, że się nie gniewacie.

- Nicole, to wspaniały prezent i niespodzianka. Dziękuję.
- Eliza wydusiła z siebie wreszcie coś więcej niż pojedyncze słowo.

- Ja też dziękuję. Doprawdy jestem wzruszony - dodał Larry.

- W takim razie - odezwał się Marcus - skoro Nicole poszła na pierwszy ogień i nie dostała od was po uszach, to i ja się przyznam do swojego współudziału. Podjęliśmy to ryzyko, bo jakoś nie odpowiadała nam wizja pustego kościoła na waszym ślubie.

- Myślałam, że jedziemy na lunch do Szalonego Konia - powiedziała Eliza, gdy korowód odbił w przeciwnym kierunku.

- Dla nich wszystkich jest tylko jedno docelowe miejsce. Ich motocykle, jak stare konie, same idą do tawerny - odrzekł Larry.

Wszystkie niewielkie stoliki tawerny zostały zestawione razem, nakryte obrusem i przyozdobione elegancką kompozycją róż i storczyków, która, jeśli mogłaby przemówić, zadałaby pewnie pytanie, co robi w tak obskurnym miejscu. Gdy barman Joe i żona Williego roznieśli napełnione szampanem kieliszki, Robert podniósł się z krzesła.

- Drodzy goście - zaczął - miałem dziś zaszczyt wziąć udział w wielkim dniu mojego przyjaciela, którego znam od początku swojej egzystencji na tej ziemi i którego mam przez to niemal za starszego brata. Jestem dumny z tej roli, bo nie każdemu dane jest napotkać w życiu kogoś tak szlachetnego, uczynnego, pracowitego i w dodatku artystycznie uzdolnionego, jak Larry. Jednak najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że moja żona, Gretchen, mogłaby powiedzieć podobnie o Elizie, z którą od lat jest zaprzyjaźniona. Oboje jesteśmy bardzo szczęśliwi, że tych dwoje niezwykłych i bliskich nam ludzi wstąpiło na wspólną drogę z ogromnym ładunkiem miłości i wzajemnego szacunku - wyznał na zakończenie wzruszony. - Wznieśmy zatem toast za Larry'ego i Elizę, za pana i panią Harris!

Larry wychylił szampana i Eliza dyskretnie podstawiała mu własny kieliszek, przejmując jego pusty. Gdy ucichły okrzyki, Nicole zaprosiła wszystkich na skromny poczęstunek, który miał być za chwilę podany.

- Jak pewnie niektórzy wiedzą - przemówiła - Eliza znaczną część życia spędziła w kraju, z którego wywodzi się również moja prababka. Niedawno dowiedziałam się od moich polskich przyjaciół, że tamtejszym zwyczajem weselny toast musi być osłodzony przez nowożeńców pocałunkiem, do którego goście dopingują okrzykiem: „Gorzko, gorzko!”.

- Dziękuję, Nicole - powiedziała Eliza po zadośćuczynieniu polskiej tradycji, która momentalnie przypadła do gustu rozweselonym już dobrze biesiadnikom, a najbardziej jej mężowi.

Przyniesiono kurze skrzydełka w ostrym sosie, kulki mięsne na patyczkach, opiekane kalmary, krewetki na zimno i sterty świeżo usmażonych frytek. Goście zamawiali przy barze napoje, a Joe krzątał się, zgarniając szczodre napiwki. Na koniec podano zrobiony przez Gretę tort, bynajmniej nie

tylko dla dekoracji sownie obsypany cienutkimi plasterkami migdałów. Eliza i Larry nie uniknęli tradycji nakarmienia partnera swoją porcją.

- Kiedy Larry powiedział w zeszłą niedzielę, że ich ślub jest w sobotę, myśleliśmy, że żartuje, chcąc jedynie zbyć nasze dociekania - przemówił Shawn McGregor, podchodząc do nowożeńców z przyozdobionym kokardą pudełkiem. - Na szczęście Nicole wyprowadziła nas z błędu. Jako przewodniczący klubu w imieniu jego członków składam Larry'emu i Elizie najlepsze życzenia i proszę o przyjęcie tego skromnego prezentu.

Larry przejął pudełko i dziękując wszystkim, uniósł w górę dwie czarne koszulki z wizerunkiem motocykla z przodu i napisem „Larry i Eliza” na plecach. Ktoś z obecnych spowodował, że grająca szafa odezwała się nastrojową piosenką Elvisa Presleya. Eliza już od jakiegoś czasu czuła wielką potrzebę przytulenia się do Larry'ego. Zaproszenie na parkiet wydało się jej zbawienne. Tym razem oboje mieli właściwe obuwie i wiedziała, że pierwszy taniec z jej mężem będzie wyjątkowym przeżyciem. Larry przygarnął ją ciasno do siebie i poczuła, jak wyjmował zapinkę z jej włosów i jak opadły na przyozdobioną perłami Helenki szyję. Usta Elizy znalazły się na wysokości rozpiętych guzików koszuli męża. Ku zadowoleniu i pewnie też zaskoczeniu swego partnera nie omieszkała zrobić z tego użytku. Kilka sekund ciszy między ustaniem muzyki a oklaskami gości pozwoliło Elizie usłyszeć zapewnienie Larry'ego, że nigdy w życiu nikogo tak bardzo nie kochał.

Larry poprosił o ciszę i podziękował gościom za przybycie i udział w uroczystości. Do wrót tawerny odprowadzały ich brawa i okrzyki. Nim odjechali w kierunku wiodącym ku nadmorskim miejscowościom, Greta przełożyła do hondy zapakowaną torbę Elizy i uściskały się obie na pożegnanie.

Minęli rezerwat przyrody. W dalekiej perspektywie zamajaczyły zarysy hoteli i letnich posiadłości. Larry skręcił jednak w prowadzącą w kierunku plaży boczną uliczkę, której nazwa służyła za adres kilku zaledwie starym, lecz dobrze utrzymanym domom. Eliza miała wrażenie, że już tu kiedyś była. Wjechali na piaszczyste, otoczone szpalerem karłowatych sosenek podwórze parterowego budynku w kształcie litery L. Na niewielkim parkingu stała czyjaś honda CRV w jasnoniebieskim, metalicznym kolorze.

- Czyj to dom? - zapytała Eliza.
- Do niedawna był mój.
- Prowadziłeś podwójne życie?

Larry zaśmiał się, lecz nie odpowiedział. Wziął Elizę za rękę i poprowadził na tyły budynku. Jej oczom ukazała się szeroka plaża, szara tafla szumiącego łagodnymi falami oceanu i niskie pagórki wydm porośniętych tu i ówdzie morskimi trawami. Zatrzymała się zupełnie zdziwiona. Kilka mew przeleciało z krzykiem ponad ich głowami.

- Dlaczego się tu znaleźliśmy? - zapytała.
- Bo wiem, że kochasz ocean... - odparł. - I mnie też - dorzucił po chwili z uśmiechem.

Wejście do domu od strony oceanu prowadziło przez obszerną, osiatkowaną werandę, która swobodnie mieściła komplet wiklinowych mebli, zawieszoną na łańcuchach pod sufitem dwuosobową huśtawkę i wielki wazon pełen czerwonych róż. Larry puścił na moment dłoń Elizy i otworzył zamek drzwi wejściowych. Odwrócił się ku niej i pochwyciwszy ją na rękę, przeniósł przez próg wprost do sporego saloniku z kamiennym kominkiem. Nagła zmiana pozycji wznowiła przypływ nudności i fizjologiczny odruch brutalnie unicestwił intymność tej chwili. Eliza musiała przeprosić Larry'ego i udać się do toalety.

Niewielkie okienko łazienki wychodziło na ocean. Uchyliła je i do pomieszczenia wpadł ożywczy powiew wilgotnego powietrza. Posłyszała, jak jakaś silniejsza fala rozbiła się o brzeg i w niebo wzbił się krzyk mew. Skorzystawszy z toalety, umyła twarz zimną wodą i poczuła się dużo lepiej.

Gdy wróciła do pokoju, zastała swojego męża na kanapie, w stanie głębokiego snu. Siadła naprzeciw niego w fotelu, zrzuciła pantofle i przysunawszy stojący obok puf, oparła na nim stopy. Teraz dopiero zauważyła wiszący nad kanapą duży obraz z autografem Larry'ego w prawym rogu. Przedstawiał wydmy z trawami. Zapewne te przed domem. Tylko czyj to był dom? Doznała odczucia, że wypadła z kart jakiejś bajkowej książki o Alicji w krainie czarów czy dziewczynce, co zawędrowała do domku niedźwiadków. Jej otoczenie było jednak realne. Patrzyła, jak szeroka klatka piersiowa Larry'ego unosiła się i opadała miarowo. Górne guziki jego koszuli wciąż były rozpięte, a krawat i marynarka - przewieszane przez oparcie. Dłonie miał założone za głowę i nie widziała jego obrączki.

Dotknęła swojej, jak gdyby chciała się upewnić, że naprawdę ma ją na palcu, że dzisiaj została żoną tego mężczyzny, którego знаła zaledwie od kilku tygodni i któremu zaufała w swoim przekonaniu, że tak właśnie miało się stać.

Eliza wstała z fotela i skrzypnęły głośno drewniane klepki podłogi. Spojrzała na Larry'ego. Nie poruszył się i posapywał równomiernie. Niespodziewany odgłos nie przebił widocznie bariery jego snu. Otworzyła podwójne drzwi między kanapą i niewielkim regałem. Prowadziły wprost do obszernej kuchni z jadalnym stołem i sześcioma krzesłami

Wróciła do saloniku. Larry wciąż spał w tej samej pozycji. Otworzyła wąskie drzwi przy łazience, które okazały się schowkiem na pościel. Ściągnawszy z półki kolorową derkę,

okryła nią Larry'ego i wróciła do korytarzyka. Drzwi naprzeciw łazienki były uchylone. Pchnęła je do środka pomieszczenia. Musiała to być dobudówka, która nadawała domowi kształt litery L. Wszystkie okna były zasłonięte i w pokoju panował półmrok. Wielkie łóże zakryte satynową kołdrą w kolorze głębokiego fioletu było najpewniej przygotowane dla nich. Wycofała się z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Nadchodził wczesny jesienny wieczór. Nad zatoką po drugiej stronie mierzei słońce na pewno zbliżało się już do widnokręgu. Larry spał od ponad godziny. Eliza zapragnęła jego bliskości i dotyku. Potrzebowała tego regularnie niczym zastrzyku jakichś niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania substancji. Wsunęła się pod derkę i przyłgnęła do niego, wtulając twarz w jego szyję. Poczowała na plecach jego dłonie.

- Długo spałem? - zapytał.
- Wystarczająco długo, abym się za tobą stęskniła i zgłodniała.
- Który głód chcesz zaspokoić najpierw?
- Pojedźmy gdzieś na kolację.
- Miałem nadzieję, że zdecydujesz odwrotnie - powiedział, przemieszczając dłonie z łopatek Elizy na jej pośladki.

Zajechali do niewielkiej restauracji z kuchnią grecką.

- Czy dowiem się wreszcie, w którym domu mamy dziś przyjemność gościć? - zapytała pomiędzy zupą a sałatką.
- W naszym.
- Przecież mówiłeś, że nie jest już twój.
- Był mój, a teraz jest nasz.
- To znaczy, że twój też.
- Wygrałaś. Poddaję się.

- Co za to dostanę? - spytała, oblizując zalotnie sałatkowy widelczyk.

- Dom nie wystarczy?

Pokręciła głową, łapiąc odświeżone snem zielononiebieskie spojrzenie.

- Samochód? - zasugerował, wyjmując z kieszeni kopertę. Wyczuła, że były w niej kluczyki. Wyjęła je z koperty wraz z kartką: „Kochanej żonie Elizie w dniu naszego ślubu - Larry". Nie wiedziała, czy bardziej wzruszył ją sam gest, czy niewyszukane i niepozostawiające miejsca na domysły słowa.

- Wybrałem niebieski, pod kolor twoich oczu - powiedział, kładąc rękę na jej dłoni.

- Jestem oszołomiona i czuję się fatalnie, że nie pomyślałam o czymś dla ciebie - odpowiedziała. - Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że na całym świecie nie znalazłabym żadnej rzeczy w kolorze twoich oczu - uśmiechnęła się.

- Jedyne, czego pragnę, to żebyś była ze mną szczęśliwa - odpowiedział Larry bardzo poważnie.

Chciała dać mu znać, że nie musiał w tym celu obdarzać jej samochodem. Nie potrafiłaby jednak znaleźć właściwych słów, aby go nie urazić.

Zanim wrócili z restauracji, zrobiło się zupełnie ciemno i dość chłodno. Eliza podeszła do niebieskiego samochodu i oparła dłonie na masce. Larry stanął obok.

- Włącz silnik - poinstruował.

Usiadła w fotelu kierowcy i gdy przekręciła kluczyk o pół obrotu, z dobrych głośników popłynęła miniatura fortepianowa Beethovena Dla Elizy.

- Dziękuję, Larry - wyszeptała wzruszona.

Wrócili do domu z bagażami. Rozsunąwszy zamek swojej torby, Eliza ujrzała niewielką paczuszkę podpisaną swoim imieniem. Rozwinęła kolorowy papier, znajdując w środku

kopertkę z napisem „Lubczyk ogrodowy otarty”. Otworzyła załączoną karteczkę:

„Kochana Elizo, przyjmij serdeczne gratulacje na nowo drodze życia. Ja już się dowiedziałam, co to takiego ten lubczyk, to gdyby co niemądrego do głowy przyszło, to dosyp sobie go do kawy. Zawsze życzliwa tobie - Greta”.

Chciała zadzwonić i powiedzieć, jak rozbawił i wzruszył ją ten upominek. Pomyślała jednak, że według Greta telefonowanie do przyjaciół nie mieściłoby się zapewne w kategorii czynności, którymi powinna się dzisiaj zajmować.

Stała na werandzie. Doszedł ją odgłos fal i chłód późnopaździernikowego wieczoru. Światło księżyca rzucało na tafłę oceanu srebrzysty kobierzec. Wróciła po derkę i okrywszy się nią, siadła na huśtawce zadowolona, że nie wróciły nudności. Dopiero z tej pozycji zobaczyła zasłanianą od czasu do czasu przepływającymi chmurami pełnię księżycowej latarni. Posłyszała skrzypnięcie drzwi. Odwróciła się w kierunku Larry'ego i skarciła go, że wyszedł w samej tylko koszuli. Usiadł obok niej na huśtawce i pozwolił okryć się połową derki.

- Jak ci się tu podoba? - spytał, przytulając się do niej.

- Byłam przekonana, że wylądujemy w hotelu. Tu jest przecudownie, Larry. Od jak dawna masz ten dom?

- Należał kiedyś do moich dziadków. Później do spółki z Danielem wynajmowaliśmy go urlopowiczom. Swego czasu mój brat stracił zainteresowanie i odkupiłem jego część. Mam stałych klientów praktycznie od maja do połowy października. Zamykam dom na zimę, a wiosną i jesienią niekiedy z niego korzystam.

- Przyprawdzając tu sobie dziewczyny?

- Dokładnie. Właśnie zwabiłem jedną z niecnymi zamiarami.

- Ledwie zdążyliśmy się pobrać, a już mnie zdradzasz?

- Nic na to nie poradzę. Ta dziewczyna obok mnie jest nieprawdopodobnie pociągająca.

Larry wziął Elizę za rękę i ruszyli w kierunku drzwi. Nie miała wątpliwości, że punktem docelowym będzie sypialnia.

Gdy Eliza się obudziła, Larry spał odwrócony do niej tyłem. Przytuliła się do jego nagich pleców i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Dzień dobry, pani Harris - powiedział i nie zmieniając pozycji, przyłożył jej dłoń do piersi, pozwalając czuć bicie swojego serca.

- Dzień dobry - odpowiedziała, przesuwając rękę wzdłuż jego ciała. - Zdaje mi się, że jesteś gotów zacząć nasz poślubny dzień od spełnienia swojego małżeńskiego obowiązku.

- Mam wystawić śmieci? - zażartował. Pociągnęła figlarnie jego warkoczek.

Nowy dzień był pochmurny i zanosiło się na więcej opadów. Mimo to po śniadaniu poszli na długi spacer po mokrej od nocnego deszczu plaży. Zbłąkane fale kończącego się porannego przyływu oblizywały wciąż jeszcze wygładzony brzeg płaskimi białawymi językami. Zaczynało kropić, gdy wracali wzdłuż szarego, zupełnie już zamglonego oceanu. Eliza z przyjemnością znalazła się w suchym i ciepłym schronieniu domu.

- Byłaś tutaj na plaży w zeszłym roku. Widziałem cię - powiedział Larry i czekał na jej reakcję.

- Wiem, wjechałam kiedyś w tę uliczkę, szukając spokojnego miejsca - oznajmiła.

- Tu jest zakaz parkowania - uśmiechnął się, łapiąc teraz jej wzrok.

- Domyślam się, że nie byłeś tu sam - rzuciła podchwytliwie.

- To prawda, nie byłem sam. Byłem w towarzystwie moich urlopowiczów. Zepsuła się lodówka i przyjechałem wymienić ją na nową. Zaproponowali filiżankę kawy. Wyszedłem najpierw na papierosa. Stojąc przy wydmach, patrzyłem, jak ktoś próbował wydostać się poza obszar fal na pozornie spokojną wodę. Mówię „pozornie”, bo tego dnia podawano ostrzeżenia o możliwości wystąpienia porywających prądów, a na tej plaży nie ma ratowników. Odruchowo podszedłem bliżej i wtedy zobaczyłem na ręczniku niebieską bluzkę - taką samą, jaką miałaś na sobie, gdy parę dni temu twój brat usiłował mnie z tobą poznać.

- Obawiałeś się, że trzeba będzie mnie ratować?

- Widziałem, że pływałaś równoległe do brzegu, a przy tym robiłaś to bardzo dobrze.

- Nie zaczekałeś, aż wyjdę z wody?

- Byłem jeszcze na plaży, gdy wychodziłaś na brzeg, ale zaraz potem pan Hawkins zawołał mnie na kawę. Siedzieliśmy na werandzie, tu, przy tym stoliku. Jego żona spytała, czy dobrze się czuję. Podejrzewam, że musiałem sprawiać wrażenie zahipnotyzowanego lunatyka.

- Dlaczego wtedy... - zatrzymała się w pół zdania, szukając właściwego słowa. - Dlaczego się wtedy nie ujawniłeś?

- Nie wiem. Może przestraszyłem się łatwości, z jaką poddałem się twojemu urokowi, a może bałem się ryzyka odmowy i bezpieczniej było zatrzymać cię w wyobraźni. Wiedziałem, że miałaś wkrótce odjechać.

Eliza pomyślała, że tak właśnie opisała młodzieńcze uczucie Adama.

- Tak czy owak, zachowałem się jak...

- ...zakochany smarkacz - dopowiedziała.

Larry uśmiechnął się i położył rękę na jej kolanie.

- Właśnie tak się poczułem, gdy w niedzielę rano przyjechałem po meble Grega. Twojego samochodu nie było pod domem. Zadzwoiłem do Grety, aby otworzyła mi drzwi. Dowiedziałem się, że wyjechałaś przed godziną. Miałem jeszcze nadzieję, że będziesz u brata. Spytałem go nawet o ciebie. Powiedział, że pojechałaś do Nowego Jorku odwiedzić przyjaciela i wrócisz dopiero jutro. Barbie dostała róże, które trzymałem dla ciebie w szoferce. Nie miałem widać szczęścia.

- To samo zawsze myślałam o sobie - odrzekła Eliza - ale to nie kwestia szczęścia, Larry. W życiu nie można grać zbyt bezpiecznie. Świat nie jest do tego przystosowany.

- Pewnie masz rację, ale gdy Gregory przedstawiał mi ciebie kilka dni wcześniej, nie zaryzykowałam nawet jednego spojrzenia.

- Wygląda na to, że był to największy błąd mojego życia. Poza przelotnym uśmiechem zadowolenia z komplementu Elizy

Larry mówił to wszystko z powagą i wzruszeniem.

- Czy wiedziałeś już wtedy o planach Helen, aby nas ze sobą... poznać? - zapytała.

Czuła, że była to dobra chwila, aby dowiedzieć się tego z pierwszej ręki.

- Ani jej, ani czyjekolwiek plany nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Po prostu nie wierzę w takie rzeczy jak sterowanie czyimś uczuciem, a już tym bardziej z zaświatów. Wiem na pewno, że nie byłbym na to podatny. Całą zasługę możemy spokojnie przypisać sobie samym.

- Na szczęście i ty, i ja wciąż byliśmy wolni - uśmiechnęła się Eliza.

- Wiedziałem, że przyjedziesz znowu, lecz tym razem nie liczyłem już na szczęście. Gdybyś kogoś ze sobą przywiozła, gotów byłbym sprać mu gębę. - Larry zmienił ton na bardziej żartobliwy.

- Jesteś nieprawdopodobnie zaborczy, ale ja chyba też. Będzie nam ze sobą... ciekawie.

- Dokąd chciałybyś pojechać na lunch? - zapytał Larry, gdy siedzieli już w nowym samochodzie Elizy.

- Na stację benzynową - odparła.

- Bardzo mnie cieszy, że aż tak pokochałaś swój nowy samochód, ale zatankowałem go do pełna już wcześniej. Poza tym miałem na myśli nasz lunch - zaśmiał się.

- Mówiłam to jak najbardziej poważnie. W tych małych sklepikach przy stacjach mają najlepsze hot dogi z kiszoną kapustą - powiedziała, przekręcając kluczyk.

- Zawsze tak lubiłaś tę kapustę?

- Nie miałam nic przeciw niej, ale dopiero w ciąży dopadły mnie takie zachcianki. Greta mówiła, że jak się ma ochotę na kapustę, to na pewno będzie chłopak.

Eliza bardzo szybko pożałowała, że podzieliła się z Larrym ludową mądrością swojej przyjaciółki. Omal nie przejechała stacji, którą miała uprzednio na myśli, gdy Larry oświadczył, że nazwą ich syna Henry. Nie wiedziała, czy bardziej zaskoczył ją jego wybór, czy dotknęło to, że dokonał go sam.

- Dlaczego akurat Henry? - zapytała tonem zwykłej ciekawości, w którym nie było słyhać zaskoczenia sprzed chwili.

- Jak by na to nie patrzeć, to twój wujek przygotował grunt pod nasze spotkanie. Poza tym zawsze podobało mi się to imię. Jeśli kiedyś brałem pod uwagę to, że mógłbym mieć syna, to tak chciałem go nazwać. Jeśli urodzi się dziewczynka, pozostawię ci całkowitą wolność wyboru imienia tak długo, jak będzie ono dla mnie możliwe do wymówienia - uśmiechnął się.

Eliza nie mogła oprzeć się refleksji, że kiedy mówiono o jej ciąży, to pojęcie odnosiło się jedynie do fizjologicznych

zmian i dolegliwości na skutek jakiejś nowej tkanki w jej ciele. Gdy Larry zaczynał mówić o dziecku, wszystko nabierało innej wymowy. Chociaż chodziło w sumie o to samo, zaczęła wyczuwać różnicę. Ta tkanka zmaterializowała się i spersonifikowała już wystarczająco, by móc stać się obiektem jej uczuć i obaw.

- Kiedy chciałabyś wrócić do Ustronia? - zapytał Larry. Ucieszyła się, że tym razem nie zdecydował za nich oboje.

- Wrócimy jutro po śniadaniu - powiedziała. - Muszę kupić parę rzeczy, a przede wszystkim jakieś dobre słodczyce dla Melissy i Amandy.

- Jeszcze nie wiesz o tym, że ja też zawsze przebieram się na Halloween - zakomunikował Larry. - Wcześniej dowiaduję się, kim będą dziewczynki, i wymyślam coś, aby je wystraszyć. Gdy w zeszłym roku przebrały się za Smerfetki, przywitałem je w kostiumie Gargamela. Bobby i Greta zawsze przywozili swoje córki do mnie, ale w tym roku przyjmiemy je razem. W Ustroniu - dodał dla jasności.

- Zdaje się, że będziesz musiał wystąpić w kostiumie kota. Przyjdą przebrane za szczury.

- Mam nadzieję, że zostaniesz moją kotką - powiedział, nalewając sobie kieliszek koniaku.

Gdy wyszli na popołudniowy spacer, była już prawie piąta. Zaraz po szóstej wieczorem zaszło słońce i niebawem zrobiło się ciemno.

- Czy wiesz, że dni w Polsce są dłuższe? - zapytała w drodze powrotnej.

- Chyba nie zechcesz z tego powodu tam wrócić?

- Larry, będę musiała pojechać do Polski na jakiś czas - odpowiedziała całkiem poważnie. - Myślę, że powinnam to zrobić, zanim urośnie mi brzuch.

- Nie chcesz pokazać się tam w tym stanie?

- Nie o to chodzi. W późniejszych miesiącach może być potrzebne zezwolenie od lekarza.

- Myślę, że będzie potrzebne i we wcześniejszych.

- Pewnie już się zastanawiasz, jak przekonać doktora Mercera, żeby mnie nie puścił.

Larry nie odpowiedział, ale widziała, że się uśmiechnął. Ścisnął mocniej jej rękę i odebrała to jako potwierdzenie, że jej przypuszczenie nie było dalekie od prawdy.

- Pomyślałam, że mogłabym pojechać z ciotką Fredą. Będzie wracała do Polski wkrótce po Święcie Dziękczynienia. Może też byś się wybrał? - zaproponowała nieśmiało.

- Wybacz, ale nie jestem przyzwyczajony ani do podróży, ani do towarzystwa ciotek.

- O ciotkach proszę z szacunkiem - zaśmiała się dla rozładowania załazków budującego się między nimi napięcia.

- Nie zapominaj, że też nią jestem. Poza tym gdybyś pojechał ze mną, nie musielibyśmy zabierać się z Fredą.

- Eliza, ja nie jestem gotowy na wyprawy do innych krajów. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Skoro już musisz jechać, to po prawdzie obecność ciotki brzmi dużo lepiej niż towarzystwo jakiegoś przygodnego współpasażera - dodał już trochę bardziej na luzie.

Po kolacji stworzonej z powyjmowanych z lodówki i kuchennych szafek zupełnie przypadkowych artykułów spożywczych Larry znów uraczył się kieliszkiem koniaku. Nie uszło uwagi Elizy, że menisk pozostałego w butelce płynu sięgał już połowy nalepki.

- Koniak sący się wolno, Larry - pouczyła go.

- Czy mówisz to, bo chcesz, żebym już nie pił? - powiedział tonem, z którego wynikało, że Eliza była na dobrej drodze do zepsucia mu humoru.

Niekiedy obawiała się, że za bardzo zawierzyła zapewnieniom Greta o łagodnej naturze Larry'ego, i myślała o tym, by ją przetestować.

- Larry, czy uderzyłeś kiedyś kobietę? - zagadnęła go wprost. Zamyślił się i była prawie pewna, że usłyszy coś nieprzyjemnego.

- Obawiasz się, że mógłbym skrzywdzić w ten sposób ciebie? - zapytał.

- Nie chodzi o to, czy się boję. Chcę tylko wiedzieć, czy byłbyś do tego zdolny.

- Lester nie był pierwszym, którego uderzyłem, i może nie będzie ostatnim, ale nigdy nie miałem intencji uderzenia kobiety - odrzekł.

Przywołał ją do siebie skinieniem ręki. Wstała z krzesła i siadła mu na kolanach. Lekki zarost, zapach dobrego alkoholu i oplatające ją ramiona Larry'ego przyjemnie pobudziły jej zmysły. Przeciągnęła palcami po jego nieogolonej twarzy. Przechwycił jej dłoń i całował powoli, jakby w podziękowaniu za ten niespodziewany gest.

- Chodźmy już do sypialni - powiedziała, biorąc go za rękę. Patrzyła, jak Larry zdejmował ubranie w świetle nocnej lampki.

- Jesteś piękna - powiedział, gdy uczyniła to samo.

Ułożył się przy niej na boku, lecz w przeciwnym kierunku. Ujawszy jej kostkę, okrywał pocałunkami każdy skrawek stopy. Eliza przytuliła się do nóg męża i gładziła je delikatnie opuszkami palców.

- Znam cię zaledwie kilka tygodni, Larry. Muszę się cię nauczyć - szepnęła.

- Dlatego zadałaś mi przy stole to pytanie?

- Między innymi - odrzekła, zmieniając nieco pozycję, by być bliżej niego.

Rozdział XIII

Słodyczne i chryzantemy

Do Ustronia wrócili około południa. Eliza przygotowała lekki lunch złożony z grzanek z sałatką z tuńczyka i paseczków kiszonych ogórków.

- Larry, potrzebuję twojej pomocy w łazience - powiedziała, spoglądając przez kuchenne okno na dwie zaparkowane przy cyprysowym gaiku hondy.

- Chcesz, abym umył ci plecy? - spytał, obejmując jej talię.

- Nie, ale potrzebna mi męska ręka - zaśmiała się.

- To brzmi bardzo ekscytująco.

Zaprowadziła go do pokoju wuja Henryka i poprosiła, aby zdjął osłonę pod szafką, na której osadzona była umywalka.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - zdziwił się.

- Tak, wytłumaczę ci to później.

Larry przyniósł skrzynkę z narzędziami i zabrał się do realizacji jej niecodziennego zlecenia.

- Otwórz, proszę - zachęciła, gdy na jej prośbę wyciągnął spod szafki wyszukane po omacku metalowe pudełeczko z napisem „Irish Breakfast Tea”. To mój prezent dla ciebie - poinformowała, ciekawa reakcji Larry'ego.

- Czy spodziewasz się, że będę to nosił na co dzień? - zapytał, kiedy udało mu się wreszcie zdjąć przyschnięte warstewką rdzy wieczko.

- Coś, co warte jest kilka tysięcy dolarów, może rzeczywiście lepiej nosić tylko od święta - odrzekła zaskoczona trochę jego pytaniem.

- Kilka tysięcy dolarów? - zdziwił się. - Czy to była własność jakiejś ważnej osobistości?

- Skądże znowu. To była własność wuja Henry'ego.

- Nie wiem, kogo wuj mógł mieć na myśli jako spadkobiercę, ale z pewnością nie mnie - powiedział Larry, spoglądając na Elizę z wyrazem zaniepokojenia.

- To męska wersja. Nie sądzę, aby spodziewał się, że ja będę to nosić.

- Nie wiedziałem, że te rzeczy robią w męskich wersjach - odrzekł Larry, wyciągając z pudełka poźółkłą koronkową podwiązkę z różową kokardką.

- Jezus Maria, Larry! Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że to nie rolex?! - wykrzyknęła Eliza, przysłaniając dłońmi mocno zaróżowione policzki.

- Skąd miałem wiedzieć, że chodzi ci o zegarek?

- To prawda. Skąd miałeś wiedzieć - powiedziała, ochłonawszy z emocji. - Pięknie! Teraz jeszcze spaliłam niespodziankę. W życiu nie trafiła mi się taka gafa. Jestem totalnie zażenowana.

- Nie martw się, kochanie. To zostanie pomiędzy nami i Henrym - powiedział Larry, sięgając ponownie pod szafkę. - Myślę, że on jest teraz bardziej zażenowany niż ty.

Rolex Henryka odnalazł się w drugim pudełku opatrzonym napisem „English Breakfast Tea”. Larry otworzył je bez większego trudu.

- Mam nadzieję, że ci się przyda. Wygląda na to, że będziesz go tylko musiał przestawić na zimowy czas - poinstruowała Eliza, przyglądając się niebieskawej tarczy.

- Dziękuję za wspaniały prezent. Przy każdym sprawdzaniu godziny będę myślał o tobie i Henrym - odrzekł, odgarniając z jej czoła kosmyk włosów. - Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciw temu, że zniknę na resztę popołudnia - dodał niespodziewanie, zakładając zegarek na rękę.

To mniej niż ogólne wyjaśnienie wprowadziło Elizę w zaniepokojenie. Ogarnęło ją przecucie, że to mogło mieć coś

wspólnego z Michelle. Wewnętrzny mechanizm samokontroli ostrzegał jednak Elizę, że zbliżała się do niebezpiecznego skrzyżowania egocentryzmu z podejrzliwością i że jeśli nie zatrzyma się tam przed znakiem stopu, to dojdzie do jakiejś nieprzyjemnej kolizji. Wiedziała, że musi użyć hamulca.

- Na którą mam przygotować obiad? - zapytała takim tonem, jakby gotowanie było jej codzienną rutyną.

- Właściwie to mam spotkać się z kimś w restauracji i tam omówić niektóre sprawy. Na pewno nie będę głodny.

Gdy Larry wyszedł, Eliza zdała sobie sprawę ze swojej izolacji. Nie chodziło bynajmniej o sprawy osobiste. Pojawienie się Larry'ego w jej życiu było zbawiennym deszczem po długotrwałej suszy. W Polsce nie czuła się jednak odizolowana. Wystarczyło wyjść z domu, by znaleźć się w którymś z zatłoczonych sklepików lub popłynąć ulicą z anonimowym tłumem przechodniów i oderwać się od niego z przypadkowo spotkanym znajomym przy narożnej kawiarence. Można było karmić przylatujące na skwer gołębice, pogwarzyć z siedzącymi na ławce emerytami czy wyjść tylnymi drzwiami na podwórze i dać się wciągnąć w rozmowę któremuś z bawiących się w piaskownicy dzieciaków. Nie była przyzwyczajona do życia na wsi i brakowało jej tętniącego życiem miasta.

Włożyła sweter i poszła na koniec alejki, aby wyjąć pocztę ze skrzynki i zabrać pusty kubek po śmieciach. Greta lub Robert musieli wystawić go wczoraj wieczorem. Gdy wkładała przyniesione koperty do koszyczka, rozległ się z niego dźwięk telefonu. Bez wątpienia była to komórka Larry'ego. Na ekraniku aparatu widniał nieznany numer. Odłożyła telefon i poszła do salonu. Włączyła telewizor.

Usnęła przy kursie gotowania, nie dowiedziawszy się, jak długo należało zapiekać rybę z jakimś bardzo skomplikowanym nadzieniem.

Gdy obudziła się, było dobrze po trzeciej. Zawibrowała wyciszona uprzednio komórka. Eliza pogłodziła sygnał i odebrała telefon.

- Widziałam, że twój samochód już stoi przed domem - odezwała się Greta. - Może przyszedłabyś pogadać? Dziewczynki lekcje teraz odrabiają, to mam spokój, no.

Perspektywa spotkania z Gretą i krótki spacer do jej domu ożywiły Elizę. Pojawiła się w dawnej powozowni w znacznie mniej melancholijnym nastroju i od razu podziękowała za przemyślny prezent. W kuchni cudownie pachniało dobrą kawą. Dziewczynki przybiegły się przywitać i pochwalić jakimiś rysunkami, ale Greta zapędziła je z powrotem do lekcji.

- Ten lubczyk to nie wszystko - oznajmiła, stawiając na stole ozdobioną wstążeczkami papierową torbę. - Dobrze się nadają do szarlotki - dodała, gdy Eliza wyłuskała z opakowania komplet bardzo porządnych blaszek do pieczenia ciast.

Wiedziała, że upominki Grety miały ukrytą, niemniej łatwą do rozszyfrowania intencję. Jak lubczyk miał pogłębić uczucie do Larry'ego, tak w podarowanych blaszkach niewątpliwie tkwiła nadzieja zduszenia w zarodku jakichkolwiek załączków niepewności ufnie pokładana przez Gretę w rytuale pieczenia szarlotki. Eliza odniosła wrażenie, że oba prezenty nabyte zostały bardziej z myślą o Larrym niż o niej samej. Greta nie należała jednak do kobiet, o które Eliza mogłaby być zazdrosna.

- No i jak tam było, no? - zapytała Greta po chwili.

- Pięknie, ale pogoda trochę nie dopisała - odrzekła Eliza, uściskawszy Gretę w podziękowaniu za prezent.

- Oj, ty wiesz, że ja nie o pogodzie się pytam, no.

- Jak się ludzie kochają dwa razy na dzień - Eliza dyplomatycznie użyła formy trzeciej osoby liczby mnogiej - to chyba jest dobrze. Tylko co będzie potem?

- Jak się urodzi dziecko, no to może dwa razy na dzień już nie będzie, no, ale wtedy przyjdzie do innych rzeczy, co was zbliży.

- Jakoś mi to zbliżanie trudno przychodzi poza łóżkiem. - Eliza zaskoczyła samą siebie swoją otwartością wobec Greta.

- Wydaje mi się, że niekiedy nie mam do Larry'ego pełnego zaufania.

- A jaki ty masz powód, żeby do niego zaufania nie mieć, no? On wszystko robi, żebyś czuła się z nim szczęśliwa.

- Czasem, gdy udaje mi się spojrzeć na to wszystko obiektywnie, czuję się jak ryba, która pozwoliła się złapać w zastawione sieci. Larry przez cały rok planował dla mnie to miejsce przy sobie i gdy tu przyjechałam, zaraz zrealizował swój plan. Może zrobił to tylko po to, aby pokazać, że mu się wreszcie udało.

- Komu pokazać? - zapytała Greta z naciskiem na pierwsze słowo.

- Całemu światu - odpowiedziała Eliza, choć naprawdę miała na myśli Michelle.

- A ty, Eliza, robisz wszystko, żeby pokazać temu twojemu całemu światu, że tobie się nie udało. I to ma być lepsze, no?

Eliza czuła, jak wielki głaz staczał się z jej z serca i rozpadał u jej stóp na ciepły i przyjemny w dotyku piasek. Celnością swojego prostego argumentu Greta nie po raz pierwszy wyratowała przyjaciółkę z topieli niepotrzebnych zmartwień. Postanowiła upiec jeszcze szarlotkę.

Pukanie do drzwi kuchennych oderwało Gretę od stołu.

- Dobrze, że cię znalazłem. - Larry z nieukrywaną radością podszedł wprost do Elizy, rzucając gospodyni domu jedynie krótkie pozdrowienie.

- Wujek Larry, wujek Larry! - Melissa i Amanda znów wybiegły z pokoju i oplotły szyję Larry'ego, gdy pochylił się ku nim z rozłożonymi rękoma. Podniósł obie dziewczynki i począł wypytywać o przygotowania do Halloween, otwierając nieopatrznie zaporę na rwącej rzece tego tematu. Trzeba było interwencji Greta, żeby dały mu wreszcie spokój i wróciły do odrabiania lekcji.

- Zabieram Elizę - oznajmił Larry, chwytając swoją żonę za rękę.

- Dasz mi dopić kawę? - zapytała urażona, że potraktował ją jak jeszcze jedno dziecko.

Greta popatrzyła na nią trochę niepewnie, ale Eliza nie odstąpiła od swego zamiaru i Larry zaczekał, aż opróżniła filiżankę.

Objęła go w pól, gdy zmierzali do Ustronia żwirową alejką. Miała przecucie, że Greta obserwowała ich z okna swojej kuchni. Niemal słyszała jej pozytywne „No!”.

- Przyjechałem zabrać cię na obiad do restauracji. Chciałem przedzwonić, ale chyba zostawiłem komórkę u Parkera - dodał z zażenowaniem.

- Twoja komórka jest tutaj. - Eliza wskazała koszyczek z listami.

- Pamiętam teraz, że położyłem tam telefon, gdy zakładałem kurtkę. Byłem jednak pewien, że schowałem go potem do kieszeni. Chyba tracę zmysły - powiedział, wyjmując komórkę z koszyczka. - Mam nadzieję, że tylko z twojego powodu - dodał, przyciągając Elizę do siebie.

- Myślałam, że planowałeś spotkać się z kimś w interesach.

- Nie myliłaś się. Postanowiłem, że wybudujemy klimatyzowane miniprzehowalnie z systemem alarmowym.

Eliza znowu nie była pewna, dlaczego powiedział „wybudujemy”, skoro i tak sam już podjął decyzję.

Uświadomiła sobie jednak, że w sprawach dotyczących biznesu dała Larry'emu wolną rękę i może po prostu respektował jej wolę.

- Nie ma ich jeszcze za wiele w okolicy - kontynuował. - Ludzie potrzebują przechowywać swój sprzęt pływający i inne rzeczy. Plac jest wystarczająco duży i dobrze widoczny z drogi. Byłem dziś u architektów, których zarekomendował mi wcześniej George Parker. Praktycznie wybrałem już podstawowy projekt.

- To z kim się spotykamy? - zapytała, wciąż bojąc się, że jakimś trafem będą to Steve i Michelle.

- Z McGregorami. Zatrudniam firmę budowlaną Shawna jako wykonawcę - odrzekł i Eliza poczuła wreszcie ulgę zażegnania niepewności.

Tym razem nie wylądowali w Tawernie. Spotkali się w dość dużej restauracji nastawionej na serwowanie żeberek i steków wołowych. Już gdy jedli podane przed głównym posiłkiem sałatki, było jasne, że ani Goldie, ani Eliza nie były zainteresowane omawianiem szczegółów budowy. Tematem ich rozmowy stały się najnowsze książki, o których urzędniczka z wydziału komunikacji opowiadała z pasją, a literatka z Ustronia nie miała pojęcia. Nad polanym zimnym sosem stekiem z kością w kształcie litery T Eliza powzięła decyzję o nadrabianiu zaległości wszystkimi możliwymi sposobami. Najlepszym z nich wydało się jej przystąpienie do klubu dyskusyjnego. Goldie należała do niego już od lat. Eliza wracała radośnie podbudowana perspektywą odrodzenia zaniedbanego ostatnio życia kulturalno - duchowego, nawet jeśli miało się to stać jedynie za sprawą lokalnej biblioteki.

Zaraz po śniadaniu Larry zgrabił opadłe liście i wywiózł je do zagajnika Phillipsów. Donice z kolorowymi chryzantemami stanęły rzędem wzdłuż domu, tworząc do spółki z zawieszonym na drzwiach stroikiem z suchych kolb

kukurydzy i ustawioną na rampie dynią prawdziwie jesienną dekorację.

- Pojadę teraz zrobić porządek przy moim rodzinnym domu - powiedział. - Chciałbym później spędzić trochę czasu w pracowni, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nie miała. I tak planowała wybrać się do księgarni wiedziona postanowieniem, aby jak najszybciej nabyć i przeczytać jedną z nowych powieści popularnego autora, o której zamierzano dyskutować na kolejnym spotkaniu klubu.

Gdy Larry wrócił przed wieczorem, Eliza wyczuła w jego zachowaniu pewną rezerwę. Dopóki wszystko odbywało się z cywilizowaną poprawnością, nie dociekała przyczyny. Podziękował za obiad i wyszedł przynieść drewno do kominka. Widziała przez okno, jak zapalał papierosa. Dopiero gdy usiedli w salonie przed buzującym ogniem, on z kieliszkiem koniaku, a ona ze szklaneczką soku warzywnego, Larry przerwał sztucznie podtrzymywany stan normalności.

- Byłem dziś u Parkera - zaczął. - To, co przypadkiem zostawiłem wczoraj u niego na biurku, nie było oczywiście moją komórką, ale też nic mi się nie przywidziało. Musiałem złapać to z rana zamiast telefonu - powiedział, kładąc pomiędzy nimi dobrze znany Elizie przedmiot.

- Mój dyktafon - stwierdziła oczywisty fakt, zdając sobie sprawę, że ostatnim nagraniem była jej telefoniczna konwersacja z Lesterem.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Larry wypowiedział to pytanie na tyle nieprzyjaznym tonem, że Eliza postawiła w stan pogotowia wszystkie swoje instynkty obronne i wypracowane mechanizmy samokontroli.

- Odnoszę wrażenie, że przesłuchałeś już nagrania - odpowiedziała spokojnie.

- Włączyłem to, przypadkowo naciskając jakiś guzik. Dlaczego, u licha, nie powiedziałaś mi o tym, że Lester

wydzwaniał do ciebie z tymi oszczerstwami? Gdybyś to zrobiła, może nie doszłoby do tragedii. Mam nadzieję, że George tego nie przesłuchał. Wiesz, jakie byłoby to dla niego przeżycie?

Larry był już poważnie zdenerwowany i mówił podniesionym głosem.

- To teraz mam czuć się winna utraty twojego biznesu, życia Lestera i spokoju sumienia George'a, tak? Że nie wspomnę już o Murphym - wygarnęła Eliza, nie ukrywając frustracji.

- Przekręcasz moje słowa. Zamiast wybuchać, po prostu powiedz mi, co cię skłoniło do zatajenia tego przede mną? - starał się mówić już bardziej spokojnie.

- Po pierwsze, sądziłam, że jeśli ci powiem, pobijesz Lestera i naruszysz warunki swojego zawieszenia. Przecież on do tego właśnie usiłował cię sprowokować! Po drugie, byłś świeżo po wylewie i bałam się o twoje wysokie ciśnienie, a po trzecie, dowiedziałam się, że jestem w ciąży, i nie chciałam, aby ojciec mojego dziecka wylądował w więzieniu albo w grobie. Podjęłam decyzję sama, bo uważałam, że należała w tym momencie do mnie. I nie była to jedyna decyzja, którą musiałam wtedy podjąć, Larry. Ani ty, ani ja nie wiemy, czy rzeczy miałyby się lepiej, gdybym zdecydowała inaczej. Źle się tylko stało, że w porę nie skasowałam nagrania.

- Widzę, że czujesz się całkowicie uprawniona do podejmowania jednoosobowych decyzji - powiedział, wstając z kanapy.

Gdy obejrzała się za nim, wkładał kurtkę i wyszedł zaraz, zamykając za sobą drzwi. Przywykła już nieco do takich reakcji Larry'ego. Może były następstwem jego dramatycznych przeżyć w przeszłości. Musiała przyznać, że jednak panował nad nimi do pewnego stopnia, który wydawał się jej do przyjęcia. Jego bezkompromisowa miłość,

uczynność i elektryzująca powierzchowność brały górę nad wszystkim, co było w nim niedoskonale i wystarczająco kompensowały każdą chwilę jego słabości.

Larry wrócił po blisko godzinie. Przysiadł nieśmiało na najbardziej odległym skraju kanapy.

- Przepraszam, Eliza - zaczął. - Chyba zignorowałem fakt, że to, co dla mnie było szczęśliwym spełnianiem moich cichych planów, dla ciebie musiało być zaskoczeniem losu. Przyjechałaś tu zupełnie nieprzygotowana na to, że twoje życie zmieni całkowicie swój tor. Teraz, kiedy próbuję postawić się w twojej sytuacji i wyobrazić sobie wagę decyzji, które musiałaś raz po raz podejmować, doprawdy czuję się zawstydzony swoim egocentryzmem.

Eliza odłożyła książkę, włożywszy uprzednio między kartki zakładkę z suchego listka, który opadł właśnie z palmy daktylowej.

- Rozmawiałaś z Gretą - stwierdziła, lecz Larry najwyraźniej odebrał jej słowa jako pytanie.

Pokiwał głową i przysunąwszy się bliżej, dotknął ręki Elizy. Eliza uśmiechnęła się na myśl o idealnie wyważonej roli, jaką Greta odgrywała od samego początku, tak wobec niej, jak i wobec Larry'ego. Raz po raz z wyczuciem i doświadczeniem łagodziła powstające między nimi napięcia.

- Tęsknisz za swoim życiem w Polsce? - zapytał Larry po dobrej minucie gładzenia dłoni Elizy.

- Są rzeczy, których mi brakuje, ale to nie ma wielkiego znaczenia. Wiedziałam, że nie mógłbyś wejść w moje życie, więc jestem w twoim.

- Dlaczego nie w naszym?

- To długi proces, Larry, i czasem wydaje mi się, że nie masz ochoty mu pomóc.

- Co masz na myśli?

- Chociażby to, że nie chcesz towarzyszyć mi w podróży do Polski.

- Eliza, od czasu, gdy wróciłem do domu po różnych przeżyciach, nie byłem zainteresowany dalekimi podróżami. Wiem, że jestem przywiązany do ziemi wieśniakiem, ale tylko tutaj czuję się dobrze. Nie mam potrzeby szukania przygód w wielkim świecie. Może po prostu się na nim zawiodłem. Myślałem, że też będziesz tu szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa, Larry. Nie wiem, dlaczego niekiedy zachowujesz się tak, jakbym działała przeciwko tobie i zasługiwała na wymierzenie kary.

- Czy naprawdę tak się zachowałem?

- Już nie raz... - Rozplakała się jak dziecko i jak dziecko wziął ją na kolana i kołysał, uciszając, aż się uspokoiła. - Kiedyś powiedziałaś, że moja przeszłość nie ma dla ciebie znaczenia - przerwała ciszę - i że jesteś wdzięczny losowi za rozpędzenie moich byłych adoratorów. Może powinieneś jednak wiedzieć, że w jednym przypadku pomogłam swojemu losowi kopnięciem adoratora w czułe miejsce.

- Mam nadzieję, że nie zastosujesz tego do mnie - zażartował.

- Zrobiłam to po tym, jak mnie uderzył - dodała, ignorując jego żart.

Przytulił ją mocniej do siebie i zatopił twarz w jej puszystych włosach.

- Co mogę zrobić, żebyś czuła się ze mną bezpieczna? - zapytał cicho po długiej chwili.

- Nie dawaj się ponieść gniewowi, bo od tego tylko krok do przemocy.

- Możesz być spokojna, że nigdy więcej nie okażę ci gniewu - obiecał. - Tak mi przykro, Eliza - wyszeptał, odgarniając pasmo włosów, które opadło na jej czoło.

- Chciałabym się chwilowo wstrzymać od kochania - powiedziała, gdy dłonie Larry'ego zawędrowały pod jej sweter.

- Dobrze, przełożymy to na jutro. Dzisiaj zrobię ci tylko masaż - uśmiechnął się.

- Miałam na myśli cały tydzień, Larry. Chcę się upewnić, że łóżko nie jest głównym aspektem naszego związku.

- A co się stanie, jeśli się okaże, że jednak jest? - zapytał.

- Wtedy będziesz musiał przekonać mnie, że nie ma w tym nic złego - odpowiedziała.

- Myślę, że chcesz mnie zwyczajnie ukarać. Niemniej konsekwencje ewidentnego niepowodzenia twojego eksperymentu brzmią zachęcająco - skomentował.

Przez ponad dwadzieścia ubiegłych lat ostatni dzień października był dla Elizyznaczony pierzastymi kulami białych chryzantem czekających cierpliwie w chłodzie balkonu na swój wielki dzień. Walicka trzymała je tam w poowijanych gazetami donicach i tak wiozły je nazajutrz autobusem na groby bliskich. Niemal prześladował ją teraz ich cmentarny zapach pomieszany z unoszącą się w mroźnym powietrzu wonią roztopionego wosku nagrobkowych zniczów. Nie pomagało jej to włączyć się w atmosferę zabawnie udekorowanych domostw i sklepowych witryn, które mijała po drodze do urzędów. Potrzebowała odpisu aktu małżeństwa, żeby móc potem wyrobić dokumenty na nowe nazwisko. Dzięki wykorzystaniu całej rozciągłości godzin urzędowania udało się jej zrealizować wszystkie plany.

Wróciła z daniami kupionymi na wynos w hinduskiej restauracji. Sądząc po zaparkowanym samochodzie, Larry był już w domu. Zastała go wycinającego coś z kartonu na stole w jadalni.

- Pracuję nad maską kota - wyjaśnił, przejmując od Elizy papierową torbę. - Czy coś się stało? - zapytał, gdy ruszyła bez słowa w kierunku szafek kuchennych.

Odezwała się, dopiero gdy nakryła do stołu i zajęła przy nim miejsce.

- Jestem bardzo głodna - powiedziała z widelcem w dłoni i grymasem zawodu, że Larry nie rozpakował jeszcze torby z ich obiadem.

Wieczór o tej porze roku nastawał wcześniej. Czerwone słońce chowało się już za przeredzone korony drzew, gdy oboje wyszli na podwórze. Larry wyjął z kieszeni zapalniczkę i pochylił się nad stojącą na rampie dyniową latarnią. Płomień umieszczonej wewnątrz świecy uwidoczniał imponujący rezultat jego misternej rzeźbiarskiej roboty w niewdzięcznym materiale, jakim jest stwardniała i podbita śliskim mięszem pomarańczowożółta skóra.

- Pamiętam nieudolne lampiony, które szykowaliśmy z Gregiem na Halloween - odezwała się Eliza. - Ten jest naprawdę dziełem sztuki, Larry. Czy robiłeś takie piękne dekoracje, gdy byłeś jeszcze dzieckiem?

Zdała sobie sprawę, że nie wiedziała niczego o jego dzieciństwie. Była ciekawa, jak wówczas wyglądał. Wyobraziła go sobie biegającego po polach z dwójką rodzeństwa.

- Od kiedy pamiętam, zawsze wycinała je mama. Chyba po niej odziedziczyłem ten talent - odpowiedział.

O wpół do siódmej wieczorem było już zupełnie ciemno. Larry chciał przypalić papierosa, lecz w tym momencie doszły ich głosy od strony powozowni. Schował paczkę do kieszeni i oboje z Elizą wbiegli do domu, zamykając za sobą drzwi. Eliza otworzyła je dopiero na dźwięk dzwonka, wychodząc naprzeciw dwóm przyprowadzonym przez Roberta szczurkom. Trzymała już w ręku koszyczek pełen ich

ulubionych batoników nadziewanych masłem orzechowym, po które mniejszy szczurek od razu wyciągnął łapkę.

- Amanda! - skarcił go większy szczurek. - Musisz najpierw powiedzieć... no wiesz co, zapomniałaś?

- Ja jestem Remi, a nie Amanda - skorygował mały szczurek, lecz zaraz posłusznie wyrecytował tradycyjną formułkę, z której wynikało, że narobi szkody, jeśli nie zostanie poczęstowany.

Eliza zaczęła napełniać przyozdobione wizerunkami upiórów torby dziewczynek i omal nie wypuściła z ręki swojego koszyka, kiedy to spod plastikowych masek wydobył się pisk, którego nie powstydzilyby się prawdziwe gryzonie, a zza jej pleców rozległo się gromkie miauczenie. W pierwszym odruchu szczurki schowały się za Roberta, lecz po chwili wybiegły w kierunku kota.

- To wujek Larry! - krzyczały rozbawione.

Lampa błyskowa profesjonalnie wyglądającego aparatu Roberta raz po raz rozświetlała scenę zabawy.

- Poznałyście mnie - poddał się Larry, rzucając na brzeg rampy maskę i gumowe rękawice z doczepionymi pazurami. - Teraz ja zgadnę, kim jesteście.

Zapiszczały z radości i ustawiły się przed nim, zadzierając głowy.

- Ty jesteś Amanda - pokazał na większą - a ten drugi szczurek to Melissa.

Zakrzyczały go, że nie miał racji, ale nie protestowały, gdy zastrzegł sobie prawo jeszcze jednej próby odgadnięcia ich tożsamości. Tym razem wskazał je prawidłowo.

- Wujek Larry znowu nie zgadł - wykrzyknęła Melissa, posyłając swojej młodszej siostrze zapobiegawczego kuksańca, na wypadek gdyby chciała być zbyt szczerą. - Obie nazywamy się Remi! - ogłosiła prawidłową odpowiedź.

- No to muszę chyba otrzymać od was jakąś karę za moje pomyłki - powiedział.

Szczurki zaczęły się naradzać nad rodzajem kary i jej surowością. Dalekie widocznie od jednomyślności szybko przeszły od szeptu do głośnej i gorącej dysputy.

- Słyszałam, jak mama wczoraj mówiła do wujka Larry'ego, że za karę musi pojechać ze swoją żoną do Polski, czy tego chce, czy nie - wypaliła Melissa.

- A kto jest twoją żoną, wujku Larry? - zapytała Amanda. Larry podniósł z brzegu rampy maskę uśmiechniętego szelmowsko kota i założywszy ją z powrotem na twarz, wydał dwa bolesne miauknięcia. Eliza zasłoniła twarz dłońmi i jak przed chwilą dziewczynki ukryła się za plecami Roberta nieświadoma wyrazu zakłopotania na jego twarzy. Nie doczekawszy się odpowiedzi, szczurki zdecydowały, że wujek Larry będzie im za karę towarzyszył w ataku na dom dziadków.

- Nie martw się, wujku - powiedziała Melissa, chwytając go za rękę. - Mama nas też wyśle do Polski, jak będziemy mówić do niej tylko po angielsku. Pojedziemy wtedy razem.

- I tę twoją żonę też zabierzemy - doszczebiotała Amanda, wsuwając swoją szczurzą łapkę w drugą dłoń Larry'ego.

Robert spojrział na Elizę i wzruszywszy ramionami w geście rezygnacji, podążył wraz z dziewczynkami w kierunku posesji Annie i Eda.

Eliza zagasila świeczkę, weszła do domu i od razu popędziła w kierunku kuchni, skąd dochodziło brzęczenie pomarańczowego telefonu. Greta zapraszała, aby wpadli do nich na pogawędkę. Kusila świeżo upieczonym ciastem. Eliza nie omieszkała przekazać wszystkich szczegółów wymiany zdań między dziewczynkami a Larrym i obie długo zanosily się od śmiechu. Z tej całej zabawnej sytuacji Eliza wyciągnęła jeden poważny wniosek. Larry nie tylko kochał dzieci, ale też

uwielbiał się nimi zajmować. A teraz oczekiwał od niej wydania na świat ich wspólnego dziecka niczym należnego sobie daru. Nie miała wątpliwości, że na ten dar zasługiwał. Poczula się przytłoczona ciężarem spoczywającej na niej odpowiedzialności i nie potrafiła otrząsnąć się z tego nawet wtedy, gdy przy smakowitym deserze planowali z Gretą i Robertem szczegóły obchodów zbliżającego się Święta Dziękczynienia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Elizę Larry w drodze do domu. Lekko gładził wierzch jej dłoni. Nie odpowiedziała od razu, kontemplując, jak sprawnie potrafił wyczuwać jej nastroje i jak szybko w razie potrzeby potrafił stać się czuły i opiekuńczy. Może czasem też traktował ją jak dziecko.

- Jestem trochę zmęczona i marzę, aby jak najszybciej znaleźć się w łóżku - odpowiedziała.

- Czy chcesz, żebym położył się w którymś z aneksów? - zapytał.

- Absolutnie nie - ożywiła się. - To podkopie mój eksperyment.

- Widocznie zupełnie nie znam się na eksperymentach. Zrobię, co zechcesz. Zniosłem już dziś jedną karę - uśmiechnął się.

Musiał być też zmęczony, bo usnął, zanim Eliza wróciła z łazienki.

Obudziła się o siódmej rano. Kołdra po stronie Larry'ego była odchyłona, a jego miejsce zostało puste. Eliza usiadła na łóżku i zamknęła oczy. Otworzyła je na dźwięk cichego skrzypnięcia podłogi. Larry stał naprzeciw z mokrymi jeszcze włosami, nieogolony, owinięty w pasie trochę przykusym ręcznikiem. Oparty o brzeg szafy spoglądał w kierunku Elizy z prowokującym uśmiechem.

- Jak ci się spało? - zapytał, nie ruszając się z miejsca.

- Śniło mi się moje mieszkanie w Polsce - odpowiedziała, starając się nie dopuścić do zagrożenia eksperymentu.

- Pójdę się ubrać - oznajmił, ucinając rozmowę.

Nie wiedziała, czy zrobił to, aby uwolnić się od tematu wyjazdu do Polski, czy też obawiał się, że nie utrzyma na wodzy swoich instynktów.

Niezwykła atmosfera Święta Zmarłych wciąż dopominała się od Elizy spełnienia tradycji, która nie istniała po tej stronie oceanu. Eliza co roku obiecywała sobie, że sprowadzi do Polski prochy mamy, i co roku ojciec i brat odwozili ją od tego pomysłu więcej niż jednym argumentem.

- Pojadę dzisiaj do Filadelfii - oznajmiła Larry'emu przy kuchennym stole.

Wyskrobując z dna skorupki resztki jajka na miękko, czyniła sobie ciche wyrzuty, że nie zaplanowała tego zawczasu. Larry spojrzał na nią z mieszaniną troski i zdziwienia, tak jak patrzy się na kogoś z niebezpiecznie postępującymi objawami choroby.

- Pojedziemy razem - zdecydował, mimo że jeszcze nie wyjawiała nawet powodu ani też nie sprecyzowała celu wyprawy.

- Chcesz odwiedzić brata? - odezwał się po chwili.

- Nigdy nie odwiedziłabym Barbie bez co najmniej trzydniowej zapowiedzi - zaśmiała się. - Chcę jedynie pojechać na grób mamy. W Polsce obchodzi się dzisiaj Święto Zmarłych.

Eliza podzieliła się z Larrym swoimi wspomnieniami szczególnej atmosfery tego niezwykłego dnia.

- Szkoda, że nic takiego nie przyjęło się w tym kraju - powiedział.

- Naprawdę masz czas i chęć, aby ze mną pojechać? - zapytała go.

- Może odwiedzilibyśmy przy okazji muzeum sztuki? Czytałem, że jest tam teraz wystawa prac kilku współczesnych niemieckich artystów, których nowatorstwo bardzo fascynowało mnie w czasach studenckich. Jeden z nich był wtedy nawet moim idolem - dodał, wymieniając jego nazwisko.

- Masz na myśli jego malarstwo?

- Na pewno nie jest to tradycyjne malarstwo, raczej coś z pogranicza malarstwa, fotografii, grafiki, a nawet rzeźby.

- Zaskoczyłeś mnie. Jak to się stało, że przestawiłeś się na realistyczne pejzaże?

- Mówiłem ci już, że pewnego dnia spadłem z obłoku na orną ziemię moich rodziców. Od tego czasu jestem bardzo realistycznie... uziemiony. W takim wiejskim realizmie panuje spokój i wszystko jest jednoznaczne. Nie służą mi widocznie eksperymenty - dodał z dwuznacznym uśmiechem.

- Wiem dobrze, że na zwiedzanie całego obiektu potrzeba ogromnie dużo czasu. Jak szybko byłbyś gotowy do wyjazdu?

- Będę musiał skoczyć do domu, to jest do mojego starego domu - poprawił się - i zabrać parę rzeczy. Wrócę po ciebie nie dalej niż za pół godziny.

Eliza włączyła komputer i sprawdziła swoją skrzynkę pocztową. Kasia informowała, że pan Zawada już dwa razy dopytywał, kiedy Eliza wraca do Polski, i prosiła, aby zadzwoniła w tej sprawie do jej cioci. Eliza zaklęła po cichu. Musi koniecznie skontaktować się z Danusią i dowiedzieć się czegoś więcej.

- Prezentujesz się bardzo elegancko - powiedział Larry, wysiadając z samochodu, żeby otworzyć swojej żonie drzwi od strony pasażera.

Czekała na niego pod domem z dużą, przewieszoną przez ramię torbą i dwiema doniczkami chryzantem w reklamówkach.

- Jedziemy przecież do wielkiego miasta - odrzekła, choć po prawdzie to zależało jej, by podobać się tylko jemu, a nie całej Filadelfii.

Zapalili znicze na grobie Waldemara, a potem wuja Henryka. Obie chryzantemy stanęły na wciąż jeszcze zielonej trawie, po obu stronach niewielkiego nagrobka z napisem „Regina Mazurek”. Larry przypalił knot znicza i Eliza poprosiła, aby zostawił ją na chwilę samą. Widziała, że poszedł z powrotem w kierunku grobu Henryka.

- Jestem w ciąży i wyszłam za mąż za bardzo, bardzo przystojnego faceta - powiedziała, poprawiając zagiętą gałązkę doniczkowej chryzantemy. - Larry jest niezwykle opiekuńczy. Prawie jak ty - dodała i łzy potoczyły się jej po policzkach.

Odwróciła się na odgłos kroków w wybetonowanej alejce. To był Larry. Wyszła mu naprzeciw, a on przejął z jej dłoni pomietą chusteczkę i delikatnie otarł mokre miejsca pod jej oczami.

- Rozmazał ci się makijaż - powiedział.

Opuściwszy cmentarz, podróżowali jakiś czas w całkowitej ciszy zamyśleni.

- Jeśli popatrzyłeś na daty, mama odeszła, gdy miała tyle lat, co ja teraz - Eliza przerwała ich milczenie.

- Daty nie są ważne. Liczy się ta kreska pomiędzy nimi - odrzekł Larry po chwili.

Nie od razu dotarł do niej sens jego słów.

- Chyba będę musiała zacząć zwiedzanie od toalety - oznajmiła Eliza, gdy parkowali przy muzeum. - Znowu mam mdłości. Szkoda, że nie pomyślałam o migdałach.

Zapytała jeszcze, na której wystawie się spotkają, ale Larry stwierdził, że zaczeka w holu i pójda razem.

- Czy mogę w czymś pomóc? - odezwał się kobiecy głos z sąsiedniej kabiny. - Jestem lekarzem internistą.

- Dziękuję, to tylko z powodu ciąży - odpowiedziała Eliza między kolejnymi wymiotami.

Gdy wyszła, młoda lekarka suszyła ręce pod strumieniem gorącego powietrza. Uśmiechnęła się, lecz Eliza pomyślała, że za tym uśmiechem krył się wyraz zaskoczenia nietypowym dla ciężarnych wiekiem. Umyła twarz i nałożyła nowy makijaż. Larry czekał, tak jak obiecał, i gdy tylko pojawiła się w holu, wyłowił ją z tłumu zwiedzających i złapał w sidła swoich objęć.

- Martwiłem się już o ciebie - wyszeptał w jej włosy. - Wszystko w porządku?

- Chyba tak, tylko może nie na długo, jeśli zaraz czegoś nie zjem. Przykro mi, Larry, pewnie nigdy jeszcze nie zwiedzałeś muzeum w ten sposób.

- Rzeczywiście, nigdy jeszcze nie zwiedzałem muzeum z ciężarną żoną - uśmiechnął się.

Pokaźny hamburger i napój imbirowy z muzealnej stołówki zatrzymały wszelkie niepożądane odruchy wystarczająco długo, by Elizie i Larry'emu udało się obejść parę stałych ekspozycji.

- Nie znam się aż tak bardzo na sztuce, ale o ile lubię oglądać nowatorskie rzeczy na wystawach, to w domu zawsze lepiej czuję się wśród realistycznych obrazów, takich jak twoje - odpowiedziała Eliza, gdy Larry zapytał ją o wrażenia.

- Gdybym miała wybrać coś spośród wszystkich obrazów Picassa, które tu widzieliśmy, bez wahania wzięłabym jego Chryzantemy. Zrobiłabym to z tego właśnie powodu.

- Dziękuję za komplement i porównanie mnie do takiej sławy - powiedział.

Eliza zajęła miejsce w samochodzie i z przyjemnością zrzuciła obuwie. Przeraziła się trochę, że obrzękły jej stopy.

- Masz ochotę pochodzić po starym mieście? - zapytał Larry.

- Dobrze byłoby przeczekać godziny szczytu.

Wiedziała, że po jej wyjeździe do Polski gruntownie odrestaurowano tę okolicę. Nie pamiętała nawet, kiedy była tam ostatnim razem. Nie przypominała sobie również, aby kiedykolwiek ktoś tak zwyczajnie zaprosił ją na wspólny spacer. Ogarnęło ją uczucie wzruszenia i radości. Nie mogła zniweczyć perspektywy przechadzania się z Larrym po ulicach miasta jej dzieciństwa czymś tak trywialnym jak zmęczone stopy.

Znaleźli miejsce do zaparkowania samochodu w którejś z bocznych uliczek i udali się pieszo w kierunku nabrzeża. U wejścia do jednej z odnowionych kamienic powiewała ogromna polska flaga.

- To Centrum Kultury Polskiej - wyjaśnił Larry, gdy Eliza zatrzymała się, by odczytać umieszczony nad drzwiami napis.

- O tej porze jest już niestety zamknięte. Byłem tam w zeszłym roku. Kupiłem nawet w ich sklepiku książkę o Tadeuszu Kościuszcze.

- Jestem pewna, że tej instytucji nie było tu w czasach, kiedy mieszkałam w Filadelfii. Pamiętam jednak Dom Kościuszki - niedaleko stąd, lecz na pewno też już jest zamknięty.

- Czytałem dużo o Kościuszcze - powiedziała Larry. - To niesamowicie zdolny i niezmordowany osobnik, który wiele uczynił dla Ameryki, ale jakoś tak ciągle tkwi w cieniu innych. Naprawdę zasłużył sobie na więcej.

- Może to zabrzmie niesprawiedliwie, ale przypadkowo czy nie stało się to zgodnie z jego wolą, bo na splendorach akurat mu nie zależało - odrzekła Eliza. - Niekiedy trudno jest docenić kogoś z tego właśnie powodu - dopowiedziała po cichu i czuła, jak Larry pogładził lekko wierzch jej dłoni.

Kamiennym pasażem ponad biegnącą wzdłuż nabrzeża autostradą dotarli nad rzekę Delaware. Kilkakrotnie szersza

niż Schuylkill, nad którą położone było Filadelfijskie Muzeum Sztuki, jak każdy duży akwen oddziaływała na Elizę magicznie - intrygowała i uspokajała - co w tej scenerii wcale się nie wykluczało. Mimo zbliżającego się zachodu słońca i ośmiuset metrów odległości między brzegami po należącej już do stanu New Jersey drugiej stronie rzeki dobrze było widać sylwetkę okrętu wojennego o tej samej nazwie.

- Wiem wszystko o tym pancerniku - powiedział Larry. - Mój ojciec służył na nim w czasie wojny koreańskiej. Chętnie cię kiedyś po nim oprowadzę.

Stanął za Elizą i zamknął ją w objęciach swoich ramion. Uniosła dłonie i gładziła delikatnie jego ręce, których ciepło cudownie łagodziło chłodny powiew znad rzeki jej dzieciństwa.

- Mamy zatem więcej niż jeden powód, żeby wrócić jeszcze do Filadelfii - odrzekła cicho, nie chcąc naruszyć osobliwego nastroju chwili.

Wracali z nabrzeża w milczeniu, wciąż się obejmując, niczym para zakochanych nastolatków.

- Jesteś zmęczona? - zapytał Larry.

- Trochę obrzękły mi stopy, ale w ciąży to chyba normalne.

- Za dwie godziny powinniśmy być w domu i będziesz mogła położyć się do łóżka - odrzekł, wsiadając już do samochodu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to już teraz odchyle oparcie i zamknę oczy - powiedziała.

Larry wyjął ze schowka płytę CD i za chwilę rozległa się wolna, relaksująca muzyka. Zanim dźwięki wiolonczeli ukołysały Elizę do snu, odrzucała raz po raz powracające jak bumerang wspomnienie odczytanego z rana maila Kasi. Chciała przywoływać jedynie chwile spędzone dzisiaj z Larrym i delektować się ich kojącym ciepłem.

- Podobała ci się ta muzyka? - zapytał, gdy dojeżdżali do Ustronia. - To było nagranie koncertu Samantha, córki mojego brata, kiedy jeszcze występowała z kwartetem smyczkowym. Teraz gra w orkiestrze symfonicznej - dodał w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Bardzo piękna i kojąca - odpowiedziała Eliza, zatajając fakt, że popadła w objęcia Morfeusza zaraz po pierwszych akordach.

Nie oponowała, gdy Larry pochwycił ją pod domem na ręce i zaniósł do sypialni, chociaż wiedziała, że i tak będzie musiała wstać, aby pójść do łazienki. Wyszła z niej boso i w szlafroku.

Zastała Larry'ego siedzącego w sypialni przy biurku, w rozpiętej kurtce i z kluczykami w ręku.

- Pojadę na parę godzin do pracowni - oznajmił.

- Masz coś pilnego do namalowania? - zapytała zdziwiona.

- Nie, ale jestem w nastroju, żeby trochę poeksperymentować - powiedział. - Mam na myśli malarstwo - wyjaśnił po chwili, przypieczętowując to swoim filuternym uśmiechem.

Pocałowała go na dobranoc, nie dając po sobie poznać, że pojęła aluzję.

Rozdział XIV

Duchy przeszłości

Eliza spojrzała na świecące cyferki budzika. Dochodziła szósta rano. Nie miała pojęcia, o której wrócił Larry. Podniosła się z posłania bardzo ostrożnie, aby nie zakłócić jego snu. Odłączywszy ładującą się na biurku komórkę, zabrała ją ze sobą do kuchni. Gdy już zaparzyła kawę i z namaszczeniem postawiła na kuchennym stole wielki, parujący ożywczym aromatem kubek, podeszła do wiszącego na ścianie telefonu. Po wystukaniu długiego numeru ze słuchawką w ręce wróciła do swojego porannego sanktuarium.

- Galanteria, słucham - doszedł ją po chwili głos Danusi.

- Dzień dobry, tu Eliza. Masz teraz chwilkę?

- Tak, tak, oczywiście. - W głosie jej rozmówczyni było tyle samo radości, ile zmartwienia.

Elizę przeszedł instynktowny dreszcz, wywołany przecuciem jakiejś nie najlepszej wiadomości. Słyszała, jak Danusia dawała polecenie pracownicy, która sklejała i zszywała paski na zapleczu, aby zajęła się klientami, gdyby weszli do sklepu.

- Wiem od Kasi, że Wiktor o mnie dopytywał. - Eliza od razu przeszła do rzeczy.

- No tak, pierwszy raz to tylko kartkę w drzwiach zostawił z pretensjami, że pozmieniałaś numery telefonów i adresy mailowe, a jego nie powiadomiłaś. To było jakieś dwa tygodnie po twoim wyjeździe i nawet nie chciałam cię tym denerwować. Gdy potem któregoś razu zaszedł do mnie do sklepu, to już wiedział, że wyjechałaś do USA na parę miesięcy. Może ktoś z waszych wspólnych znajomych go poinformował. Pytał, kiedy wrócisz, a ja oczywiście powiedziałam, że nie wiem. Żadnych adresów ani telefonów też mu nie dałam.

- Mam nadzieję, że od tego czasu się nie pojawił.

- No właśnie, tu jest cały problem. Mnie wtedy nie było, gdy przyszedł ponownie. Rysia, moja pracownica, stała za ladą. Powiedział jej, że ma służbowy wyjazd do USA i chciałby się tam z tobą spotkać.

Eliza poczuła, jak przyplływ adrenaliny stawiał wszystkie jej zmysły w stan najwyższej gotowości. Słuchała uważnie, popijając z wielkiego kubka przestygniętą już nieco kawę. Z jakiegoś powodu począł ją drażnić uśmiechnięty dziób kaczora Donalda. Obróciła kubek o sto osiemdziesiąt stopni.

- Pytał o twój telefon - kontynuowała Danusia - ale Rysia powiedziała mu, że z tymi sprawami to tylko do mnie. Najgorsze, że jak Kaśka wróciła tego wieczoru do domu, zaraz zadzwoniła, że chyba ktoś szukał czegoś na twoim biurku, bo korespondencja, co ją dla ciebie odkłada, była pomieszana, a ten list od prawnika z USA leżał na samym wierzchu wyjęty z koperty.

- Przecież napisałam, żeby go zniszczyć i wyrzucić! - wykrzyknęła Eliza z nietypowym dla siebie gniewem.

- Widocznie się nie doczytała. Na szczęście nic nie zginęło. - Jesteś pewna, że jej się nie przywidziało? Wiktor nie mógłby otworzyć mieszkania swoim kluczem, bo przecież przed wyjazdem zmieniłam zamki. Twój mąż mi je pozakładał, pamiętasz?

- To prawda, że Jarek wymienił zamki, tylko że potem Kaśka zapodziała gdzieś dodatkowy klucz i dała swój chłopakowi, Łukaszowi, żeby dorobił. Nie wiedział, że miał dziurę w kieszeni kurtki i ten jeden jedyny klucz musiał mu wypaść gdzieś po drodze. Trzeba było wyrwać zamek i z powrotem założyć ten stary, bo akurat był pod ręką. Mieli kupić nowy, ale jakoś im zeszło...

- Jasna cholera! - zaklęła Eliza. - On teraz ma mój adres! Jak dawno temu to się stało?

- W zeszłym tygodniu.

- Czy mówił Rysi, kiedy ma być w USA i w jakim mieście?

- Nie, ale ona twierdzi, że zachowywał się tak, jakby na dniach miał już wylatywać.

Gdy Eliza skończyła rozmowę, było wciąż bardzo wcześnie. Wróciła po cichu do łóżka, lecz nie potrafiła usnąć pod natłokiem myśli. Po tym, jak odziedziczyła mieszkanie Walickiej, wynajęła jeden z pokoi Kasi, bratanicy Danusi. Akademik nie zapewniał jej rzekomo wystarczająco spokojnego kąta do pisania pracy dyplomowej. Szybko okazało się, że nie tylko do tego. Eliza nie miała nic przeciwko temu, że Łukasz regularnie nocował u Kasi, ale teraz była zła na niego za zgubiony klucz, na Kasię, że nie zniszczyła listu, na Jarka, że nie wyrzucił od razu starego zamka, na Wiktora, że nie respektował jej decyzji, i wreszcie na siebie, że nieopatrznie do tego wszystkiego dopuściła. Ze wszystkich tych negatywnych odczuć szczególnie nieprzyjemne było to, które dotyczyło Wiktora. Gdyby nie ta bezsensowna znajomość, może już od roku byłaby z Larrym. Spojrzała w jego stronę z uczuciem uspokojenia, które w swej łaskawości wkrótce podarowało jej sen.

Larry wyjął z rana listy ze skrzynki i po jego wyjściu Eliza zajęła się przeglądaniem korespondencji. Spomiędzy kolorowych broszur i zadrukowanych reklamami pakietów wysunęła się ręcznie zaadresowana koperta z ciemnoniebieską nalepką poczty lotniczej i kilkoma gęsto ostemplowanymi znaczkami o niewielkich nominałach. Wizerunek Jana Pawła II nie pozostawiał wątpliwości, że koperta nadeszła z Polski, a charakter pisma - że nadawcą był Wiktor Zawada. Postanowiła odesłać list z dopiskiem, że adresat jest nieznan, i odwróciła kopertę, by odpisać adres zwrotny. Pod imieniem i nazwiskiem Wiktora figurował jednak jej własny, polski adres. Ten przejaw arogancji wyzwolił w niej jakąś

prymitywną formę pogardy, która sprawiła, że rzuciła w duchu najbardziej wulgarną wiązaną przekleństw, jaką kiedykolwiek słyszała i jakiej nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć na głos. Nie chodziło jej o to, że Wiktor zwodził ją obietnicami rozwiązania swojego nieudanego związku i z jakiegoś powodu jego wysiłki w tym kierunku okazywały się równie nieudane. Pół roku temu odszedł urażony, gdy wytknęła mu jego opieszałość. Eliza przyjęła to z niejaką ulgą za koniec ich znajomości. Ogarnęło ją uczucie wzburzenia, że śmiał teraz rościć sobie prawo do miejsca w jej życiu, w którym nie miał już szansy na najpodlejszą nawet rolę.

Rozerwała kopertę i wyjęła z niej odręcznie zapisaną kartkę papieru. Wiktor donosił, że na początku listopada przyjeżdża służbowo do Baltimore z grupą młodych przedsiębiorców, instruując Elizę, aby jak najszybciej przesłała mu mailem swój numer telefonu. Po tym następowały słowa dalekie co prawda od przeprosin, lecz nieznacznie sugerujące pewną możliwość winy po jego stronie. List kończył się cieplejszym już nieco ponowieniem prośby o jak najszybszy kontakt i banalnym podpisem „Twój kochający Wiktor”, który wydał się Elizie absurdalnie zabawny.

Porwała list i już bez odruchu złości wrzuciła go do śmieci wraz ze skorupkami jajek i kawałkiem chleba, który wcześniej spadł jej na podłogę masłem do dołu. Ogarnięta obawą przed ewentualnością niespodziewanej wizyty Wiktora wiedziała, że musi jak najszybciej znaleźć pretekst, aby wyrwać się z Ustronia. Wykapawszy się szybko, założyła pospiesznie drelichowe spodnie

i przylegającą do ciała trykotową bluzkę w poprzeczne kolorowe paski. Zadzwoiła na komórkę Larry'ego. Był na

spotkaniu x George'em Parkerem, lecz miał wkrótce wrócić do swojej pracowni.

- Przyjadę zrobić ci lunch - powiedziała.

Nie było go jeszcze, gdy podjechała przed dom. Otworzyła drzwi kluczem schowanym w skrytce pod kamieniem. Z poddasza dochodziła muzyka. Nastawiła w kuchni wodę na herbatę i poszła na górę. W połowie schodów zawahała się, czy powinna wchodzić do pracowni Larry'ego pod jego nieobecność, ale skarciła siebie w duchu za te wątpliwości. Była przecież jego żoną. Larry miał na warsztacie portret, który najwyraźniej próbował stworzyć na podstawie leżącej obok fotografii jakiegoś starszego, dystyngowanego jegomościa.

Gwizdek czajnika sprowadził Elizę na dół. Zaparzywszy herbatę, przejrzała zawartość szafek i zaopatrzenie lodówki. Znalazła dwie puszki łososia. Zrobiła z tego kilka kotlecików i włożyła je do lodówki gotowe do usmażenia. Pokroiła w plastry jeden z leżących na kuchennym stole pomidorów. Gdy myła przy zlewie listki sałaty, wszedł Larry. Odwróciła się ku drzwiom.

- Nie widziałam cię od wczoraj - powiedziała.

- Bardzo dużo straciłaś - odrzekł pół żartem, pół serio, zawieszając wzrok na jej przylegającej do ciała koszulce.

Eliza zdała sobie sprawę, że nie założyła dziś biustonosza i nie protestowałyby, gdyby wytknięto jej, że zrobiła to z premedytacją.

- Wyglądasz tak jak wtedy, gdy przyszedłam do twojego sklepu szukać swoich mebli - zauważyła, owijając ramiona wokół jego pasa.

- Nie zrobiłem wówczas na tobie dobrego wrażenia - odrzekł, nachylając się ku jej ustom.

Pokręciła głową w geście zaprzeczenia i gdy uwolnił jej wargi z pocałunku, zapewniła, że wyglądał bardzo pociągająco.

- Dosyć znęcania się nad prawowitym mężem, droga pani Harris - powiedział, chwytając ją na rękę. - Twój eksperyment jest okrutną i nielegalną formą kary.

- Mój eksperyment jest już zakończony - oświadczyła, obejmując jego szyję.

- Ach tak? Czyż nie miał trwać cały tydzień?

- Bez kochania każdy dzień liczy się co najmniej dwukrotnie. To jest dodatkowe odkrycie, jakiego przy okazji dokonałam.

Gdy jedli ich spóźniony lunch, Larry oznajmił, że będzie musiał tego dnia popracować jeszcze nad zamówieniem.

- Ktoś chce ofiarować ojcu portret na jego siedemdziesiąte piąte u rodziny - wyjaśnił.

- Kim jest ten ktoś? - spytała, układając chrupiące kotleciki na listkach sałaty.

- Nie masz powodu być zazdrosna, kochanie - powiedział.

- Moimi klientami są ostatnio wyłącznie mężczyźni. Ten portret zamówił u mnie Terry Mercer.

- Mój doktor jest twoim klientem?

- Nie tylko klientem. Byliśmy już dwa razy na piwie.

- Mam nadzieję, że nie dyskutowaliście przy barze o mojej macicy.

- Oczywiście, że nie. Omawialiśmy wyłącznie twoje zewnętrzne części ciała. Wspaniałe kotleciki - powiedział, gdy Eliza wykonała taki ruch, jakby chciała rzucić w niego pomidorem.

- Zostanę tu z tobą do wieczora - oznajmiła. - Mam ze sobą laptopa. Zajmę się pisaniem, więc nie będę ci przeszkadzać.

Larry uniósł do ust jej dłoń.

- Przeszkadzać? Jestem szczęśliwy, że chcesz być ze mną
- odpowiedział, zanim jeszcze przycisnął do warg opuszki jej palców.

Eliza poczuła wyrzuty sumienia, że tym razem bardziej niż na przebywaniu z nim zależało jej na znalezieniu schronienia przed innym mężczyzną. Przez moment chciała nawet powiedzieć o wszystkim Larry'emu, lecz duże prawdopodobieństwo, że Wiktor zarzucił swój pomysł, w kombinacji z jej nieobecnością w domu na wypadek niespodziewanej wizyty skłoniły ją ostatecznie do przyjęcia taktyki nieuprzedzania faktów.

Rozłożyła się z pisaniem na biurku Larry'ego. Oboje pracowali w milczeniu przy cicho grającej muzyce. Eliza przyniosła ze sobą jeden z elektronicznych listów Helenki, który w porównaniu z innymi był nietypowo długi. Po kilkakrotnym przeczytaniu zdecydowała się nadać opisanemu w nim spotkaniu formę dialogu.

- Jak smakują? - zapytał Henryk swojego sąsiada. - Robiliśmy te zrazy wspólnie z Helen.

- Wyśmienite - odparł Larry Senior. - Dawno już nie jadłem tak dobrego domowego obiadu. Szczerze mówiąc, od kiedy wnuki wyprowadziły się do akademika, obchodzimy się z synem byle czym albo zamawiamy pizzę u Tony'ego Lombardi.

- Musimy zatem częściej zapraszać cię na obiad - zaśmiała się Helen. - Chociaż przyznam się, że nam przeważnie gotuje Greta. Czasem tylko upichcimy coś z Henrym na specjalną okazję.

- Jaką to specjalną okazję mamy dzisiaj? - zapytał ich gość.

- Nie myśl, że dziś są czyjeś urodziny - wyjaśnił od razu Henryk. - Chcieliśmy jedynie z tobą o czymś porozmawiać i posłuchać, co o tym sądzisz. Niech Helen powie, bo to

właściwie jej pomysł. Ja go tylko poparłem i zgodziłem się pozawijać zrazy - zaśmiał się.

- Pytałeś mnie kiedyś - odezwała się Helenka - czy nie zajęłabym się przetłumaczeniem pamiętników twojej teściowej. Odmówiłam, bo nie sądziłam, abym mogła to zrobić profesjonalnie.

- Zmieniłaś zdanie? - wszedł jej w słowo Larry.

- Nie, nie zmieniłam zdania, ale znam kogoś, kto potrafiłby zrobić to dobrze.

- Helen ma na myśli córkę Waltera, a moją bratanicę, Elizę. Może przypominasz ją sobie. Przyleciała z Polski na pogrzeb ojca - wyjaśnił Henryk.

- Eliza pisze książki i przekłada teksty, a przy tym ma odpowiednie wykształcenie i uprawnienia tłumacza - dodała Helen.

- Nie wiem, czy to dobrze wysyłać te pamiętniki do Polski. - Larry nie był najwyraźniej zachwycony pomysłem.

- Nie będziemy ich wysyłać. Eliza na pewno znów przyjedzie, nawet jeśli tylko na kolejny pogrzeb - uśmiechnęła się niepewnie Helena.

- Może nawet książkę z tych pamiętników by stworzyła - odezwał się Henryk. - Twój syn mógłby zrobić ilustracje.

- No właśnie - ucieszyła się Helena - mogliby razem nad tym pracować.

Wstała, by zanieść talerze do kuchni, i wróciła z dzbankiem kawy bezkofeinowej.

- O co tu naprawdę chodzi? - zapytał Larry, spoglądając z zaciekawieniem to na Helenkę, to na Henryka.

Eliza wstała od komputera i podeszła do sztalugi.

- Widzę, że całkiem dobrze idzie ci ten portret - powiedziała.

- A jak tobie pracuje się przy moim biurku? - zapytał Larry, nie przestając malować.

- Lepiej, niż myślałam - odrzekła, nie przyznając się, że pisała o jego ojcu.

- Czy Marcus i Nicole przyjeżdżają dzisiaj? - zapytała Eliza, gdy Larry wszedł do kuchni.

Tym razem wstała pierwsza i już przygotowywała śniadanie.

- Tylko Marcus. Nicole mówiła, że pojawi się dopiero w następny weekend.

- Dzisiaj mija tydzień od naszego ślubu - zauważyła.

- Chciałabyś to jakoś szczególnie uczcić? Moglibyśmy wybrać się jutro do Baltimore. Tam też są interesujące muzea.

Prawdopodobieństwo natknięcia się na Wiktora w liczącym ponad sześćset tysięcy ludności mieście było zapewne bliskie zera. Niemniej Baltimore było ostatnim miejscem na mapie USA, które Eliza chciałaby odwiedzić w początkach listopada. Było jej przykro, że musiała odmówić, i szukała w myślach rozsądnej wymówki.

- Do Baltimore chętnie wybiorę się w przyszłości, ale dopóki jest jeszcze w miarę ciepło, z przyjemnością powtórzyłabym nasz pobyt nad oceanem - powiedziała wreszcie. - Dobrze byłoby wykorzystać pozostałe zapasy w lodówce i pościel z nocy poślubnej - uśmiechnęła się.

- Moglibyśmy wyjechać dopiero pod wieczór - powiedział Larry. - Przed południem Terry ma wpaść po obraz. Obiecałem też Marcusowi, że spędzę z nim dziś trochę czasu. Chce porozmawiać o jakichś poważnych sprawach. Podejrzewam, że o swoich planach na przyszłość.

- Może zatem pojedę sama - zaproponowała - a ty i Marcus dojedziecie na kolację.

- Wiem, że tęsknisz za oceanem. Możesz jechać tam, kiedy tylko zechcesz, a ja, z Marcusem czy bez, dojadę pod wieczór. Pamiętaj, że kod do schowka na klucze to data trzydziestego grudnia.

- Dobry sposób, żeby nie przegapić urodzin żony - zaśmiała się.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia - powiedział.

Gdy Larry odjechał, Eliza wróciła do Ustronia i zabrała się pospiesznie do pakowania. Wyjęła z zamrażalnika dwie paczki mielonego mięsa indyka, które czas już było zagospodarować. Postanowiła kupić po drodze kapustę i zrobić gołąbki. W domku nad oceanem widziała duże zapasy ryżu.

Była już gotowa do wyjazdu, gdy w kuchni odezwał się pomarańczowy telefon.

- Eliza? - zapytał męski głos po drugiej stronie.

W pierwszym odruchu chciała odłożyć słuchawkę i zrobiłaby to, gdyby nie fakt, że Wiktor był w posiadaniu jej adresu. Z dwojga złego wolała rozprawić się z nim przez telefon. Nie obchodziło ją za bardzo, skąd miał jej numer. Pewnie znalazł go gdzieś w internecie.

- Gdzie jesteś? - zapytała tylko po to, aby upewnić się, że nie stoi już pod jej drzwiami.

- Niedaleko - odpowiedział.

Eliza poczuła słabość w nogach, która minęła natychmiast, gdy „niedaleko” okazało się oddalonym o jakieś dwie i pół godziny jazdy Baltimore. Słuchała bez emocji, jak Wiktor czynił jej wymówki, że wyjechała bez powiadomienia. Wydało się jej to nawet cokolwiek zabawne. Nie czuła się w obowiązku, aby odpowiedzieć, i milczała, gdy wreszcie skończył.

- Halo, Eliza - upewniał się, czy nie odłożyła słuchawki.

- Czego chcesz, Wiktor? - zapytała obojętnym tonem.

- Chcę, żebyś wróciła już do Polski. Mogłabyś kupić bilet na najbliższy wtorek, to wrócilibyśmy razem.

Teraz, gdy wiedziała już, gdzie jest i kiedy wylatuje, mogła dać upust swojej frustracji.

- To doprawdy śmieszne, że zabrałeś się do układania mojego życia; szczególnie w sytuacji, gdy dawno już przestaliśmy się spotykać - powiedziała.

- Sytuacja - wymówił to słowo z nienaturalnym naciskiem - uległa zasadniczej zmianie. Sfinalizowałem wreszcie swój rozwód z Beatą i jak chcesz, możemy nawet wziąć ślub.

- Nie chcę i zakazuję ci nachodzenia mnie i moich lokatorów, rozumiesz? Jak będziesz to dalej robił, zgłoszę na policję.

- Chyba oszalałaś! - wykrzyknął. - Rozwiodłem się, bo tego chciałaś, a teraz próbujesz wszystko odwrócić?

- Ja tego chciałam? Zresztą nie mamy o czym rozmawiać.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Wyszła z domu, zanim telefon ponownie się rozdzwonił. Odetchnęła z ulgą za kierownicą hondy. Gdy z odtwarzacza CD popłynęła melodia Dla Elizy, znalazła się z powrotem w świecie ciepła i miłości Larry'ego, w którym zmyły jej przeszłości nie miały prawa bytu.

Zaparkowała samochód na podwórzu i poszła prosto nad ocean. Potrzebowała się wyciszyć. Nasunęła kaptur kurtki i zawiązała go pod szyją. Chłodny wiatr oraz zasłonięte żaluzjami okna i werandy wielu domów dawały znać, że plaża nad oceanem nieprędko będzie znów gotowa na przyjęcie letników. Eliza musiała pokonać znaczny dystans, bo gdy wracała, rozboleły ją nogi i czuła silny nacisk na pęcherz. Znalazłszy się na wysokości domu, biegła już ku niemu przez obszar wydm. Dopadła skrzynki na klucz i wystukała datę trzydziestego grudnia. Zamek nie puścił. Spróbowała jeszcze raz i znowu bez rezultatu. Zadzwoiła do Larry'ego, ale włączyła się poczta głosowa.

- Czy mogę w czymś pomóc? - doszedł ją męski głos zza płotu.

- Tak, potrzebuję skorzystać z pańskiej łazienki - odpowiedziała, nie patrząc nawet, kim był jej rozmówca.

- Proszę wejść drzwiami frontowymi, są otwarte, a toaleta jest zaraz po lewej - poinstruował głos i Eliza bez wahania wykonała polecenie.

Gdy opuściła niewielką łazienkę, przyjemne uczucie ulgi trwało tylko przez moment. W saloniku czekał na nią Lester.

- Eliza?

Skinęła głową. Uspokajała się w duchu, że to niemożliwe, lecz wyraz jej twarzy musiał zdradzać coś wręcz przeciwnego.

- Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Jestem Zachary Parker - gospodarz domu wyciągnął rękę w jej stronę. - Proszę, mów mi Zach.

- Bardzo mi miło - powiedziała formalnie, choć gotowa była rzucić mu się na szyję z radości, że nie był duchem Lestera. - Skąd wiedziałeś, jak mam na imię?

- Domyśliłem się, że jesteś narzeczoną Larry'ego - wyjaśnił. - Może zechcesz usiąść? Podać ci coś do picia?

Nie skorygowała swojego statusu. Usiadła we wskazanym fotelu. Gdyby nie była w ciąży, poprosiłaby o szklaneczkę whisky i wypila jednym haustem. Teraz jednak podziękowała za ofertę poczęstunku.

- Czy jesteś synem George'a?

- Nie, nie jestem synem George'a - uśmiechnął się. - Jestem jego młodszym bratem - dodał po dłuższej chwili.

- Chyba dużo młodszym - odrzekła.

Zachary znowu się uśmiechnął. Nie wydawał się wiele starszy od Lestera.

- Przykro mi z powodu mojego bratanka - powiedział.

- Wiem, że George bardzo to przeżywa - nadmieniła Eliza.

- Nie o niego mi chodziło. Właściwie to nawet nie jestem w dobrych stosunkach z moim bratem. Jest mi niezwykle

przykro, że Lester sprawił ci tyle kłopotu i postawił w niebezpiecznej sytuacji.

- Widzę, że znasz dokładnie całą sprawę.

Zachary przeprosił Elizę na chwilę i zniknął za kuchennymi drzwiami. Pomyślała, czyby tego nie wykorzystać i nie zniknąć za wejściowymi. Pewnie by to zrobiła, gdyby nie kłopot z kluczem. Zachary postawił na stole napoczętą butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Eliza zakryła swój dłoń, oświadczając, że w ogóle nie pije alkoholu. Zachary napełnił drugi i uraczył się z niego szczodrym łykiem.

- Wiem o tej sprawie więcej niż George - powiedział. - Mieszkam z kobietą, której córka przyjaźniła się ostatnio z Lesterem.

- Masz na myśli Rebeccę Marshall? - zapytała Eliza.

Zach popatrzył na nią ze zdziwieniem i zaciekawieniem, które mogło graniczyć z flirtem.

- Nazywamy ją Becky - powiedział.

Eliza przeprosiła go na moment, bo zadzwoniła jej komórka.

- Przykro mi, że nie odebrałem od razu - odezwał się Larry. -

Odprowadzałem Terry'ego do samochodu i rozmawialiśmy jeszcze

chwilę na zewnątrz, a telefon został w domu.

- Jestem u twojego sąsiada, Zacha Parkera - poinformowała Eliza i opowiedziała mu o problemie ze skrytką na klucze.

- Jesteś pewna, że dobrze wystukałaś cyfry?

- Larry, jak mogłabym zapomnieć akurat tego szyfru? - Nie chciała wymawiać ich głośno w obecności osoby trzeciej.

- Może pomyliłeś się, ustawiając kod?

- Dwanaście trzydzieści, tak?

- Nie, nie tak - zaprzeczyła. - Odwrotnie.

- Wydawało mi się, że rok ma tylko dwanaście miesięcy - powiedział Larry.

Dotarło do niej wreszcie, na czym polegało ich nieporozumienie.

- Och, Larry, nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba czasem samoczynnie załącza mi się polski procesor. Tam dzień miesiąca stawia się na początku. Teraz na pewno już się otworzy.

Schowała telefon do torebki, podziękowała Zachowi i skierowała się do wyjścia.

- Czy mogłabyś zostać jeszcze chwilę? - poprosił. - Chciałbym ci coś powiedzieć.

Pomyślała, że lepiej będzie, jak już pójdzie. Odmówiła, niepotrzebnie chyba tłumacząc się, że musi rozpakować zakupy i zabrać się do gotowania.

- Pomogę ci - powiedział, wychodząc za nią.

Wyjął z bagażnika jej hondy torby z zakupami i wniósł je do kuchni, gdy Eliza otworzyła drzwi uwolnionym wreszcie ze skrzyneczki kluczem. zaproponowała gorącą kiełbaskę. Zach odmówił, twierdząc, że jest wegetarianinem. Włożyła więc do garnka z wodą tylko jedną. Pewnie zaproponowałyby mu w zamian coś innego, gdyby nie to, że zadzwonił Larry.

- Jesteś już w domu? - zapytał i Eliza potwierdziła.

- Nie chciałem tego mówić, gdy byłaś u Zacha - zaczął, powodując, że odruchowo odeszła w najbardziej odległy róg kuchni, aby nie zdradzić ani przedmiotu rozmowy przed gościem, ani też jego obecności przed Larrym. - George nie ma o nim najlepszego zdania - kontynuował. - Wolałbym, żebyśmy trzymali pewien dystans. Przyjedziemy z Marcusem przed szóstą - dodał.

- Możesz być spokojny - odpowiedziała, nie podtrzymując rozmowy.

Przeprosiła Zacha, że nie może poświęcić mu za dużo czasu, jednak chciała usłyszeć, co miał jej do powiedzenia.

- Wiesz o tym, że Becky swego czasu podała się za ciebie, aby zgłosić zaginięcie twojego prawa jazdy? - zapytał, lecz Eliza odebrała to jako stwierdzenie.

Popatrzył na nią wyczekująco. Nie okazała zaskoczenia ani nie potwierdziła, że już o tym wiedziała.

- Czy wiesz, dlaczego to zrobiła? - zaczął znowu Zach. - Jestem pewna, że na polecenie Lestera - powiedziała, siadając przy stole z parującą kiełbaską na talerzu.

- Mylisz się. Akurat o tym Lester nic nie wiedział. Tym razem Eliza spojrzała wyczekująco.

- Lester miał numery twoich dokumentów i zarejestrował na nie zakup broni w jakimś podejrzanym miejscu w Filadelfii. Becky z nim wtedy pojechała. Była na haju, a kiedy otrzeźwiała, przyznała się matce i razem wymyśliły, że najlepszym sposobem na to, żebyś nie miała później z tego powodu problemów, będzie zgłosić w twoim imieniu zagubienie prawa jazdy.

- Co za wspaniałomyślność z ich strony - odrzekła Eliza z sarkazmem, ale bez emocji, ocierając za pomocą papierowej serwetki musztardę z palców.

- Nie mówię tego po to, żeby ją usprawiedliwiać. Becky zdaje sobie sprawę, że ktoś przejął policyjny raport, w którym podszyła się pod ciebie, i boi się, że będziesz chciała pociągnąć ją do odpowiedzialności.

- No to niech się boi. Może dobrze jej to zrobi - przerwała mu.

- Widzisz, moja kobieta też się tym gryzie i to rzutuje na nasz związek.

Wyciągnął z kieszeni portfel i na oczach Elizy począł odliczać studolarówki.

- Trzy wystarczą za obietnicę, że nie złożysz skargi? - zapytał. Bardziej niż na początku przypominał teraz swojego bratanka.

Eliza wstała od stołu i odstawiła talerz do zlewu.

- Źle mnie rozszyfrowałeś, Zach - powiedziała, otwierając mu drzwi.

Zorientowała się, że kiedyś, odpowiadając Lesterowi, użyła dokładnie takiej samej metafory.

- Nie sądzisz, że lepiej byłoby mieć przyjaciół niż wrogów? - próbował jeszcze Zachary, chowając pieniądze do portfela.

- Ja ich sobie nie kupuję - odparła, gdy mijał ją w otwartych wciąż drzwiach kuchni.

Rzucił jej spojrzenie, które w połączeniu z jego zdawkowym uśmiechem miało w sobie namiastkę zarówno podziwu, jak i politowania.

Zmęczenie nóg stało się pod wieczór mocno odczuwalne. Eliza z przyjemnością zasiadła wraz z Larrym i Marcusem do stołu zastawionego wielką brytfanną gołąbków i miską posypanych zieleniną ziemniaków.

- Nigdy nie jadłem faszerowanej kapusty - powiedział Marcus, spoglądając na swój nieludzko kopiasty talerz.

- Może w takim razie powinienesz być zacząć od bardziej cywilizowanej porcji - skomentował Larry pouczającym tonem.

- Jestem pioruńsko głodny, a poza tym mam stuprocentowe zaufanie do kuchni mojej cioci - wytłumaczył się Marcus.

- W takim razie życzę smacznego - powiedziała Eliza, zabierając się do jedzenia.

- Jadłem kiedyś „golubkis” w jakiejś polskiej restauracyjce w Filadelfii - wtrącił Larry. - Miały jednak inny kolor. Jestem pewien, że były czerwone.

- To kwestia sosu - wyjaśniła Eliza. - Najczęściej bywa pomidorowy, ale ja robię grzybowy. Dodaję do niego plasterki marchewki i pokrojoną łydżę selera. Poprawiają smak i sos ciekawiej wygląda.

- Wspaniale! - zachwycił się raz po raz Larry, gdy Marcus opróżnił w milczeniu swój talerz, zerkając w stronę półmiska z nadzieją na dokładkę.

Larry wykorzystał sposobność i przyniósł z kredensu swoją niedokończoną butelkę koniaku. Usiadłszy z powrotem przy stole, napełnił jeden tylko kieliszek.

- Nie częstujesz Marcusa? - zapytała Eliza, gdy ten wyszedł do łazienki.

- Nie, on zaraz wraca do domu. Jest umówiony z Lisą.

- Przyjaciółką Nicole? - zdziwiła się.

- Dokładnie tą samą.

- Czy Nicky o tym wie?

Larry nie odpowiedział, bo Marcus wrócił właśnie i zasiadł przy swojej kawie.

- Kiedy kończysz zajęcia? - zapytała Eliza.

- Piątego grudnia, ale później mam jeszcze egzaminy końcowe. Rozdanie dyplomów będzie dopiero po nowym roku, na początku stycznia.

- I co planujesz potem?

- Właśnie już wujkowi mówiłem, że wiosną wyjeżdżam na Haiti. Będę pracował w ośrodku misyjnym. Tam też potrzebują komputerowców. Ksiądz Goodman napisał mi taki list polecający, że nie było możliwości, by mnie nie przyjęli. To chyba dzięki temu, że dziadek i wujek zawsze dawali dobre ofiary - zaśmiał się.

- Świetnie, gratuluję - ucieszyła się Eliza. - To znaczy, jeśli jesteś pewien, że tego chcesz.

- Jestem absolutnie pewien, chociaż nie ukrywam, że będzie mi was brakowało.

- Nie mówiłeś jeszcze, że nie wybierasz się tam sam - dopowiedział Larry.

- No właśnie - podjął Marcus. - Jadę razem z Lisą. Okazało się, że ona też zawsze marzyła, żeby pomagać innym. Zrobiła już uprawnienia na obsługę ultrasonografu i będzie tam pracowała w ośrodku medycznym.

- Nie wiedziałam, że ze sobą chodzicie. - Eliza udała zdziwienie, by nie zdradzić, że Larry nie omieszkał już poinformować jej o planowanej randce.

- Bo nie chodzimy. To znaczy nie chodziliśmy do dzisiejszego wieczoru. Zaprosiłem ją na wrotkarnię.

- Na wrotkarnię? - zdziwił się Larry. - Nie przypominam sobie, żebyś lubił ten rodzaj rozrywki. Nigdy nie chciałeś jeździć tam z Nicole. Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

- Och, wujku, przecież zawsze narzekałeś, że mam za mało ruchu. A właściwie to miałeś na myśli wrotki czy dziewczynę? - dodał po chwili, powodując, że Larry o mało nie zakrztusił się koniakiem.

- Przepraszam, Marcus, chyba nie najlepiej postawiłem pytanie.

I bardzo proszę, oszczędź mi odpowiedzi.

Po odjeździe Marcusa Larry położył się na kanapie. Gdy Eliza przysiadła na brzegu, posunął się, żeby zrobić jej miejsce. Z przyjemnością rozprostowała nogi i wtuliła się w objęcia jego ramion. Z rytmu jego oddechu wnioskowała po chwili, że usypiał.

- Bardzo mi z tobą dobrze, Larry - szepnęła tylko dla własnej przyjemności, wiedząc, że tego nie usłyszał.

Obudziła się z powodu niewygody, niemożliwości zmiany pozycji i potrzeby pójścia do łazienki. Było już dobrze po północy. Przykryła Larry'ego derką, a sama przeniosła się na łóżko i zrzuciwszy ubranie na podłogę, zniknęła pod satynową kołdrą.

- Nie robimy dziś śniadania - ogłosił Larry po wyjściu z łazienki i Eliza spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ach tak? O której przychodzi twój kamerdyner? Jestem wściekle głodna.

- Zabieram cię na brunch - odrzekł ze śmiechem, usłyszawszy jej odpowiedź.

- To wynalazek leniuchów, którzy wstają z łóżek, gdy już za późno na śniadanie, a jeszcze za wcześnie na lunch.

- Marcus twierdzi z kolei, że brunch jest wynalazkiem ateisty, który wystroił się w niedzielę rano i nie miał dokąd pójść - zaśmiał się Larry.

Znaleźli się w niewielkiej, lecz dość wykwintnej restauracji wypełnionej gadatliwą inteligencją w różnym wieku sączącą koktajle alkoholowe w oczekiwaniu na zamówione dania, które pewnie przeklinali kucharze zmęczeni po sobotniej zmianie.

- Jakie wrażenie zrobiły na tobie plany Marcusa? - zapytała Eliza.

- Zaskoczył mnie kompletnie. Ciekawe, jak Nicole zareaguje na coś według niej tak nieprawdopodobnego.

- Przyjdzie dzień, że i ona czymś nas zaskoczy, ale najpierw jednak my zaskoczymy nasze rodziny - odpowiedziała.

Wczesne popołudnie przyniosło słoneczną i prawie bezwietrzną pogodę. Po powrocie z długiego spaceru wzdłuż plaży zostali jeszcze chwilę na werandzie. Eliza pomyślała, że mogłaby w nie - skończoność patrzeć na połyskujący skąpym światłem późnej jesieni ocean i wdychać jego zapach. Larry stanął za nią, oplatając ręce ciasno wokół jej brzucha, gdy łapała w nozdrza wilgotne powietrze.

- Mogę wejść? - męski głos przerwał ich relaks. - Pukałem do drzwi kuchennych. Nie wiedziałem, że byliście tutaj.

Nie czekając na odpowiedź, Zachary Parker otworzył osiatkowane drzwi. Larry wskazał mu miejsce w fotelu, lecz ten usiadł na szerokiej huśtawce. Nie było tam wygodniej, lecz z pewnością bardziej dekoracyjnie.

- Przygotowujesz dom do zimy? - zapytał Larry chłodno niespodziewanego gościa.

- Pomału zaczynam, ale w ten weekend jeszcze chciałem pobyć trochę nad oceanem. Moja kobieta przyjechała tu dziś rano. Robi na obiad lazanie ze szpinakiem. Chcielibyśmy was zaprosić. Czy będziecie mogli przyjść za godzinę?

Eliza spojrzała w jego stronę. Zach posłał jej swój uwodzicielski uśmiech. Musiała przyznać, że był w tym prawie tak dobry, jak jej mąż.

- Przyjdziemy. Dziękuję za zaproszenie - powiedział Larry.

Eliza wcale nie miała ochoty na kolejną konwersację o problemach Becky, a już tym bardziej w obecności Larry'ego. Po raz kolejny uraziło ją, że sam podjął decyzję, ale nie była tym zaskoczona. Porównywała w myślach jego zachowanie do sposobu, w jaki Wiktor chciał teraz ustawiać jej życie.

- Dlaczego nie masz dobrego zdania o Zachu? - zapytała, siadając na huśtawce, gdy ich sąsiad odszedł.

- Ja? Powiedziałem, że to George nie ma o nim dobrego zdania.

- Jesteś zbyt drobiazgowy i łapiesz mnie za słowa - prawie się zachnęła poirytowana.

Wiedziała, że jej opryskliwość wynikała z obawy przed reakcją Larry'ego, kiedy wyjdzie na jaw, że zataiła przed nim więcej, niż do tej pory sądził.

- Powiedziałem to w żartach. Nie ma powodu, abyś w ten sposób reagowała - odrzekł bardzo stanowczo.

- To dlatego, że wcale nie mam ochoty na łazanie ze szpinakiem w domu Zacha Parkera i jego kobiety, której imienia nawet nie był uprzejmy wymienić.

Larry złożył dłonie i westchnął. Eliza myliła się jednak, biorąc to za znak uświadomienia sobie swojego błędu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał.

- Dlaczego nie powiedziałam? - oburzyła się znowu. - Może to ja powinnam się dowiedzieć, dlaczego mnie nie zapytałeś, tylko sam od razu podjąłeś decyzję?

Chyba tym razem Larry zaskoczył. Usiadł obok niej na huśtawce i objął ją bardzo delikatnie, sprawdzając, czy go nie odtrąci. Eliza wsunęła rękę pod jego rozpiętą kurtkę. Czowała, jak z sekundy na sekundę opadał poziom ich wzajemnego poirytowania.

- Przez ostatnie lata przywykłem do podejmowania decyzji za moich podopiecznych i najwidoczniej straciłem umiar. Przepraszam, kochanie. Jeśli chcesz, to odwołam wizytę - powiedział, rozbijając ją ostatecznie z nagromadzonej już przeciw niemu amunicji.

- Powiedz mi coś o tych ludziach - zaczęła, jak gdyby do poprzedniej wymiany zdań nigdy nie doszło. - Czy ten dom należy do nich?

- George kupił go kiedyś do spółki z braćmi, by mogli spędzać tam rodzinne weekendy i wynajmować urlopowiczom. Problem w tym, że drugi z jego braci wkrótce zmarł, Zach nigdy nie założył rodziny, a wspólne weekendy w ogóle nie należały do tradycji Parkerów. George jest za sprzedaniem domu, ale i w tym nie może dojść z bratem do porozumienia.

- Czy Zach mieszka tu na stałe? - zapytała.

- I tak, i nie. Ma kilkoro dzieci z różnymi kobietami i teraz nie może się wygrzebać z zaległych alimentów. Ten dom to jedyne miejsce, w którym jest zameldowany, więc

komornik nie mógłby zająć jego części. Gdyby go sprzedał, pewnie po pieniądze ustawiłaby się cała kolejka. Zach siedzi na garnuszku u coraz to innej damy, która wspaniałomyślnie lituje się nad jego losem.

- Czy znasz tę jego obecną? - spytała. Larry pokręcił głową.

- Córka tej kobiety przyjaźniła się z Lesterem - poinformowała go.

- Skąd wiesz? - zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Zach oznajmił mi to wczoraj. Planowałam ci o tym opowiedzieć, jak wrócimy do domu. Nie uważałam tego jednak za pierwszoplanowe. Sugerowałeś, że powinniśmy trzymać się od niego z daleka, więc nie spodziewałam się, że będziemy jeszcze mieli z tymi ludźmi jakiś kontakt.

- Eliza, takich informacji nie zostawia się na później.

- Ta dziewczyna nazywa się Becky Marshall - kontynuowała Eliza, puszczając uwagę Larry'ego mimo uszu.
- Nie interesuje mnie, jaki miała udział w wyczynach Lestera. Chcę to wszystko zostawić i nigdy już do tego nie wracać. Niemniej Zach mówił mi, że Lester miał numery moich dokumentów i chcieli wspólnie z Becky wykorzystać je do jakichś oszustw. Becky i jej matka obawiały się, że gdy się o tym dowiem, będę chciała złożyć skargę. Pewnie Zach obiecał swojej kobiecie, że to załatwi, bo proponował mi pieniądze za milczenie. Gdybyś zapytał mnie najpierw, czy mam ochotę iść do nich na obiad, z pewnością odpowiedziałabym odmownie.

- Może jednak dobrze się złożyło, że idziemy - stwierdził Larry po chwili namysłu. - Rozmówimy się z nimi i wtedy odłożymy to raz na zawsze, tak jak chciałaś. Lepiej nie zostawiać punktów zapalnych.

Eliza miała nadzieję, że Larry powiedział to tylko po to, by usprawiedliwić swoją pochopną decyzję, i nie miał zamiaru dociekać szczegółów zdarzenia w jadalni Zacha Parkera.

- Skąd mogli mieć numery twoich dokumentów? - zainteresował się jednak po kolejnej chwili, kiedy pewnie snuł domysły dotyczące detali przemilczanych przez Elizę.

Odczuła to niczym doznawane na fotelu dentystycznym szarpnięcie odkrytego nerwu. Potrzebowała natychmiastowego znieczulenia i to najlepiej bez skutków ubocznych.

- Przedkładałam prawo jazdy i paszport w biurze Parkerów jako dowody tożsamości. Lester porobił chyba kopie do kartoteki - odpowiedziała ucieszona niespodziewanym olśnieniem, które nie wymagało czynienia odniesień do wizyty Lestera w jej sypialni.

Drzwi otworzył Zach i zaprosił ich do saloniku. Nim zdążyli zająć wskazane przez niego miejsca na wytartych welwetowych fotelach i przyjąć do wiadomości, że obiad będzie wegetariański, do pokoju wkroczyła korpulentna kobieta. Rozmiar zawieszzonego na oplątanym wokół szyi rzemyku metalowego krzyża musiał być z założenia jakimś rodzajem ostrzeżenia dla nowo poznanych osób. Nie sposób było też nie zauważyć, że znajdował się pod trzecim od góry podbródkiem - jawnym świadectwem marnej efektywności wegetariańskiej diety kobiety Zacha.

- Priscilla - przedstawiła się, wyciągając rękę. - Jestem matką Becky - dodała, jak gdyby jej córka była postacią powszechnie znaną.

Przeprosiła, tłumacząc, że musi wrócić do kuchni, aby dopilnować obiadu. Eliza pomyślała, że może wypadałoby podążyć za nią i zaoferować pomoc. Jednak zostawianie Larry'ego w towarzystwie Zacha, kiedy wszystko wskazywało na to, że sprawa Becky będzie tematem wieczoru, nie wydało się jej dobrym pomysłem. Na szczęście wstępna rozmowa miała raczej charakter grzecznościowy i nie zaszła daleko. Priscilla poprosiła ich do niewielkiej, przylegającej do kuchni

jadalni. W rogu pomieszczenia stała drobnej budowy dziewczyna z ciemnymi, lekko pofalowanymi i nie całkiem jeszcze wyschniętymi włosami. Jej oczy wydały się Elizie mocno zaczerwienione.

- To moja Becky - powiedziała Priscilla, obejmując córkę nieodwzajemnionym uściskiem.

Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, uczyniła znak krzyża nad stołem i wskazała otwartą dłoń w kierunku Zacha. Począł przemawiać, utkwivszy wzrok w metalowym uchwycie pod sufitem, z którego zwisała otoczona wiklinowym kloszem silna żarówka.

- O Panie, co błogosławisz wszelkie stworzenie i nie zapominasz o najmniejszym robaku pod kamieniem, spraw, aby wszystko, co żyje, żywiło się tylko darami roślin i nie pożerało siebie wzajemnie. Dzięki ci składamy za ten szpinak i sałatę, zielone kolorem naszej nadziei. Niechaj ich spożywanie doprowadzi nas tu zgromadzonych do życia wiecznego.

- Amen - odrzekła Priscilla z przejęciem, które zupełnie nie pasowało do barokowej sztuczności deklamacji Zacha.

Posiłek był wyśmienity. Eliza mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy błogosławieństwo gospodarza domu miało w tym swój nadprzyrodzony udział. Wprawilo ją to w lepszy humor. Pomogła posprzątać ze stołu, podać kawę i pokroić ciasto. Rozmowa przy obiedzie dotykała powierzchownie coraz to innych ogólnych tematów i była raz po raz przerywana niekontrolowanymi wybuchami śmiechu Priscilli, który mimo admiracji Zacha dla jej rzekomego poczucia humoru nie miał z nim wiele wspólnego.

Elizę bardziej interesowała jednak Becky. Dyskretnie obserwowała domniemaną bohaterkę wieczoru, która nie brała udziału w rozmowie, a ściślej rzecz biorąc, nie wydała z siebie do tej pory ani jednego słowa. Po upływie blisko godziny jej

włosy wydawały się wciąż mokre. Widocznie był to zamierzony efekt. Musiała używać jakiegoś specjalnego środka. Wrażenie zaczerwienienia powiek również nie ustało. Eliza widziała teraz, że było rezultatem nałożonych wokół oczu czerwonych cieni.

- Nasz Pan prowadzi moją córkę na drogę, z której kiedyś zbłądziła - odezwała się Priscilla.

Becky wydawała się szukać po ścianach i suficie pokoju jakiegoś bezpiecznego miejsca do zawieszenia wzroku. Jej wybór padł na ten sam uchwyt od lampy, z którego skorzystał już Zachary Parker.

- Potrzebuje też i ludzkiej pomocy - wtrącił Zach, jakby w obawie, że tok rozmów mógłby zanadto potoczyć się w niebiańskim kierunku.

- Becky chciałyby przeprosić panią Mazurek i pana Harrisa za swoje zachowanie. - Priscilla przeszła do rzeczy, stając za krzesłem córki.

Larry, choć najwyraźniej skrępowany sytuacją, słuchał - jak się wydawało - z uwagą, gdy Becky przemówiła, przeniósłszy uprzednio wzrok z sufitu na swój kubek.

- Przepraszam za to, że weszłam przez okno do sypialni, że podrzuciłam tę broszurę z motelu i grzebałam w pani rzeczach. Przepraszam, że podałam się za panią, kiedy Lester kupował ten przeklęty pistolet. Na swoją obronę mam to, że zgłosiłam potem kradzież pani prawa jazdy, aby nie miała pani żadnych kłopotów, i nie powiedziałam o tym Lesterowi.

Eliza nie śmiała spojrzeć w kierunku Larry'ego i jak Becky utkwiała teraz wzrok w kubku z resztką niedopitej kawy.

- Na swoje pieprzone usprawiedliwienie chcę jeszcze dodać, że nie wiedziałam o podpaleniu biznesu pana Harrisa - kontynuowała Becky, stopniowo nateżając głos. - Prawda, że byłam wtedy w areszcie, ale nawet gdybym nie była, to i tak w czymś takim palców nie maczam. Nie wiedziałam też, że

Lester udał pieprzonego dżentelmena i usiłował wziąć odwet za mnie, napadając panią Elizę pod jej domem. Przepraszam za siebie i za tego cholernego idiotę, tego pieprzonego pryka, tego, tego... - zapewne krzyczałyby już, gdyby nie wyczerpały się jej zasoby względnie cenzuralnych epitetów.

Wstała od stołu i ocierając dłonią łzy, skierowała się do wyjścia. Eliza podążyła za nią, łapiąc po drodze swoją kurtkę.

Kiedy wyszła, Becky była już za wydmami. Dogoniła ją, gdy przypalała jakiegoś skręta.

- Czego pani chce? - dmuchnęła w twarz Elizy cuchnącym dymem.

- Uważaj z takimi numerami, jestem w ciąży.

- Przepraszam, nie wiedziałam - powiedziała już naturalnie i bez sarkazmu, raczej tonem zaciekawienia.

- Posłuchaj, Becky. Nie mam intencji podejmować żadnej akcji przeciwko tobie. Możesz być spokojna. Akceptuję twoje przeprosiny i nie ma potrzeby więcej do tego wracać.

- Ja już nigdy nie będę spokojna - odpowiedziała dziewczyna, zaciągając się skrętem.

Szły brzegiem oceanu i choć było ciemno, Eliza widziała, że Becky nie mogła opanować potoku łez.

- Lester był ci bliski? - zapytała trochę mimo woli, nie znajdując żadnego innego wspólnego tematu.

- Był dużo starszy ode mnie i może dlatego wiązałam z nim nadzieję. Nie powiedziałam tego przy stole, bo to pewnie nie ma sensu, ale chciałabym, żeby pani...

- Mów mi po imieniu - przerwała jej Eliza.

- Chciałabym, żebyś nie myślała bardzo źle o Lesterze. On nigdy by się do tego nie przyznał, ale był tak samo zagubiony i nieszczęśliwy jak ja. Robił wszystko na przekór własnej naturze, żeby to zamaskować.

Eliza w ogóle nie miała ochoty myśleć o swoim oprawcy - ani źle, ani obojętnie, a na pewno już nie dobrze, lecz odczuła,

że byłoby nietaktem dzielić się tym z osobą, która potrafiła znaleźć odbicie nieba w brudnej kałuży życia Lestera.

- Powiedz to jego ojcu - odrzekła dyplomatycznie.

- Dlaczego? - zapytała Becky.

- Potraktuj to jako odkupienie swojej winy.

- Jeżeli czuję się winna, to jedynie wobec ciebie i może pana Harrisa.

- Lester nienawidził Larry'ego - stwierdziła Eliza.

- Wiem o tym, ale jeśli ktoś się do tego przysłużył, to najbardziej jego ojciec.

- Cóż on mógł mieć wspólnego z tym zajściem w barze?

- To nawet nie chodzi o pobicie. Lester zachował się jak dureń i wiedział, że na to zasłużył. Męskie porachunki - zaśmiała się, rozgniatając obcasem resztkę skręta w mokrym piasku. - George Parker przy każdej sposobności stawiał Larry'ego swojemu synowi za przykład. Larry dobrze się uczy, Larry wygrywa turnieje zapaśnicze, Larry ma dziewczynę, Larry poszedł na studia, Larry to, Larry tamto... - przerwała, próbując opanować wzburzenie przypaleniem zwykłego tym razem papierosa.

Eliza pozostawiła to wyznanie bez komentarza. Becky chyba nawet się go nie spodziewała. Szły już z powrotem, zbliżając się do pasma wydm. Eliza zauważyła z daleka żar jeszcze jednego papierosa. Larry wyszedł im naprzeciw.

- Pożegnałem już w twoim imieniu Zacha i Priscillę. Możemy wracać - oznajmił.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, odprowadzę Becky i pożegnam ich sama - wycedziła przez zęby tonem zdradliwej grzeczności, której ukryty jad miał posłużyć zarówno za odwet, jak i ostrzeżenie.

- Dobranoc, panie Harris - powiedziała Becky, zanim obie z Elizą zniknęły za drzwiami.

Larry czekał na zewnątrz. Wracali w milczeniu.

- Nie musiałeś podejmować decyzji za mnie - powiedziała Eliza, gdy byli już na ganku.

- Postawiłaś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji - odrzekł, siadając na huśtawce. - Wszyscy wiedzieli o czymś, co w dodatku dotyczyło mnie, tylko jakimś dziwnym trafem ja nie miałem o tym pojęcia. Czułem się jak idiota - dodał, nie ukrywając zdenerwowania.

- Przykro mi, że tak wyszło - odpowiedziała Eliza ze spokojem.

- Nie widzę nic niestosownego w tym, że wzięłam niektóre sprawy w swoje ręce. Nie jestem... dzieckiem. - Omal nie powiedziała „twoim dzieckiem” i była zadowolona, że udało się jej tego uniknąć.

- Mówiliśmy już o tym przedtem, Larry.

- Mam ważne spotkanie jutro rano - oświadczył sucho. Chciała powiedzieć, że zostanie tu jeszcze przez parę dni, lecz uświadomiła sobie, że mieli tylko jeden samochód. Larry znów sięgnął po papierosa.

- Proszę, nie pal - odezwała się, siadając obok niego na huśtawce.

Wstał i odszedł w róg ganku. Eliza usłyszała odgłos naciskanej zapalniczki. Wyjęła z torebki klucze, otworzyła drzwi i weszła do domu. Potrzebowała kilku minut, by zapakować swoje rzeczy i ściągnąć z łóżka pościel. Uprzedziwszy Larry'ego, siadła za kierownicą hondy. Zajął posłusznie fotel pasażera i włączył radio. Pomogło złagodzić nieprzyjazną ciszę.

- Muszę przejrzeć sporo dokumentów, które mam w swojej pracowni - odezwał się, gdy zbliżali się do krzyżówki.
- Będę tam nocował - dodał.

Eliza odczuła, że nieprzypadkowo użył liczby pojedynczej. Z jakiegoś powodu rozbawiło ją to, zamiast dotknąć. Może potrzebowała gruntu do rozładowania napięcia

i gotowa była zaadoptować cokolwiek, co pojawiło się pod ręką. Podjechała przed dom Harrisów. Larry podziękował jej i wysiadł z samochodu, zabierając swoją torbę z tylnego siedzenia.

- Dasz sobie radę ze swoim bagażem? - zapytał, najwyraźniej spodziewając się, że Eliza pojedzie teraz do Ustronia.

- Oczywiście - odpowiedziała z uśmiechem.

Widziała we wstecznym lusterku, jak pospiesznie szedł w kierunku drzwi. Wyszła z samochodu i przewiesiwszy torbę przez ramię, podążyła za nim, taszcząc przed sobą worek brudnej pościeli. Gdy wyszła z ciemności na oświetlony teren wokół domu, Larry odwrócił się nagle i zostawiwszy swój bagaż pod drzwiami, począł zbiegać po schodkach.

- Eliza, co ty wyprawiasz?! - zawołał.

- Właśnie radzę sobie sama z moim bagażem - odparła spokojnie.

Wyrwał worek z pościelą z jej rąk, a gdy były już wolne, ściągnął torbę z ramienia.

Nie protestowała. Gdy to robił, mierzyła go wzrokiem i była ciekawa, czy wyłapał w nim frywolną iskierkę rozbawienia.

- Nie mam klucza do domu. Marcus zabrał ten spod kamienia. Czy możesz otworzyć? - poprosił cicho, gdy stali już pod drzwiami.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki swoje klucze i podała mu na otwartej dłoni. Zdecydowanie unikał jej spojrzenia.

- Widzisz, przydałam się, a chciałeś odesłać mnie do Ustronia - roześmiała się, gdy otwierał drzwi.

Nie odpowiedział. Wszedł pierwszy, wnosząc wszystkie bagaże.

Eliza zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym i galaretką winogronową. Nie przepadała za tym specjałem,

lecz mizerne zaopatrzenie w domu Harrisów nie pozostawiało wyboru. Popiła zimnym mlekiem z kartonu i wstawiła je z powrotem do lodówki. Gdy się odwróciła, Larry stał tuż za nią.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, podkreślając to odruchowo gestem skrzyżowanych pod szyją rąk. - Nie słyszałam, kiedy zszedłeś.

- Nie chcę, żebyś się mnie bała - odpowiedział.

Uchwycił delikatnie jej nadgarstki i przyciągnął ją lekko ku sobie.

- Pachniesz masłem orzechowym - stwierdził, wciągając powietrze.

- Nie lubisz go?

- Wręcz przeciwnie, uwielbiam - odpowiedział i puściwszy jej ręce, sięgnął po stojący wciąż na stole słoik.

- Posmarować ci chleb? - spytała.

Pokręcił głową. Wodził już palcami po jej wargach, nakładając na nie grubą warstwę orzechowego przysmaku.

- Wolę zjeść go z twoich ust - odrzekł, obejmując je już swoimi. - Dobrze, że nie pojechałaś do Ustronia. Mam zamiar skorzystać z czegoś więcej niż tylko twojego klucza - doszeptał.

Gdy Eliza się obudziła, Larry siedział na brzegu poślania z kubkiem kawy. Był ubrany i gotowy do wyjścia.

- Dobrze, że już nie śpisz - powiedział. - Chciałbym wziąć twój samochód. Nie zatankowałem swojego, a mam spotkać się z architektem w biurze Shawna za dwadzieścia minut.

- Nie ma sprawy, ale pod warunkiem że dasz mi łyk kawy ze swojego kubka - uśmiechnęła się.

Wróciwszy do Ustronia, Eliza podjechała najpierw pod skrzynkę z listami i nie wychodząc z hondy Larry'ego, wyjęła zawartość przez odsuniętą szybę. Przerzuciła szybko koperty i odetchnęła z ulgą, gdy nie znalazła wśród nich listu od

Wiktora. Wrzuciła korespondencję do schowka na dokumenty i pojechała zatankować. W sklepiku przy stacji benzynowej zamówiła dwa hot dogi z kiszoną kapustą i zrobiła podstawowe zakupy. Gdy wróciła, było już prawie południe. Delikatny powiew niósł od zagajnika zapach wilgotnych jesiennych liści. Zatrzymała się na chwilę u brzegu rampy, delektując się ciepłem promieni jesiennego słońca i wspomnieniem wczorajszego wieczoru. Czuła się szczęśliwa, była rozmarzona i wdzięczna tegorocznej jesieni, która podarowała jej to wszystko niczym spóźniona wiosna.

Dopiero gdy otworzyła drzwi, zauważyła, że musiała być w nich zatknięta kartka. Poszybowała jak papierowy samolocik, spadając w leżący po lewej stronie bukiet podwiedłych goździków. Eliza podniosła liścik wraz z kwiatami i odczytała treść notatki: „Byłem tu w niedzielę około południa. Czekałem na Ciebie ponad godzinę. Przyjadę znowu jutro. Musimy poważnie porozmawiać. - W.". Prysnęła mydlana bańka rozmarzenia i Eliza znalazła się w teatrze bardzo realnych działań. Trzeba było ustalić strategię, przegrupować szyki i zwołać posiłki.

Powyjmowała pospiesznie rzeczy z samochodu i zaniósła do domu, zamykając za sobą drzwi na oba zamki. Rozpakowała zakupy, włożyła listy do koszyczka, wyrzuciła zwiędłe kwiaty do kosza i zadzwoniła do Grety.

- Czy mogę do ciebie wpaść? - zapytała.

- No pewnie, no. Nastawiam już kawę i placek dyniowy wyciągam z lodówki. Jak chcesz go z bito śmietano, to zaraz uknęce.

- Ze śmietaną - odpowiedziała krótko.

Wyszła, rozglądając się wokoło i nasłuchując, czy nikt nie nadjeżdża. Ogarnęła ją panika podobna do tej, którą przeżywała za przyczyną Lestera. Wsiadła za kierownicę samochodu. Przez moment chciała wrócić i odłożyć na

miejsce kartkę Wiktora i zwiędłe goździki, aby stworzyć wrażenie, że nie ma jej w domu, że gdzieś wyjechała. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Gdyby znalazł je Larry, musiałaby mu o wszystkim powiedzieć.

- Czekam na ciebie i patrze, a tu Larry'ego samochód jedzie - zaśmiała się Greta, wychodząc jej naprzeciw.

- Możesz go używać, jeśli potrzebujesz.

- Nie, dziękuję. Jak nie musze, to w poniedziałki nigdzie się nie wybieram, no. Zawsze coś niedobrego się przytrafi.

Eliza była daleka od traktowania poważnie przesądów, jednak miała dla nich jakiś podświadomy respekt, gdy docierały do niej uprawomocnione przezornością Greta. Ostrzeżenie przed pechowością poniedziałków postawiło ją w stan pogotowia. Nie spieszyła się z powrotem. Wynajdowała coraz to nowe tematy do rozmowy, wiedząc, że każda dodatkowa minuta spędzona poza domem może się okazać na wagę złota.

- Czy mogę zostawić u ciebie samochód? - zapytała, kierując się wreszcie ku wyjściu. - Przejdę się po polach i wrócę do domu pieszo, taki piękny dziś dzień.

- Eliza, o co ci naprawdę chodzi? - Greta posłała jej spojrzenie matki usiłującej wyegzekwować przyznanie się nastolatka do pociągania wina z domowego gąsiora.

- Och, Greta, ty zawsze wszystko wyczujesz. Biedny ten twój Robert - zaśmiała się i opowiedziała jej pobieżnie o Wiktorze i swoich obawach, że może w każdej chwili pojawić się w Ustroniu.

- Pójde z tobo na ten spacer. Przyda mi się, bo za gruba się robie, no - zachichotała Greta, zakładając kurtkę.

Poszły dróżką przez zżęte już zagony kukurydzy, wystawiając twarze w kierunku promieni listopadowego słońca. Chłonęły jesienne ciepło i ciszę odpoczywających po

letnim wysiłku rozległych pól oraz przerywających tu i ówdzie ich monotonię niewielkich zagajników.

- Teraz dopiero widzę, jak niepotrzebna była ta znajomość z Wiktorem - zaczęła Eliza. - Gdyby nie to, jestem pewna, że zwróciłabym uwagę na Larry'ego już w zeszłym roku.

- Nie trzeba myśleć, co by było, bo to już się nie zmieni, no.

- Byłam zmęczona opieką nad starszą kobietą, z którą od lat dzieliłam mieszkanie, spragniona męskiego towarzystwa i pewnie trochę seksualnie wygłodniała - kontynuowała Eliza. - Wiktor zjawił się na kursach angielskiego, które wtedy prowadziłam. Już w czasie pierwszej lekcji widziałam, że nie spuszczał ze mnie wzroku. Wydawało mi się, że był przystojny, ale gdzie mu tam do Larry'ego - zaśmiała się. - Po którychś zajęciach zaprosił mnie do restauracji. Powiedział mi, że ma żonę, ale żyją w separacji i są w trakcie rozwodu.

- Długo z nim byłaś?

- Spotykaliśmy się przez prawie półtora roku. Podobał mi się i sprawiał wrażenie, że mógłby być dobrym towarzyszem na resztę życia; tylko nie w takich układach, że ja przez tę resztę życia miałabym występować w roli dogodnej kochanki. Kilka miesięcy przed wyjazdem powiedziałam mu, że wyczerpał limit czasu na rozwiązanie swoich problemów. Obraził się i odszedł. Nie miałam z nim kontaktu aż do teraz.

- Przepraszam, że tak wypytuje, ale musiałaś chyba kogoś mieć przed tym Wiktorem. Co z tym się stało, no? - zapytała Greta, kładąc szczególny nacisk na słowo „tym”.

- Nie traktowałam nikogo poważnie, kiedy byłam młodsza. Chciałam być wolna i samowystarczalna. Zmieniłam zdanie, dopiero gdy stuknęła mi czterdziestka, i chwyciłam się pierwszej szansy, bo pomyślałam, że to może już być ostatnia. Ta szansa miała na imię Mariusz. Bardzo mi nadskakiwał;

może aż za bardzo, bo z czasem zaczęło mi to przeszkadzać i wzbudzać podejrzenia, że maskował tym jakieś swoje drugie oblicze. Wbrew własnej intuicji i przestrogom osoby, u której mieszkałam, wprowadziłam się do niego. Moje przeczucia zaczęły się sprawdzać bardzo szybko. Chciał wszystko kontrolować. Widziałam, że rozsadzała go złość, gdy znalazł mój włos w umywalce albo odcisk palca na drzwiach lakierowanej szafki. Najpierw się hamował, ale wkrótce zaczął mnie besztać za byle głupstwo. Zdałam sobie sprawę, że to typ drania, który musi dołować innych, żeby sam mógł wyglądać lepiej na ich tle. Któregoś razu zezłościł się, że chodziłam po mieszkaniu w drewniakach. Nie zdjęłam ich. Poszedł po jakąś swoją koszulę i podsunął mi ją do uprasowania. Wiedział, że nie cierpię tego zajęcia, i chyba chciał mnie sprowokować i upokorzyć. Powiedziałam, że nie jestem jego służącą. Uderzył mnie wtedy w twarz. - Jasny gwint, Eliza! I co zrobiłaś, no?

- Kopnęłam go w krocze, drewniakiem oczywiście. Zamknął się zaraz w toalecie, a ja zebrałam szybko swoje rzeczy i uciekłam. Szkoda mi było tylko dobrych kosmetyków, które zostały w łazience - uśmiechnęła się. - Po tych przeżyciach przez parę lat nie chciałam się z nikim spotykać. Potem pojawił się Wiktor. I jeszcze, na krótko przed wyjazdem, trafiła mi się elektroniczna znajomość.

- Jak to elektroniczna?

- Poznaliśmy się przez internet, gadaliśmy za pomocą komunikatora i rozstaliśmy się poprzez mail - zaśmiała się Eliza.

- Nie umówił się z tobo na randkę?

- Umówiliśmy się, ale byłam przekonana, że w restauracji, a on czekał na mnie w recepcji hotelu o tej samej nazwie. Głupio to wyszło i nie miałam ochoty na kolejne podejście.

- Że ty, Eliza, taka inteligentna nie natrafiłaś na nikogo wartego ciebie tam, w Polsce, to już takie przeznaczenie było, żebyś z Larrym została, no - podsumowała Greta. - Z czego się znowu śmiejesz? - zapytała, spoglądając na Elizę kątem oka.

- Nie z tego, co powiedziałaś. Przypomniał mi się stary dowcip, że w Polsce mężczyzna jest jak publiczna toaleta; jeśli nie zajęty, to zalany.

- Dlaczego stary? To teraz już tak nie jest?

- Wiele się w ostatnich latach zmieniło na lepsze. Publiczne toalety stały się bardziej funkcjonalne i ludzie też nabrali więcej ogłady.

Greta zamyśliła się, lecz zaraz wróciła do rzeczy.

- Może powinnaś powiedzieć temu Wiktorowi, że za mąż wyszłaś, żeby więcej tu nie przyłaził, no.

- Zrobię tak, gdyby doszło jeszcze do rozmowy, ale mam nadzieję, że już się nie odezwie. Jutro wyjeżdża i będzie po wszystkim. Niech samochód postoi jeszcze trochę u ciebie na wszelki wypadek. Poproszę Larry'ego, aby go zabrał.

Eliza wróciła do domu i postanowiła zająć się czymś konkretnym dla oderwania myśli. Gdy zabrała się do przygotowania obiadu, zadzwonił jej telefon komórkowy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Larry.

- Wróć jak najszybciej - powiedziała z nadzieją, że Larry odnajdzie w jej prośbie odpowiedź na swoje pytanie.

Potrzebowała teraz ciepła jego obecności. Zajęła się obieraniem ziemniaków i myciem sałaty. Klopsiki z mielonej wieprzowiny bulgotały już wolno w sosie grzybowym. Listopadowe słońce szybko zniżało się nad horyzontem i przez kuchenne okno nie przedostawało się już wiele jego promieni. Eliza zasłoniła dokładnie żaluzje i zapaliła światło. Przyniosła do kuchni swojego laptopa i przystąpiła do odpisywania na czekające w skrzynce elektroniczne listy.

Poleciała Kaśce, aby bezwzględnie dopilnowała wymiany zamków w mieszkaniu.

Posłyszała podjeżdżający samochód, lecz nie chciała zbliżyć się do okna. Czekwała w napięciu na następny odgłos niepewna, czy będzie to dźwięk przekręcanego w zamku klucza, czy dzwonek do drzwi. Odetchnęła z ulgą, usłyszawszy otwierany zamek.

- Gdzie jest samochód? - zapytał Larry z niepokojem w głosie.

- Zostawiłam go przed domem Grety. Podjechałam tam, bo miałam jej coś zawieźć, a wróciłam pieszo okrężną drogą, żeby pobyc trochę na powietrzu. Czy mógłbyś go przyprowadzić, dopóki jeszcze jesteś w kurtce? - zapytała, podając mu kluczyki.

Gdy wyszedł, włączyła palnik pod ziemniakami i dokończyła sałatkę. Zadzwoiła też Goldie z przypomnieniem o wieczornym spotkaniu klubu dyskusyjnego. Zaoferowała Elizie, że po nią przyjedzie.

- Dziękuję, ale planuję wyjechać wcześniej, aby mieć czas poszperać po półkach - wymówiła się.

Po skończonym obiedzie Eliza podeszła do ekspresu, by nalać kawy. Widziała, jak w szparach między paskami żaluzji błysnęło światło reflektorów. Była niemal pewna, że to Wiktor. Gdy stawiała na stole filiżanki, odezwał się dzwonek do drzwi. Larry spojrzął na nią pytająco. Wzruszyła ramionami, uznając ten gest za bardziej dogodny niż jakiegokolwiek wyjaśnienie. Larry wstał od stołu i poszedł w kierunku wejścia. Eliza zaczęła już rozważać możliwość ukrycia się w pralni, gdy posłyszała głos Meredith McGregor. Odetchnąwszy, wyjęła z szafki dodatkową filiżankę.

- Zdecydowałam, że też muszę poszperać między regałami na książki. Mam nadzieję, że nie gniewacie się za ten niespodziewany nalot.

- Wręcz przeciwnie - odparła Eliza. - Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa. Siadaj, proszę. Wypijemy jeszcze szybko kawę - dodała, obdarzając Goldie serdecznym uściskiem.

- O której wrócić? - zapytał Larry.

- Shawn zadał mi dokładnie to samo pytanie. Przedebatowali razem cały dzień, a nam chcą wyliczać minuty - zaśmiała się Goldie.

Eliza wróciła o wpół do dziesiątej. Okno kuchenne było ciemne, lecz w sypialni paliło się światło. Otworzyła drzwi kluczem i zamknęła je za sobą na oba zamki. Larry spał przy włączonej lampce. Przebrała się w piżamę i usiadła na łóżku. Oparta o poduszkę przeglądała jedną z wypożyczonych książek. Larry ocknął się i przysunął bliżej. Poczula jego rękę poniżej swojego pępka. - Jak poszła dyskusja? - zapytał.

- Super. Będę jeździła tam każdego miesiąca, dopóki nie urośnie mi wielki brzuch.

- Jak będziesz mnie tak dobrze karmiła, to chyba mój wyrośnie pierwszy - zażartował.

Zaśmiała się i odłożyła książkę. Larry oparł głowę na jej piersiach. Głaskała jego włosy, bawiąc się spoczywającym na jego karku warkoczykiem.

- Posprzątałem po obiedzie i schowałem resztę klopsików do lodówki.

- Cieszę się, że o tym pamiętałeś - powiedziała.

- Aha, i jeszcze przyłożyłem jakiemuś Wiktorowi - dodał z poziomem emocji mniejszym, niż gdyby oświadczał, że rozładował zmywarkę.

- Co zrobiłeś?! - krzyknęła Eliza, próbując wydostać się z jego uścisku.

- Nie bój się, nie wybiłem mu zębów - powiedział i odsunąwszy się z powrotem na swoje miejsce, założył obie ręce za głowę.

- Jak to się stało? - spytała przerażona.

- Poszedłem na chwilę do Phillipsów i gdy wracałem, jakiś facet stał pod domem i walił natarczywie w drzwi. Zapytałem, kim jest. Przedstawił się, oświadczył, że jest przyjacielem Elizy Mazurek i że przyjechał, aby zabrać ją ze sobą do Polski. Wspomniał, że był tu zeszłej soboty i zostawił ci kwiaty. Czy to te, które widziałem w koszu na śmieci?

Eliza skinęła głową, nie patrząc w stronę Larry'ego. Poczowała dreszcz zimna i wślizgnęła się głęboko pod kołdrę, naciągając ją prawie na twarz.

- Poinformowałem, że nie ma cię w domu - kontynuował Larry. - Nie wierzył mi i wskazywał na stojące przed domem samochody. Uparł się, że będzie na ciebie czekał, choćby miał nocować pod drzwiami.

- Czy ktoś go tu przywiózł? - zapytała Eliza.

- Był sam. Przyjechał wynajętym samochodem. Miał tam już swój bagaż, był pewnie przekonany, że będzie tu nocował. Kazałem mu się zabierać.

- Czy powiedziałeś mu, że jesteś moim mężem?

- Powiedziałem, że jestem twoim ochroniarzem. Chyba mi uwierzył, bo spytał wtedy, czy nie zostawiłaś dla niego wiadomości. Odpowiedziałem, że mam coś do przekazania w twoim imieniu i... trzepnąłem go lekko.

- Myślę, że to ostatnie nie było konieczne - powiedziała cicho Eliza, nabierając powietrza, by głęboko westchnąć.

- Zrobiłem to naprawdę symbolicznie. Za to, że cię kiedyś uderzył.

- Tamten, co mnie uderzył, miał na imię Mariusz. Sprawę niewłaściwego faceta, Larry.

- Nie szkodzi. Temu też się przyda. Muszę przyznać, że twój adorator był całkiem przystojny - dodał.

- Nie aż tak przystojny, jak mój mąż - odpowiedziała, wyłączając lampkę.

- Czy kupiłaś już bilet do Polski? - zapytał Larry przy śniadaniu.

- Jeszcze nie. Chcę się najpierw dowiedzieć, kiedy będzie wracała ciotka Freda, i wtedy postaram się zarezerwować miejsce na ten sam lot.

- To zarezerwuj, proszę, dwa - powiedział. - Wygląda na to, że może ci się tam przydać ochrona.

Eliza uśmiechnęła się i pogładziła wierzch jego dłoni.

- Musisz sobie wyrobić paszport - powiedziała. - Bez tego nie będę mogła kupić biletu.

- Wyrobiłem paszport cztery lata temu, jak lecieliśmy zimą do Kanady. Do Calgary - sprecyzował cel podróży, nie podając jednak powodu, dla którego się tam udał.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Przecież dopiero co opowiadał o swoich awersjach do podróży. Poza tym użył liczby mnogiej. Przemknęło jej przez myśl, że musiał ulec czyjejs presji. Może przyjaciółki, o której jeszcze nie było Elizie wiadomo. Nie po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak niewiele jeszcze wiedziała o przeszłości swojego męża. Domyśliła się, że chodziło o narty, i zagadnęła o to w nadziei uchYLENIA rąbka tego epizodu jego życia.

- To nasza zimowa pasja - odrzekł.

- Nasza? - chwyciła go tym razem za słowo.

- Moja, Nicole i Marcusa. On, co prawda, woli snowboard, ale ja i Nicole jesteśmy tradycjonalistami, i to całkiem niezłymi. Nasze dziecko też będę uczył, gdy tylko zacznie chodzić.

Jego oświadczenie uspokoiło Elizę, ale też i wprowadziło w zakłopotanie doprawione przed chwilą niepotrzebną podejrzliwością. Wstała, aby zaparzyć sobie drugą herbatę.

- Będę musiał zaraz uciekać - powiedział Larry. - Mam zaplanowanych kilka spotkań w domach klientów. Portret pana Mercera zrobił mi taką reklamę, że połowa jego rodziny

chce teraz, abym malował ich ze zdjęć. Niektórzy gotowi są nawet pozować na żywo.

- Mam nadzieję, że nie kobiety i nie na golasa - zaśmiała się.

- Tak pozować będzie mi teraz tylko jedna kobieta, moja żona - odpowiedział, kładąc rękę na kolanie Elizy.

- Wrócisz na lunch?

- Przyjadę dopiero na obiad. Będzie mi wygodniej przegryźć coś w drodze. Poza tym umówiłem się z Terryem na kortach o czwartej po południu. Muszę poprawić swoją kondycję fizyczną, zanim dziecko przyjdzie na świat.

- Będiesz brał lekcje? - zapytała.

- Nie - zaśmiał się. - Grałem kiedyś w tenisa dość obsesyjnie. Pomagało mi to bardzo, gdy wychodziłem z nałogu.

Eliza domyśliła się, że chodziło o narkotyki. Znow pomyślała, jak obca jej była jego przeszłość. Może chodzili na korty razem z Michelle... Może Michelle wciąż jeszcze tam przychodzi.

Larry skierował się do wyjścia. Eliza poszła za nim. Jego spojrzenie i pocałunek na pożegnanie otrząsnęły ją z negatywnych spekulacji, lecz tylko na jakiś czas. Zdała sobie sprawę, że stopniowo zanikała u niej nabyta dawniej potrzeba niezależności. Czekanie na powrót Larry'ego, gdziekolwiek by był, stawało się częścią jej codziennego życia. Coraz silniej czuła, że nie potrafiłaby już bez niego żyć. Każda najmniejsza myśl, że mógłby odejść, przeradzała się w formę psychicznego bólu. Podzieliła się tym z Allison: „Ciekawa jestem, czy taki stan ducha spowodowany jest moją ciążą, czy też faktem, że wyszłam za mąż w wieku, w którym inni już często się rozwodzą” - napisała w mailu do przyjaciółki.

„Naprawdę nie przyszło ci to głowy, że po prostu go kochasz? Jak będziesz uprawiać swoją jogę, pomedytuj trochę

na macie, czy nie lepiej celebrować swoje uczucia, zamiast się ich bać" - odpisała Allison.

Eliza założyła znaleziony w szufladzie duży kuchenny fartuch na nieco zbyt kusą kwiecistą sukienkę i zabrała się do robienia kopytek z ugotowanych wczoraj ziemniaków. Włączyła radio i mocno podkręciła potencjometr. Gdy po jakimś czasie uniosła głowę znad stołu, Larry uśmiechał się, stojąc w przejściu z jadalni do kuchni. W krótkich spodenkach, koszulce polo i z przewieszonym przez ramię ręcznikiem wyglądał na równie wyletnionego, jak i ona.

Musiał słyszeć, gdy z Rodem Stewartem śpiewała Forever Young, i widzieć, jak tocząc długie wałki z ciasta na kopytka, kołysała się w rytm piosenki.

- Co to za węże? - zapytał, podchodząc do stołu.

- To nasz egzotyczny, polski obiad.

- Zapowiada się interesująco. Ślicznie wyglądasz - dodał.

- Ta sukienka jest już chyba zbyt obcisła - tłumaczyła się w odpowiedzi na jego komplement.

- Jaka sukienka? Miałem na myśli twój fartuch. Roześmiała się i zarzuciła mu na szyję wciąż jeszcze obsypane mąką ręce.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że z węży można zrobić tak wspaniałe kluski - zażartował Larry przy obiedzie. - Przypominają mi w smaku włoskie gnocchi.

- Gnocchi? - zdziwiła się Eliza. - Byłam w Rzymie i kilku innych włoskich miastach, ale jakoś nigdy nie zwróciłam uwagi na tę potrawę. Cały czas jedliśmy tylko makarony.

- Byłaś we Włoszech? - zapytał.

Eliza pomyślała, że może - podobnie jak ona - zrobił to nie tyle z ciekawości o cel jej podróży, ile raczej o to, z kim tam była.

- Tak, to było coś w rodzaju pielgrzymki - wyjaśniła, nie wspominając, że wtedy właśnie poznała Mariusza.

- Ja, jak wiesz, nie podróżowałem za wiele. Za to dzięki Carli, to jest matce Lisy, miałem okazję poznać chyba wszystkie kuchnie świata. Gotowanie jest jej pasją, która dość poważnie udzieliła się nie tyle jej córce, ile mojej Nicole.

- Czy Nicole przyjedzie w ten weekend? - zapytała Eliza trochę z ciekawości, a trochę po to, aby przy daniu, które było jej specjalnością, nie rozwijać tematu kulinarnych zdolności innej kobiety.

- Mam nadzieję, że tak. Martwi mnie, że teraz, kiedy nie ma już sklepu, cokolwiek straciła motywację, by tu bywać. Myślałem, że ciągnęło ją do domu, a nie tylko do zarobku - powiedział niby żartem, ale z wyczuwalnym zawodem.

Wiedziała, że Larry'emu chodziło bardziej o niego samego. Musiał zdawać sobie sprawę, że ognisko domowe Harrisów powoli przestawało istnieć. Pracownia na poddaszu była być może ostatnią ostoją dawnego życia.

- Mój dom też jest już inny, Larry - odpowiedziała.

Z refleksyjnego nastroju wyrwał ich dźwięk pomarańczowego telefonu. Elizę ogarnęło przeczucie, że za jego przeraźliwym dzwonkiem kryła się jakaś niemiła niespodzianka. Spojrzała pytająco na Larry'ego i chwyciła filiżankę z herbatą w obie dłonie, aby nie pozostawić wątpliwości co do tego, że nie miała zamiaru podnosić słuchawki. Larry wstał od stołu i podszedł do aparatu. Odebrał telefon, rzucając jakieś krótkie, standardowe pozdrowienie.

- To do ciebie - powiedział, przynosząc słuchawkę do stołu.

- Kto? - zapytała krótko.

- Myślę, że Wiktor - odpowiedział, zakrywając dłonią mikrofon.

- Nie ma mnie w domu.

- Powiedz mu to sama.

- Oszalałeś? Powiedz mu zatem, że nie chcę z nim rozmawiać.

- Nie mam ochoty być waszym pośrednikiem. Znowu coś zrobię nie tak.

- Jesteś okrutny. Za karę będę rozmawiać z nim po polsku.

- W takim razie wychodzę na papierosa.

- Nie - chwyciła gwałtownie jego rękę. - Proszę, zostań - dodała łagodniej.

Usiadł przy stole. Przejęła od niego słuchawkę.

- Tak, słucham - odezwała się po polsku.

- Co jest grane, Eliza? Dlaczego zatrudniasz ochronę? Czy popadłaś w jakieś tarapaty? - Wiktor wydawał się prawdziwie zaniepokojony.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Na lotnisku. Mam odlot za godzinę.

- Odlatuje za godzinę - szepnęła Lany emu. - Świetnie. Szczęśliwej podróży - rzuciła w słuchawkę.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy boisz się, że jesteś na podsłuchu?

- Och, Wiktor, przestań dorabiać te bajkowe historie - powiedziała.

- Napiszę do ciebie z Polski.

- To weź pod uwagę, że zmieniłam nazwisko na Harris...

- Ukrywasz się pod przybranym nazwiskiem? Jednak miałem rację, wpadłaś w jakieś kłopoty - przerwał jej.

- Wręcz odwrotnie. Jestem w siódmym niebie. Wyszłam za mąż i spodziewamy się dziecka - odpowiedziała, siadając na kolanach Larry'ego.

Ujęła wolną ręką jego dłoń i położyła na swoim podbrzuszu.

- Teraz ty dorabiasz bajkowe historie, żeby się mnie pozbyć - posłyszała w słuchawce.

Larry dał znak, aby mu ją przekazała. Wstała z jego kolan i poszła dolać sobie herbaty.

- Wiktor, tu Larry Harris. Chciałbym przeprosić za swój, nazwijmy to, brak gościnności. Niemniej wiedziałeś, że Eliza nie życzy sobie, abyś ją nachodził, więc powinieneś był to respektować.

Odniósł słuchawkę i powiesił na widełkach telefonu, nie czekając na odpowiedź rozmówcy.

Rozdział XV

Michelle Stocksdale - Svenson

Larry znowu musiał wyjechać z samego rana. Tym razem miał spotkać się ze Steve'em w jego biurze w Dover w sprawie ubezpieczenia nowego biznesu.

- Muszę zajechać najpierw do swojego dawnego domu. Nie mam tu żadnej czystej koszuli na zmianę - zmartwił się, wchodząc do kuchni.

Eliza odstawiła patelnię z gotową już jajecznicą i zniknęła za drzwiami pralni, by po chwili pojawić się z białą koszulką polo, w której Larry grał wczoraj w tenisa.

- Uprałam ci ją. Wygląda na to, że jest już sucha - powiedziała, sprawdzając zgrubienie przy kołnierzyku.

- Jesteś niezastąpiona - odrzekł, złożony delikatny pocałunek na wewnętrznej stronie jej dłoni, trochę zbyt romantycznie w relacji do tak prozaicznej przysługi.

Po godzinie lekkich ćwiczeń i kontemplacji Eliza zaparzyła sobie kubek kawy i przyniosła do kuchni koszyczek z nagromadzoną tam od poniedziałku korespondencją. Zaciekawiała ją koperta na samym spodzie. Nie było na niej ani znaczka, ani adresu i nie była też zaklejona. Tego listu z pewnością nie wyjęła ze skrzynki. Zauważyłaby go wcześniej, sprawdzając, czy nie przyszło coś od Wiktora. Musiała zabrać to nieopatrznie ze schowka samochodu Larry'ego, gdy wyciągała z niego w pośpiechu swoją korespondencję. Koperta ozdobiona była inicjałami MSS, umieszczonymi w środku delikatnego roślinnego ornamentu. Bez wątplenia była częścią czyjejś eleganckiej papeterii. Eliza wyjęła z niej złożoną na pół kartkę i przez moment zawahała się, czy powinna ją odczytać. Uznała jednak list za wspólną własność. W końcu koperta nie była zaadresowana i znajdowała się w samochodzie, który należał do niej i jej męża. Nadrukowany w

nagłówku napis informował, że kartka pochodziła z sekretarzyka Michelle Stocksdale - Svenson.

Larry,

wiem, że niełatwo ci wybaczyć moją decyzję. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że wtedy nie czułam tego, co czuję dzisiaj. Żyłam nadzieją, że zmienisz zdanie i będziesz zabiegał o mój powrót. No cóż, widocznie byłam bardzo naiwna. Dzisiaj nie musisz mnie błagać. Gotowa jestem odejść od Steve'a i wrócić do ciebie w każdej chwili. Co noc przywołuję w pamięci pasję, z jaką się kochaliśmy, i niemal czuję na sobie twoje dłonie. Wiem, że często patrzysz na mnie tak, jak gdybyś chciał mi powiedzieć, że czujesz to samo. Proszę, zniszcz ten list po przeczytaniu. Nie chcę, aby dostał się w niepowołane ręce. Kocham cię i pragnę bardziej niż kiedykolwiek.

Michelle

Przekonanie Elizy, że to właśnie jej ręce miały być tymi „niepowołanymi”, zraniło ją bardziej niż jakiegokolwiek inne słowa. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Greta, lecz zdała sobie sprawę, że list nie był znaleziskiem podlegającym dzieleniu się z bliskimi nawet przyjaciółmi.

- Jasny gwint, no! - powiedziała do siebie, biorąc głęboki oddech.

Włączyła komputer i wrzuciła w wyszukiwarkę hasło „Antyki Dover Delaware”. W wynikach wyszukiwania wyskoczyło kilka sklepów, lecz tylko jeden miał w nazwie słowo „salon”. Od razu wiedziała, że trafiła w dziesiątkę. Zadzwoniła pod podany numer telefonu. Nie odpowiadał przez długi czas. Chciała już odłożyć słuchawkę, gdy odezwał się męski głos. Była prawie pewna, że to Larry. Zapytała niepewnie o Michelle.

- Michelle jest chwilowo zajęta. Czy mam przekazać wiadomość?

Jej pewność co do Larry'ego była już stuprocentowa.

- Zaczekam - odpowiedziała głosem zdławionym przez napływające łzy.

Po dobrej minucie przymusowego wysłuchiwanie jakiejś denerwująco skocznej muzyczki usłyszała kliknięcie w słuchawce.

- Michelle? - zapytała, nie czekając na zgłoszenie się rozmówcy na drugim końcu linii.

- Tak, kto mówi?

- Eliza Harris - odpowiedziała, celowo opuszczając pierwszy człon swojego nazwiska.

- Bardzo przepraszam, ale nie mam teraz czasu. Czy szukasz Larry'ego? Jest u mnie. Chcesz z nim rozmawiać?

- Nie, właśnie z nim rozmawiałam i połączył mnie z tobą.

- Dlaczego? O co chodzi? - Michelle zmieszała się zauważalnie i najwyraźniej straciła uprzednią butność.

- O co chodzi? Chodzi o to, że jeśli Larry nie ma dosyć odwagi, aby ci powiedzieć wprost, żebyś nie zastawiała na niego pułapek i nie podkładała mu swoich naiwnych listów miłosnych, to czas, żebyś usłyszała to ode mnie. Jeszcze raz coś takiego zrobisz, to zwołam konferencję z twoim mężem i zapewniam cię, że nie będzie na temat ubezpieczeń.

Trzasnęła o widełki jaskrawą słuchawką i wybrała na swojej komórce numer Larry'ego.

- Gdzie jesteś? - zapytała, gdy się odezwał. - Jestem ze Steve'em.

- Nie pytam z kim, ale gdzie - odrzekła, nie kryjąc poirytowania.

- Jesteśmy w salonie Michelle. Pojechała właśnie na aukcję. Jej pracownica nie przyszła dziś z rana, więc poprosiła, abym spotkał się ze Steve'em u niej w salonie. Nie będzie musiała go na ten czas zamykać - tłumaczył się.

- O której wrócisz? - zapytała.

- Dopiero po lunchu. Steve zaproponował, żebyśmy poszli razem coś zjeść, jak Michelle wróci z aukcji. Może chciałabyś do nas dołączyć?

- Nie, dziękuję. Żonę zaprasza się na lunch, a nie pozwala, by dołączyła - powiedziała opryskliwie, akcentując mocno czasowniki.

Usłyszała, jak Larry westchnął, nie bardzo chyba wiedząc, co ma odpowiedzieć.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Nie, nie czuję się dobrze i nie będę się dobrze czuła, dopóki nie znajdziesz sobie agencji ubezpieczeniowej, która nie będzie zagrożeniem dla naszego małżeństwa.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i wyciszyła telefon. Żeby nie zepsuć sobie reszty dnia analizowaniem rozmowy z Michelle i tekstu na kartce z jej osobistej papeterii, Eliza schowała list, usadowiła się w saloniku z laptopem i postanowiła popracować nad opowiadaniem o mieszkańcach Ustronia. Przerwała dopiero około południa. Sprawdziła komórkę. Zarejestrowane były na niej dwa nieodebrane połączenia od Larry'ego. Wyciszenie już nie było jej potrzebne, więc pogłośniła telefon.

Uczucie głodu sprowadziło ją z powrotem do kuchni. Spenetrowała lodówkę i szafki, wyciągając wszystko, co jej zdaniem nadawało się do sporządzenia wielowarstwowych kanapek, i postanowiła być w tej materii bardzo liberalna. Kiedy nafaszerowane kombinacją warzyw, wędlin, serów, zimnych sosów i przypraw kanapki spoczywały już na talerzu, usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Po paru sekundach Larry pojawił się w kuchni.

- Dlaczego nie odbierałaś telefonu?! - wykrzyknął.

Eliza wzruszyła ramionami i posłała mu nonszalanckie spojrzenie, którego chyba jednak nie wyłapał. Zwróciło jej uwagę, że miał na sobie inną koszulę niż ta, w której wyszedł

dziś rano. Odniósł kurtkę na wieszak, a gdy wrócił, usiadł przy stole i wziął jedną z kanapek.

- Dziękuję, że mimo wszystko wzięłaś mnie pod uwagę - powiedział.

Uśmiechnęła się, nie zdradzając, że obie kanapki zrobiła z myślą o sobie. Z jakiegoś powodu poprawiło jej to humor.

Jedli lunch w milczeniu. Niezaproszona do stołu przerwana rozmowa czekała cierpliwie na właściwy sygnał. Elizę dziwiło trochę, ale też i cieszyło, że Larry nie pytał na razie o powód jej wzburzenia.

- Będę musiał spędzić dzisiejsze popołudnie w pracowni - oznajmił, przełknąwszy ostatni kęs. - Mam zaczęte trzy portrety, a każdy z nich daleki jest jeszcze od ukończenia. Może wzięłabyś laptopa i pojechała ze mną? Przecież dobrze ci się tam pracowało.

- Chętnie - odpowiedziała krótko.

Kiedy wracali wieczorem do Ustronia z pudełkiem kupionej u Tony'ego pizzy, zaczął kropić deszcz i temperatura raptownie spadła o kilka stopni. Jesienny wichur przeganiał przez szosę opadłe liście, które nie zdążyły jeszcze wystarczająco namoknąć, aby móc przylgnąć do ziemi pod własnym ciężarem. W taką pogodę pomysł na wieczór przy kominku nie miał sobie równych. Ognik z jednej zapalki łąpczywie objął wysuszone słońcem ostatnich dni szczapki drewna i wkrótce oświetlił stół z pizzą na tyle, że można było przytłumić światło lampy stojącej obok kanapy. Eliza poprosiła, aby Larry przyniósł z kuchni wodę gazowaną. Wrócił z butelką perriera i kieliszkiem koniaku.

- Jesteś zmęczona? - zapytał, widząc ją wyciągniętą na kanapie. Usiadł przy jej stopach i położył je na swoich kolanach, zanim jeszcze zdążyła napomknąć, że trochę obrzękły jej nogi.

- Czytasz w moich myślach - powiedziała.

- Bardzo bym chciał - odrzekł. - Strasznie głupio się czuję po tym, jak odebrałem telefon u Michelle i nie wiedziałem, że to byłaś ty. Nigdy bym nie przypuszczał, że mogłabyś tam po cokolwiek dzwonić.

- Przynajmniej jesteś szczery - odparła trochę uszczypliwym tonem.

- Źle mnie zrozumiałaś, kochanie. Ja też nie przypuszczałem, że się tam znajdę.

- Znowu pozwoliłeś się złapać w zastawione sidła - rzuciła tym samym sarkastycznym tonem. - A swoją drogą, w jaki sposób dowiedziałeś się, że dzwoniłam do salonu Michelle? Przecież ci o tym nie powiedziałam.

- Wygląda na to, że ożeniłem się z damską wersją Sherlocka Holmesa - zażartował Larry, pomyślnie rozładowując narastające podstępnie nieprzyjemne napięcie. - Michelle wyjechała na aukcję zaraz po twoim telefonie - kontynuował. - Zadzwoiła do mnie z drogi z pretensjami, że dyskutuję z tobą o jej osobistych sprawach i udostępniam listy, które pisała do mnie w sekrecie. Stąd wiem, że do niej dzwoniłaś. Nie wiem tylko, co cię do tego skłoniło ani co jej właściwie powiedziałaś.

- Po prostu przyszła mi ochota na pogawędkę. - Eliza znów poczuła w sobie prąd sarkazmu. Wiedziała, że musi stawić mu opór. - Kiedy zmieniłeś koszulę? - zapytała łagodnie. - Wyjechałeś z domu w białym polo.

- Zajechałem zajrzeć, co się dzieje na ojcowiznie i przy okazji zmieniłem koszulę, mój Sherlocku - odrzekł z uśmiechem.

- Powiedziałam Michelle - zaczęła, wracając do przerwane go tematu - że nie będę dalej tolerować ani pułapek, które na ciebie zastawia, ani jej naiwnych listów. Ostrzegłam, że jeśli jeszcze raz coś takiego zrobi, zwołam mityng ze Steve'em.

- Proszę, nie zrozum mnie źle - powiedział Larry, przytulając ją mocniej do siebie. - Nie mam nic przeciwko temu, żebyś czytała moje maile, jeśli masz ku temu powody. Mogłaś mi jednak powiedzieć o tym, zanim do niej zadzwoniłaś.

- To nie był mail, Larry. Natknęłam się na niego dopiero dzisiaj rano, już po twoim wyjeździe. Był w schowku na dokumenty.

- Nie zaglądałem tam chyba jeszcze od czasu nabycia samochodu. Musiała podłożyć mi ten list już wtedy - powiedział Larry, nie kryjąc oburzenia.

Jego długo oczekiwany odwrót z pozycji gloryfikowania Michelle był oczywisty. Eliza przyjęła to z ulgą. Nie czuła teraz żalu do Michelle. Może kiedy ta kobieta pisała swoje wyznanie, nie była jeszcze świadoma, że Larry się z kimś związał.

- Czy ciągle jeszcze masz ten list? - zapytał Larry. - Myślę, że skoro był przeznaczony dla mnie, powinienem go przeczytać.

Przyniosła torebkę, wyciągnęła z niej kopertę i położyła mu na kolanach, a kiedy skończył czytać, podeszła do kominka i odsunęła siatkę zabezpieczającą. Przejęła list i zgniótlszy go w zwężłą kulkę, podała z powrotem Larry'emu.

- Rzucamy na trzy - powiedziała, trzymając w dłoni drugą kulkę papieru.

- Co było w twojej? - spytał, wykonawszy posłusznie jej polecenie.

- Kartka od Wiktora - odrzekła.

Elizę obudziły nudności i przykre uczucie ssania w żołądku. Myślała, że jest jeszcze środek nocy, lecz zorientowała się, że było już dobrze po dziewiątej, a ciemność w sypialni wynikała z zasłoniętych aluzji i pochmurnej pogody. Usiadła, podsuwając poduszkę pod plecy. Drzwi do

sypialni były zamknięte. Z któregoś z odległych pomieszczeń dochodziło mruczenie odkurzacza. Wstała z łóżka i pospieszyła do toalety, hamując po drodze przykre odruchy wymiotne.

Kłęcząca z głową zwieszoną nad muszlą, gdy Larry pojawił się w otwartych drzwiach łazienki i zapytał, co może zrobić, aby jej pomóc. Poprosiła o dwie bułki z serem i duży kubek gorącego kakao. Pospieszył do kuchni, zanim Eliza poddała się kolejnej fali nudności. Ochlapała twarz i szyję zimną wodą. Pomogło tylko chwilowo. W drodze do kuchni znów zrobiło się Elizie słabo. Chwyając zwisający z serwantki koronkowy bieżnik, straciła mosiężny świecznik. Spadł na podłogę i potoczył się z łoskotem wśród odprysków świecy. Eliza znalazła się w objęciach Larry'ego. Posadził ją przy kuchennym stole, złapała jedną z czekających na nią bułek. Obie były z szynką i serem, ale przewaga tej pierwszej przytłaczała. Eliza zdała sobie sprawę, że koncepcja kanapki z samym tylko serem nie istniała w amerykańskim jadłospisie. Zanim więc wyjęła z niej szynkę, zjadła kilka leżących na talerzyku migdałów. Nudności ustały tak szybko i niespodziewanie, jak się pojawiły.

Coś zasyczało na kuchence. Larry przeklinał wykipiałe mleko. Gdy wreszcie postawił przed nią kubek z kakao i sam usiadł przy stole ze swoją kawą, wyglądał jak zdewastowany seria nieudanych eksperymentów naukowiec. Elizę nagle ogarnęło uczucie wesołości.

- Strasznie dziś narozrabiałam - zaśmiała się. - Jak tak dalej pójdzie, pewnie pomyślisz, że oferta Michelle wcale nie była taka głupia - dodała rozbawiona.

Szybko zorientowała się, że żart nie był na miejscu. Larry - jak się wydawało - nie podzielał jej dobrego humoru.

- Sądziłem, że zamknęliśmy już ten temat - powiedział poważnie.

Wstał od stołu i wzięwszy miotłę i szufelkę, poszedł do jadalni, aby sprzątnąć rozsypane po świeżo odkurzonej podłodze kawałki stearyny z rozbitej świeczki. Eliza wyjęła szynkę z drugiej bułki i podobnie jak pierwszą zjadła z samym tylko serem. Gdy Larry wrócił, zastał ją z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Znowu masz mdłości? - zapytał już łagodniej. Pokręciła głową. Odkryła twarz, ocierając z niej łzy.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

- Bo zdegradowałam twoje życie do jakiejś bardzo prymitywnej formy. Spójrz wokoło: porozwalane przedmioty, szufelka, miotła, odkurzacz, przypalone na kuchence mleko i żona w zaplamionej piżamie domagająca się bułek z serem. Szczyt marzeń, prawda?

Usiadł obok przy stole i ujął jej rękę.

- Już ci kiedyś mówiłem, że właśnie takie życie mi odpowiada, bo jest prawdziwe, rozumiesz? To normalne, że będąc w ciąży, przeżywasz nudności i huśtawki emocjonalne.

- Jakie znowu huśtawki? - obruszyła się. - Nad swoimi emocjami akurat doskonale panuję.

- To świetnie. Pojedziemy zatem do Salisbury zrobić zakupy.

Gdy zakończyli chodzenie po sklepach, Larry zabrał Elizę na obiad do niewielkiej, ale ekskluzywnej i z pewnością nietaniej restauracji.

- Byłeś tu przedtem? - zapytała, gdy zaprowadzono ich do dwuosobowego stolika w głębi pomieszczenia i podano ładnie oprawione menu.

- Nie, nigdy tu nie byłem. Wynałazłem to miejsce w internecie. Specjalizują się w potrawach francuskich. Myślałem, że...

Przerwał, gdy Eliza położyła nagle rękę na jego dłoni i poprosiła, aby dyskretnie się odwrócił. Hostessa wprowadzała

właśnie Michelle i Steve'a w towarzystwie chłopczyka i pary starszych ludzi, wskazując im sąsiednią salę, gdzie stały większe stoliki.

- Zmieńmy restaurację - zaproponował Larry.

- Nie widzę potrzeby - odrzekła Eliza. - Sam powiedziałaś, że zamknęliśmy już ten rozdział. Nie możemy liczyć na to, że Michelle wyemigruje nagle na inny kontynent. Kim są ci starsi państwo? - zapytała.

- Domyślam się, że to rodzice Steve'a. Wspominał kiedyś, że pochodzi z Salisbury.

Kelner przyniósł kartę win, recytując rekomendacje na dzisiejszy wieczór, i pewnie nie był uszczęśliwiony, gdy Larry poprosił jedynie o dwie szklanki wody.

- Z uwagi na ciebie przykro mi, że ten temat ciągle się za nami wlecze - powiedział, gdy kelner odszedł.

- Nie przejmuj się. Widocznie taki już nasz los - zaśmiała się.

Larry nie zareagował. Eliza odniosła wrażenie, że przygotowywał się do powiedzenia czegoś, czego nie planował wyjawiać dzisiejszego wieczoru, a może nawet w ogóle. Przyniesiono szklanki z wodą i talerzyk z kawałkami cytryny.

- Tym razem nie chodzi tylko o Michelle - zaczął, nieświadomie dowodząc stuprocentowej celności przypuszczenia swojej żony. - Pokomplikowały mi się trochę układy ze Steve'em.

- Chyba nie musisz się przed nim ukrywać z powodu jakiejś nieudanej oferty ubezpieczeniowej?

- Będę musiał wtajemniczyć cię w pewną niezbyt przyjemną sprawę - zaczął znowu Larry, dotykając dłoni Elizy. - Widzisz, kiedy Michelle wróciła wczoraj z aukcji, byłem sam w jej salonie, bo Steve musiał pojechać po coś do swojego biura. Przepraszając mnie za niegrzeczny ton

rozmowy telefonicznej, podeszła bardzo blisko i dotknąwszy mojej twarzy, zaczęła mnie całować. Złapałem jej ręce z zamiarem odsunięcia od siebie i wtedy wszedł Steve.

- Jasny gwint! - zaklęła Eliza po polsku i skinieniem dłoni przywołała kelnera.

- Zapłacimy za wodę. Zmieniliśmy zdanie co do obiadu - powiedziała, wstając od stolika.

Jak się okazało, woda była gratis i za chwilę znaleźli się w samochodzie. Zaraz za rogiem wypatrzyli niewielką grecką restaurację.

- Proszę o gorącą herbatę dla mnie i podwójną metaxę dla mojego męża - powiedziała, wciąż jeszcze na fali przejętej inicjatywy.

- To ci dobrze zrobi, Larry. Poprowadzę samochód w powrotnej drodze.

Nie wydawało się, żeby Larry miał coś przeciw temu, że Eliza zdecydowała za nich oboje.

- Michelle powiedziała Steveowi - kontynuował opowiadanie - że ją zbyt poufale dotykałem i usiłowałem wymusić pocałunek. Steve rzucił się, żeby mi przyłożyć, lecz szybko się zorientował, że nie miałby ze mną szans. Pozwoliłem mu tylko szarpnąć moją koszulę dla zaspokojenia jego męskiego ego. Trochę mi ją naderwał. Dlatego wróciłem do ciebie w innej.

- Powiedziałeś mi, że to było akurat odwrotnie, prawda?

- Nie, Eliza, postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu. Co by to dało? Nie miałem żadnych dowodów i najprawdopodobniej nie uwierzyłyby moim tłumaczeniom. A gdyby nawet, coś takiego mogłoby tylko rozbić ich małżeństwo.

- Jesteś nieprawdopodobnie honorowy. Nigdy przedtem nikogo takiego nie spotkałam - odrzekła, gładząc czubkami palców jego dłoni.

- To dobrze, bo jeszcze wyszłabyś za niego za mąż - zażartował.

Eliza nie miała Larry'emu za złe, że planował spędzić większość dnia w swojej pracowni. Musiał nadrabiać spowodowane wczorajszym wyjazdem zaległości.

- Po powrocie z Polski przeniosę cały swój warsztat do aneksu Henry'ego - oznajmił w czasie śniadania. - Ma najlepsze oświetlenie - dodał, zanim Eliza zdążyła poczuć się urażona, że nie przedyskutował z nią wyboru pomieszczenia.

- Przywiozę z Polski swoje podstawki do jajek - powiedziała, obracając w ręce pustą skorupkę. - Mam cały komplet; bardzo stary. Dostałam go kiedyś od Walickiej.

- Tej twojej krewnej, którą się opiekowałaś?

- Właściwie to trudno mówić tu o pokrewieństwie. Mój ojciec był jakimś dalekim kuzynem jej męża. Mieli do spółki kamienicę w dość prestiżowej części miasta. Rodzice mieszkali tam nawet przez kilka lat po ślubie.

- Czy połowa posesji nadal pozostaje w posiadaniu twojej rodziny? - zapytał Larry.

Eliza zastanawiała się, czy jego zaciekawienie podyktowane było wyłącznie faktem, że wybierali się do Polski, czy też była to dyplomatyczna próba zweryfikowania jej majątku.

- Ojciec sprzedał ją swego czasu - odpowiedziała. - Dziwnym trafem odzyskałam część domu, tyle że akurat tę drugą - zaśmiała się.

- Kto jest teraz właścicielem pozostałej części? - Larry dociekał tego chyba już tylko ze zwykłej ciekawości.

- Adam - odpowiedziała, zdając sobie sprawę, że pomijając Wiktora, było to ostatnie imię, które jej mąż chciałby usłyszeć. - Urodziłam się w tym domu - dodała zaraz, głównie po to, by nie dopuścić do żadnej z uwag, jakie Larry sortował już pewnie w zanadrzu swojej uszczypliwości.

- Urodziłaś się w domu? - zapytał zdziwiony.

- Gdy mamę wzięły bóle, było już za późno na podróż do szpitala. Odbierała mnie Walicka.

- Była położną?

- Nie sędzę. Przeczytała chyba jednak wszystkie książki świata i dlatego nie było rzeczy, na której się nie znała, przynajmniej teoretycznie.

- Może powinniśmy i my nasze dziecko urodzić w domu? Czytałem, że wraca taka moda. Co o tym myślisz?

Eliza nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Larry stawał się coraz lepszy w sprowadzaniu każdej rozmowy na temat ich dziecka.

- Nasza ciąża będzie do końca ryzykowna, Larry, i na pewno Terry, to znaczy doktor Mercer, tego nie pochwali - powiedziała cicho, mimo wszystko wzruszona jego emocjonalnym zaangażowaniem.

Larry wstał od stołu i położył rękę na jej ramieniu. Swoim zwyczajem przechyliła głowę, dotykając policzkiem wierzchu jego dłoni.

- Zostanę dzisiaj w Ustroniu - oświadczyła, uprzedzając jego niewypowiedziane jeszcze pytanie. - Wypiorę parę rzeczy i ugotuję obiad. Przyjedziesz na lunch?

- Wolałbym, żebyś zrobiła sobie przerwę i przyjechała do mnie. Zamówię coś wcześniej u Tony'ego. Jedliśmy dziś śniadanie dość późno. Wytrzymasz do pierwszej?

- Nie ma problemu - powiedziała, nie wspomniawszy słowem, że za godzinę pewnie zrobi sobie hot doga z kapustą.

Dzwonek pomarańczowego telefonu wyrwał ją z błogiego stanu rozmarzenia.

- Cześć, Eliza - odezwał się Adam. - Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, jak najbardziej. A u was?

- Ben miał zapalenie ucha, ale już jest lepiej.

- Uściskaj go ode mnie. Marlenę i jej rodziców też. Czy znasz już termin przylotu Fredy i twojej mamy?

- Właśnie dlatego dzwonię. Przylatują do Newark w piątek wieczorem.

- Świetnie, ale właściwie to bardziej interesuje mnie, kiedy odlatują. Nie zrozum mnie źle - zreflektowała się. - Wybieramy się z Larrym do Polski, więc myślałam, że może załapałibyśmy się na ten sam lot.

- Bardzo się cieszę, że polecicie razem. Freda wraca w sobotę zaraz po Święcie Dziękczynienia, bo ma swoje zobowiązania, ale mama zostanie do końca roku. Chce choć raz spędzić z nami święta.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać z Fredą i Terenią na temat Migdałowego aromatu? Zahacza przecież i o ich życie.

- Freda jest wtajemniczona i nie zgłasza sprzeciwu, chociaż na pewno będzie chciała zapoznać się z końcową wersją, a mama i tak nie czyta niczego poza czasopismami - zaśmiał się.

Skończywszy rozmowę, Eliza postanowiła zagospodarować jak najlepiej to, co miała jeszcze w kuchennym zaopatrzeniu. Trzeba było zrobić coś z nieprawdopodobnymi zapasami migdałów zgromadzonymi w panice przed nudnościami. Włączyła laptopa i wyciągnęła przepis, który dostała kiedyś od Walickiej. Figurował pod nazwą „Migdałowy placek Buni”. Przepis oparty był jednak bardziej na zapachowym olejku do ciast niż samych migdałach. Wymagał zaledwie garstki posiekanych migdałów do posypania polewy. Znalazła w szafce zaczęłą buteleczkę zapachu migdałowego. Uznała to za dobry znak. Kiedy foremka z ciastem powędrowała do piekarnika, Eliza wystukała numer komórki Greta.

- Za godzinę będę miała świeżo upieczony placek. Przyjdiesz na kawę?

- No pewnie, ale może raczej za godzinę i pół. Dobrze będzie?

- Nie ma sprawy.

Brzęczyk piekarnika i dzwonek do drzwi odezwały się niemal w tym samym czasie. „Greta musiała się wyrobić wcześniej, niż planowała” - pomyślała Eliza. Wyjęła prędko blachę z ciastem, włączyła ekspres do kawy i pospieszyła otworzyć drzwi. Ku swojemu kompletnemu zaskoczeniu po drugiej stronie ujrzała Steve'a Sven - sona. Na moment wróciła pamięcią do wizyty Lestera. Wtedy też otworzyła drzwi zbyt pochopnie. Mimo woli spojrzała na ręce Steve'a. Trzymał je złożone przed sobą jak do modlitwy. Z bliska wydał się jej dużo starszy. Może nie był w najlepszej formie.

- Pani Eliza? - spytał niepewnie.

Ona też pewnie prezentowała się zupełnie inaczej w domowym otoczeniu. Odruchowo poprawiła włosy. Przebiegł ją dreszcz paniki, że coś niedobrego stało się z Larrym.

- Męża nie ma w domu - poinformowała.

- Nie szkodzi. Właściwie to przyszedłem zobaczyć się z panią. Czy mogę wejść? - zapytał.

- Tak, tak, oczywiście. Proszę mówić mi po imieniu.

- Bardzo przepraszam, że nie uprzedziłem, ale nie znam twojego numeru telefonu. Zaryzykowałem adres, który podał Larry, gdy dopisywaliśmy cię do polisy. Po zapachach wnioskuję, że coś gotujesz. Możemy rozmawiać w kuchni? - zapytał.

Usiedli przy kuchennym stole. Eliza zaproponowała kawę. Chętnie przystał.

- Świeżo zaparzona - powiedziała, stawiając przed nim filiżankę.

- Dobrze mi zrobi. Dziękuję. Prawie nie spałem ostatniej nocy - dodał tonem domagającym się współczucia, z jakim Eliza spotkała się już u Michelle.

- Przykro mi to słyszeć - odpowiedziała, ustawiając foremkę ciastem na dziurkowanej metalowej podstawce, aby szybciej przestygło. - W czym mogę pomóc?

- To bardzo delikatna sprawa - zaczął. - Od dwóch dni biję się z myślami, jak mam postąpić. Generalnie jestem za obroną praw ofiar wszelkich wykroczeń. - Przerwał i pociągnął z filiżanki długi łyk kawy. Eliza przeraziła się, że może Steve stał się jednak ofiarą Larry'ego i przyszedł teraz domagać się sprawiedliwości. - W sytuacjach takich jak zdrada małżeńska - kontynuował jej gość - jestem z jednej strony daleki od wchodzenia w osobiste sprawy innych, a z drugiej... z drugiej strony uważam, że należy informować osobę poszkodowaną o znanych faktach, aby mogła podjąć własną decyzję. Nie przedłużając całego wywodu, chciałem ci zakomunikować, że twój mąż ma pozamałżeńską aferę z moją żoną.

- Na podstawie czego tak twierdzisz? - zapytała Eliza, szukając w szafce talerza do wyłożenia placka.

- Nie wydajesz się tym zaskoczona - zdziwił się.

Eliza czuła, że rozmowa sięgnęła pułapu, na którym zarówno zaprzeczenie, jak i potwierdzenie prowadziłyby do zniweczenia szlachetnej ofiary Larry'ego złożonej na ołtarzu ratowania małżeństwa Svensonów.

- Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie - rzuciła zadowolona, że udało jej się odsunąć na moment wizję klęski.

- Przedwczoraj przyłapałem Larry'ego, jak trzymał ręce Michelle i usiłował ją pocałować. Przykro mi, że jestem zmuszony ci o tym powiedzieć, bo przecież dopiero co się pobraliście. Uwierzyłem, że to było dla niej zaskoczeniem i że się przed tym broniła. Wczoraj wieczorem zmieniłem zdanie.

Jestem teraz przekonany, że oboje z Larrym spotykają się za naszymi plecami.

- Co spowodowało, że zmieniłeś zdanie? - spytała Eliza, sprawdzając palcem temperaturę placka i uznawszy, że wystarczająco przestygł, zajęła się przygotowywaniem polewy.

- Wczoraj były siedemdziesiąte piąte urodziny mojego ojca. Z tej okazji spotkaliśmy się z rodzicami w restauracji. Michelle miała rzekomo coś przedtem do załatwienia i przyjechała osobno. Zauważyłem, że na parkingu stał samochód Larry'ego. Poznałem po numerach rejestracyjnych.

- Pamiętasz jego numery? Ja nawet swoich nie pamiętam - zaśmiała się Eliza po części z zamiarem rozładowania ciężkiej atmosfery spotkania.

Zabrała się do siekania migdałów. Steve spojrział na nią z niedowierzaniem, zapewne zde gustowany jej brakiem respektu dla powagi sytuacji.

- Jechałem za tym samochodem przez godzinę w dniu, kiedy został kupiony. Zauważyłem wtedy, że w numerze rejestracyjnym były wszystkie cyfry z mojej daty urodzenia, tyle że pomieszane. Poza tym Larry wpłacił dodatkowo na ochronę środowiska, za co dostał tablicę z wizerunkiem zatoki.

- Obecność samochodu Larry'ego na parkingu nie dowodzi jeszcze, że przyjechał tam spotkać się z twoją żoną - powiedziała Eliza już poważniej.

- To nie było w Dover. Skąd wiedział, że byliśmy tego wieczoru w Salisbury? Może ma obsesję na punkcie Michelle? Może ją śledzi? Może jest z nią nawet w tej chwili?

- Zostańmy przy faktach, Steve, i proszę, powstrzymaj się od domysłów i spekulacji; przynajmniej w stosunku do mojego męża - odrzekła Eliza, używając dość ostrego tonu.

- Przepraszam, ale trudno mi kontrolować emocje. Moje małżeństwo ma nieporównanie dłuższy staż niż twoje i do tego dziecko...

Głos mu się załamał. Zakrył twarz dłońmi i poprosił o chusteczkę. Eliza podała mu całe pudełko. Odeszła szybko, aby pokryć wierzch placka zastygającym już lekko lukrem. Zgodnie z przepisem posypała całość rozdrobnionymi migdałami. Gdy to zrobiła, nagle dopadły ją mdłości. Złapała garść migdałów i w panice włożyła do ust.

- Wszystko w porządku? - zapytał Steve, zdziwiony pewnie jej niespodziewanym odruchem.

- To dla złagodzenia dolegliwości ciążowych - powiedziała, wciąż jeszcze przeżuując migdały.

- Nie wiedziałem, że spodziewacie się potomstwa - powiedział. - Gratuluję.

- Dziękuję. Wracając do tematu; tego dnia byliśmy z Larrym w Salisbury na zakupach i nie rozstawaliśmy się nawet na chwilę - stwierdziła, nie wspominając, że widzieli ich w restauracji.

Eliza miała wrażenie, że grunt palił jej się pod stopami i za moment zostanie przyciśnięta do muru, aby wyznać coś wbrew własnej woli. Jedyne wybawienie widziała w nadejściu Greta. Spojrzała na zegarek. Gdyby przyszła teraz, rozmowa ze Steve'em została by zawieszona i byłby czas wszystko przemyśleć. Eliza spodziewała się jednak Greta dopiero za jakieś dziesięć minut. Na nieszczęście Greta była bardzo słowna, gdy chodziło o czas. Eliza ukroiła kawałek placka i postawiła przed Steve'em z nadzieją, że przynajmniej chwilowo zaprzestanie rozwijania tematu. Podziękował i za pomocą widelczyka napoczął ciasto od warstwy lukru. Włożywszy do ust niewielki kawałek, uspokoił się niczym przekupione słodczymi dziecko. Uśmiechnął się nawet nieznacznie, chwając delikatny smak i aromat. Eliza

pomyślała, że może jej lukrowany wypiek podziałałby podobnie na Larry'ego, gdyby doszło do jakiejś kontrowersyjnej rozmowy.

- Chciałabym coś ci zaproponować, Steve - powiedziała, wykorzystując przelotny moment jego lepszego samopoczucia. - Za półtorej godziny mam spotkać się z Larrym w jego pracowni. Pojedźmy tam razem i porozmawiajmy we troje. Jestem pewna, że wiele się wtedy wyjaśni. Poza tym lada moment spodziewam się krótkiej wizyty koleżanki. - Spojrzała na zegarek, jak gdyby chciała mu udowodnić, że mówi prawdę.

Kopiując jej ruch, Steve sprawdził godzinę na swoim.

- Nie opłaca mi się wracać do Dover - powiedział i wyglądał na to, że był zainteresowany pomysłem.

- Możesz poczekać w salonie. Włączę telewizor.

- A twoja koleżanka? - zapytał.

- Zawsze siedzimy w kuchni i tym razem nie będzie inaczej. Steve Svenson wstał od stołu, prosząc o jeszcze jeden kawałek ciasta. Posłusznie podążył za Elizą do salonu.

- Jesteś bardzo rzeczowa, a do tego robisz świetne wypieki Larry chyba postradał zmysły, szukając przygody z inną kobietą - powiedział, siadając na kanapie.

Eliza puściła jego słowa mimo uszu. Postawiwszy talerzyk z ciastem na bocznym stoliku, włączyła telewizor i podała swemu gościowi pilota.

- Smacznego. Zrelaksuj się - odrzekła, zamykając za sobą drzwi.

W przedsiionku czekała już na nią Greta.

- Pukałam do drzwi i nikt nie otwierał, a tu jeszcze do tego jakieś obce auto pod domem stoi. Larry zawsze mówi, żebym kluczem otwierała, jakby co. No to pomyślałam, że do westybulu przynajmniej wejde i zobacze, o co chodzi. Czy ktoś jest u ciebie? - zapytała, dyskretnie zaglądając do kuchni.

- Zaraz wszystko wytłumaczę. Siadaj, naleję ci kawy.

- I tego placka mi daj, no.

Gdy Greta delektowała się aromatycznym ciastem, Eliza zrelacjonowała w szczegółach przebieg całego wydarzenia. - Jasny gwint, Eliza, jasny gwint, no.

- I co ja mam teraz zrobić? Larry nie będzie pewnie zachwycony moim pomysłem przyprowadzenia do niego Steve'a, bo chciał utrzymać go w przekonaniu, że to on nastawał na wdzięki Michelle, a nie odwrotnie. A może tak było naprawdę, Greta? - zapytała po chwili. - Kiedy Steve stwierdził, że kto wie, czy teraz nie są gdzieś razem, ogarnęły mnie wątpliwości.

- Oj ty, Eliza, ciągle mnie nie wierzysz, jak ja mówię, że Larry za tobo świata nie widzi. Przyrzekłam jemu, że nie powiem, ale chyba będę musiała złamać obietnice. Wiesz, dlaczego nie mogłam przyjść do ciebie wcześniej?

Eliza poczuła się jak krnąbrna pociecha zbesztana w końcu przez tracącego cierpliwość rodzica. Pokręciła głową ze wzrokiem utkwionym w filiżance z kawą.

- Bo u Larry'ego byłam, no!

- Co takiego? - ożywiła się Eliza.

- No wiesz przecież, że nie na randke - Greta zaśmiała się dobrotliwie. - Sprzątałam jemu dom, bo sam czasu nie miał, a Nicole ostatnio rzadko przyjeżdża. Przez ten cały czas był na górze, w pracowni. Sam jeden - dodała.

- Mógł przecież poprosić mnie o pomoc.

- O to właśnie się rozchodziło, żebyś nie sprzątała, no. On bardzo się o ciebie troszczy i o twoją ciężę. Dobrze jest, Eliza. Mnie pare groszy też się przyda od czasu do czasu. Chciał, żebym ja tu, w Ustroniu też sprzątnęła raz w tygodniu, ale podobno się nie zgodziłaś. Ja to rozumiem, no.

- Przecież wiesz, że to nie dlatego, żeby nie dać ci zarobić. Chodzi o to, że Larry zanadto mnie rozpieszcza, a ja nie mam zamiaru używać swojego stanu jako wymówki.

- No to pokaż mi teraz, co tam sobie wczoraj kupiłaś - powiedziała Greta, oblizując z lukru swoje grube palce.

- Roztaczam przed tobą dramaty, a ty zamiast coś poradzić, chcesz oglądać ciuchy? Chodź, mam je w szafie, w sypialni - dodała półgłosem.

- Co do porady, to już wszystko powiedziałam - odrzekła Greta, oglądając kurtkę, płaszcz, skórzane botki i nową bieliznę. - No a biustonosze to niedługo będziesz mogła ode mnie pożyczać - zaśmiała się. - Musze już lecieć. Daj znać, jak się wszystko ułożyło, no.

Gdy tylko Greta opuściła dom, Eliza weszła do salonu, żeby powiadomić o tym Steve'a. Czubek jego głowy wystawał ponad oparcie kanapy. Telewizor nadal był włączony.

- Moja koleżanka już wyszła - poinformowała go.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, podeszła bliżej. Jej gość spał z otwartymi ustami i pilotem w dłoni. Wróciła do kuchni i wykręciła numer Larry'ego.

- Musisz zamówić lunch na trzy osoby - powiedziała, gdy odebrał telefon. - Przyjadę ze Steve'em Svensonem.

- Ze Steve'em? - zdziwił się. - Gdzie on jest?

- Śpi na kanapie w salonie.

- Czy na pewno dobrze się czujesz, Eliza? - zapytał Larry po długiej chwili.

- Jestem przy zdrowych zmysłach, jeśli o to ci chodzi, ale czuję się okropnie. Steve jest przekonany, że albo masz romans z Michelle, albo ją napastujesz wbrew jej woli. Przyjechał wciągnąć mnie na listę pokrzywdzonych. Nie miałam pojęcia, jak się wobec niego zachować. Poczęstowałam go kawą, a potem zaproponowałam, że zabiorę go na spotkanie z tobą. Chętnie się zgodził.

- To dlaczego teraz śpi? Dosypałaś mu czegoś do kawy?

- Nie - zaśmiała się. - Zostawiłam go w salonie, gdy przyszła Greta, i zasnął przed telewizorem. Musiał być bardzo zmęczony.

Eliza przebrała się szybko w czyste dżinsy i kolorową bluzkę. Zawsze dobierała do niej bursztynowe kolczyki i tym razem nie zrobiła wyjątku. Szła już do salonu, aby obudzić Steve'a, gdy usłyszała odgłos klucza przekręcanego w drzwiach wejściowych. Larry wpadł do domu, niosąc przed sobą tekturowe pudełko, na którym widniało logo pizzerii Tony'ego Lombardi.

- Przepraszam za zmianę planów - powiedział, całując wyeksponowaną dekoltem karko szyję Elizy. - Będzie lepiej, jak porozmawiamy z nim tutaj. W końcu to jest nasz dom i jeśli Steve przyjechał do ciebie, to znaczy, że przyjechał też i do mnie.

- Cieszę się, że tak myślisz - odrzekła. - Bałam się, że będziesz na mnie zły za wciągnięcie do tej dyskusji, ale nie widziałam innego wyjścia.

- Ja z kolei nie widzę innego wyjścia, jak powiedzieć mu prawdę, i poradzić, aby resztę rozwiązali między sobą. Chciałem być honorowy wobec Michelle, ale to nie może odbywać się kosztem naszej rodziny.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Larry - powiedziała.

Larry uśmiechnął się i wręczył jej pudełko z pizzą.

- Nigdy przedtem nie zamawiałaś z szynką i papryką - zdziwiła się Eliza. - Czy to ulubiona pizza Steve'a? - zapytała trochę uszczypliwie.

- Jedyna, jaką Tony miał już gotową do odbioru. Nie było czasu na czekanie.

- Zabrałaś pizzę przeznaczoną dla innego klienta?

- Klient zaczeka, a Tony zrobi drugą. Dobrze mu zapłaciłem.

- Jesteś porywczy jak polski szlachcic.
- To dobrze czy źle?
- Ryzykownie. Proszę, idź obudzić Steve'a.
- Myślę, że powinniśmy pójść razem. Może zacząć krzyczeć z przerażenia, gdy otworzy oczy i zobaczy mnie. Pewnie jestem jego najgorszą nocną marą.

Gdy weszli do salonu, Steve stał przy biblioteczce i z założonymi do tyłu rękami wertował wzrokiem grzbiety książek, a może jedynie udawał, że to robi. Nie sprawiał wrażenia ani zdziwionego, ani przerażonego obecnością Larry'ego. Zaprosili go do jadalni, tłumacząc, że plany uległy zmianie. Gdy Larry częstował pizzą, Steve nałożył sobie dwa kawałki i podziękował kurtuazyjnie.

- Przepraszam, że naderwałem ci wtedy koszulę - dodał z męską dumą Dawida, któremu udało się, jeśli nie pokonać, to przynajmniej przestraszyć Goliata.

Eliza widziała kątem oka, jak Larry się uśmiechał, i była ciekawa, czy miał podobne skojarzenia.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Steveowi krótko, wciąż nosząc na twarzy ślady uśmiechu.

Na jakiś czas zapanowała cisza, której złudnym powodem wydawał się dobry apetyt znajdujących się w jadalni osób.

- Czy mogę cię o coś zapytać, Eliza? - odezwał się Steve.

- Tak, słucham.

- Odnoszę wrażenie, że bezgranicznie ufasz swojemu mężowi i sądzisz, że to moja żona próbuje wejść pomiędzy was, a nie odwrotnie. Czy mam rację?

- Byłabym nieszczerą, gdybym powiedziała, że nie miałam czasem wątpliwości, zwłaszcza że, jak wcześniej zauważyłeś, nasze małżeństwo ma bardzo krótki staż. Dotarliśmy się jednak z Larrym na tyle, że potrafimy otwarcie rozmawiać o tym, co nas nurtuje. Myślę, że byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyście z Michelle zrobili to samo.

- Czy ona próbuje rozbić wasze małżeństwo, Eliza? - zapytał znowu Steve, najwyraźniej zawiedziony niejednoznacznym wyjaśnieniem.

- Pozwól, że wyręcę moją żonę w odpowiedzi - wtrącił Larry. - Michelle kilkakrotnie usiłowała namówić mnie do wznowienia bliskiej znajomości, oświadczając, że nie jest szczęśliwa w małżeństwie. Przepraszam, ale to jest najdelikatniejszy sposób, w jaki potrafię ci to przekazać - usprawiedliwił się, spostrzegłszy widocznie wyraz zakłopotania na twarzy swego rozmówcy.

- Doceniam twoją szczerłość - odpowiedział cicho Steve, spuszczać wzrok.

Eliza wyłapała lekkie drganie jego przymkniętych powiek i kącików ust. Poczowała uścisk żalu i napływ łez sympatyzującego wzruszenia. Sięgnęła po stojące na serwantce pudełko chusteczek, które Steve przejął w przekonaniu, że uczyniła to z myślą o nim.

- Mimo że byliśmy sobie w przeszłości bliscy - kontynuował Larry - Michelle trafiła na bardzo niepodatny grunt. Niemniej to popychało ją tylko do wzmożenia ataków. Znasz ją dłużej niż ja i wiesz na pewno, że jak weźmie coś na muszkę, to będzie tak długo celować, aż strzeli w dziesiątkę. To jest bardzo dobra cecha, ale nie wtedy, gdy robi się to kosztem innych. Liczę, że potrafisz ją do tego przekonać, Steve.

- Tego nie wiem. Może będziemy potrzebowali jakiegoś profesjonalnego poradnictwa - odrzekł, wydmuchawszy kilkakrotnie poczerwieniały już nos.

- To bardzo dobry pomysł - wtrąciła Eliza po to tylko, aby dać znać, że nie wycofała się całkiem z rozmowy.

- Gdybym nie poznał Elizy lepiej, pewnie nadal podejrzewałbym, że masz się ku mojej żonie, Larry. Teraz

wiem, że się myliłem - podsumował Steve z grymasem smutku.

Było jasne, że nie miał najmniejszego powodu do radości z rozwikłania kwestii winy.

- Skoro już wszystko wyjaśniliśmy - powiedział Larry, wykorzystując moment - pozwólcie, że wrócę do pracy. Mam naprawdę nawał roboty.

Pocałował Elizę w policzek i skierował się do wyjścia, zakładając pośpiesznie kurtkę.

- Ja też już będę się zbierał - oświadczył Steve. - Niech tylko Larry wyjedzie, bo zaparkował za moim samochodem.

- Zaczekaj chwilkę, zapakuję ci kawałek placka migdałowego - zaoferowała Eliza.

- Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony - ucieszył się.

- Dołożyłam drugi dla... Jak ma na imię synek? - zapytała.

- Henry, Ma na imię Henry. Cieszę się, że o nim pomyślałaś.

Eliza omal nie upuściła ciasta na podłogę, lecz nie dała poznać po sobie zmieszania.

- Henry to bardzo ładne imię. Czy dostał je po którymś z dziadków? - zapytała dyplomatycznie.

- Chciałaś powiedzieć, że trochę staroświeckie? - uśmiechnął się. - To imię wybrała mu moja żona, jak już wiedziała, że urodzi się nam chłopak - dodał z nieukrywaną dumą.

Eliza odprowadziła Steve'a do wyjścia. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach i spojrzał w jej kierunku, jak gdyby chciał jeszcze o coś zapytać, lecz skinął tylko ręką i odszedł.

Gdy wreszcie została sama, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zadzwoiła do Greta i zgodnie z wcześniejszą obietnicą opowiedziała o przebiegu dalszej rozmowy ze Stevem.

- I co ja mam teraz z tym zrobić, Greta? Czuję się, jakby Michelle kopnęła mnie w brzuch, zanim tu jeszcze przyjechałam. To nie jest fair - rozpłakała się.

- Jeśli ktoś tu nie był fair, Eliza, to chyba nie Michelle. Może jej też to imię się podobało i tyle. Larry nie powinien był wyjeżdżać z tym Henrym, jak wiedział, że ona tak nazwała syna. Ja już nic więcej nie powiem, no. Ty sama najlepiej swojego męża zapytaj, o co tu chodzi.

Eliza czuła, że nie powinna od razu telefonować do Larry'ego. Przynajmniej nie wtedy, gdy na koniec języka cisnęły się słowa, których mogłaby później żałować. Założyła swój nowy płaszcz i zrobiła siedem rund żwirową alejką w kierunku skrzynki na listy i z powrotem. Przy ostatniej wyjęła nagromadzoną od wczoraj korespondencję. Jediną wartą uwagi była kartka z gabinetu doktora Mercera przypominająca, że czas umówić się na kolejną wizytę. Uznała to za znak, żeby zadzwonić do Larry'ego.

- Pojedziemy razem - powiedział. - Proszę, zapisz się na pierwszy dostępny termin.

- Zaraz się z nimi skontaktuję. Chcę też zamówić bilety lotnicze. Planowałam zostać w Polsce co najmniej dwa tygodnie. Jeśli polecilibyśmy z Fredą, wrócilibyśmy w połowie grudnia. Czy to ci odpowiada?

- Trochę długo, ale może dzięki temu będziemy mogli coś zwiedzić.

- O której przyjdiesz na obiad? - zapytała.

- Wolałbym, żebyś przyjechała tutaj i została na noc.

- Przyjadę zatem około szóstej i przywiozę kolację - odpowiedziała Eliza.

Włączyła laptopa i zajęła się wyszukiwaniem biletów. Były jeszcze miejsca na samolot, którym odlatywała Freda. Eliza zadzwoniła zaraz do przychodni. Jedyne wolne terminy w tym miesiącu pokrywał się z dniem wylotu do Polski.

Umówiła wizytę dopiero na drugą połowę grudnia. Poprosiła, żeby dano znać, gdyby ktoś zrezygnował.

- Umierałem już z głodu - powiedział Larry, gdy Eliza wyjmowała z torby pojemniki, zawierające ugotowany na sypko ryż i kurczaka z brokułami w sosie teriyaki.

- Mam nadzieję, że nie jesteś w ciąży - zaśmiała się. - Podaj lepiej talerze, bo ja też jestem już wściekle głodna. A propos ciąży; nie udało mi się zarezerwować wizyty do ginekologa przed naszym wyjazdem do Polski. Będzie dopiero dwa dni po powrocie.

- Nie pojedziemy, aż Terry cię zbada i da zezwolenie.

- Larry, to nie są ostatnie miesiące, żebym potrzebowała zezwolenia od lekarza!

- Trzymaj tę wizytę, ale zapewniam, że będziesz miała jeszcze jedną przed wyjazdem. Porozmawiam o tym z Terry. Musimy być pewni, że podróż nie zaszkodzi dziecku.

Jeśli Eliza miałaby zgodzić się z Lanym, że doświadczała niekiedy emocjonalnej huśtawki na skutek pobudzonych ciążą hormonów, to był to właściwy moment. Ogarnęła ją nagle zimna fala złego nastroju, która miała tylko tyle wspólnego ze swoją gorącą odpowiedniczką, że nie sposób było jej się oprzeć.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że on też ma na imię Henry? - rzuciła, nie ukrywając rozdrażnienia.

- Kto?

- Syn Michelle.

Nie powiedziała „syn Svensonów” i zrobiła to celowo, żeby pokazać mu dokładnie, gdzie ją boli. Słyszała, jak Larry westchnął.

- To jest bez znaczenia, Eliza. Naprawdę miałem na myśli twojego wuja. W dużej mierze jemu zawdzięczam to, że jesteśmy razem. Poza tym podoba mi się to imię. Zawsze mi się podobało...

- I Michelle o tym wiedziała, tak? - przerwała mu. Larry westchnął po raz drugi.

- Skoro rozmówiliśmy się wreszcie ze Stevem i spaliliśmy listy, czas zamknąć tę całą sprawę - powiedział, nie pozostawiając Elizie cienia nadziei, że jej obawy staną się tematem wieczoru.

Wstała od stołu i poszła do łazienki. Odkręciła kurek. Zaczekała, aż napłynęła zimniejsza woda i ochłodziła nią twarz. Patrzyła w lustro na swoje odbicie z kropelkami, które spadając z brody na jej szyję, toczyły się krótkimi strużkami za dekolt kolorowej bluzki. Miała żal do Larry'ego, że nie próbował jej zrozumieć, i zastanawiała się, jak ma sobie z tym poradzić. Czuła, że musi mu wybaczyć, i tak jak chciał, przejść nad tym do porządku. Może zdolność do poświęceń lub chociażby tylko małych ustępstw i kompromisów jest warunkiem miłości. Może nawet jest jej przejawem... Alison pewnie zgodziłaby się z nią co do tego.

- Czy naprawdę nie przyszło ci to głowy, że go po prostu kochasz? - zapytała swoje lustrzane odbicie.

Uśmiechnęło się w odpowiedzi i poprawiło włosy. Wróciła do kuchni i wyjęła ze stojącej wciąż przy stole torby zawiniętą w aluminiową folię porcję placka migdałowego.

- Chciałem już sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego. Odeszłaś od stołu tak bez słowa wyjaśnienia... - Larry wydawał się bardziej urażony niż zaniepokojony.

- Spróbuj - powiedziała Eliza, podając mu talerzyk z ciastem i mały widelczyk. - Najlepiej zacząć od lukru.

Rozdział XVI

W rodzinie Harrisów

Eliza zdawała sobie sprawę, że już nie śpi, lecz nie rozwiało się jeszcze do końca uczucie niepewności, gdzie się właściwie znajdowała. Otworzyła oczy. Pomieszczenie ogarniała ciemność. Zajęło jej chwilę, zanim zorientowała się, że leży owinięta kokonem zielonej kołdry Larry'ego. Spał obok niej na brzuchu nieprzykryty. Położyła dłoń na jego wytatuowanej łopatce i gdy oczy przywykły do ciemności, patrzyła, jak plecy Larry'ego unosiły się z rytmem jego oddechów. Musiała znowu usnąć, bo gdy obudziła się ponownie, przez okienko w szczycie domu sączyła się blada jasność listopadowego poranka. Wstała, aby pójść do łazienki. Kiedy wróciła, Larry siedział oparty o poduszkę i wystukiwał coś na swojej komórce.

- Do kogo piszesz? - zapytała, wślizgując się z powrotem pod kołdrę.

- Odpowiadam na SMS - a Nicole. Będzie tu za godzinę.

- Co jej odpisałeś?

- Że zrobimy dobre śniadanie - powiedział, odkładając telefon.

- Nie było ci zimno w nocy?

- Było, bo ktoś ściągnął ze mnie kołdrę i ukradł mi koszulkę.

- Mam ci ją oddać?

- Sam odbiorę - odpowiedział, nie zwlekając ani sekundy z wykonaniem swojej obietnicy.

- Przecież Nicole jest już w drodze i mamy robić śniadanie - zaprotestowała Eliza cokolwiek za późno, bo przejęła ją już znajoma fala.

- O Boże, Larry, jak mi z tobą dobrze - wyrzuciła z siebie, łapiąc oddech gdzieś pod jego ramieniem.

- Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno - odrzekł i choć nie widziała jego twarzy, była pewna, że się uśmiechał.

- Jeśli to jest nadaremno, to ja już nie wiem, co nie jest - szepnęła, testując wargami każdy skrawek jego ciała, który znalazł się w zasięgu jej ust.

- Kocham cię - wyszeptał Larry po polsku.

- Dawno nie robiłeś omletów - powiedziała Eliza, gdy Larry wyszedł z łazienki.

- W takim razie mamy już pomysł na śniadanie - ucieszył się pomimo czekającej go pracy.

Zanim pojawiła się Nicole, Eliza nakryła stół w jadalni i ustawiła na nim pokrojone w kostkę kawałki arbuza oraz kilku odmian melonów w różnych kolorach.

- Spodziewamy się gości? - zapytała Nicky, kładąc torbę na kanapie w saloniku.

- Właśnie jeden przyjechał! - zawołał Larry znad patelni. - Dawno w domu niewidziany - dodał nieco uszczypliwie.

- Jeśli mowa o domu, wujku - odezwała się Nicole, gdy zasiedli do stołu - chciałam zapytać, jakie masz wobec niego plany. Ciocia Eliza mówiła mi, że będziecie mieszkać w jej posiadłości.

- Przyszłość domu zależy od waszych, to jest twoich i Marcusa, planów, o których ja, niestety, dowiaduję się ostatni.

- No tak, teraz ja zbieram baty za mojego brata...

- Słuchajcie - przerwała Eliza - te omlety są za dobre, żeby zepsuć je w ten sposób.

- Przepraszam, kochanie - powiedział Larry.

- Powinieneś przeprosić nas obie - odpowiedziała.

- Dziękuję, ciociu, ale wujek już kiedyś zastrzegł, że dzieci nie będzie za nic przepraszał - odpowiedziała nadąsana Nicole. - Co do planów - kontynuowała już spokojniej - to myślę o założeniu w przyszłości własnego biznesu.

- O jaki biznes ci chodzi?

- Hotel dla zwierząt.
- Skąd to nagle zamiłowanie do czworonogów?
- Chcę zostać psychologiem dla zwierząt. Zrobię zaocznie drugi fakultet w Bostonie, bo na naszym uniwersytecie nie ma takiego kierunku. Będę mogła zatrzymać się u rodziny Anety. Byłam u nich już dwa razy. Boston jest cudowny. Ciągle coś ciekawego się tam dzieje.

- Ach, to o to chodzi! A w Filadelfii czy Nowym Jorku to życie kulturalne już wymarło i trzeba jechać po nie aż do Bostonu, tak? No dobrze, a poradzisz sobie? - zapytał po chwili, gdy stopa Elizy dotknęła pod stołem jego kostki.

Zanim Larry usłyszał odpowiedź, zadzwoniła jego komórka. Odszedł od stołu, lecz niewystarczająco daleko, by Eliza i Nicole nie usłyszały jego rozmowy.

- Dziękuję, że oddzwoniłeś, Terry. Czy będziesz mógł przyjąć Elizę przed naszym odlotem do Europy? Chciałbym się upewnić, że z dzieckiem wszystko w porządku.

- Z czym dzieckiem, ciociu? - zapytała Nicole półszepem, pochylając się ku Elizie, która ukryła w tym momencie twarz w dłoniach.

- O cholera, wygadałem się! - zaklął Larry, zamykając telefon po skończonej rozmowie.

- Będziecie mieli dzidziusia? To cudownie! Kiedy? - zapytała uradowana Nicole.

- W czerwcu, ale proszę, nie mów nikomu. Mielśmy to ogłosić jako niespodziankę numer dwa w czasie Święta Dziękczynienia.

- Jeden warunek: zostanę matką chrzestną.
- Masz to jak w banku - odrzekła Eliza.
- Na kiedy mnie umówiłeś? - zapytała Larry'ego.
- Terry da mi znać w przyszłym tygodniu, jak już będzie znał swój rozkład. Powiedział, że na pewno wykroją się jakieś

możliwości. Tyle że nie będzie mógł nas powiadomić dużo wcześniej, bo wyjeżdżają całą rodziną na krótki wypoczynek.

Założywszy fartuch, Eliza zabrała się do zmywania naczyń. Larry oznajmił, że pojedzie teraz porozwozić klientom wykończone portrety. Miał nadzieję powrócić ze sporym plikiem pieniędzy.

- Wracasz do Ustronia? - zapytał Elizę.

- Nie od razu. Zostanę tu trochę i dotrzymam towarzystwa Nicole - powiedziała, przeciągając dłonią po jego policzku.

- Nie goliłem się dziś - usprawiedliwił się.

- Bardzo ci do twarzy z zarostem - szepnęła.

- Bardzo ci do twarzy w fartuchach - odpowiedział. Nicole wyszła z pralni i spojrzała na zegar w kuchni.

- Nastawiłam pranie i mam trochę czasu do zabicia - powiedziała. - Możemy sobie teraz spokojnie pogadać.

- Spokojnie, to znaczy bez Larry'ego? - zapytała Eliza nieco sarkastycznie.

- Bez męskiego braku zrozumienia dla kobiecej zdolności efektywnego planowania - odpowiedziała Nicole bardzo stanowczo.

- Jesteś feministką?

- Bynajmniej, ale muszę czasem grać taką rolę przed wujkiem, bo inaczej pozbawiłby mnie praw do jakiegokolwiek własnej decyzji. Wiem, że robi to, żeby mnie chronić przed złem tego świata, ale ja wcale nie chcę, aby był aż tak nadopiekuńczy.

- Rozumiem cię, Nicky. Pamiętaj tylko, że to czasem jest potrzebne.

- Nie jest taki w stosunku do Marcusa. Zapewne wyrzuca sobie, że nie ustrzegł naszej mamy, ale wtedy naprawdę zrobił, co mógł. Nie wszystkiemu w życiu można zapobiec.

- Nalać ci kawy? - zapytała Eliza, sprawdzając ręką, czy szklany dzbanek z wyłączonego już ekspresu był jeszcze dosyć ciepły.

Postawiła dwie filiżanki na kuchennym stole.

- Mam nadzieję, że wasze dziecko będzie bardziej podobne do ciebie, ciociu.

- Nie wiem nawet, jak Larry wyglądał, gdy był dzieckiem - zaśmiała się Eliza.

- Nie miałam na myśli wyglądu, ale zaczekaj, przyniosę stare zdjęcia, to zobaczysz.

Nicole zniknęła na chwilę w jednym z pokoiów i wróciła z obwiązany dwukrotnie długą, czarną sznurówką pudełkiem. Stawiając je na stole, obiecywała sobie głośno, że któregoś dnia powklada te fotografie do albumu.

- O, tu są wszyscy troje - powiedziała, kładąc przed Elizą amatorsko wykonane, nieco podniszczone czarno - białe zdjęcie. - To dziecko z warkoczem to oczywiście moja mama.

- Gdybyś mnie nie uprzedziła, na pewno wydedukowałabym po fryzurze, że to Larry - zażartowała Eliza.

- Zgadniesz, którym z nich jest twój mąż?

- Na barwnej fotografii poznałabym go na pewno po kolorze oczu - odrzekła trochę niespodziewanie dla samej siebie i opłynęła ją fala ciepła. Bała się, że się zarumieni. Napiła się kawy. - Myślę, że ten po prawej - odpowiedziała po namyśle. - Chyba ma gęstsze włosy.

- Użyłaś właściwego kryterium - ucieszyła się Nicole. - Oboje macie dobre włosy, więc jest nadzieja, że będę mogła zaplatać dzidziusiowi warkoczyki. Nie będziesz się bała rodzić? - zapytała po chwili ze szczerą troską.

Eliza domyślała się, że Nicole miała na myśli jej wiek, i z odwzajemnioną szczerością wyjawiała, że bardziej niż porodu boi się, że nie zdążą z Larrym doczekać się wnuków.

- Oboje będziecie wspaniałymi rodzicami - powiedziała Nicole z nieukrywanym wzruszeniem. - Wujek ogromnie cię kocha i wyobrażam sobie, jak się cieszy, że chcesz urodzić to dziecko. Na nieszczęście wiem, że bardzo przeżył... Przepraszam, chyba się zagalopowałam. Pójdę przełożyć białe pranie do suszenia i nastawić kolory. Te już upiorą się szybciej. Zwykle ustawiam je na krótki cykl.

Eliza przysunęła bliżej pudełko ze zdjęciami. Większość pochodziła z okresu dość wczesnego dzieciństwa trójki rodzeństwa Harrisów. Znalazła kilka wersji ślubnych fotografii ich rodziców, na których pan młody w wojskowym mundurze pochylał się nad spoczywającą na krześle żoną. Z innego zdjęcia, na którym stali razem przy torcie weselnym, widać było wyraźnie, że młoda pani Harris znacznie przewyższała wzrostem swojego męża.

- Chciałaś mi coś powiedzieć - zaczęła Eliza po tym, jak Nicole wróciła z pralni.

- Jesteś, ciociu, naprawdę taką osobą, której łatwo zwierzyć się ze swoich bolączek. Bardzo się z Marcusem cieszymy, że ciebie mamy.

Eliza wyczuła, że było to tylko przymiarką do zwierzenia, które Nicole ważyła w sobie już od jakiegoś czasu. Dobrze rozumiała, że nieobecność matki w życiu tej młodej dziewczyny nie dawała się niekiedy zappełnić największym nawet oddaniem i poświęceniem Larry'ego. Wiedziała to najlepiej z własnego doświadczenia.

- Co się stało, kochanie? - zapytała dokładnie tak, jak zrobiłaby to jej mama.

- Niedługo przedtem, zanim bliżej poznaliście się z wujkiem, zostawiono dla mnie w akademiku anonimowy list. Od koleżanki mającej wtedy dyżur na portierni dowiedziałam się, że facet, który go doręczył, musiał przyjechać motocyklem, bo trzymał pod pachą kask. Trzeba mi było

powiedzieć o tym wujkowi Larry'emu albo wujkowi Danielowi i nigdy nie otwierać tej puszkii Pandory.

- Co było w tym liście?

- Informacja, że wujek zażywa narkotyki, po których robi się niebezpiecznie wybuchowy, i że poturbował niewinnego człowieka, za co dostał wyrok w zawieszeniu. Pomyślałam najpierw, że to absurdalne, ale gdy przyjechałam do domu na weekend, natknęłam się na powiadomienie od kuratora, że wujek ma zgłosić się na jakąś rutynową wizytę. Pomogłam sobie trochę z tym „natknięciem się”, zaglądając do szuflady jego biurka - przyznała się uczciwie - ale chyba rozumiesz, w jakim byłam stanie. Jestem teraz pewna, że autorem listu był Lester Parker i że chciał poróżnić nas z wujkiem. Tylko wtedy nie słyszałam nawet jeszcze o Lesterze i nie miałam pojęcia, co z tym zrobić. Jednego byłam pewna, że muszę to wszystko utrzymać w tajemnicy przed bratem.

- Pamiętaj, że Larry czuł się w obowiązku zapewnić wam poczucie bezpieczeństwa, a trzymając was z daleka od prowokacyjnych brudów za cenę własnej reputacji, uczynił to z najwyższą klasą.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli oszczerstwa Lestera. Mnie też próbował na nie złapać. Może powinnaś wiedzieć, że tym „niewinnym człowiekiem” przy barze był sam Lester Parker i Larry uderzył go, stając w obronie... honoru kobiety.

Eliza cieszyła się, że w liście do Nicole Lester pominął aspekty rasowe, choć wiedziała, że nie uczynił tego z dobrego serca.

- Co takiego?

- No widzisz, to akurat nie było ci wiadome. Poza tym Larry nie użył prowokacji Lestera jako okoliczności łagodzącej, bo nie chciał, żeby zrobiła się z tego głośna

sprawa, która mogłaby rzutować na jego najbliższych. Proszę, zachowaj to w tajemnicy.

- Nigdy o tym nikomu nie wspomnę. Dziękuję, że mi to powiedziałaś.

- Czy coś jeszcze wyszło z tej puszkii Pandory? - zapytała Eliza trochę żartobliwym tonem, w nadziei poprawienia nastroju Nicole.

- Mam obiekcje, czy ci o tym powiedzieć. To dotyczy Michelle.

- Myślę, że powinnam wiedzieć, Nicky - odpowiedziała, silnie akcentując słowo „powinnam”.

- Wiesz o tym, że wujek był zaręczony z Michelle, zanim zginęła nasza mama?

- Tak, wiem - uśmiechnęła się Eliza, przedwcześnie uspokojona, że to tylko tyle.

- W tym liście było napisane, że Michelle zwróciła pierścioneek zaręczynowy dlatego, że wujek Larry zdecydował się nas zaadoptować, ale zanim to zrobiła, dokonała aborcji, bo była już w ciąży. Wujek był podobno załamany, że zabiła jego dziecko. To było tak napisane, aby pokazać, że to wszystko stało się przeze mnie i Marcusa. - Rozpląkała się.

Wydmuchała nos w chusteczkę i oświadczyła, że musi iść do pralni. Eliza poszła za nią. Przypuszczenie, że nienarodzone nigdy dziecko Larry'ego i Michelle miało być pewnie nazwane Henrym, zakłuło boleśnie i bardzo realnie. Wiedziała jednak, że tym razem nie będzie mogła szukać pocieszenia u Grety. Nicole przełożyła suche białe rzeczy do wiklinowego kosza na bieliznę i napełniła suszarkę świeżo upranymi kolorami.

- Niech piekło pochłonie drania, co to powypisywał - powiedziała Eliza, wyciągając z koszyka białe skarpetki i zwijając po dwie w zgrabne kulki. - Założę się, że wymyślił tę

historię z ciążą i aborcją - dodała z wymuszonym przekonaniem.

Wróciły do kuchni. Eliza zabrała się od razu do odgrzewania kielbasek. Nie dawała jej spokoju myśl, skąd Lester mógłby wiedzieć o usunięciu ciąży przez Michelle. Wbrew temu, co powiedziała dla uspokojenia Nicole, nie wierzyła, aby to wymyślił.

- I co byś zrobiła na moim miejscu? - Nicole wyrwała ją z zamyślenia. - Czasem czuję jakiś żal, że wujek trzymał nas pod kloszem, i denerwuję się, gdy próbuje robić to dalej.

- Zjedzmy najpierw kielbaski - odrzekła Eliza. - Nie mogę myśleć o pustym żołądku. Chcesz z kapustą?

- Nie, dziękuję. Wystarczą musztarda i keczup.

- Cierpisz na niewłaściwe poczucie winy? - zapytała Eliza.

- Nie, z tym sobie poradziłam; pewnie dzięki swoim wiadomościom z psychologii. Poza tym, wbrew temu, co sądzi o mnie mój brat, potrafię rozumować bardzo logicznie. Mój problem jest raczej natury etycznej.

- Chodzi ci o to, czy powinnaś powiedzieć Larry'emu? Nicole skinęła głową.

- To nie jest sprawa obowiązku moralnego, Nicole, ale raczej osobistego wyboru. Dlatego musisz być pewna, że to, co zyskasz, będzie warte tego, co przy okazji może zostać utracone. Myślę, że dla Larry'ego jedyną nagrodą za jego poświęcenie jest świadomość, że udało mu się uchronić was od tego wszystkiego. Powinnaś się dobrze zastanowić, czy naprawdę chcesz mu to odebrać. Jeśli chodzi o mnie, to bardzo się cieszę, że Michelle zwolniła miejsce u boku człowieka, którego i tak nie byłaby godna.

- Jesteś kochana, ciociu - wychlipała Nicole. - Tak samo kochana, jak wujek Larry.

Gdy Eliza wróciła do Ustronia, samochód Larry'ego stał już pod domem. Dotknęła maski. Była gorąca. Musiał dopiero co przejechać.

- Miałem właśnie do ciebie dzwonić. Byłaś na zakupach?

- Nie, pomagałam Nicole składać pranie i trochę sobie poplotkowałyśmy.

- Była dziś rano bardzo podminowana.

- To tylko PMS, no wiesz, babskie sprawy - skłamała, aby zamknąć drażliwy temat.

- Tak? To dlaczego ja zostałem kopnięty w kostkę?

- Widocznie mężczyźni też mają swoje PMS - y - zaśmiała się Eliza, a Larry puścił jej uwagę mimo uszu.

- Wypożyczyłem w bibliotece Boże igrzysko Normana Daviesa. Zawsze chciałem się dowiedzieć więcej o historii Polski. Może znajdę tam coś o porywczosci polskich szlachciców - zaśmiał się.

Eliza przebrała się w luźne trykotowe ubranie i rozsiadła z laptopem w pokoju Helenki, wysuwając podnózek rozkładanego fotela. Poinformowała Kasię o swoim przyjeździe do Polski, prosząc, aby odkurzyła jej pokój i trzymała porządek w kuchni i w łazience. Nie wspomniała ani o tym, że ma zamiar wrócić do Delaware po dwóch tygodniach, ani że nie będzie sama. Odstawiła komputer i przechyliła do tyłu oparcie fotela. Ściągnęła przewieszoną przez poręcz kołdrę, którą przyniósł kiedyś Larry. Musiała być tam od czasu jej choroby. Miała ochotę pójść do niego, lecz nadchodząca senność zatrzymała ją w fotelu.

Gdy się obudziła, na dworze było już ciemno, a w pokoju paliła się nocna lampka. Larry siedział z książką na jednym z łóżek. Przywołała go do siebie.

- Czy wiesz, że po prostu cię kocham? - powiedziała, bawiąc się splecionym kosmykiem jego włosów, gdy pochylił się, aby ją pocałować.

- Dlaczego „po prostu”?

- Bo „po prostu” wyklucza wątpliwości i wszystko tłumaczy.

- W takim razie jestem po prostu szczęśliwy - odrzekł. Czują jego wzruszenie nie mniej niż swoje własne. Oboje zdawali sobie sprawę, że było to jej pierwsze jawne wyznanie miłości.

Rozdział XVII

Mierzenie do celu

Pranie, płacenie rachunków i odpowiedzi na otrzymane maile wypełniły Elizie całe przedpołudnie. Kiedy wrócił Larry i posprzątała po ich wspólnym lunchu, miała tak dość domowych zajęć, że perspektywa wyjazdu do sklepu nabrała posmaku interesującej przygody. Sporządziła bardzo długą listę potrzeb.

- Larry! - zawołał za nimi kobiecy głos, gdy wchodzili do supermarketu.

Odwrócili się oboje i Eliza mogła zobaczyć, do kogo należał. Ciemnoskóra kobieta w służbowym fartuszk ze sklepowym logo obejmowała szyję jej męża. Słuszny wzrost nieznamym powodował, że w odróżnieniu od Elizy nie miała problemu z dosięgnięciem tego poziomu.

- Pozwól, że przedstawię ci Carłę, mamę Lisy - powiedział Larry, uwolniony już z żywiołowego uścisku.

Eliza wyciągnęła rękę, ucieszona nie tyle z samego spotkania, ile z faktu, że Carla umieszczona została w kręgu znajomych Nicole raczej niż jego własnych. Rozmowa nie była długa; parę zdań o dzieciach, coś o pracy w sklepie i o pogodzie.

- Niestety, zakończyłam właśnie przerwę i muszę wracać do mojej kasy - oznajmiła Carla, spoglądając na zegarek.

- Nie utrzymujesz już kontaktów ze swoją byłą przyjaciółką? - zapytała Eliza Larry'ego, gdy kobieta wróciła na swoje miejsce pracy.

- Nie, bo mam bardzo zazdrosną żonę - odpowiedział, obejmując ją w pól.

- Musiałem cię jakoś przekupić - oświadczył Larry nazajutrz, gdy Eliza chwaliła przygotowany przez niego omlet.

- Nie wiem jeszcze, o co tu chodzi, ale same omlety mogą nie wystarczyć - powiedziała.

- W takim razie dorzucę jeszcze darmowy masaż - zaoferował, sięgając pod poły jej szlafroka.

- Do spółki z omletami to już brzmi obiecująco.

- Gdybym wiedział, że tak łatwo cię przekupić, wykorzystałbym to już dużo wcześniej - zaśmiał się.

- Dowiem się wreszcie, jakiego dobiliśmy targu? - zapytała, uwalniając się z jego uścisku, aby przynieść więcej kawy.

- Jutro jest ostatni dzień sezonu polowań na dzikie indyki w powiecie Monroe, w Pensylwanii - oznajmił.

- Cóż za ekscytująca wiadomość! - wykrzyknęła Eliza, stawiając kubki na stole.

Larry zaśmiał się, ukontentowany jej dobrym humorem.

- Bobby wybiera się tam dzisiaj z kuzynem, który ma mały domek myśliwski w okolicznym lesie. Namawia mnie, bym z nim pojechał. Wrócilibyśmy jutro wieczorem. To jakieś cztery godziny jazdy.

- Byłam przekonana, że nie lubisz strzelać do żywych istot.

- Po wizycie niejakiego Wiktora zmieniłem zdanie i doszedłem do wniosku, że poćwiczenie mierzenia do celu może się okazać przydatne.

- Jesteś niepoprawny - skarciła go.

- Wiem - odrzekł, odstawiając pusty kubek po pospiesznie skonsumowanej kawie. - Muszę się szybko spakować - dodał.

Delikatnie całował na pożegnanie każdy centymetr twarzy swojej żony i zapewniał, że będzie o niej myślał.

Eliza nosiła się z zamiarem wprowadzenia pewnych zmian do opowiadania i nie miała nic przeciwko poświęceniu dwóch kolejnych dni na całkowite oddanie się pisaniu. Niespodziewaną perspektywę samotności uznała nawet za

sprzyjającą. Przywykła do tego, że w jej pracy produktywność musiała być okupiona sprowadzeniem wszelkich innych czynności do niezbędnego minimum. Znikała wtedy za niewidzialnymi drzwiami, które niechętnie otwierała pukającym w nie od czasu do czasu potrzebom.

Pracowała przez kilka godzin w sprzyjającej ciszy i dopiero wczesnym wieczorem zagrała melodyjka jej telefonu. Eliza była prawie pewna, że to Larry, toteż zdziwiło ją, gdy na ekranie ukazał się nieznany numer.

- Eliza? Tu Steve Svenson. Czy mógłbym zabrać ci chwilę?

Wiedział już, że Larry wyjechał na polowanie. Ciekawa była, skąd miał tę informację.

- Potrzebuję twojej porady - kontynuował. - Chodzi o moją żonę. Gdy byłem u was, Larry powiedział, że gdy Michelle weźmie coś na muszkę, to będzie tak długo mierzyć do celu, aż trafi w dziesiątkę. Ona nadal celuje w serce twojego męża.

- Wiesz na pewno, że tak jest, czy tylko się domyślasz? - zapytała Eliza, wyłączając telewizor.

- Zabiera naszego syna na korty tenisowe, aby rzekomo zachęcić go w ten sposób do uprawiania tego sportu. Na pierwszy rzut oka nic w tym złego. Tylko że ona jedzie tam wtedy, gdy Larry gra z tym doktorem.

- Może chce popatrzeć na doktora. Całkiem przystojny z niego facet.

Eliza zorientowała się szybko, że jej żart był nie na miejscu, lecz nie mogła już tego naprawić. Steve zamilkł na długą chwilę. Gdy odezwał się ponownie, wyczuła w jego głosie coś, co sugerowało wątpliwość, czy była w tym momencie właściwym dla niego rozmówcą. Widocznie nie miał jednak nikogo lepszego, bo zdecydował się kontynuować.

- Ciekaw byłem, czy ci o tym wiadomo. Dlatego dzwonię
- wytłumaczył się.

- A ja jestem ciekawa, skąd Michelle wie, kiedy gra Larry
- powiedziała.

- Na ścianie wisi grafik i członkowie klubu zapisują się z
wyprzedzeniem. Co twoim zdaniem powinniśmy z tym
zrobić?

- Myślę, że też musimy zacząć chodzić na korty.
Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Z uwagi na ciążę
nie mogę sama machać rakieta, ale chętnie popatrzę, jak
robią to inni. Jeśli chcesz, zapytam Larry'ego, kiedy gra
następnym razem, i dam ci znać.

- To bardzo śmiały pomysł, ale muszę przyznać, że mi się
podoba.

Po telefonie Steve'a Eliza nie miała już chęci wracać do
pisania. Poćwiczyła jogę i wzięła szybki prysznic. Postanowiła
pójść wcześniej do łóżka. Jej komórka sygnalizowała
nieodebrane połączenie od Larry'ego. Musiał dzwonić, gdy się
kąpała. Telefon zadzwonił znowu. Miała go już w ręce i
odebrała natychmiast.

- Martwiłem się, że nie odpowiadałaś - odezwał się Larry.

- Brałam prysznic - wyjaśniła.

- Zwykle kąpiesz się rano.

- Czy to przesłuchanie?

- Przepraszam. Chyba rzeczywiście trochę się
zagalopowałem. Jego głos był nieco zmieniony, a mowa
wydawała się dziwnie powolna. Pewnie był już po paru
drinkach. Spytała, jak poszło im polowanie.

- Nie za dobrze, ale jeszcze się nie skończyło. Będziemy
próbować szczęścia jutro - powiedział.

- Jesteś pewien, że nikt nie poluje na ciebie? - zapytała.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- To, że Michelle pojawia się na kortach, kiedy grasz w tenisa.

- Kto ci to powiedział?

- Steve. Dzwonił dziś do mnie.

Słyszała, jak Larry przypalał papierosa.

- O co tu naprawdę chodzi? - zapytał.

- Nie mogę mówić za Steve'a, ale jeśli chodzi o mnie, to nie jestem zachwycona tym, że jego żona przychodzi tam ślinić się, jak ściągasz po meczu koszulkę.

Larry zaśmiał się i zakaszał. Musiał zakrztusić się dymem z papierosa.

- Nakażę mu, żeby przestał niepotrzebnie niepokoić cię takimi informacjami - powiedział po dobrej chwili.

- Świetnie. Niedługo będziesz miał okazję, bo wybieramy się ze Stevem na twój kolejny pojedynek z Terryem.

- Po co zaraz uciekać się do takich szalonych pomysłów?

- Bo może jestem szalona?! - krzyknęła w słuchawkę.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Larry zadzwonił znowu, ale dopiero po kilku minutach. Pomyślała, że pewno w tym czasie zrobił sobie jeszcze jednego drinka.

- Przepraszam, kochanie - odezwał się. - Możesz jeździć ze mną na korty, kiedy zechcesz. Nie musisz jednak zaraz umawiać się w tym celu z cudzym mężem.

- Wiem, że pijesz teraz alkohol i palisz papierosa - powiedziała.

- Nie palę. Właśnie przygasiłem.

- A co pijesz?

- Zgadnij, mój Sherlocku - zaśmiał się.

- Bourbon wild turkey - strzeliła.

- Jesteś niesamowita - powiedział po chwili ciszy. - Nic się przed tobą nie ukryje.

- Masz na myśli bourbon czy Michelle? Zaśmiał się i nie odpowiedział na jej pytanie.

Eliza obudziła się oparta o poduszkę Larry'ego. Czuła od razu, że nadchodziły poranne mdłości. Poskromiła je tymczasowo dwoma kawałkami czekolady z migdałami, którą włożyła wczoraj do szuflady szafki nocnej. Usłyszała dochodzący z kuchni dźwięk telefonu. Wiedziała, że nie zdąży odebrać. Niemniej uznała, że był już czas na śniadanie, i gdy wyjmowała z lodówki resztki zapiekanki, pomarańczowy telefon rozdzwonił się ponownie.

- Cześć, Eliza. Czy masz teraz chwilkę? - odezwał się męski głos.

- Kto mówi? - spytała tylko dla formalności, bo Zach Parker przypominał Lestera głosem i sposobem mówienia nie mniej niż powierzchownością.

Przerwała może niezbyt uprzejmie jego grzecznościowy wstęp, pytając, czy dzwoni, aby rozmawiać z Larrym.

- Zanim skontaktuję się z Larrym, chciałbym najpierw porozmawiać z tobą, Eliza. Sprawa jest delikatna, a kobiety zawsze lepiej rozumieją takie sytuacje - zaśmiał się.

Poprosiła, aby chwilę zaczekał, i wstawiła resztkę zapiekanki do mikrofalówki.

- Nie przypominam sobie, abym dawała ci mój numer telefonu - powiedziała, podnosząc odłożoną na bok słuchawkę.

- Dostałem go od Becky - odrzekł.

- O co chodzi?

- Jedna z moich byłych przyjaciółek domaga się pieniędzy, które jestem jej winien, i zagroziła, że jeśli nie zapłacę do końca miesiąca, zacznie nachodzić Priscillę. Nie mogę do tego dopuścić. Priscilla to dobra kobieta. Nigdy przedtem nie trafił mi się nikt taki i nie chciałbym jej utracić.

- Może zatem nie powinieneś robić przed nią tajemnicy ze swoich kłopotów finansowych.

- Problem polega na tym, że tu chodzi o pieniądze na moje czwarte dziecko, a ona wie tylko o trzech.

Jego sytuacja wydała się Elizie bardziej komiczna niż godna współczucia. Zaśmiała się odruchowo. Miała nadzieję, że tego nie usłyszał.

- Larry nie pała do mnie sympatią - kontynuował - i pewnie odmówi pożyczki. Chciałem prosić, abys się za mną u niego wstawiła. Obiecuję, że wszystko spłacę, i więcej nigdy o to nie poproszę, ale teraz naprawdę nie mam się do kogo zwrócić. George powiedział, że nie pożyczy mi więcej, chociaż poprzednio oddałem mu wszystko co do centa.

- O jaką kwotę ci chodzi? - zapytała bardziej z ciekawości niż z ochoty udziału w pośrednictwie.

- Osiem tysięcy - odpowiedział bez namysłu.

- To bardzo duża suma, Zach - odrzekła.

- Nie dla Harrisów. Wszyscy wiedzą, że siedzą na pieniądzach. Przez to, że faceta Brendy wypuszczono na wolność przedwcześnie, otrzymali wielomilionowe odszkodowanie. George pomógł im to wywalczyć.

Eliza nie dała po sobie poznać zaskoczenia. Przemknęło jej przez myśl, że jeśli to prawda, Michelle mogło zależeć bardziej na pieniądzach Larry'ego niż na jego uczuciu. Biznes Steve'a podobno nie szedł najlepiej. Czowała, jak jej zmysły zajmowały swoje pozycje w szyku bojowym, oczekując od niej natychmiastowego objęcia dowództwa, a zapach uwięzionej w mikrofalówce zapiekanki podpowiadał, że powinna zrobić to możliwie szybko.

- Hej, Zachary - przerwała mu - nie zapomniłeś czasem, że należę do tych Harrisów? W sytuacji, gdy przychodzisz dopraszać się naszych pieniędzy, powinieneś być trochę bardziej pokorny.

Powiesiła słuchawkę z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Znów odezwał się telefon. Tym razem była to jej komórka. Dzwoniła Greta.

- Teściowa moja na obiad nas zaprasza. Chce przy okazji pogadać o tym, co ma przygotować na Święto Dziękczynienia. Przyjdź do mnie o piątej, to pójdziemy razem przez pole. Dziewczynki się uciesz, no.

- Ed nie będzie miał nic przeciwko takiemu zlotowi czarownic? - zaśmiała się Eliza.

- Eda nie ma. Z Robertem i Larrym na polowanie pojechał.

- Czy wiesz, o której wracają?

- Robert mówił, że na dziesiąto wieczorem powinni być z powrotem, no.

- Czy coś mam przynieść na ten obiad?

- Nic nie potrzeba. Annie już klopsa z mielonego mięsa upiekła, bo to dziewczynki moje lubio. Makaron z serem zrobi, a ja sałatkę przynosze, no.

Eliza ucieszyła się bardziej z perspektywy spaceru i spotkania niż z obiadu. Nie przepadała ani za klopsiem, ani za oblanym roztopionym cheddarem makaronem. Kojarzyły się jej ze szkolną stołówką i tanią jadłodajnią.

Było jeszcze sporo czasu. Zjadła zapiekankę i nastawiła pranie. Uświadamiając sobie, że Annie nie została wtajemniczona w zmianę jej stanu cywilnego, zdjęła z palca obrączkę i pierścionek zaręczynowy i włożyła je do stojącej na kominku szkatułki.

Na dworze było już prawie ciemno. Melissa i Amanda czekały pod domem z latarkami, rzucając ich światła na stojącą na schodkach i owiniętą przezroczystą folią miskę z sałatką. Greta mocowała się z kluczem i skarciła je, że nie świecą na drzwi.

- Żarówka przepalona, zamek się zacina, a on sobie na dzikie indyczki pojechał, zamiast to ponaprawiać - wyładowywała frustrację.

- Indyki - poprawiła ją Eliza.

- A kto ich tam wie, no.

Eliza rozważała przez chwilę, czy nie spytać Greta o odszkodowanie, które Harrisowie dostali z tytułu śmierci Brendy. Zrzuciła jednak pomysł, nie potrafiąc znaleźć sensownego powodu, dla którego potrzebowałyby tej informacji do celów literackich.

Wbrew uprzedzeniu Eliza jadła obiad ze smakiem. Rozmowa zeszła na Święto Dziękczynienia i Annie zaoferowała zrobić succotash. Eliza miała nadzieję, że ta indiańska mamałyga z pokruszonej kukurydzy, podobnie jak klops i makaron z serem, w wykonaniu Annie nabierze szlachetniejszego wyrazu. Greta rzuciła hasło, aby jej teściowa upiekła jeszcze kruche placki z dynią i jabłkami, jako że ze strony Phillipsów spodziewanych było sporo osób.

- Jane będzie tylko z dwójką dzieci - powiedziała Annie i zabrzmiało to trochę jak wymówka przed nałożonym na nią zadaniem. - Martin poleciał do Hiszpanii, bo coś nie za dobrze z jego ojcem, a te starsze gdzieś indziej święto spędzają - dodała.

Zabrzęczała komórka Greta, uwalniając ją chwilowo od obowiązku zareagowania na uwagę teściowej. Uciszyła ręką szczebioczące dziewczynki. Nie mówiła nic do słuchawki poza powtarzaniem co chwila w różnych tonacjach uniwersalnym okay. Eliza i Annie patrzyły na nią wyczekująco. Gdy się wreszcie rozłączyła, dowiedziały się, że Robert pytał, czy Greta zgodzi się na przedłużenie jego pobytu w Pensylwanii o jeszcze jeden dzień. Po kompletnej klapie w branży dzikich indyków chcieli spróbować szczęścia z polowaniem na sarny.

- Co mu odpowiedziałaś? - zapytała Annie, zmierzając w kierunku telefonu stacjonarnego, który właśnie się rozdzwonił.

- Powiedziałam okay - odrzekła Greta i wszystkie trzy kobiety zaśmiały się z powodu, który był dla nich oczywisty, a zupełnie niezrozumiały dla Amandy i Melissy.

- To był Ed - powiedziała Annie, wracając do stołu po odebraniu telefonu. - Też chciał wiedzieć, czy bardzo bym się zmartwiła, gdyby został na jeszcze jeden dzień. Oczywiście dostał moje błogosławieństwo - zaśmiała się.

Eliza poczuła w kieszeni krótką wibrację swojej wyciszonej komórki. Wiedziała, że dostała SMS - a. Przeczytała tekst. Larry informował, że przyjadą dopiero jutro wieczorem i że zadzwoni do niej o dziewiątej.

- A Larry nie dzwonił do ciebie? - spytała Greta, gdy wracały ścieżką rozświetlaną latarkami dziewczynek i nikłym blaskiem księżyca.

- Wymieniliśmy w tej sprawie SMS - y - odpowiedziała Eliza.

Eliza wróciła do domu tuż przed ósmą. Miała godzinę na przemyślenie, jak zareagować na fakt, że kiedy Robert i Ed spytali swoje żony o zgodę, Larry postawił ją, nie po raz pierwszy zresztą, przed faktem dokonanym. Położyła się na kanapie w salonie. Obfity posiłek i zimne powietrze znad kukurydzianych pól szybko objawiły swoje usypiające własności. Obudziło ją wibrowanie wciąż wyciszonego telefonu. Na jego ekranie wyświetlał się numer komórki Larry'ego i godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści dwie.

- Dlaczego nie odbierasz? Dzwonię już trzeci raz.

Minęła dobra chwila, zanim Eliza wróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę, że nie było jej dane przemyśleć strategii odpowiedzi.

- Odczytałam twoją wiadomość - powiedziała.

- Mogłaś przynajmniej odpisać - odrzekł z wyrzutem.

- W odróżnieniu od Roberta i Eda nie miałeś do swojej żony żadnego pytania.

Usłyszała jego głębokie westchnienie.

- Za to teraz mam pytanie. Bardzo jesteś na mnie zła?

- Bardzo.

- Tak naprawdę to nie miałem wyboru. Przegłosowano mnie. Przepraszam, kochanie.

- W nocy są już przymrozki. Czy zabrałeś ze sobą ciepłą bieliznę? - zapytała Eliza ni z tego, ni z owego.

- Szkoda, że nie mogę cię teraz pocałować. Śpij dobrze - powiedział, wzruszony jej nieoczekiwaną troską.

- Nie będę mogła, dopóki nie dowiem się, czy masz ciepłą bieliznę.

- Po powrocie pozwolę ci przeprowadzić ręczną inspekcję.

Rozdział XVIII

Adam Gryc

Eliza poczuła ogromną ochotę zjedzenia czegoś słodkiego. Gdy smarowała dżemem połówkę obwarzanka, zadzwonił telefon w kuchni.

- Nie śpisz jeszcze? - odezwał się Adam.

- Już nie śpię. Niedawno wstałam po długiej i zupełnie nieplanowanej drzemce.

- Chciałem ci powiedzieć, że mama i Freda doleciały szczęśliwie i są już u nas. Wiem, że planowaliśmy spotkanie dopiero w Święto Dziękczynienia, ale one chcą się z tobą zobaczyć wcześniej. Pomyślałem więc, że może przywiózłbym je jutro do Ustronia na pół dnia.

- To bardzo miła niespodzianka. Serdecznie zapraszam - odpowiedziała Eliza z nadzieją, że Adam nie wyłapał spomiędzy jej kurtuazyjnych słów żadnych oznak paniki.

- Prawdziwą niespodziankę sprawimy ci na miejscu - odrzekł ze swoim naturalnym opanowaniem, które nie sprzyjało domysłom Elizy.

- Czy mógłbyś puścić troszkę farby, Adaś? - zapytała, maskując nieudolnie swój narastający niepokój krótkim epizodem wymuszonego śmiechu.

- To naprawdę nic strasznego - odrzekł, wyczuwając pewnie jej obawy. - Nie chciałbym jednak mówić o tym przez telefon.

- No dobrze. Kiedy mogę się was spodziewać? - poddała się.

- Myślę, że około południa.

- W takim razie zapraszam na lunch.

Przyjazd na pół dnia, gdy w grę wchodziło kilka godzin jazdy, sugerował, że musiało chodzić o coś ważnego. Elizę znowu przeszył dreszcz paniki. Może Terenia dowiedziała się, że stała się prototypem, chociaż drugoplanowej, to jednak

dość kontrowersyjnej postaci w jej opowiadaniu i teraz chciała wyrazić swoje niezadowolenie. Przebrawszy się w piżamę, Eliza usadowiła się w łóżku z laptopem. Postanowiła przejrzeć dokładnie cały tekst historii Adama. Przeczytanie go nie powinno zająć więcej niż godzinę. Z pulpitu laptopa wyłowiła ikonkę z napisem „Migdałowy aromat” i otworzyła ukryty za nią plik. Pierwsza strona jej opowiadania wyświetliła się posłusznie na ekranie.

MIGDAŁOWY AROMAT

Przegubowy autobus z trudnością zmieścił się w zakolu końcowego przystanku. Składane drzwi otworzyły się leniwie z pneumatycznym westchnieniem, uwalniając z wnętrza pojazdu kilku zaledwie pasażerów. Adam zeskoczył z ostatniego stopnia pojazdu i podążył w kierunku niewielkiego kiosku, gdzie sprzedawczyni podnosiła się już z siedzenia, odkładając lufkę z dymiącym papierosem na brzeg popielniczki.

- Znicze? - zapytała, mimo że asortyment jej towarów ograniczał się wyłącznie do tego. - Te wysokie są lepsze na wiatr. Wieje, jakby się kto powiesił - dodała, ukazując w wymuszonym uśmiechu bardzo nieatrakcyjne uzębienie.

Jej klient poprosił o dwa wysokie, nie podtrzymując rozmowy. Zaświtał mu pomysł stworzenia automatu, w którym znicze kupowałyby się bez konieczności wysłuchiwania niestosownych komentarzy. Zapłacił, schował znicze do kieszeni kurtki i podążył w kierunku bramy. Lekko uchylona poddawała się podmuchom wiatru. Przytrzymał ją staruszce, za którą wsunął się chłopczyk z naręczem akcesoriów ogrodniczych. Adam uśmiechnął się do niego i poszedł szybko przed siebie wybetonowaną alejką, deptając na wpół jeszcze zielone liście z przedwcześnie ogołoconych porywistymi podmuchami wiatru gałęzi.

Przez chwilę wydało mu się, że słyszy głos: „Chodź, Adaś, chodź”. Rozejrzył się odruchowo. Kobieta z chłopczykiem byli daleko w tyle. Gdy doszedł na miejsce, zerwał kilka nisko zwisających gałązek brzozy i omiótł nimi granitową płytę z naniesionych wiatrem liści. Pamiętał to drzewo z czasów, kiedy rosło za płotem odgradzającym od reszty cmentarza niewielką sekcję, w której, jak się później dowiedział, chowano tych, co odebrali sobie życie. Czy to z racji powiększania się cmentarza, czy ze zwykłych ludzkich pobudek któregoś roku usunięto płot, kładąc kres pośmiertnej dyskryminacji. Niczym zadośćuczynienie brzoźka i cmentarzyk samobójców znalazły się w prestiżowym miejscu.

Adam ustawił znicz i mimo dość silnego wiatru sprawnie podpalił trochę przydługi knot. Zdmuchnąwszy zapalną, przeniósł wzrok na uwieczniony w owalnej porcelance jedyny wspólny wizerunek jego dziadków - Bogumiły i Karola Gryców. Zdał sobie sprawę, że w dzieciństwie nigdy nie myślał o nich w kategoriach pokrewieństwa - ani o nich, ani o Tereni. Bunia zawsze mówiła „Terenia”; nigdy Teresa czy Tereska ani nawet „moja córka” czy „twoja mama”.

- Tereniu, biorę Adasia i jedziemy na grób - mawiała, akceptując z góry jej milczącą aprobatę.

Słowo „grób” stało się w użyciu Buni bezpieczną formą odniesienia do pochowanego tam Karola, niemalże synonimem jego osoby, niezbędnym do pokojowego współistnienia w świecie Tereni - świecie z wykreśloną przeszłością. Co do samej Buni Adam nie był nawet pewien, skąd wziął się jej przydomek. Może była to kombinacja babuni i Boguni, jak niekiedy mówiła o niej Walicka. Cieszył się, że przykrył grób dziadków granitową płytą. Miał wrażenie, że spoglądają teraz z medalionu, chwając trafny wybór. Mimowolnie skinął ręką w kierunku fotografii i ruszył ku nowej części cmentarza.

Łatwo odnalazł grobowiec z kędzierzawym aniołkiem. Biała niegdyś figurka zszarzała do tonacji nagrobków i zazieleniła się kolorem muskających go igieł jałowca.

- Ewolucja martwej natury - szepnął sam do siebie.

Zapalił znicz i ustawił go na kamiennym występie. Czuł potrzebę pozostania dłużej, aby dokonać jakiegoś nieokreślonego bliżej zadośćuczynienia. Spojrzał jednak na zegarek i zły na siebie, że nie wybrał się tu wcześniej, poszedł w kierunku bramy. Tyle jeszcze było do zrobienia przed jutrzejszym wyjazdem. Wiatr wyraźnie zelżał, ustępując miejsca delikatnym podmuchom niosącym zapach wilgotnych jesiennych liści.

*

Ukończywszy pakowanie walizek, Adam zszedł piętro niżej i zapukał do okazałych rozmiarów drzwi. Zgrzytnął odsuwany łańcuch, zaskrzypiały zawiasy. Stara kobieta gościnnym gestem pomarszczonej dłoni wskazała mroczny przedpokój. Adam nie skorzystał z zaproszenia. Wiedział, że Janina Walicka nie była typem ранego ptaszka i najpewniej będzie chciała wrócić jeszcze do łóżka. Poddał się jej uściskowi, odwzajemniając go kilkoma delikatnymi klepinięciami po przygarbionych plecach owiniętych szorstkim wełnianym szalem.

- Już wyjeżdżasz - ni to stwierdziła, ni zapytała, nie okazując wzruszenia, chociaż wiadomo było, że głęboko przeżywała jego decyzję.

Zawsze doceniał jej lakoniczność i opanowanie. Skinął głową i obiecał, że napisze. Prosił, aby nie budziła Elizy. Pożegnał się z nią już wczoraj. Oddał klucze, złapał bagaże i szybko pokonując resztę schodów, wpadł w półmrok korytarza na parterze kamienicy, mijając żelazne kraty ochraniające wejścia do dwóch niewielkich, pogrążonych jeszcze we śnie sklepików.

Wyszedł na pustą wciąż jeszcze ulicę i podążył poprzez położony po jej drugiej stronie skwerek wprost na postój taksówek. Taryfiarz stał na zewnątrz zapatrzony w marmurową fontannę i palił papierosa. Ujrawszy cennego o tej porze dnia klienta, pospiesznie odrzucił niedopałek i pomógł zapakować walizki do bagażnika.

- Patrz pan, jak to wszystko ładnie zrobili - wskazał ręką na skwerek, ruszając z postoju. - Podobnież dał na to jakiś gościu z zagranicy. Pisali w gazecie, że sentyment miał do tego miejsca czy coś, ale moja słyszała, że sumienie się w nim obudziło na starość za jakieś przekręty z przeszłości. Takie to czasy, panie, że różne stare brudy wyciągają teraz na wierzch, a nawet jak nie wyciągną, to i same powychodzą.

Na pokładzie samolotu przywitała Adama miła obsługa. Odnalazł swoje miejsce przy okienku, którego miniaturowy rozmiar zdziwił go na równi z zagęszczeniem siedzeń o wyjątkowo skąpych gabarytach. Nigdy przedtem nie leciał samolotem. Obok niego siadł młody człowiek - pewnie student - i niemal od razu zajął się przeglądaniem skryptów wyciągniętych ze szmacianej torby. Adam ucieszył się z tej neutralności współpasażera. Czuł się zmęczony i nie miałby ochoty na jakiegokolwiek, choćby tylko grzecznościowe rozmowy.

Samolot ruszył i po zakończeniu rytuału startowego znalazł się na swoim pułapie. Ucichły dziwne odgłosy, atmosfera skupienia i powagi ustąpiła miejsca miłej rutynie powszechnego rozpinania pasów. Adam przymknął oczy. Przywołał w pamięci obraz skwerku z czasów swojego dzieciństwa. Bunia widziała go ze swojego okna i zawsze chciała, żeby było tam więcej róż i fontanna. Okno pokoju Adama wychodziło wtedy na drugą stronę kamienicy, a ściślej mówiąc, na pusty plac porośnięty lebiodą, pokrzywami i łopianami, wśród których biegła wydeptana przez

mieszkańców ścieżka prowadząca do śmietnika i stojącego przy nim metalowego trzepaka. Po tym, jak zbudowano tam któregoś roku mieszkania dla pracowników kolei, ucywilizowane zasianą trawą i placem zabaw podwórze stało się znamiennym punktem jego dzieciństwa.

Adam dobrze pamiętał dzień, w którym poznał Jagienkę. Siedział wtedy na jednej z pachnących jeszcze farbą ławeczek z książką, którą dostał w nagrodę za ukończenie czwartej klasy podstawówki z jakąś godziwą średnią. Nie od razu spostrzegł dziewczynkę na przeciwległej ławce. Wyglądała na jego rówieśniczkę, lecz nie przypominał jej sobie ze szkoły. Musiała być nowa, pewnie z bloku. Kiedy zorientowała się, że patrzył w jej stronę, uniosła spoczywającą na jej kolanach książkę, by mógł zobaczyć, co czyta.

- Przygody Piotrusia Pana - ogłosiła, na wypadek gdyby nie dojrzał liter ze lśniącej okładki. - Mój prezent urodzinowy - dodała po chwili. - A ty?

Odburknął coś niechętnie i bardzo cicho, unosząc do góry egzemplarz Akademii pana Kleksa.

- Mama i tatko się pokłócili - kontynuowała dziewczynka, niezrażona jego biernością - i dostałam na urodziny dwie takie same książki - od mamy z rana, a od tatka wieczorem. Rodzice potem się śmiali i Ziutek, mój brat, też. Mieszkamy w drugiej klatce na parterze. Nazywam się Jagienka Rasińska.

Z miedzianorudymi włosami związanymi po obu stronach twarzy w dwie małe miotełki Jagienka Rasińska przypominała Fizię z niedawno przeczytanej przez niego książki. Wiedział od Walickiej, że w oryginale bohaterka nazywała się Pippi, a imię Fizia było jedynie rezultatem polskiego tłumaczenia.

- Adam Gryc - wybąkał po nienaturalnie długiej chwili, nieprzyzwyczajony do formalnego przedstawiania się imieniem i nazwiskiem.

- Mama powiedziała, że mogę oddać komuś jednego Piotrusia Pana. Chcesz? - zapytała, wyciągając rękę z książką w jego kierunku.

Chętnie przystał i wieczorem czytał długo w łóżku, aż kazano mu wyłączyć światło. Kartki miały delikatny, przyjemny zapach przypominający migdałowy aromat, jakiego Bunia używała do pieczenia ciast.

Gdy wstał z rana, w kuchni siedziała Walicka. Pochylona nad swoją książką bąknęła coś o wizycie lekarskiej Buni i skinęła ręką, aby zaczekał. Adam domyślił się, że wyjaśniała się właśnie jakaś zagadka kryminalna i że Walicka potrzebowała chwili na doczytanie. Kiwała wtedy głową i pomrukiwała z satysfakcją. Odłożyła wkrótce książkę i zrobiła mu śniadanie. Zjadł szybko, oświadczając, że idzie na podwórze. Walicka przeniosła się z książką na balkonik przy kuchni, aby mieć go na oku.

Jagienka czekała już na ławeczce. Dowiedział się, że będzie chodziła do jego szkoły i że jest o rok od niego starsza. Przyglądał się jej twarzy i wydawało mu się, że cały czas się uśmiechała. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że ma do czynienia z nieustającą obecnością czegoś w rodzaju ciepłego grymasu. „Niby - uśmiech” - tak go później w duchu nazywał. Rozmowę przerwał letni deszcz. Walicka krzyknęła z balkonu, by wracał do domu.

Adam ocknął się na chwilę. Niewygodę fotela w samolocie odczuwało się już po godzinie. Przez małe okienko nie widać było niczego poza chmurami. Samolot zatrzęsł się i podskoczył jak autobus na brukowanej drodze. Obsługa wydała polecenie zapięcia pasów, uspokajając, że to tylko chwilowe turbulencje. Rzeczywiście, wstrząsy ustały i wkrótce rozpoczęto serwowanie napojów. Adam zamówił wodę mineralną. Przesadnie uszmiękowana stewardesa podała kryniczankę.

Przypomniała mu się pierwsza wizyta u Rasińskich. Całe ich mieszkanie przepełniała intrygująca migdałowa woń. Zaciekawilo go, czy istnieje coś takiego jak migdałowe perfumy. Źródło zapachu wytropił w łazience, lecz bynajmniej nie w kryształowym flakoniku z pompką, jakiego używała Terenia. Stało przy wannie w butelkach po oranżadzie. Zapytał o nie Jagienkę, niemal pewien, że go wyśmieje.

- To mydło w płynie, którego używa się w wagonowych toaletach - odpowiedziała jednak całkiem poważnie. - Tatko przynosi je z pracy. Jest też dobre do mycia włosów. Mama nawet pierze w nim firanki. Mogę ci trochę dać. Chcesz?

Podziękował, nie wykazując zainteresowania. Ogarnęło go uczucie zawodu, którego wtedy nie rozumiał i nie potrafił sobie wytłumaczyć. Czuł tylko, że cokolwiek związane było z Jagienką, nie miało prawa być tak pospolicie zwyczajne. Dla ukrycia swojego zdegustowania przyglądał się długo rodzinnej fotografii Rasińskich na tle górskiej kolejki.

- Byliście w Krynicy? - zapytał.

- Nie, to zdjęcie z Zakopanego - odpowiedziała i Adam znów doznał uczucia zawodu, choć tym razem z innego powodu.

Jego matka wyjeżdżała co roku jesienią do Krynicy - Zdroju, lecz nigdy nie zabierała go ze sobą. Przysyłała mu za każdym razem pocztówkę z widokiem kolejki i podpisem „Góra Parkowa”. Latem jeździła do Krynicy Morskiej, też samotnie. Adam pojmował wówczas te jej Krynice jako niedostępne dla niego miejsca dla dorosłych, niczym odległe kina z filmami dozwolonymi od lat osiemnastu.

Następnego lata po raz pierwszy pojechał z Terenią nad morze. Znajomy zapach płynu do rąk w wagonowej toalecie pociągu, którym podróżował wtedy też po raz pierwszy, odebrał z niespodziewaną dla siebie przyjemnością. Z dala od domu i podwórza zdał sobie sprawę z dziwnej, nieznannej mu

dotąd radości płynącej ze wszystkiego, co choćby nawet pośrednio i w najmniejszym stopniu przywoływało wspomnienie Jagienki.

W Krynicy Morskiej wiele rzeczy działo się po raz pierwszy. Tam też po raz pierwszy pojawiła się na jego drodze ciotka Freda. Przysiadła się do nich na plaży w drugim dniu pobytu. Nigdy przedtem o niej nie słyszał. Tym bardziej dziwiło go, że obie z Terenią - jak się wydawało - znają się już od jakiegoś czasu.

- Musimy sprawdzić, Tereniu, czy istnieje jeszcze ta wspaniała lodziarnia, i koniecznie zabrać tam Adasia.

Głos ciotki był niski i lekko ochrypliwy. Terenia przypomniała jej o zakazie nadużywania cukru.

- Do licha tam - jesteśmy przecież na wczasach - prawda, Adam?! - zawołała, odwracając się w jego stronę.

Mimo powiewu morskiego wiatru zanosło od niej tytoniem. Twarz jej była mocno opalona, a może tylko ściemniała od nikotyny, otoczona dość krótką, przedwcześnie osiwiałą czupryną wystającą spod białej czapki żeglarskiej. Takie czapki były tego roku w modzie i sprzedawano je wszędzie - nawet w sklepiku na parterze kamienicy. Do pełnego obrazu morskiego wilka brakowało Fredzie tylko fajki. Zamiast niej przypaliła papierosa w zbrązowiałej jak jej twarz szklanej lufce.

Adam zaczął jednak szybko doceniać obecność ciotki i nawet przestał mu przeszkadzać jej nałóg. Freda Grodzka bezsprzecznie różniła się od wszystkich kobiet z jego domowego babińca. Nie była nadopiekuńcza jak Bunia, nie miała w sobie nic z bierności Tereni, nie należała do małomównych jak Walicka, ale też i nie paplała jak panie ze sklepików. Była silna i sprawna fizycznie. Adam bez wątplenia pozostawał pod jej urokiem. Tym bardziej nie podobało mu się, że Terenia nakazała zachować towarzystwo

Fredy w tajemnicy przed Bunią. Na ogół nie zadawał Tereni pytań i nie kwestionował jej poleceń, lecz tym razem bardzo chciał dowiedzieć się o przyczynach sekretu.

- Kiedyś zrozumiesz - odpowiedziała krótko, przypieczętowując niepodważalność decyzji zamknięcia ledwo co zaczętego dialogu natychmiastowym oddaniem się lekturze nabytego w przydworcowym kiosku nowego wydania „Panoramy Północy”.

Nie był pewien, co go bardziej przygnębiło: utrata perspektywy opowiedzenia Buni o wszystkich atrakcjach pobytu czy obawa przed czekającym go ciężarem dochowania tajemnicy. Nie miał natomiast wątpliwości, że wówczas przekroczył pewien próg dorosłości. Imponowało mu, że dzielił sekret z Terenią, i czuł się dumny, że mu w tym zaufała. Nie myślał jeszcze, jak poradzi sobie z kłamstwem. Dzisiaj nawet nie zaszufładowałby tego w ten sposób. Dzisiaj dobrze rozumiał, że nie wszystko musi być powiedziane i zrelacjonowane, że są rzeczy niepodlegające dzieleniu się z najbliższymi nawet osobami. Wtedy postanowił jednak opowiedzieć o wszystkim Jagience.

Na pokładzie samolotu przyciemniono światła. Adam próbował zasnąć, lecz nie mógł znaleźć odpowiedniej pozycji w granicach przyciasnego fotela. W półmroku podchwycił przerwane myśli. Gdy wracali do domu z wczasów, już na schodach poczuł znajomy zapach i ucieszył się, że Bunia czekała na nich z plackiem migdałowym. Drzwi otworzyła jednak Walicka. Zawsze czuwała w bezpiecznej odległości, ale od czasu do czasu zbliżała się niczym kometa, by obwieścić coś nadzwyczajnego. Tym razem zakomunikowała, że podczas ich nieobecności Bunia miała operację i że pobyt w szpitalu nieoczekiwanie się przedłużył. Migdałowy placek nie smakował mu tak jak zawsze.

Nazajutrz spotkali się z Jagienką na podwórzu. Opowiedział jej o Fredzie. Nie podzielała - jak się wydawało - jego entuzjazmu. Nie był całkiem pewien, czy w ogóle uwierzyła w istnienie tej tajemniczej superciotki. Nie miał jednak ochoty jej przekonywać. Sam zajmie się obmyśleniem sposobu nadania Fredzie oficjalnego statusu. Jagienka wiedziała już, że Bunia miała operację. Wiedziała nawet, czego nie powiedziano Adamowi, że chodziło o kobiece sprawy. Siedzieli chwilę w milczeniu. Nie wiedział nic na ten temat poza faktem, że Terenia używała czasem podpasek. Przejął go dreszcz; może zaskoczenia, a może chłodu sierpniowego wieczoru. Nie wiedział, jak zareagować. Na szczęście Terenia zawołała z balkonu, aby wracał do domu.

Kobiece sprawy wyjaśniły się nazajutrz, gdy Jagienka przyniosła bogato ilustrowany podręcznik medyczny i przerzuciwszy nieistotne kartki, zatrzymała wskazujący palec na rycinie podpisanej „Macica i przydatki”. Ze sprawnością wykładowcy anatomii objaśniła mu działanie systemu i znaczenie poszczególnych narządów, rozwiewając wszelkie dotychczasowe wątpliwości co do tego, skąd się biorą dzieci.

- Twojej babci musieli usunąć macicę - poinformowała, zanim zdążył o cokolwiek zapytać, po czym zapakowała książkę do torby i nieoczekiwanie zmieniła temat. - Tatko ma kochankę w Nowym Jorku - oświadczyła. - Pojechał tam pięć lat temu, żeby zarobić, ale wrócił szybko, bo chyba praca nie była mu w głowie - najwyraźniej powtarzała zasłyszany komentarz kogoś z dorosłych. - Myślałam, że już wszystko dobrze - kontynuowała - bo mama z tatkiem pogodzili się potem, jak były moje urodziny, mówiłam ci. Nie chcę, żeby znowu się kłócili albo przestali ze sobą rozmawiać. Dzisiaj mama kazała mi przynieść pocztę ze skrzynki. Był tam list od tej kochanki. Ktoś go już wcześniej otworzył. Nasza sąsiadka mówiła, że na poczcie wybierają teraz dolary z listów.

Adam wyczuł w jej głosie wyraźne zakłopotanie, które jednak - jak się wydawało - nie miało żadnego wpływu na obecność niby - uśmiechu.

- Czytałaś? - zapytał.

- Nie, zajrzałam tylko; jest po angielsku. Pewnie nie chciała, aby mama przeczytała, a może nie umie pisać po polsku. Masz, schowaj to - wcisnęła mu do ręki pomietą kopertę i zerwała się do wyjścia z torbą zarzuconą na jedno ramię.

Tuż przed drzwiami odwróciła się jeszcze i nie pytając go o zdanie, zakomunikowała, że zapiszą się oboje na kurs angielskiego. Umieścił list między kartkami Akademii pana Kleksa. W nocy studiował kopertę pod kołdrą przy świetle latarki. Była zaadresowana do Jana Rasińskiego i wysłana z Nowego Jorku. W rubryce nadawcy figurowały jedynie trudne do rozszyfrowania inicjały. Oczywiście, że spełni prośbę Jagienki i przechowa kopertę. Też nie chce, żeby jej tatko i mama znowu się kłócili.

Adam spojrzął na zegarek. Minęła zaledwie jedna czwarta lotu. Przywołał w pamięci dzień, w którym Bunia wróciła ze szpitala. Straciła dawną energię na tyle, że pewne obowiązki domowe musiała przekazać Tereni, która z kolei zρέcznie podzieliła je między siebie i Adama. W niedziele, jak dawniej, jeździł z Bunią na grób - jeśli nie sadzić czy wymieniać kwiatki, to przynajmniej pielć i podlewać. Rodzina Jagienki robiła to samo na działce za miastem. Tam pierwszy raz Adam spotkał Jana Rasińskiego. Bez wątpienia Jagienka dziedziczyła zarówno jego niby - uśmiech, jak i miedziany kolor włosów. Adam zapytał ją, czy chciałaby kiedyś pojechać z nim na cmentarz. Odmówiła; bała się grobów.

Nadeszło kolejne lato - pierwsze, kiedy Terenia nie pojechała do Krynicy. Szeptały często z Walicką w kuchni. Mieszkanie pachniało miksturami i rosołem, który z uwagi na

zalecenia lekarzy i ograniczone zdolności kulinarne Tereni stał się żelazną pozycją w domowym jadłospisie. Bunia nie przytuliła go na pożegnanie, gdy wyjeżdżał z Jagienką na pojezierze, na letni obóz języka angielskiego. Może opuszczały ją siły, a może był to kolejny znak, że zamykały się za nim drzwi dzieciństwa. Adam zabrał się z Rasińskimi ich nowym fiatem. Odwiedzili po drodze Ziućka. Odbywał w pobliżu służbę wojskową.

Terenia miała przyjechać po niego i Jagienkę pociągiem ostatniego dnia obozu. Zamiast niej pojawiła się jednak Freda. Adam był szczerze zaskoczony, gdy przywitała ich bardzo poprawną angielszczyzną. Mógł wreszcie dowieść Jagience, że nie wymyślił tej superciotki jednego sezonu. Ucieszyło go, że nie pachniała teraz dawno nieopróżnianą popielniczką, jak w Krynicy, ale jeziorem i tatarakiem. Może to całe pojezierze miało taki właśnie zapach? Terenia czekała na stacji końcowej.

- Babcia jest znowu w szpitalu - oświadczyła w drodze do domu. Była tym wyraźnie zmartwiona, ale też mniej bierna.

W samolocie podano gorącą kolację w miniaturowych porcjach, które o dziwo zdołały nasycić Adama. Uśmiechnął się na skojarzenie z pompką pana Kleksa do nadmuchiwanie posiłków. Stewardesa znów odwzajemniła jego uśmiech wyćwiczonym ruchem swoich pełnych warg. Przypomniały mu pomalowane czerwoną plakatówką usta z planszy w salce katechetycznej. Obok ust narysowane było również czerwone serce. Kombinacja ust i serca pojawiała się w czterech rzędach. W pierwszym jedno i drugie mówiło „tak”, w drugim oba zgodnie mówiły „nie” i te dwa rzędy reprezentowały cnotę prawdomówności. W trzecim i czwartym, gdy jedno mówiło „tak”, a drugie „nie”, przedstawiony był schemat grzechu kłamstwa według siostry Aldony.

Na pokładzie samolotu zapanowała atmosfera powietrznej sjeisty. Ucichły odgłosy poobiedniego sprzątanania, zazgrzytały oparcia odchylanych siedzeń. Zaciągnięto zasłonki w malutkich okienkach i przyciemniono światła. Adam przywołał w pamięci dzień, w którym skończył trzynaście lat. Siedział wsłuchany w ilustrowany rzędami serc i ust wykład o prawdomówności. Już wtedy wiedział, że zatajenie prawdy nie musiało być samo w sobie ani grzechem, ani odstępstwem od jakiegokolwiek innej normy moralnej. Mógłby dać na to więcej niż jeden przykład. Zastanawiał się, czy rzucić wyzwanie do dyskusji, gdy otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Walicka. Szeptała o czymś z siostrą Aldoną, po czym odwołała go na bok i wzięła za rękę jak małe dziecko.

- Bunia zmarła. Terenia czeka w domu - oznajmiła.

Student w fotelu obok pochrapywał spod nasuniętego na twarz koca. Samolot mrucał i dudnił miarowo jak nocny pociąg, którym znów jechali z Terenią do Krynicy Morskiej następnego lata. Na stacji kolejowej przywitała ich wtedy Freda. Adam odwzajemnił jej mocny, serdeczny uścisk. Obserwował uważnie, czy Freda wyciągnie swoją zbrązowiałą lufkę i zapali papierosa. Nie zapaliła. Po raz kolejny, choć tym razem z innego powodu, poczuł ogromny żal, że już nigdy nie będzie mógł opowiedzieć o niej Buni.

Pogoda nie sprzyjała plażowaniu. Nadawała się za to znakomicie do gry w szachy, które dzięki Fredzie stały się jego nową pasją. Miał wrażenie, że ciotka czasem obserwuje jego zachowanie, a niekiedy nawet zgaduje jego myśli i wie znacznie więcej, niż mógłby się spodziewać. Może rozmawiają o nim z Terenią. Nie przeszkadzało mu to, a raczej go intrygowało, a nawet mu schlebowało.

- Czy chciałbyś coś kupić Jagience? - spytała, gdy w ostatnim dniu turnusu przyglądał się delikatnym

bursztynowym bransoletkom porozkładanym na straganie z pamiątkami.

Po powrocie spotkał się z Jagienką na ławeczce. Usiadła na brzegu - odwrócona do niego tyłem. Pachniała, jak dawniej, migdałowo, tylko wyglądała jakoś inaczej. Włosy już nie związane, ale rozpuszczone luźno spadały na szyję. Spod cienkiej bluzki przebijało zapięcie biustonosza i klamerki ramiączek. Nie spytała wcale o wrażenia z wczasów, jakby tych dwóch tygodni nieobecności w ogóle nie było.

- Ziutek musiał się ożenić z Bożeną, swoją dziewczyną - oświadczyła. - W lutym urodzi im się dziecko.

Była wyraźnie zawiedziona, że brat nie wróci do domu po zakończeniu służby i pewnie zostanie na zawsze z nową rodziną na pojezierzu. Odwróciła się ku Adamowi, lecz - jak się wydawało - nie zwracała uwagi na zawiniątko w jego dłoni. Jej spojrzenie też było inne, bardziej obojętne. Ożywiła się jednak po chwili i zaczęła opowiadać o weselu i o tym, jak kolega Ziutka, Bartek, prosił ją do tańca. Adam pomyślał, że jest niepotrzebny, a Jagienka równie dobrze mogłaby opowiadać o tym dzieciom w piaskownicy albo przygodnym przechodniom, co przysiadali na ławce, by karmić gołębie. Schował bransoletkę do kieszeni. Nie potrafił nazwać wtedy uczucia, które go ogarniało. Zaprzeczyłby jednak, gdyby ktoś spytał, czy był zakochany. Nie takie byłoby jego wyobrażenie tego stanu serca.

Czternaste urodziny Adama przypadły w środku tygodnia. Terenia planowała uczcić je wieczornym wypadem do kina w towarzystwie Jagienki i nie musiała powtarzać dwa razy, aby poszedł ją zaprosić. Drzwi do mieszkania Rasińskich otworzyła Mariolka. Znał ją ze szkoły. Była zawsze przesadnie głośna i porozumiewała się z otoczeniem za pomocą czegoś w rodzaju egzaltowanego skrzeku. Z wymalowanymi na zielono powiekami przypominającymi

dwie grube gąsienice i czerwonymi szponami paznokci sprawiała wrażenie skrzyżowania arlekina z czarownicą.

- Jagna! - zawołała. - Przyszedł twój adorator!

Jagienka pojawiła się w głębi przedpokoju zapatrzona w wyciągnięte przed siebie dłonie.

- Co tam? - spytała, nie przestając przyglądać się świeżo pomalowanym paznokciom.

- Moje urodziny są w środę - zaczął - myślałem... Czy mógłbym pożyczyć szachy Ziutka? Przyjdzie paru kolegów z klubu, a ja mam tylko jeden zestaw. - Znowu zdziwił się, jak lekko przyszło mu skłamać coś na poczekaniu.

- Nie mogę ci ich podać, mam mokre paznokcie. Weź sam, leżą na biblioteczce - odrzekła.

Złapał pudełko i zanim znalazł się u wyjścia, czarownica zdążyła jeszcze przepowiedzieć, że urodziny obchodzone trzynastego niechybnie muszą się skończyć czymś fatalnym.

Postanowił zrezygnować z kina i poprzestać na szachach w towarzystwie Rafała, kolegi z sąsiedniej kamienicy. Zdecydował, że skoro już je przyniósł, zagrają Ziutkowymi. Rozłożył szachownicę. Spomiędzy jej połówek wypadła koperta - taka sama jak ta, którą kiedyś przyniosła Jagienka. Szybko podniósł kopertę z podłogi i ukrył między książkami. Gra nie szła mu dobrze. Zastanawiał się, czy włożyć list z powrotem, czy też powiadomić o nim Jagienkę. Zadzwoił do niej późnym wieczorem. Była zaskoczona i nie wiedziała, o czym mówi. A więc to musiał być Ziutek... Spytał, czy ma ukryć kopertę razem z pierwszym listem.

- Dobrze - odpowiedziała - zrób tak. Zajmiemy się tym innym razem.

Nie złożyła mu życzeń. Może po prostu zapomniała.

Dwie kryniczanki i poobiednia kawa zaczęły dawać o sobie znać. Adam musiał zbudzić studenta, żeby móc przejść do toalety. Wycisnął na dłoń kroplę płynnego mydła i

przybliżył do twarzy. Nie miało zapachu. Przyczesał przed lustrem włosy. Mimo młodego wieku niektóre z nich srebrzyły się już siwizną. Wychodząc, przecisnął się między oblegającą toaletę grupką pasażerów, skinąwszy głową w kierunku stojącego wśród nich studenta. Ucieszony jego chwilową nieobecnością spokojnie usadowił się na swoim miejscu.

Ciotka Freda przyjechała do nich w Wigilię i została do Nowego Roku. Często przychodziła Walicka i rozmawiały wieczorami we trzy z Terenią. Czuł, że szykowały się jakieś zmiany, lecz nie dociekał ich natury, mylnie założywszy, że nie dotyczyły jego osoby. Terenia zakomunikowała przy obiedzie noworocznym, że wiosną przeprowadzą się na pojezierze i zamieszkają z ciotką Fredą w jej rodzinnym domu. Starła się przedstawić różne dobre strony, a Walicka krótko, po swojemu, przyznawała jej rację. Czuł, że znalazł się w szachu ich decyzji, jego o zdanie nawet nie zapytano. Postanowił walczyć i podjął próbę przeforsowania własnych argumentów. Nie był przecież dzieckiem. Mógłby zostać i mieszkać z Walicką.

- Co będzie z klubem szachowym, kółkiem językowym, grobem? - pytał, choć wiedział, że naprawdę najbardziej chodziło mu o Jagienkę.

Po obiedzie przyszedł Rafał i o zmierzchu wyciągnął go na podwórze. Adam nie wspomniał o przeprowadzce - może jeszcze nic z tego nie wyjdzie. Zza śmietnika doszły ich głosy i śmiechy. Wydawało mu się, że słyszał Jagienkę. Sprowokował Rafała do pójścia w tamtym kierunku. Nie mylił się. Stała między kubłami w towarzystwie Mariolki; paliły papierosy. Znaleźli się naprzeciw siebie - jednakowo zaskoczeni.

- Nie powiesz nikomu? - spytała, przydeptyjąc w śniegu rzucony niedopałek.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Mariolka dmuchnęła mu w twarz chmurą dymu. Opędził się z odrazą.

- Nie lubisz dziewczyn, co? - zaskrzeczała. - Może jesteś taki jak twoja matka lesbijka? To twój kochaś? - zaśmiała się, wskazując w kierunku Rafała dwoma czerwonymi pazurami, pomiędzy którymi tkwiła resztką dymiącego carmena.

Adam poczuł, jak wzbierały w nim cała złość, żal i niemoc unicestwienia decyzji o wyjeździe spotęgowane teraz nienawiścią do Mariolki - uosobienia złej mocy, która do spółki z planami Tereni odbierała mu Jagienkę. Zgarnął z pokrywy śmietnika czapę śniegu i cisnął w wymalowaną twarz.

- Jagna, zrób coś! - krzyknęła, wytrząsając z siebie zimny puch i rozmazując po twarzy upiorny makijaż. Przypominała topniejącego bałwana, któremu zsunęły się z oczu węgielki i puścił czerwony sok z buraczanych warg. Jagienka zniknęła za ogrodzeniem. Po chwili pojawiła się w mroku, ciskając w stronę koleżanki otwartą damską torebkę. Rozliczne kosmetyki rozsypały się po śniegu. Chłopcy odeszli w kierunku domu.

- Rafał, co to jest lesbijka? - zapytał Adam po chwili.

- Nie wiem, chyba jakaś postać z mitologii.

W mieszkaniu czekała go miła niespodzianka. Zdecydowano, że do końca roku szkolnego zostanie z Walicką. Gdy wszedł, omawiano właśnie różne szczegóły - od wynajmu ich mieszkania lokatorom, do zaadaptowania dużego pokoju Walickiej na nową rezydencję Adama. Niesmak zajścia przy śmietniku ustąpił miejsca radości z odniesionego zwycięstwa i podekscytowania czekającymi go zmianami.

Marcowe roztopy stały się hasłem do przeprowadzki. Mieszkanie Walickiej remontował i odświeżał pan Jarek. Jego żona, Danusia, prowadziła sprzedaż galanterii skórzanej w jednym ze sklepików na parterze ich kamienicy. Profil

drugiego sklepiku zmieniał się w miarę mody i koniunktury. Jedynym stałym elementem pozostawał tam punkt repasacji, co w zwykłym języku przekładało się na łapanie oczek w damskich pończochach i rajstopach.

Terenia złożyła wypowiedzenie w pracy i oddała się pakowaniu poprzedzonemu, jak to zwykle bywa, sortowaniem rzeczy na niezbędne, takie, co to mogą się jeszcze przydać, oraz nieużyteczne klamoty skazane na oddanie lub wyrzucenie. Niewiele brakowało, a zagraniczna korespondencja ukryta w dziecięcej książce skończyłaby w tych ostatnich. Nieświadoma pobudek syna Terenia uśmiechnęła się wzruszona, gdy Adam wyciągnął ze stosu Akademię pana Kleksa i przycisnął książkę do siebie z westchnieniem ulgi. Wtedy to wszedł też w posiadanie modlitewnika Buni. Terenia podała mu go w milczeniu i bez żadnych szczególnych instrukcji. Pod koniec miesiąca jego rzeczy przeniesiono do nowego lokum, a Terenia na zawsze opuściła mieszkanie na drugim piętrze kamienicy. Wkrótce wynajęto je studentom.

Wersalka i biurko wypełniły zaledwie jedną stronę dużego pokoju w mieszkaniu Walickiej. Nawet dostawiona później szafa Buni z owalnym, kryształowym lustrem oraz jej rzeźbiona komódka nie zlikwidowały wrażenia pustki. Mąż Danusi pomógł przyciągnąć biblioteczkę mecenasa Walickiego z nieużywanego od lat gabinetu. Choć nie była obszerna, skutecznie łagodziła pustkę przeciwległej ściany, dodając pomieszczeniu przytulności. Stare kodeksy prawne i zielone grzbiety wielotomowej encyklopedii wypełniały dość szczelnie większość półek, lecz znalazło się jeszcze nieco miejsca na książki Adama. Układając je w biblioteczkę, otworzył modlitewnik. Wśród powkładanych między poźółkę kartki świętych obrazków znalazł fotografię Buni w towarzystwie mężczyzny o wyrazistej oprawie oczu. Nie miał

wątpliwości, że był to jego dziadek. Zarówno Terenia, jak i on sam bezsprzecznie odziedziczyli tę cechę po Karolu.

W samolocie nadal panowała atmosfera sjeisty. Mimo chęci Adam nie potrafił zasnąć. Ciasny fotel bezlitośnie przypominał, że nie miał nic wspólnego z kanapą. Pierwszej nocy w nowym miejscu też nie mógł usnąć. Słyszał, jak Walicka pochrapywała za ścianą. Wstał z wersalki, zapalił nocną lampkę i podszedł bosy do biblioteczki. Wynałazł zielony grzbiet z literą L i wyciągnąwszy oznaczoną nim księgę, począł przerzucać jej kartki, aż znalazł poszukiwane hasło. „Związek intymny pomiędzy dwiema kobietami”... Poczul zimno podłogi, a potem zimno całego ciała. Odłożył książkę i wrócił na posłanie. Pod kołdrą dopadły go dreszcze. Wydało mu się, że zaskrzypiały drzwi i Bunia zaraz przyniesie mu gorącą herbatę z malinami. Płakał cicho, by nie obudzić Walickiej.

Przez resztę zimy Adam egzystował i funkcjonował w swego rodzaju letargu. Wiedział dobrze, skąd brał się u niego ten stan duszy. Nie potrafił poradzić sobie ze świadomością, że każdy dzień coraz bardziej oddalał go od Jagienki. Była wciąż tak blisko, w zasięgu jego emocji i po drugiej stronie podwórka, ale jakby nierealna. Zatrzymał ją któregoś razu przed wejściem do bloku i zapytał, co ma zrobić z ukrytymi listami.

- Muszę porozmawiać z Ziutkiem - odpowiedziała krótko ze wzrokiem utkwionym w czubki zimowych kozaków. Odebrał to jako brak chęci podtrzymania dalszej rozmowy. Stał chwilę w milczeniu, pozwalając Jagience zniknąć za ośnieżonymi drzwiami klatki schodowej. Może wystarczyłoby zaprosić ją do kina albo spytać, czy chciałaby zobaczyć jego nowy pokój. Nie zrobił tego w obawie przed odmową, z którą uleciałyby na zawsze wszystkie jego nadzieje i przyjemne, choć nie bardzo realne marzenia.

Zbliżała się Wielkanoc. Terenia pojawiła się w środku Wielkiego Tygodnia i oznajmiła, że zabiera go na święta. Pojadą w sobotę z Rasińskimi, którzy wybierają się na chrzciny wnuczka. Adam nie miał pojęcia, że byli w kontakcie.

- My też jesteśmy zaproszeni - dodała. - Mamy już prezent dla małego Marcinka. Freda wyrzeźbiła pięknego drewnianego konika. Zobaczysz!

Perspektywa podróżowania w towarzystwie Jagienki ożywiła Adama i wyrwała z melancholii przedwiośnia, będącej jedynie inną formą kontynuacji zimowego letargu. Wygrzebał z szuflady kupiony nad morzem upominek. Postanowił wręczyć go w samochodzie.

W Wielki Piątek oświadczył, że chce jechać na cmentarz. Czuł potrzebę zrobienia czegoś dla Buni i zdawał sobie sprawę, że jego opcje praktycznie ograniczały się do wyboru gatunku kwiatów. Pojechali razem z Terenią, taszcząc zakupione na targu rozsady wczesnych bratków. Żałował, że nie przywiózł bazi. Walicka miała ich przecież cały wazon. Bunię zawsze zachwycaly te wiosenne gałązki wierzby.

W samolocie panowała senna atmosfera. Głowa pochrapującego studenta opadała i podnosiła się miarowo, od czasu do czasu dotykając lekko lewego ramienia Adama. Jagienka też siedziała wtedy po jego lewej stronie. „Wtedy” wyjechali wcześniej rano. Tatko za kierownicą, obok pani Justyna, on pośrodku na tylnym siedzeniu fiata między Jagienką i Terenią. Jagienka wydawała mu się smutna i gdyby nie obecność niby - uśmiechu, można by powiedzieć - przygnębiona. Czekał, że zagai rozmowę, ale milczała, obracając na palcu niewielki pierścionek z bursztynowym oczkiem.

- To od Bartka? - zapytał, gdy Terenia pochyliła się do przodu, by poczęstować Rasińskich iryskami.

Jagienka pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej rozweselona pytaniem.

- Nie, po prostu lubię bursztyn - dodała, znów obracając pierścioneń wokół palca.

Adam wyjął z kieszeni przewiązane zieloną wstążeczką zawiniątko w mocno już pogniecionym papierze i podał bez słowa Jagience.

- Jesteś czarodziejem? - zapytała, zakładając na przegub prawej ręki bursztynową bransoletkę.

Gdzieś w połowie trasy droga stała się węższa i dosyć kręta. Podnosząc się wyżej nad horyzont, słońce uwidocznilo kontury przydrożnych wierzb. Adam był ciekaw, czy rosły na nich baze. Powinni byli jednak zawieźć je Buni na grób. Poczul głowę Jagienki na lewym ramieniu. Chcial spytac, czy spi, ale bal sie sploszyc pachnace migdalowo kosmyki miedzianych wlosow, ktore przyjemnie dotykaly jego twarzy. Terenia i pani Justyna spaly juz od jakiegoz czasu. Wedlug przytwierdzonego do tablicy rozdzielczej zegarka elektronicznego pozostaly jeszcze jakies trzy kwadransy jazdy. Chcialby, zeby byly to trzy godziny albo nawet i wiecznosc.

Przymknal powieki. Marzyl, ze to on prowadzi fiata, a Jagienka na siedzeniu pasazera, smiejac sie, odgarnia z twarzy miedziane kosmyki. Nie pamietal, co bylo najpierw: gluchy loskot, smak krwi na rozcietej wardze czy krzyk Tereni: „O Jezu, o Jezu!”. Jeszcze jedno uderzenie glowa i potem juz bol przebudzenia w szpitalnej sali. Z trudem otworzyl oczy. Cztery postaci ruszily jednoczesnie w jego kierunku z drugiego konca pomieszczenia, stopniowo zachodzac na siebie w miare zblizania sie do jego lozka. Po chwili pochylaly sie nad nim juz tylko Freda i pielęgniarka.

„Chyba widzę podwójnie” - pomyslal. Chcial zapytac, gdzie jest i gdzie sa Terenia i Rasińscy, ale trudno mu bylo otworzyc usta.

- Mama ma złamaną nogę i potłuczone przedramię, ale jest już w domu - poinformowała Freda, chcąc oszczędzić mu wysiłku pytania.

Nie wspomniała o innych. Pomyślał, że on i Terenia musieli być jedynymi, którzy odnieśli obrażenia. Posłyszał, jak pielęgniarka mówi, że doktor Kwaśnik zobaczy go dopiero jutro, bo dziś Niedziela Wielkanocna i jest tylko młoda lekarka na dyżurze. To znaczy, że jest tu już drugi dzień. Nie wiedział ciągle, gdzie jest - na pojezierzu czy może w tym samym szpitalu, w którym umarła Bunia.

Nazajutrz widział już normalnie, lecz mówienie nadal sprawiało mu trudności. Z rana badał go doktor. Nie zadawał pytań, ale też i o niczym nie informował. Uśmiechał się tylko tak, jak chyba uśmiechają się lekarze, gdy nie mają nic lepszego do zaoferowania. Adam spojrzał na szafeczkę przy łóżku; stały na niej bazy. Podano mu leki i wkrótce ogarnęła go niepohamowana senność.

Czerwonousta stewardesa oferowała soki przebudzonym pasażerom, raz po raz wymieniając listę dostępnych smaków. Czyniła to niemal szeptem, by nie obudzić tych, którzy jeszcze drzemali:

- Pomarańczowy, pomidorowy czy jabłkowo - marchwiowy? Wybrał ten ostatni.

Nie pamiętał, jak długo spał wtedy w szpitalu. Musiał być na pojezierzu, bo gdy się znów obudził, siedział przy nim Ziutek.

- To na wzmocnienie - rzekł, stawiając na szafce butelkę z intensywnie pomarańczowym płynem. - Codziennie wyciskamy sok z marchwi - kontynuował - dwie łyżeczki dla Marcinka, a reszta dla nas. - Zaśmiał się przy tym jakoś nienaturalnie, jak wcześniej doktor Kwaśnik, po czym raptownie zmienił temat. - Moi rodzice... - zaczął - bardzo z nimi źle, no to ja muszę się trzymać, rozumiesz? Nie wiem,

czy ktoś ci już powiedział, że tatko też jest w szpitalu; ciągle nie odzyskał przytomności. Moja mama ma tylko stłuczenia i otarcia naskórka, ale psychicznie jest z nią znacznie gorzej. - Spojrzał w bok i poinformował sucho dziwnym, jakby nieswoim głosem, że jego siostry nie zdołali uratować. - Te gałązki - wskazał na bazie przy łóżku - zasadź, jak wypuszczą korzenie. Są z wierzby, przy której zginęła Jagienka. Dla mnie życie musi iść naprzód, bo mam synka i teraz drugie w drodze. Dzisiaj mieliśmy chrzcic Marcinka... - nie dokończył.

Adam przełknął napływające łzy i pod osłoną przyciemnionych świateł samolotu otarł te, które zdążyły się już potoczyć po policzku.

„Na wzmocnienie” - pomyślał, wychylając resztkę zaserwowanego przez stewardesę soku.

Zgodził się zamieszkać na jakiś czas z Terenią i Fredą. Chociaż nie widział siebie w codziennym towarzystwie matki i ciotki, wiedział, że nie mógłby teraz przebywać tam, gdzie spotykał się z Jagienką. Pomimo przygnębienia i zubożenia zauważył z niejaką przyjemnością, że Terenia i Freda miały osobne pokoje. Walicka przyjechała pociągiem i przywiozła jego rzeczy w dwóch torbach. W jednej z nich znalazł Akademię pana Kleksa. Podejrzewał, że musiała natrafić na listy z USA. Po co inaczej zapakowałyby tę dziecięcą książeczkę piętnastoletniemu prawie chłopakowi? Cekał, kiedy powie coś o kopertach, lecz nie wspomniała o nich ani razu.

Miał wciąż trudności z jedzeniem. Freda i Walicka prześcigały się wymyślaniu papkowatych potraw. Mógł już rozmawiać, lecz wolał udawać, że przychodziło mu to z trudnością. Oczekiwał w milczeniu nadejścia bliżej nieokreślonej chwili, gdy przytłaczający wszystko smutek, którego teraz nie chciał z nikim dzielić, ustąpi miejsca jakiemuś bardziej znośnemu uczuciu. Terenia i Freda, zajęte

śledzeniem wydarzeń i przemian politycznych w kraju, nie pytały Adama o stan jego duszy, której melancholię skutecznie kamuflowała ogólna atmosfera podniosłości i powagi. Samotne spacery wzdłuż jeziora stały się dla niego czymś w rodzaju dawek kojącego leku o przedłużonym działaniu. Wierzbowe gałązki zasadził tuż przy pomoście.

Ziutek odwiedzał go parę razy, lecz dopiero następnej wiosny Adam zdobył się na wyjawienie mu tajemnicy przechowywanych listów. Spotkali się w miasteczku. Ziutek pojawił się z Marcinkiem uczepionym wózka spacerowego, w którym spała mała Jagusia. Nie mogli rozmawiać długo. Adam pokazał mu dwie zagraniczne koperty i opowiedział krótko, jak wszedł w ich posiadanie. Spytał, czy ma przetłumaczyć zawarte w nich listy.

- Tak, proszę, zrób to - powiedział Ziutek po krótkim namyśle. - Daj mi znać, kiedy skończysz.

Jak niegdyś jego siostra wydawał się zaskoczony istnieniem dwóch listów. Wiedział tylko o tym, który sam kiedyś ukrył w pudełku z szachami.

Tego wieczoru Adam zamknął się w pokoju pod pretekstem przygotowania do klasówki. Porozkładał słowniki i wyłożył na biurko obie koperty. Przybliżył je do twarzy w nadziei uchwycenia śladu migdałowego zapachu. Zawiedziony, odłożył listy z powrotem na biurko. Na kopercie przechwyconej przez Ziutka widniał taki sam adres zwrotny, ale ostemplowana była datą prawie pół roku późniejszą niż koperta Jagienki. Postanowił działać w porządku chronologicznym. Rzucił okiem na angielski tekst pisany odręcznie. Nie czuł się mocny w potocznym języku, a kaligrafowana kursywa pisma już na pierwszy rzut oka sygnalizowała trudności. Odwróciwszy kartkę, spostrzegł polskie słowa na drugiej stronie. Począł czytać, ucieszony tym niespodziewanym odkryciem.

Drogi Panie Janie,

mama poradziła, żeby tak zatytułować. Znam język polski, bo babcia zawozi mnie raz w tygodniu do polonijnej szkółki przy kościele. Jednak pisanie nie za dobrze mi idzie, więc piszę po angielsku i mama przetłumaczy na odwrocie. Mówiła, że poprosiłeś, abym coś napisała do ciebie, i obiecałeś jej, że powiesz o mnie swojej rodzinie. Mama myśli, że to lepiej, jak nie będzie żadnych tajemnic, i wszystko mi wytłumaczyła.

Zdałam już do piątej klasy, bo tutaj idzie się wcześniej do szkoły. W Polsce szłabym do czwartej. Mój tato w zeszłym roku mnie zaadoptował i z tej okazji pojechaliśmy na wycieczkę do miejsca, gdzie jest taki ogromny park z wesołym miasteczkiem i różnymi atrakcjami dla dzieci. Może kiedyś Jagienka i Ziutek przyjadą mnie odwiedzić, to razem tam się wybierzemy. Mama mówiła, że takich parków na pewno w Polsce jeszcze nie ma. Jak chcesz, to przyślę ci zdjęcia, ale mama powiedziała, żebym najpierw zapytała, to właśnie pytam.

Mój tato powiedział, że to ładnie, że ja chcę napisać do Ciebie, ale że on jest moim prawdziwym tatą, bo mi czytał bajki i wycierał nos, gdy byłam mała. Tata i mama mówią, że Jagienka i Ziutek to moi bliscy krewni. Ja nie mam rodzeństwa. Może oni coś do mnie napiszą i przyślą swoje fotografie.

Pozdrawiam wszystkich
Marlena Wilczek

Chociaż list nie zrobił na nim dużego wrażenia, Adam nie miał wątpliwości, że Ziutek będzie zszokowany. Druga koperta była szczelnie zaklejona. Otworzył ją drewnianym nożykiem z rękojeścią w kształcie głowy kormorana. Freda rzeźbiła takie nożyki przez całą zimę, a latem sprzedawał je turystom. List był krótki i napisany po polsku. Sądząc z

charakteru pisma, jak i poprzedni, musiał być napisany ręką matki Marleny.

Janku,

minęło kilka miesięcy od wysłania listu Marlenki, w którym oferowała ona nawiązanie kontaktów z Tobą i Twoją rodziną. Piszę na wypadek, gdybyś go z jakiegoś powodu nie otrzymał. Po naszej rozmowie sądziłam, że też tego chciałeś, ale pewnie i tym razem nie stać Cię było na szczerść. Gdyby było inaczej, napisz. Wiesz dobrze, że nie chodzi mi o alimenty ani o inną pomoc finansową. Jeśli nie otrzymam od Ciebie wiadomości, uznam, że nie chcecie mieć z nami żadnych kontaktów.

Marysia

Adam posłyszał skrzypnięcie klamki i Terenia leciutko uchyliła drzwi. Szybko schował list i słowniki.

- Chciałam tylko spytać, czy zrobić ci herbatę albo kakao. Wybrał kakao, choć po prawdzie było mu wszystko jedno.

W samolocie odsłonięto okna i zapowiedziano kolejny posiłek. Student rozbudził się i próbował zainicjować rozmowę.

- Pan do Nowego Jorku czy dalej? Ja mam jeszcze przesiadkę do Chicago.

- Tylko do Nowego Jorku - odparł Adam i dodał, że to jego pierwsza podróż za ocean.

Student uśmiechnął się i życzył miłego pobytu. Zjedli posiłek i obsługa uprzątnęła tacki.

Freda wyjechała niespodziewanie do USA na pogrzeb kogoś ze swojej rodziny. Adam dowiedział się przy tej okazji, że przez wiele lat mieszkała w Filadelfii. Zostali sami z Terenią na cały miesiąc. Dom stał się cichszy i wolny od dyskusji na temat zmian zachodzących w kraju. Adam zamykał drzwi do swojego pokoju. Terenia pukała niekiedy,

pytając, czy może wejść pod takim czy innym pretekstem. Wiedział, że martwiła się o stan jego duszy i psychiki.

- Proszę, wejdź i usiądź; musimy porozmawiać - nakazał któregoś razu zamiast rutynowego zbycia jej jednym, krótkim słowem. - Kto jest moim ojcem? - zapytał, zaskakując ją kompletnie. Siadła na wersalce i złożyła dłonie.

- Ktoś, kogo widziałam tylko raz na zimowisku - stwierdziła krótko po namyśle. - To jest bez znaczenia. Było bez znaczenia wówczas i jest bez znaczenia dzisiaj.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że „wówczas” Terenia musiała być zaledwie kilka lat starsza od niego.

- Dlaczego nie mamy żadnych zdjęć twojego ojca, dziadka Karola? - spytał, akcentując przesadnie dwa ostatnie słowa.

Nie wspomniał nic na temat fotografii z modlitewnika. Terenia spuściła głowę w geście przesłuchiwanego winowajcy. Adam poczuł żal, że nie odniósł się do niej delikatniej. Westchnęła i podniosła się z wersalki. Podeszła do biurka i oparła na nim obie dłonie.

- Wyrzekłam się go jako ojca, bo zniszczył naszą rodzinę. Spaliłam w złości wszystkie jego fotografie. Potem odłożyłam ten cały rozdział mojego życia na półkę i to było najlepsze, co mogłam zrobić. Nie powinniśmy do tego wracać, Adaś. Jak chcesz, spytaj Walicką - może powie ci coś więcej. To w końcu twoja matka chrzestna.

- Skąd tak naprawdę wzięła się Freda? - zapytał wprost, lecz już bez sarkastycznej nutki goryczy w głosie. Nie chciał urazić Tereni, ale też i nie bardzo wiedział, jak inaczej mógłby sformułować pytanie.

- Mówiłam ci kiedyś, że po prostu się zaprzyjaźniłyśmy. Przecież nie ukrywałam tego przed tobą i przedstawiłam ci ją zaraz następnego lata.

- To dlaczego kazałaś mi ukrywać ją przed Bunią?

- Bunia była wtedy chora i nie był to dobry czas na niespodzianki. Walicka wiedziała i też tak uważała. Freda rozumiała mnie, a ja rozumiałam ją. Ludziom trudno wierzyć w taką przyjaźń, ale poza tobą to jest coś, co jeszcze daje mi powód do życia. A jeśli chodzi ci o coś więcej, to... - zawahała się chwilę - to wszyscy nie muszą wiedzieć wszystkiego.

Nie było potrzeby, żeby mu się tłumaczyła. Ten aspekt jej układów z Fredą przestał już go interesować i obchodzić. Wydawało się, że Terenia chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zawahała się znowu i cofnęła dłonie z blatu biurka. Podeszła bliżej i pogłaskała Adama po policzku, ocierając mu kciukiem samotną łzę. Pewnie wzięła ją za łzę zawodu i smutku. Nie wiedziała, że była to przeznaczona dla niej łza współczucia i wzruszenia.

Obsługa samolotu znowu krzątała się, roznosząc gorące napoje. Do maleńkich filiżanek nalewano herbatę. Pachniała przyjemnie - to chyba yunnan. Freda i Terenia kupowały taką u przekupniów w miasteczku. Zabrał paczuszkę ze sobą, gdy wybrał się do Walickiej na Święto Zmarłych. Ucieszyło go, że pojechała z nim na cmentarz. Dawno tam nie była - nawet na grobie mecenasa. Grobowiec Rasińskich znalazł się pierwszy na ich drodze. Wydawało się, że kędzierzawy aniołek spogląda ku medalionom z wizerunkami Jagienki i tatka, naśladując ich niby - uśmiechy.

- Jej tam nie ma. Jest tutaj - wyszeptała Walicka, wskazując w kierunku klatki piersiowej Adama dłonią spowitą w czarną, zamszową rękawiczkę.

Wolałby, żeby nic nie mówiła. Nie potrafił z nikim o tym rozmawiać i Walicka nie była wyjątkiem. Pomiął jej uwagę milczeniem. Gdy wieczorem zaparzał w dzbanku przywiezioną herbatę, Walicka pierwsza zaczęła rozmowę. Przyjął z ulgą, że podjęła zupełnie inny temat.

- Mama mówiła, że chciałeś dowiedzieć się czegoś więcej o swoim dziadku.

Adam skinął głową i napełnił maleńkie filiżanki z od lat nieużywanego serwisu. Pili chwilę w milczeniu.

- Bunia miała zamiar opowiedzieć ci o nim, jak będziesz starszy, więc teraz mogę to zrobić w jej imieniu. Widzisz, ludzie często stają się niewolnikami swoich tragicznych przeżyć i tkwią w nich jak ofiary do końca życia. Bunia i Terenia, choć każda na zupełnie inny sposób, potrafiły funkcjonować normalnie i zapewnić ci spokojne dzieciństwo, a to nie jest łatwe, Adaś. Twoja babcia i twoja mama zrobiły dobrą robotę, bo dla dziecka wszystko ma być proste i jasne, bez dramatów, rozumiesz?

Rozumiał. Uświadomił to sobie już po rozmowie z Terenią.

- Terenia, jak wiesz, była jedynaczką - kontynuowała Walicka. - Mieszkali wtedy w małej miejscowości. Dopiero potem wchłonęło ją miasto. Karol pracował w księgowości, w urzędzie miejskim. Któregoś razu wyszło na jaw, że ktoś zdefraudował dużą jak na tamte czasy sumę. Karola wzięto pod lupę, bo akurat w tym czasie rozpoczął budowę domu i nie potrafił do końca udowodnić, skąd wzięły się na to pieniądze. Takich sensacji nie daje się ukryć w małym miasteczku. Terenia miała wtedy tyle lat, ile ty teraz. Przestała chodzić do szkoły, a w domu wpadała w furję. Spaliła wszystkie rodzinne zdjęcia i wyrzekła się Karola jako ojca.

Adam nigdy nie słyszał tak długiego monologu z ust Walickiej. Tym bardziej zamienił się w słuch, aby niczego nie uronić z jej opowieści.

- Połowa kamienicy była wtedy własnością Waldka, kuzyna mojego męża, a druga połowa należała do nas. Waldek pracował z Karolem w urzędzie i na jego prośbę Janusz, to jest mój świętej pamięci mąż, podjął się obrony twojego dziadka.

Oczywiście to nie doszło do skutku. Po tym, jak znaleziono Karola powieszzonego w piwnicy na budowie, Janusz był pewien, że ktoś go zabił i tylko upozorował samobójstwo. - Głos Walickiej zadrżał i załamał się, a do oczu napłynęły jej łzy. Wydawało się, że skończy mówić, ale wydmuchała tylko nos i kontynuowała: - Problem polegał na tym, że Karol nie był tak całkiem bez winy. Wiem to od Buni. Za przemykanie oka na przekręty finansowe, które miał nieszczęście wytropić, otrzymał sporą łapówkę. Był poniekąd w szachu. Bał się, że gdyby odmówił, on i jego rodzina mogliby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Akceptując to, stawał się stopniowo idealnym materiałem na kozła ofiarnego. Bunia miała rozmawiać o tym z Januszem, ale po śmierci Karola to już straciło znaczenie i tylko dołałoby oliwy do ognia gniewu tłącego się ciągle w Tereni.

- A jeśli to nie było samobójstwo? - Adam był pewien, że Walicka już wcześniej przemyślała odpowiedź na takie pytanie.

- Bunia twierdziła, że było, a ja nie mam powodu przypuszczać inaczej.

- Jak to się stało, że ona i mama zamieszkały w tej kamienicy? - zapytał, sprowadzając rozmowę na mniej emocjonalny grunt.

- W trakcie tej całej afery w urzędzie miejskim Waldek zrezygnował ze swego stanowiska i wyjechał z rodziną na południe Polski, a potem za granicę. Bunia z chęcią wynajęła od nich to mieszkanie. Odcięła się całkowicie od przeszłości. Dobrze, że przynajmniej zgodziła się upoważnić Janusza do działania w jej imieniu. On był zawsze chorowity. Miał wadę serca i z tego powodu zdecydowaliśmy się nie powiększać rodziny. Może dlatego przyjęliśmy Bunię i Terenię jak bliskie krewniaczki. Gdy przyszedłeś na świat, zostaliśmy twoimi

rodzicami chrzestnymi - dodała tonem marszałka sejmku ogłaszającego otwarcie obrad.

- Kto jest moim ojcem? - Adam zręcznie wykorzystał na to pytanie moment, gdy Walicka przerwała opowieść i uniosła pustą filiżankę.

Dolał jej herbaty, pozwalając na chwilę namysłu.

- Terenia nigdy nie chciała nam powiedzieć. Gdy była w ostatniej klasie liceum, pojechała na zimowisko i wróciła stamtąd w ciąży. Ukrywaliśmy jej stan, aby mogła zdać maturę.

Adam doznał mieszanego uczucia. Z jednej strony poczuł się zawiedziony, że nie zdołał rozwikłać tajemnicy. Ktoś przecież musiał zapoczątkować jego istnienie. Z drugiej strony ucieszył się, że opowieść Walickiej pozostawała w zgodzie z wersją Tereni.

- Adaś, ja muszę poinformować cię o sprawach finansowych, chociaż może jeszcze nie jesteś na to gotowy - kontynuowała Walicka. - Buni już nie ma, Terenia nie chce o tym rozmawiać, a ja też nie wiem, co się ze mną może stać. Cyganka wywróżyła mi kiedyś długie życie, ale nie powiedziała, czy przy zdrowych zmysłach. - Zachichotała długim śmiechem i mówiła dalej: - Widzisz, Janusz zdołał spieniężyć budowę. Mieliliśmy te pieniądze dać Buni, lecz ona nie chciała nawet o tym słyszeć, mimo że ziemia była spadkiem po jej rodzicach. Wykupiliśmy za nie połowę kamienicy Waldka. Będzie twoja, gdy staniesz się pełnoletni. Komorne od Danusi za sklepik odkładam dla ciebie już od dawna, a teraz jeszcze i od lokatorów.

Dopiła herbatę i przestała opowiadać, przechodząc na swój regularny, lakoniczny styl konwersacji. Adam nie wiedział, jak zareagować. Tyle rzeczy działo się za kulisami jego codzienności. Miał wrażenie, że ktoś ustawiał pionki na

szachownicy jego życia, wykonując nimi zręczne, dobrze przemyślane ruchy.

Dopiero teraz, wysoko w powietrzu zdał sobie sprawę, że wbrew pozorom Walicka nie grała nigdy roli Wielkiego Brata, że wszystko, co dla niego robiła, dyktowane było powierzoną jej odpowiedzialnością i osobliwym uczuciem, jakim go darzyła. Miał pewne wyrzuty sumienia, że ją opuszczał, chociaż wiedział, że cieszyła się z możliwości, jakie się przed nim otwierały. Skończył niedawno dwadzieścia pięć lat i był to najlepszy czas, aby czegoś dokonać. Problem polegał na tym, że jego matka chrzestna była w zaawansowanym wieku i w nie najlepszym zdrowiu. Wymagała, jeśli jeszcze nie opieki, to przynajmniej kogoś bliskiego pod ręką. To dzięki Elizie mógł wyjechać za ocean i być spokojny o Walicką.

Eliza, jak niegdyś Freda, pojawiła się na jego drodze pewnego dnia, niezapowiedziana i nieoczekiwana. Był to pierwszy dzień roku szkolnego - słoneczny, wrześniowy, wciąż jeszcze pachnący tatarakiem, ale już znaczone niczym odgłosem nadchodzącej jesieni pokrzykiwaniem szykującego się do odlotu ptactwa. Uroczystości szkolne nie trwały długo i Adam mógł wrócić wcześniejszym autobusem. Gazika ciotki Fredy nie było pod domem. Pewnie pojechała zrobić zakupy i zostanie w miasteczku do szesnastej, aby zabrać z pracy Terenię. Poszedł w kierunku pomostu. Przeciągnął dłonią po zielonych wciąż listkach wierzby zasadzonej z przyniesionych przez Ziutka gałązek. Była już wyższa od niego. Stanąwszy na samym końcu drewnianego pomostu, począł wpatrywać się w taflę jeziora. Mimo że od wypadku minęły ponad trzy lata, ciągle dopadały Adama koszmary. Jak to się stało, że nie uchronił Jagienki? Siedziała przecież tak blisko niego. Gdyby ją wtedy przytulił... Wciąż jeszcze tkwiło w nim poczucie winy, że nie zginęli razem. Wciąż trawiła go niemożność uzasadnienia takiej niesprawiedliwości w żaden logiczny

sposób. To poczucie winy nie było bynajmniej iluzją. Niekiedy stawało się namacalnym, materialnym ciężarem, kamieniem u szyi, z którym gotów był szukać ukojenia chociażby w głębi jeziora.

Samotny wędkarz w starej motorówce zbierał się do powrotu. Adam patrzył, jak łódź mija pomost i odpływa w kierunku drugiego brzegu. Odczucie bliskości Jagienki było tak silne, że wydawał się słyszeć jej kroki na skrzypiących od fali deskach pomostu. Wciągnął w nozdrza lekki migdałowy powiew, ze smutkiem stwierdzając, że był on jedynie produktem jego wyobraźni. Doszedł go szelest gałązek młodej wierzby.

- Adam?

Odwrócił się gwałtownie. Zjawa uśmiechała się do niego, balansując na rozkołysanym falami pomoście, z dłońmi zaciśniętymi na paskach ogromnego, wypakowanego powyżej jej głowy plecaka. Nosila mocno wytarte dzinsy i kraciastą flanelową koszulę. Podeszła bliżej, ale już bez uśmiechu i wciąż trzymając lewą rękę na pasku plecaka, wyciągnęła prawą ku twarzy Adama. Jak Terenia matczynym gestem otarła mu z policzka samotną łzę. Uścisnął delikatnie jej dłoń, gdy podała mu ją za chwilę w geście formalnego przywitania.

- Eliza Mazurek - przedstawiła się krótko, po czym zrzuciła z pleców swój wielki bagaż i - ku jeszcze większemu zdumieniu Adama - poczęła zdejmować wytarte dzinsy i kraciastą koszulę. Ułożywszy je na plecaku, stanęła przed Adamem w czarnej, elastycznej, dobrze dopasowanej sportowej bieliźnie. Zakurzone adidas-y ustawiła równo obok plecaka.

- Przypilnujesz moich rzeczy? - zapytała chyba po to tylko, żeby coś powiedzieć, bo w pobliżu nie było żywej duszy, i Adam, wciąż jeszcze w szoku, lekko skinął głową.

Nie skoczyła do wody, ale delikatnie i cicho wślizgnęła się w jej toń z pomostu, nie zakłócając ani szelestu tataraku, ani cichego uderzania fal o drewniane deski. Płynęła sprawnie, co jakiś czas odwracając się na plecy. Może potrzebowała odpocząć, a może chciała sprawdzić, czy Adam wciąż stoi na pomoście. Stał, niepomny rzeczy, których miał dopilnować, wpatrzony w jej szybko oddalającą się postać. Minęło kilka dobrych minut, zanim zauważył, że wraca w kierunku brzegu. Pobiegnął do domu po ręcznik. Gdy wrócił, wdrapywała się już na pomost. Dość chłodna o tej porze roku woda nadała jej skórze i ustom sinego koloru. Z wdzięcznością przyjęła z jego rąk wielki ręcznik kąpielowy i otulona nim poszła bosą w kierunku domu. Adamowi nie pozostawało nic innego, jak ponieść za nią bagaż i ubranie. Plecak był niezwykle ciężki. Adam zatrzymał się w którymś momencie, by zarzucić go na ramiona. Gdy dowlóknął się do domu, w łazience na parterze paliło się światło i po chwili usłyszał odgłos prysznicy. Nastawił wodę na herbatę i zataszczył rzeczy do pokoiku gościnnego. Ich właścicielka ukazała się wkrótce w różowym szlafroku Tereni.

- Mam nadzieję, że pani Teresa nie będzie miała mi za złe, że pożyczam sobie jej rzeczy. To szlafrok twojej mamy, prawda? Nie wyobrażałabym sobie ani Fredy, ani ciebie w różowym - roześmiała się.

Adam uśmiechnął się nieznacznie w odpowiedzi. Zaparzył herbatę w imbryku i podał ją w szklankach osadzonych w wiklinowych koszyczkach. Poczul się lepiej, podbudowany i uspokojony tym odruchem normalności.

- Jak tu przyjechałaś? - zapytał.

- Zwyczajnie, autobusem z miasteczka - odparła i zanurzyła usta w gorącym napoju.

- Ale skąd przyjechałaś do miasteczka?

- Zwyczajnie, pociągiem z Warszawy. Najlepsza gorąca herbata, jaką kiedykolwiek piłam.

- Mieszkasz w Warszawie?

- Nie, ale wylądowałam tam na Okęciu. Mogę dolewkę?

Napełnił jej szklankę i zaproponował, że zrobi kanapki. Eliza radośnie przyjęła tę propozycję. Przyrządził też naprędce sałatkę z pomidorów i cebuli wymieszanych ze szczodrą ilością gęstej śmietany, regularnie dostarczanej przez sąsiada, właściciela trzech krów.

- To moja specjalność - oznajmił z dumą. - Dobrze jest też dodać do niej jajko na twardo. Skąd przyleciałaś? - spytał, stawiając przed nią talerz z kajzerkami naładowanymi wędzoną szynką.

Eliza pochwyliła kanapkę, zanim jeszcze spód talerza dotknął stołu. Nie odpowiadała przez długą chwilę, wolno przeżuując poczęstunek.

- Zwyczajnie z... - zaczął zamiast niej i oboje zanieśli się głośnym śmiechem.

Adam nie pamiętał, kiedy ostatni raz śmiech przyszedł mu tak naturalnie i po prostu.

- Zwyczajnie, z Filadelfii - dodała.

Już wcześniej wydało mu się, że mówiła trochę dziwnie, trochę inaczej.

- Ciocia Freda nie wspominała ci, że przyjadę?

- Mówiła, że przyjedzie jakaś krewna, ale spodziewałem się kogoś...

- Starszego? - przerwała.

- No, gdzieś około trzydziestki.

- Ależ ja jestem około trzydziestki, jeśli dwadzieścia trzy lata można tak nazwać.

- Myślałem, że masz czternaście. Może nie wypada o to pytać, ale tak naprawdę to nie jesteś moim gościem. Jak długo

masz zamiar pozostać? Nie musisz się krępować. Jeżeli idzie o mnie, jestem tu na prawach gościa już od ponad trzech lat.

- Sądziłam, że Freda cię poinformowała.

- Próbowала, ale widocznie nie wykazywałem zainteresowania.

- Masz depresję? - zapytała wprost, bez żadnego uprzedzenia czy przygotowania.

- Dlaczego zaraz depresję? - obruszył się. - Miałem po prostu zły dzień i tyle, jeśli nawiązujesz do mojego nędznego stanu na pomoście.

- Zostaję u Fredy do końca września, ale tak w ogóle to przyjechałam do Polski na studia doktoranckie i zaczynam od października - wyjaśniła wreszcie. - Wiesz, że wynajęłam pokój w twoim mieszkaniu?

Nie wiedział. Lokatorami zajmowała się Walicka i nie obchodziło go, kto będzie tam rezydował. Pewnie Freda próbowała mu powiedzieć i o tym. Może rzeczywiście miał depresję.

- Za rok i ja pójdę na studia albo do pracy i mam zamiar zamieszkać w swoim mieszkaniu. Czy będziesz je ze mną dzielić? - zapytał już bardziej przyjaźnie, wręcz żartobliwie. - Wspólna ciotka czyni nas przecież przyszywanym rodzeństwem.

- Może będę, a może przeprowadzę się do Walickiej.

- Znasz ją? - zapytał zdziwiony.

- I tak, i nie. Wiem, kim jest, i wiem, że zarządza twoimi pokojami. Freda zamówiła u niej jeden dla mnie. Mam zamiar zapłacić z góry za pierwszy rok.

Zdał sobie sprawę, że właściwie nie miał pojęcia, kim naprawdę była Eliza.

- Rozumiem, że Freda to twoja ciotka...

- W pewnym sensie taka sama jak i twoja, pomijając aspekt pokrewieństwa - odparła, kładąc na talerzyk trzecią z kolei kanapkę z szynką.

Adamowi nie bardzo przypadło do gustu to porównanie, ale nie zareagował.

- Dobra ta wasza polska wędlina. Wracając do Fredy; ona jest kimś w rodzaju Mary Poppins - zaczęła znów Eliza. - Oglądałeś ten film?

Adam pokręcił głową, więc kontynuowała wyjaśnienia:

- Mary Poppins jest bohaterką serii angielskich opowiadań, z których najstarsze pochodzą sprzed wojny. W polskich tłumaczeniach z tamtego okresu Mary została przechrzczona na Agnieszkę. W latach sześćdziesiątych Walt Disney zrobił z tej historii musical.

- Jak to się ma do Fredy?

- Do Fredy to ma się tak, że bohaterka, o której mówię, jest opiekunką do dzieci i zmienia ich świat na lepszy dzięki swoim magicznym umiejętnościom, choć wcale nie jest ani czuta, ani miła w obyciu. Gdy już sprowadzi rzeczy na właściwą drogę, otwiera magiczny parasol i leci do innych dzieci, które jej potrzebują.

- Kiedy od ciebie odleciała?

- Jak skończyłam osiemnaście lat. Poleciała wtedy przez ocean do ciebie. No, może nie od razu do ciebie. Wiem, że najpierw przyjaźniły się z panią Teresą, to jest twoją mamą.

- Będiesz robiła doktorat z literatury dziecięcej? - Adam zmienił temat rozmowy.

- To jednak słuchałeś, co mówiła o mnie Freda?

- Nie, domyśliłem się tylko, bo z taką pasją opowiadałaś o tej Mary Poppins. Na czym polega twoje pokrewieństwo z Fredą? - zapytał.

- Freda jest młodszą siostrą mojego ojca. Rodzice rozeszli się, gdy miałam czternaście lat, to znaczy mama odeszła od

ojca, bo nie mogła z nim wytrzymać. Z nim nikt nie mógł wytrzymać na dłuższą metę, nawet Freda. Mieszkałam z mamą, a Grzesiek, to jest mój brat, został z ojcem. Co drugi weekend musiałam pakować torbę i jechać do ojca. Odbierałam to jako najgorsze nieszczęście, zanim nie zaczęła się u niego pojawiać moja Mary Poppins. Wiem, że chciała już wcześniej wrócić do Polski, ale nie zrobiła tego z uwagi na mnie. W zeszłym roku zmarła moja mama. Umarła w Dniu Matki... Wyobrażasz sobie? - zapytała gorzko.

Adam milczał, domyślając się, że było to pytanie retoryczne i Eliza nie oczekiwała na nie odpowiedzi. Może powinien był wyrazić współczucie, ale nie zrobił tego ani też nie wspomniał, że Bunia umarła w dniu jego urodzin.

- Mój brat był bardziej związany z ojcem, ale ja mieszkałam z mamą przez cały czas jej choroby - kontynuowała Eliza bardziej już opanowanym tonem. Zupełnie się załamałam, gdy odeszła. Freda przyleciała z Polski na pogrzeb. Zabierała mnie nad zatokę i choć woda była jeszcze chłodna, pływałyśmy długo, aż zrozumiałam, że nic już mamy nie przywróci, czy będę płakać, czy nie. Zdecydowałam się nie płakać.

- Bałem się o ciebie, gdy popłynęłaś z pomostu. W zimnej wodzie łatwo doznać skurczu mięśni, a ja nie jestem za dobry ani w pływaniu, ani w ratowaniu.

- Znam dobrze to jezioro i całe obejście. Należało do moich dziadków. Rodzice, kiedy jeszcze byli razem, mieli zwyczaj przysyłać tu mnie i Grega... czyli Grześka - poprawiła się - na całe wakacje. Freda jeździła czasem z nami. To ona zaszczepiła we mnie bakcyła pływania, ale też i nauczyła respektu dla wody.

- Kiedy byłaś tu ostatni raz?

- Cztery lata temu, gdy umarła babcia. Nie mogłam zostać długo, bo to stało się tuż przed sesją egzaminacyjną na pierwszym roku studiów.

- Czy wtedy też rozpoczęłaś wizytę od skoku do jeziora? - zażartował.

- Nie, bo było zupełnie zamarznięte. Mogłabym co najwyżej wskoczyć do przerębla - odpowiedziała Eliza i znów dzielili długą chwilę śmiechu, którą Adam delectował się niczym podwójną porcją wyśmienitego deseru zaserwowanego na koniec długotrwałej diety.

- Twoje nazwisko jest inne niż Fredy. Jesteś zamężna? - zapytał.

- Skądże - zaśmiała się. - To Freda ma męża w USA. Rozeszli się dawno temu, ale nigdy formalnie. Teoretycznie wciąż jest żoną wuja Henryka.

Adam zdał sobie sprawę, jak bardzo wyobcował się z otaczającego go świata i życia bliskich mu osób. Poczuli się głęboko winny. Ile historii przeszło obok niego, ile trosk i radości, których nie chciał zauważyć? Jeśli tak zwane momenty zwrotne w życiu człowieka mogą być naprawdę dziełem jednej chwili, to był to jego moment zwrotny. Oczywisty skądinąd fakt, że jego zraniona dusza jest tylko jedną z milionów i że trzeba pozwolić jej się zbliżyć, wpasował się nagle w puste miejsce, które do tej pory nie umiało się niczym zapełnić.

Wielogodzinne wtopienie w fotel w samolocie dawało o sobie znać w nieprzyjemny sposób. Adam miał dosyć bezruchu. Zaczął ćwiczyć stopy; najpierw kółeczka, potem lekkie unoszenie i opuszczanie - jak na schodach. Tup, tup, tup... Zamknął oczy i prawie słyszał kroki Walickiej pokonującej ostatnie półpiętro. Stawały się wolniejsze i bardziej ciężkie z każdym stopniem.

Zachodziła do niego coraz rzadziej. Trudno jej było wchodzić po schodach do siebie, a tym bardziej pokonać jeszcze jedną kondygnację. Tym razem byli umówieni. Adam otworzył drzwi, nie czekając na dzwonek. Zrobił herbatę i pokroił przyniesioną przez Walicką szarlotkę. Spostrzegł zatroskanie na jej twarzy. Nie pytając, czy ma ochotę, nalał jej kieliszek żubrówki. Wypiła, wznosząc toast za pomyślność jego podróży.

- Adaś, może być tak, że mnie już nie będzie, jak wrócisz...

- Przecież Cyganka wywróżyła ci długowieczność, a poza tym nie wyjeżdżam na stałe.

- Tak, tylko że ja już dożyłam tej długowieczności. Chcę ci coś wyjawić, zanim odejdę. Wahałam się, więc rozmawiałam z Terenią i Fredą. Obie dały mi zielone światło.

Walicka poczęstowała się ciastem i popiła je herbatą.

- To ja zapoznałam Fredę z twoją mamą - obwieściła wprost, w typowym dla niej stylu. - Freda napisała do mnie z USA i poprosiła o kontakt z Terenią. Wiedziałam o niej tylko tyle, że była młodszą siostrą Waldka, kuzyna Janusza, z którym dzieliliśmy kiedyś kamienicę. Domyślałam się, że to miało jakiś związek ze sprawą Karola. Znajac nastawienie Tereni do wszystkiego, co było związane z jej ojcem, sądziłam, że odmówi. Ale ku mojemu zdziwieniu się zgodziła. W tajemnicy przed Bunia spotkała się z Fredą w Krynicy Morskiej. Dalszą historię już znasz, bo sam byłeś jej częścią.

Walicka przerwała opowiadanie, najwidoczniej oczekując pytań. Adam nie dociekał jednak powodu spotkania. Pogodził się z tym, że Terenia zamknęła przed nim tamten rozdział, i zamierzał to uszanować.

Lot powoli dobiegał końca i pasażerowie wypełniali rozdawane kwestionariusze. Adam szybko wypełnił swój i złożył stolik. Przymknąwszy ciężkie już od niewyspania

powieki, poddał się procederowi lądowania. Dopiero gdy wychodził z samolotu, zrozumiał w pełni, że zmierza w obcy i nieznany sobie świat.

Pusta jeszcze karuzela bagażowa kręciła się leniwie w oczekiwaniu na kolejny wysyp walizek. Niczym po wzmacniający zastrzyk czegoś ciepłego i bliskiego przez moment wrócił myślami na pojezierze. Spędził tam ostatnie wakacje przed wyjazdem. Freda strugała wieczorami patriotyczną serię drewnianych nożyków do otwierania listów: z głową orła, podobizną papieża, tatrzańską szarotką i warszawską syrenką.

- Zabierz je ze sobą. Będą dobre na upominki - powiedziała. - Chcę cię też poprosić, abyś wysłał komuś ten z orłem - dodała ciszej, jakby w sekrecie przed krzątającą się w sąsiednim pomieszczeniu Terenią, i podała mu karteczkę z adresem Henryka Grodzkiego.

Któregoś wieczoru odwiedził ich Ziutek. Też miał coś do przekazania. Już wcześniej napisał do Wilczków, że Adam będzie w Nowym Jorku. Zaoferowali, aby na początek zatrzymał się u nich. Mają duży dom na Long Island.

- Przekaż im to, proszę, ode mnie. - Ziutek wyciągnął wówczas przed siebie rękę z niewielkim albumem. - Trochę naszych najnowszych fotek. Marlina spotka cię na lotnisku. Na końcu znajdziesz jej aktualne zdjęcie; łatwiej ci będzie ją rozpoznać.

Adam odebrał walizki i po kontroli bagażu oraz dokumentów wszedł w tłum oczekujących. Rozpoznał ją od razu. Dziewczyna z fotografii przywitała go przyjaznym niby - uśmiechem i delikatnym uściskiem. Miedziane kosmyki włosów przyjemnie musnęły jego policzek. Mógłby przysiąc, że zapachniały migdałowo.

KONIEC

Eliza wyłączyła komputer i odstawiła go na szafkę. Wsunęła się pod kołdrę, uspokojona, że wszystko, co napisała o matce Adama, wydawało się przyzwoicie oględne i poprawnie zgodne z rzeczywistością. Przyjęła jutrzejszą wizytę jako okazję do przetestowania swoich obserwacji i być może wniesienia czegoś nowego do opowiadania. Prawdziwa Terenia, podobnie jak Waldemar, nie była łatwa do rozszyfrowania.

Rozdział XIX

Wizyta

Nastawiony budzik odezwał się posłusznie o siódmej rano. Było jeszcze zupełnie ciemno. Eliza zapaliła lampkę. Obawa o reakcję Tereni odżyła i nie pozwoliła Elizie pozostać dłużej w pościeli. Miała zaledwie kilka godzin, aby przygotować się na przybycie gości. Gdy była już wykąpana, ubrana i nasycona miseczką owsianki błyskawicznej, zadzwoniła do Greta z zapytaniem, czy pozwoli postawić hondę na ich parkingu.

- Ty mnie nie musisz o to pytać, no, bo to przecież twój kawałek ziemi, ale o co tu chodzi? Znowu jakiś Wiktor się odezwał?

Eliza opowiedziała jej o niespodziewanej wizycie, tłumacząc, że nie chce, aby dociekano, dlaczego ma pod domem dwa samochody. Podjechała pod powozownię. Greta, jeszcze w szlafroku, wychyliła się przez drzwi.

- Zadzwon, jak już pojedą, no - powiedziała.

Mimo wielu czekających ją zajęć Eliza wracała wolno, delektując się rześkim powietrzem poranka. Zerwała po drodze kilka pędów mięty. Włożyła je w domu do wazonu z kolorowego szkła, który podarował jej Larry. Nie widziała swojego męża od czwartku i brakowało go jej do bólu. Musiała jednak przyznać, że w świetle wizyty niespodziewanych gości jego nieobecność stanowiła sprzyjającą okoliczność.

Zabrała się do pieczenia placka. Wstawiwszy go do piekarnika, nakryła stół w jadalni na cztery osoby. Przygotowała kotleciki łososiowe i umieściła je w lodówce, gotowe do usmażenia.

Przebrała się w luźną bawełnianą tunikę, by nie eksponować za bardzo powiększonych piersi. Wsunęła stopy w drewniaki i upięła włosy dość wysoko, z nadzieją osiągnięcia iluzji efektu wyszczuplającego. Jej obrączka i

pierścionek zaręczynowy spoczywały w szkatułce na kominku jeszcze od wizyty u Annie.

Obeszła dom ze szmatką, ścierając tu i ówdzie widoczne ślady kurzu. Schowawszy do szafy stojące przy wieszaku pantofle Larry'ego, wróciła do kuchni. Wyjęła placek z piekarnika i przygotowywała już składniki do sporządzenia polewy, gdy zadzwonił telefon. Adam informował, że powinni być u niej za jakieś dwadzieścia minut. Ostrzegał, że z uwagi na wczesne i bardzo skromne śniadanie przybędą raczej głodni.

- Siedząc za kierownicą, nie powinieneś rozmawiać przez telefon - skarciła go Eliza.

- Jestem na siedzeniu pasażera - odpowiedział. - Grzegorz prowadzi mój samochód.

- Grzegorz? - zdziwiła się.

- Chyba tak ma na imię twój brat - zaśmiał się.

- Nie wiedziałam, że z wami przyjeżdża.

- Przepraszam, Eliza. Widocznie wczoraj zapomniałem o tym wspomnieć. Zajechaliśmy po niego. Przydał mi się na zmiennika za kierownicą - zaśmiał się znowu.

Obecność Grzegorza podawała w wątpliwość uprzednie przypuszczenie Elizy, że chodziło o Terenię. Radar jej niezaspokojonej ciekawości namierzał teraz wszystkie kierunki, poszukując punktów zapalnych. Może, dowiedziawszy się jakimś sposobem, że Eliza jest w ciąży, jej bliscy chcą wyrazić obawy i namówić do aborcji? A może chodzi o coś z przeszłości Larry'ego? Nie, to niemożliwe.

Przecież sami ją zachęcali do tej znajomości. Pewnie Grzesiek chce przekonać ją i Fredę do sprzedaży Ustronia. Dostawiła jeszcze jedno nakrycie i zabrała się do smażenia kotlecików. Kilka minut później Grzegorz parkował przy cyprysach osobowego vana Gryców. Eliza otworzyła drzwi i czekała przy nich, aby powitać swoich gości.

Freda wydawała się jeszcze szczuplejsza, niż gdy Eliza widziała ją przed wyjazdem. Jednak siła jej uścisku chyba na tym nie ucierpiała. Eliza obawiała się, że w swoim goście powitania ciotka wyczuje jej bujniejsze kształty. Freda wypuściła ją jednak z objęć bez komentarza. Za to Terenia, choć przywitała się z nią jedynie ujęciem dłoni, nie omieszkała poczynić uwag w tej materii.

- Dobrze wyglądasz. Widać Ameryka ci służy - wyraziła głośno swoje spostrzeżenie, które mimo grzecznościowej ogłady miało na celu podanie do wiadomości, że pani domu przytyła.

- Prowadzę tu raczej siedzący tryb życia - odrzekła Eliza, przejmując z rąk Tereni pudełko ptasiego mleczka i woreczek cukierków czekoladowych.

Postawiła na stole kilka szklanek do przyniesionego przez Grzegorza piwa. Ona i Adam poprzestali na wodzie gazowanej. Skłamała, że przyjmuje antybiotyki.

Zapytała o przebieg podróży i wrażenia ze spotkania z Benem. Podczas gdy Freda opowiadała z właściwym sobie entuzjazmem, Terenia pozostawała raczej milcząca. Eliza przyjęła to za niedobry znak. Mimo że wszyscy biesiadnicy dobrze się znali, pochwały rybnych kotlecików i zapytania o postępy w spisywaniu historii Ustronia grzęzły w sztucznie utrzymywanej atmosferze poprawności. Było jasne, że goście Elizy przybyli tu z jakąś kłopotliwą misją.

Grzegorz rozpałił w kominku i towarzystwo udało się do salonu. Freda z Terenią usiadły na kanapie. Adam podszedł do Elizy, gdy krzątała się w kuchni.

- Pomogę ci - powiedział. - Co mam zanieść?

Wskazała na tacę z filiżankami. Nim wziął ją ze stołu, pogładził lekko ramię Elizy i zapytał, czy dobrze się czuje. Może jednak wiedział, że była w ciąży. Uśmiechnęła się, skinąwszy głową w odpowiedzi. Poszła za nim do salonu,

niosąc talerz z pokrojonym plackiem. Rozstawiwszy filiżanki z kawą, Adam usiadł przy Tereni. Eliza z Grzegorzem zajęli miejsca w bocznej części kanapy.

- Obie z Terenią mamy ci coś do zakomunikowania - odezwała się Freda. - Zdecydowałyśmy, że będzie lepiej, jak zrobimy to jeszcze przed czwartkowym obiadem, i dlatego tu jesteśmy.

- Może miałybyście ochotę na koniak? Kierowcom nie oferuję, chyba że zostanieie na noc - wtrąciła Eliza w ostatniej próbie kupienia sobie czasu na wykonanie paru uspokajających oddechów. Koniak był przy tym w jej mniemaniu cudownym środkiem do łagodzenia napiętych sytuacji. Tajemnica uspokojenia tkwiła nie tyle w samym alkoholu, ile w etykiecie jego spożywania, a ściślej rzecz biorąc, w geście dłoni złożonych na wypukłym szkle kieliszka niczym w akcie jakiejś modlitewnej prośby. Adam zaoferował, że może prowadzić w drodze powrotnej, gdyby Grzegorz miał ochotę wypić. Nie musiał powtarzać tego dwa razy.

- Rzecz będzie o Waldku, moim bracie - kontynuowała Freda, gdy Eliza wróciła z butelką napoleona i trzema kieliszkami. - Wszyscy wiemy, że był trudnym i raczej skrytym charakterem. Po tym, jak rozwiedli się z Renią, spędzałam z nim sporo czasu i chyba trochę bardziej się otworzył.

Napiła się koniakowi i wzięła głęboki oddech.

- W czasach, gdy mieszkał w Polsce i pracował w urzędzie, wraz ze swoim współpracownikiem mieli nieszczęście natrafić na ogromne nadużycia. Tym współpracownikiem był Karol Gryc, dziadek Adama.

Freda nie powiedziała: „ojciec Tereni” i Eliza wyczuła, że nie było to przypadkowe.

- Osobnik odpowiedzialny za nadużycia był już wtedy ważną postacią na szczeblu partyjnym - kontynuowała Freda. - Waldkowi i Karolowi płacono za milczenie, grożąc utratą życia, gdyby odmówili przyjęcia łapówek i zaczęli sypać. Sprawy wyszły jednak na jaw jakimś innym kanałem, więc potrzebowano kozła ofiarnego. Wybór padł na Karola. Budował dom i to było jak znalazł do poparcia oszczerstwa. Do tego był starszy. Waldek miał maleńkie dzieci.

- Walicka podejrzewała chyba, że to ojciec kradł pieniądze miasta - odezwała się Eliza. - Pewnie dlatego, że wkrótce potem wyjechaliśmy do USA. Wiem, że domagała się od niego jakiejś formy zadośćuczynienia.

- Gdyby rzeczywiście ojciec zagarnął tyle szmalu, byłby na pewno lepiej urządzony - wtrącił Grzegorz. - Kiedy przyjechaliśmy do Filadelfii, tyrał fizycznie, gdzie się dało, zanim porobił kursy z księgowości i zaczął pracować w swoim zawodzie.

- Waldek rzeczywiście czuł się winny, ale jedynie tego, że nie stanął w obronie kolegi - wyznała Freda. - Na nieszczęście doszło do zniszczenia rodziny Karola, a później do jego śmierci. Terenia bardzo to przeżyła. Nie rozumiejąc wtedy całej sytuacji, usiłowała wykreślić z przeszłości wszystko, co miało z nim związek.

Eliza zdała sobie sprawę, że Grzegorz pozostawał jedynym uczestnikiem dzisiejszego zjazdu, który nie był tego świadomy. Jednak samo tylko poinformowanie go o rebeliach Tereni sprzed ponad czterdziestu lat, nawet jeśli miały pośredni związek z osobą Waldemara Mazurka, nie mogło być królikiem, którego Freda zamierzała wyciągnąć z kapelusza.

- Byłam wtedy nastolatką - wtrąciła Terenia ze wzrokiem utkwionym w kieliszek i wszyscy czekali, że powie coś jeszcze. Zamilkła jednak, jak gdyby straciła nagle zdolność mówienia. Freda wróciła do swojej opowieści. - Waldek był

przekonany, że Karola zamordowano i że on też wkrótce podzieli los kolegi. Ukrywał się z rodziną na południu Polski. Miał wrażenie, że go poszukiwano. Opowiedział mi, jak któregoś razu namierzyła go nieznana mu kobieta, twierdząc, że wie o jego udziale w nadużyciach. Umówili się na spotkanie w restauracji w Rzeszowie. Przedstawiła się jako Krystyna Bobek. Udało mu się ją szybko upić i zwabić do hotelu. Gdy usnęła, przeszukał jej torbę. Znalazł tam tylko dowód osobisty, parę ciuchów i trochę pieniędzy. Niemniej to zdarzenie ostatecznie przypieczętowało decyzję o wyjeździe za granicę. Pieniądze otrzymywane za milczenie umożliwiły wyemigrowanie do Ameryki całą rodziną. Może do dzisiaj krążą gdzieś w błędnym kole łapówek - zaśmiała się.

Wyłączywszy swój radar domysłów, Eliza czekała teraz cierpliwie na punkt kulminacyjny. Jak do tej pory tok opowieści utrzymywał się we względnie bezpiecznej odległości od Migdałowego aromatu. Poczula się tym uspokojona.

- Napisałam do Walickiej, prosząc, aby sprawdziła, czy ta Krystyna Bobek figurowała gdzieś w notatkach jej męża - mówiła dalej ciotka Freda - bo, jak wiecie, mecenas Walicki miał reprezentować Karola w sądzie. Ku mojemu zdziwieniu odpisała, że Krysia prowadzi od wielu lat punkt repasacji w sklepiku na parterze kamienicy. Pani Bobek wyparła się wszystkiego przed Walicką, ale gdy napisałam do niej z USA, włożywszy do koperty połowę obiecanego załącznika, odpisała, że za sto złotych pożyczyła kiedyś swój dowód Teresce z drugiego piętra. Gdy następnym razem przyjechałam do Polski, byłam już umówiona z Terenią w Krynicy.

- Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale opowiedziałam wtedy Fredzie to, czego nigdy nikomu nie miałam zamiaru

powiedzieć - przejęła pałeczkę Terenia. - Podjęłam decyzję, że nadszedł czas, abym wyjawiała to i wam.

Wychyliła szybko resztę koniaku. Odczekała, aż Grzegorz skończy podkładać drewno do kominka i usiadł z powrotem na kanapie.

- Byłam wtedy w ostatniej klasie liceum - zaczęła znowu i tym razem płynnie kontynuowała opowieść. - Znalazłam w papierach Walickiej adres Waldemara. Też wtedy myślałam, że był wrogiem mojego ojca; to znaczy, że kradł z nim pieniądze, a potem zwałił na niego całą winę. Napisałam mu anonimowo, że mam materiały dowodowe przeciwko niemu. Skłamałam w domu, że jadę na tygodniowe zimowisko w Bieszczady. Spakowany plecak zostawiłam u koleżanki i pojechałam pociągiem do Rzeszowa. Podróżowałam z pożyczonym dowodem, z którego wynikało, że mam dwadzieścia cztery lata i nazywam się Krystyna Bobek. Umówiliśmy się z Waldemarem w jakiejś restauracji. Nie wiedział, kim naprawdę byłam. Powiedziałam mu, że nie mam przy sobie tych materiałów. Musiał być pewien, że będę go szantażować. Wiedziała, że chciał mnie upić. Nie oponowałam, bo o to mi właśnie chodziło. Chociaż ojciec już nie żył, ciągle nie potrafiłam pozbyć się do niego żalu. Chciałam go pośmiertnie ukarać, żeby cierpiał, patrząc z zaświatów, jak piję wódkę z jego oprawcą. Nie wiem, jak do tego doszło, ale wylądowaliśmy w hotelu, w którym się zatrzymałam. Gdy się rano obudziłam, Waldemara nie było w pokoju, a moja torba zdradzała oznaki przeszukiwania. Nic nie zginęło.

Terenia poprosiła o dolewkę koniaku i zaczęła, aż Grzesiek zadośćuczynił jej życzeniu.

- Adam jest przyrodnim bratem Elizy i Grzegorza - ogłosiła ze wzrokiem utkwionym w zawartość kieliszka. - Przepraszam was, że trzymałam to w tajemnicy.

Postanowiłam, że Waldemar nigdy się o tym nie dowie, więc nie mogłam wyjawić tego za jego życia. Uznałam, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Elizę ogarnęło wrażenie, że położono przed nią nieponumerowane jeszcze kropki i kazano łączyć je ze sobą w jakąś sensowną całość. Grzegorz wstał z kanapy i począł chodzić po pokoju, nerwowo przyglądając włosy. Eliza obawiała się, że za moment powie coś niestosownego. Należał do ludzi, którzy uważali za swój obowiązek natychmiastowe werbalizowanie wszystkich odczuć i opinii. Może był to rezultat wpływu Waldemara Mazurka. Na szczęście przeprosił wszystkich i poszedł do łazienki. Adam usiadł na jego miejscu obok Elizy. Objęła go, dziwiąc się sobie, że nie uroniła dotąd ani jednej łzy. Martwiła się o Grzegorza. Był dużo silniej związany z ojcem. Na pewno przeżywał teraz ogromne emocje i chciał to czynić na osobności.

- Może to nie zabrzmie właściwie - odezwał się Grzegorz, wróciwszy do salonu, - ale w sytuacji, kiedy moja siostra dzieliła mieszkanie z Adamem, teoretycznie mogło dojść do przykrych konsekwencji. Czy nikt wtedy o tym nie pomyślał?

Usiadł na krześle, które przeniósł od stolika karcianego w pobliże kominka. Jego podenerwowanie było wciąż wyczuwalne. Nie ulegało wątpliwości, że stawał w obronie siostry. Mimo zażenowania Eliza była mu wdzięczna i na swój sposób dumna z odkrytej w drodze tej niecodziennej okoliczności czulej strony swojego brata.

- Nie było takiego niebezpieczeństwa, Grzesiu - Freda zaczęła odpowiedź trochę ciszej niż zwykle. - Elizę i Adasia dzieliła dość bezpieczna różnica wieku, miesali swoje własne sympatie i było oczywiste, że pozostawali jedynie przyjaciółmi. Mimo tego poinformowałyśmy Walicką i wspólnie z nią trzymałyśmy rękę na pulsie. Przepisałam na Adama swój udział we własności Ustronia - dodała po chwili,

nie siląc się ani na wstęp, ani na uzasadniający jej decyzję komentarz.

Uodpornieni już widocznie na niespodzianki i przywykli do tego, że Freda na ogół nie tłumaczy się ze swoich decyzji, zebrani zareagowali jedynie krótkim pomrukiem. Eliza podeszła do Grzegorza i położyła obie dłonie na jego ramionach. Poklepał lekko jedną z nich.

Zmiana czasu, niewygody podróży i emocje dzisiejszego spotkania sprawiły, że Terenia i Freda poczuły się bardzo zmęczone. Eliza zaproponowała, aby odpoczęły w pokoju Helenki.

- Co teraz czujesz? - zapytał Adam, gdy wyszły.

- Czuję, że musimy dopisać dalszy ciąg Migdałowego aromatu - zaśmiała się.

- A propos, zrobiłaś mi ogromną przyjemność plackiem migdałowym.

- Zapakuję ci resztę.

- Czy świadomość, że jesteśmy spokrewnieni, zmieni coś w twoim życiu? - spytał z wyczuwalnym wzruszeniem.

- Larry przestanie być o ciebie zazdrosny - zaśmiała się znowu.

- Nigdy nie mówiłaś mi, że był.

- Poza tym i tak miałam cię za duchowego brata już od naszego pierwszego spotkania - powiedziała, dyplomatycznie oddalając się od tematu Larry'ego.

- Ach tak? Czym sobie na tę godność zasłużyłem?

- Bułkami z szynką i sałatką z pomidorów.

Śmiali się razem głośno, gdy wszedł Grzegorz z filiżanką w ręku.

- Gdzie są ciotki? - zapytał.

- Pani Terenia nie jest twoją ciotką - upomniała go Eliza. - Poszły odpocząć - dodała za chwilę dość chłodno.

- A właściwie to kim jest teraz dla was moja mama? - spytał Adam, łagodząc niepożądany zgrzyt subtelnym przejawem solidarności z Grzegorzem.

- Macochą - odparł Grzegorz lekko pytającym tonem, patrząc z wyczekiwaniem na Elizę i Adama.

Zaśmiali się jednocześnie, jakby sobie tylko znanym sposobem porozumiewania, do którego nie potrzebowali słów. Może było to sprawą genów, a może cenną pamiątką ich wieloletniej przyjaźni.

- Też powinieneś odpocząć, Adaś. Możesz położyć się w pokoju ojca - wtrąciła Eliza, nie zdając sobie sprawy, że zabrzmiało to niewłaściwie.

- Może lepiej zrobię to w pokoju Giny. Mówiłaś, że przeniosłaś tam kanapę z gościnnego.

- Przepraszam - zreflektowała się. - Jakoś trudno mi jeszcze wszystko pokojarzyć.

- Nie martw się, mnie też. Może więc przytulenie się do poduszki pana Waldemara odłożę na inny raz - zaśmiał się i poprosił, aby obudzili go za godzinę, gdyby sam nie wstał do tej pory.

- No to Terenia zrzuciła nam bombę. Miałaś jednego brata, a teraz masz dwóch - odezwał się Grzegorz z nowym cieniem goryczy w głosie, gdy zostali w pokoju sami.

- Właściwie to jednego i pół, ale ty nadal masz tylko jedną siostrę - odpowiedziała żartobliwie.

- Widzę, że ciebie to bawi. Ja natomiast czuję się raczej przybity. Co mam teraz powiedzieć dzieciakom? Że mają nowego wujka, bo ich dziadek upił kiedyś małolatę i przeleciał ją w jakimś podrzędnym hotelu, kiedy jego żona siedziała w domu z dwójką dzieci?

- Wiesz dobrze, że oszczędzisz im takich detali. Może powinieneś oszczędzić ich i sobie. Po czterdziestu paru latach

dowiedzieliśmy się, że nasz ojciec jest też ojcem naszego przyjaciela. Dla mnie to jest bardziej zabawne niż tragiczne.

- Chyba mylisz pojęcia, Eliza. Dla mnie słowo „ojciec” coś znaczy, chociażby tylko obecność w moim życiu. W tym kontekście Waldemar Mazurek nie jest ojcem Adama i nigdy nie był. Ojcem Adama jest jakiś plemnik z jego spermy. To wszystko.

Eliza patrzyła na brata z niepokojem. Bardziej niż kiedykolwiek Grzegorz przypominał jej teraz Waldemara. Nie ulegało wątpliwości, że została wyciągnięta zawleczka granatu jego sarkazmu i trzeba było wprawnej ręki, żeby zapobiec eksplozji. Żałowała, że nie przyjechał tu z Barbarą. Czowała się w obowiązku, by przejąć tę rolę.

- Kayla i Kevin wiedzą, że ich dziadkowie byli rozwiedzeni - zaczęła. - Wystarczy im powiedzieć, że dziadek prowadził podwójne życie i w tym drugim życiu miał biologicznego syna, o którym nie wiedział. Teraz nie chodzi o przeszłość, Greg. Musimy pogodzić się z faktami i zrobić dla nich miejsce w naszej przyszłości.

Gdy Eliza pozmywała naczynia i przyszła do salonu, Grzegorz spał na kanapie. Przykryła go szydełkową narzutą i wróciła do kuchni.

Między paskami żaluzji okna kuchennego przemknęła sylwetka zielonkawego subaru Roberta. Pospieszyła do drzwi i wyszła na zewnątrz. Samochód zniknął już z pola widzenia, a Larry z torbą w ręce zmierzał w kierunku domu. Zbiegła w dół rampy i gdy spotkali się u jej podstawy, wtuliła się pod jego rozpiętą kurtkę. Postawił torbę na ziemi i uniósł dłonią podbródek Elizy. Nie była pewna, czy uczynił to, żeby mogła napotkać jego spojrzenie, czy dlatego, by objąć ustami jej wargi. I jedno, i drugie odbywało się na przemian bez słów, bez zapytań, bez respektu dla chłodu jesiennego popołudnia i w zapomnieniu o drzemiących w czterech ścianach Ustronia

gościach. Palce Larry'ego błędziły teraz w jej włosach w poszukiwaniu metalowej zapinki. Słyszała, jak spadła z brzękiem na rampę.

- Mam w domu czwórkę gości z Nowego Jorku i Filadelfii - uprzedziła Larry'ego.

- Myślałem, że zaprosiłaś ich na Święto Dziękczynienia.

- Postanowili zrobić mi niespodziankę - powiedziała - ale wkrótce wracają. Teraz położyli się na odpoczynek. Tęskniłeś za mną? - zapytała, gdy weszli z przedsiionka do sypialni.

- Z tęsknoty wyłem po nocy z wilkami - powiedział.

- Larry, odłóżmy to na później - zaprotestowała, gdy począł rozpinać suwak jej spodni.

- Jeśli mi nie pozwolisz, będę znowu wył.

- W takim razie musisz wyć bardzo cicho - odrzekła, kładąc palce na jego ustach.

Przygryzł je lekko, zapewniając, że przekręcił zamek w drzwiach sypialni i Eliza uległa w końcu jego prośbom.

- Masz coś do zjedzenia? Jestem bardzo głodny - oznajmił po wszystkim, delikatnie gryząc brzeg jej ucha.

- Zrobiłeś się okrutnie drapieżny w tym lesie - zaśmiała się. - Pamiętaj, że nie jestem w ciąży i nie jestem twoją żoną - dodała.

- Bardzo dobrze mi się z tobą cudzołożyło - powiedział, klepnąwszy ją lekko po ubranych już pośladkach.

Poszli do kuchni. W domu panowała głucha cisza. Eliza odetchnęła z ulgą. Nie wspomniała o celu wizyty swoich gości. Rzucenie niespodzianki tego kalibru wymagało właściwego momentu.

- Upolowaliście coś? - zapytała.

- Ja nie miałem szczęścia, ale Ed i Bobby ustrzelili wczoraj po jednej sarnie.

- A co z indykiem?

- Indyka mam, a nawet dwa. Kupiłem je po drodze na farmie.

Eliza wstała od stołu i przeciągnęła ręką po nieogolonym policzku męża. Pochwycił ją na kolana. Zerwała się na skrzypnięcie kuchennych drzwi, w których ukazała się ciotka Freda.

- Czy miałaś okazję kiedyś poznać Larry'ego Harrisa, ciociu? - zapytała ją Eliza po angielsku, poprawiając rozwichrzone włosy.

Postawiwszy piwo na stole, Eliza przeprosiła na moment Larry'ego i skinęła na ciotkę, aby wyszła za nią do przedsiionka.

- Proszę, nie mów Larry'emu o tej nowinie. Poinformuj go w swoim czasie. Gdyby Grzesiek próbował to zrobić, kopnij go w moim imieniu w kostkę - powiedziała.

- Eliza, jesteś pewna, że Larry nie jest żonaty? - szepnęła Freda nerwowo.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Widziałam, że nosi obrączkę.

- Nie martw się, ciociu, po Wiktorze jestem już bardzo ostrożna - odrzekła wymijająco.

- Przepraszam, ale mówię to wszystko, bo te czułości przy stole z ostrożnością nie miały za wiele wspólnego.

- Dobrze, idź dotrzymać mu towarzystwa - szepnęła Eliza.

- Pójdę zbudzić Adama - powiedziała, gdy weszły do kuchni.

Adam już nie spał. Wystukiwał tekst na swoim smartfonie.

- Jak Marlena przyjęła niespodziankę? - zapytała Eliza.

- Oboje z Marleną dorastaliśmy, nie widując biologicznych ojców, więc przez to chyba odebraliśmy to trochę inaczej niż ty i Grzesiek. I dla mnie, i dla niej zawsze byłaś jak siostra.

Emocje teraz dopiero dosięgły Elizę. Otarła mokre oczy rękawem tuniki.

- Larry jest tutaj - powiedziała, zmieniając temat. - Właśnie wrócili z Robertem z polowania. Będziemy mieli sarninę na czwartek. Proszę, nie zdradź mu tylko powodu waszej wizyty. Chcę powiedzieć mu o tym sama.

Adam uśmiechnął się i uściśnął lekko jej rękę.

- Pójdę ściągnąć z łóżka mamę - oświadczył po chwili, spoglądając na zegarek. - Budzenie się nigdy nie było jej mocną stroną.

Eliza zaczekała na nich w salonie.

- Podjęła pani właściwą decyzję, pani Tereniu - powiedziała, gdy Adam poszedł do łazienki. - Jestem naprawdę dumna z tego, że będę mogła nazywać Adama bratem.

- To dzięki twojej ciotce Fredzie. Sama nigdy bym się na to nie zdobyła. Zajęło jej co prawda trzydzieści lat, aby mnie do tego namówić, ale dopięła swego - zaśmiała się. - Też powinnaś mnie chyba teraz nazywać ciotką, bo nie wiem, jak wypadaloby inaczej.

- Może powinnam ci mówić po imieniu? Nie ma przecież między nami jakiejś drastycznej różnicy wieku.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała Terenia wyraźnie ucieszona. - Ja i tak zawsze zwracałam się do ciebie w ten sposób. Nie masz do mnie żalu o to zajście w hotelu? - zapytała niespodziewanie.

- To jest teraz dla mnie bez znaczenia - odrzekła Eliza.

Gdy Adam wrócił, poszli do kuchni. Towarzystwo przy stole, powiększone o Grzegorza, delektowało się smakiem przywiezionego przez niego polskiego piwa. Terenię zapoznano z Larrym, uprzedzając, że kobieta nie mówi po angielsku.

- Musimy już wyruszać, robi się późno - oznajmił Adam, spojrzawszy na kuchenny zegar, którego wskazówki oznajmiały czwartą po południu.

- Dziwię się, że jeszcze nie pozbyłaś się tego kiczu - powiedział Grzegorz, wskazując na zegar. - Nigdy przedtem nie widziałem czegoś tak totalnie idiotycznego. Ciekaw jestem, w jakim stanie upojenia musiał być ktoś, komu mógł przyjść do głowy podobny pomysł.

- Twoje zdziwienie jest nieuzasadnione, mój drogi. Na przekór temu, co mówisz, uważam ten zegar za przeuroczy. Odmienność czyni rzeczy interesującymi - odparła Eliza.

- To samo dotyczy ludzi - wtrącił Larry, posyłając jej ledwo zauważalną namiastkę swojego szelmowskiego uśmiechu.

Eliza czuła, że mierzył ją wzrokiem. Miała nadzieję, że nie spostrzegli tego jej goście, intensywnie mobilizowani do wyjścia przypomnieniami Adama o czekającej ich kilkugodzinnej podróży.

- Barbie prosiła, abym ci przekazał, że na czwartkowy obiad przywiezie słodkie ziemniaki z rozmarynem - powiedział Grzegorz, gdy Eliza obejmowała go na pożegnanie.

Przyjęła to za przejaw powrotu do normalności i gdy odjechali, od razu zabrała się do sprzątanía pozostałości biesiady. Larry ujął jej nadgarstek. Znalazła się na kolanach męża.

- Zrobimy to później - powiedział. - Wyglądasz na zmęczoną. Mnie też chyba dosięgło niedospanie. Proponuję regeneracyjną drzemkę. Przyrzekam, że nie będę drapieźny.

- Nie mam podstaw, by ci wierzyć, ale chętnie padnę na łóżko, nawet z drapieźnikiem.

Obudziła się tuż przed szóstą, z uczuciem głodu. Przez moment nie była pewna, czy był to wieczór, czy poranek. W listopadzie żadna z tych pór dnia nie była w łasce słonecznego światła.

W końcu zdała sobie sprawę, że skoro leżała na łóżku w ubraniu, to chyba musiał być wieczór. Przez otwarte drzwi sypialni dochodził ją z jadalni głos Larry'ego. Wstała i podążyła w tym kierunku.

Zamawiał przez telefon pizzę z dostawą. Jadalnia i kuchnia były już uprzątnięte. W kominku znowu palił się ogień.

Nakryła ponownie mały stolik w salonie. Gdy przy nim usiedli, oszukała chwilowo głód szklanką wody gazowanej.

- Dlaczego Adam przyjechał bez żony? - zapytał Larry. - Ich samochód może przecież pomieścić siedem osób.

- Być może nie mogła albo nie chciała przyjechać. Nie pytałam.

- Długo zajęło ci budzenie twojego przyjaciela. Poza tym chyba wypadałoby, żeby zrobiła to twoja ciotka Freda.

- To dlatego nie mogłeś spać? - zaśmiała się, mimo że poczuła w sobie iskrę złości.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Larry poszedł odebrać dostarczoną przed czasem pizzę. Zajęci jedzeniem nie wrócili od razu do przerwanej rozmowy. Skonsumowanie dwóch kawałków wprawiło Elizę w lepszy nastrój.

- Panie Harris, jest pan okrutnie, lecz zupełnie bezpodstawnie zazdrosny o swoją żonę - powiedziała żartobliwie, ocierając usta papierową serwetką.

- Zgadzam się z „okrutnie”, lecz kwestionuję „bezpodstawnie” - odrzekł.

- Adam jest moim bratem - wypaliła, nie mając pod ręką lepszego sposobu obrony swojego argumentu.

- Z tego, co mi wiadomo, twój brat ma na imię Gregory.

- Adam jest moim przyrodnim bratem, Larry.

Powiedziała to ze spokojem, śledząc jego reakcję. Wstał z kanapy i poszedł w kierunku kuchni, zabierając ze sobą talerze

i pudełko z resztką pizzy. Pojawił się dopiero po jakimś czasie z naręczem drewna.

- Mogłaś powiedzieć mi o tym wcześniej - odezwał się. - Wyszedłem na idiotę - dodał z wyraźnym rozgoryczeniem.

- Bo nie pozwoliłeś mi dokończyć. Nie mówiąc już o tym, że byłeś uszczypliwy.

Ściągnął sweter, usiadł obok niej na kanapie i pozwolił, by wtuliła twarz w jego szyję.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

- Bo znowu zachowujesz się, jak gdybym była twoim wrogiem. Będiesz wychodził na idiotę, jeśli nie dotrze do ciebie, że zrobienie ci przykrości nie jest moim zamiarem. Nie wchodzi w rachubę. Rozumiesz?

Larry przytulił ją mocniej zamiast odpowiedzi. Wtedy zdała mu szczegółową relację z przebiegu dzisiejszej wizyty swoich gości.

- Niesamowita historia - powiedział. - Rzeczywiście zachowałem się jak idiota i na koniec jeszcze zepsułem ci nastrój. Przepraszam, kochanie - dodał, odgarniając włosy z jej czoła.

- Wybierzmy się jutro nad ocean - zaproponowała.

Rozdział XX

Wodne terapie

Dom w małej uliczce przy plaży oczekiwał ich cierpliwie w letargicznym półśnie późnej jesieni, ukołyszany miarowym pomrukiem szaro - białych fal. Eliza spostrzegła z niejaką ulgą, że na parkingu Parkerów nie było samochodu. Zmieniła szybko czarne czółenka na sznurowane adidas. Spacer brzegiem oceanu odczuwała niemal jako duchowy obowiązek, rodzaj terapii przywracającej wewnętrzną równowagę. Idąc, podziwiali z Larrym wysokie grzbiety fal zaczynającego się przyływu i wymyślne kształty rozdmuchanych wiatrem chmur.

Gdy nadeszła pora lunchu, Eliza przejrzała kuchenne szafki i znalazła kilka puszek tego i owego. Stanowiło to wystarczający, jej zdaniem, materiał wyjściowy do wyczarowania posiłku. Wyjęła z szuflady paczkę chrupkiego pieczywa, na którym zaplanowała zrobić kanapki z pasztetem drobiowym i marynowaną papryką. Przeląła do garnka dwie puszki zupy jarzynowej i postawiła na kuchence, aby się podgrzewała.

- Jesteś wspaniałą i bardzo praktyczną panią domu - pochwalił ją Larry.

Napełnił miseczki nagrzaną zupą i ustawił na stole.

- Jak na razie tylko otwieram konserwy - zaśmiała się.

Postanowili wypić kawę na werandzie. Wciąż było ciepło i poza lekkimi podmuchami, jakie niosły ze sobą grzywiaste fale, prawie bezwietrznie.

- Zach dzwonił pod twoją nieobecność - odezwała się Eliza, spoglądając w kierunku posesji Parkerów.

- Zach? Czego on znowu od nas chciał?

- Nie od nas, ale ode mnie - powiedziała, pociągając długi łyk z filizanki.

Opowiedziała mu o przebiegu rozmowy, pomijając niepoprawny komentarz Zacha co do zamożności Harrisów.

- Co mu odpowiedziałaś? - zapytał.

- Odłożyłam słuchawkę, gdy zrobił się zbyt natrętny.

- Mam wrażenie, że nie powiedziałaś mi wszystkiego. Jeśli czynił ci jakieś niestosowne propozycje, powinienem o tym wiedzieć.

- Zach stwierdził, że Harrisowie siedzą na pieniądzech pochodzących z jakiegoś wielkiego odszkodowania. Larry, cokolwiek za tym stoi, nie ma dla mnie znaczenia, rozumiesz? Wkurzyło mnie tylko, że w ogóle śmiał dotykać tego tematu. Odpowiedziałam mu, aby nie zapominał, że ja też jestem jedną z was.

Spodziewała się, że Larry powie jej teraz coś więcej na temat odszkodowania, a przynajmniej potwierdzi prawdziwość tej informacji lub jej zaprzeczy.

- Czy już ci dzisiaj mówiłem, że jesteś cudowna? - zapytał tylko. Gdy wracali do Ustronia, zapadał już zmierzch i temperatura poczęła gwałtownie spadać. Samochodowy termometr wskazywał czterdzieści pięć stopni Fahrenheita.

- To tylko siedem stopni Celsjusza - oznajmił Larry.

- Musisz być dobry z matematyki. Ja nie potrafiłabym tak szybko przeliczyć.

- Wcale nie jestem dobry w liczeniu. Patrzyłem niedawno na tabelkę i zarejestrowała mi się w wyobraźni.

- Mógłbyś teraz ją namalować - zaśmiała się.

- Daruję sobie tabelkę, ale mam straszną ochotę namalować moją żonę w każdym trymestrze ciąży - powiedział, odrywając dłoń od kierownicy, by dotknąć kolana Elizy.

- Chciałbym spędzić trochę czasu w pracowni - powiedział Larry, spoglądając na zegarek. - Muszę też wyjąć z zamrażalnika sarninę i przełożyć do lodówki, żeby się powoli

rozmrażała. Bobby przyjdzie jutro robić z niej gulasz. Greta nie chce, aby zabierał jej tym miejsce w kuchni i chyba za bardzo nie lubi zapachu dziczyzny.

- A indyki?

- Jednego wzięła już Greta. Jutro wieczorem natrę naszego przyprawami. Co sugerujesz oprócz mielonego pieprzu?

- Zdecydowanie curry i czosnek. Zrobię to tuż przed pieczeniem.

- Wszystko będzie zgodnie z wolą mojej żony - powiedział, całując ją w policzek na pożegnanie.

Zadzwoiła Greta, oferując pomoc w sprzątaniu. Eliza nie zdążyła jeszcze wyłożyć wszystkich racji przemawiających za tym, że powinna sama dbać o swój dom, gdy odezwał się dzwonek u drzwi.

- Nie bój się, to ja, no - zaśmiała się Greta w słuchawkę. Rozłączyła się, gdy Eliza wpuściła ją do domu.

- Ja odkurzam podłogi, a ty zlewy możesz pomyć i lustra wyczyścić, ale tego kryształowego w westybulu to nie dotykaj, no.

Było jasne, że Greta nie miała zamiaru ustąpić pola walki. Jeśli szło o utrzymanie czystości Ustronia, najwyraźniej nadal czuła się jego gospodynią.

Po dwóch godzinach pracy Eliza była gotowa na lunch.

- Adam okazał się moim przyrodnim bratem - rzuciła przy stole bez żadnego wstępu.

Greta skinęła głową, wygrzebując z potrawy i odkładając na bok talerza plasterki kasztanów, za którymi najwidoczniej nie przepadała.

- No ty, Eliza, nie gniewaj się, że Larry wspomniał o tym Robertowi bez twojego pozwolenia - powiedziała z właściwą sobie szczerością, która w ustach kogokolwiek innego mogłaby być wzięta za nietakt. - On i Robert to też jak bracia i

wszystko sobie mówio, no. Robert mały był jeszcze, kiedy Larry zaczął chodzić z jego siostrą. Później, jak Jane odeszła do tego swojego Martina, Robert bardzo to przeżywał. Kiedy Larry wrócił w rodzinne strony, dorabiał jako ratownik i Roberta też na kurs namówił, gdy ten tylko piętnaście lat skończył. No to potem znowu bliscy sobie byli.

Eliza postawiła na stole kubki z kawą, przepraszając, że nie ma tym razem żadnego ciasta. Resztkę migdałowego placka podarowała Adamowi.

- Ile ci jestem winna za dzisiaj? - zapytała Eliza, gdy Greta skończyła sprzątanie.

- Nic nie jesteś winna. Twój mąż już za wszystko zapłacił z góry.

Nieoczekiwany chłód formalności tej wymiany zdań wywołał z głębi duszy Elizy uczucie podobne wyrzutom sumienia. Chciała, aby Greta pozostawała jej bliska emocjonalnie i towarzysko. Larry i Robert funkcjonowali w dobrze wyważonej przyjaźni pomimo różnicy wieku i zależności finansowej. Roszczenia Greta do podobnej roli nie zawsze wypadały najlepiej i Eliza zdawała sobie sprawę, że nie była w tym zupełnie bez winy.

Gdy wanna napełniała się wodą, Eliza wykonała kilka łatwych ćwiczeń na macie. Dołała też do kąpieli olejku lawendowego. Potrzebowała takiej aromatycznej wodnej terapii. Zregenerowana i odświeżona zajęła się gotowaniem obiadu. Włączyła radio. Zapowiadane na czwartek znaczne ocieplenie i przelotne opady nie były wymarzoną scenerią na Święto Dziękczynienia, które zawsze kojarzyło się Elizie z przedsmakiem zimy.

Tuż przed szóstą zajechała przed dom Harrisów. Larry musiał zauważyć światła samochodu, bo stał już w otwartych drzwiach, gdy wchodziła na schodki. Odebrał od niej torbę z

zapakowanym w plastikowe pojemniki obiadem i postawił na nakrytym do posiłku kuchennym stole.

- Kiedy się w tobie zakochałem, nie miałem jeszcze pojęcia, że tak wspaniale gotujesz - powiedział, biorąc dokładkę zasmażanej kapusty.

- Czy gdybyś wiedział, zakochałbyś się we mnie jeszcze bardziej?

- Bardziej już nie można. Wszystkie zmysły mam tobą przepełnione, nawet receptory smakowe.

- Jaka jestem: słodka, słona, kwaśna czy gorzka? - Jesteś wielosmakowa - roześmiał się.

- Czy to twoje? - spytała, wskazując na leżące na stole nieznanne jej klucze. Nie wyglądały na samochodowe.

- Terry napisał do mnie maila z prośbą o nakarmienie dziś wieczorem ich kota. Wracają dopiero jutro. Do tej pory zajmował się tym jego brat, ale dzisiaj też gdzieś wyjeżdża. Zgodziłem się i brat Terry'ego podrzucił mi klucze.

Zaraz po obiedzie pojechali nakarmić kota Mercerów. W porównaniu z Ustroniem czy nawet rezydencją Harrisów ich dom wydawał się raczej niewielki. Kocie miseczki stały w odchodzącym od kuchni korytarzu, na którego drugim końcu znajdowały się oszklone, rozsuwane drzwi. Pomimo panującej za nimi ciemności z lekkiego zapachu chloru Eliza wnioskowała, że prowadziły do basenu. Zbliżyła się do drzwi i choć nie widziała jeszcze wody, czuła jej obecność jakimś dodatkowym zmysłem, który wiódł ją w tę stronę niczym zbłąkanego żółwia.

- Terry chce wytrenować swoje obie córki na olimpijki. On i jego żona sami podobno mieli w przeszłości niezłe osiągnięcia - poinformował Larry, otwierając szklane drzwi. Zapalił światło i Eliza zbliżyła się do niezbyt szerokiego, lecz za to długiego basenu otoczonego wyłożonymi glazurą ścianami i oszklonym sufitem.

- Super - wyszeptała, zapatrzona w jasnozielone dno.
- Terry zapraszał do skorzystania. Wie, że uwielbiasz wodę.

- Gdybyś powiedział mi wcześniej, wzięłabym strój kąpielowy - odrzekła z lekkim wyrzutem.

- Nie potrzebujesz żadnego stroju. Jesteśmy tu tylko ze Stellą. Z kotką - dodał, gdy Eliza spojrzała na niego zdziwiona.

Przykucnęła i sprawdziła ręką temperaturę wody. Była chłodna. Taką lubiła najbardziej.

- Popływasz ze mną? - zapytała.

- Nie jestem taki dobry jak ty.

- Oszukujesz. Musisz być dobry. Byłeś ratownikiem.

- Skąd wiesz?

- Przeprowadziłam śledztwo - zaśmiała się, zdejmując bluzkę.

Usiadła na krzeselku, aby zdjąć obuwie i dzinsy. Gdy Larry przyniósł z półki dwa złożone w kostkę ręczniki, stała już na brzegu w przezroczystej i bardzo skąpej bieliźnie.

Skoczyła do wody, nim zdążył pochwycić ją dla siebie. Wynurzyła się dopiero w bezpiecznej odległości. Przemierzywszy całą długość basenu, zatrzymała się przy drabince na przeciwnym krańcu zanurzona po szyję w wodzie. Patrząc, jak Larry płynął w jej kierunku, obserwowała jego skoordynowane stylowe ruchy.

- Chcesz kochać się ze mną w basenie? - zapytał z filuternym uśmiechem, gdy nagle przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Och, nie. Przyszło mi tylko na myśl, że Mercerowie mogą tu mieć kamery.

- Nie przejmuj się. Terry i tak widział już twoje wdzięki - zaśmiał się Larry.

- To wcale nie jest pocieszające.

Zaśmiał się znowu i pocałował jej lekko posiniąle od chłodu usta. Popłynęli z powrotem obok siebie. W połowie drogi Larry zniknął pod powierzchnią wody. Wiedziała, że oglądał ją z dna basenu.

Nie było jeszcze późno, gdy wrócili do domu Harrisów. Eliza nastawiła wodę na herbatę. Larry poszedł na górę i wrócił przebrany w suche bokserki i koszulkę.

- Chciałbym, abyś pozowała mi dzisiaj w pracowni - zaczął, wyciskając nad kubkiem torebkę earl grey z resztek tkwiącej w niej jeszcze aromatycznej esencji.

- Mówiłeś, że możesz malować mnie z pamięci - zakwestionowała kokieteryjnie jego niedopowiedzianą propozycję.

- Mogę, ale to nie będzie tak przyjemne, jak malowanie z natury. Włączyłem na górze przenośny piecyk, żebyś nie zmarzła.

Z głośników na poddaszu płynęła cicha muzyka fortepianowa. Na podłodze leżały dwie owcze skóry i duża, ozdobna poduszka, a w pobliżu stał wazon z co najmniej dwoma tuzinami róż w kilku odcieniach czerwieni.

- Nabyłem te skóry, jak jeździliśmy na polowanie - poinformował Larry, zanim Eliza zdążyła o nie spytać.

- Wygląda na to, że trudniłeś się tam raczej handlem niż łowiectwem - zaśmiała się. - Co mam teraz zrobić? - zapytała po chwili.

- Dać mi się rozebrać - odrzekł, rozpinając zamek jej dżinsów. - Masz przecież pozować do aktu.

- Zawsze sam rozbierałeś swoje modelki?

- Tylko te, które były moimi żonami.

Bluzka Elizy była wystarczająco obszerna i elastyczna, aby Larry mógł ściągnąć ją przez głowę bez rozpinania. Uniósłszy swoją żonę, położył ją na przygotowanym pościeliu. Oddalił się i usiadł przy sztaludze. Eliza założyła ramiona za

głowę, uwydatniając jeszcze bardziej powiększone ciążą piersi. Widziała, jak Larry zdejmował koszulkę i wydawało jej się, że robił to w dziwnie zwolnionym tempie.

- Jesteś cudowny - wyszeptała w zachwycie.

Miała wrażenie, że nie był to jej głos, a jej ciało nie było jej ciałem. Wszystko należało teraz do Larry'ego Harrisa i czuła się z tym niebiańsko dobrze. Musiała zapaść w sen. Gdy otworzyła oczy, mężczyzna jej życia spoczywał obok niej w przyciemnionym świetle.

- Skończyłem szkic - powiedział, ogarniając wzrokiem jej nagość.

- Chciałabym pożyczyć na czwartek trochę talerzy i sztućców - powiedziała, wertując kuchenne szafki Harrisów. - Nie muszą być od kompletu.

- Pożyczyć? To są teraz twoje rzeczy, droga pani Harris - zaśmiał się Larry. - Możesz nimi dowolnie dysponować. Myślę, że zamiast przypadkowych talerzy byłoby lepiej wziąć cały serwis z jadalni.

- Nie mogę po prostu zabierać rodzinnych przedmiotów z tego domu, Larry. Nie sądzisz, że Nicole i Marcus mogą ich kiedyś potrzebować?

Larry dopił resztę kawy i podniósł się z krzesła.

- Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę. Poprowadził ją za sobą do jednej z dwóch znajdujących się na parterze sypialni. Zdjął ze ściany owalne lustro w wiśniowej oprawie. Mieściły się za nim drzwiczki do niewielkiego sejfu.

- Kombinacją jest rok podpisania Deklaracji niepodległości - powiedział, prosząc, by wybrała numery na tarczy.

- Robisz mi sprawdzian ze znajomości historii? - zażartowała, wykręcając kolejno jedynekę, dwie siódemki i szóstkę.

Drzwiczki puściły. Larry wyjął z dna sejfu dwie żółte koperty. Na jednej z nich widniało imię Nicole, a na drugiej Marcusa.

- Chciałbym, abyś wiedziała, że tutaj są - poinformował i chociaż nie powiedział „na wypadek, gdyby mi się coś stało”, Eliza wyczuła, że to właśnie miał na myśli.

Larry musiał zauważyć, że spojrzała na leżący obok spory plik banknotów.

- To jest nasza podręczna gotówka - wyjaśnił krótko, po czym zamknął drzwiczki, zakrywając je lustrem. - Mam ochotę zapalić papierosa. Może wyszlibyśmy przed dom? Wierz mi, nie będziesz potrzebowała kurtki - powiedział, gdy po nią sięgnęła.

Usiedli na przeciwnych krańcach nagrzanym porannym słońcem schodków. Larry zaciągnął się dymem. Przypuszczała, że zbierał teraz myśli, aby powiedzieć jej coś więcej o zawartości kopert. Z jakiegoś powodu nie przychodziło mu to łatwo.

- Mówiłem ci kiedyś, że Nicky i Marcus mają własne fundusze przeznaczone na życiowy start - zaczął jednak po chwili ciszy, w której więcej niż raz zaciągnął się dymem. - Miałem z tobą o tym rozmawiać, ale gdy okazało się, że będziemy mieli dziecko, musiałem przekalkulować pewne rzeczy. Słyszałaś już pogłoski o milionach, które przyznano nam po śmierci Brendy - powiedział z wyczuwalną ironią. - Tych milionów było dokładnie jeden i pół. W kopertach, które ci pokazałem, są papiery wartościowe na pięćset tysięcy każdy, które Nicole i Marcus będą mogli zrealizować w listopadzie przyszłego roku. Chciałbym powiedzieć im o tym trzydziestego grudnia.

- W moje czterdzieste ósme urodziny? - zaśmiała się.

- Tak się składa, że będzie to też dziesiąta rocznica śmierci ich matki - odpowiedział.

Eliza poczuła się niezręcznie. Larry zgasił niedopalonego jeszcze do końca papierosa i przesiadł się na jej stronę schodków.

- Pozostałe pięćset tysięcy miało pokryć koszty wychowania i wykształcenia dzieci - kontynuował po chwili. - Zainwestowałem je w podobny sposób. Nie było potrzeby, abym czerpał z tego źródła. Stać mnie było na zapewnienie Marcusowi i Nicole wszystkiego, czego potrzebowali.

- Tego, co im zapewniałeś, nie da się przeliczyć na żadne, najbardziej nawet wartościowe papiery, Larry - odrzekła Eliza.

Czuła już wilgoć pod powiekami i żałowała, że nie miała w kieszeni chusteczki. Oparła głowę na ramieniu męża i pozwoliła mu obetrzeć spływającą po policzku łzę.

- Chciałbym zapisać te pieniądze naszemu dziecku - powiedział. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że nie mogłabym wybrać lepszego mężczyzny na jego ojca. To jest, gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia - uśmiechnęła się, ocierając kolejną łzę.

Eliza wróciła do Ustronia późnym popołudniem z bagażnikiem pełnym zakupów. Pod domem stała honda Larry'ego. Gdy pownosił do domu papierowe torby, Eliza rozłożyła na posadzce przedsiionka niewielki, lecz bynajmniej też i nietani ośmiokątny dywan w tureckie wzory. Wiedziała, że wuj Henryk byłby zadowolony z jej wyboru.

- Chciałbym, aby ten wieczór był tylko nasz - powiedział Larry przy obiedzie, serwując grillowane steki. - Reszta tygodnia zapowiada się raczej tłumnie.

- Zauważyłam, że tłum gości w domu nie stanowi dla ciebie większej przeszkody - zażartowała Eliza.

Larry zaśmiał się i podał jej butelkę zimnego sosu. Polała stek aromatyczną, ciemnobrązową zawiesiną.

- Smakowało ci? - zapytał, gdy na ich talerzach pozostały tylko kości i wydrażone skórki po pieczonych ziemniakach.

- Najlepszy obiad w moim życiu. Do tego bardzo podoba mi się kucharz - odpowiedziała, sięgając po gotowaną kukurydzę.

Larry zareagował jedynie nieznacznym uśmiechem. - Jak mam poustawiać stoły? - zapytał.

- Chyba trzeba będzie dodać jeszcze te dwa stoliki do gier. Razem z nami będzie dwadzieścia siedem osób, wliczając dzieci.

- Naliczyłem jedynie dwadzieścia cztery.

- Byłoby nawet więcej, gdyby Jane przyjechała z całą rodziną, ale pojawi się tylko z dwójką dzieci.

- Zaprosiłaś Jane? - zdziwił się.

- Nie mogłam jej pominąć, zapraszając wszystkich Phillipsów. To rodzinne święto.

- Dlaczego Martin nie przyjedzie? - zapytał Larry i Eliza przekazała mu to, czego dowiedziała się od Annie.

Zdecydowali, że kanapa zostanie przeniesiona do jadalni, a oba stoły ustawi się w salonie w kształt litery L. Zagrała melodyjka komórki Elizy. Dzwoniła Nicole.

- Będziemy mieli jeszcze jednego gościa. Nicky pojawi się z Anetą - oznajmiła Eliza, wkładając telefon z powrotem do kieszeni.

- Zapomniałem powiedzieć, że dzwonił Terry. Mamy wizytę jutro o czwartej trzydzieści - odezwał się Larry.

- Nie wiem, czy dzień przed świętem to dobry czas. Będę zajęta przygotowaniem - zaprotestowała Eliza, lecz wiedziała, że niczym nie odwiedzie swojego męża od jego planu.

Rozdział XXI

Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia!

Przy śniadaniu Larry oznajmił, że będzie dziś pomagał Robertowi i jego ojcu w pewnych pracach, które zamierzali skończyć około południa. Zaraz po lunchu miał się zająć przemeblowywaniem Ustronia.

Gdy Larry wyszedł, Eliza nastawiła pranie i włączyła komputer. Allison pisała, że wylatują dziś wieczorem do Filadelfii i zostaną u mamy do końca tygodnia. Eliza żałowała, że nie zaprosiła ich wcześniej do Ustronia. Zadzwoiła do Larry'ego. Zostawił jej decyzję. Po godzinie było już wiadome, że przyjadą. „Mama nie posiada się z radości, że ciebie zobaczy, no i poznamy wreszcie Larry'ego. Przywieziemy upieczonego indyka i zapiekankę ze słodkich ziemniaków” - napisała Allison.

Eliza założyła sweter i wyszła na zewnątrz. Wciągnęła w nozdrza powiew późnego jesiennego poranka - interesującą mieszankę przygruntowego chłodu i ciepła słonecznych promieni, przebijających przez pozbawione już prawie liści korony drzew. Poszła dróżką w kierunku powozowni. Zastała Gretę przy grabieniu opadłych liści.

- Ratunku! - zawołała. - Naliczyłam już trzydzieści dwie osoby.

Greta przerwała robotę i oparła się na swoim narzędziu pracy.

- No to dobrze, że do pary, no - powiedziała uspokojona, jakby w obliczu tego faktu aspekt przekroczonego limitu gości nie miał najmniejszego znaczenia.

- Przede wszystkim trzeba ich wszystkich wykarmić, napoić i na czymś posadzić. Jadę zaraz po więcej żurawin i dokupię też parę placków dyniowych. Chciałam prosić, abyście z Robertem przynieśli kilka krzesel.

- Z krzesłami nie ma sprawy, te żurawiny możesz sobie dokupić, ale póki ja się jeszcze ruszam, to ciasta zawsze domowe będą, no. Placków Annie dosyć napiecze, a ja dwie rolady z dyniowym kremem dzisiaj zrobię i jak przez noc w lodówce poleżą, to na jutro będą w sam raz.

- Muszę uciekać - oświadczyła Eliza. - Potrzebuję jeszcze skorzystać z drukarki w pracowni Larry'ego.

Podjechawszy przed dom Harrisów, udała się wprost na górę. Szkic jej nagiego ciała wciąż tkwił na sztaludze. Okryła go pospiesznie wyciągniętym z szafy ręcznikiem kąpielowym. Podeszła do komputera. Był włączony. Nacisnęła przypadkowy klawisz, wyłączając wygaszacz ekranu. Na monitorze widniała skrzynka odbiorcza poczty elektronicznej Larry'ego. Wiadomość od Michelle figurowała na samej górze listy i jej tekst widoczny był na ekranie bez konieczności otwierania. Z zarejestrowanego czasu wynikało, że nadeszła przed półgodziną: „Nie grałeś w zeszłym tygodniu i nie jesteś zapisany na przyszły. Co się stało? Kiedy znowu zobaczę cię na kortach?”. Eliza otworzyła folder skrzynki nadawczej. Nie było w niej żadnego listu wysłanego przez Larry'ego na adres Michelle. W usuniętych mailach znalazła jeden sprzed dwóch tygodni: „Masz przywidzenia. Prosiłem cię, żebyś zaprzestała pisanie do mnie w ten sposób. Będę zmuszony usuwać twoje listy bez czytania”. Ruszyła suwakiem na monitorze i pod odpowiedzią Larry'ego ukazał się tekst wcześniejszego maila Michelle: „To był cudowny wieczór. Wiem, że patrzyłeś na mnie cały czas. Jeśli krępuje cię obecność Henry'ego, będę przychodziła na korty bez niego”.

Łatwość, z jaką Michelle gotowa była poniżać się za cenę zwrócenia na siebie uwagi Larry'ego, przeraziła Elizę. Bardziej niż kiedykolwiek zdała sobie sprawę, że być może w grę nie wchodziła ani zaborczość, ani zranione ego, ani nawet pogoń za pieniądzem. Może Michelle naprawdę kochała

Larry'ego i nie potrafiła bez niego żyć. Przeniósłszy nowy mail Michelle do kosza, Eliza całkowicie usunęła go z poczty.

W poczekalni doktora Mercera nie było żywego ducha. Zamiast jarzeniówek na suficie paliły się tylko oszczędne światełka umieszczone tu i ówdzie na ścianach. Terry pojawił się, zanim zdążyli usiąść, i zaprosił ich od razu do swojego gabinetu.

- Puściłem dziś moją załogę wcześniej. Zdaję sobie sprawę, ile pracy mają kobiety przed jutrzejszym dniem. Będziemy radzić sobie sami - uśmiechnął się.

Słowa krótkiej rozmowy o urlopie Mercerów, pochwałach dla ich basenu i przysłudze w karmieniu Stelli trafiały do Elizy tylko w jakimś minimalnym, niezbędnym do zachowania pozorów dobrego tonu procencie. Wyrwana z ferworu świątecznych przygotowań siedziała teraz przed człowiekiem, który niczym Salomon miał się wypowiedzieć o losie jej dziecka i wszystko inne stało się nagle podrzędne. Rzeczy potoczyły się normalnym trybem: rozmowa z pacjentką, badanie moczu, badanie ogólne.

Eliza zagadnęła o USG.

- Możemy zrobić, ale na tym etapie ciąży w grę wchodzi jedynie badanie dopochwowe - oznajmił Terry Mercer.

- Co masz na myśli? - zapytał Larry.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Inaczej niewiele zobaczymy - odrzekł, usadziwszy niezbyt przekonanego kolegę naprzeciw monitora.

Gdy wrócili, w oknach domu Harrisów paliły się światła, a przed domem stał samochód Nicole. Obawy, którymi Eliza dzieliła się z Larrym w drodze powrotnej, powędrowały teraz w innym kierunku.

- Larry, musisz od razu iść do pracowni i schować szkic. Mam nadzieję, że dziewczyny jeszcze go nie widziały. Jest przykryty ręcznikiem.

- Naprawdę przykryłaś go ręcznikiem? - Larry zaśmiał się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Nicole otworzyła im drzwi i przedstawiła Elizie Anetę.

- Świetnie mówisz po polsku - pochwaliła Eliza bez nawiązywania do lekkiej naleciałości obcego akcentu. - Od dawna mieszkasz w USA?

- Od urodzenia - zaśmiała się. - U nas w domu używa się przeważnie języka polskiego. Nawet z Sebastianem, to jest z moim bratem, komunikuję się najczęściej po polsku.

- Brat też studiuje?

- Tak, ale w Bostonie, więc ciągle mieszka z rodzicami. Jest na weterynarii.

- W Bostonie, na weterynarii? - zainteresowała się Eliza. - To bardzo ciekawe... studia - powiedziała, zerkając mimochodem w stronę Nicole.

- Dlaczego Marcus nie zabrał się z wami? - zdziwił się Larry.

- W piątek rano jedziemy z Nicky do Bostonu na koncert lokalnej grupy rockowej - wyjaśniła Aneta. - Ja i mój brat mamy bzika na ich punkcie.

Larry i Eliza wrócili na noc do Ustronia. Nazajutrz rano przyjechał Marcus, niosąc przed sobą garnek gulaszu z sarniny.

- Jesteś głodny, Marcus? - zapytała Eliza, gdy Larry poszedł przynieść brytfankę z indykiem z bagażnika volkswagena.

- Nie, dziękuję, już jadłem, ale to bardzo przyjemnie, gdy się ma kogoś, kto zadaje takie pytanie - dodał po chwili.

Elizie wydało się, że otarł czubkiem palca kącik oka. Pogłaskała jego krótko ściętą czuprynę.

- Może trzeba w czymś pomóc? - zaoferował.

- Jest piękna pogoda. Dobrze byłoby wygrać suche liście sprzed domu i przynieść więcej drewna do kominka -

powiedział Larry, wchodząc do kuchni, choć pytanie nie było skierowane do niego.

Postawił brytfannę na blacie szafki. Eliza natarła indyka solą i posmarowała olejem kukurydzianym. Larry wstawił mięso do piekarnika.

- Mógłbyś też skorzystać z tej pięknej pogody i pograbić liście razem z Marcusem - powiedziała. - Ja wtedy spokojnie porozstawiam nakrycia. Muszę mieć pewność, że niczego nam nie brakuje.

- Czy to miało znaczyć, że mógłbym ci w tym przeszkadzać? - zapytał Larry.

Posłała mu potwierdzające spojrzenie.

Nie wystarczyło talerzy od serwisów. Gdy poszła do kuchni po dodatkowe, Marcus nalewał sobie wody do szklanki.

- Gdzie jest Larry? - zapytała.

- Poszedł odprowadzić jakąś kobietę - powiedział między kolejnymi łykami.

- Co takiego? - zdziwiła się.

- To chyba była siostra Roberta. Musiała zobaczyć nas z daleka i podeszła, żeby podziękować za zaproszenie i powiedzieć, że przyniesie zapiekankę z fasolki szparagowej. Powiedziałem jej, aby lepiej zrobiła dwie, i wujek spojrzał na mnie tak, jakby miał ochotę przyłożyć mi grabiami.

- Dlaczego wujek nie zaprosił jej tutaj? Miałabym okazję się z nią zapoznać.

- Wiem, że oni chodzili ze sobą, jak byli młodzi, ale nie masz się co martwić, ciociu.

- Ależ ja się wcale nie martwię - odrzekła z wymuszonym uśmiechem. - Co masz na myśli? - zapytała po chwili.

- Kobiety, które wyglądają, jakby jadły pączki trzy razy dziennie i nie miały z tego powodu wyrzutów sumienia, nie są na pewno w guście wujka Larry'ego.

- Może zatem słusznie kazałeś jej przynieść dwie blachy zapiekanki - powiedziała Eliza, rozbawiając tym Marcusa.

- Już praktycznie skończyliśmy grabienie - powiedział po chwili. - Przyniosę drewno i będę zmykał. Prawie zapomniałem... Nicky i Aneta pytały, czy trzeba w czymś pomóc.

- Podziękuj im, ale nie ma takiej potrzeby. Moja rodzina wkrótce tu będzie. Ciotkę Fredę już na pewno świerzbiją ręce do obierania ziemniaków. Nie może żyć bez ostrych narzędzi.

- Jest rzeźnikiem czy chirurgiem? - zapytał Marcus poważnie.

- Rzeźbiarką - zaśmiała się.

Po odjeździe Marcusa Eliza skończyła ustawianie talerzy i rozkładanie serwetek. Miała właśnie układać na nich sztuce, gdy posłyszała skrzypnięcie drzwi.

- To dla ciebie - powiedział Larry, wchodząc do salonu. - Znalazłem je pod liśćmi przy domu - dodał, podając jej trzy nagietki na krótkich łądzykach. - W czym ci pomóc? - zapytał.

- W nakrywaniu do stołów. Chciałabym to skończyć, zanim przyjadą goście, a Nowy Jork będzie tu już za dwie godziny. Jakoś nie za dobrze mi idzie.

- To dlaczego chciałaś się mnie pozbyć? - zaśmiał się.

- Pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś spędził trochę czasu z Marcusem. A swoją drogą gdyby nie to, nie miałbyś okazji odprowadzenia do domu swojej... - zawahała się.

Spojrzała na Larry'ego. Patrzył na nią wyczekująco, z zacząjonym w kącikach ust, szelmowskim uśmiechem.

- ...Jane - dokończyła krótko, dobierając do pary sztuce.

- Bardzo mi się podobasz, gdy jesteś zazdrosna - powiedział.

- Czy to znaczy, że masz zamiar dawać mi więcej powodów?

Dźwięk telefonu przerwał ich rozmowę. Robert dzwonił z pytaniem od Greta, czy Eliza potrzebuje pomocy w kuchni. Nie potrzebowała, ale cieszyła ją świadomość, że ma wokół tyle uczynnych dusz. Poprosiła, aby przyszli trochę wcześniej i przynieśli ze sobą swoje sztuce.

- Pójdźmy na spacer po polach - zaproponował Larry. - Jeszcze nie byłaś dziś na dworze.

Od zachodu nadciągały już chmury, lecz temperatura powietrza była wciąż nietypowo wysoka. Na ścierniskach zieleniły się tu i ówdzie nieustraszone zmianą pory roku chwasty. Przycupnięty w rżysku dziki królik nie zerwał się do ucieczki na ich widok i Eliza zatrzymała się, aby mu się przyjrzeć. Larry wykorzystał ten moment do przypalenia papierosa.

- Odprowadziłem Jane, bo chciałem ją przeprosić - zaczął niespodziewanie. - Byłem jej to winien od lat i jakoś nigdy nie miałem sposobności, może zresztą jej nie szukałem.

- Byłeś jej winien przeprosiny? - zdziwiła się Eliza. - Nie sądzisz, że powinno być akurat odwrotnie?

- Niezupełnie. Wiesz, że Jane zostawiła mnie dla Martina? - zapytał i Eliza skinęła głową. - Sprowokowałem go wtedy i uderzyłem pierwszy. Jane chciała mnie powstrzymać przed dalszymi ciosami. Odepchnąłem ją, nie zdając sobie sprawy, jak mocno musiałem to zrobić. Upadła na podłogę. Pozwoliłem Martinowi położyć ją na kanapie. Nie podniosłem ręki ani do następnego uderzenia, ani do obrony, gdy wymierzył mi pięścią w twarz. Stałem jakiś czas z krwawiącym nosem i słuchałem, jak Jane płacze. Potem poszedłem się upić i ktoś w barze zaoferował mi kokainę. ..

- Dobrze, że mi to powiedziałeś - szepnęła Eliza.

Przygasiwszy niedopałek, Larry wziął ją za rękę. Wracali do domu w milczeniu.

Eliza otworzyła drzwiczki piekarnika i polała indyka odrobiną wody, która zasyczała intensywnie na mocno rozgrzanej już skórce, wydobywając z niej smakowite zapachy przypraw.

Doszedł ją gwar miłego zamieszania. Wyszła na spotkanie gościom. Larry przejmował właśnie ich wierzchnie okrycia.

- Zaniosę je tymczasem do pokoju Helen - powiedział, znikając za drzwiami salonu. Po krótkim przywitaniu Adam z Fredą i Terenią podążyli za nim z torbami podręcznymi.

- Rozpakujemy rzeczy i zaraz będziemy działać w kuchni - oznajmiła ciotka.

Marlena poszła za nimi do salonu, aby postawić na stole przywiezione z Nowego Jorku maślane bułeczki podawane tradycyjnie do świątecznego obiadu.

- Kim jest ten pan? - zapytał Ben, gdy został sam z Elizą.

- Nikt ci go nie przedstawił? Ma na imię Larry i możesz go nazywać wujkiem.

Eliza pochyliła się nad nim i Ben objął jej szyję.

- Zdaje się, że mam konkurenta - powiedział Larry, zatrzymując się w drzwiach.

Po chwili weszła Marlena.

- To wujek Larry, mam - oznajmił Ben. - Tobie chyba też nikt go jeszcze nie przedstawił - dodał bardzo poważnie.

- Raczej pan Larry - skorygowała go Marlena. Ben spojrzał na nią i na Elizę nieco dezorientowany.

- Zrobimy tak, żebym jednak był wujkiem - zaśmiał się Larry.

- A jak to się robi?

- Powiem ci, jak pomożesz mi rozpalić w kominku. To będzie nasza męska konferencja.

- No to chodźmy - odrzekł Ben, wyciągając rękę.

- Nie widziałam jeszcze, żeby Ben kiedykolwiek tak szybko kogoś zaakceptował - zdziwiła się Marlena. - Zwykle

jest bardzo ostrożny, a nawet nieśmiały. Larry musi mieć świetne podejście do dzieci.

Eliza uczuła powrót wypieków. Na szczęście Marlena odwróciła głowę, aby wyjąć z kieszeni telefon, który właśnie się rozdzwonił. Dziewczynki Greta informowały, że przygotowują jakąś inscenizację na Święto Dziękczynienia i Ben ma wystąpić w roli Indianina. Larry zaoferował się zaprowadzić go do Phillipsów.

Wszystkie cztery kobiety znalazły się wkrótce w kuchni.

- Zmusiłam Adasia, żeby się trochę przespał - oznajmiła Freda. - Wstał bardzo wcześnie i do tego prowadził samochód przez całą drogę. Na pewno jest zmęczony.

Wyposażywszy uprzednio Terenię we wszystko, co było potrzebne do przyrządzenia surówki z kapusty, Eliza usadziła Fredę do obierania ziemniaków. Przy pomocy Marleny zajęła się urządzaniem barku napojów. Poustawiały butelki z wodą i sokiem jabłkowym oraz sterty jednorazowych kubeczków, które miały służyć również do wina.

- A gdzie jest wino? - spytała Marlena.

- Wino przywiezie Daniel, lecz można otworzyć na początek to, które mam w domu. Może masz ochotę napić się teraz? - zapytała, wydając z szafki dwie butelki i korkociąg.

- Chętnie, a ty?

W odruchu szczerości Eliza podzieliła się z Marleną swoim sekretem. Świadomość, że ich dzieci będą ze sobą spokrewnione, napełniła je obie szczególnymi emocjami.

- Co się stało? Obie macie szkliste oczy. Też kroiliście cebulę? - spytała Freda, gdy weszły do kuchni, gdzie Terenia ocierała łyżę po wyprodukowaniu sporej miseczki pokrojonych misternie w drobniutką kosteczkę słodkich cebulek.

Marlena nagrodziła śmiechem żartobliwość komentarza ciotki. Zadeklarowała pomoc w obieraniu ziemniaków i nie czekając na odpowiedź, przysiadła się do stanowiska Fredy.

Eliza włączyła palnik pod gulaszem na powolne podgrzewanie. Otworzyła drzwiczki piekarnika. Mogła już polewać indyka jego własnym sosem. Gdyby to komuś powiedziała, pewnie zabrzmiałoby niepoważnie, ale był to moment, na który czekała, i to proste zajęcie sprawiało jej niewytłumaczalną przyjemność. Gdy była dzieckiem, mogła tylko patrzeć, jak robiła to jej mama. Być może zakodowała w podświadomości tę czynność jako przywilej matki i pani domu i teraz materializował się on dla niej w kuchni Ustronia.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek u drzwi wejściowych. Wyjrzała przez kuchenne okno, lecz nie widziała żadnego nowego samochodu.

- Przyjechaliśmy wszyscy moim volkswagenem i zostawiliśmy go za cyprysami - oznajmił Marcus, wchodząc do domu z Nicole i Anetą. - Mogę przestawić tam też i twój, żeby było więcej miejsca dla gości - zaproponował i Eliza podała mu kluczyki.

- Zachodziliście do Grety? - zwróciła się do Nicole.

- Tak, zaszliśmy do nich na chwilę. Jeśli chodzi ci o twojego męża... Przepraszam - zreflektowała się, zasłaniając odruchowo ręką usta. - Mam nadzieję, że nikt tego nie słyszał. Wydaje się, że wujek znalazł sobie nową specjalność. Prowadzi zajęcia plastycznie - muzyczne z trójką dzieci.

- W czym możemy pomóc? - wtrąciła Aneta.

- Mogłabyś wesprzeć Terenię w przygotowaniu surówki. Z jej dokładnością w upewnianiu się, że wszystkie kostki cebuli i jabłek mają ujednoczone wymiary, nie doczekamy się tego specjału do jutra - dodała półszeptem.

- Mamy w kuchni sześć kucharek... Ciekawe, co z tego wyniknie - zaśmiała się Freda po przywitaniu z dziewczynami.

Eliza poprosiła Nicole i Marcusa o rozplanowanie usadzenia gości. Postanowili, że zasiądą przy większym z dostawionych stolików z Anetą, Samanthą i synami Allison, a

mniejszy przeznaczą dla bliźniaków Grega i dzieci Jane. Pozostali będą ucztować przy dwóch dużych, zestawionych razem stolach.

Gdy Eliza wróciła do kuchni, Terenia zmywała nagromadzone w zlewie naczynia i przybory kuchenne. Surówka z kiszonej kapusty nie figurowała na liście potraw przygotowywanych na to święto ani nawet w żadnym innym typowym amerykańskim jadłospisie. Eliza uznała jednak, że absolutnie nie zaszkodzi, jeśli jej obecna potrawa numer jeden wzbogaci Święto Dziękczynienia odrobiną polskiego akcentu.

- Pójdę do salonu, pomóc Nicole i Marcusowi - oświadczyła Aneta, biorąc ze sobą dwie napełnione salaterki.

Eliza wzięła się do przygotowania nadzienia. Nie zostało zbyt wiele czasu. Na szczęście kupiła gotowe do przyrządzenia zestawy złożone z pokrojonej w kostkę suchej bułki i mieszanki przypraw. Należało dodać jedynie gorącej wody i trochę masła, wszystko wymieszać i zagrzać.

- Nie wiedziałam, że można nadziać indyka, kiedy jest już w piecu - odezwała się Terenia.

- Tylko w Ameryce - zaśmiała się Freda. - Tutaj nadzienie zwykle sporządza się i podaje osobno.

- W takim razie nie powinno się nazywać nadzieniem. - Terenia nie miała ochoty spuścić ze sceptycznego tonu. - Doprawdy dziwne tu mają praktyki. Nie mówiąc o tym, że w restauracji dają do wyboru albo zupę, albo sałatkę. Co ma jedno do drugiego?

- Możesz zamówić i zupę, i sałatkę - próbowała ułagodzić ją Freda.

- A najbardziej już nie mogę zrozumieć okien bez parapetów albo tych, których się w ogóle nie otwiera - kontynuowała Terenia, zmieniając przedmiot krytyki z kulinarnego na budowlany.

Kolejny dzwonek u drzwi powstrzymał eskalację jej krytycyzmu. Barbie weszła pierwsza, nastawiając policzek do powitalnego całusa. Eliza przejęła z jej rąk podłużne naczynie, które mimo szczelnego owinięcia folią aluminiową intensywnie pachniało rozmarynem. Domyśliła się, że to obiecana zapiekanka ze słodkich ziemniaków. Odniosła ją do kuchni i wróciła prędko, by uściskać bliźniaki.

Eliza zawsze miała za złe bratu, że nie uczył dzieci polskiego. Sam przecież świetnie władał tym językiem, a Barbie z pewnością nie byłaby temu przeciwna. Zdała sobie sprawę, że w jej rodzinie może się stać tak samo, i zrobiło się jej trochę smutno.

Po przywitaniu się z resztą towarzystwa Kayla z Kevinem wymknęli się do domu Annie i Eda, gdzie oczekiwały ich dzieci Jane.

Musieli minąć się na rampie z Sherri i Samanthą, które pojawiły się w drzwiach, gdy Eliza otworzyła je na kolejny dzwonek.

- Daniel wysadził nas tutaj, bo na pewno potrzebujesz pomocy. Sam pojechał po George'a Parkera. Larry prosił, abyśmy zajęli się jego przywiezieniem i odwiezieniem - objaśniła Sherri.

Jedyne, czego potrzebowała w tym momencie Eliza, to obecność Larry'ego. Powinien być tutaj z nią i przyjmować gości, a nie bawić się z dziećmi w Indian i pielgrzymów. Poprosiła Grzegorza, aby pełnił z nią obowiązki gospodarza w przyjmowaniu gości.

- Może w takim razie zajmę się też krojeniem indyka, kiedy już będzie gotowy - zaoferował.

Eliza nie miała pojęcia, co odpowiedzieć bratu. Tradycyjnie było to zadanie pana domu i podejrzewała, że Larry już zarezerwował je dla siebie. Poczowała się przytłoczona.

- Dzięki za ofertę - odrzekła z bezpiecznym zapasem niedomówienia.

Marlena obudziła Adama. Przywitał się z Grzegorzem formalnym uściskiem dłoni.

Było już dobrze po trzeciej, gdy nadeszła Greta z ciastem i dodatkowymi sztuccami, informując, że panowie niedługo podjadą samochodem z dziećmi, krzesłami i upieczonym indykiem. Tuż po niej pojawili się Daniel z George'em Parkerem i skrzynką dobrego wina. Eliza poprosiła Adama, aby otworzył część butelek i poczęstował gości. Zajrzała do kuchni. Ziemniaki gotowały się w dwóch osobnych garnkach.

- Będziemy podawać je tłuczone czy w całości? - zapytała Freda.

- Potłuczemy, będą lepiej pasowały z sosem - zdecydowała Greta.

- Nie zrobiłam sosu - zmartwiła się Eliza.

- Robert przywiezie cały garnuszek, razem z indykiem - pocieszyła ją Greta. - Sarnina też w sosie jest przecież, no. Trzeba indyka już wyciągać - ogłosiła, otwierając drzwiczki piekarnika i zdecydowanym ruchem pochwyciła brytfankę przez dwie złożone kilkakrotnie ścierki.

Włożyła słodkie ziemniaki do opróżnionego piecyka i ustawiła temperaturę na podgrzewanie.

Kolejny dzwonek do drzwi oznajmił przybycie Allison i jej rodziny. Gdy Eliza i Greta weszły do domu, Grzegorz wywiązywał się uczciwie z powierzonego mu obowiązku witania gości. Greta odebrała zapiekanki i poporcjowanego już na szczęście indyka, pozwalając Elizie uściskać się z przyjaciółmi. Nicole i Aneta ukazały się w drzwiach salonu. Barbie podszeptała im, aby zajęły się chłopakami. Allison Shepard, jej mąż Jack i mama, Phyllis Borowsky, spoczęli tymczasem na zajmującej niemal całą jadalnię kanapie, gdzie siedzieli już Daniel, Sherri i George Parker. Elizie nie dane

było dotrzymać im towarzystwa. Kayla i Kevin wprowadzali właśnie dwójkę swoich przyjaciół, za którymi wkroczyła Jane z blachami zapiekanej zielonej fasolki. Za moment pojawili się Annie i Ed. Greta wróciła z kuchni i przejęła z rąk swoich teściów succotash i ciasto. Barbie, przyjąwszy na siebie rolę kierowania ruchem młodzieży, wysłała dzieci Jane i swoje własne do salonu. Towarzystwo okupujące kanapę w jadalni, rozweselone już zaserwowanym przez Adama winem i uciechą z odkrycia przynależności do wspólnoty kibiców drużyny Cincinnati Bengals, jakimś sposobem zdołało wygospodarować dość miejsca dla nowo przybyłych gości.

Eliza ledwo posłyszała dźwięk swojej komórki. Weszła z nią do sypialni, przymykając za sobą drzwi. Wyświetlał się numer Larry'ego.

- Jak sobie radzisz? - odezwał się.

- Na miłość boską, gdzie się podziewasz? - zapytała przytłumionym głosem z tonem zawodu, który w innych warunkach byłby na pewno dosadnym wyrzutem. - Wszyscy już są i chcemy zaraz podawać obiad.

- Zaproś gości do stołu za kilka minut. Robert już jedzie z indykiem i sosem, a ja zaraz przyjdę z dziećmi. Najpierw zrobimy krótkie przedstawienie - powiedział, pewnie nie mniej podekscytowany niż trójka jego podopiecznych.

Indyk Roberta był już pokrojony i ciągle gorący, a sos - mocno podgrzany. Eliza udała się do kuchni, żeby ustalić podział obowiązków w serwowaniu gorących potraw. Grzegorz okrajał prawie już ogołocony szkielet. Trochę zdziwiła się, że tak dobrze mu to szło. Poprosiła pozostałych o zajmowanie miejsc przy stole. Młodzież siedziała już na swoich krzesłach - akademicka ze szklaneczkami wina, szkolna - z sokiem jabłkowym.

Robert przyniósł z samochodu niewielką białą tablicę z rozkładanym stojakiem i pęk kolorowych, ścieralnych

mazaków. Stał obok, wypróbując swoją harmonijkę. Marszową melodię zagłuszyła burza oklasków, która nie była jednak przeznaczona dla niego, lecz dla trójki przebierańców, którą Larry wprowadzał właśnie do salonu.

- Jesienią 1620 roku pielgrzymi przybyli z Europy do miejsca nazwanego później Plymouth Rock. Płynęli kilka miesięcy statkiem o nazwie „Mayflower” - wyrecytowała Melissa ubrana w długą spódnicę z fartuchem i bibułkowy czepiec z falbanką.

Gdy czytała dalej z książeczki dla dzieci fragment o trudach tamtej podróży, za pomocą mazaków ręka Larry'ego kreśliła na tablicy wizerunek przechylającego się na wzburzonych falach żaglowca. Gdy znowu zagrała harmonijka, miejsce Melissy zajął Ben w przebraniu Indianina z bardzo profesjonalnie wymalowaną twarzą.

- Pierwsza zima w nowej ojczyźnie była bardzo ciężka - powiedział. - Osadnicy przetrwali ją dzięki pomocy miejscowych Indian. Jeden z nich, o imieniu Squanto, potrafił rozmawiać po angielsku.

Kilka pociągnięć gąbki usunęło z tablicy „Mayflowera” i Larry zaczął rysować Indian w towarzystwie osadników.

- Indianie pomagali im polować, a wiosną nauczyli sadzić kukurydzę i zbierać dziki ryż - kontynuował Ben. - W następnym roku pielgrzymi zebrali dobre plony. Przygotowali wraz z Indianami wspólną ucztę dziękczynną, na którą Indianie przynieśli sarninę i dzikie ptactwo. Ta uczta przeszła do historii jako pierwsze Święto Dziękczynienia w Ameryce.

Z tablicy zniknęły teraz postacie, a pod napisem „Szczęśliwego Święta Dziękczynienia” zaczęły się pojawiać jelenie, dzikie ptactwo, kolby kukurydzy, dynie i kabaczki. Robert zagrał jakąś skoczną melodyjkę i Ben ustąpił miejsca Amandzie przebranej za męskiego przedstawiciela pielgrzymów w charakterystycznym czarnym kapeluszu,

rozłożystym, białym kołnierzu i obuwiu zdobionym dużymi klamrami. Wyrecytowała krótki wierszyk, którego pewnie nauczyła się w szkole, i do którego wyrysowane na tablicy produkty i napis wydawały się idealną ilustracją.

Kiedy dzieci zbierały brawa i pochlebne komentarze, świta pomocników wносиła pospiesznie gorące mięsa, ziemniaki, zapiekanki i przeróżne dodatki. W ferworze zachwytów nad świąteczną prezentacją i stawianymi na stole potrawami nikt poza Elizą nie zauważył, że Larry znowu tworzył coś na tablicy. Kiedy skończył, omal nie upuściła naczynia z nadzieniem.

- Ja też kocham ciocię Elizę, wujku Larry - wykrzyknęła Amanda, gdy Greta kończyła ścierać jej z buzi wymalowane kredką do brwi wąsy.

Wszyscy spojrzeli jednocześnie w stronę tablicy. Zamiast świątecznych życzeń emanowało z niej teraz wyznanie miłości: „I love you, Eliza - Larry”.

Eliza ukryła twarz w dłoniach i odsłoniła ją dopiero wtedy, gdy Larry zakładał na jej palec pierścienek zaręczynowy, który musiał wyjąć uprzednio ze szkatułki.

- Co za wspaniały pomysł na oświadczyzny! - wykrzyknęła Annie Phillips i wszyscy zaczęli bić brawo.

- Nie zabiorę dużo czasu - odezwał się Larry. - Wszyscy jesteśmy już głodni, a pyszności na stole stygną. Chcę tylko oznajmić, że nie będę prosił Elizy o rękę...

Krótki zbiorowy pomruk konsternacji ustąpił miejsca ciszy wyczekiwania.

- Nie będę prosił Elizy o rękę - kontynuował Larry, dokładając do pierścienka jej obrączkę - z tego powodu, że od blisko miesiąca jest już moją żoną. Jesteśmy oboje wdzięczni Opatrzności - mówił dalej - że możemy podzielić się z wami naszym szczęściem w tym szczególnym dniu. Oboje z żoną

zapraszamy teraz wszystkich do posiłku i życzymy smacznego.

Ciotka Freda zainicjowała oklaski i wszyscy dołączyli do aplauzu. Słowa gratulacji mieszały się z nowymi pomrukami zaskoczenia.

Eliza i Larry zajęli miejsca przydzielone im przez Nicky i Marcusa u szczytu stołu. Przy stole krążyły salaterki i półmiski, a goście ochoczo napełniali sobie talerze. Ekscytujące zapachy rozluźniły ściśnięte wzruszeniem gardła i przywołały zawieszony tymczasowo apetyty. Rozlano do kieliszków kolejną rundę wina z przeznaczeniem na toast za gospodarzy domu. Larry postawił przed Elizą szklankę napoju jabłkowego. Pogłaskała w podziękowaniu jego plecy i uniosła szklankę.

Zapanowało przyjemne zamieszanie wywołane powszechnymi dokładkami gulaszu, indyka i jarzyn. Gdy półmiski wróciły na swoje miejsca i znów dolano wina, Grzegorz uniósł się znad stołu z kieliszkiem w ręce. Freda zastukała widelcem w szkło, uciszając gwar.

- Jako brat Elizy mam dziś szczególny powód do radości, dowiadując się o jej ślubie z Larrym, moim bliskim przyjacielem, który dzięki temu jest teraz moim szwagrem.

Wyniesienie Larry'ego do rangi bliskiego przyjaciela było mocno przesadzone i Eliza zaczęła się obawiać, że Grzesiek zmierzał do konkluzji sugerującej jego udział w wyborze kandydata na męża siostry, toteż z ulgą przyjęła niespodziewane przestawienie się brata na inne tory.

- Chciałbym również powitać w rodzinie innego jeszcze przyjaciela - kontynuował.

Ze skinienia Grzegorza w kierunku Adama Eliza wywnioskowała, że obaj musieli być w zgodzie co do publicznego ogłoszenia tej nowiny.

- Adam okazał się naszym, to jest moim i Elizy, przyrodnim bratem - mówił dalej Grzegorz. - Byliśmy z siostrą mocno zaskoczeni, ale też cieszyliśmy się tym odkryciem.

Bez rozwijania tematu spełnił toast. Znowu posypały się gratulacje współbiesiadników. Nie pytano o szczegóły i Eliza pomyślała, że wynikało to po części z poczucia taktu, a po części z niezakończonego jeszcze zaspokajania apetytów. Rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku miejsca, gdzie siedziała Terenia. Nic nie wskazywało na to, że czuła się skrępowana ujawnieniem tak długo trzymanego sekretu. Może nawet przyniosło jej to ulgę. Ciężar narzuconego sobie obowiązku zachowania tajemnicy nosiła przecież od czasu, gdy była zaledwie nastolatką. Uczucie podziwu wzięło chwilowo górę nad wszystkim, cokolwiek Eliza mogła myśleć do tej pory o matce Adama.

Dyniowe i jabłeczne wypieki spożywano w atmosferze przyjemnego gwaru i rozluźnienia.

Bliźniaki i dzieci Jane przeniosły się z talerzykami ciasta do pokoju Waldemara, zwalniając kwadratowy stół, do którego Allison i Phyllis Borowsky przywołały Elizę, wypytując to o historię Adama, to o szczegóły jej ślubu.

- Musimy zaraz się zbierać - oznajmiła Allison. - Odwieziemy po drodze George'a - dodała. - Wpadniemy do niego na chwilę... Eliza, on chce podarować mamie coś, co jest warte pięćset dolarów! Sprawdziłam właśnie w internecie - oświadczyła Allison zniżonym głosem, chowając smartfon do kieszeni żakietu.

- Kto, komu i co? - zapytała Eliza, zdziwiona chaotyczną reakcją przyjaciółki, którą zawsze miała za ideał kobiecego opanowania.

- George Parker postanowił ofiarować mojej mamie książkę Zabić drozda z dedykacją autorki. Ma ich podobno

kilkanaście w swojej kolekcji; nawet oryginalne wydanie i pierwsze brytyjskie.

- Twoja mama musiała wpaść mu w oko - zaśmiała się Eliza.

- Nie, tu nie chodzi o to. Parę lat temu Harper Lee odbierała nagrodę w Filadelfii i Parker pojechał tam, bo nagroda dotyczyła tematów prawniczych w sztuce. Mama była na tej samej uroczystości z grupą miejscowych bibliotekarzy. A kiedy jeszcze wspomniała, że kiedyś protestowała w Wirginii, po tym jak w Richmond wycofano książkę z listy lektur szkolnych, stracił zupełnie głowę.

- Wcale mu się nie dziwię, bo to też moja ulubiona lektura. Nie wydaje ci się jednak, że tym razem stracił głowę dla samej tylko pani Phyllis? - zapytała z uśmiechem.

Allison nie zdążyła wyrazić swojej opinii, bo reszta jej rodziny gotowa już była pożegnać się z gospodarzami przyjęcia.

- Zapakuję wam trochę jedzenia - zaproponowała Eliza. George Parker był jedynym, który przyjął propozycję.

- Larry jest mi tak bliski, jak rodzony syn - powiedział z nieukrywaniem wzruszeniem. - Czy chcesz, czy nie, jesteś teraz moją przyszywaną synową, Eliza - uśmiechnął się na pożegnanie.

Larry wyszedł za gośćmi, a Eliza podążyła za nim. Stał na brzegu rampy, odwzajemniając dłonią pożegnalne gesty pasażerów wielkiego samochodu pani Phyllis, wyprowadzanego ostrożnie przez jej młodszego wnuka spomiędzy zaparkowanych ciasno aut.

- Dlaczego nie założyłaś kurtki - zatroszczył się Larry, spostrzegłszy Elizę.

- Jest ciepło - usprawiedliwiła się.

- Ale przecież pada deszcz - powiedział i momentalnie otoczył ją ramieniem, choć była to tylko drobna mżawka.

Rozdział XXII

Względna cisza

Eliza wstała po cichu, aby nie zbudzić Larry'ego i założywszy szlafrok, wyszła z sypialni, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Na dworze wciąż było ciemno, a w kuchni paliło się tylko nocne światełko. Doszedł ją aromat kawy.

- Eliza, nie przestrasz się, ja tu jestem - ostrzegł ją basowy półgłos Fredy.

- Dzień dobry, ciociu - odpowiedziała, szukając w półmroku czystego kubka, nie bardzo rada, że Freda przywłaszczyła już jej ogromne naczynie z Kaczorem Donaldem. Zrobiła sobie kawę w niewielkiej filizance.

- Mam trochę głupią sprawę - odezwała się znów Freda. - Henryk ukrył coś pod szafką w łazience, ale dowiedziałam się o tym dopiero z listu, który czekał na mnie w Polsce po powrocie z jego pogrzebu. Chciał, żebym zabrała to po jego śmierci. Jest w pudełku po herbacie.

- Irlandzkiej czy angielskiej?

Freda parsknęła śmiechem. Widać też nie była świadoma istnienia dwóch różnych pudełek. Eliza zawtórowała jej krótko i nie wyjawiając powodu pytania, pozwoliła wziąć je za cokolwiek sarkastyczny żart. Niemniej oczekiwała odpowiedzi z nadzieją, że nie chodziło o zegarek.

- Powiem ci wprost - zaczęła Freda. - Jest tam moja podwiązka z naszego wesela. Nigdy bym nie przypuszczała, że Henryk będzie trzymał ją aż do ostatnich dni - głos ciotki zadrżał nieznacznie.

- Larry znalazł ją przypadkowo - odpowiedziała Eliza, nie patrząc w stronę Fredy, aby nie poczuła się skrępowana swoim nieoczekiwanym wzruszeniem. - Domyśliłam się, że jest twoja. Mam ją schowaną w sypialni. Dam ci to pudełeczko, gdy tylko Larry wstanie.

Freda otarła oczy i głośno wydmuchwała nos w jednorazową chusteczkę wyciągniętą ze stojącego na lodówce pudełka.

- Czy inni wiedzą, że jesteś w ciąży? - Pytanie Fredy zatrzymało Elizę w przejściu.

- Mamy zamiar ogłosić to dziś przy śniadaniu. Skąd ci o tym wiadomo? - zapytała, niemal pewna, że Marlena nie dotrzymała sekretu.

- Zauważyłam to już poprzednim razem. Teraz cieszę się i martwię jednocześnie.

- To tak jak ja - uśmiechnęła się Eliza.

Ciepłe strugi wody spływały z jej powiększonych ciążą piersi na nieznacznie zaokrąglony brzuch Elizy. Ujęła go dłońmi z obu stron, tak jak uczynił to Larry, gdy wczorajszego wieczoru rozczesywała włosy przed lustrem. Przesuwała w pamięci zarejestrowane pod powiekami przezrocza ich lustrzanego odbicia. Dłonie Larry'ego wyłuskujące spod bielizny resztę jej nagości, jego palce na uwolnionych już obszarach jej ciała, jego profil w gotowości i jej profil w oczekiwaniu, zbliżenie, uniesienie z poziomu podłogi do pułapu obłoków...

Zakręciwszy kurek, wróciła do realiów dżdżystego piątkowego poranka. Przemknęła w szlafroku do sypialni i ubrała się po cichu. Larry jeszcze spał. Obudziła go pocałunkiem, siadając na brzegu łóżka.

- Goście już wstają i niedługo pojawi się twoja rodzina - powiedziała.

- Mówisz to, bo nie chcesz, żebym cię teraz wciągnął pod kołdrę - uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

W kuchni panował poranny ruch. Ben i bliźniaki, wszyscy troje jeszcze w piżamach, raczyli się sokiem pomarańczowym.

- Teraz, gdy są Kayla i Kevin, zapomniałeś o cioci Elizie - powiedziała, wymierzając Benowi leciutkiego klapsa.

- Wcale nie zapomniałem. A gdzie jest wujek Larry?
- Pójdę go poszukać - odrzekła, tłumiąc śmiech.
- Jak mam ogłosić wszystkim, że niespodziewanie dla siebie zaszłam w ciążę? - zapytała Larry'ego, zamknawszy za sobą drzwi do sypialni.

- Najprościej byłoby, gdybyś powiedziała im tak: „Pozwoliłam przenocować w swojej sypialni pewnemu nie najgorzej prezentującemu się facetowi. Potem kochaliśmy się bez pamięci i to była najcudowniejsza chwila w życiu tego faceta”.

- I w moim też - wyszeptała, wzruszona jego wyznaniem.

Eliza i Larry krzżeli się już przy śniadaniu, gdy przyjechał Marcus, a za nim rodzina Daniela. Adam z Grzegorzem usunęli wcześniej dodatkowe stoły i wraz z Larrym przywrócili oryginalne umeblowanie Ustronia. Do śniadania nakryto w jadalni. Terenia podjęła się usmażenia jajeczniczy. Była to jedna z potraw, która do spólki z rosółem i surówką z kapusty figurowała na bardzo krótkiej liście jej kulinarnych umiejętności.

- Muszę przyznać, że byliśmy cokolwiek zaskoczeni wiadomością o waszym ślubie - wtrącił Daniel. - Powzięliście bardzo szybką decyzję. Niemniej cieszymy się i serdecznie gratulujemy.

Sposób, w jaki wymówił słowo „cokolwiek”, zdradzał uczucie zawodu, że odbyło się to bez jego udziału.

- Kto was jutro odwozi? - zwróciła się Barbie do Elizy, pochwaliwszy uprzednio jajecznicę Tereni.

- Zabieramy się z Grycami. Wysadzą nas i ciocię Fredę na lotnisku. Im to praktycznie po drodze do domu.

Eliza przyjęła z ulgą zmianę tematu i była niemal pewna, że jej bratowa uczyniła to z premedytacją. Niedługo jednak cieszyła się spokojem ducha, bo zaraz po tym Larry poprosił o

głos i domyślała się, że będzie przygotowywał grunt do poinformowania gości o tym, że Eliza spodziewa się dziecka.

- Zanim ogłoszę kolejną nowinę, chciałbym zaznaczyć, że poprosiłem Elizę o rękę, zanim jeszcze dowiedzieliśmy się, że jest w ciąży - wypalił krótko.

Po twarzach gości widać było, że poświęteczny poranek nie był najlepszą chwilą do szybkiego przetwarzania nowych informacji. Eliza czuła, że zaraz się zarumieni. Wzięła głęboki wdech. Larry ujął pod stołem jej dłoń. Lekkie gładzenie opuszków palców Elizy dodało jej otuchy i okazało się remedium na zawstydzenie.

- Wygląda na to, że upiekłeś dwie pieczenie przy jednym ogniu - skomentował Daniel po chwili z pikanterią swojego szelmowskiego uśmiešku.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Terenia z pewnym poślizgiem, jako że Freda dopiero zdążyła jej objaśnić, co powiedział Larry.

Wszyscy polskojęzyczni goście spojrzeli na nią z kombinacją zdziwienia i niesmaku. Larry poprosił Elizę o przetłumaczenie.

- Terenia wyraża nadzieję, że wszystko jest w porządku - odrzekła półszepem.

- Jesteście pewni? - zapytał Grzegorz, przerywając chwilową ciszę.

Eliza przyjęła założenie, że miał na myśli jej ciążę.

- Wczoraj byliśmy na badaniu USG - wyjaśniła pospiesznie. Larry przejął relację, pomijając na szczęście techniczne szczegóły badania.

- Niesamowite wrażenie. Przez moment nie miałem pojęcia, co właściwie widać na ekranie. Terry, to znaczy ginekolog mojej żony, stwierdził, że jedno z serc pracuje bardzo słabo, ale to może być normalne na tym etapie rozwoju ciąży. „Serce dziecka czy Elizy?” - spytałem i doktor zaśmiał

się z mojej ignorancji, choć rzecz nie była do śmiechu. „Jednego z dzieci” - odpowiedział.

- To będziecie mieli bliźniaki, jak my! - ucieszyła się Barbie. Posypały się gratulacje i życzenia.

- Jezus Maria! - wyrzuciła z siebie Terenia i tym razem tłumaczenie nie było potrzebne.

Eliza słyszała, jak Marlena dyskretnie upomniała teściową.

- Będę się za nie modlić - oznajmiła Sherri.

- I ja też - dodała cicho Samantha.

Eliza podziękowała im za troskę. Jej wzrok zwrócony był teraz w kierunku Marcusa. Choć zblednięcie przed omdleniem nie było w stanie objawić się na jego twarzy, odnosiła wrażenie, że był tego bliski. Zapytała, czy dobrze się czuje. Skoncentrowana wiązka spojrzeń współbiesiadników zadziałała chyba jak zastrzyk adrenaliny. Skinął głową, dolewając sobie kawy.

- Co za nowina! Czy Nicole ma tego świadomość? - zapytał.

- Ma tylko połowę świadomości - zaśmiała się Eliza.

- Czy to wszystko znaczy, że spodziewam się dwójki rodzeństwa? - zapytał znowu po chwili zamyślenia, wywołując reakcję śmiechu.

Zadzwoiła Greta. Przeprósiwszy wszystkich na chwilę, Eliza skryła się z telefonem w swojej sypialni.

- Może chcesz, żeby w czym pomóc, no?

- Dziękuję, nie teraz. Jutro, jak już wyjedziemy, możesz pozabierać wszystko z lodówki, żeby się nie zmarnowało. Podzielę się tylko z tobą nowiną; przedwczoraj Terry Mercer stwierdził u mnie ciążę bliźniaczą. Ogłosiliśmy to dziś przy śniadaniu.

- No i co na to twoi goście ?

Na chwilę po obu stronach zaległa cisza.

- Jesteś tam, Eliza? - odezwała się Greta. - Jestem. Ty już wiedziałas, że spodziewamy się dwojaczków, prawda?

- Larry pochwalił się Robertowi, to i ja wiem, no. Nie gniewasz się?

- Nie byłby to mój mąż - zaśmiała się.

- Wcześniej już myślałam, że możesz mieć bliźniaki, bo to czasem w rodzinie się powtarza, i do tego apetyt taki masz. Ale nie ma czego się bać, no. Cesarke ci zrobio pod znieczuleniem i nawet nie poczujesz.

Eliza nie zdradziła, że bardziej niż poród przerażała ją obawa, czy zdoła donosić ciążę.

- Muszę wracać do gości. Porozmawiamy jeszcze wieczorem - powiedziała.

Goście wyjechali zaraz po śniadaniu. Eliza ochoczo przestawiła się na dobre osiem godzin względnej ciszy. Larry usiadł przy stole kuchennym i przywołał ją ruchem dłoni, aby usiadła mu na kolanach. Eliza objęła ramionami szyję Larry'ego, a on położył ręce na jej brzuchu. Spodziewała się, że zacznie mówić o przedwczorajszym badaniu i słabo bijącym serduszku, lecz usłyszała tylko poprzedzone wezbraniem jego klatki piersiowej i rozproszone po gęstwinie jej włosów głębokie westchnienie.

- Jak odebrałaś reakcje naszych gości? - zapytał.

Wiedziała, że chodziło mu bardziej o ciążę niż o ślub.

- Jak grzeczny chór pochlebców artystki, która dawno powinna zejść ze sceny - odpowiedziała.

Larry zaśmiał się i pocałował czubek jej nosa.

- Najważniejsze jest, co my o tym myślimy - powiedział.

- A co myślimy? - zapytała prowokująco.

- Myślimy, że damy radę wykarmić dwójkę - odrzekł.

Spakowanie bagaży nie zajęło im dużo czasu. Eliza zrobiła kanapki i przyniosła je do salonu, gdy Larry rozpalał w kominku. Nasiąknięte wilgocią drewno nie bardzo miało

ochotę zapłonąć. Przyniósł więcej polan i rozłożył je wokół, żeby przeschły. Gdy uparte drewno zajęło się wreszcie ceglastoczerwonym płomieniem, Larry mógł usiąść na kanapie obok Elizy. Spozrzegł jej zamyślenie.

- W jakim języku snujesz swoje myśli? - zapytał.

Eliza wyjęła stopy z drewniaków i oparła je na krawędzi kanapy, obejmując ciasno rękoma oba kolana.

- Czasem wydaje mi się, że myśli są ponadjęzykowe. Dlaczego pytasz? Chciałeś je odgadnąć? - zapytała.

- Może - powiedział tylko, choć Eliza spodziewała się jakiegoś żartobliwego wyводу.

- Myślałam o tym, że moja tegoroczna jesień była absolutnie nieprawdopodobna - odezwała się cicho. - Gdybyś nie wybrał się ze mną do Polski, pewnie bałabym się tu wracać w obawie, że cię już nie zastanę, że byłeś tylko tworem mojej fantazji.

Larry ujął jej dłoń i przyłożył do ust z takim samym namaszczeniem jak wtedy, gdy zrobił to po raz pierwszy w przedśionku restauracji.

- O ile mi wiadomo, w ciążę nie zachodzi się w drodze fantazji - odrzekł po chwili, której pewnie potrzebował, żeby otrząsnąć się ze wzruszenia. - Są znacznie lepsze sposoby - dodał.

- Zaczęłam już o tym pisać.

- O tym, jak zaszłaś w ciążę?

Jeśli taka była jego intencja, to udało mu się wreszcie wyrwać Elizę ze stanu melancholii.

- Chodziło mi o moją jesień w Ustroniu. Z panem, drogi panie Harris - zaśmiała się.

- Chcesz napisać o nas?

- Może... Nie wiem tylko, na ile mogłabym być szczerą - uśmiechnęła się.

- Sądzę, że nikt nie poczułby się urażony szczerością.

- Miałaś na myśli siebie?

- Miałem na myśli postacie drugoplanowe. Zakładam, że byłbym głównym bohaterem - zaśmiał się, podnosząc się z kanapy, aby dołożyć drewna do paleniska.

Usiadłszy z powrotem obok Elizy, przeciągnął opuszką palca po jej obrączce. Spytał, czy wymyśliła już tytuł.

- Pisanie niekoniecznie zaczyna się od tytułu - odpowiedziała.

- Ach tak? To dlaczego jest zawsze na początku? - zapytał dobrze wyreżyserowanym tonem kompletnej ignorancji.

Eliza zaśmiała się, pociągawszy lekko jego warkoczyk. Pochwycił jej rękę i przytrzymał w dłoniach w oczekiwaniu na dalsze słowa, które jednak nie nastąpiły.

- Skoro mowa o pisaniu... - odezwał się po chwili ciszy. - Przywiozłem dzisiaj ze swoimi rzeczami te pamiętniki, które zgodziłaś się tłumaczyć. Są w szufladzie biurka w sypialni.

Eliza zdała sobie sprawę, że jak do tej pory nie spytała o nie ani Larry'ego, ani Daniela. Chociaż złożyła to na karb różnych niefortunnych okoliczności, nie mogła pozbyć się poczucia winy i wykorzystała okazję, aby to naprawić. Larry przyniósł na jej prośbę jeden z zeszytów. Kartki z dość grubego, żółtawego, a może po prostu pożółkłego papieru zapisane były ołówkiem. Eliza przerzuciła kilka z nich. Tekst wydawał się czytelny.

- Czy wiesz, z jakiego okresu pochodzą? - spytała.

- Nie wiem. Nie są nawet podpisane prawdziwym nazwiskiem. Mama podejrzewała, że miał to być pseudonim literacki czy coś w tym rodzaju, bo babcia podobno zawsze marzyła o napisaniu powieści.

- A jak naprawdę się nazywała? - zaciekawiała się Eliza.

- Anna Dobrowolski.

- Dobrowolska - skorygowała go. - W Polsce końcówki nazwisk często zależą od płci - dodała, gdy Larry popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Ty też nazywałaś się w Polsce inaczej?

- Oczywiście. Nazywałam się Mazurek, a nie Harris - zaśmiała się.

- Dlaczego nie „Mazureka”? - dociekał, domagając się uzasadnienia niekonsekwencji.

Eliza obiecała wyjaśnić mu to innym razem.

- Larry? - odezwała się po chwili z nutką nieśmiałości zwiastującą zmianę nastroju rozmowy. - Gdyby udało mi się napisać tę powieść... pomyślałam, że mogłabym ją wydać pod literackim pseudonimem twojej babci.

- Anna Nejman? - zapytał zdziwiony.

- No właśnie. Czy wiesz, dlaczego wybrała takie właśnie nazwisko?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział z uśmiechem, który nie okazał się zbyt skuteczny w zamaskowaniu wzruszenia.